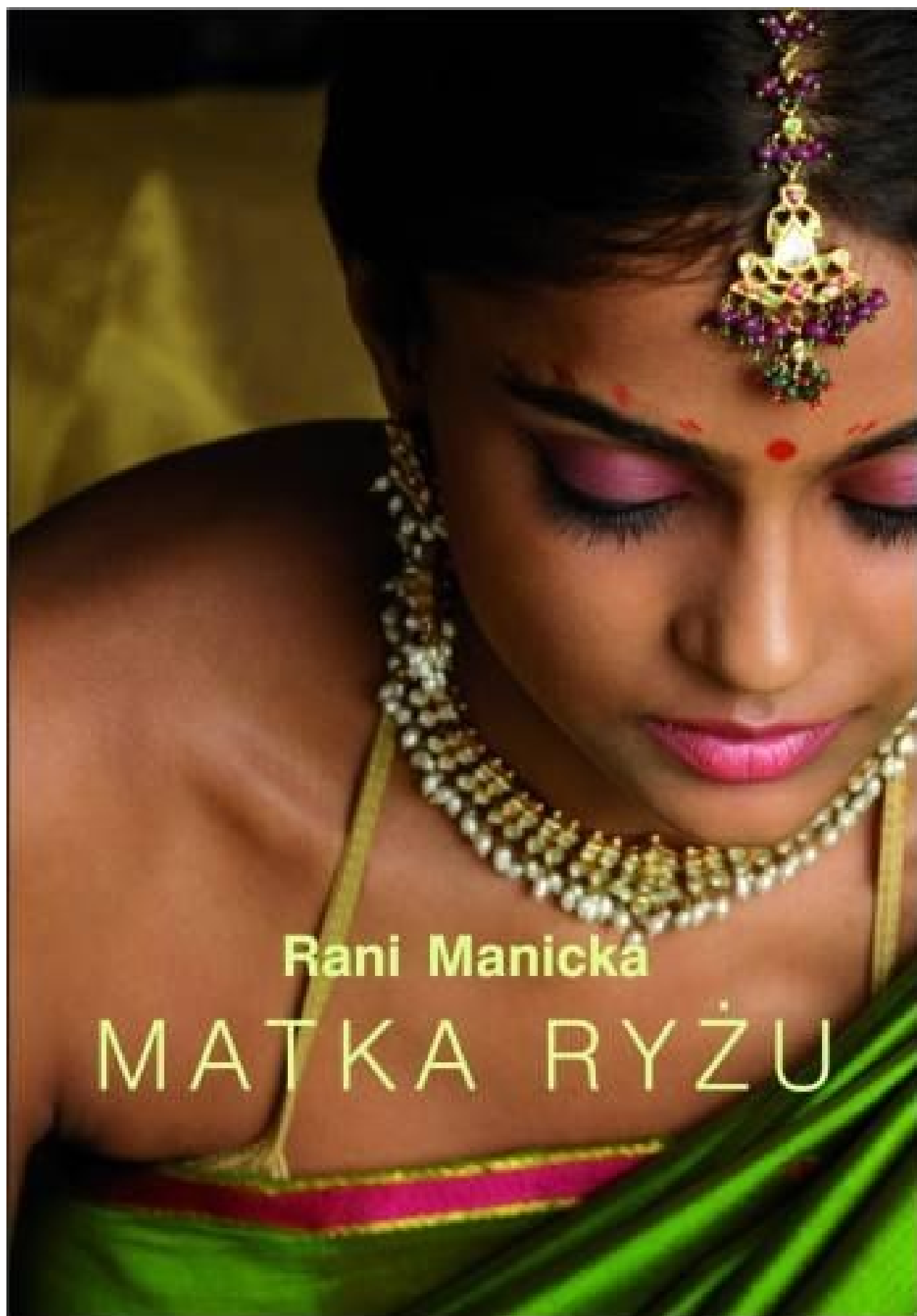


Rani Manicka

Matka Ryžu



Rani Manická

MATKA RYŽU

CZEŚĆ PIERWSZA

Dzieci błądzące w ciemnościach .

Lakszmi

Urodziłam się w 1916 roku na Cejlonie, zanim duchy chodzące po ziemi tak jak ludzie, wystraszone ostrym blaskiem elektryczności i rykiem cywilizacji, skryły się w leśnych ostępach. Zamieszkały tam w ogromnych drzewach, w chłodnym, niebieskozielonym cieniu. W głuszy, gdzie z trudem docierało słońce, ich milczącą, gniewną obecność można było wyczuć nieomal na wyciągnięcie ręki. Wiadomo, że tęskniły za fizyczną postacią. Jeśli kogoś idącego przez dżunglę przyparła naturalna potrzeba, to przed zbrukaniem ziemi musiał odmówić modlitwę i poprosić o pozwolenie, bo łatwo się obrażały. Pod pretekstem zakłócania im samotności mogły wnikać w ciało intruza. Pójść na jego nogach. Raz jakiś duch zwabił i tak opętał siostrę mamy, że trzeba było wezwać świętego człowieka mieszkającego dwie wsie dalej, żeby wypędził z niej zło. O jego budzącej lęk mocy świadczyły sznury dziwnie poskręcanych paciorków i wysuszonych korzeni, które nosił na szyi. Zaciekawieni mieszkańcy wioski otoczyli świętego pierścieniem. On zaś, żeby wypędzić z mojej ciotki ducha, zaczął ją tłuc długim, cienkim kijem i wykrzykiwać: "Czego chcesz?". Nic sobie nie robiąc z jej przeraźliwych wrzasków, które niosły się po naszej spokojnej wsi, bił ją tak długo, aż biedaczka spłynęła krwią.

- Zabijesz ją! - zawyla moja babka, przytrzymywana przez trzy przerażone, ale zafascynowane kobiety.

Święty mąż dotknął różowej blizny przecinającej mu twarz, lecz nie przestał krążyć wokół kulającej się dziewczyny, powtarzając w kółko chrapliwym szeptem: "Czego chcesz?".

Trwało to tak długo, aż w końcu wrzasnęła, że chce owocu.

- Owocu? Jakiego owocu? - spytał surowo, zatrzymując się przed szlochającą.

Nagle w ciotce zaszła zdumiewająca przemiana. Z jej twarzyczki spojrzwały chytre oczy, a na drobnych wargach, z których może nawet wydobyła się bańka szaleństwa, rozkraczył się obrzydliwie obleśny uśmiech. Nieśmiało wskazała młodszą siostrę, moją matkę.

- Chcę tego owocu - odparła męskim głosem.

Prostym wieśniakom wyrwał się z piersi jęk zdumienia i przestachu. Ma się rozumieć, święty mąż nie oddał mojej matki duchowi, gdyż była ulubienicą ojca.

Na ducha znalazł się inny sposób: pięć pociętych cytryn, które ciśnięto mu w twarz, spryskanie palącą świętą wodą i okadzenie zatykającą dech porcją mirry.

Kiedy byłam małą, siadywałam cichutko na kolanach matki i słuchałam jej wspominków o szczęśliwszych czasach.

Mama pochodziła z rodziny mającej i wpływowej, a w czasie największej świetności rodu angielska babka mojej matki, pani Armstrong, dostąpiła nawet zaszczytu wręczenia kwiatów królowej Wiktorii i uściśnięcia jej urękawiczonej dłoni.

Moja matka urodziła się przygłucha, lecz ojciec tak wytrwale przykładął usta do jej czoła i tak długo do niej przemawiał, aż nauczyła się mówić.

Gdy miała szesnaście lat, była piękna jak obłoczna panna. Do ślicznego domu w Kolombo przychodziły zewsząd propozycje małżeństwa - na próżno; moja matka za kochała się w zapachu niebezpieczeństwa. Jej podłużne oczy upodobały sobie czarującego hultaja.

Pewnej nocy wykradła się przez okno i zeszła na ziemię po tej samej miodli, po której jej ojciec, gdy miała zaledwie roczek, puścił cierniste pnącza bugenwilli, żeby nikt nie wdrapał się po drzewie do okna córki.

Nawożony, zda się, ojcowskimi myślami krzew rozrósł się tak bujnie, że obsypany kwiatami stał się punktem orientacyjnym, widocznym z daleka. Niestety, dziadek nie przewidział determinacji córki. Ciernię rozdzierające grube ubranie, szarpiące włosy i wbijające się w ciało jak kły nie zdołały jej powstrzymać owej księżycowej nocy.

Na dole czekał mężczyzna, którego kochała. Kiedy wreszcie przed nim stanęła, skóra paliła ją jak po wyjściu z ognia. Męski cień ruszył bez słowa, lecz mamie każdy krok sprawiał straszliwy ból, jakby stąpała po ostrzach noży, zaczęła więc błagać, żeby się zatrzymali i odpoczęli. Milczący cień wziął ją na ręce i poniósł. Bezpieczna w ciepłych ramionach ukochanego, spojrzała na rodzinny dom, wspaniały na tle jasnego nocnego nieba. A potem spostrzegła na ziemi krwawe, pozostawione jak na urągowisko, ślady stóp. Zapłakała, wiedząc, że one najbardziej zabolą biednego ojca. Będzie bił się w głowę i wołał: "Jak mogła mnie tak zdradzić?".

Kochankowie pobrali się o świcie w małej świątyni w innej wiosce. A potem doszło między nimi do kłótni, w następstwie której obrażony pan młody, w rzeczywistości syn służącej mojego dziadka, kategorycznie zakazał matce widywać się z rodziną. Do rodzinnego domu wróciła dopiero wtedy, gdy jego popioły rozwiął wiatr, ale babka była już wówczas wdową posiwiąłą z rozpacz. Po wydaniu bezlitosnego wyroku ojciec sprowadził matkę do naszego wiejskiego zaścianka, daleko od Kolombo. Za pieniądze ze sprzedaży części jej biżuterii kupił trochę ziemi i zbudował dom, w którym zamieszkali. Ale czyste powietrze i małżeńska idylla nie służyły żonkosowi. Niebawem wyjechał.

Zwabiony jaskrawymi światłami miast, zakosztował w tanim alkoholu, serwowanym przez wypacykowane prostytutki, i odurzył go zapach kart. Za każdym razem po powrocie obdarowywał młodą żonę słoikami małych kłamstw w zalewie z najróżniejszych alkoholi. Nie wiadomo, dlaczego uważał, że ona to lubi. Biedna matka miała tylko mnie i wspomnienia.

Co wieczór wydobywała z pamięci cenne rzeczy, łzami zmywała z nich osad lat i polerowała szmatką żalu, aby po przywróceniu im cudownego blasku rozłożyć je przede mną, a gdy się nimi nacieszyłam, ostrożnie schować do złotej szkatułki w głowie. Snuła wizje chwalebnej przeszłości, w której uwijały się zastępy wiernych sług, piękne powozy zaprzężone w białe konie czekały w gotowości, a żelazne kufry wypełnione były złotem i kosztownościami.

Jakże mogłam, siedząc na cementowej podłodze naszego domostwa, wyobrazić sobie dom stojący tak wysoko na wzgórzu, że z balkonu od frontu widać było całe Kolombo? Albo kuchnię tak wielką, że pomieściłaby naszą chatkę?

Wiem od matki, że gdy pierwszy raz podano ją memu dziadkowi do rąk, to na widok jej gęstych czarnych włosów i niezwykle jasnej cery po policzkach popłynęły mu łzy radości. Przytrzymując zawiniątko tuż przy twarzy, jakiś czas wdychał dziwny, słodkawy zapach nowo narodzonego dziecka. A potem, w białej weszti, łopoczącej wokół silnych, brązowych nóg, wszedł do stajni, wskoczył na ulubionego wierzchowca i pogalopował w chmurze pyłu. Wrócił z dwoma ogromnymi szmaragdami. Podarował żonie te błyskotki w podziękcie za cud. Kazała z nich zrobić wysadzone diamentami kolczyki, z którymi potem się nie rozstawała.

Nigdy nie widziałam słynnych szmaragdów babki, ale przechowuję czarno-białe zdjęcie kobiety o smutnych oczach, która stoi sztywno przed źle namalowanym tłem - plażą z palmą kokosową. Choć tej kobiety dawno już nie ma, często patrzę na nią, utrwaloną na skrawku papieru. Kiedy się urodziłam, płakała, bo byłam dziewczynką, a mój zniechęcony ojciec zniknął, żeby nawarzyć nowych kłamstw w zalewie. Powrócił po dwóch latach, pijany jak bela.

Mimo to zachowałam w pamięci jasne wspomnienia tak szczęśliwego i beztroskiego dzieciństwa, że teraz, w dorosłym życiu, nie ma dnia, bym nie wracała do tamtych lat z tęsknotą i bólem.

Jakże bowiem wyrazić tęsknotę za beztroskimi dniami, gdy byłam jedynaczką, słońcem mojej matki, jej księżycem, gwiazdami, sercem? Tak bardzo przez nią kochaną i taką kapryśną, że trzeba mnie było namawiać do jedzenia. Mama wychodziła z domu zjedzeniem na talerzu i szukała mnie po wsi, by własnoręcznie nakarmić. A wszystko po to, by nudny po siłek nie przerwał mi zabawy. Jak nie tęsknić za dniami, kiedy słońce towarzyszyło mi radośnie przez cały rok i całowało na orzechowy brąz, matka łapała słodki deszcz do studni za domem, a powietrze było tak czyste, że trawa pachniała zielenią.

Niewinny czas, gdy polnymi drogami wśród pochyłych kokosowych palm jeździli na rozklekotanych rowerach prości wieśniacy, szczerzący czerwono zabarwione zęby w ustach rozciągniętych beztroskim śmiechem.

Gdy przydomowe działki były sklepikami, a jedna ubita koza zaspokajała osiem gospodarstw, błogo nieświadomych istnienia wynalazku zwanego lodówką. Matkom zaś

wystarczyło, że bogowie gromadzili się na białych obłokach i z góry pilnowali dzieci bawiących się w wodospadzie.

Tak, pamiętam Cejlon z czasów, kiedy był najbardziej magicznym, najpiękniejszym miejscem na świecie. Ssałam piersi mamy niemal do siódmego roku życia - jeśli dokuczył mi głód lub pragnienie, gdy uganiałam się z rówieśnikami, pędziłam do chłodnego domu, niecierpliwie ją wołając. Obojętnie, czym była zajęta, odgarniała sari, a ja chwytałam wargami miękki pagórek, brązowy jak toffi. Wtulając bezpiecznie ramiona i głowę w surową bawełnę, chłonełam czysty zapach matki, jej niewinną miłość spływającą z mlekiem do moich ust i własne kojące cichutkie cmokanie w jej objęciach. Okrutny czas nie zdołał zatrzeć w mej pamięci ani tamtego smaku, ani dźwięku.

Przez wiele lat nie lubiłam ryżu i warzyw, zadowolając się słodkim mlekiem i żółtymi owocami mango. Mój wuj, który nimi handlował, trzymał je w skrzynkach w składziku za domem. Owoce przywoził na słoniu jeden chudy poganiacz. A kiedy czekały w składziku na następnego poganiacza, wbiegałam na stertę skrzynek i siadałam po turecku na samym szczycie, nie bojąc się ani trochę pajaków i skorpionów, przyczajonych między nimi. Nie powstrzymało mnie nawet to, że zsiniałam na cztery dni, gdy ugryzła mnie stonoga. Przez całe życie ślepy przymus kazał mi iść bosą trudną ścieżką. "Wracaj!" - wołali za mną zatrwożeni ludzie. A ja, choć krwawiły mi poranione stopy, zaciskałam zęby i szłam w przeciwną stronę.

Rozpuszczona i nieposkromiona, zębami zrywałam skórę z soczystego pomarańczowego miąższu. Ten obraz wyjątkowo mocno utrwalił mi się w pamięci.

Siedzę sobie w chłodnym cieniu naszego składziku, na stercie skrzynek z towarem wuja, i obżeram się, a lepki, ciepły, słodki sok spływa po moich rękach i nogach.

W tamtych czasach dziewczynki, w przeciwieństwie do chłopców, nie musiały chodzić do szkoły, jeśli więc w pobliżu nie było ojca, zwykle mogłam robić, co chciałam. Trwało to do chwili, gdy pierwsza kropla menstruacyjnej krwi nagle i niepokojąco dała znać, że w wieku czternastu lat stałam się dorosłą kobietą. Przez tydzień siedziałam zamknięta w małym pokoju z zabitymi oknami. Taki był zwyczaj, ponieważ żadna szanująca się rodzina nie mogła pozwolić, aby wdrapujący się odważnie na palmy kokosowe chłopcy podglądali świeżo od kryte, tajemne uroki córek. Kiedy przebywałam w zamknięciu, zmuszano mnie do połykania jaj na surowo i popijania ich olejem sezamowym i gorzkimi naparami z ziół. Łzy nie zdały się na nic. Matka za aplikowała mi tę dietę z piekła rodem uzbrojona w trzcinkę, której gotowa była użyć, o czym prędko się przekonałam ku swemu wielkiemu zdziwieniu. Na podwieczorek zamiast pysznych słodkich ciastek dostałam połówkę orzecha kokosowego napelnioną gorącymi bakłazanami, uduszonymi w znienawidzonym oleju sezamowym.

"Zjedz gorące" - poradziła matka i zaryglowała drzwi.

Na złość czekałam, aż ostygnie. Przyjemnie było zgniatać palcami zimny, śliski miąższ bakłażanów, ale gdy wkładałam je do ust, ogarniało mnie takie obrzydzenie, jakbym łykała martwe gąsienice. Nim uwolniono mnie z więzienia, przez moje gardło prześlizgnęło się trzydzieści sześć surowych jaj, kilka butelek oleju sezamowego i duży kosz bakłażanów. A potem zamknięto mnie w domu, ponieważ musiałam nauczyć się kobiecych zajęć. Jakaż smutna odmiana.

Nie potrafię wyrazić, czym dla mnie była utrata spękanej od słońca ziemi pod prędkimi stopami. Siedziałam jak więźniarka i wyglądałam tęsknie przez małe okna. Rozczesano moje długie, skłębione włosy i zapleciono. Teraz po plecach zsuwał mi się gładki wąż. Stwierdzono też, że zbyt mocno ogorzałam na słońcu.

Wedle matki moim największym atutem był kolor skóry - choć nie byłam, jak ona, hinduską pięknoscią, ale w krainie ludzi o skórze koloru kawy miałam cerę barwy jasnej bawarki. Cenioną, poszukiwaną. Takiej cery pożądałby mąż u żony, taką cerę mile widziałaby u synowej teściowa, taką cerę zachwycano by się u wnuków. Ni stąd, ni zowąd zaczęły przychodzić do nas dziwne kobiety w średnim wieku. Wystrojona, musiałam paradować przed nimi. Były czujne niczym kupy w sklepie z diamentami. Przenikliwymi oczami jak paciorki bez śladu skrzepowania szukały we mnie jakiejś skazy.

Pewnego upalnego popołudnia matka, pociągając mnie, szarpiąc i kręcąc moim sztywnym, niezdarnym ciałem, zawięła je w długi zwój różowego materiału, wpięła mi we włosy różowe róże o zmiętych płatkach i obwiesiła drogimi kamieniami oprawnymi w matowe złoto. Stałam nachmurzona w oknie, rozmyślając ze smutnym zdumieniem, jak szybko i całkowicie odmieniło się moje życie. W jeden dzień. Nie, szybciej. I bez ostrzeżenia.

Za oknem wiatr szeleścił w gałęziach limony. Wesoły powiew wpadł do pokoju, pobawił się loczkami na moich skroniach i lekko dmuchnął mi w ucho. Dobrze go znałam. Był niebieski jak mały bóg Kriszna i jak on pyzaty. Kiedy skakaliśmy z największej skały do wodospadu w lesie za domem Ramesza, zawsze pierwszy wpadał do lodowatej wody. Dla czego? Bo oszukuje. Nigdy nie tknął stopą ciemnozielonego, aksamitnego mchu na skałach.

Zaśmiał mi się do ucha. "Chodź" - zanucił wesoło. Po łaskotał mnie w nos i poleciał. Wychyliłam się przez okno, wyciągając cienką szyję jak najdalej, ale połyskliwa woda i niebieski powiew były dla mnie stracone na zawsze. Należały do bosonogiej, roześmianej dziewczynki w brudnej sukience.

Kiedy z goryczą rozpamiętywałam swoje żale, zobaczyłam, że przed naszym domem zatrzymuje się powóz. Koła zaskrzypiały w suchym pyłe. Z powozu wygramoliła się gruba kobieta w ciemnoniebieskim jedwabnym sari i pantoflach zbyt delikatnych jak na jej tuszę. Cofnęłam się do ciemnego wnętrza, nie spuszczać z nieznajomej zaciekawionego spojrzenia. Jej ciemne oczy ogarnęły nasz mały dom i skromne gospodarstwo z tajoną satysfakcją. Zdumiona zachowaniem

przyjezdnej, obserwowałam ją, dopóki nie straciłam z oczu jej chytrej twarzy. Zniknęła za krzewami bugenwilli rosnącymi przy drodze prowadzącej do drzwi domu. Do mojego pokoju doleciał cichy głos matki, zapraszającej ją do środka. Przycisnęłam ucho do drzwi, wsłuchując się w nieoczekiwane melodyjny, miły głos kobiety. Nie pasował do jej chytrych małych oczek i wąskich zaciśniętych ust. Po chwili matka krzyknęła, żebym przyniosła herbatę przygotowaną dla nieznajomej. Ledwie stanęłam w drzwiach frontowego pokoju, w którym matka przyjmowała gości, poczułam na sobie szybkie, taksujące spojrzenie grubaski. Najwyraźniej ucieszyło ją to, co ujrzały jej badawcze oczy. Rozciągnęła usta w ciepłym uśmiechu. Gdybym nie dostrzegła pewnego siebie, niemal zwycięskiego spojrzenia, jakim obrzuciła nasze biedne domostwo, mogła bym wziąć ją za kochającą ciotkę, bo tak z uśmiechem przedstawiła ją mama. Spuściłam skromnie oczy, jak mnie nauczono robić w obecności dobrodusznych dorosłych i bystrookich handlarzy diamentów.

- Chodź, usiądź przy mnie - zachęciła łagodnie ciocia Pani, klepiąc ławkę koło siebie.

Zauważyłam, że na czole nie ma czerwonej kropki kam kam, jaką noszą mężatki, tylko czarną, oznaczającą kobietę wolnego stanu. Podeszłam ostrożnie do ławki, żeby nie potknąć się o sześćojardowy pas niebezpiecznie spowijającej mnie ciężkiej tkaniny, co upokorzyłoby moją matkę i rozśmieszyło wyrafinowaną nieznajomą.

- Śliczna z ciebie dziewczynka! - wykrzyknęła melodyjnie.

W milczeniu zerkając na nią kątem oka, poczułam dziwną, niewytłumaczalną odrazę. Cerę miała gładką, bez zmarszczek, starannie przypudrowaną, włosy pachnące słodko jaśminem, a jednak w swoim zaczarowanym królestwie wyobraziłam ją sobie jako kobietę-węża, która je szczury, spływa z drzew jak gęsta smoła i jak cicha wstążka wślizguje się do sypialń. Kobieta-wąż jest czarna i cały czas poluje. Wysuwa długi, różowy, zimnokrwisty język. Co ona wie?

Pulchna upierścieniona dłoń zanurkowała w torebce wyszywanej paciorkami i wysunęła się z cukierkiem w papierku. Słodocze były w wiosce rzadkością. Uznałam, że nie wszystkie kobiety-węże są jadowite. Podała mi smakołyk. Wiedziałam, że to próba. Pamiętałam, by patrzeć na matkę. Nie chwyciłam łakomie cukierka. Dopiero gdy mama uśmiechnęła się i skinęła głową, sięgnęłam po cenny podarunek. Wtedy nasze dłonie zetknęły się na moment. Jej były zimne i wilgotne. Również nasze spojrzenia się spotkały. Szybko odwróciła wzrok. Wytrzymałam wzrok węża.

Odesłano mnie do mojego pokoju. Kiedy zamknęłam za sobą drzwi, odwinęłam papierek i zjadłam bakszysz kobiety-węża. Był pyszny.

Nieznajoma nie zabawiła długo, niebawem do mojego pokoju weszła mama. Pomogła mi wyplatać się z długich zwojów pięknego materiału, starannie go poskładała i odłożyła.

- Lakszmi, przyjął w twoim imieniu propozycję małżeństwa - powiedziała, zwrócona do złożonego sań. - Bardzo dobrą propozycję. On jest z lepszej kasty niż my. Mieszka w bogatym kraju, na Malajach.

Oszupiałam. Wpatrywałam się w nią z niedowierzaniem. Propozycja małżeństwa, która rozdzieli mnie z matką? Mam jechać do kraju złodziei ptasich gniazd, odległego o tysiące mil? Łzy stanęły mi w oczach. Nigdy się z nią nie rozstawałam. Nigdy! Nigdy! Nigdy! Podbiegłam do matki, przyciągnęłam jej twarz do swojej, przycisnęłam wargi do jej czoła i zawołałam z rozpaczą:

- Czemu nie mogę wyjść za kogoś z Sangry?

Jej piękne oczy zwilgotniały. Była pelikanem rozszarpującym własną pierś, żeby nakarmić młode.

- Masz wielkie szczęście. Pojedziesz z mężem do kraju, gdzie pieniądze leżą na ulicy. Ciocia Pani mówi, że twój przyszły mąż jest bardzo bogaty. Będziesz żyła po królewsku, tak jak twoja babka. Nie będziesz musiała borykać się z życiem jak ja. On nie jest pijakiem ani hazardzistą jak twój ojciec.

- Jak możesz mnie odsyłać? - szepnęłam, czując się zdradzona.

W jej oczach widziałam miłość i ból. Życie miało mnie dopiero nauczyć, że miłość dziecka nigdy nie dorówna bólowi matki. Ten ból jest wielki i dojmujący, ale bez niego matka nie jest w pełni matką.

- Bez ciebie będę taka samotna - zawodziłam.

- Nie, nie będziesz. Twój mąż jest wdowcem i ma dwoje dzieci w wieku dziewięciu i dziesięciu lat, więc nie zabraknie ci zajęcia ani towarzystwa.

Niepewnie zmarszczyłam czoło. Jego dzieci były niemal w moim wieku.

- A ile on ma lat? - spytałam.

- Trzydzieści siedem - odparła szybko mama, obracając mnie, żeby odpiąć ostatnią haftkę przy bluzce. Wykręciłam się, by na nią spojrzeć.

- Ama, on jest starszy nawet od ciebie!

- Owszem, ale na pewno okaże się dobrym mężem. Ciocia Pani twierdzi, że on ma niejednego, lecz kilka złotych zegarków. Udało mu się zgromadzić wielki majątek... Jest tak bogaty, że nawet nie potrzebuje posagu. Ona wie, co mówi, bo to jej kuzyn. Ja popełniłam straszny błąd, dlatego robię wszystko, że byś go nie powtórzyła. Możesz stać się kimś więcej. Kimś więcej niż ja. Zaraz przygotuję twoją kasetkę z biżuterią.

Patrzyłam niemo na matkę. Podjęła decyzję. Moja przyszłość została przypieczętowana.

Blisko pół wieku temu pięćset lamp naftowych przez pięć dni wystawnego wesela mojej babki zaskakiwało swym światłem budzące się słońce, ale moje wesele miało trwać tylko jeden dzień. Przez cały miesiąc wszyscy zajmowali się przygotowaniami, a ja, pomimo wcześniejszych niepokojów, pogodziłam się z myślą o tajemniczym mężu, który będzie mnie traktował jak królową. Z przyjemnością wyobrażałam też sobie, jak będę rządzić pasierbami. Tak, może się okazać, że to wspaniała przygoda. W moich różowych marzeniach mama przyjeżdżała w odwiedziny raz na miesiąc, a ja wsiadałam na statek dwa razy w miesiącu. Przystojny nieznajomy uśmiechał się łagodnie i obsypywał mnie prezentami. Pochylałam nieśmiało głupią nastoletnią głowę, pełną tysięcy romantycznych rojeń, zarumienionych i roznegliżowanych. Oczywiście nigdy nie wyobrażałam sobie prawdziwego seksu. Nikt nie rozmawiał o takich rzeczach. Nie obchodziła mnie tajemnica robienia dzieci. Przewidywałam, że maleństwa o kędzierzawych główkach po prostu pojawią się we właściwym czasie.

Nadszedł wielki dzień. Nasz mały dom stękał i wzdychał pod ciężarem kręcących się po nim grubych kobiet. W powietrzu snuł się aromat słynnego czarnego curry mojej mamy. Siedziałam w swoim pokoiku, w samym środku wiru przygotowań. W żołądku rosła mi kula podniecenia, a policzki, gdy przykładalam do nich dłonie, były bardzo, bardzo gorące.

- Pokaż no się - powiedziała matka, kiedy nasza najbliższa sąsiadka, Punama, zręcznymi dłońmi okręciła mnie sześcioma jardami pięknego czerwono-złotego sari, poukładała je w fałdy i upięła.

Dłuższą chwilę mama przyglądała mi się z przedziwną mieszaniną smutku i radości, a potem wytarła kąciki załzawionych oczu i, nie mogąc dobyć głosu, z uznaniem pokiwała głową.

Następnie zabrała się za mnie kobieta z drugiej wsi, zatrudniona przez mamę do ułożenia fryzury.

Usiadłam na stołku, a jej szybkie ręce wplotły mi we włosy sznury pereł i po dodaniu wałka z włosów sztucznych utworzyły na mym cienkim karku duży okrągły kok. Wyglądało to tak, jakby z szyi wyrosła mi druga głowa, ale skoro matce dogadzało mieć dwugłową córkę, nic nie powiedziałam. Kobieta odkręciła pokrywkę małego pojemniczka z gęstą czerwoną pastą, zanurzyła tłusty paluch w cuchnącej substancji i nałożyła mi na wargi lepki maź.

Zafascynowana, wpatrzyłam się w siebie. Wyglądałam, jakbym pocałowała kogoś w zakrwawione kolano.

- Nie oblizuj warg - zakazała stanowczo.

Potrząsnęłam głową z powagą, choć kusiło mnie, żeby zetrzeć warstwę tłuszczu o ciężkim zapachu. Kusiło mnie aż do chwili, gdy ujrzałam pana młodego. Wtedy zapomniałam nie tylko o przykrości, jaką sprawiał mi tłuszcz na ustach, ale w ogóle o wszystkim. Czas się zatrzymał i moje dzieciństwo z przeraźliwym krzykiem uciekło na zawsze.

Odprowadzono mnie, przystrojoną w biżuterię, do głównej sali, gdzie na podwyższeniu czekał pan młody. Kiedy doszliśmy do drugiego rzędu usadzonych gości, nie mogłam dłużej powstrzymać ciekawości, śmiało uniosłam głowę i spojrzałam na niego. Bańka podekscytowania, która tak wesoło podskakiwała mi w żołądku, pękła. Nogi ugięły się pode mną tak nagle, że się zachwiałam. Moje uśmiechnięte towarzyszki równocześnie przytrzymały mnie z obu stron pod ręce. W głowie mi się kręciło i słyszałam ich niechętne myśli: "A cóż to się stało panience o herbacianej cerze?".

A panience o herbacianej cerze stało się to, że ujrzała swojego oblubieńca.

Na podwyższeniu siedział i czekał na mnie olbrzym. Był bardzo ciemny. Jego skóra lśniła jak czarny olej w nocy. Przez skronie, niczym u drapieżnego ptaka, biegły mu duże pasma siwizny, a sterczące pod szerokim nosem długie żółte zęby wystawały tak, że nie mógł domknąć ust.

Na myśl o tym, że ten człowiek ma zostać moim mężem, ogarnął mnie strach. Głupie romantyczne marzenie uleciało z ostatnim tchnieniem, poczułam się mała, samotna i chciało mi się płakać. Od tej chwili miłość stała się dla mnie robakiem w jabłku. Kiedy więc moje spragnione usta natrafiały na jej miękkie ciało, niszczyłam ją z obrzydzeniem. W panice, ledwie rozróżniając przyglądające mi się twarze, zaczęłam wypatrywać jedynej osoby, która mogła to wszystko naprawić.

Odnalazłyśmy się wzrokiem. Matka uśmiechnęła się radośnie, oczy błyszczały dumnie w jej biednej twarzy. Za nic w świecie nie mogłam sprawić jej zawodu. Tego dla mnie pragnęła. Żyłyśmy w takiej nędzy, że jego bogactwo ją oślepiło. Stopy poniosły mnie dalej. Nie zwiesiłam głowy jak wstydliva narzeczona. Patrzyłam na mego przyszłego męża ze strachem i jednocześnie śmiałością.

Był trzy razy większy ode mnie. Podniósł wzrok. Miał małe czarne oczka. Przytrzymałam te czarne paciorki śmiałym spojrzeniem. Dostrzegłam w nich denerwującą dumę posiadacza. Wpatrywałam się w nie bez zmruczenia oka. Nie okazał strachu, pomyślałam, z żołądkiem ściśniętym z gniewu. Zmusiłam go do dziecięcej rozgrywki, kto na kogo będzie się dłużej gapił. Dźwięk bębnow i trąbek odpłynął, przyglądający się ludzie zlali się w szare tło, a ja nieprzerwanie wpatrywałam się płonącymi oczami w jego oczy. O dziwo, wyczułam w nich zmianę. Dumę posiadacza wyparło zaskoczenie. Spuścił wzrok. Pokonałam brzydką bestię. Teraz on stał się ofiarą, a ja myśliwym. Okiełznałam dzikie zwierzę spojrzeniem. Płomień ogarnął moje ciało jak gorączka,

Rozejrzałam się za matką. Uśmiechała się nadal tym samym co przedtem dumnym, zachęcającym uśmiechem. Przed moim wielkim zwycięstwem, którego w ogóle nie zauważyła. Dostrzegliśmy je tylko ja i mój mąż. Uśmiechnęłam się do niej i - unosząc lekko rękę - trzy razy dotknęłam środkowym palcem kciuka, dając jej tajny znak, że „jest świetnie”. Doszłam do

udekorowanego podwyższenia i uklękałam na rozścielonych kwiatach. Czułam ciepło bijące od ciała okiełznanej bestii, ale nie miałam się czego bać.

Nie obrócił głowy, żeby na mnie spojrzeć. Reszta zaślubin minęła tak, że niewiele pamiętam. Ani razu nie szukał płomienia w moich oczach. A ja... ja spędziłam całą ceremonię, skacząc raz po raz z najwyższej skały do chłodnego wodospadu za domem Ramesza.

Tamtej nocy leżałam cicho w ciemnościach. Odepchnął moje ubranie i wgramolił się na mnie niezdarnie. Stłumił mój krzyk bólu wielką dłonią. Pamiętam, że pachniała krowim mlekiem.

- Ciii... boli tylko za pierwszym razem - pocieszył mnie. Był delikatny, lecz mój dziecięcy umysł doznał wstrząsu. Mąż zrobił mi to, co robiły psy na ulicy... dopóki nie polaliśmy ich wodą, a wtedy rozdzielały się niechętnie, świecąc na brzmiałymi, niezaspokojonymi różowościami. Skupiłam się na tym, jak zabawnie znika w ciemnościach. Długie zęby wisiały w mroku bez żadnego podparcia, a oczy lśniły i patrzyły na mnie bez wyrazu niczym oczy szczura w nocy. Czasem błyskał złoty zegarek, który zrobił takie wrażenie na mamie. Wpatrywałam się w małe oczka, aż zamrugał, a potem gapiłam się na zęby. W ten sposób niedługo było po wszystkim.

Nasycony, legł na plecach i przygarnął mnie - małe, po tłuczone dziecko. Leżałam w jego ramionach sztywna jak po lano. Do tej pory znałam tylko miękki uścisk matki, a jego twardość była mi obca. Kiedy oddech mu się wyrównał, a członki stały się ciężkie, ostrożnie wysunęłam się spod uśpionego ciała i podeszłam na palcach do lustra. Zagubiona, przyjrzałam się swojej wstrząśniętej, załamanej twarzy. Co on mi zrobił? Czy mama wiedziała, że on mi to zrobi? Czy ojciec też robił z nią coś tak okropnego? Czułam się zbrukana. Uda miałam pobrudzone lepką ciecżą i krwią. Bolało mnie między nogami.

Na zewnątrz, w świetle lamp naftowych, najwytrwalsi goście weselni nadal śmiali się i pili.

W szafce znalazłam stare sań. Uchyliłam drzwi i, osłaniając twarz, wymknęłam się z pokoju. Stąpałam bezgłośnie po zimnym cemencie. Nikt nie zwrócił uwagi na sunącą pod ścianą, trzymającą się cichego cienia drobną postać. Wybiegłam przez tylne drzwi i po chwili stanęłam przy studni Punamy. W dzikim pośpiechu zrzuciłam z siebie ubranie i z głębokiej dziury w ziemi wyciągnęłam wiadro połyskliwej czarnej wody. Gdy zimna jak lód obmywała moje ciało, zaczął wstrząsać mną niepohamowany szloch. Lałam czarną wodę, cała dygocząc, aż zdrętwiałam. A kiedy spragniona ziemia wchłonęła mój splukany szloch, okryłam biedne ciało i wróciłam do męzowskiego łóżka.

Mąż leżał pogrążony we śnie. Mój wzrok zsunął się na złoty zegarek. Pocieszyłam się, że przynajmniej na Malajach pożyję sobie jak królowa. Może on ma tam dom na wzgórzu, tak ogromny, że w kuchni zmieściłaby się nasza chata? Nie jestem już dzieckiem, tylko kobietą, a on

moim mężem. Powoli wysunęłam rękę i pogładziłam wysokie czoło. Skóra była gładka. Aja nie poruszył się. Pokrzepiona myślą o kuchni większej od naszego domu, skuliłam się jak najdalej od jego potężnego ciała i zasnęłam.

Za dwa dni mieliśmy wypłynąć na morze, a zostało jeszcze dużo do zrobienia. Prawie nie widywałam męża. Był cieniem, który rozpościerał nade mną wielkie skrzydła pod koniec dnia, gasząc nawet smużkę światła pod drzwiami, towarzyszącą mi zwykle przy zasypianiu.

W dzień wyjazdu siedziałam na stopniu na tyłach domu i przyglądałam się zatopionej w swoim milczącym świetle mamie, która jak co rano, odkąd sięgam pamięcią, czyściła piec. Ale tego ranka skapywały jej z twarzy łzy, tworząc okrągłe ciemne plamy na bluzce. Zawsze wiedziałam, że nie kocham ojca, lecz dopiero teraz odkryłam, że mamę kocham mocno, aż do bólu. Widziałam ją samotną w naszym małym domku, jak gotuje, szyje, sprząta, zamiata, ale cóż mogłam teraz poradzić? Odwróciłam od niej wzrok, śledząc ostatnie krople zamierającej burzy. W lesie setki żab połączyły się w chór, błagając niebiosa, aby znów się rozwarły i kałuże na ziemi rozlały szeroko w żabie baseny. Rozejrzałam się po znajomych kątach - gładkiej cementowej podłodze, krzywych drewnianych ścianach - i zobaczyłam stary stołeczek mamy - zwykle siadała na nim, żeby naoliwić mi włosy. Poczulałam się nagle samotna i nieszczęśliwa. Kto będzie mnie czesał? To był niemalże rytuał. Szybko ocierając łzy, przyrzekłam sobie, że nie zapomnę niczego, co wiąże się z matką. Jej zapachu, smaku jedzenia, które spracowanymi palcami podawała mi prosto do ust, pięknych smutnych oczu i bezcennych opowieści, przechowywanych w złotej szkatułce w głowie. Wyobraziłam sobie dziadka na białym koniu, wysokiego i dumnie wyprężonego. Co on by o mnie pomyślał? Małej i słabej.

Na podwórku nasza krowa Nandi, niezainteresowana przy gotowaniach do mojego wyjazdu, nie wiadomo dlaczego wywróciła żałośnie oczami, a niedawno wyklute kurczaki już na dobre weszły w rolę wyznaczoną im przez życie. Nie mogłam uwierzyć, że wyjeżdżam tego dnia i zostawiam wszystko, co znałam, by wypłynąć w morze z mężczyzną, który powiedział:

"Mów mi Aja".

Przybyliśmy na umówione miejsce w porcie. Patrzyłam jak urzeczona na wyrastający z wody wielki statek, gotów przemierzyć ocean. Błyszczał majestatycznie w słońcu. Ciocia Pani, której powierzono zadanie sprowadzenia moich pasierbów, spóźniła się. Zmartwiony Aja, marszcząc czoło, zerkał na swój wspaniały zegarek. Kiedy już miały zawyc syreny, nadjechała powozem - bez dzieci.

- Są chore, nie zniosą podróży. Zostaną ze mną przez kilka miesięcy - oznajmiła dość wesoło mojemu zdumionemu mężowi. - Gdy poczują się lepiej, sama przywiozę je na Malaje - dodała śpiewnym głosem.

Aja rozejrzał się bezradnie niczym zagubione słońniętko.

- Nie mogę odejść bez nich! - krzyknął z rozpaczą.

- Musisz – oświadczyła. - Wszystko przygotowane. Dzieci nie są poważnie chore.

Nic im się nie stanie, jeśli zostaną kilka tygodni dłużej. Wiesz, jak bardzo je lubię. Gdzie będzie im lepiej niż u mnie?

Przez jedną bolesną chwilę Aja stał niezdecydowany. Wszyscy mu się przyglądali. Wreszcie wziął moją małą walizkę i ruszył w kierunku trapu. Nieprzejednaną twarz cioci Pani rozjaśniła radość. Nie do wiary, zamierzał zostawić dzieci! I dla mnie, i dla wszystkich świadków było oczywiste, że ich tajemnicza choroba to jakiś fortel. Dlaczego Aja natychmiast nie wysłał kogoś do jej domu, żeby to sprawdzić? Szłam za nim powoli, nic nie rozumiejąc, ale z przekonaniem, że dzieje się coś złego. Ciocia Pani nie była dobrą osobą. Czułam to wyraźnie, a jednocześnie kiełkowała we mnie mroczna myśl, że może tak będzie lepiej. Widziałam moich pasierbów na weselu - bardzo przypominali swego ojca. Mieli ospałe, tępe twarze i poruszali się irytująco powoli. Nie chciałam przyznawać zwycięstwa Pani, lecz większy od tej niechęci był lęk przed pasierbami głuptasami.

Odwróciłam się i pocałowałam matkę w czoło.

- Kocham cię całym sercem - powiedziałam do jego gładkiej powierzchni,

Pochwyliła moją twarz w dłonie i długo się we mnie wpatrywała, jakby uczyła się na pamięć moich rysów, bo wiedziała, że już nigdy mnie nie zobaczy ani nie dotknie. Że do końca życia się nie spotkamy.

Ze statku patrzyłam na nią, aż stała się zieloną szlochającą kropką w tłumie machających, zawodzących krewnych.

Ach, podróż.

Podróż była okropna. Gorączkowałam i prawie cały czas leżałam półprzytomna. W głowie mi szumiało, wzburzony żołądek się buntował. Czasem czułam się tak źle, że chciałam umrzeć.

Mąż tkwił przy mnie jak skała i patrzył bezradnie, a ja niczym wąż wilałam się na małej koi, dręczona nieustannymi torsjami. Obrzydliwa kwaśna woń przesycała moje włosy, ubranie, pościel, oddech, skórę... Wszystko lepilo się od wilgoci.

Obudziłam się w rozkołysanych ciemnościach, dręczona pragnieniem. Na moim czole spoczęła delikatna dłoń.

- Ama! - zawołałam słabym głosem.

Zdezorientowana, przez chwilę myślałam, że to mama przyszła mnie pielęgnować.

Obróciłam się i uśmiechnęłam. Mąż patrzył mi w oczy z przedziwną miną. Zaskoczona siłą jego spojrzenia, zamrugałam i też popatrzyłam mu w oczy, nie mogąc uciec wzrokiem w bok. Poczułam suchość w ustach.

- Jak się czujesz? - spytał łagodnie. Złudzenie prysło.

- Pić mi się chce - odparłam chrypliwie.

Odwrócił się, olbrzym o luźno zwisających rękach, i nalał mi wody. Przyglądałam mu się, pijąc, ale jego hebanowa twarz wyrażała wyłącznie dobroć. Pamiętam tę chwilę, bo przez resztę wspólnie spędzonego życia nigdy nie zobaczyłam w oczach męża tak dziwnej mieszaniny gwałtownych uczuć.

Niebo stało się czystym błękitem, a morze taflą szkła lśniącego w słońcu. Wiedziałam, że w zielonej głębi, na samym dnie, kryją się tajemnicze, cudowne miasta, piękne pałace, oszołamiające minarety i zachwycające podwodne kwiaty, że mieszkają tam potężni bogowie z opowieści mamy.

Na statku ludzie stłoczeni przy barierkach, natężając wzrok, wypatrywali lądu, który powoli się przybliżał. Powietrze wibrowało, jakby były tysiące skrzydeł. Skrzydeł nadziei.

Patrzyłam z niedowierzaniem na port w Penangu, najbardziej ekscytujące miejsce na świecie. W życiu nie widziałam tylu ludzi biegających i krzających się niczym kolonia mrówek na piaszczystej wydmie. I to jakich dziwnych. W zachwycie gapiłam się na nich jak głupia.

Oto arabscy kupcy o oliwkowej cerze, w powiewających długich szatach i białoczarnych turbanach. Nawet z daleka ich pomyślność rzucała się w oczy jak czerwony latawiec na niebie.

Butnie zadzierali głowę, a wielkie pierścienie na tłuśnych palcach nieciły w słońcu czerwone, zielone i niebieskie ognie. Przyjechali handlować korzeniami, kością słoniową i złotem. Wiatr chwycił ich dziwną gardłową mowę i przynosił do moich uszu.

Albo Chińczycy. Skośnoocy, o płaskich nosach, pełni determinacji. Ani chwili bezczynności. Z nagimi torsami, opaleni na ciemny brąz, pochylali się nisko i potykali pod ciężarem jutowych worków, które wyładowywali z barek i trawlerów. Pracowali bez wytchnienia.

Dla mnie, oswojonej jedynie z ostro zaznaczonymi rysami i dużymi wyrazistymi oczami mieszkańców rodzinnych stron, płaskie jak księżyc twarze wydawały się zdeformowane.

Miejscowi o skórze barwy dojrzewających kokosów kręcili się usłużnie w pobliżu. W twarzach mieli instynktowną szlachetność, ale nie byli panami na swojej ziemi. Nie wiedziałam, że biali wygrali z nimi wojnę prędko, finezyjnie, stosując przemoc w białych rękawiczkach.

Najpierw wysiedli Europejczycy. Podróżujący oddzielnie pierwszą klasą, z pewnością odżywiali się nader obficie, bo nienaturalnie się rozrosli. Wysocy, dumni, wykwintnie ubrani, kroczyli ze słońcem we włosach niczym bogowie. Jakby należała im się od świata ostryga. Moją uwagę przykuły ich beżowe, niedostępne usta. Mężczyźni niezwykle nadskakiwali ściśniętym gorsetami kobietom, które zadzierając nosa, osłaniały się żałośnie nieprzydatnymi falbaniastymi parasoleczkami i, proste, jakby połknęły kij, wsiadały do pięknych samochodów i wymyślnych

powozów. W ostatniej chwili mignęły mi ich fascynująco białe nadgarstki i trzepoczące koronkowe chusteczki.

Silni mężczyźni o ogorzałych twarzach i w białych przepaskach na biodrach oferowali pomoc pasażerom. Duże żelazne kufry ładowano na kryte ryksze, a żyłaści, bosonodzy rykszarze w trój graniastych czapkach, prężąc mięśnie tak, że niemal wyskakiwały ze skóry, wieźli ludzi i ich rzeczy do miasta.

Ktoś dotknął mojego ramienia. Podniosłam głowę i zobaczyłam szerokie ciemne oblicze męża. Widocznie moja twarz jaśniała młodością i zapałem, bo jego małe oczy patrzyły na mnie niemal z ojcowską życzliwością.

- Chodź, Bilal czeka! - wykrzyknął wśród zgiełku.

Poszłam za nim. Bez trudu poniósł moje manatki. Zatrzymał się przed dużym czarnym samochodem zaparkowanym w cieniu drzewa. Bilal, kierowca, był Malajczykiem. Nie mówił po tamilsku, a nie usłyszawszy ode mnie ani jednego malajskiego słowa, przyjrzał mi się uważnie, pokiwał głową i obdarzył młodziutką żonę pana żółtym uśmiechem. Wsiadłam do auta z obiciami z jasnej skóry. Pierwszy raz w życiu siedziałam w samochodzie. Oto początek nowego dostatniego życia, pomyślałam, nie posiadając się z radości. Poglaskałam rozgrzaną skórę. Dotknęłam gumowych mat pod stopami i zaczęłam bawić się ślicznym guziczkiem, który zamykał i otwierał drzwi. Czekala mnie bardzo długa podróż, lecz na myśl mi nie przyszło, że będę znosić niewygodę, spoczywałam bowiem w gładko wyściełanym fotelu podniecenia.

Ulice nie były brukowane złotem, za to pokryte kurzem. W piekącym słońcu drzemały magazyny o podwiniętych orientalnych dachach i z grubymi chińskimi znakami nad wejściem.

Po obu stronach ulicy ciągnęły się rzędy wąskich sklepików zapchanych cudowną obfitością rozmaitych towarów. W wystawionych na chodniki koszach kusily świeże produkty, a na specjalnie zbudowanych drewnianych stopniach stały gąsiorzy z artykułami sypkimi.

W jednym długim, wielobarwnym rzędzie, rozsiewając różne dźwięki i zapachy, mieścili się krawcy, szewcy, piekarze, złotnicy i sklep spożywczy. W kawiarniach odpoczywali starzy żyłaści mężczyźni o cerze jak garbowana skóra, z papierosami w pociemniałych palcach. Za rogami uliczek znikaly kudłate psy o wilgotnych nosach i oczach padlinożerców. W prowizorycznym przydrożnym kramie wisiały na złamanych szyjach ubite kaczki, a na ziemi, w drewnianej skrzyni jazgotało stadko żywych. Z pieńka sterczał wielki błyszczący nóż rzeźnicki. Mężczyźni, granatowo czarni od słońca, zamiatali długimi miotłami rynsztoki.

Przy światłach w środku miasta przycupnęły w cieniu drzewa dwie starsze kobiety. Plotkowały, aż trzęsła im się obwisła skóra na twarzy. Po drugiej stronie ulicy z samochodu wysiadła istota tak wspaniała, że nie potrafiłabym sobie jej wyobrazić. Delikatnej budowy i o

jasnej, niemal białej cerze. Ubrana w czerwony chiński strój, czarne włosy miała upięte kosztownymi grzebieniami i przystrojone sznurami koralu. Jej duże migdałowe oczy były skośne i nieśmiałe, a drobne usteczka wyglądały jak pączek róży. Pomalowane na czerwono, połyskiwały w słońcu. Wyglądała jak lalka i wydawała się ideałem do chwili, gdy zrobiła mały chwiejny kroczek.

Przez moment myślałam, że ta zaskakująco urodziwa postać w bogatym stroju osunie się do szerokiego rynsztoka odprowadzającego monsunowe opady. Jeden z jej opiekunów błyskawicznie podał rękę, by ją podtrzymać. Trzepnęła wachlarzem pomocną dłoń, odsuwając się dumnie. Dopiero teraz spostrzegłam, że jej stopy są nie większe od mojej zaciśniętej pięści. A mam małe dłonie. Zamrugalam i patrzyłam z niedowierzaniem na jej zniekształcone nogi w czarnych jedwabnych pantoflach przeznaczonych dla bardzo małego dziecka.

- Krępowano jej stopy od małego - powiedział mój mąż w potwornie rozgrzanym wnętrzu samochodu. Obróciłam się gwałtownie.

- Dlaczego?

- Żeby nie urosły duże i niezgrabne jak twoje - zażartował.

- Co? - krzyknęłam z niedowierzaniem.

- W Chinach mają zwyczaj krępowania dziewczynkom stóp. Chińczycy uważają takie stopy za piękne i godne po żądania. Tylko biedni chłopcy, którym potrzebna jest każda para rąk na polu ryżowym, nie krępują córkom nóg. W najlepszych rodzinach już dwuletnie albo trzyletnie dziewczynki mają tak ciasno obwiązane stopy, że rosnące kości wykrzywiają się w bolesny łuk. Do końca życia płacą cenę za tę oznakę kobiecości, znosząc nieopisany ból. Krępowania stóp nie można nigdy przerwać, ponieważ doprowadziłoby to do jeszcze większej deformacji, uniemożliwiającej nawet stawianie tych dziwnych kołyszących się kroczków.

Pożegnałam się na zawsze z moją niewinną wsią.

Z miejsca uznałam Chińczyków za barbarzyńską rasę. Trzeba mieć wyjątkowo okrutne serce, żeby własnej, wyjącej z bólu córce krępować stopy i całymi latami patrzeć, jak kuśtyka i cierpi. Jakież to degenerat pierwszy zagustował w zdeformowanej stopie? Z przyjemnością spojrzalam na własne mocne stopy w brązowych pantoflach. Tym stopom, które biegały przez lasy i pływały w zimnej wodzie, nigdy nie przyszłoby na myśl, że gdzieś na świecie są małe dziewczynki, które siedzą bezradne i obolałe cały dzień, a w nocy cicho płaczą.

Niebawem nasz samochód wyjechał z ruchliwego miasta. Brzegiem drogi jakiś wieśniak w ubłoconym ubraniu prowadził za nos bawołu. Płaska równina była usiana małymi chatami. Mój mąż rozsiadł się wygodnie na twardym siedzeniu i zamknął małe oczy, żeby się zdrzemnąć. W ostrym południowym słońcu droga niczym srebrzystoszary wąż wiła się przez ryżowe pola, plantacje przypraw, a potem przez pomarańczową glebę dziewiczych lasów. Po obu stronach wyrastały ściany splątanej, ciemnozielonej roślinności. Ogromne paprocie wystawiały

liście do żółtego światła, a grube pnącza zwisały nieporządnie z gałęzi drzew, usiłując dosięgnąć - tak jak dzieci urodzinowego tortu - przesianych plamek słońca. Tu i ówdzie wyzierała - niczym stara zmartwiona twarz - chropowata kora. Między płaskimi liśćmi rozpościerała się cisza i spokój.

Miła za miłą. Na drodze pojawiały się i znikwały miraże wodne. W strasznym upale lasy roztropnie drzemały, aleja nie mogłam zmrużyć oka, by nie przegapić czegoś ważnego.

Dwie godziny nieprzerwanego czuwania opłaciły się. W oddali zobaczyłam najpierw jedną postać na rowerze, potem drugą, a wreszcie sznur rowerzystek. Wszystkie były ubrane na czarno.

Wyglądały przerażająco, nie widziałam ani jednej twarzy, bo kryły się w cieniu czarnej tkaniny zarzuconej na głowę. Tkaninę przytrzymywały czerwone chustki za wiązane pod brodą. Na chustkach miały nasadzone olbrzymie słomiane kapelusze. Długie czarne rękawy zakrywały dłonie. Nie było widać najmniejszego skrawka ciała. Zbliżały się nie spieszenie.

Potrząsnęłam Ają, budząc go.

- Co? Co się stało? - wymamrotał, wyrwany raptownie ze snu.

- Patrz! - zawołałam ze strachem, wskazując mu nadciągającego groźnego, czarnego węża.

Spojrzał we wskazanym kierunku.

- Ach, one. - Westchnął z ulgą i opadł senny na oparcie. - To płukarki dulang.

Pracują w kopalniach cyny. Przesiewają na wielkich sitach wydobytą rudę. Pod tymi czarnymi zawojami kryją się przepiękne Chinki. Zdziwiłabyś się, gdybyś je zobaczyła wieczorem w opiętych jedwabnych sukniach.

Sznur rowerzystek przejechał obok nas. Cichy. Nieszkodliwy. Byłam zaintrygowana. Te kobiety owijały się jak mumie w egipskiej piramidzie, żeby zachować cerę białą jak puder ryżowy.

Jechaliśmy, podskakując na wybojach, drogami przeznaczonymi dla wozów, mijaliśmy miasteczka i leniwe wioski. Raz Bilal zwolnił, bo przez drogę przebiegły dwie małe dzikie świny, pochrzając z zaciekawieniem. Brązowe nagie dzieci podbiegały na skraj drogi, żeby na nas popatrzeć, i machały z zapalem. Od razu je pokochałam, bo było mi niewygodnie - pociłam się zawinięta w sześć jardów materiału przypiętego do ciasno zawiązanej białej halki. Siedząca we mnie bosonoga dziewczynka chciała się do nich wyrwać. Do tej pory najlepiej pamiętam właśnie te dzieci o aksamitnych oczach. Wczesnym popołudniem minęliśmy chińską świątynię z granitowymi filarami, o ciemnoczerwonym wnętrzu i z kunsztownymi kamiennymi smokami nakrytym dachówką dachu.

Wreszcie dotarliśmy do Kuantanu, celu podróży. Bilal wjechał na dziurawą drogę wysypaną ostrymi białymi kamykami, a właściwie ślepą uliczkę, która okrążała kępę dziko

rosnących krzewów, bambusowy zagajnik i wielki okazały rambutan, służący pięciu domostwom. Najbliżej drogi znajdował się wspaniały dom z ogrodem, otoczony niskim ceglany murem. Pod cienistym drzewem angsana stał kamienny stół i krzesła. Dom był piękny i bardzo mi się podobał. Wyobraziłam sobie, że w chłodzie jego grubych murów krążą bezszelestnie służący. Spostrzegłam czerwone chińskie lampiony koło drzwi. Ciekawe, dlaczego tam wisiały?

Bilal zwolnił przy dużej czarnej bramie, ale kiedy szykowałam się, żeby wysiąść, wyskoczyły z ujadaniem dwa groźne owczarki niemieckie. A potem Bilal ostrożnie przejechał przez dużą dziurę i minął piękny dom. Z jednego z okien przyglądała się nam z wielkim zaciekawieniem mała brązowa twarzyczka. Obróciłam się do męża, lecz on, unikając mojego badawczego spojrzenia, wbił wzrok przed siebie. Odwróciłam się za gubiona. Podskakiwaliśmy na okropnej drodze. Zauważyłam, że pozostałe domy są drewniane i ubogie. Bilal stanął przed małym domkiem na niskich palach.

Mąż wysiadł z auta, a za nim ja - oszołomiona osóbką w wygniecionym sari i brązowych pantoflach. Z bagażnika wystawiono torby i Bilal, który wcale nie był zaufanym kierowcą mojego męża, pożegnał się i odjechał. A ja pogrzebałam w obszernych spodniach, wyjął pęk kluczy i uśmiechnął się, patrząc na moją zmaląłą twarz.

- Witaj w domu, moja droga, droga żono - powiedział miękko.

- Ale... ale...

Ale już zdążył odejść na idiotycznie długich nogach. Drewniane drzwi drewnianego domu otworzyły się i połknęły go w całości. Przez chwilę nawet nie drgnęłam, wpatrując się w mroczne wnętrze chaty. Zrobiłam krok i stanęłam. Oszukał no mamę. "Mój mąż nie jest bogaty, jest biedny" - ta myśl kamieniem legła mi na sercu. Pani wystrychnęła nas na dudka. Byłam sama w obcym kraju z człowiekiem, który okazał się nie tym, kim miał być. Nie znałam angielskiego ani miejscowego języka i nie miałam pieniędzy ani pojęcia, jak wrócić do domu. Krew pędziła mi w żyłach. Z stukającego się serca mogłam wydobyć wściekłość albo strach, lecz byłam taka zielona, taka niedoświadczona w grze, którą szykowało mi życie, że nie chciałam zrezygnować z wielkiej przygody. Postanowiłam wycisnąć ile się da z owej zabawy w chowanego. W tym drewnianym domu to ja mogłam być panią.

W środku było ciemno i chłodno. Dom spał. Cicho i smacznie. To się zaraz zmieni, pomyślałam. Płonąc pragnieniem czynu, otworzyłam wszystkie okna w małym pokoju dziennym. Do środka wpadło świeże powietrze i słabe, skośne promienie wieczornego słońca. Nagle przestało mieć znaczenie, że dom nie jest wielki ani że nie będę rozkazywać służącym. Tu należało zrobić coś z niczego, a to wydawało mi się o wiele bardziej ekscytujące.

Aja znikł w głębi domu. Zaciekawiona, zaczęłam się rozglądać. Przeszłam się po betonowej podłodze i rozejrzałam po drewnianych ścianach. W pokoju stały dwa rachityczne fotele

ze zmęczonymi starymi poduszkami, mały brzydki stolik pomocniczy, a w kącie zniszczony stary stół, wokół którego trzymały straż cztery drewniane krzesła z laminowanymi siedziskami. Weszłam do sypialni i zdumiałam się na widok ogromnego żelaznego, pomalowanego na srebrno łóżka z baldachimem. W życiu nie widziałam takiego spania. Jak dla króla. Zielonkawe zasłony były spłowiałe, ale wypchany bawełną materac, choć miejscami nierówny, wydał mi się boski. Do tej pory spałam tylko na plecionej macie. Stara, kunsztownie rzeźbiona szafka z bardzo ciemnego drewna, z lustrem na lewym skrzydle drzwi zaskrzypiała przy otwieraniu. W środku srebrzyły się pajęczyny. Znalazłam trochę ubrań męża i cztery sari jego pierwszej żony. Wyjęłam je - brzydkie i nieciekawe jak zgaszone kolory nieboszczki. Stojąc przed lustrem, udrapowałam luźno na sobie szare sari i pierwszy raz pomyślałam o tamtej kobiecie. Mieszkała kiedyś w tym domu i nosiła te ubrania. Dotknęłam chłodnego materiału i powąchałam go. Pachniał ziemią w porze suchej. Rozgrzana woń przypawiła mnie o dreszcz. Sari przypomniały mi o zmarłej i jej dzieciach, które tak łatwo zostawiłam. Odłożyłam je wszystkie do szafy i szybko ją zamknęłam.

W drugiej sypialni przycupnęły pod oknem dwa stare łóżka. Półkę przerobiono na modlitewny ołtarzyk z oprawnymi w ramki, kolorowymi obrazkami hinduskich bóstw. Zwieńczały je pęczki suchych kwiatów. W tym domu od dawna nie było kobiety. Odruchowo złożyłam dłonie jak do modlitwy, oddając bóstwom cześć. Koło drzwi leżały dwie pary dziecięcych pantofli.

Przed oczami stanęły mi dwie twarzyczki. "Nie mamy bućków" - wyszeptały smutno, patrząc żałośnie. Uciekłam stamtąd, zamykając drzwi.

Ku swojemu zdziwieniu stwierdziłam, że łazienka znajduje się w domu. U siebie na wsi musiałam wychodzić na podwórko. Usłyszałam, że mąż jest na werandzie. Obejrzałam gładkie szare ściany, odkręciłam mały kurek i do cementowego zbiornika w kącie popłynęła piękna czysta woda. Spodobało mi się - zbiornik wyglądał jak studnia i mogłam się w nim zanurzyć do pasa.

Przekręciłam staroświecki, okrągły, czarny kontakt i małą klitkę bez okna zalało żółte światło.

Byłam za chwycona moją nową łazienką. Ale dopiero gdy weszłam do kuchni, wydałam okrzyk radości. W kącie naprzeciwko stała najpiękniejsza ława, jaką widziałam w życiu. Z twardego drewna, z pięknymi rzeźbionymi nogami, duża jak łóżko. Obejrzałam ją dokładnie z prawdziwą przyjemnością, sunąc palcami po ciemnej, gładkiej, wysłużonej powierzchni. Nie zdawałam sobie wtedy sprawy, że ta ława mnie przeżyje i że pewnego dnia spoczną na niej zwłoki mojego męża.

Z okna w kuchni zobaczyłam cementowy plac, gdzie można było pracować i wykonywać inne przydomowe prace, w rodzaju mielenia zboża i przypraw, oraz przestronne zaniedbane podwórko, na którym rosły dwie palmy z dojrzałymi kokosami. Duży rów, odprowadzający deszczówkę po monsunach, oddzielał naszą posiadłość od pól porośniętych

perzem. Wąska ścieżka prowadziła do lasu, gdzie płynęły strumienie, a - kto wie - może były również wodospady.

Z energią czternastolatki zaczęłam sprzątać, czyścić, zmywać i wycierać. Dom stał się moją nową zabawką. Siedzący w fotelu na werandzie mąż zapalił długie cygaro, rozkoszując się nim. Do małego domku, w którym krzątałam się z takim zapalem, napłynął aromatyczny dym. Niebawem chatka na brała schludnego wyglądu, a ja ze znalezionych w kuchni składników zrobiłam curry z soczewicy i ugotowałam ryż.

Zostawiwszy bulgoczące cicho garnki, zamknęłam się w swojej nowej łazience, odkręciłam kurek i użyłam kąpieli w domowej studni. Zimna woda obmyła moje brudne ciało. Czysta i odświeżona, zdjęłam suche kwiaty z ołtarzyka. Na tyłach straszliwie zarośniętego podwórza znalazłam jaśmin. Narwałam naręcz kwiatów, przybrałam ołtarzyk i pomodliłam się o błogosławieństwo. Aja wszedł i podałam mu prosty posiłek. Jadł z apetytem, lecz powoli, bo wszystko robił po wolnie.

- Gdzie pracujesz?- spytałam.

- Jestem urzędnikiem.

Pokiwałam głową, chociaż słowo to nic mi nie mówiło. Do piero później miałam się dowiedzieć, jak poślednie oznacza stanowisko.

- Skąd masz to łóże i ławę?

- Pracowałem kiedyś dla Anglika, który dał mi je, ponieważ wracał do kraju.

Skinęłam wolno głową. A więc to nadzwyczajne łóżko i nadzwyczajna ława były przeznaczone dla ludzi, którzy chwyтали słońce we włosy.

Wieczorem, leżąc w obcym łóżku, zamknęłam oczy i wsłuchałam się w odgłosy nocy.

Szelest wiatru w bambusowej trzcinie, plotkowanie świerszczy w ciemnościach, drapanie się lemura na rambutanie i dźwięki fletu zaklinacza węży. Smętna melodia przypomniwała mi mamę.

Pomyślałam, że jest sama w swojej chatce. Postanowiłam, że jutro do niej napiszę. Opowiem o wszystkim, o damie ze zgniecionymi stopami i o ubranych na czarno pracownikach kopalni. Nie zapomnę o bosonogich dzieciach ani o kaczkach z przetrąconymi szyjami. Opowiem o wszystkim, może z wyjątkiem tego, że jej córka wyszła za mąż za biedaka. Że jej Lakszmi nie czeka wspaniałe życie, a dom, w którym kuchnia jest większa od jej całego domu, nie jest własnością jej zięcia. Nigdy nie opiszę cichego brzęku, z jakim podziwiany przez nią, błyszczący, złoty zegarek spadł do nadstawionej dłoni Bilala, który skinął głową i wrócił do swojego prawdziwego pana. Usłyszałam w ciemnościach szelest wykrochmalonej pościeli, poczułam na brzuchu ciężką rękę i westchnęłam cicho.

Moje sąsiedztwo tworzył krąg pięciu domów. Ten wspaniały, w którym zapragnęłam zamieszkać po przyjeździe, na leżał do żony bogatego Chińczyka, starego Sunga. Obok, w domu podobnym do mojego, mieszkał z rodziną kierowca ciężarówki, Malajczyk. Często był w drodze, ale jego żona, Mina, dobra i życzliwa sąsiadka, na drugi dzień po moim przyjeździe powitała mnie talerzem kokosowej galaretki. Miała szczerą, uśmiechniętą twarz, jaką można zobaczyć w każdym malajskim kampongu, zdumiewającą figurę z talią osy, a w sobie schludnie złożony wachlarz dobrych manier. Poruszała się miękko, jakby gracia była długim kostiumem o pięknym kroju.

Żadnych ostrych kantów. Wszystko wydawało się w niej wyrafinowane - głos, obejście, ruchy, chód, mowa i cera. Kiedy wyszła ode mnie, zza wyblakłych kotar przyglądałam się, jak powoli kołysze biodrami, aż jej piękna postać znikła za zasłoną z koralików w progu domu. Nie mogłam uwierzyć, że urodziła czworo dzieci. Dopiero znacz nie później, po jej piątej ciąży, dowiedziałam się, jakim koszmarem jest tradycyjny malajski połóg. Przez czterdzieści dwa dni gorzkie ziółka, dymiący gorący piecyk pod łóżkiem, żeby wysuszyć nadmiar płynów i ściągnąć mięśnie pochwy, mocno zabandażowany brzuch i bezwzględne codzienne masaże, wykonywane przez silne nad wiek, pomarszczone staruszki. Ale trudy przynoszą nagrodę. Żywym świadectwem tego była Mina.

W następnym domu mieszkało tylu Chińczyków, że nie mogłam się ich doliczyć.

Przez ich chatę bez przerwy przewijała się chmara ludzi, aż dziwiłam się, gdzie oni wszyscy śpią. Czasem któraś z kobiet wybiegła na dróżkę za wrzeszczącym dzieckiem, a gdy je dopadła, ściągała mu spodenki i biła białe ciało do czerwoności. Potem, głośno przeklinając, zostawiała szlochającego żałośnie malca na drodze. Zdarzało się, że Chińczycy karali jedną ze starszych dziewczynek, zmuszając ją do biegania nago wokół domu. Miała dziewięć, może dziesięć lat.

Serdecznie jej współczułam, kiedy pędziła pod moim oknem - mizerna, z zaczerwienionymi oczami, pociągając nosem. Chińczycy byli nieokrzesani i bezwstydni, ale nienawidziłam ich z całego serca przede wszystkim za to, że codziennie, o zmierzchu, jedna z dwóch żon Chińczyka - robiły to na zmianę - użyźniała ogródek warzywny ludzkimi odchodami. Ilekroć dolatywał do nas z wiatrem obrzydliwy fetor, ogarniało mnie obrzydzenie, odechciewało mi się jeść i zbierało na wymioty.

Na prawo od nas mieszkał stary samotnik. Czasem w oknie migąła jego blada, smutna twarz. Dalej mieszkał zaklinacz węży, drobny, żyłasty mężczyzna o prostych, kruczoczarnych włosach, zakrzywionym nosie i surowej, pociągłej twarzy. Na początku bałam się tego człowieka, jego tańczących kobr i jadowitych węży, z których przygotowywał lekarstwo na sprzedaż, i martwiłam się, że jego zbiegłe gady czają się pod moim łóżkiem. Miał chudą, drobną żonę i siedmioro dzieci. Pewnego dnia na targu natrafiłam na duży krąg gapiów. Manewrując

zakupami, precisięłam się przez tłum. Siedzący w środku kręgu zaklinacz węży właśnie zamykał pokrywę koszy, jakby kończył pokaz, ale on dał znak siedmio-, najwyżej ośmioletniemu synowi. Kędzierzawa czupryna opadała chłopcu na jasne, roześmiane oczy. W brudnej białej koszuli i spodenkach khaki wyglądał jak ulicznik. W rękę trzymał butelkę po piwie. Bez ostrzeżenia rozbił ją o ziemię, podniósł kawałek szkła, włożył go do ust i zaczął gryźć. Tłum jęknął i ucichł.

Z ust chłopca popłynęła krew. Ciekła mu po brodzie i wsiąkała w brudny biały kołnierzyk.

Przód koszuli zabarwił się na czerwono. Mały podniósł z brudnej ziemi drugi kawałek szkła i wepchnął go do ust. Patrzyłam przerażona i nie mogłam ruszyć się z miejsca. Chłopak otworzył szeroko usta, pokazując ich pełne krwi wnętrze, a potem wyciągnął z kieszeni czerwony woreczek i, wciąż gryząc szkło, zaczął zbierać pieniądze. Przepychając się gorączkowo, uciekłam stamtąd.

Jego wyczyn nie mieścił mi się w głowie. Poruszona i zdenerwowana, poczułam się chora. Od tej pory trzymałam się z dala od rodziny zaklinacza węży. Byłam przekonana, że ta dziwna rodzina oddaje się podejrzanym zajęciom i praktykuje czarną magię. Że w ich zaciemnionym domu czai się coś, czego nie da się opisać słowami, coś, od czego cierpnie skóra.

Siedziałam na werandzie i patrzyłam, jak syn zaklinacza węży biegnie do domu kierowcy ciężarówki, a wiatr rozwiewa jego kędzierzawą czuprynę. Wciąż miałam go przed oczami, gdy stał pośród kręgu gapiów, z potłuczonym szkłem i krwią w ustach. Spozregł, że na niego patrzę, i pomachał mi ręką. Pomachałam mu w odpowiedzi. W powietrzu zakwitły zapachy z kuchni sąsiadów. Wdychając słodki aromat wieprzowiny skwierczącej w gorącym smalcu, zatęskniłam za czymś innym niż warzywa z ryżem. Szafki świeciły pustkami i od dwóch tygodni żyliśmy dzięki moim zdolnościom zamieniania cebuli w posiłek. Ale dziś był dzień wypłaty. Dzień, którego wyglądałam z nadzieją. Siedziałam na werandzie i niecierpliwie czekałam, aż mąż wróci z pracy i pierwszy raz poczuję w ręku pieniądze na prowadzenie domu. Podobnie jak matka zamierzałam mądrze zaplanować wydatki, żeby starczyło na wszystko, lecz najpierw chciałam dla odmiany przyrzadzić nam coś dobrego do jedzenia. Zobaczyłam Aję na naszej drodze - duży i niezdarny na rozklekotanym rowerze, manewrował między kamieniami. Wstałam szybko.

Niespiesznie odstawił rower, uśmiechając się do mnie. Od powiedziałałam niespokojnym uśmiechem. W rękę trzymałam list do niego, który przyszedł z Cejlou. Podałam mu jasnoniebieską kopertę, a on wyjął z kieszeni drugą- cienką, brązową. Wymieniliśmy się nimi, minął mnie i wszedł do domu. Patrzyłam, zdumiona, na brązowy pakiecik w moich młodych dłoniach. Aja dał mi wszystko, co zarobił. Rozdarłam kopertę i policzyłam pieniądze. Dwieście dwadzieścia ringgitów. Dużo. Od razu zaczęłam planować. Poślę trochę pieniędzy matce, a okrągłą sumkę ukryję między klejnotami w blaszanym pudełku po importowanych czekoladkach. Zacznę

bardzo oszczędzać i niedługo będziemy bogaci jak stary Sung. Czeka nas różowa przyszłość. Gdy tak stałam, ściskając w rękach pieniądze i cudowne marzenia, na naszej gruntowej drodze pojawił się mężczyzna w żakiecie a la Nehru, białej weszty, skórzanych pantoflach i z dużym czarnym parasolem w ręce. W drugiej niośł skórzaną teczkę. Szedł prosto w moją stronę, szeroko się uśmiechając. Po chwili przysadzisty jegomość z wystającym brzuchem stanął przede mną. Jego wzrok spoczął na pieniądzach, które ściskałam w rękach. Kiedy je opuściłam, podążył za nimi chciwym spojrzeniem. Zaczekałam, aż spojrzy mi w oczy. Na okrągłej twarzy mężczyzny malowała się fałszywa radość. Nie spodobał mi się od pierwszej chwili.

- Witam nową panią domu - rzekł wesoło.

- A pan kto? - spytałam ponuro, niewybaczalnie nie grzecznie.

Nie obraził się.

- Jestem lichwiarzem - wyjaśnił z uśmiechem, odsłaniając zęby brunatne od betelu.

Wyjął z kieszeni notesik, polizał tłusty palec i zaczął przewracać brudne kartki. - Jeżeli da mi pani dwadzieścia ringgitów i podpisze się pod dzisiejszą datą, nie będę się dłużej narzucał i pójdę wesoło swoją drogą.

Wyrwałam mu notes z pulchnych rąk. Ku swemu zdumieniu zobaczyłam nazwisko mojego męża w lewym górnym rogu i rząd jego podpisów przy różnych kwotach. W zeszłym miesiącu nic nie zapłacił, ponieważ szukał na Cejlonie nowej żony. Lichwiarz z błyskiem w oku przypomniał o zaległych spłatach i procencie. Oszołomiona, oddałam mu dwadzieścia ringgitów za tamten miesiąc, zaległą spłatę i procent, których zażądał.

- Życzę pani miłego dnia, do zobaczenia w przyszłym miesiącu - rzekł radośnie i odwrócił się.

- Chwileczkę! - zawołałam. - Ile długu zostało?

- Jeszcze tylko sto ringgitów - odparł śpiewnie.

Sto ringgitów, powtórzyłam, poruszając bezgłośnie ustami, a kiedy podniosłam głowę, zobaczyłam następnych dwóch mężczyzn zmierzających w stronę naszego domu. Mijając lichwiarza, skinęli mu głową.

- Witamy nową panią domu - powiedzieli chórem.

Zadrzałam. "Goście" przychodzili przez cały dzień, jeszcze długo po zapadnięciu zmroku. W pewnej chwili ustawiła się nawet kolejka pod drzwiami. Na koniec zostało mi w ręku pięćdziesiąt ringgitów. Pięćdziesiąt ringgitów miało mi wystarczyć na cały miesiąc. Stałam w milczeniu pośrodku obskurnego pokoju, zakłopotana i zła.

- Mam tylko pięćdziesiąt ringgitów na cały miesiąc - spokojnie oznajmiłam mężowi, który kończył właśnie jeść ryż z ziemniakami.

Patrzył na mnie tępo przez dłuższą chwilę. Przyszło mi na myśl duże zwierzę, powolne i ociężałe, które stoi jak głupie i znosi cierpliwie nieustające ataki much, oganiając się od nich brudnym ogonem.

- Nie martw się - pocieszył mnie wreszcie.- Kiedy będziesz potrzebowała pieniędzy, powiedz, to pożyczę. Mają do mnie zaufanie.

Spojrzałam na niego z niedowierzaniem. Cóż więcej mogłam zrobić? Odpowiedział tępym wzrokiem przeżuwanego byka. Nagły powiew przyniósł do naszej kuchni smród ludzkich odchodów. Zawartość mojego żołądka wywinęła koziołka, w głowie zaczęło mi łomotać. Głośne, nieprzerwane łomotanie miało mi towarzyszyć - z krótkimi przerwami - przez resztę życia. Bez słowa odwróciłam wzrok od tępych czarnych oczu powolnego zwierzęcia.

Tego wieczoru, przy świetle naftowej lampy, siedząc po turecku na mojej pięknej ławie, zrobiłam listę wierzycieli. Nie mogłam spać przez to, że snułam tyle planów. Wreszcie, gdy nocne złe duchy odleciały w drugą stronę świata, położyłam się na brzuchu i patrzyłam przez otwarte okno na czerwony brzask rozjaśniający niebo na wschodzie. Łomotanie pod czaszką nieco przycichło. Miałam w głowie ułożony plan. Za parzyłam mocną czarną herbatę i siedząc na stole, popijałam ją powoli, tak jak robiła to pod koniec długiego dnia moja matka, a przedtem matka mojej matki. Zanim ptaki rozpoczęły dzień, wykapałam się w lodowatej wodzie, umyłam włosy w mleku kokosowym i ubrana w czyste bawełniane sari przeszłam milę do przybytku Ganeśi, tuż za sklepem spożywczym Apu. W małej świątyni przy polnej drodze pomodliłam się gorąco. Modliłam się tak żarliwie, że spod przymkniętych powiek po ciekły mi łzy. Błagałam Ganeśę, żeby mój plan się powiódł i moje nowe życie było szczęśliwe. Potem włożyłam dziesięć senów do puszki na datki przy bogu z głową słonia, który był zawsze łaskawy i łagodnego serca, i, wcierając w czoło święty popiół, ruszyłam z powrotem.

Gdy dotarłam do domu, Aja właśnie się budził. Dom wypełniało trzeszczenie radia. Zrobiłam mężowi kaszkę i kawę, usiadłam i przyglądałam się, jak je. Czułam się silna, pragnęłam chronić go, nasz dom i nasze wspólne życie. Kiedy wyszedł do pracy, usiadłam i napisałam list, bardzo ważny. Potem ubrałam się i poszłam do miasta. Nadałam na pocztę list do wujka, handlarza owocami mango. Mieszkał z żoną w Serembanie, w innym stanie Malajów. Miałam dla niego propozycję. Chciałam pożyczyć kwotę równą długowi zaciągniętemu przez męża i jeszcze trochę, żebyśmy mieli za co przeżyć do następnej wypłaty. W zamian obiecywałam mu procent, a jako zastaw moją szkatułkę z klejnotami. Wiedziałam, że klejnoty są warte znacznie więcej niż kwota, o którą prosiłam. Matka dała mi rubinowy wisiorek wielkości niemal mojego małego palca u nogi i już ten jeden piękny kamień z zamkniętym w środku dziwnym gorącym światłem był wart dużo pieniędzy. W słońcu ożywał i zionął czerwonym ogniem. Po wysłaniu listu poszłam na targ. W

tamtych czasach targ wydawał mi się fascynującym miejscem, pełnym wspaniałych rzeczy, których nigdy przedtem nie widziałam.

Stawałam przed stertami czarnych solonych jaj, z których jedno lub dwa na samej górze rozbito dla pokazania krwistego żółtka. Chińczycy w drewnianych chodakach siedzieli w kucki i sprzedawali lekkie jak chmurka gniazdzka ulepione z ptasiej śliny. W drucianych klatkach biegały olbrzymie jaszczurki, rzucając się nerwowo na boki na widok sunących splotów węży w klatkach obok. W drucianych koszykach leżały miękkie żółte jaja, które sprzedawały Malajki o złotych zębach, a plecione kosze wypełniał świeży towar.

W kącie targu sędziwa, kuśtykająca z trudem Chinka handlowała dziwnie poskręcany brązowymi strzykwami w kształcie ogórka, stwardniałymi czarnymi wodorostami i całym mnóstwem nieznanym mi stworzeń pływających w napęcznionych wodą drewnianych wiadrach.

Żujący betel traperzy czekali cierpliwie za stertami najrozmaitszych dzikich korzeni, drgających zwierzątek i pęczków liści używanych jako leki. Niektórzy trzymali za ogony po kilka węży, które wiły się i wyciągały przed nimi na chodniku. Ludzie kupowali te kolorowe cienkie węże w celach leczniczych. Obok wypełnionych żółtymi kluskami kadzi wisiały rzędy pieczonych kaczek, przywiązanych za tłuste szyje i ociekających tłuszczem. Ale najbardziej zaskakiwał widok żab, białych, wybebeszonych i porozkładanych na kawałkach drewna. Tego dnia jednak nie zabawiłam tam długo. Miałam do wypełnienia za danie.

Szybko kupiłam kawałeczek mięsa, trochę warzyw, tamaryndę oraz za pięć senów duży kapelusz o szerokim rondzie, taki, jakie noszą płukarki dulang, a potem, na nabrzeżu, garść krewetek. Mama przyrządzała krewetki według specjalnego przepisu, więc wiedziałam, jak się to robi. Z pochyloną głową, rozmyślając o wspaniałej, usłanej różami przyszłości, ruszyłam w drogę powrotną. Długi cień, padający przede mną, też śpieszył do domu. Tak mnie zaprzętało wykonanie starannie ułożonego planu, że aż podskoczyłam, kiedy do mojego cienia dołączył drugi cień.

Rozejrzałam się i zobaczyłam uśmiechniętą nieśmiało buzię, tę samą, która wcześniej patrzyła na mnie ciekawie przez otwarte okno domu starego Sunga. Przy policzkach dziewczynki zwisały dwa długie czarne warkoczyki z dziecięcymi różowymi kokardami. Przecież ona jest w moim wieku, pomyślałam. W okrągłej twarzy błyszczały czarne oczy.

Mui Tsai (mała siostra), jak się później dowiedziałam, była nieszczęsną domową niewolnicą. Uśmiechnęłam się zachęcająco, wyczuwając w niej bratnią duszę. Tak zaczęła się nasza przyjaźń. Przyjaźń, niestety, stracona. Gdybym wtedy wiedziała to, co wiem teraz, bardziej bym ją ceniła.

Mui Tsai była moją jedyną prawdziwą przyjaciółką. Próbowала porozumieć się ze mną po malajsku, ale ten język wciąż brzmiał mi w uszach jako niezrozumiała mieszanka dźwięków, więc

po przestałyśmy na skomplikowanych gestach rąk. Postanowiłam poprosić Aję, żeby nauczył mnie malajskiego. Rozstałyśmy się pod bramą jej domu. Zobaczyłam, jak wbiega do środka z koszykiem pełnym zakupów.

Ledwie wróciłam do domu, zaczęłam buszować w kuchni, wreszcie znalazłam długi, stary, zardzewiały nóż. W przeszłości zapewne używano go do rozłupywania kokosów. Włożyłam grubą spódnicę, którą nosi się pod sari, i postrzępioną koszulę męża, której rękawy zakryły mi dłonie.

Z satysfakcją popatrzyłam na zwisający materiał. Potem zarzuciłam na głowę i zawiązałam pod brodą męską chustkę, a na wierzch nasadziłam nowy kapelusz z dużym rondem. Zadowolona, że jestem całkowicie osłonięta przed okrutnym słońcem, otworzyłam zielone tylne drzwi i przystąpiłam do plewienia ogrodu. Za domem pieniały się chwasty, wysokie trawy i wredne kolczaste krzewy, które kaleczyły mi ręce do krwi. Co krok rosły kępy parzących roślin, ale postanowiłam dopiąć swego. Nie przerwałam pracy, dopóki nie oczyściłam całego poletka, a potem przeorałam i wzruszyłam twardą ziemię dużym za krzywionym nożem. Potwornie bolały mnie plecy, mięśnie w niewinnych miejscach rwały z bólu, a mimo to odczuwałam radość, prawdziwą radość z dobrze wykonanej roboty.

Kiedy wreszcie wróciłam do domu, po całym ciele ściekały mi strużki potu. Wzięłam zimny prysznic, wtarłam w opuchnięte ręce olej sezamowy i zabrałam się do gotowania. Nastawiłam w ciężkim garnku mocno przyprawione mięso, żeby przez kilka godzin dusiło się pod przykrywką.

Podczas gdy mięso pyркаło na wolnym ogniu, oczyściłam i utłukłam krewetki. Potem starłam świeży kokos i sporządziłam specjalny sambal mojej matki, z chili i cebulą. Następnie w niewielkiej ilości wody z dodatkiem soli i kurkumy ugotowałam bakłazan, a kiedy zmiękł, utłukłam go, dodałam mleka kokosowego i doprowadziłam do wrzenia. Pokrajane na plastry ziemniaki podsmażyłam z odrobiną curry, a posiekane cebule i pomidory zmieszałam ze świeżym jogurtem.

Gdy królewski obiad był prawie gotowy, zabrałam się do sprzątania. Wdychając z zadowoleniem rozkoszny aromat duszonego mięsa, znalazłam w puszcze na tytoń podarty list. Patrzyłam jak głupia na kawałki papieru zapisane zgrabnym odręcznym pismem. Wiem, że nie powinnam była tego robić, ale nie mogłam się powstrzymać. Zgarnęłam skrawki, rozłożyłam na łóżku fragmenty niebieskich zawijasów i przeczytałam list, który mój mąż otrzymał dzień wcześniej.

"Drogi Aja, we wsi jeszcze nigdy nie było takiej biedy. Straciłam nadzieję, że kiedykolwiek stąd wyjadę i będzie mi się powodziło tak dobrze jak tobie. To tu, na tej zubożałej ziemi, na krótką chwilę rozświecili niebo pogrzebowy stos dla moich starych kości. Ostatnie

tygodnie przyniosły mi jednak wiele radości, gdyż pokochałam twoje dzieci jak własne. Teraz przynajmniej wiem, że nie umrę samotnie.

Mam nadzieję, że nie zapomniałeś o swoich obowiązkach w młodych ramionach nowego szczęścia. Dzieci szybko rosną i potrzebują nowych ubrań, butów i dobrego jedzenia. Jak wiesz, jestem samotna, nie mam oparcia w mężu, a muszę na karmić dwie głodne gęby. Spodziewam się, że szybko przyślesz mi trochę pieniędzy, bo moja sytuacja staje się coraz trudniejsza..."

Przestałam czytać. Reszta listu od cioci Pani rozplynęła mi się przed oczami. Nogi się pode mną ugięły, usiadłam ciężko na łóżku. Zrozumiałam, dlaczego przyszła po mnie tamtego dnia, dlaczego przyglądała mi się z chytrym namysłem i dla czego na jej widok poczułam instynktowną odrazę. Chciała zatrzymać dzieci i zapewnić sobie w ten sposób dochód na wiele lat. Przyszła do domu biednej kobiety, szukając ustępliwej młodej żony. Takiej, którą mogłaby manipulować.

Bezczelna! Znienawidziłam ją. I ten jej nieznośny roszczeniowy ton. Czyżby wyobrażała sobie, że głowa mojego męża posłuży jej za podnózek? Krew się we mnie zagotowała ze złości. Od dnia zamążpójścia prawie nie jadłam porządnego posiłku, a przez najbliższe osiem miesięcy, jeśli mój plan miał się powieść, musiałam ostro oszczędzać, żeby przeżyć. Jak mogłam wysyłać komuś pieniądze? Czy nie dostałaby dobrej nauczki, gdybyśmy ich nie wysłali? Zaraz jednak wyobraziłam sobie dwoje małych dzieciaków o pustym, pozbawionym nadziei spojrzeniu i wychudzonych, ciemnych twarzyczkach. Ich niewinność i głupota rzucały się w oczy. Nawet ich zębom tak znudziło się przebywanie w pustych głowach, że wystawały dwoma nierównymi żółtymi rzędami i gapiły się na szeroki świat. Nie miałam wątpliwości - moi pasierbowie są niewolnikami tej przebiegłej kobiety. Ale - choć fatalnie to o mnie świadczy - wcale nie chciałam, żeby ze mną zamieszkali.

Zamknęłam oczy z uczuciem całkowitej klęski i z pierwszym błyskiem prawdziwego gniewu, że ta kobieta tak popisowo mnie nabrała i wystawiła do wiatru. Gdyby nie jej zręczne kłamstwa, nadal mieszkałabym z ukochaną matką.

Musieliśmy posłać pieniądze. Nie mieliśmy wyboru.

A potem wkroczyło piękno młodości. Jak za dotknięciem wiosny uschłe gałęzie wypuszczają nowe liście, tak młodość zdecydowała uwzględnić w moich planach stałą zapomogę dla pasierbów. Cierpiałam razem z matką, ponieważ mój ojciec nie przysyłał nam pieniędzy.

Postanowiłam sprawić się lepiej od niego. Nie będziemy jeść mięsa dopóty, dopóki nie uregulujemy wszystkich rachunków. Jakoś się wyżyjemy, wystarczą warzywa z ogródka za domem i jajka znoszone przez nasze kury. Kiedy wracałam do kuchni, żeby zamieszać mięso, mój chód znowu nabrał sprężystości.

Tego wieczoru mąż przyszedł z pieniędzmi, które pożyczył od lichwiarza, by je przesłać dzieciom, z owiniętym w gazetę prezentem dla mnie i kawałkiem drewna, w którym, jak powiedział, zamierza rzeźbić. Położył prezent obok mnie na ławie i czekał, aż go rozpakuję.

Popatrzyłam na jego wyczekującą twarz, a potem na niechciany prezent. Miałam ochotę krzyknąć z bezsilnej złości. Przecież przy takich wydatkach nigdy nie wydostaniemy się z wężowego dołu długów. Jak mu wytłumaczyć, że wolałabym przez miesiąc głodować, niż znosić pożyczkodawców gromadzących się przed naszym domem w dniu wypłaty? Wzięłam głęboki wdech, ugryzłam się w język i rozwiązałam sznurek. Gazeta rozdarła się i cała niechęć pierzchnęła niewypowiedziana. Pakunek zawierał przepiękne złote pantofelki na wysokich obcasach, ozdobione kolorowymi koralikami. Z szacunkiem postawiłam je na szarej betonowej podłodze. W życiu nie miałam nic równie ślicznego. Za chwycona, wsunęłam stopy pomiędzy cienkie złote sznurki. Pantofle pasowały jak ulał. Po prostu się w nich zakochałam, musiałam tylko przyzwycząić się do obcasów.

- Dziękuję - szepnęłam, pochylając głowę z pokorną wdzięcznością.

Mój mąż był dobrym człowiekiem, lecz ja i tak zamierzałam postawić na swoim. Kiedy zjadł obfity posiłek, przedstawiłam mu swój plan. Wysłuchał mnie w milczeniu. Na koniec zaczerpnęłam tchu i, patrząc mu prosto w oczy, powiedziałam, że od tej chwili to ja będę płacić wszystkie rachunki. Dostanie kieszonkowe na gazetę i kawę w kantine, ale nie wolno mu brać więcej pożyczek i ma się zwracać do mnie z każdą sprawą mającą wpływ na stan naszych finansów.

Pokiwał głową i pogłaskał mnie dużą dłonią, choć w tępych oczach miał ból.

- Jak sobie życzysz, droga żono - rzekł zgodliwie.

- I jeszcze jedno. Nauczysz mnie malajskiego?

- Bolę - odparł i uśmiechnął się.

Znałam to słowo. Znaczyło "tak". Ja też się uśmiechnęłam.

- Terima kasi - podziękowałam po malajsku.

Pod koniec tygodnia mój ogródek warzywny był gotów. Człowiek mieszkający po drugiej stronie głównej drogi zbudował kojec, w którym zaroilo się od miękkich, żółtych kurcząt. Kiedy ocieniona wielkim kapeluszem spoglądałam z dumą na spłachetek świeżo uprawionej ziemi, przyjechał mój wuj, handlarz owocami mango, uginając się pod ciężarem ogromnego worka z owocami. Na widok jego znajomej brązowej twarzy popłynęły mi z oczu łzy radości. Otarłam je szybko i pobiegłam objąć korpulentnego krewniaka. Dopiero gdy go zobaczyłam, zrozumiałam, jaka jestem samotna.

Przywiózł pieniądze, o które prosiłam, i wyśmiał moją propozycję zastawu. Po jego odjeździe zjadłam szybko jeden po drugim sześć owoców mango, a potem, nie pojmując, dlaczego to robię, podeszłam do pieca, podniosłam kilka węgielków i zaczęłam je obgryzać.

Po tym poznałam, że jestem w ciąży.

Głodne miesiące czekały w moim ogrodzie, połykając kolejne tygodnie. Grządki obrodziły.

Głaskałam aksamitną skórkę świeżych strączków ketmii, dziwiłam się czerwieni chili "ptasiego oczka", ale najbardziej cieszyły mnie błyszczące fioletowe bakłażany. Hodowla kurczaków też się udała, jeszcze zanim mój brzuch się zaokrąglił. Byłam zadowolona i szczęśliwa. Długi zostały splacone i zaczęłam nawet trochę odkładać, chowając oszczędności do małej puszki, którą ukryłam w worku z ryżem.

W nocy, kiedy ciszy nie przerywał żaden ludzki głos, talerze były zmyte, światła pogaszone i wszyscy sąsiedzi pokładli się spać, leżałam z otwartymi oczami. Sen nie chciał spocząć na moich powiekach. Stał z założonymi rękami i spoglądał na mnie złośliwie z daleka. Spędzałam więc długie godziny, leżąc płasko na plecach, patrząc przez okno na rozgwieżdżone niebo, ucząc się malajskiego i snując niecierpliwe marzenia o nie narodzonym dziecku. Wyobrażałam sobie małego cherubinka, chłopczyka o wspaniałych loczkach. W moich marzeniach zawsze rozglądał się ciekawie dużymi błyszczącymi oczami, z których biła inteligencja, ale w moich złych snach wpatrywało się we mnie błagalnie wychudzone dziecko o małych, zgaszonych oczkach i napiętej błyszczącej skórze. Dziecko to błagało o odrobinę miłości. Budziłam się nagle z kosmatą pszczołą w sercu, z wyrzutami sumienia, że porzuciłam pasierbów. Czasem pszczoła unosiła włochate przednie odnóża i opukiwała jego ściany. A wtedy moje młode serce zamierało ze wstydu. Przed świtem kąpałam się i szłam do świątyni. Składałam tam ofiary i zносиłam gorące modły, aby moje dziecko w niczym nie przypominało mizeroty z dręczących mnie koszmarów.

Mąż okazywał mi tak przesadną troskę, że aż miałam ochotę krzyknąć.

Codziennie rano i wieczorem wypytywał mnie niespokojnie o samopoczucie i czekał na odpowiedź w takim napięciu, jakbym miała udzielić innej odpowiedzi niż: "Czuję się dobrze". Przez dziewięć miesięcy nie przyszło mu do głowy, żeby powstrzymać się od zatroskanych pytań i pełnego napięcia wyczekiwania na moją odpowiedź. Zabronił mi chodzić na targ i sam robił zakupy. Na początku wracał do domu ze starą rybą, szarym mięsem i gnijącymi warzywami, ale po kilku takich niewypałach, gdy dałam mu odczuć chłód mego nachmurzonego milczenia, zaprzyjaźnił się z miłym sprzedawcą, który się nad nim ulitował. Odtąd przynosił z targu ryby tak świeżutkie, że z krwią w srebrnych oczach, dojrzałe owoce i kawałki mięsa, które sama bym chętnie wybrała.

Pewnego dnia przyniósł do domu dziwny owoc – durian. Nigdy przedtem nie widziałam owocu porośniętego groźnie wyglądającymi długimi kolcami. Aja powiedział, że jeżeli durian spadnie komuś na głowę, to może go zabić. Uwierzyłam mu. Ostrożnie rozdzielił kolczastą

skórę - rzędy nasion zatopione były w złotym mięszu. Od razu zakochałam się w jego kremowym smaku.

Polubiłam nawet jego zadziwiający zapach, choć skłonił on pewnego angielskiego pisarza do porównania duriana ze słodkim budyniem malinowym jedzonym w ubikacji. Ja potrafię zjeść za jednym posiedzeniem kilka sztuk tych owoców.

W dziewiątym miesiącu ciąży było mi tak niewygodnie, że po cichu wygrzebywałam się z łóżka i kładłam na twardej chłodnej ławie w kuchni. Atramentowa czerń malajskiej nocy dosięgała mnie przez okno i pieściła ciężką wilgotną dłonią. Czasem przychodził mąż, patrzył niespokojnie w ciemnościach i pytał, jak się czuję. W te niedobre noce połykałam wzbierającą w gardle wstrętną irytację i przypominałam sobie, że jest dobrym człowiekiem.

Przynajmniej nie dręczyły mnie straszne smutki małej Mui Tsai. Też była w ciąży. Jej brzuch wypychał cienką bluzkę z wysokim kołnierzem, którą nosiła na znak, że jest "małą siostrą". Pod gładką białą wypukłością wiązała luźne czarne spodnie. W cieniach rzucanych przez lampę naftową jej opowieść doprowadziłaby do rozpacz samą Rozpacz. Wszystko zaczęło się w małej chińskiej wiosce, gdy jej matka zmarła nagle na dziwną gorączkę. Mui Tsai miała wtedy osiem lat. Niespełna miesiąc później zamieszkała z rodziną nowa, spowita w jedwabie matka. Zgodnie z chińską tradycją dobrych znaków na jej bladej okrągłej twarzy czerwieniły się małe usta. Chińczycy woleli narzeczone o małych ustach, ponieważ wierzyli, że kobiety o dużych ustach zapowiadają zły los.

Kobieta o dużych ustach połyka ducha swojego męża i sprowadza na niego wczesną śmierć.

Usteczka nowej żony wyglądały zachęcająco, ale ojciec Mui Tsai miękł jak żółta czekolada na widok jej krępowanych stóp. Stopy nowej żony były mniejsze od stóp ośmioletniej pasierbicy, ponieważ matka Mui Tsai miała za miękkie serce, by krępować je córce. Nowa żona siedziała bezradna w perfumowanym pokoju, nie mogąc podjąć zwykłych domowych obowiązków. Po każdym długim i ciężkim dniu Mui Tsai odwijiała bandażę i obmywała jej stopy w ciepłej wodzie zaprawionej aromatycznymi olejkami. Nawet po tylu latach wydłużony cień "małej siostry" drżał na ścianie mojej kuchni na wspomnienie nagich stóp macochy. Słusznie ukrywanych przed wzrokiem mężczyzn, a zwłaszcza męża, gdyż ich deformacja bez osłony ślicznych pantofelków stanowiła widok nie do zniesienia. Codziennie trzeba było wycinać z tych brzydkich tworów obumarłą skórę i wrośnięte paznokcie, a potem od nowa je bandażować, dodając płatki róż.

Przez trzy lata Mui Tsai dźwigała, sprzątała i gotowała dla swojej nowej matki. Gdy skończyła trzynaście lat, w oczach macochy w miejsce źle ukrywanej niechęci pojawiło się wyrachowanie. Siostra Mui Tsai miała już osiem lat i mogła przejąć jej obowiązki. Gdyby starsza dziewczynka pozostała w domu, należałoby pomyśleć o jej małżeństwie. Małżeństwo zaś to posag.

Pewnego ranka, kiedy ojciec Mui Tsai był w pracy, macocha kazała pasierbicy ubrać się jak najstaranniej i usiąść w po koju od frontu. Posłała umyślnego na targ i do domu przybył wędrowny handlarz. Sprzedano mu Mui Tsai. Stosowny, wiążący dokument sporządzono na cienkim czerwonym papierze. Z chwilą gdy macocha miękką białą dłonią podpisała umowę, Mui Tsai stała się wyłączną własnością handlarza. Macocha do końca życia pozbawiła ją własnej woli.

Handlarz o bezlitosnych oczach i długich żółtych paznokciach zapłacił za dziewczynkę, zabrał ją tylko z tym, co miała na grzbiecie, i zamknął w klatce. W ciemnym pomieszczeniu były jeszcze inne klatki z kulącymi się ze strachu dziećmi. Mui Tsai żyła tak tygodniami, a ponura służąca przez tę samą dziurę w klatce podawała jej miskę zjedzeniem i odbierała na czynie z odchodami. Wraz z dziewczętami z innych wiosek płakała i jęczała ze strachu i różnych dolegliwości. Ale żadna z nich nie mogła się porozumieć z pozostałymi, gdyż mówiły różnymi dialektami. Potem załadowano je do dżonki płynącej do Azji Południowo-Wschodniej. Starym statkiem mocno rzucało na Morzu Południowochińskim, wzburzonym przez silne wiatry monsunowe. Wiele dni nieszczęsne dzieci krzychały z przerażenia. Kwaśny odór choroby morskiej umacniał je w przekonaniu, że zginą na morzu i staną się żerem dla potomków tych wszystkich ryb o białym mięsie, które bez zastanowienia zjadły w ciągu życia. O dziwo, dzieci przeżyły. Ledwie trzymające się na nogach po ciężkiej przeprawie dziewczynki szybko sprzedano - ze sporym zyskiem - w Singapurze i na Malajach, gdzie miały służyć jako prostytutki i niewolnice.

Stary Sung, nowy pan Mui Tsai, zapłacił za nią okrągłe dwieście pięćdziesiąt ringgitów. Była prezentem dla jego świeżo poślubionej, trzeciej żony. W ten sposób mała Mui Tsai trafiła do wielkiego domu na początku naszego zaułka. Przez dwa lata wykonywała domowe prace, mieszkając w małej klitce od podwórza. Pan, który przez pierwsze dwa lata gładził tłustą dłonią białe uda żony i wsuwał do jej nadętych usteczek końcówki pałeczek ze smakowitymi kęsami, raptem zaczął uśmiechać się do dziewczynki, okazując jej niezdrowe zainteresowanie. A potem - mniej więcej wtedy, kiedy tutaj zamieszkałam - zaczął podczas posiłków wodzić za nią łakomym wzrokiem tak natrętnie, że ją przeraził, bo był ohydny.

Widywałam go czasem, idąc na targ. Siedział w chłodnym salonie pod wentylatorem, czytając chińską gazetę i pocąc się obficie w obszernej koszulce naciągniętej na sterczący brzuch.

Zwały tłuszczu przypominały mi o jego nienasyconej skłonności do psiego mięsa. Często przynosił do domu mięso szczeniąt, owinięte w brązowy woskowany papier. Kucharka robiła z niego potrawkę przyprawioną drogim żeńszeniem, sprowadzanym specjalnie z Chin.

Co wieczór grał w tę samą grę. Oslaniając pulchnymi dłońmi usta, dłuwał w zębach i gorącym spojrzeniem niczym tłustą łapą obmacywał jej ciało. Mui Tsai odwracała wzrok, udając, że tego nie zauważa. Nie zdawała sobie sprawy, że taka jest właśnie jej rola w tej grze. Wzbranianie się. Żona miała opuszczone powieki i nic nie widziała. Siedziała w pięknym stroju, wsparta na

łokciach, czujna jak sęp, i cierpliwie czekała na każde nowe danie, a gdy się pojawiało, jej gotowe do akcji pałeczki błyskawicznie i bezbłędnie chwyciły najwyborniejsze kęski. Kiedy miała już w miseczce to, co najlepsze, zaczynała jeść uwodzicielsko wykwinicie.

Niebawem stary Sung zaczął znajdować okazje, by niby to przypadkiem muskać palcami "małą siostrę" żony, a raz tłustą dłonią przesunął po jej udzie akurat w chwili, gdy podawała zupę.

Rozlała ją na stół. Żona wciąż była ślepa.

- Głupia, nieostrożna dziewczyna - wymamrotała ze złością do miseczki pełnej miękkiej, młodej wieprzowiny.

- Powiedz jej -poradziłam, skonsternowana.

- Jak mogłabym to zrobić? - szepnęła Mui Tsai z najwyższym zdumieniem w migdałowych oczach. - On jest panem domu.

A stary Sung poczynił z nią sobie coraz śmieiej. Mui Tsai zaczęła nocami wymykać się ze służbówki. Spała w niej tylko wtedy, kiedy pan przebywał u którejś z pozostałych żon. Gdy odwiedzał jej panią, Mui Tsai zwijała się pod jakimś łóżkiem w jednym z licznych pokoi w wielkim domu, i w ten sposób przez wiele miesięcy wymykała się ze spoconych objęć prześladowcy. Nieraz wchodziła do mnie przez okno w kuchni i przesiadywałyśmy na mojej ławie do późna w nocy, rozmawiając o naszych rodzinnych stronach.

Nie mogąc uwierzyć, że to, czego doświadcza Mui Tsai, jest legalne, postanowiłam komuś o tym donieść. Ktoś musiał położyć kres jej cierpieniu. Powiedziałam mężowi. Pracował w biurze. Na pewno znał kogoś, kto mógłby pomóc. Aja, niestety, tylko potrząsnął głową. Jeżeli nad niewolnicą się nie znęcano, prawo nie mogło wkroczyć.

- Ale jej pani bije ją po twarzy i szczypie. Czy to nie jest znęcanie się? - spytałam z przejęciem.

Aja potrząsnął głową, a potem, z dziwnym trudem mieląc grubym językiem, dobył z siebie słowa podobne do nieokrzęsanych obcokrajowców wchodzących w butach do świątyni.

- Po pierwsze, nie uważa się tego za znęcanie, a po drugie, choć pan Sung nie przychodzi osobiście po czynsz, to jest właścicielem naszego domu. Wszystkich domów przy tej krętej uliczce.

- Ach tak - odparłam, rezygnując z buntowniczych pomysłów o wmaszerowaniu do jakiegoś urzędu, aby donieść na starego Chińczyka.

Ten problem mnie przerastał.

Pewnej nocy, kiedy drzewa srebrzyły się w nikłym świetle księżyca, pani Mui Tsai zawołała ją do sypialni. Miała ochotę na masaż. Od nadmiaru chłodzących potraw bolały ją plecy. Zdjęła satynowy przydziewek i położyła się na brzuchu. Mui Tsai zaczęła ją masować. Mocnymi

brązowymi dłońmi sunęła po jej miękkich białych plecach. Nagość zdradzała, że pani tyje. Sępia czujność i chwytlive pałeczki zrobiły swoje.

- Pozwolę ci dzisiaj wymasować pana. Jest bardzo zmęczony, a ty masz bardzo zręczne ręce powiedziała, zbierając palcami satynową szatę.

Jakby na umówiony znak do sypialni wszedł stary Sung w jedwabnej żółtej szacie haftowanej w czarne smoki. Szata szeleściła, ocierając się o jego białe, sflaczałe nogi. Mui Tsai zamarła. Pani, nie patrząc panu w oczy, utkwiała w niej ostrzegawczy wzrok.

- Aija, nie rób takich ceregieli - upomniała ją zirytowana.

Kiedy ucichł stukot jej miękkich pantofli o kamienne płytki, stary Sung usiadł na lekko zmiętej pościeli. Klęcząca przy łóżku Mui Tsai spojrzała na niego, wciąż nie mogąc uwierzyć. Po miesiącach namiętnych spojrzeń gra dobiegała końca. Zwycięzca siedział w żółtej szacie.

Gdy sięgnął do małej lampki, by ją zgasić, poły szaty rozchyliły się, odsłaniając wielki twardego brzuch. W świetle księżycy jego błyszcząca od potu twarz nagle zmieniła się w maskę. Mui Tsai była przerażona. Pijane zakazaniem podnieceniem oczy chowały się w fałdach rozgrzanej do połysku, bladej skóry. Pan śmierdział alkoholem. Mui Tsai poczuła pierwsze ukłucie obrzydzenia.

- Chodź, chodź, gołąbko - zachęcił ją łagodnie, mówiąc coraz szybciej i poklepując łóżko.

Czytała w jego myślach tak, jakby wypowiadał je na głos. "Dziewczynie nie była pisana wielka uroda, ale z pewnością bije od niej zarumieniony urok młodości, a dziewica doda mi wigoru, którego tak potrzebuję. Mężczyźni w pewnym wieku zawsze dobrze robi pierwszy łyk dziewczęcego nektaru". Jej czystość i niewinność były jak kwiat czekający na zerwanie. A w tym ogrodzie Sung był panem.

Uśmiechnął się zachęcająco i obnażył korpulentny tułów.

Biedna dziewczyna wpatrywała się z odrętwiąłym niedowierzaniem w małego robaka między jego nogami, gdy przykrywał ją, taką drobną, swoim białym cielskiem. Coś małego i twardego wbiło się w nią boleśnie i oblepiające ją ze wszystkich stron obwisłe, wilgotne ciało zaczęło się, ku jej zdumieniu, trząść. Pan chrząkał jak dzika świnia i jęczał tuż przy jej uchu. Raptem, bez żadnego ostrzeżenia, opadł na nią całym ciężarem. Przygnieciona, nie mogła złapać tchu. Zsunął się z niej i zdyszany poprosił o szklankę wody.

Było po wszystkim. Oszołomiona, wciągnęła spodnie i poszła po wodę. Oczy piekły ją w środku od powstrzymywanych łez, broda drżała. Gdy wróciła, rozkazał, by się rozebrała do naga.

Popijając wodę, przyglądał się jej uważnie, bez cienia uśmiechu, ciemnymi szparkami oczu. Mui Tsai czuła, jak jego lepka namiętność wypływa z niej na zakrwawione uda. Stała naga, jakby nieobecna, w bladym świetle księżycy, aż w końcu Sung uniósł tłustą rękę i wciągnął ją z

powrotem do łóżka. Kiedy zasnął, głośno chrapiąc, Mui Tsai zapatrzyła się niewidzącym wzrokiem w srebrzyste cienie na suficie. Wyrwał ją z tego stanu widok pełnej obrzydzenia kobiecej twarzy. Jej pani weszła do sypialni bosą i podkradła się tak bezszelestnie, że Mui Tsai nie usłyszała zbliżających się kroków.

- Wstawaj, bezwstydnico - syknęła ze złością i zazdrosnym spojrzeniem ogarnęła jej młode ciało. Upokorzona Mui Tsai zakryła piersi.

- Wstawaj i okryj to lubieżne ciało. I nigdy więcej nie próbuj zasnąć w moim łóżku - ostrzegła.

Mui Tsai chwiejnym krokiem poszła na tył domu, żeby się umyć. Potem leżała zawstydzona w małej klitce bez okna, aż nadszedł blady poranek. Od tamtej pory pan często wymagał masażu.

Czasem dwa razy w ciągu jednej nocy. W te okropne dni słyszała w ciemnościach ciche kłapanie jego kapci i skrzypnięcie uchylanych drzwi. Bogata żółta szata łyssała w sekretnym świetle księżyca i gwiazd. Drzwi się zamykały i w mroku służbówki bez okien słyszała tylko ciche kłapanie jedwabnych pantofli na betonowej podłodze i chrapliwe sapanie. A potem na jej drobne piersi opadała spocona zimna dłoń, chwilę później okrywało ją wilgotne zimne ciało, w nozdrza bił gorący stęchły oddech i od nowa zaczynały się dziwne drgawki.

Niebawem Mui Tsai zaszła w ciążę.

Stary Sung niezmiernie się ucieszył, gdyż jego trzy żony były bezpłodne. Od dawna szeptano, że to on jest winien, lecz teraz stało się oczywiste, że winne są te stare wiedźmy.

Uszczęśliwiony, kazał bardzo dobrze karmić Mui Tsai, aby z jego nasienia wyrósł silny i zdrowy potomek. Pani musiała być dobra dla "małej siostry", ale w głębi jej skośnych oczu kryła się wściekła zazdrość. Nieraz Mui Tsai chowała dla mnie trochę kupowanych specjalnie dla niej bardzo drogich i okropnie gorzkich ziółek. - Żeby dziecko było silne - mówiła radosnym, śpiewnym głosem.

Pewnego ranka stary Sung przyszedł z wiadomością, że Pierwsza Żona chce poznać płodne drzewo, które przyjęło na sienie jej męża i dało mu życie. Pierwsza Żona była postawną kobietą o obwisłym, sfałdowanym podbródku, arogancko za dartym nosie i małych chytrych oczkach. Dom napełnił się gorączkową krzątaniną. Przygotowywano wyborowe dania, myto i pastowano podłogi, odkurzano i rozstawiano najlepszą porcelanę, aby mogły ją obejrzeć jej bystre oczy.

- Jadłaś już? - zadała zwyczajowe, uprzejme pytanie, ja kim witają się Chińczycy.

Głos miała ochryply, a jej twarz, chociaż dumna, wyrażała smutek. Dlatego że ktoś inny zajął miejsce w sercu jej męża i dlatego że nie mogła mieć dzieci.

- Tak, mam bardzo dobry apetyt, starsza siostró - odparła szybko Mui Tsai.

- Za ile miesięcy urodzi się dziecko? - spytała wyniośle Pierwsza Żona.

- Za trzy miesiące - odparła ze stosowną pokorą Trzecia Żona. - Może jeszcze herbaty, starsza siostrze?

Wstała wdzięcznie, żeby jej nalać.

Pierwsza Żona skinęła głową przyzwalająco. Później złożyła jeszcze kilka wizyt, zawsze zasiadając z Mui Tsai pod drzewem assam. Była miła, wydawała się szczerze zatroskana i okazywała coraz większe zainteresowanie mającym się narodzić dzieckiem. Kupiła nawet dla niego prezenty - drogie importowane ubranka w kolorze niebieskim i kwaczącą kaczuszkę. Mui Tsai cieszyła się z wizyt dystygowanej starszej damy. Zaakceptowanie przez Pierwszą Żonę było zaszczytem. Myślała, że jej los odmienił się na lepsze. Wszystko będzie inaczej, gdy urodzi się dziecko. Stanie się matką dziedzica ogromnej fortuny pana.

Do miasta przyjechało wesołe miasteczko i rozłożyło się na boisku koło targu. Razem z Mui Tsai wymknęłyśmy się tam w największy upał, kiedy Druga Żona Sunga, ociążała po obfitym obiedzie, przysnęła pod wentylatorem.

Wstęp kosztował dwadzieścia senów.

Słodki zapach orzechowych ciastek mieszał się z tłustą wonią ciastek rybnych, smażących się w wielkich kadziach z olejem. "W to skwarne popołudnie przenośna scena, na której co wieczór siadywały rzędem ładne, uśmiechnięte dziewczyny, czekające na nieśmiałych chłopaków, gotowych zapłacić pięćdziesiąt senów za przyjemność żwawego tańca z wybraną partnerką, świeciła pustkami.

"Zobaczcie zdumiewającą kobietę z pytonem!" - krzyczał wielki plakat, przedstawiający olbrzymiego węża oplatającego piękną dziewczynę z oczami obrysowanymi grubą kreską. Zapłaciliśmy dziesięć senów i weszliśmy do namiotu. W środku panowała duchota. Palila się goła żarówka. W metalowej klatce na słomie siedziała po turecku niegrzesząca urodą Malajka w średnim wieku i próbowała udrapować na sobie rozczarowujące małego węża, lecz gnuśne zwierzę tylko śmignęło językiem i wsunęło się leniwie w słomę. Znudzone, wyszliśmy szybko z dusznego i gorącego namiotu.

Kupiłyśmy sobie mleczko kokosowe z lodem i Mui Tsai na mówiła mnie, żebyśmy stanęły w kolejce do namiotu chińskiego wróżbiarza. Przed namiotem można było obejrzeć rysunki podzielonych na kategorie różnych typów dłoni, których znaczenie dla ludzkich losów objaśniono zielonym chińskim pismem. Wręczono nam czerwone numerowane bilety. Ale po nieważ chcieliśmy wejść razem, wzięłyśmy jeden. Mui Tsai trąciła głową dzwonki wiszące przy wejściu i rozchichotane wkroczyłyśmy do brązowego namiotu.

Stary Chińczyk z cienką kozią bródką uśmiechnął się tajemniczo zza składanego stolika. Miał bardzo żółtą skórę i pozbawione życia oczy. Wskazał stojące przed stołem krzesła. Usiadłyśmy niezręcznie, odstawiając na trawę plastikowe woreczki z mleczkiem kokosowym.

Jego wzrok połknął nasze głupie chichoty. Na stoliku stał mały czerwony ołtarzyk z palącym się kadzidelkiem i brązową figurką.

Wróżbiarz uniósł dłonie.

- Niech przemówią przodkowie - powiedział.

Poruszone wiatrem dzwonki zadźwięczały cicho. Chińczyk z kamienną twarzą ujął dłonie Mui Tsai i głęboko oddychając, ścisnął je pomiędzy swoimi, starymi i pomarszczonymi. Wzruszyłyśmy ramionami i zaczęłyśmy robić do siebie miny, żeby zmniejszyć napięcie, które nagle wypełniło nieprzyjemnie gorący namiot. Ja przewracałam śmiesznie oczami, a Mui Tsai odymała wargi.

- Smutek, dużo smutku, bardzo, bardzo dużo smutku! - wykrzyknął chrapliwie Chińczyk.

Jego okrzyk w cichym namiocie rozległ się tak niespodziewanie, że się wystraszyłyśmy.

- Nie będziesz miała swoich dzieci - dodał dziwnym, głuchym głosem.

Powietrze w namiocie zamarło. Poczułam, jak Mui Tsai sztywnieje ze strachu. Stary Chińczyk puścił jej drobne dłonie, jakby go parzyły, i zwrócił mściwe spojrzenie na mnie. Zaskoczona i zdenerwowana, machinalnie wsunęłam zwilgotniałe ręce w jego wyciągnięte wyczekująco dłonie i poczułam suchą szorstką skórę. Wróżbiarz zamknął oczy. W zatykającym upale siedział nieruchomo jak posąg.

- Siła, za dużo siły. Powinnaś się urodzić mężczyzną. - Zmarszczył czoło. Gałki oczu poruszały mu się gwałtownie pod spuszczonej powiekami. - Będziesz miała wiele dzieci, ale nie zaznasz szczęścia. Strzeż się najstarszego syna. Jest twoim wrogiem z poprzedniego życia, który powrócił, żeby cię ukarać. Poznasz ból grzebania własnego dziecka i przy ciągniesz do siebie starożytny przedmiot wielkiej wartości. Nie trzymaj go ani nie próbuj czerpać z niego zysku. Należy do świątyni.

Puścił moje ręce i otworzył pozbawione życia oczy. Popatrzył na nas tępo. Poderwałyśmy się przerażone. Na rękach miałam gęsią skórę. Upał stawał się nie do zniesienia.

Potyając się, wyszłyśmy z namiotu, zapominając o rzuconych w trawę plastikowych woreczkach z piciem. Spojrzałam na Mui Tsai - oczy miała okrągłe ze strachu, trzymała się za brzuch. Jej siedmiomiesięczna ciąża nie była tak widoczna jak moja. W luźnym samfu mogła pozostać niezauważona.

- Słuchaj - zaryzykowałam - to jasne, że to oszust. Powiedział, że nie będziesz miała dzieci, a przecież jesteś w ciąży. Wyrzuciłyśmy tylko pieniądze. Gadał same bzdury.

- Masz rację. To na pewno oszust. Okropny, lubi straszyć młode dziewczyny.

W drodze do domu milczałyśmy. Staralam się zapomnieć o starym wróżbiarzu, który ledwie poruszał ustami, lecz jego niesamowite przepowiednie zapadły mi w pamięć jak przekleństwo nieznanego. Przytrzymałam brzuch, jakbym go chciała osłonić. Co za idiotyczny pomysł, że mój najstarszy, jeszcze nienarodzony, a już tak przeze mnie kochany syn mógłby być moim wrogiem.

Czysty nonsens.

Życie toczyło się dalej. Z drewna rzeźbionego przez męża powoli wyłaniała się owalna twarz. Z początku przyglądałam się jej codziennie, ale ponieważ praca posuwała się naprzód tak wolno, zniecierpliwiona, przestałam się nią interesować.

Zaraz, muszę ci jeszcze opowiedzieć o spotkaniu z prawdziwym pytonem. Zdarzyło się to pewnego gorącego i parnego popołudnia. Siedziałam na zimnej podłodze w kuchni, rozdzielając i czyszcząc suszone sardele. Były tanie i dostępne w każdej ilości, więc często przygotowywałam z nich posiłki. Curry z sardeli, bakłazany z sardelami i sardele w mleku kokosowym. Niemal bez zastanowienia dodawałam zwinięte, pożywne rybki do wszystkiego. Tamtego popołudnia przez okno w kuchni zajrzała do mnie Mui Tsai. Robiła wielkie oczy i gwałtownie machała rękami.

- Szybko, chodź zobaczyć pytona - ponagliła.

- Gdzie jest?

- Za domem Miny.

Pobiegłyśmy za dom Miny. W krzakach, dość daleko od domu, trzech zbitych w gromadkę chłopców z oczami błyszczącymi z podniecenia i strachu wskazywało na coś leżącego na suchej ziemi. Gruby, zwinięty pyton, chociaż zdawał sobie sprawę z naszej obecności, nie mógł się ruszyć.

Leżał na słońcu po obfitym posiłku, ociążały i rozleniwiony. I tylko patrzył na nas złośliwie szeroko otwartymi, ciemnopomarańczowymi oczami osadzonymi w głowie w kształcie rombu. Był ogromny i piękny.

Taki piękny, że z chęcią bym go zatrzymała. Nie miałam w sobie lęku przed wężami.

Zjawiło się kilku mężczyzn, którzy, pokrzykując i ponagając się wzajemnie, rozbili pytonowi łeb na miazgę. Grube, błyszczące cielsko wiło się i miotalo w bólu, nim zmarło krwawą śmiercią. Mężczyźni rozwinęli martwego węża i zmierzyl go, przykładając jako miarkę rękę od łokcia do czubków palców. Oznajmili, że ma przeszło dwanaście stóp długości. Potem rozcięli mu brzuch i znaleźli w nim zakrwawioną, zgniecioną nie do poznania, na wpół strawioną kożę. Gdy

patrzyłam zafascynowana na absurdalną masę zniekształconego, siniego, oblepionego śliskimi sokami żołądkowymi mięsa ze sterczącym kopytkiem i rogiem, nasunęła mi się dziwna myśl, że już niedługo mój brzuch będzie większy od niej. I rzeczywiście, rósł w alarmującym tempie. W dziewiątym miesiącu stałam się wielka i niezdarna. Czułam, że lada chwila pękne jak zgnieciony melon.

W końcu zaczęły się bóle. Wody popłynęły ze mnie takim strumieniem, jakim płynie tania ryżowa brandy w ruchliwym burdelu. Poczułam mrowienie w karku. Nadszedł czas.

Ależ byłam dzielna. Zawołałam męża, żeby sprowadził położną. Przez kilka sekund gapił się na mnie tępo, a potem nagle odwrócił się i wybiegł z domu. Stojąc przy oknie, patrzyłam na jego pędzący rower, który chwiał się niebezpiecznie na kamienistej ścieżce.

W kuchni wywiesiłam dwa świeże ręczniki i kilka starych, ale wypranych sarongów. W dużym garnku zagotowałam wodę. Czystą wodę na kąpiel noworodka. Pochyliłam głowę i pomodliłam się jeszcze raz o syna. W oczekiwaniu na przyjście dziecka usiadłam na mojej ławie i rozłożyłam stary list od mamy.

Drżały mi ręce. Przyglądałam się im zdumiona. Myślałam, że jestem dorosła i spokojna.

Siedem cienkich stroniczek szeleściło w moich dłoniach jak sekret. Jak cudowna zjawia idąca po suchych liściach. Drobne i zgrabne pismo mamy trzęsło się i rozmazywało przed oczami.

Przeszył mnie ostry ból. Ręka gwałtownie podskoczyła. Siedem stroniczek cienkich jak bibułka, pełnych tęsknoty, nadziei, modlitw, pozdrowień i życzeń, z cichym szelestem rozsypało się po kuchennej podłodze.

Bóle bardzo szybko się nasilały. Ale zachowywałam spokój. Nawet mama byłaby ze mnie dumna, bo przygryzałam drewno i tłumiłam krzyki, żeby sąsiedzi niczego nie słyszeli. Jakże się zdziwią, kiedy raptem zobaczą mnie na werandzie z płaskim brzuchem i dzieckiem w ramionach, myślałam. Lecz przy kolejnym skurczu, który przeszył mnie jak błyskawica, złapałam się za brzuch, bezsilna wobec bólu. Czoło i górną wargę zrosił mi pot. Znów skurcz. Tak szybko.

- Ganeśa, pomóż mi, proszę - modliłam się przez zaciśnięte zęby.

Gorszy od bólu stał się lęk. Lęk o dziecko. Lęk, że wszystko pójdzie nie tak, jak trzeba.

Kolejny gwałtowny spazm i wpadłam w popłoch. Stałam samotnie w małej świątyni Ganeśi i dzwoniłam dzwonkiem, żeby sprawić bogu przyjemność. Dzwoniłam, aż pokrwałam ręce.

"Och, panie, który usuwasz wszystkie przeszkody, spraw, by moje dziecko było bezpieczne" - błagałam raz po raz. Czułam, jak dziecko kopie, i spod zaciśniętych powiek wypływały mi gorące łzy.

Przeklełam swojego głupiego, powolnego męża. Gdzie on się podziewał? Wyobrażałam sobie, że siedzi w jakimś rowie. Dziecko zaczęło się we mnie ruszać i napierać, niecierpliwe i tak niebezpiecznie delikatne. W moich biodrach narastał bo lesny ucisk, a w głowie bulgotał świeżo zaparzony, wszech ogarniający paniczny strach.

Dziecko się rodziło. Rodziło się, a nie było położnej. Nagle, bez ostrzeżenia znalazłam się w oku cyklonu. Drewnisko wypadło mi z ust. Ściany pokoju pociemniały.

Bóg mnie opuścił.

Nabrałam pewności, że umieram. Zapomniałam o sąsiadach i uciekło gdzieś ponętne wyobrażenie o tym, jak niespodziewanie wyjdę na werandę z płaskim brzuchem i dzieckiem w ramionach. Zapomniałam, że mam być dzielna i dumna. Twardy orzech kokosowy dumy tak łatwo rozbija się na drobne kawałki, gdy spada na twarde cement bólu.

Drżąca gruda potu i przerażenia nie zna uczucia dumy. Przycupnęłam - małe, wystraszone zwierzę - otworzyłam usta, żeby zawyc głośno i przeciągle, ale nagły rozdzierający ból pozbawił mnie tchu. Czułam wierzchołek główki dziecka.

"Przyj. Po prostu przyj" - powiedział w mojej głowie bez barwny głos położnej. Ten głos sprawił, że wszystko wydało się proste. Łatwe. Burza w moim mózgu nieoczekiwanie ucichła. Istne czary. "Przyj. Po prostu przyj". Chwyciłam brzegi ławy, wzięłam głęboki oddech i zaczęłam przeć.

Parłam i parłam. W swojej dłoni ujrzałam główkę. Zapomniałam już o tej przerażającej samotnej walce, pamiętam tylko cudowną chwilę, kiedy nagle w moich zakrwawionych rękach znalazło się całe sine dziecko. Oszołomiona, przytrzymałam pokrytą śluzem istotkę na brzuchu i przyjrzałam się jej z zachwytem. "O Ganeśa, dałeś mi chłopca" - szepnęłam uradowana. Dłonie same, jakbym robiła to już tysiąc razy, sięgnęły po nóż leżący przy desce do krajania. Tego ranka krajałam nim cebulę i był poplamiony jej sokiem. Chwyciłam go mocno i przecięłam pępowinę, która zwisała z brzuszka. Dziecko było wolne.

Zaciskając oczy, otworzyło małe usteczka i zaczęło krzyczeć - cienki głos przeniknął mnie na wskroś. Roześmiałam się z radości.

- Nie mogłeś się doczekać, tak? - spytałam zdumiona. Wpatrując się w bezzębne, zabawnie rozzłoszczone maleństwo, pomyślałam, że nie ma nic piękniejszego na świecie. Macierzyństwo rozdarło przede mną swoje ciało, odsłaniając serce bijące jak szalone. Od tej chwili wiedziałam, że dla tego pomarszczonego przybysza mogłabym gołymi rękami odrywać łby lwom, zatrzymywać pociągi i wdrapywać się na ośnieżone góry. Jak w surrealistycznej komedii w drzwiach pojawił się zdyszany Aja z położną. Stanęli, gapiąc się na mnie, więc uśmiechnęłam się do nich szeroko.

- Wracaj do domu - rzekłam z dumą do położnej, myśląc o piętnastu ringgitach, które zaoszczędziłam, obchodząc się bez jej usług, i niecierpliwie odwróciłam rozpromienioną twarz od ich brzydkich fizjonomii, pragnąc sycić się pięknem mojego nowego, cudownego dzieła.

W duchu życzyłam sobie nawet, żeby na chwilę znikli, gdy wtem twarda piastka uderzyła mnie w podbrzusze tak, że zgięłam się wpół z bólu i omal nie wypuściłam z rąk mojego skarbu.

Położna podbiegła do mnie. Wprawnie złapała dziecko, położyła je na czystych ręcznikach, nachyliła się nade mną i dokładnie obmacała szybkimi dłońmi.

- Allahu, bądź miłościw - pomodliła się szeptem, a potem obróciła się do mojego męża i wymamrotała: - W brzuchu jest drugie dziecko.

Oto jak łatwo urodziła się mojemu synkowi siostra bliźniaczka. Wyślizgnęła się ze mnie lekko, prosto w przygotowane ręce położnej. Położną, starą Malajkę o imieniu Badom, poleciała mi Mina. "Jej ręce to dar" powiedziała. I nic nie przesadziła. Nigdy nie zapomnę siły, która jak rwąca rzeka płynęła w żyłastych dłoniach staruszki, ani znajomości rzeczy, wyzierającej z jej załzawionych oczu. Wiedziała wszystko o matkach i dzieciach. W pomarszczonej głowie mieściła się ogromna i szczegółowa wiedza o tym, co najważniejsze. Od zakazanych ogórków i sproszkowanych kwiatów na zwijanie się macicy po magiczne wywary z pokrzyw i ziół, dzięki którym rozciągnięty brzuch odzyskiwał dawny kształt.

Podawała mi do rąk dwoje wspaniałych dzieci.

Mój syn był spełnieniem marzeń. Darem bogów, którzy wysłuchali moich modlitw i sprawili, że miał drobne czarne loczki i krzyczał pełnym głosem, ogłaszając wszem i wobec, jaki jest zdrowy. Ale to nie na niego, lecz na córkę patrzyłam niemal z niedowierzaniem. Od razu powinnam powiedzieć, że była wyjątkowa. Nie wyobrażałam sobie, że może istnieć istota tak piękna. Podając mi ją, Badom uniosła rzadkie brwi i po wiedziała ze zdziwieniem:

- Ależ ona ma zielone oczy.

Tyle lat przyjmowała dzieci na świat, a nigdy nie widziała dziecka o zielonych oczach.

Wpatrywałam się ze zdumieniem w różową cerę córeczki i zaczątki kurtyny lśniących prostych włosów. W jej żyłach płynęła krew pani Armstrong - słynnej babki mojej mamy, która przed wielu, wielu laty wręczyła bukiet królowej Wiktorii i uściśniła jej urękawiczoną dłoń. Patrząc na drobną istotkę spoczywającą w moich ramionach, uznałam, że nie pasuje do niej żadne z imion, jakie braliśmy pod uwagę, godzinami dyskutując z mężem na ten temat. Postanowiłam nazwać ją Mohini.

Mohini to boska kusicielka ze starych legend, tak niewiarygodnie piękna, że jeden przypadkowy łyk z przejrzystych głębin jej oczu wystarczał, by sprowadzić zapomnienie nawet na

boga. W opowieściach mamy mężczyźni tonęli w jej oczach jeden po drugim, ogarnięci przemożnym pragnieniem, by ją osiąść. Byłam za mała i jeszcze nie rozumiałam, że nadmierna uroda jest przekleństwem. Szczęście nie chce spać w jednym łóżku z pięknem. Mama przestrzegła mnie w liście, że to niedobre imię dla dziewczynki. Sprowadza nieszczęścia. Teraz wiem, że powinnam jej wtedy posłuchać.

Nie potrafię opisać tych pierwszych kilku miesięcy. Miałam wrażenie, że znalazłam się w tajemniczym ogrodzie i odkrywam w nim setki nowych pięknych kwiatów, barw, niewiarygodnych zapachów i cudownych kształtów. Wypełniały mi dzień. Od rana do wieczora byłam szczęśliwa.

Szłam spać z uśmiechem na ustach, oszołomiona pięknem moich dzieci, i we śnie głąskałam z podziwem ich jedwabiste ciała.

Mohini była bez skazy od wierzchołka główki do filigranowych stopek. Kiedy z nią wyszłam, ludzie przyglądali się maleństwu, nie kryjąc zaciekawienia. Patrzyli na mnie, zwyczajną jak dawniej, na brzydkiego ojca i w ich małych sercach zapuszczała ostre korzenie zazdrość. Bardzo poważnie traktowałam odpowiedzialność za urodę córki. Kąpałam ją w kokosowym mleku i czyściłam jej skórę ćwiartkami limony. Raz na tydzień rozgniatałam kwiaty hibiskusa w ciepłej wodzie, aż nabierała odpowiedniego, rdzawego odcienia, i wkładałam do niej wyrywające się ciało. Mohini machała rączkami i nóżkami, śmiała się i chlapała mi poczerwieniałą wodą w twarz.

Nie będę się rozwodzić nad tym, do czego się posuwałam, żeby chronić jej mleczną cerę.

Żadnej dziewczynki nie kochano równie mocno. Jej brat ją uwielbiał. Nie było między nimi fizycznego podobieństwa, lecz istniała wyjątkowa, niewidzialna więź. Oczy, które mówiły. Twarze, które rozumiały. Coś nie do opisania. Nie kończyli jedno za drugie zdania, ale raczej razem milkli.

Jakby w tych skradzionych chwilach zupełnej ciszy porozumiewali się na innym, głębszym poziomie. Nawet teraz, gdy zamknę oczy, widzę ich, jak siedzą naprzeciwko siebie i rozcierają ryż w kamiennych zamach. Zwykle nic wtedy nie mówili. Nie potrzebowali błahych pogaduszek. Brat obracał ciężki kamień, a siostra gołą ręką wpychała ryż do dziury w kamieniu. Milczący, idealnie zgrani, pracowali jak jedna osoba. Mogłam im się przyglądać godzinami. Co kilka dni, późnym wieczorem. Przy niebezpiecznej pracy. Grożącej zgnieceniem ręki.

Kiedy zostawali sami, tylko we dwoje, osiadał wokół nich spokój, otaczał ich magiczny krąg - wykluczające wszystkich "my". Pamiętam, że widząc to, czułam się czasem nieswojo.

Jeśli ja byłam przesadnie dumna z córki, to jej ojciec czcił ziemię, po której stąpała. Wprawiała w drzenie jego duszę i sięgała tak głęboko w jego zachwycone jestestwo, że aż go to zaskakiwało i deprymowało. Mohini urodziła się taka maleńka, że mieściła się cała w jego

wielkich, złożonych dłoniach, i tego doznania nigdy nie zapomniał. Nie mógł uwierzyć, że taki cud począł się z jego łądzwi, i całymi godzinami przyglądał się śpiącej córce. Budził się dwa, a czasem nawet trzy razy w nocy i delikatnie ją przebierał, jeżeli miała ubranko wilgotne od potu. Często znajdowałam rano kupkę ubranek pod płóciennym hamakiem, w którym spała.

Jeśli się przewróciła albo uderzyła, nawet lekko, Aja brał ją na ręce i kołysał powoli w ramionach, mając -jak ona - oczy pełne łez. Jakże ten człowiek cierpiał, kiedy chorowała! Kochał córkę tak bardzo, że nawet jej krótkotrwałe cierpienie stawało się ostrym cierniem, raniącym głęboko jego proste serce.

Gdy była bardzo mała, przesiadywała na jego kolanach i razem słuchali trzeszczących głosów płynących z radia. Siedziała tak godzinami, zakręcając na jasnych paluszkach loczek z jego gęstych włosów, nie zdając sobie sprawy z tego, że za pomocą owej magicznej sztuczki przemienia łagodnego olbrzyma w gaworzącego błazna.

Synkowi dałam na imię Lakszmana. Pierworodny, wspianiały, ukochany - bezdyskusyjny ulubieniec. Wprawdzie Mohini przerosła moje najśmielsze marzenia, ale na nią nie zasłużyłam.

Nie opuszczało mnie uczucie, że zakradłam się do cudzego ogrodu i bez pozwolenia zerwałam największy i najpiękniejszy kwiat. Mohini nie miała w sobie nic ani z ojca, ani ze mnie. Nawet kiedy tuliłam ją w ramionach, czułam, że jest pożyczona i któregoś dnia ktoś zapuka do drzwi i upomni się o nią. Dlatego nieco powściągałam się w uczuciach do niej. Podziwiałam nieskazitelną urodę córki, ale nie kochałam jej równie mocno jak syna.

Ach, jak ja go kochałam. Jak ja go kochałam! Zbudowałam w sercu ołtarz dla jego uśmiechu. Rozpoznawałam siebie w jego jasnych oczach, a gdy trzymałam kopiające, silne ciało blisko siebie, to trudno było powiedzieć, gdzie zaczyna się on, a gdzie kończą się ja, bo mieliśmy ten sam odcień skóry - barwę herbaty z dużą domieszką mleka.

Mui Tsai urodziła chłopca. Przemknęła się z nim do mojego domu późnym wieczorem, kiedy wszyscy sąsiedzi spali, żebym zobaczyła, jaki jest śliczny. Modliła się o niego w czerwonej świątyni koło targu. Był bardzo gruby i bardzo biały, z czarną czuprynką. Dokładnie taki, o jakim marzyła.

- A widzisz, wróżbita się mylił - zagruchałam radośnie, nie przyznając się, jaką ulgę poczułam na wieść, że jej syn urodził się żywy i zdrowy.

Skoro wróżbita omylił się co do Mui Tsai, to należało uznać go za szarlatana, a jego przepowiednie za okrutne kłamstwa. Wsunęłam palec w maleńką rączkę, a wtedy dzieciak mocno go ścisnął i zaczął wierzcąc nóżkami. Nie chciał mnie puścić.

- Spójrz, jaki jest silny - powiedziałam z podziwem. Pokiwała głową powoli, jakby bała się sprowokować bogów nadmierną dumą, ale ja widziałam jej błogie szczęście. W świetle

lampy naftowej cera Mui Tsai wydawała się świetlista, jakby w głowie ktoś zapalił jej żarówkę. Nie wolno przechwalać się dobrym losem. To przynosi pecha, wyjaśniła kiedyś. Tamtego szczęśliwego wieczoru ucałowała śpiące dziecko i bez przekonania poskarżyła się, że spoczywający w jej ramionach okaz zdrowia jest mizerny. Kiedy wyszła, tuląc do piersi bezcenne zawiniątko, dzieliłam jej radość. Wreszcie miała coś swojego.

Równo miesiąc po porodzie stary Sung oddał jej różowiułtkiego, milutkiego synka swojej Pierwszej Żonie. Mui Tsai była tak wstrząśnięta tą zdradą, że nie miała siły protestować. Załamana, nie mogła odmówić oddania dziecka i nie pozostało jej nic innego, jak zgodnie z obyczajem przyjąć ang pau - czerwony pakiet z szeleszczącym banknotem pięćdziesięcioringgitowym w środku.

- Jak on śmie? Czy matka nie ma żadnych praw? - oburzyłam się.

Zgaszonym głosem wyjaśniła, że zgodnie z innym prastarym chińskim obyczajem pierwsza żona ma prawo odebrać pierworodne dziecko konkubinie lub którejś z kolejnych żon.

- To wielki zaszczyt, gdy Pierwsza Żona prosi o syna takiej jak ja. Myślę, że dla niego tak będzie najlepiej. Zapewni mu to niekwestionowaną pozycję w rodzinie - dodała ze smutkiem.

Jej biedne serce pękło, a jasne światło, które rozświetlało Mui Tsai od środka, zgasło.

Wpatrywałam się w nią przerażona. To było potworne.

W dalszym ciągu - kiedy nie mogła dłużej znieść samotnych krzyków lemurów na rambutanie - zachodziła do mnie wieczorami na posiadły, z dawną, dobrze znaną mi zręcznością wdrapując się przez kuchenne okno, ale wszystko się zmieniło. Znikł chichoczący podłotek pełen psotnych pomysłów, a jego miejsce zajęła dziewczyna o okrągłej zagubionej twarzy. Mui Tsai była smutna jak szczeniak, który nie rozumie, dlaczego go zbito, i siedziała u mnie w kuchni, podpierając brodę dłońmi. Czasem odgrywała na nowo całą scenę z odebraniem jej dziecka.

"Czego się spodziewałaś? Że będziesz ważniejsza od Pierwszej Żony?" - powtarzała pogardliwe słowa znienawidzonej pani i, śmiało patrząc mi w oczy, zapewniała, że wcale się tego nie spodziewała.

Świetnie знаła swoje miejsce. Była zwykłą Mui Tsai. Biedną Mui Tsai. Ja miałam dwoje pięknych dzieci, a ona żyła ze świadomością, że inna kobieta kołysze w ramionach jej synka. Czasem, gdy patrzyła na moje bliźniaki śpiące pod bawełnianymi kocykami, nie mogła powstrzymać gorzkich łez. Pociągała głośno nosem, wycierała twarz brzegiem rękawa i cichym, potulnym głosem mówiła:

- Taka jest wola bogów.

A potem znów zaszła w ciążę. Pan, zadowolony z powtórnego potwierdzenia swojej płodności, chętnie obiecał nałożnicy, że tym razem pozwoli jej zatrzymać dziecko. Pierwsza Żona

nie odwiedzała Mui Tsai, co dziewczyna uznała za dobry znak. Czegoś się nauczyła. Brak wiadomości od starej matrony był dobrą wiadomością.

Kiedy bliźnięta miały półtora roku, przestałam je karmić piersią i znów zaszłam w ciążę.

To ponownie zbliżyło mnie do Mui Tsai - grałyśmy w chińskie szachy i chichotałyśmy cicho w przyćmionym blasku lampy naftowej. Popołudniami, gdy jej pani spała, "mała siostra" siadywała na moim parapecie i razem snułyśmy marzenia. Złudne marzenia o tym, jak wysoko zajdą nasze dzieci. W inne popołudnia pomagała mi wykopywać z grządek orzechy ziemne. Oplukiwałyśmy je z ziemi, gotowałyśmy, a potem chrupałyśmy gorące w mojej kuchni. Wtedy zwykle wzdychała, zapewniając mnie z dramatyczną przesadą, że najszcześniejsze chwile życia spędza ze mną w kuchni. Ale im bliższy był dzień rozwiązania, tym bardziej się denerwowała. W głębi serca grzechotały jej kości przodków, przypominając o przepowiedni wypowiedzianej w dusznym namiocie przed dwoma laty. Tłum zmarłych krewnych stał z wyciągniętymi rękami, życząc jej bezdzietności. Czyżby pan złożył fałszywą obietnicę?

Nieraz budziła się w nocy z mocno bijącym sercem. Wstawała z łóżka, wychodziła na dwór i szła wzdłuż ściany swojego pokoju, wypatrując w granatowej ciemności światełka mojej lampy.

Jeśli dojrzała jej migotanie, wzdychała z ulgą, zamykała cicho drzwi i szła w stronę światła. Będąc w zaawansowanej ciąży, wspinała się przez niskie okno mojej kuchni. Wciąż płynie do mnie z przeszłości jej słodki, ściszony głos i słyszę, jak mówi: "Lakszmi, jesteś moim światłem w ciemnościach".

Zawsze cieszył mnie widok jej okrągłej twarzy. Czasem szeptałyśmy, a czasem po prostu razem milczałyśmy. Rozmyślając dziś o tamtych chwilach, uświadamiam sobie, jakie były cenne.

Gdybym wtedy wiedziała to, co wiem teraz... szepnęłabym jej do ucha, że ją kocham, że jest moją najlepszą przyjaciółką. Żałuję, że nie powiedziałam: ..Jesteś moją siostrą, a to jest twój dom".

Może byłam za młoda i samolubnie zaabsorbowana własnym macierzyństwem. Nasza bliskość wydawała mi się oczywista i nigdy się nad nią nie zastanawiałam. Niekiedy bez żadnego powodu Mui Tsai wybuchała płaczem i mówiła żałośnie: "Przyszedłam na świat pod bardzo złą gwiazdą".

Mui Tsai urodziła drugiego chłopca. Powiedziała, że główkę miał porośniętą czarnymi włosami. I że się do niej uśmiechnął. Pierwszego dnia tuliła go do piersi. Drugiego zaś do jej pokoju weszła pani i ze złośliwym błyskiem w oku oznajmiła, że synek Starszej Siostry zmarł przed miesiącem. Obowiązkiem "małej siostry" jest więc poświęcić się i pomóc tamtej. Dlatego

musi oddać niemowlę zrozpaczonej kobiecie. Dla Mui Tsai większym wstrząsem była wiadomość o śmierci pierwородnego niż nakaz oddania drugiego dziecka. Otumaniona, potrząsnęła głową i oddała słodko pachnące zawiniątko. W głębi duszy wiedziała, dlaczego umarł jej pierwszy syn - miał złamane serce.

Jej oczy w poszarzałej twarzy pozostały suche nawet wtedy, gdy złośliwa kobieta oświadczyła bezczelnie:

- Jesteś młoda i bardzo płodna. Masz w brzuchu jeszcze wielu synów.

- Zabrałabyś mi wszystkich? - spytała Mui Tsai tak cicho, że Trzecia Żona nie mogła tego usłyszeć.

Dwa miesiące później w moim gorąco-zimnym malarycznym świecie pojawiła się Anna o oczach jak spodki i karmelowej cerze. Najtrudniejsze były noce. Na zmianę majaczyłam w spalającej mnie powoli gorączce lub trzęsłam się z zimna, zlana potem. Za dnia, osłabiona, czułam Tak minęło siedemnaście dni, podczas których Aja był tylko chodzącym cieniem, a dzieci jasnymi plamkami szepczącego niepokoju przy moim łóżku. Czasem czułam na lepkiej skórze jego chłodne, twarde usta, innym razem ciekawskie małe paluszki macały moją twarz, ale zawsze w takiej chwili potrafiłam jedynie odwrócić się i pogрузić w litościwej czerni. Po chorobie straciłam pokarm, moje piersi zmieniły się w dwa małe kamienie. Twarde i bolesne w dotyku. Byłam słaba i wciąż zbierało mi się na płacz. Tylko mój ukochany Lakszmanu umiał przywołać uśmiech na mą twarz.

Patrzyłam na maleńką Annę i żal ściszał mi serce. Biedactwo. Pozbawiono jej nawet prawa do matczynego mleka, a była przecież taką dobrą dziecinką o ogromnych błyszczących oczach...

A poza tym cieszyłam się, że moje kolejne dziecko uniknęło prostackich genów swojego niezdarnego ojca. Leżałam w łóżku i patrzyłam, jak delikatnie Aja obchodzi się z niemowlęciem, jakby się bał, że je upuści lub zrobi krzywdę, choć gdy przyszła na świat Mohini, od razu wziął małą na ręce niczym doświadczona położna.

Mui Tsai zakochała się w moim nowym dziecku. Reagowała na Annę tak, jak nigdy nie reagowała na Lakszmanę i Mohini. Cieszyły ją i zachwycały najmniejsze drobiazgi. "Spójrz na jej języczek. Jest taki śliczny!" - wołała, a jej okrągłą twarz rozjaśniał zachwyty. Któregoś dnia wróciłam z targu i przyłapałam ją na karmieniu Anny piersią. Popatrzyła na mnie ze skruchą. "Przepraszam, ale płakała z głodu" - po wiedziała.

Od razu zrozumiałam, dlaczego córka nie znosi mleka z puszki. Słuchałam z płonącymi uszami wyjaśnień Mui Tsai. Jak wyszło jej mleko, kiedy zabrano jej dziecko, i jak po pierwszym krzyku Anny napełniły się jej piersi. W tym momencie na oczach mego męża niezgrabiasza poczuła ze wstydem, że ma mokrą bluzkę.

No tak. Dopiero teraz pojęłam, że to ona karmiła Annę przez siedemnaście dni, gdy leżałam półprzytomna z gorączki. Z największym trudem stłumiłam odruch wstrętu, że ktoś inny karmił piersią moje dziecko. Jej samowolę przypisałam poczuciu straty, jaką przeżyła. Rozumiałam to. A przynajmniej wmówiłam sobie, że rozumiem. Chciałam okazać się wielkoduszną. Mui Tsai tyle straciła. Cóż złego w tym, że karmi moje dziecko? Moje piersi pozostały suche jak wiór, za to jej były przez wiele tygodni nabrzmiące i pełne. Różowa buzia Anny ssała więc małe, nie całkiem rozwinięte piersi Mui Tsai. Macierzyństwo to dziwna rzecz. Tak wiele daje i odbiera. Po winnam odczuwać wdzięczność, ale nie odczuwałam. I choć nic nie mówiłam, to jednak nie dorosłam jeszcze na tyle, by przejść nad tym do porządku dziennego.

Zbudowałam między nami niski mur.

Niewysoki, ale ilekroć biedaczka chciała się do mnie zbliżyć, musiała się na niego wspiąć.

Teraz żałuję, że go wzniosłam. Byłam jej jedyną przyjaciółką i odwróciłam się od niej. Oczywiście jest już za późno, żeby to naprawić. Dziś wszystkim moim wnukom mówię: nigdy nie wznoscie murów, bo gdy zacznie się budować mur, to potem sam rośnie. Taka jest natura muru - sam pnie się w górę, aż staje się tak wysoki, że już nie sposób się na niego wspiąć.

Kiedy Mohini miała trzy latka, przeziębila się. Nie minął tydzień, a z przeziębienia wywiązało się przerażające astmatyczne rżenie. Podparta trzema poduszkami, z pięknymi oczami pełnymi strachu i okropną siną kreską ust, malutka i bezbronna siedziała w moim srebrnym łóżku i oddychała z wielkim trudem. W maleńkiej piersi słyszałam grzechotkę niebezpiecznego węża, udającą dziecięcą zabawkę. Grzechotkę, która wyciskała łzy z oczu ojca.

Wypróbowałam wszystkie znane mi tradycyjne lekarstwa i te, które doradziły mi panie w świątyni. Wcierałam maść tygrysią w rżącą pierś, przytrzymywałam wrzeszczącą córeczkę nad oparami mocnych ziół i zmuszałam ją do połknięcia małych czarnych jadzurwedyjskich pigulek.

Potem jej ojciec pojechał autobusem aż do Pekanu po zielone gołębie. Wyglądały ślicznie, kiedy gruchały i kiwały łebkami w klatce, ale przygniotłam ręką ich szamoczące się, pełne drobnych kości ciała i odrąbałam ładne łebki. Mohini dostała sine mięso pokrajane i upieczone z goździkami, czarnym korzeniem i szafranem. Pierwsza Żona z licznej, mieszkającej po sąsiedzku chińskiej rodziny przyniosła płaską paczuszkę, a w niej specjalnie wysuszone owady. Okazało się po bliższym przyjrzeniu, że są to martwe żuki, mrówki, pszczoły, karaluchy i koniki polne, splątane odnóżami i tak wysuszone, że stukały o siebie i szeleściły w gazecie, w którą je zapakowano.

Gotowałam je w wodzie tak długo, aż brązowy wywar zmniejszył swą objętość do jednej trzeciej.

Wtedy wlałam go biednej córeczce do gardła. Na próżno.

W środku nocy zdarzały się przerażające godziny, gdy Mohini z braku tlenu paskudnie siniała. W obskurnym szpitaliku lekarz dał jej małe różowe pigułki, po których zaczęła się gwałtownie trząść i dygotać. Te dreszcze przeraziły mnie bardziej niż grzechotka w piersi. Minęły dwa piekielne dni. Radio milczało. A ja chowałam twarz w dłoniach jak wynędzniały, bezsilny starzec.

Obwinał siebie. To przecież on zabrał córeczkę na spacer i przez niego zmokła, gdy nagle spadł deszcz.

Chciałam rzucić winę na niego, ale nikt nie był winien. To ja poprosiłam go, żeby wyszedł z dziećmi. Modliłam się. Jak ja się modliłam! By pokazać moje całkowite oddanie, godzinami klęczałam na zimnej podłodze świątyni, padałam na twarz i turlałam się od ściany do ściany. Jestem nędznym robakiem. Proszę, boże, pomóż mi. Na pewno dobry pan teraz mnie nie opuści.

Trzeciego popołudnia Mui Tsai wpadła do kuchni z nedorzecznym pomysłem. Przestałam mieszać soczewicę i, trzymając się za rosnący brzuch, wstrząśnięta, z niedowierzaniem słuchałam szybkich, podnieconych słów wyskakujących z jej drobnych ust. Zanim skończyła, zaczęłam potrząsać głową.

- Nie - powiedziałam, choć bez przekonania.

Prawdę mówiąc, byłam gotowa spróbować wszystkiego. Chciałam, by mnie przekonała.

Nie traciła czasu.

- To podziała-zapewniła gorąco.

- Obrzydliwy pomysł. Fuj! Kto wymyślił coś tak chorego? - zaprotestowałam, myśląc, że z drugiej strony...

- To podziała. Proszę cię, spróbuj. Sinse mojego pana jest bardzo, bardzo dobry. Przyjechał prosto z Szanghaju.

- Przecież tego nie da się zrobić. Jak mogę zmusić moją biedną córeczkę do czegoś takiego?

Przecież ledwie oddycha. Mogłaby się zadławić na śmierć.

- Musisz to zrobić. Chcesz ją wyleczyć z tej strasznej choroby?

- Oczywiście, ale...

- No więc, spróbuj.

- To zwykły szczur?

- Ależ skąd. To specjalnie hodowany szczur o czerwonych oczach. Rodzi się bez sierści.

Jest różowy i wielkości mojego palca.

- Ma go połknąć żywego?

- On przez kilka minut po urodzeniu się nie rusza. Mohini może go połknąć z miodem.

Nie mów jej, co to jest.

- Jesteś pewna, że podziała?

- Tak, w Chinach robiło to wielu. Ten sinse jest bardzo mądry. Nie martw się, Lakszmi.

Poproszę panią Sung o pomoc.

- Ile szcurów będzie musiała połknąć?

- Tylko tego jednego - odparła bardzo szybko. - Dobrze?

W końcu jednak mała Mohini nie musiała połykać żywego szczura Mui Tsai. Aja się nie zgodził.

Pierwszy raz, odkąd go poznałam, jego małe czarne oczy rozbliły gniewem.

- Nikt nie będzie karmił mojej córki żywym szczurem. Przekłęci barbarzyńcy! - zagrział zagniewany, a potem poszedł do Mohini, przemieniając się na powrót w czulego, pieszczotliwie gaworzącego ojca.

Aja nienawidził szcurów. Na sam ich widok, nawet z daleka, ogarniało go obrzydzenie.

Z jakiejś nieznaney mi przy czyny Mohini zaczęła wracać do zdrowia. Po kilku dniach poczuła się lepiej i na wiele lat przestało mi być potrzebne potomstwo specjalnie hodowanego szczura o czerwonych oczach.

Sevenese przyszedł na świat z wybiciem północy. Kiedy się rodził, zaklinacz węży grał na flecie, a towarzyszące narodzinom słodkie samotne tony były jak wróżba zapowiadająca dziwną osobę, na jaką rzeczywiście wyrósł. Położna podała mi ciemnoczerwonego noworodka, zawiniętego w czysty ręcznik. Pod przezroczystą skórką malca, w siateczce mikroskopijnych zielonych żyłek pulsowała krew. Gdy otworzył oczy, okazało się, że są dziwnie czarne i bystre. Znów odetchnęłam z ulgą. Nie był podobny do moich pasierbów.

Jako dziecko Sevenese każdego potrafił zawojować uśmiechem, a język miał cięty i zawsze gotowy do odpowiedzi. Kto by się oparł urokowi kędzierzawej czupryny i szelmowskiego uśmiechu. Na początku byłam dumna z jego bystrego umysłu. Już w bardzo młodym wieku pociągało go wszystko, co nie zwykle. Dom zaklinacza węży stał przy zakręcie uliczki i przyciągał go jak magnes. Wbrew mojemu zakazowi wymykał się ukradkiem i spędzał tam długie godziny, zauroczony i zafascynowany dziwnymi wywarami i zaklęciami. W jednej chwili kręcił się po podwórku, a w następnej znikał i chował się w tym okropnym domu. Czegoś mu brakowało, a może był w środku inny, niedokończony, i to kazało mu pędzić naprzód i szukać, szukać, choć

nigdy niczego nie znajdował. Wiele razy wbiegał w nocy do kuchni, obudzony przez chorobliwe sny, od których dostawałam gęziej skórki na rękach. Z jego piersi wyskakiwały, szczerząc zęby, wielkie pantery, obracały na niego płonące pomarańczowe oczy i pożerały mu twarz. Raz widział moją śmierć. Leżałam w skrzyni. Na zamkniętych powiekach miałam monety, a dokoła mnie chodziły z płonącymi pochodniami dzieci, których nie rozpoznał. Staruszki ochryplymi głosami śpiewały nabożne pieśni. Dorosła Mohini, z dzieckiem na kolanach, płakała w kącie.

Kiedy Sevenese śnił o mojej śmierci, nigdy przedtem nie widział hinduskiego pogrzebu, a opisał go tak zdumiewająco dokładnie, że zimny dreszcz przebiegł mi po plecach. Niesamowity chłopak.

Któregoś dnia, gdy Anna miała dwa i pół roku, weszłam nieoczekiwanie do domu z ogrodu i stanęłam jak wryta. Anna wtulała się w biało-niebieski wzorzysty samfu Mui Tsai. Za tkąło mnie, bo myślałam, że Mui Tsai dawno temu przestała karmić ją piersią. Tajemnica ta była jak zdrada.

Moja dwuletnia córka nadal ssła pierś. To nienormalne! Z czarnego mułu w moim żołądku powstał gniew. Gorące oburzenie kazało mi zapomnieć, że sama przypinałam się do piersi matki prawie do ósmego roku życia. W gardle wezbrały mi brzydkie, okrutne słowa. W ustach poczułam gorycz.

Otworzyłam je i nagle spostrzegłam, że po smutnych policzkach nieświadomej mojego palącego spojrzenia, zapatrzonej w dal Mui Tsai spływają łzy. Cierpiała tak bardzo, że musiałam odwrócić się i przygryźć wargi. Krew w żyłach płynęła mi bardzo szybko. Mui Tsai nadal była moją przyjaciółką. Najlepszą przyjaciółką. Połknęłam truciznę zebraną w ustach.

Stojąc za drzwiami do kuchni, zaczerpnęłam tchu i zawołałam Annę, starając się nadać mojemu głosowi jak najnaturalniejsze brzmienie. Przybiegła z twarzą jaśniejącą niewinnością. Nie zdradziła mnie. W piersi wciąż jeszcze czułam drgnienia dziwnie brzydkiej bestii zazdrości. Jest bezlitosna. Nigdy nie zrozumie, dlaczego tulimy ją do serca. Udaje, że przebacza, a nigdy tego nie robi. Niewzruszona tym, że w zniszczonej przyszłości Mui Tsai widzi czyhające na nią wilki i krążące nad nią czarne kruki rozpacz, szeptała mi do ucha, że przyjaciółka chce mi ukraść dzieci.

Przytuliłam Annę. Wycisnęła mokry całus na moim policzku.

- Przyszła ciocia Mui Tsai - powiedziała.

- Świetnie - odparłam wesoło, ale od tamtej pory niechętnie zostawiałam z nią Annę samą.

Czas wypalał miesiące jak żarzące się trociczki, pozostawiając na moim ciele miałki biały popiół i zmieniając je. Miałam prawie dziewiętnaście lat. Stałam się kobietą. Biodra poszerzyły mi się od rodzenia, a piersi wydelikatniały i na brzmiały od pokarmu. Zmieniała się też

moja twarz - wyraźnie zaznaczyły się kości policzkowe, a w oczach osiadła pewność siebie. Rosnące szybko dzieci napełniały dom śmiechem i piskiem. Czułam się szczęśliwa. Dobrze było usiąść wieczorem przed domem i patrzeć, jak się bawią, a na wietrze powiewają białe pieluchy, koszulki Lakszmany i sukieneczki Mohini. Radowałam się całym sercem, że udało mi się zrobić coś z niczego. Moje dzieci były piękne i nieobciążone skazą, którą tak potulnie znosili moi pasierbowie.

Mui Tsai podcięła włosy - teraz sięgały jej do ramion. Znów obie byłyśmy w ciąży. W tamtych czasach każda nie ostrożna chwila w ciemnościach niosła na swym lepkiem końcu długie lata odpowiedzialności i bólu. Mały Sevenese wodził wielkimi okrągłymi oczami za moją przyjaciółką chodzącą ciężkim krokiem skazańca.

Tym razem na pewno, obiecał jej pan. "Wydaje się mówić szczerze" – powiedziała. Nic nie mogłam zrobić ani w żaden sposób jej pocieszyć. W zgaszonych oczach miała taką pustkę, jakiej jeszcze u niej nie widziałam. Przypominała małe stworzonko, któremu nóżka uwięzła w maglu.

Nawet w cieniach rzucanych przez lampę widziałam, jak w jej oczach błyszczą nieme, żalodne krzyki. Przedtem rozmawiałyśmy o wszystkim. Dzieliłyśmy się nawet tajemnicami alkowy; nie Teraz odgradzał nas mój milczący, małoduszny mur, po którego drugiej stronie stała ona - samotna, wyczekująca, smutna. Ja miałam gromadkę dzieci, a ona odwiedziła pana i daremne ciąży.

Nadal jesteśmy przyjaciółkami, wmawiałam sobie, uparcie odmawiając zburzenia muru.

W młodości trudno jest obalić mur zbudowany z czerwonych cegieł samolubstwa spojonych cementem szarej dumy.

Kiedy Mui Tsai urodziła dziecko, do późna w nocy paliłam lampę naftową i siedziałam przy oknie, nasłuchując jej kroków i śpiewnego szeptu: "Nie śpisz jeszcze?". Mijały tygodnie, lecz jej okrągła twarz nie pojawiła się w moim oknie. W głębi duszy wiedziałam, oczywiście, co się stało.

Zobaczyłam ją przypadkiem. Byłam wtedy w zaawansowanej ciąży. Dostrzegłam Mui Tsai z werandy - siedziała na zielonym kamiennym krześle, opierając się łokciami o ciężki kamienny stół.

Pochylając głowę, wpatrywała się w ziemię. Proste włosy opadły do przodu, zasłaniając twarz.

Wsunęłam stopy w pantofle i niezdarnie pośpieszyłam do muru okalającego posiadłość starego Sunga. Zawołałam do Mui Tsai. Powoli się odwróciła. Przez chwilę patrzyła prosto na

mnie. Poczułam się w tym momencie tak, jakbym jej nie znała ani teraz, ani przedtem. Wydawała się kimś zupełnie innym. Wstała z ociąganiem i podeszła do mnie.

- Co się stało? - spytałam, domyślając się odpowiedzi,

- Druga Żona ma dziecko - odparła beznamiętnie. - Pan obiecuje, że pozwoli mi zatrzymać następnę. Gdzie Anna? - spytała i na jej twarzy pojawił się cień zainteresowania.

- Przyjdź się z nią zobaczyć. Szybko rośnie.

- Niedługo was odwiedzę - odparła cicho z nikłym uśmiechem. - Lepiej już idź.

zanim zauważy cię pani. Do widzenia.

Zasłony w jednym z okien drgnęły i opadły. Nim zdążyłam się z nią pożegnać, odwróciła się i ruszyła w stronę domu. Nie martwiłam się długo jej losem, bo tego popołudnia dostałam wiadomość, że Aja uległ wypadkowi. Kiedy jechał rowerem do banku, wpadł na niego motocykl.

Przełknęłam jak twardy przedmiot informację, że zabrano go nieprzytomnego do szpitala. Przypominała zwietrzały brązowy kamień w wysychającym łożysku rzeki. Twardy i bez smaku, ale gładki.

Kamień ten ciążył mi w żołądku podczas drogi do szpitala. Byłam chora ze strachu. Na myśl, że musiałabym sama wychowywać dzieci, bez zarabiającego na utrzymanie męża, poczułam, jak rozwiera się przede mną ogromna czarna dziura. Weszłam z dziećmi na oddział nagłych wypadków i posadziłam je na długiej ławce w poczekalni. Wcisnęły się między jęczącą kobietę i biedaka chorego na słońowaciznę. Zostawiłam je zagapione na jego potwornie opuchniętą nogę i ruszyłam korytarzem. Dostrzegłam Aję. Leżał pod ścianą na wąskim łóżku na kółkach. Zaczęłam biec. W miarę jak się zbliżałam, rosło moje przerażenie. Czaszka męża była nacięta jak kokos, a wypływająca z rany czerwona krew plamiła mu włosy, wsiąkała w koszulę i tworzyła kałużę pod głową. Nigdy w życiu nie widziałam tyle krwi naraz. W zakrwawionych ustach brakowało czterech przednich zębów - tych, które tak mnie raziły na naszym weselu. Ziejąca w ich miejscu dziura wydawała się czarniejsza od jego twarzy, ale prawdziwym szokiem był widok nogi. Z różowego ciała sterczała złamana kość. Zrobiło mi się słabo. Musiałam się czegoś przytrzymać, żeby nie upaść. Najbliżej miałam ścianę korytarza, o którą oparłam się ciężko. Czując pod plecami solidną podporę, zaczęłam krzyczeć jego imię, ale Aja był nieprzytomny.

Wtem nadbiegli sanitariusze i wtoczyli łóżko przez podwójne wahadłowe drzwi. Nogi ugięły się pode mną. Małeństwo, które w sobie nosiłam, zaczęło kopać i wtedy do oczu napłynęły mi łzy. Spojrzałam na ławkę - dzieci siedziały cicho jedno obok drugiego i wpatrywały się we mnie wielkimi, przestraszonymi oczami. Uśmiechnęłam się do nich i podeszłam. Miałam miękkie kolana.

Dzieci mnie obstąpiły, a Lakszmana objął mnie cienkimi rączkami za szyję i nieswoim głosem szepnął:

- Ama, czy możemy już iść do domu?

- Niedługo pójdziemy - odparłam zdławionym głosem, przyciskając jego drobne ciało tak mocno, że aż jęknął.

Czekałam razem z dziećmi wiele godzin.

Zapadł wieczór, gdy wychodziliśmy ze szpitala, wciąż nie mając żadnej wiadomości. Aja nadal był nieprzytomny. W taksówce bliźniaki patrzyły na mnie z powagą. Anna zasnęła, ssąc palec, a mały Sevenese puszczał bańki ze śliny. Przyglądając się im, myślałam, że wiem, jak czuła się wdowa, która wrzuciła do studni szesnaścioro swoich dzieci, a potem sama za nimi skoczyła.

Przerażała mnie myśl, że miałabym samotnie wychowywać dzieci. Szłam, potykając się, czarnym tunelem, a dokoła odbijały się echem dziecięce głosy.

Odrętwiała, nakarmiłam je i położyłam spać. Ze zdenerwowania nie mogłam jeść, siedziałam więc na ławie, patrząc w gwiazdy. "Dlaczego ja?" - powtarzałam raz po raz. "Dla czego, dobry boże, zsyłasz na mnie tyle nieszczęść?". Tego wieczoru czekałam z utęsknieniem na Mui Tsai, ale nie przyszła.

Nazajutrz rano, kiedy dzieci obudziły się, dałam im jeść i wyruszyliśmy do szpitala. Na łóżku leżał poszarzały, nie przytomny człowiek w bardzo białym bandażu. Pojechałam z dziećmi do domu na obiad, lecz nie miałam już siły wracać do szpitala, więc usiadłam i płakałam. Wieczorem zaprowadziłam dzieci do świątyni. Położyłam Sevenesea na zimnej posadzce, pozostałe ustawiłam rzędem przed sobą i razem się modliliśmy.

Błagamy cię, Ganeśa, nie opuszczaj nas. Popatrz na nie – prosiłam. - Są takie niewinne i takie małe. Proszę cię, zwróć im ojca.

Na drugi dzień nic się nie zmieniło. Aja wciąż leżał nie przytomny.

Spuściłam wzrok i zobaczyłam, że ktoś zawiesił mi na rękach szklane bransoletki troski i strachu. Migotały w świetle i błyszczały z daleka. Ich niesłyszalny brzęk tak mnie zaabsorbował, że zrobiłam rzecz nie do pomyślenia. Przestałam jeść. Zapomniałam o mieszkającej we mnie małej osobce. Przez cztery dni głodziłam niczemu niewinne dziecko. Piątego dnia ocknęłam się zdezorientowana na ławie, cała obolała.

Patrzyłam, jak dzieci pałaszują ulubione śniadanie - wywar ze słodkiego fioletowego korzenia. Widok jedzących dzieci rozdziera serce przerażonej i samotnej matce. Przeżuwały kęsy z otwartymi ustami, fioletowy płyn przelewał się przez różowe jęczyczki. Na białą koszulkę Sevenesea skapnęło więcej fioletu. Patrząc na nie, takie małe i bezbronne, byłam chora ze strachu. Jutro skończę dziewiętnaście lat, myślałam. Łzy szczypały mnie w oczy i zniekształcały obraz moich dzieci, ich nie winne brudzenie się i drobne ząbki. Zdarzało się, że czyjaś twarz płakała, podczas

gdy jej właściciel stał osobno i układał straszliwe plany, widział okropne rzeczy. To właśnie działo się ze mną. Zobaczyłam, jak w oddali rozwiewają się wszystkie pieczołowicie pielęgnowane przeze mnie marzenia i nadzieje. Patrzyłam, jak odpada z nich ciało. Był to przerażający widok. A kiedy odwróciłam od niego wzrok, w kącie ujrzałam swój chichoczący szyderczo los, a w jego metalowej szkatule moje uwięzione bezcielesne marzenia. Strach przerodził się w agresję.

Wbiegłam do pokoju modlitw. Przy ołtarzu zanurzyłam drżący palec w srebrnej miseczce z czerwonym kam kam i namazałam tak dużą i nierówną kropkę na czole, że prawie całe je pokryła.

"Zobacz, zobacz! - zawołałam do obrazu Ganeśi. - Jeszcze mam męża". Patrzył na mnie spokojnie.

Reszta bogów, do których modliłam się, odkąd sięgam pamięcią, też spoglądała z tymi samymi co zawsze zadowolonymi z siebie minami. A ja przez owe wszystkie lata naiwnie brałam ich półuśmiechy za znak łagodnej szczodroblewości. Gwałtowny war w mojej głowie wylał mi się na język słowami gniewu. "Zabierz go, jeśli musisz! Zrób ze mnie wdowę w dniu urodzin! - wybelkotałam wściekle, rzucając bóstwu wyzwanie i ścierając czerwoną kropkę na czole. No, dalej - zaskrzeczałam dziko - tylko nie myśl, że utopię dzieci w studni albo że położę się i umrę! Będę żyła! Będę je karmiła i wyprowadzę na ludzi! Więc dalej! Zabierz tego bezużytecznego człowieka! Weź go sobie, jeśli musisz!" Ledwie po wypowiedzeniu tych ostrych, brzydkich słów za mknęłam usta, sprzed domu - przysięgam, że to prawda - ktoś zawołał mnie po imieniu. Pod drzwiami stała znajoma ze świątyni, szpitalna posługaczka. Przyszła zawiadomić, że mój mąż odzyskał przytomność. Jest lekko zamroczony, ale pyta o dzieci i żonę.

Patrzyłam na nią, nie posiadając się ze zdumienia. Boży posłaniec? Gdy rzuciłam okiem na moje poczerwienione czoło, uzmysłowiłam sobie, że od trzech dni się nie kąpałam. "Chwileczkę, wezmę szybko prysznic" - powiedziałam z sercem skaczącym w piersi. Hieny podchodziły do mnie, niosąc w okrutnych szczękach niebiańskie kwiaty. Bóg odpowiedział na moje modły. Usłyszał mnie. Kręciło mi się w głowie z radości. Ganeśa tylko mnie próbował, bawił się ze mną, tak jak ja bawiłam się z dziećmi.

Wylałam sobie kubel zimnej wody na głowę i ramiona i raptem straciłam dech. Czy to z powodu wstrząsu, jakiego doznało w zetknięciu z nią moje osłabione ciało, czy może dlatego, że od trzech dni nie jadłam, w każdym razie płuca mi zastygły. Odmówiły posłuszeństwa. Kolana ugięły się pode mną, upadłam na mokrą podłogę i zaczęłam walić rękami w drzwi. Boży posłaniec przybiegł na ratunek. W oczach posługaczki było przerażenie, i nic dziwnego. Na podłodze łazienki widać się naga kobieta w bardzo zaawansowanej ciąży, z wykrzywioną twarzą i zsiniałymi wargami.

Scena ta zatarła mi się w pamięci, ale dobrze pamiętam, że jasnozielone sari mojej wybawicielki w kontakcie z wodą przybrało odcień butelkowej zieleni. Podźwignęła mnie z trudem,

dysząc z wysiłku. Moje mokre ręce wyslizgiwały się z jej drobnych dłoni. Przerazona, że umieram, oparłam się o szarą ścianę, chwytając powietrze jak ryba, aż raptem mięśnie klatki piersiowej rozluźniły się i stalowe obręcze zwolniły uścisk. Zaczęłam płytko oddychać. Moja wybawczyni okryła mnie ręcznikiem i stopniowo nauczyłam się na nowo oddychać normalnie, jak wszystkie dzieci boże.

Moje oszołomione i wstrząśnięte potomstwo rzuciło się nagle do mnie z krzykiem i szlochem.

Kilka dni później sprowadziliśmy Aję do domu. Po paru tygodniach pojechał rykszą do pracy. Nasze życie powoli wracało do normy, tylko mnie w szczególnie zimne noce lekko rzeziło w piersi.

Po urodzeniu Dzejana przeżyłam szok. Chłopiec miał małe oczka o tępych wyrazie, dużą kwadratową twarz i okropnie chude rączki i nóżki. Pocałowałam go delikatnie w wilgotne, półprzymknięte, maleńkie powieczki, pełna nadziei, chociaż już wtedy wiedziałam, że nie będzie z niego wielkiej pociechy i życie potraktuje go z taką samą pogardą, z jaką odniosło się do jego biednego ojca. Ale nie miałam pojęcia, że stanę się narzędziem, którym posłuży się ono do dręczenia mojego syna. Bóg uznał za właściwe umieścić w jego głowie zaledwie garść słów, pozostawiając pomiędzy nimi wiele wolnej przestrzeni. Dzejjan zaczął mówić, kiedy miał prawie trzy latka. A poruszał się tak, jak mówił. Powoli. Przypominał moich pasierbów, których udało mi się zepchnąć na dno pamięci. Czasem nachodziły mnie wyrzuty sumienia i zastanawiałam się, czy Dzejjan nie jest taki z powodu strasznego wstrząsu, jaki przeżyłam w łazience po wylaniu sobie na głowę wiadra zimnej wody, lub z powodu szklanych bransolet, przez które zapomniałam o jedzeniu.

Mohini uważała, że malec jest uroczy. Tulila jego ciemne, nieruchome ciało w jasnych ramionach i mówiła mu, że ma cerę piękną jak mały niebieski Kriszna. Przyglądał się jej ciekawie.

Był obserwatorem. Jak kot wodził za nią oczami po po koju. Zastanawiałam się, jakie myśli przepływają mu przez głowę. Nie uśmiechał się tak jak reszta dzieci. Łaskotany, wydawał z siebie mimowolne szczekliwe odgłosy wesołości, ale sztuka uśmiechu pozostała mu obca.

Osiem miesięcy po przyjściu Dzejana na świat Mui Tsai urodziła kolejne dziecko. Gdy przyszła po nie Pierwsza Żona Sunga, maleństwo zaczęło wrzeszczeć, aż zrobiło się czerwone.

Było potrzebne na towarzysza dla "jej" pierwszego, rozpieszczonego z braku rodzeństwa synka, który coraz mniej się jej słuchał.

Nadszedł styczeń, sprowadzając nie tylko zwykłe o tej porze monsunowe deszcze, lecz także nowe dziecko. Pani Gopal, obecna przy porodzie, była prędką i praktyczną.

- Zamiast objadać się drogimi krewetkami, lepiej zacznij oszczędzać na posag dla małej - doradziła mi, dzwoniąc kluczami wiszącymi przy fartuchu.

Moja biedna córka miała cerę koloru gorzkiej czekolady. Nawet jako małe dziecko Lalita była wyjątkowo brzydka. Bogowie coraz niedbałej rozdzielali swoje dary. Najpierw przy Dżejanie, a teraz przy tej kruszynie, patrzącej na mnie pełnymi smutku oczami, które niczym wyblakłe oczy bardzo smutnej starej kobiety zdawały się mówić: "Ach, ty głuptasie. Gdybyś wiedziała to, co ja wiem". Zupełnie jakby moja Lalita już wtedy wiedziała, jakie nieszczęście spotka jej płaską twarzyczkę.

Uznałam, że mam już cały przychówek. Garnek nappełnił się po brzegi. Nigdy więcej nieostrożnych chwil w ciemnościach. Mijały miesiące, a Lalita bardzo słabo przybierała na wadze.

Spokojnie poruszała rączkami i nóżkami cienkimi jak u wygłodzonego dziecka. Była cicha jak jej ojciec. Nigdy nie okazywała wylewnie uczuć, myślę jednak, że bardzo kochała Aję.

W jego oczach dostrzegała, że wybacza jej wszelkie wady. Wyjątkowo nieśmiała, niereagująca na żadne zaczepki, żyła we własnym zmyślonym świecie. Godzinami chodziła po ogródku warzywnym, odwracając liście i kamienie, zaglądając pod nie i zwierając się szeptem z tajemnic istotom, które tam znajdowała. Kiedy urosła i niewidzialni znajomi ją opuścili, życie potraktowało ją bardzo niemiło. Znosiła wszystko, co na nią spadało, bez walki. Bez jednego słowa skargi.

Gdy Dżejanowi znudziło się raczkowanie i, mając półtora roku, postanowił wstać, jego cienkie nóżki nie wytrzymały ciężaru ciała. Mama poradziła mi, żebym wykopała w piasku dół i tam go wstawiła. W ziemi nóżki powinny stopniowo się wzmocnić. Głęboki na półtorej stopy dół wykopałam tuż pod oknem w kuchni, by mieć oko na malucha, kiedy gotowałam. Wstawiałam go do dziury rano i trzymałam tak przez wiele godzin. Często dla towarzystwa przysiadła przy nim Mohini. Stopniowo nóżki się poprawiły, a gdy już mógł na nich samodzielnie ustać, dół został zasypany.

Tymczasem Lakszmana i Mohini skończyli sześć lat i rozpoczęli naukę. Przed południem chodzili do szkoły zwykłej, w której uczyli się angielskiego, a po południu do miejscowej, gdzie uczono ich pisać i czytać po tamilsku. Lakszmana nosił granatowe spodnie i białą koszulę z krótkimi rękawami, a Mohini granatowy fartuszek i białą bluzkę. Uzupełnieniem szkolnych mundurków były białe skarpetki i tenisówki. Szli obok mnie, trzymając się za ręce. Serce rosło mi z dumy na widok ich nerwowego podniecenia. Pierwszy dzień w szkole. Również dla mnie. Nigdy nie chodziłam do szkoły i byłam uszczęśliwiona, że mogę dać moim dzieciom coś, co mnie ominęło. Tego chłodnego ranka wyruszyliśmy wcześniej i po drodze najpierw zaszliśmy do świątyni uzyskać błogosławieństwo. Położyliśmy przed nią podręczniki, Lakszmana pociągnął za dzwonek, a ja rozbiłam kokos.

Kiedy miałam dwadzieścia cztery lata, a Lalita cztery, przyszła kartka od wuja, handlarza owocami mango. Wydawał córkę za męża i zapraszał całą naszą rodzinę na ślub. Aja nie

mógł jechać, bo wykorzystał już urlop. Zapakowałam najlepsze sari, biżuterię, wyszywane paciorkami złote pantofle, dzieci i ich najlepsze ubrania.

Przyjechał po nas ten sam lśniący czarny samochód, który zabrał mnie i Aję z nad zatoki w Penangu, ale szofer Bilal przeszedł już na emeryturę. Inny, szeroko uśmiechnięty kierowca w mundurze khaki grzecznie dotknął mycki i zapakował nasze torby do bagażnika. Wsiadłam do skózanego wnętrza auta z uczuciem nostalgii. Przyjechałam tu jako dziecko, a w tej chwili trącały mnie i ocierały się o mnie paplające z podniecenia małe ciała, zrodzone z mojego łona. W chłodnym porannym powietrzu na krótko mignęła mi przeszłość. Miałam wrażenie, że kobietę ze zdeformowanymi stopami i sznur płukarek dulang widziałam wieki temu. Jak bardzo zmieniło się moje życie. Jakże łaskawi okazali się dla mnie bogowie. Na zewnątrz cienkiej bańki moich myśli dzieciaki kłóciły się i walczyły o miejsce przy oknie. Sevenese szczypał ciemną skórę Dzejana.

Odruchowo trzepnęłam go po palcach.

Anna strasznie się rozchorowała. Usadowiony na przednim siedzeniu jak król Lakszmana, któremu wpadający przez otwarte okno wiatr rozwiewał kędzierzawe włosy, obrócił się z ciekawością i niesmakiem. Widząc w lusterku, że kierowca patrzy na Mohini, zdusiłam w sobie wybuch irytacji. Musiałam szybko wydać ją za męża. Wielka uroda córki to utrapienie dla matki.

Mohini miała dopiero dziesięć lat, a już przy ciągała męskie spojrzenia. Niejedną nieprzespaną noc spędziłam w kuchni, martwiąc się tym. Przyjacielskie duchy szeptały mi do ucha ostrzeżenia. Powinnam ich posłuchać. Wystawić jej białą skórę na pałac słońce. Własnoręcznie oszpecić jej twarzyczkę brzytwą ojca.

Prawdziwa niespodzianka czekała mnie w rezydencji wuja. Po pierwsze, mieszkał na wzgórzu, a na wzgórzach mieszkali w zasadzie tylko Europejczycy, i po drugie, w bardzo dużym, a właściwie ogromnym dwupiętrowym domu z wysokimi po kojami, werandami z kolumnadą i okazałym dwuspadowym dachem. Zbudowano go, jak wyjaśnił mi potem z dumą, w stylu angielskiej regencji, stworzonym przez Johna Nasha. Z nabożnym podziwem profanki wysłuchałam imponującego wykładu wuja o związkach neoklasycznych anglo-hinduskich linii architektonicznych tego domu z humanizmem i ideałami klasy, o prestiżu i elegancji.

Trzecią całkowitą niespodzianką była jawna nienawiść zupełnie mi nieznaney żony wuja.

Poczułam, że mnie nienawidzi, zaraz po otwarciu drzwi, kiedy się do mnie uśmiechnęła. Stałam jak wryta, lecz po krótkiej chwili nadbiegł wuj i utonęłam w jego objęciach. Z niedowierzaniem i zachwytem przyjrzał się Mohini, z uznaniem pokręcił głową, widząc, jak wysoki i silny jest Lakszmana, ale to poważna Anna wycisnęła mu z oczu łzy. Była drobna jak na swój wiek.

Oczy miała tak rozkoszne, że chciało się wziąć ją na ręce i ugryźć w policzki apetyczne jak jabłuszka.

- Co za twarz! - wykrzyknął, podnosząc ją i szczypiąc w liczka. - Wykapana moja matka!

Starł z kącików oczu łzy, ukląkł na podłodze, ucałował Dzejana i Sevenesea i gestem zaprosił nas do środka. Lalitę musiał pominąć, bo w przypływie nieśmiałości skryła się w fałdach mojego sari.

Zharmonizowane z sobą kamienna posadzka, głębokie we randy i wydłużone okapy tworzyły cudownie chłodne wnętrze. Rozglądając się po nadzwyczaj bogato urządzonej salonie, dostrzegłam liczne luksusowe przedmioty pochodzące ze wszystkich stron świata. W oszklonych szafach śliczne figurki z jadeitu, piękne angielskie meble, wyborne perskie kobierce, wspaniałe francuskie lustra w złotych ramach i fotele kryte brokatem. Dom przypominał złodziejskie gniazdo.

Mój ujmujący wuj był zaiste bardzo bogaty. Przestał być skromnym handlarzem mango. Jak się później okazało, zainwestował pieniądze w dochodową produkcję kauczuku i cyny. Nic dziwnego, że przed rezydencją stało tyle ciężarówek.

Ciotka zaprowadziła nas do wielkiego pokoju z drzwiami na balkon, skąd rozciągał się widok na małą, bardzo ładną wieś Minangkabau. Instynktownie czułam, że żona wuja z nie pojętego powodu mnie nie lubi, ale i tak byłam podekscytowana. Szczególnie cieszyłam się na wspaniałe wesele. Do sali wynajętej w miejscowym ratuszu zaproszono pół tysiąca gości. Przez dwa dni szykowano potrawy w wielkich żelaznych garach. Kiedy wreszcie zaszliśmy do kuchni, ujrzelśmy na wielkich tacach pod ścianą dwadzieścia jeden różnych ciast i słodkości. Rój pań w sari, przygotowujących do wypieku ciasta i ciasteczka, papłał i plotkował. W wielkich żelaznych rondlach pyrkotały najrozmaitsze wegetariańskie curry. Gdy spojrzałam na mój przychówek, z przerażeniem stwierdziłam, że Sevenese tłustymi łapkami pośpiesznie upycha w ustach garście słodkich muszelek.

Nazajutrz ubrałam dzieci w nowe stroje, zadowolona, że nieprzespane noce, kiedy cięłam i zszywałam drobniutkimi ściegami materiał, nie poszły na marne. Nieczęsto oglądałam je wystrojone jak lalki. Wszystkim trzem córeczkom uszyłam identyczne zielono-złote kreacje.

Anna wyglądała czarująco, Lalita ładnie, a Mohini jak prześliczna syrena z błyszczącymi, promiennymi oczami. Gdy po zejściu na dół na umalowanej twarzy ciotki ujrzałam gniewny skurcz i tłumioną zawiść, poczułam przewrotną dumę, że moje żywe jak srebro, niewinne dzieci mają taką moc.

To było fantastyczne przyjęcie, bajeczny pokaz bogactwa. Parkiet ogromnej sali w ratuszu zdobiły zawile klasyczne wzory kolam, pracowicie na czworakach wyrysowane przez malarki drobną ryżową mąką rozrobioną w wodzie. Pod sufitem, przystrojonym setkami

jasnożółtych, splecionych w ładny warkocz liści palmy kokosowej i powiewającymi jak zielone chorągiewki liśćmi mango, kolorowe gromadki kobiet w drogich złotych i jedwabnych sari plotkowały w jazgocie trąbek i dudnieniu bębnow. Środkiem biegł szpaler z pięćdziesięciu młodych, uciętych u podstaw lśniących pni drzewek bananowych, uginających się pod ciężarem zielonych owoców.

Na końcu tej alei, na wysokim podeście czekał na nieśmiałą pannę młodą przystojny, dumny i niezmiernie z siebie zadowolony pan młody. Kiedy w drzwiach sali pojawiła się oblubienica, zaśniła jak figura bogini noszona w święta na procesji. Rzucalo się w oczy, że jej ojciec jest bogaczem. Sznury drogich kamieni spływały jej na czoło, a szyję i kibić opasywały grube złote łańcuchy.

Po wymianie obrączek, girland i zawiązaniu złotego łańcucha thali w drugim końcu wielkiej sali zaczęto przygotowania do wielkiej uczy. Mali chłopcy ze stosami liści bananowych szybko ułożyli z nich na podłodze długie zielone szeregi. Na pływający goście rzędami siadali po turecku, każdy przed swoim liściem, i czekali. Gdy sala zapełniła się siedzącymi plecy w plecy weselnikami, weszli kelnerzy z aluminiowymi wiadrami i warzączkami zaczęli nakładać jedzenie. Rozgwar głosów przycichł i rozległy się odgłosy ucztowania. Podano kwaśny żółty ryż, ryż zwykły i wszelkie odmiany wegetariańskich dań do wyboru, a po nich słodki bulion, kasturi i laddu.

W zielonym namiocie na zewnątrz ratusza ustawiono na kryty białymi obrusami, talerzami i przystrojony kwiatami stół dla europejskich gości. Mieli jednakowe, po królewsku łaskawe, ale nieprzystępne miny. Dobrze się im przyjrzałam. Wyglądali tak dumnie, jakby raczyli tu przyjść z łaski. A nawet z miłosierdzia. Zafrapowana patrzyłam, jak jedzą, używając noży i przyborów podobnych do malutkich wideł.

Mohini przyciągnęła wiele ukradkowych spojrzeń - za chwyconych, zawistnych, kalkulujących, czy nadałaby się na żonę dla dorastającego syna. Niestety, późnym popołudniem tego ekscytującego, pełnego przepychu i blasku dnia rozchorowała się. Prędko wsiedliśmy do samochodu wuja, lecz już w drodze dostała wysokiej gorączki, a żołądek rozboleł ją tak.

że jęczała.

Wuj chciał wezwać lekarza, ale zachowująca nieprzejednaną minę ciotka cmoknęła z irytacją językiem i posłała służącą po olejek z miodli. W Menace, skurczonej staruszce z wąskimi ramionami i szkieletowe chudymi rękami, piękne pozostały ciemne oczy w oprawie z gęstych, długich rzęs. Uwielbiałam patrzeć na twarze bardzo starych ludzi, a jej twarz była wyjątkowa.

Jak pełna treści książka historyczna, A każda zmarszczka jak fascynująca strona. Niewiele wyższa od Mohini staruszka musiała stanąć na palcach, żeby wlać mojej córce do ust olejek z miodli.

- Jutro rano będzie jak nowa - powiedziała ciotka.

Nadzwyczaj długie rzęsy służącej opadły posłusznie w dół, ale gdy tylko odziana w złoto i fiolety żona wuja wykolebała się z pokoju, Menaka przysunęła się do mnie i zapewniła szeptem:

- To nie jest niestrawność, tylko urok!

Tyłu patrzyło dziś z zazdrością na moją piękną córkę, że odbiły się na niej ich złe myśli, wyjaśniła. Zapadnięte oczy staruszki nalegały, bym jej uwierzyła. Trzepocząc jedwabistymi rzęsami, dodała, że złe spojrzenia niektórych mogą nawet zabić. Podziwiana przez nich roślina następnego dnia usycha i umiera. Widziała już takie rzeczy.

Zacisnęła szponiastą dłoń na mojej ręce. To prawda, że dla unieszkodliwienia złego oka i ochrony przed zazdrośnymi spojrzeniami ludzie szpecili nieskazitelną urodę swych bezbronnych dzieci, malując im na buziach czarne kropki. Ale Mohini nie była niemowlęciem. Zdezorientowana, spojrzałam na staruszkę.

- Co mam zrobić? - spytałam.

Wyszła na dwór i podniosła grudkę ziemi. Następnie, mruczając pod nosem modlitwy, z dwóch innych miejsc przy domu wzięła jeszcze dwie grudki. Potem wróciła i do przyniesionej ziemi dodała soli oraz suszonego chili. Trzymając tę mieszankę w złożonych dłoniach, kazała mojej córce napluć na nią trzy razy. Mohini ze zboląłą miną trzymała się za żołądek, bo olejek z miodli nic nie pomógł.

- Te oczy, tamte oczy, wszystkie oczy, które spoczęły na tej osobie, niechaj spłoną - zanuciła staruszka, podpalając mieszankę.

Zgromadzeni wokół niej, patrzyliśmy na czysty niebieski płomień. Sól i chili syczały i trzaskały. Gdy ogień się dopalił, Menaka zwróciła się do Mohini i spytała:

- Jak się czujesz?

Ku mojemu niepomiernemu zdumieniu córce przeszły ból i gorączka. Bardzo podziękowałam drobniutkiej starszej pani. Skromnie skinęła głową.

- Pani córka to królowa. Niech wystrzeżę się ciekawskich spojrzeń - poradziła Menaka, wysuszoną dłonią gładząc z czcią gęste, lśniące włosy Mohini.

Był 13 grudnia 1941 roku i właśnie pakowałam się do wyjazdu, kiedy do naszego pokoju wbiegł w dzikim popłochu rozczochrany wuj i wstrząśnięty oznajmił, że Japończycy na padli na Malaje. Myśmy ucztowali i świętowali, a oni tymczasem zbombardowali Amerykanów w Pearl Harbor i wylądowali w Penangu. Wielcy, krzepcy brytyjscy żołnierze, których uważaliśmy za niezwycięzonych, uciekli, zostawiając nas na niepewny los. Wuj cały się pienił i pryskał śliną, opisując tłumy, które jak stado nierozumnych zwierząt zebrały się na targu. Ci durnie, gapiąc się w niebo na błyszczące, metalowe ptaki, z cielecym podziwem patrzyli, jak na głowy zrzucają im bomby, i w swojej naiwności cały czas wierzyli, że to samoloty potężnych Brytyjczyków,

przybyłych z odsieczą. Trzeba było widzieć ich żałosne, oszalałe miny, gdy podnosili z rumowisk urwane i zmiażdżone członki.

Wojna! Co oznaczała dla mojej rodziny? W przerażonej, złanej potem twarzy wuja wyczytałam wszystkie straszne odpowiedzi na moje pytania.

- Wkrótce tu będą. Trzeba ukryć ryż, kosztowności...

Nad naszymi głowami zaryczał nisko przelatujący samolot. Wuj zadrżał i pełnym złych przeczuć głosem powiedział:

- Już są.

Drogi były zablokowane. Podróż wykluczona. Musieliśmy zostać.

Rezydencja wuja była piękna, na stole zawsze dobre jedzenie, ale ciotka dawała mi odczuć, że jestem niepożądanym gościem. Wuj rzadko bywał w domu, biegając wraz z innymi biznesmenami, którym groziły wielkie straty, z jednego zebrania na drugie. Przez dwa tygodnie ciotka sączyła po cichu tajemniczą niechęć do mnie. Nie znając przyczyn jej wrogości, byłam bezsilna. Pewnego dnia weszłam do kuchni, a ona spojrzała na mnie i, obracając się do służącej, głośno powiedziała:

- Niektórzy udają, że przyjeżdżają z wizytą na dwa dni, a potem, bo tak im wygodnie, siedzą miesiącami.

Gdy nadeszły wieści o zablokowanych drogach, byłam spakowana i gotowa do wyjazdu.

Ciotka wiedziała o tym. Widziała moje bagaże. To nie ja zaplanowałam japońską inwazję. Dlatego zdecydowałam, że już dość milczenia. Podeszłam do niej.

- Za co mnie tak nienawidzisz? - spytałam cicho.

- Bo pożyczyłaś od mojego męża pieniądze i nie oddałaś z procentem - wysyczała jadownicę, przysuwając spoconą twarz do mojej.

Przysunęła ją tak blisko, że widziałam pory jej skóry, stłumione niezadowolenie w skrzywionych ustach i czułam woń jej chciwości.

Oslupiała, otwierałam i zamykałam usta, nie wierząc własnym uszom. Wreszcie oderwałam wzrok od jej pospolitej, karykaturalnie wykrzywionej gniewem twarzy, przeżuwiających jedzenie, dziwacznie wiśniowych ust i podmalowanych zimorodkowym błękitem, wściekłych oczu.

Zaczerwieniłam się, jakby przyłapała mnie na kradzieży jednego z nadzwyczajnych eksponatów, które trzymała pod kluczem w gablotach. Moje spojrzenie spoczęło na naturalnej wielkości, drewnianej figurze tancerki z Bali. Jej delikatną uśmiechniętą twarz wyrzeźbiono cudownie w hebanie, a wysadzany klejnotami, będący rozkoszą dla oka wymyślny strój głowy świadczył o kunszcie rzeźbiarza. Pomyślałam o licznych ciężarówkach stojących przy domu i

stosach worków ryżu, piętrzących się aż pod wysoki sufit rezydencji w stylu angielskiego klasycyzmu.

Jak ta kobieta, mieszkająca we wspaniałej siedzibie, po brzegi wypełnionej bogactwem, o którym większość ludzi może tylko śnić, obsługiwana na czworakach przez stado służby, mogła wypominać taki drobiazg jak procent od nie wielkiej pożyczki udzielonej przed laty borykającej się z biedą krewnej? Jakże chciwa była ta istota.

- Proponowałam zwrot pożyczki z procentem, ale wuj od mówił - odparłam wreszcie.

Rumieńce ustąpiły. Ogarnął mnie zimny gniew i współczucie dla biednego ukochanego wuja. Nikomu nie życzyłam takiej podłej żony, a już zwłaszcza jemu. Postanowiłam wyjechać natychmiast, nawet gdybym miała wracać do Kuantanu na piechotę, z dziećmi na plecach. Być może ciotce wcale nie chodziło o pieniądze, tylko o rzucającą się w oczy, najprawdziwszą sympatię wuja do mnie i moich dzieci, ale w owym czasie byłam bardzo dumną osobą. Wiedziałam, że nie mogę zostać chwili dłużej, niż zabierze mi przygotowanie się do wyjazdu. Po powrocie wuja zawiadomiłam go o swojej decyzji, a ponieważ w żaden sposób nie zdołał mnie od niej odwieść, z ciężkim sercem załatwił nam przejazd łodzią. Oznaczało to długą, uciążliwą podróż, w dodatku pewnie niebezpieczną, mimo to się nie ugięłam. Mocno zacisnęłam usta.

Dzieci piszczały z uciechy, z trudem opanowując podniecenie wywołane czekającą je podróżą łodzią. W ich radosnej paplaninie zaroilo się od łagodnych słoni, ratujących nas delikatnymi trąbami z klów ryczących tygrysów. Moje zaciśnięte usta nie zgasiły ich entuzjazmu.

Żona wuja nie wyszła nas pożegnać. Odezwała się do mnie dopiero po tym, jak Japończycy za brali jej wszystkie piękne przedmioty. Do tego czasu mój biedny wuj stracił cały majątek. Za dużo zainwestował w kauczuk w chwili, gdy jego cena spadła. Przyciśnięta biedą, ciotka na pisała do mnie list z prośbą o zwrot procentu od pożyczki. Natychmiast wysłałam jej pieniądze.

Menaka wybiegła do nas z domu z własnoręcznie zrobionym ze spalonego krowiego łajna środkiem odstrasającym owady. Posypałam dzieci szarym popiołem i wyruszyliśmy w drogę z człowiekiem wynajętym przez wuja.

Rozpoczęliśmy podróż na skraju cuchnącej, stęchłej dżungli.

Nie był to romantyczny las z moich wyobrażeń. W otaczającym nas zewsząd zielonym półmroku wszystko zwijało się, panoszyło, rosło. Grube, poskręcane liany czepiały się moich rąk, jakby miały ogromną ochotę wpić się we mnie ostrymi ssawkami. Krew to w końcu najlepszy nawóz. Strzelające na kilkadziesiąt metrów w górę, wysokie, proste jak kolumny w rezydencji wuja, pozbawione gałęzi pnie drzew dopiero na samym szczycie, dotarłszy do powietrza i światła, buchały w niebo zielenią.

W pewnym momencie usłyszeliśmy gruby ryk. Dżungla bawiła się tym dźwiękiem, przepuszczając go przez płataninę pnączy i lian, aż nas ogłuszył. Gdy przewodnik oznajmił, że był to głos tygrysa, rząderek moich wystraszonych dzieci zafalował niczym łan wysokiej trawy w podmuchu wiatru. Nacieszywszy się widokiem naszego przerażenia, zapewnił, że nie mamy się czego bać, bo tygrys jest bardzo daleko. Nie przy śpieszył kroku i wkrótce strach, że pośród zieleni dojrzymy czarno-pomarańczowe pręgi, osłabł.

Z powodu wilgoci ubrania kleiły się nam do skóry, a powietrze zatykało, jakbyśmy oddychali parą. Brnęliśmy przed siebie z trudem, w okropnym zaduchu pomieszanym z odorem gnijących liści. Żałosny jęk moskitów, pozostających poza kręgiem woni przygotowanego przez Menakę środka na owady, też jakby pobrzmiwał zgnilizną. Posuwaliśmy się na ogół bez przeszkód, tylko czasem przewodnik musiał odrąbać jakąś gałąź lub zwisające pnącze.

Niebawem dotarliśmy na brzeg szerokiej i rwącej rzeki, gdzie czekała łódź. Zmówiłam żarliwą modlitwę do boga Ganeśi, który usuwa wszelkie zawady. "Nie dopuść, żeby ta rzeka zabrała któreś z nas. Niechaj szczęśliwie dotrzemy do domu, drogi słoniowy boże". A potem ostrożnie wsiedliśmy.

Nasz szczupły przewoźnik był tubylcem. Miał grubo ciosane rysy, mocno kręcone miodowo brązowe włosy, a skórę opaloną na głęboki heban od ciągłego przebywania na słońcu.

Kiedy usiadł nieruchomo w drewnianej łodzi, stał się jej częścią, kierując starą hałaśliwą krypą tak, jakby był z nią zrośnięty. Okazało się, że mimo niezbyt przyjemnego wyglądu, jest dobroduszny i zrównoważony. Raz, gdy próbował uciąć dużą kiść bananów zwisających nad wodą przy brzegu, łódź zaryła się w lepkie błoto. Po ułożeniu żółtawych owoców na jej dnie zsunął się w sięgający piersi miękki muł, silnymi pociągnięciami uwolnił ją ze szlamu, ze zręcznością delfina wskoczył na pokład i uśmiechnął się szeroko, odsłaniając fioletowe dziąsła.

Był skarbnicą wielu fascynujących historii o zatopionym starożytnym mieście khmerskim, spoczywającym pod wieloma warstwami mułu na dnie jeziora Cini. Melodyjnym głosem przywołał legendę o mieszkańcach Khmeru, którzy pragnąc uchronić swoje kambodżańskie miasto przed atakiem, zatopili je na wieki, a sami zginęli w ostatnim starciu.

Jego grube rozciągliwe usta snuły opowieści o żyjącym na dnie jeziora Cini mitycznym potworze z wielkim jak głowa tygrysa rogatym łbem i potężnym sfałdowanym ciałem, od którego poruszeń powstawały fale z łatwością wywracające łodzie. Słuchającej go z szeroko rozwartymi oczami dzieciarni zdradził, że bestia ta pływała podobno tą samą trasą co my, rzekami Cini i Pahang. Przewoźnik trafił na wdzięcznych słuchaczy, ale kiedy łódką zaczęły kołysać krótkie, strome fale, wystraszeni nie na żarty malcy podnieśli krzyk, przekonani, że pod nami naprawdę jest potwór, który wypłynął na żer.

W pewnej chwili na zwieszającej się gałęzi wylądował przepiękny mieniący się pomarańczowo ptak i przejrzał się w wodzie. Minęliśmy wielkie drzewo. Na jego potężnych konarach siedziały gromadnie miniaturowe małpy. Przewoźnik zgasił silnik. Nagłej ciszy odpowiedziała cisza. Kolonia malutkich, szarobrazowych jak szczury małek zamarła i zamilkła, obserwując nas obserwatorów oczkami lśnącymi jak mokre kamyki. A potem jedna wskoczyła z cichym pluskiem do wody i zaczęła płynąć ku nam. W jej ślad, cicho pluskając, poszły inne. Wkrótce w rzece zaroilo się od nich.

Dzieci oniemiały z zachwytu i tajonego strachu. Czy one gryzą? Łapia, drapia? Zaniepokojona, spojrzałam na przewoźnika, ale uspokoił mnie uśmiechem. Z pewnością nie robił tego pierwszy raz. Wyjętym z kieszeni kozikiem odciął z dużej kiści bananów kilka owoców, resztę szybko przykrył jutowym workiem i dał po bananie każdemu z dzieci.

Pierwsza małpka, która podpłynęła do steru, była prawdopodobnie przewodnikiem stada.

Mokre futerko przylgnęło do jej chudego zwinnego ciała. Przyjrzała się nam z zaciekawieniem dużymi, okrągłymi oczami, małymi czarnymi łapkami błyskawicznie wyrwała z rąk Lakszmany owoc i obrała go z zadziwiającą zręcznością. Skórka pofrunęła do wody. Przed zatonięciem przez chwilę przypominała bladożółty kwiat. Trzy ugryzienia i banan zniknął. Mały pyszczek poruszał się szybko. Nie spuszczać ani na chwilę sprytnych oczek z naszych twarzy, małpka wyciągnęła łapkę po dokładkę. Mohini chciała jej dać swojego banana, lecz natychmiast pochwyciła go inna, która była bliżej. Na łódź zaczęły się wspinać następne. Wkrótce banany zniknęły. Siedzące rzędem na rufie mokre, ciekawskie zwierzaki z miłymi pyszczkami zaczęły szczebiotać i klócić się. Łakomie patrzyły na nasze puste ręce. W oczach ich przywódcy zauważyłam domysł. Jakby wiedział, że pod jutowym workiem jest więcej przysmaków. W naszą stronę zdążyły wciąż nowe małpki. Pływały w szarobrazowych grupach. Poruszały się w wodzie szybko i bez głośnie. Nagle zrobiło się ich setki.

Tak oto stado nieszkodliwych włochatych istot przybrało rozmiary plagi. Byłam matką płynącą łodzią z bardzo małymi dziećmi. Żadne nie umiało pływać.

- Odplywajmy! - krzyknęłam do przewoźnika.

Bez strachu i pośpiechu uruchomił silnik, a wtedy wszystkie małe stworzonka jak na komendę z wdziękiem skoczyły do brunatnej wody i popłynęły do brzegu. Wkrótce zniknęły nam z oczu w zielonym listowiu, by niebawem wyrosnąć niczym brązowe kwiaty na rozłożystych gałęziach wielkich drzew. Byłam rada, że je zobaczyłam. Te piękne małpki okazały się całkiem nieszkodliwe.

Miłą dalej aż usiedliśmy ze zdziwienia. Rzeka nieoczekiwanie zamieniła się w zdumiewający tunel z kwitnących lian. Obsypane kwieciami pnącza opadały do wody i w

bezwstydnym uściskach splatały się z gęstwiną drzew zwieszających się nad rzeką, spowijając je we wszystkie odcienie koloru lila. Przypominało to czarodziejską grotę ze snu. A do tego w górę wzbijały się cudownie barwne chmury spłoszonych przez nas przepięknych pomarańczowo-czarnych motyli z fantazyjnie karbowanymi brzegami skrzydeł.

Wreszcie podróż dobiegła końca. W Kuantanie było niesamowicie cicho. I tu dotarła wojna.

Aję zastałam w progu domu. Ręce trzymał w kieszeniach spodni. Po jego zdenerwowanej minie poznałam, że wydarzyło się coś niedobrego.

- Co się stało? - spytałam, uwalniając szyję z małpiego uścisku Lality i stawiając ją na ziemi.

- Splądrowali nam dom - odparł ponuro.

Wyminęłam go i weszłam do środka. Nie zostało nic. Naczynia, garnki, ubrania, stoły, krzesła, pieniądze, łóżka dzieci wraz ze starymi materacami, oprawione w ramki wyszywane kwiaty, które haftowałam po nocach - wszystko przepadło. Nawet zniszczone firanki, wymagające już zastąpienia przez nowe. Zostaliśmy tylko z tym, co zabrałam z sobą na wesele. Na szczęście wzięłam całą biżuterię, cztery najlepsze sari i najlepsze ubranka dzieci. W ogołoconym domu zostały tylko ciężkie żelazne łóża i moja ława - ich wyniesienie wymagało za dużo fatygi.

Nie zrobili tego japońscy żołnierze. Ci zjawili się bowiem nieco później i nie kradli wszystkiego jak leci. Złupili nas kulisi mieszkający po drugiej stronie głównej drogi - w hinduskim osiedlu bardzo biednych robotników, sprowadzonych tu z Indii do najcięższych robót przy budowie kolei i nacinaniu drzew kauczukowych. W Indiach byli pariasami lub należeli do jednej z niższych kast - chrześcijańskich neofitów. Przez lata patrzyliśmy na nich krzywym okiem spoza maski wyższości, jak upijają się, pomstują, przeklinają, regularnie biją żony i przynajmniej raz do roku płodzą nowego bosonogiego małego łobuza, aby wtargnął w nasz czysty, bezpieczny świat. A teraz wzięli odwet. Z pewnością obserwowali nasz dom, a kiedy zorientowali się, że Aja wyszedł na cały dzień, skorzystali z okazji. Wypadłam z domu i z ulgą stwierdziłam, że ziemia w miejscu, gdzie zakopałam puszkę z oszczędnościami, jest nienaruszona.

Anna

Wspomnienia? O tak, mam wspomnienia, ale odległe i nie zbyt wyraźne. Są jak motyle. Jak magiczne kolorowe drobiny, którymi bawi się chłopczyk czas. Nikt nie śmie go przestrzec:

"Nie ruszaj ich, bo ze skrzydeł opadnie im pyłek, stracą blask i już nie polecą".

Noszę w sobie wspomnienia osobliwych wydarzeń, które chyba nie miały miejsca. Może mi się przyśniły, lecz w swoim banku pamięci przechowuję wyraźny obraz siebie samej:

zwinęta na kolanach Mui Tsai ssę jej piersi, a płynące po jej smutnej twarzy łzy skapują mi na włosy. Oczywiście nic takiego się nie zdarzyło, jednak ostrość tego obrazu często zbija mnie z tropu.

Motyl z największymi, najsilniejszymi skrzydłami to mama - wielkie jasne promienne światło w naszym domu. Bez wątpienia wywarła największy wpływ na nasze życie. Po powrocie ze szkoły natychmiast wyczuwałam w powietrzu jej obecność. Czułam ją w jedzeniu, które gotowała, widziałam w oknach, które otwierała, i słyszałam w słodkich, staroświeckich tamilskich piosenkach, których słuchała przez radio. Za nim dorosłam do szkoły, krążyłam za nią cichutko po domu, z niepokojem patrząc na jej ruchliwe, nie znające spoczynku plecy. Rano, zaraz po wyjściu taty, chwytła za największą gałkę radia, jeżdżąc małą czerwoną wskazówką po przyćmionej żółtej skali. Przesuwający się wskaźnik wydawał niesamowite, pojedyncze dźwięki, ucinał w pół słowa napotkane głosy, aż wreszcie mama natrafiła na właściwą stację i dom wypełniała radosna muzyka i melodyjne pienia. A wtedy zabierała się do codziennych, niemających końca zajęć.

Nigdy nie zapomnę, jak wyjechała na dwa dni w odwiedziny do znajomej. Wyglądało to tak, jakby w tamto słoneczne popołudnie zabrała z sobą całą treść, serce naszej rodziny. Kiedy po powrocie ze szkoły zatrzymałam się w progu wyludnionego, opustoszałego domu, pomyślałam, że tak bym się poczuła, gdyby mama nagle umarła. Raptem, niczym cios w brzuch, dotarło do mnie, że jej silne ręce są miłością, śmiechem, pięknymi strojami, pochwałami, jedzeniem, pieniędzmi i mocą, dzięki której wszystkim nam świeci przyjazne słońce. Ale po strasznym nieszczęściu, jakie nas dotknęło, jej potężna wola nie wystarczyła, by zapewnić nam jasne niebo i słoneczne dni, by przegonić ciemne chmury z piorunami, granatowe od srogich burz.

Mama była jak potężny angielski dąb, na którego mocarnych konarach kręciliśmy się wszyscy bezgłośnie niczym malowane figury na widmowej karuzeli. Tata, Lakszmana, Mohini, Sevenese, Dżejan, Lalita i ja. Wszystkie małe i duże decyzje składaliśmy na wielkim półmisku u jej stóp, a ona dzięki mądrości i sprytowi błyskawicznie wybierała to, co uważała dla nas za najlepsze.

W wieku piętnastu lat zrezygnowała z własnego życia i uznała, że ma prawo żyć poprzez nas. Swoją dziką energię przelała na dzieci. Wymagała od nas rzeczy nieosiągalnych. Pragnęła, żebyśmy zdobyli wszystko to, czego sama nie miała, żebyśmy stali się kimś, kim ona się stać nie mogła. Jej kulą u nogi był tata. Często się na niego wściekała.

Pewnie dlatego, że zadowalał się stanowiskiem bez szans na awans, podczas gdy koledzy z pracy pięli się w górę, przy nosząc do domu więcej pieniędzy. Za nic nie mogła mu wybaczyć miękkiego, pobłażliwego serca, które nie potrafiło widzieć w ludziach istot zepsutych, podłych, chciwych, niestrudzonych w oszukiwaniu bliźnich. Tata gotów był pomóc każdemu.

Pewnego dnia przyprowadził do domu znajomego, któremu obiecał pożyczyć pieniądze.

Przyszli z gotowym skryptem dłużnym, żeby wyjaśnić mamie warunki spłaty. Sama myśl o pożyczce tak ją oburzyła, że o niczym nie chciała słyszeć. Wyjęła skrypt z wielkich dłoni taty i na zdumionych oczach jego i kolegi podarła go na drobne kawałki.

- Pieniądze męża są na jego dzieci. Wszystkie nasze pieniądze są na dzieci - oznajmiła stojącemu z rozdziawionymi ustami gościowi i z promiennym uśmiechem znikła w kuchni.

Takim samym uśmiechem obdarzyła dyrektora naszej szkoły. Pan ellupilai nie wiedział, że pod tym uśmiechem kryje się niemal obsesyjne pragnienie zapewnienia nam tego, co najlepsze, tak mocne, że mama gotowa jest poświęcić wszystko, w tym nas. W jej wielkich planach nasze szczęście się nie liczyło. Pan ellupilai odwiedził mamę, żeby spytać, czy zgadza się, by Lakszmana, jako bardzo inteligentny uczeń, przeszedł z pierwszej klasy od razu do trzeciej. Patrząc, jak wąsaty dyrektor je ciasteczka w kształcie muszelek, uprzejmie skinęła głową i wyraziła zgodę, lecz gdy tylko jego godna postać skręciła na główną drogę, od razu zmieniła skórę. Chwyciła mnie pod pachy, uniosła w górę i niezmiernie podekscytowana zaczęła huśtać, a potem, nie mogąc się opanować, wyrzuciła mnie w powietrze i złapała ze śmiechem. Oczy miała radosne, a jej wygięte w górę usta tworzyły odwróconą, roześmianą tęczę.

Być lepszym, inteligentniejszym, śmielszym - nic więcej się nie liczyło. Porażka to nieposłuszny pies, którego trzymali w domach inni. Nasze - dość częste - niepowodzenia traktowała jak zniewagę. A smutna i niezaprzeczalna prawda wyglądała tak, że nie dorastaliśmy jej do pięt inteligencją ani zdolnościami. Nikogo z nas los nie obdarzył jej talentem. Zrozumieliśmy to bardzo szybko, a w końcu także i ona. Z biegiem lat zmieniła się w wiecznie nieszczęśliwą kobietę, która unieszczęśliwiła również swoje dzieci.

Najpierw jednak opowiem ci o szczęśliwych dniach. O dniach, zanim nasze błękitne niebo pękło na dwoje. Zanim doszło do nieszczęścia, o którym nikt z nas nie mówi. Gdy po dziwiano mamę za to, że tak cudownie chroni rodzinę i dba, byśmy wszyscy wyglądali jak malowanie. Było to tak dawno temu, że czasem mam wątpliwości, czy istniało naprawdę. A przecież istniało. Przed japońską okupacją. Kiedy ze znajdującego się blisko naszego domu obozu brytyjskiego wojska Lakszmana przynosił czekolady zawinięte w gładki zielony papier. Najlepsza szwajcarska czekolada nie umywa się do tych zwykłych tabliczek, które brat oddawał mamie jak trofea, żeby podzieliła je równo między nas. Tak długo rozkoszowałam się zapachem mojego kawałka, że topniał mi w palcach, nim wreszcie pozwalałam mu jako słodkiej masie dokonać żywota w moich ustach.

- Chodź no tu, chłopcze! - wołali do Lakszmany wielcy, krzepcy brytyjscy żołnierze.

Z rozczuleniem mierzwili mu włosy i uczyli takiego angielskiego, jakiego nie uczono nas w szkole.

- Głupi wał - mówił zwykle po przyjściu do domu.

- Gupi wał - powtarzała mama.

- Niecee, głupi wał!

- Gupi wał - mówiła z powagą mama.

- Głupi wał! - poprawiał ją bardzo wyraźnie i bardzo głośno.

- Gupi wał - powtarzała, a my trzymając się cicho z boku, słyszeliśmy, jak do jej głosu wkrada się irytacja.

- Bardzo dobrze - mówił Lakszmana.

Zapamiętałam te dni jako najszcześniejsze w moim dzieciństwie. Kiedy mama czuła się najszcześniejsza. Kiedy śmiała się z otwartymi ustami, a oczy błyszczały jej jak gwiazdy na nocnym niebie. Lakszmana był moim dużym, przystojnym bratem i cudownie mądrym oczkiem w jej głowie. W tamtych czasach wszystko, co robił i mówił, cieszyło jej serce i wywoływało uśmiech dumy.

Pamiętam dziki popłoch, w jaki wpadła pewnego popołudnia, gdy oliwiąc mu włosy, spostrzegła, że wychodzą kępkami. Przeczesała je ręką jeszcze raz i do jej niedowierzających palców przylgnęło więcej kosmyków, a w surowe oczy zajaśniały wyzywająco łyse placki.

- Aiju, a to co? - spytała przerażona. Na widok kępek swoich włosów Lakszmana zmieszał się. On również się wystraszył. Czyżby dopadła go jakaś straszna choroba?

- Umieram? - szepnął z typową dla mężczyzn skłonnością do wyolbrzymiania dolegliwości i chorób.

Mohini z zafrasowania skrzyżowała ręce, Dżejan przyglądał się w milczeniu, a Lalita ssała palec. Mama zasypała Lakszmanę gradem pytań. Po kilku jego krótkich odpowiedziach ustaliła, że przyniósł do domu na głowie worek mąki z maneczki. Sadziła ją za domem, zbierała ziarno, a Lakszmana za nosił je do młyna do zmielenia. Kiedy mój brat podniósł mąkę, była jeszcze gorąca.

To od ciepła z worka zaczęły wylazić mu włosy. Po ustaleniu przyczyny w popołudniowe słońce wzbily się salwy pełnego ulgi śmiechu. Mama na przemian besztala brata, śmiała się i całowała go w łyse placki, a on uśmiechał się niepewnie, nie bardzo wiedząc, czy postąpił dobrze czy źle. A potem zrobiła dla nas wszystkich na parze ciasteczka z brązowym cukrem i groszkiem. Zamiast dwóch dostaliśmy po trzy, a Lakszmana zamiast trzech – pięć. Takie słoneczne popołudnia zostały mi w pamięci, zanim mój brat zmienił się w okrutnego, sadystycznego nieudacznika.

Co wieczór modliliśmy się całą rodziną. Stawaliśmy przed umieszczonym na wysokości oczu mamy ołtarzem, składaliśmy ręce i z powagą odmawialiśmy modlitwy. Widziałam tylko głowy bogów na bardzo kolorowych obrazkach. Każde z nas miało swojego ulubionego.

Mama modliła się do boga z głową słonia - Ganeśi, a Mohini, która chciała być mądra, do bogini Saraswati. W tamtym czasie pragnęła zostać lekarką, a bóstwo to, według mamy, zawiadywało wiedzą.

Lakszmana modlił się z czią do bogini Lakszmi o bogactwo, kiedy dorośnie. Bogini Lakszmi obdarzała swych wyznawców fortuną. W owych czasach lichwiarze nosili na sercach jej podobizny otoczone girlandami. Na oprawionym w niebieską ramę obrazie na naszym ołtarzu bogini Lakszmi stała w czerwonym sari, sypiąc z jednej ze swych licznych rąk deszcz monet.

Sevenese modlił się do boga Siwy - niszczyciela, który nosił naszyjnik z czarnych kobr.

Był poza tym najpotężniejszym z bogów. Modlących się do niego odpowiednio żarliwie czcicieli mógł obdarzyć tym, o co poproszą, a jego darów nie mógł im odebrać nikt, nawet on sam. Pod wrażeniem tej nowiny Sevenese zaczął się modlić o swój dar. W porównaniu z resztą rodzeństwa był bardzo dziwnym chłopcem. Nigdy nie zapomnę, jak kiedyś wszedł do domu z długim gładkim kijem w ręce.

- Patrzcie - powiedział i na naszych oczach rozluźnił chwyt na trzymanym pionowo, sztywnym kiju, a ten zmienił się w jego garści w wijące się, brązowego węża.

Zadowolony z wywołanego zamieszania, spokojnie owinał go sobie wokół ręki, jakby to był szalik, i odszedł w stronę domu zaklinacza węży. Miał wielkie szczęście, że nie widziała tego mama.

Mały Dzejjan modlił się do Kryszny, bo pocziwa Mohini szepnęła bratu do uszka, że jest ciemnoskóry i piękny jak ten bóg.

Nie wiem, do kogo modliła się Lalita. Może nie miała ulubionego bóstwa. Nie zwracałam sobie nią głowy. Nad Lalitą trzęsa się tylko Mohini.

Co wieczór każde z nas odśpiewywało nabożną pieśń wybranemu bóstwu, a potem mama dzwoniła dzwoneczkiem z brązu, zapalała bogom kamforę, wcierała nam w czoła święty popiół i smarowała je świeżą pastą sandałową. Tata nigdy się z nami nie modlił. Siedział na dworze w plecionym fotelu i palił cygaro. "Bóg jest w sercu" - twierdził.

Czasem zbiera mi się na płacz za bezgrzesznymi dniami, kiedy ojciec wydawał się nam olbrzymem, który sadzał nas małymi pupami na swej wielkiej dłoni i unosił wysoko nad głowę.

I tam, hen w górze, czułam się najlepiej, najbezpieczniej na świecie. Tak było, dopóki nie zaczęłam go żałować. W tamtych czasach, gdy tata patrzył na radosną, dumnie uśmiechniętą mamę,

w jego oczach gorzał ciemny płomień. To właśnie wtedy przemieniał drewniany kloc w najpiękniejszą rzeźbę, jaką widziałam w życiu. Latami siadałam przy nim po turecku na podłodze i patrzyłam, jak przez wiele minut wpatruje się z uwagą w rzeźbione popiersie, aby wreszcie pieszczotliwie zdjąć z niego malusienki wiórek. A kiedy wreszcie skończył rzeźbę, każdy, kto ją podziwiał, przyznawał, że jest prawdziwym dziełem sztuki - nie tylko talentu, ale i miłości.

Uchwycił mamę taką, jakiej żadne z nas nie widziało, jaką znał tylko on - młodą, skąpaną w słońcu dziewczynę z małej wioski Sangra, zanim doświadczyło ją życie. A potem któregoś dnia mama w jednej chwili zamieniła lata, setki godzin jego pieczołowitej, pełnej oddania i miłości pracy w ostre szczapki. Pamiętam ten dzień, gdy ogarnięta furiją zniszczyła popiersie. Wszędzie leżały mściwe drzazgi jej złości.

Na myśl o ojcu czuję tylko żal. Głęboko go żałuję. Bo był najmilszą osobą, jaka stąpała po ziemi, i z pewnością najbardziej nieszczęśliwą. Kiedy byłam mała, zanim jeszcze mama wpoila mi, że mam się go wstydzić, bardzo ojca kochałam. Pamiętam, jak wracał do domu z pęczkami bananów, kupowanych z nędznej pensji. I wtedy zaczynał się nasz mały rytuał. Tata siadał w fotelu na werandzie, długimi, ciemnymi palcami obierał banany jeden po drugim i wkładał do ust wszystkie żółte włókienka, które zdołał odedrzeć od wewnętrznej strony skórek.

Mohini, Lalita i ja siedziałyśmy z powagą u jego stóp.

- To najlepsza część - zapewniał wielkodusznie, rozdzielając pomiędzy córki dojrzałe, jasnożółte owoce.

Choć byłam mała, dobrze rozumiałam, że nasz duży milczący ojciec najbardziej kocha moją starszą siostrę, że na jej prośbę włożyłby rękę w ogień. Kochał wszystkie swoje dzieci, lecz ją najmocniej. Zastanawiałam się, czy po cichu trochę jej nie zazdrozczę, ale chyba nie, bo zdobycie miłości ojca było mniej istotne. Najważniejsze to zyskać uznanie mamy.

Stawałyśmy przed nią w identycznych sukienkach, czekając na pochwałę. Poprawiała nam kokardy, przyczesywała niesforne kosmyki, a ten sam uśmiech zadowolenia, z jakim patrzyła na każdą z nas, dowodził, że kocha mnie nie mniej niż siostrę. Nie muszę mówić, że Mohini wyglądała w takiej samej sukience całkiem inaczej niż ja. Ludzie, zwłaszcza mężczyźni, gapili się na nią, co nie było przyjemne. Nikt nie wierzył, że jesteśmy siostrami. Ze zdumieniem, a czasem z odrobiną zazdrości wpatrywali się w ciepłą zieleń jej oczu.

Kiedy mama oliwiła i czesała jej włosy, stawałam przy lustrze i patrzyłam, jak zmieniają się w lśniącego czarnego węża, opadającego faliście ku jej krągłym pośladkom.

Moje włosy były cienkie i delikatne. Wkrótce po przyjeździe Japończyków mama sięgnęła po nożyczki. Kazała mi stanąć na podwórzu i przystąpiła do dzieła, a gdy skończyła, ziemię zaścielały długie, cienkie czarne pasma. Z twarzą zalaną łzami pobiegłam do lustra. Włosy, które zostawiła mi na głowie, miały zaledwie kilka centymetrów. Do szkoły posłała mnie w chłopięcych spodenkach i

koszuli. W ciągu kilku następných dni ponad połowa dziewczynek w szkole przemieniła się w chłopców.

Pan ellupilai sumiennie zmienił naszą płęć w szkolnych dziennikach. W mojej klasie dziewczynką pozostała - za przyzwoleniem matki - tylko Mei Ling. Ona jedna, jako ulubienica naszego japońskiego nauczyciela, nie musiała codziennie po apelu wypijać obowiązkowej łyżki rycyny. Pewnego dnia podczas przerwy wezwał ją do pustej szopy i zgwałcił. Widzę ją jak oszołomiona, z drżącymi ustami i pobladłą twarzą, potykając się, wychodzi z szopy z narzędziami ogrodniczymi. Pasek od fartucha ma lekko przekrzywiony. Rozumiałam oczywiście, że gwałt to największa katastrofa, ale nie wiedziałam, czym jest naprawdę. Myślałam, że wiąże się to w jakiś sposób z oczami, bo Mei Ling miała po tym duże, podsinione oczy. Długi czas sądziłam, że gwałt dotyczy właśnie ich. Nic dziwnego, że mama ukryła moją siostrę i jej niezwykle oczy. Zresztą to sam dyrektor przyszedł do nas i poradził jej, by nie posyłała Mohini do szkoły.

- Za piękna - rzekł, odkaszlując w dużą brązowo-białą chusteczkę.

Pan ellupilai wyjaśnił, że przy tylu Japończykach nie zdoła zapewnić jej bezpieczeństwa. Zajadał bananowe ciastka mamy i opowiadał o japońskich nauczycielach, których przysyłają mu do szkoły, "nieokrzęsanych i wulgarnych", ignorujących jego zwierzchnictwo. Przypomniął też, że marsz cesarskiej armii przez Chiny to pasmo gwałtów. Dał delikatnie do zrozumienia, że ponieważ Mohini ma tyle lat, ile ma, on nie może uchronić jej przed najgorszym. Pamiętam dokładnie jego słowa: "Nie zostawiłbym kota w jednym pokoju z miską mleka".

Mamy nie trzeba było dwa razy ostrzegać. Tak więc Mohini zachowała grubego węża z włosów, ale stała się więźniarką we własnym domu. Naszą tajemnicą. Przestała istnieć dla zewnętrznego świata. Nigdy nie wymienialiśmy jej imienia. Była niczym zakopana pod domem skrzynia ze złotem, dla ochrony której cała rodzina kłamała. Nie mogła nawet wyjść na werandę ani do ogrodu, by zaczerpnąć świeżego powietrza. Ukrywała się blisko trzy lata. W końcu nawet sąsiedzi zapomnieli, jak wygląda. Mama bała się, że ktoś, chcąc zaskarbić sobie względy okupanta lub z zazdrości, doniesie o niej Japończykom. Czasy były ciężkie, a przyjaciół niewiele.

Pamiętam, pewnego dnia Mohini siedziała na kuchennych schodkach, a mama ją czesała.

Czarne włosy spadały jej na plecy jak fale najczystszonego jedwabiu. Kiedy mama splatała ów czarny jedwab, w oślepiającym słońcu dostrzegłam najstarszego syna zaklinacza węży. Chłopak, który z pewnością polował na myszy albo małe węże dla swych kobr i na nasz cenny sekret natknął się przypadkiem, zamarł w straszliwym upale, schwytyany w sieć swego odkrycia. Był bez butów, miał brudne włosy, złachmanione, poplamione ubranie spadało mu z krzepkiego, brązowego ciała, a w muskularnej ręce trzymał koszyk. W słonecznym blasku jego oczy w

zdumionej twarzy przypominały dwie ciemne czeluście. Mama zauważyła mój nagły ruch głową, bo natychmiast zasłoniła sobą Mohini.

- Odejdź - burknęła do chłopaka.

Przez następną chwilę tylko patrzył, zahipnotyzowany wspaniałymi włosami i białą mleczną cerą mojej siostry, a potem równie nagle, jak się zjawił, znikł w rozedrganym żółtym skwarze.

Spojrzałam w twarz mamy i zobaczyłam strach. Ale nie strach przed czarami zaklinacza węży ani gadzią żądzą błyszczącą w oczach tego chłopca, tylko strach przed nie zwykłą urodą zaklętą w twarzy mojej siostry. Bo Mohini była cudownym, wspaniałym kwezalem, który sfruwa z koron niebotycznych drzew, krąży ze śpiewem, po czym spada swobodnie w dół, a jego tęczowe pióra ciągną się za nim niczym ogon komety. Mamie przypadł los właścicielki tego olśniewającego ptaka.

Cóż mogła więcej zrobić niż zamknąć to zapierające dech piękno w klatce? I ptak pozostał jej więźniem aż do dnia, w którym odfrunął na zawsze.

Ciągle widzę nas dwie, jak wracamy do domu ze szkoły, identycznie ubrane, bok przy boku, a słońce liże nasze kulki lodów zanurzone w syropie. Musiałyśmy się szybko z nimi uporać, bo topniały nam w rękach. Nic o nich nie mówiłyśmy mamie, gdyż Mohini z powodu okropnych napadów astmy nie powinna tykać nic zimnego. Dlatego jadłyśmy je po kryjomu tylko w upał. Jej przypadek astmy był bardzo poważny. Ilekroć lało lub choćby kropiło, mama przychodziła po nas do szkoły z parasolami i wracałyśmy we trzy - Mohini pod dużym czarnym parasolem, ja pod małą, mocno zalatującą lakierem parasolką z nawoskowanego brązowego papieru, a mama w deszczu. Myślę, że w skrytości ducha lubiła, jak wielkie ciepłe krople padają jej na głowę. W domu zawsze czekał w kubku świeżo wyciśnięty, strasznie gorzki sok z imbiru. Mama zagotowywała wodę, zalewała nią przygotowany sok i kuchnię wypełniały jego ostre opary. W tej ohydnej nalewce rozpuszczała łyżeczkę ciemnego leśnego miodu, wręczała gorącą, straszną miksturę siostrze i czekała, aż opróżni kubek. Bliska podziwu patrzyłam, jak Mohini wypija wszystko do dna. W dach niestrudzenie stukał i bębnił deszcz. Bardzo ją kochałam.

Pamiętam też Mui Tsai. Miłą, zahukaną, małą Mui Tsai. Była bardzo przywiązana do mamy, lecz mamę tak pochłaniały starania, by zasłużyć sobie na nagrobek z napisem "Kochanej Matce", że nie dostrzegała, iż przyjaciółka łaknie odrobiny miłości. Mama zapatrzyła się w daleki horyzont, na którym wszystkie jej dzieci świeciły jako przykłady dobrego wychowania. Biedna Mui Tsai. Często widywałam ją zasmuconą, ale wtedy jeszcze nie była złamana. Jej państwo znisz czyli ją jak zabawkę. A wówczas przestała się smucić. Pomieszało jej się w głowie. Odeszła tam, gdzie miała wiele dzieci i żadnego jej nie odebrano.

Najlepiej pamiętam jej wydłużony cień późną nocą na ścianie naszej kuchni. Potajemne spotkania z mamą przy migoczącym, tajemniczym świetle lampy. Ilekroć budziłam się nagle w nocy ze złych snów i zakradałam do kuchni, zastawałam tam w przyjaznej poświacie lampy naftowej mamę i ją. Siedziały ze skrzyżowanymi nogami, rozmawiając szeptem lub grając na ławie w chińskie szachy. Wpadałam z uśmiechem w otwarte ramiona Mui Tsai i zasypiałam na jej kolanach. Budziła we mnie takie samo ukryte współczucie, jakie żywiłam do mojej młodszej siostry.

Pamiętam, jak Lalita się urodziła. Kruszyńka w powijkach. Miała szeroką twarz, małe, bardzo blisko siebie osadzone oczy i cerę ciemniejszą od reszty rodzeństwa. Żeby ją rozśmieszyć, ojciec łaskotał wargami jej uszy. Była bardzo cicha. Taka jak on. Nawet wyglądała jak tata. Mama nie kryła się z tym, że nie chce, aby którekolwiek z nas było podobne do niego. Według niej dzieci z pierwszego małżeństwa taty to najbrzydsze istoty, jakie widziała. Kiedy pierwszy raz spojrzała w ospałe oczy Lality, pomyślała, że odmieni ją samą siłą woli. Że poprawi naturę. Lalita jest malutka.

A malutkie dzieci można zmienić.

Ale im starsza była moja cicha siostrzyczka, tym bardziej przypominała tatę. Zrozpaczona mama huśtała ją na wyciągniętych nogach i śpiewała: "Kto poślubi moją biedną, biedną córkę?".

Gdybyś słyszała udrękę zawartą w tych prostych słowach, doszłabyś do wniosku, że piękne dzieci wbijają rodziców w dumę, a brzydkie wyzwalają olbrzymie pokłady opiekuńczej miłości. Potrzebę zrekompensowania im tego, czego nie dostaną od ludzi. Natura poskąpiła mojej siostrze urody, a mama posunęła opiekuńczość wobec niej tak daleko, że nieświadomie przekreśliła jej szansę wyjścia za mąż. Wiem, nie powinnam tego mówić, ale to przez nią Lalita została starą panną. Tak myślę. Przez upór, z jakim wciąż od nowa powtarzała ten smutny zaśpiew. Jeśli mama usłyszy te słowa, bardzo się rozgniewa. Powie, że chciała jak najlepiej. Że nikt bardziej od niej nie starał się znaleźć dla Lality właściwego męża. A może powinno jej schlebiać, że mocą swoich śpiewanek wpłynęła na los mojej siostry?

Pierwsze dłuższe wspomnienie, gdy sięgam pamięcią wstecz, to wesele ciotki w Seremban.

Mama pokłóciła się wtedy z moją wujeczną babką o jakiś drobiazg. Tak się tym zdenerwowała, że byliśmy zmuszeni wracać do domu łodzią po zdradliwej rzece Pahang, bo nie chciała zostać ani minuty dłużej pod jednym dachem z żoną wuja. Od mamy dowiedzieliśmy się przez te lata tylko tyle, że ciotka jej nienawidziła. Ale nie powiedziała nam dlaczego.

Po powrocie do naszego pustego, splądrowanego domu musiała zużyć ponad połowę oszczędności, by zastąpić to, co nam ukradziono. Trzeba przyznać, że z łatwością poradziła sobie z

katastrofą. Z samego rana odwiedziła targowiska i udało jej się zdobyć żywność, a później kupiła. Pod koniec roku jej oszczędności zamieniły się w bezużyteczną makulaturę. Japończycy zmusili wszystkich do zaradności, lecz mama okazała się nie do pobicia. Kiedy jej pieniądze straciły wartość, poleciła zwinniejszemu od małpy Lakszmanie wdrapać się na najwyższą palmę w obejściu i umocować wśród gałęzi puszkę z biżuterią i oszczędnościami. Brat często wdrapywał się na kokos, żeby sprawdzić, czy skarb jest bezpieczny. Pokryta od chodami ptaków mała fortuna pozostała nietknięta przez lata. Z nastaniem Japończyków mama zamieniła się w przedsiębiorcę, i to utalentowanego. Od razu zauważyła, że po zniknięciu z rynku skondensowanego mleka w budkach, które tata mijał po drodze do pracy, sprzedają tylko nieosłodzoną czarną kawę. Wzrosło za to zapotrzebowanie na mleko krowie. Tak więc sprzedała największy rubin i zakupiła krowy i kozy.

Co dziennie rano przed wschodem słońca doiła je, a Lakszmana sprzedawał mleko kawiarniom w mieście. W ciągu dnia nastawiała mleko na jogurt, który wieczorem rozcieńczała wodą. Przychodzące po niego jej znajome ze świątyni nazywały go "mourem". Miałam dwanaście lat i zapamiętałam nasze krowy jako duże niezgrabne zwierzęta z ciężkimi wymionami. Patrzyły na mnie lśnącymi, znękanymi oczami. W poczuciu winy próbowałam się z nimi zaprzyjaźnić, niestety, były za głupie. W ich oczach nie dostrzegłam żadnej reakcji, żadnego błysku wskazującego, że mnie rozpoznają, jedynie smutne pogodzenie się z losem. Zgoda na okropne życie w smrodzie. Pod ogonami zawsze miały zaschnięte łajno.

Dziwne, ale gdy pomyślę o japońskiej okupacji, to od razu przypominam sobie krowy. Wkroczyły w nasze życie z jej początkiem i zostały sprzedane po ucieczce Japończyków. Wprawdzie mama trzymała również kozy oraz indyki i gęsi, lecz tych jakoś nie zapamiętałam.

Karmiąca je tofu i szpinakiem Lalita popłakała się, bo kiedy się utuczyły, mama sprzedała je chińskiemu handlarzowi na targu.

Japońska okupacja to był przede wszystkim strach. Wielki strach, który miał swój własny smak i zapach. Metaliczny i osobliwie słodki. Pierwszą uciętą głowę Lakszmana i ja zobaczyliśmy w drodze na targ. Tkwiła na przydrożnym palu z przytwierdzoną, wyrwaną z zeszytu kartką z napisem "Zdrajca". Roześmialiśmy się na jej widok, bo uznaliśmy, że nie jest prawdziwa. Przecież z odciętej szyi i rozplatanego po liczka nie kapała krew. Jednak kiedy się zbliżyliśmy, zrozumieliśmy swój błąd. Prawdziwe były muchy. I silny, uporczywy, nieświeży, słodkawy odór. W żołądku wezbrała mi fala nieznanego dotąd strachu. W jednej chwili złękłam się o ojca, chociaż brat zapewnił mnie, że Japończycy ścinają wyłącznie Chińczyków, których podejrzewają o komunizm.

Kilka kroków dalej nadziano na wbity w ziemię pal już nie głowę, lecz całe ciało. Poczułam, że Lakszmana się potyka. Bolesnie zacisnął dłoń na mojej ręce, ale on jest jak mama - łatwo się nie poddaje. Poszliśmy dalej. Niestety. Bo jeśli zabity Chińczyk wyglądał jak manekin, w

dotatku kieszko wykonany, to widok kolejnych zwłok prześladował mnie potem w złych snach latami.

To była kobieta. Zapewnienie brata, że Japończycy ścinają głowy tylko chińskim komunistom, okazało się kłamstwem.

Ten trup był kobietą, na dodatek kobietą w ciąży. Z ziejącej jamy jej rozprutego brzucha zwisał nieprzyzwoicie w pełni uformowany fioletowy płód. Twarz zabitej przedstawiała potworny widok. Wbijają w nas wytrzeszczone oczy, jakby przerażało ją, że patrzymy na jej rozcięte łono, a usta miała otwarte do obłąkańczego krzyku. Wokół wybebeszonego cuchnącego brzucha bzycały duże muchy plujki. W rękę we tknięto jej kartkę z napisem: "Tak traktujemy rodziny komunistów".

Nawet wojna nie tłumaczyła aż tak silnej nienawiści Japończyków do Chińczyków. W milczeniu poszliśmy dalej.

Po okradzeniu z piątego dziecka Mui Tsai zaczęła się snuć jak zgorzkniały cień. Duszę miała okaleczoną i krwawiącą, ale nadal wyglądała młodo i ładnie. Dla japońskich żołnierzy była w sam raz. Uczynili z niej naczynie rozkoszy. Jakże ją wykorzystywali! Ustawiali się w kolejce i brali ją jeden po drugim - na podłodze w kuchni, w łóżku starego Sunga lub na stole z różanego drewna, przy którym codziennie jadali jej pani i pan. Przychodząc, żądali jedzenia i seksu gdzie popadnie.

To dzięki Mui Tsai Mohini i córka sąsiadów, A Moi, zachowały dziewictwo. Kiedy do naszego zaułka zajeżdżał pułkownik Ito z żołnierzami, to najpierw pędzili do domu Sunga i zaspokajali swoje podstawowe potrzeby. Czekala tam na nich zawsze oprócz ulubionych, znajomych potraw młoda, ładna, niebędąca niczyją żoną ani córką dziewczyna, z którą robili, co chcieli. A ponieważ mieli ją, nie kwapili się zbytnio do szukania innych, dobrze ukrytych młódek. Pewnie domyślali się, że w sąsiedztwie ukrywają się dziewczęta w odpowiednim wieku, lecz na razie Mui Tsai im wystarczała.

Mama i Lakszmana wykopali w ziemi kryjówkę - przede wszystkim dla Mohini, ale również dla mnie, gdyby okupacja miała potrwać dłużej. Jako chłopcu, jeszcze przez kilka lat nic mi nie groziło, lecz po Japończykach można było się spodziewać wszystkiego. Mama twierdziła, że wojna wyzwala w człowieku zwierzę. Litość zostawia w domu. Napotkać go na terytorium wroga, to jak stanąć zniecka na wprost żółtych ślepiów potężnego lwa. Nie ma co błagać i tłumaczyć. Lew napewno na ciebie skoczy. Do kryjówki Mohini prowadził otwór, sprytnie wycięty w podłodze naszego domu na palach. W dole było dość miejsca dla Mohini, dla mnie i - w razie czego - nawet dla Lality.

Mama rozebrała stary kurnik, ogrodziła siatką zewnętrzne pale domu i zagoniła kury do ich nowej siedziby pod nim. Stawiała na to, że perspektywa uświnienia się kurzym łajnem nawet

najzagorzalszemu słudze japońskiego imperium wybije z głowy myśl o zbadaniu, co jest pod domem. Wejście do kryjówki zasłoniliśmy dużą drewnianą skrzynią, którą babcia przysłała z Sangry. Skrzynia całkowicie maskowała drzwiczki zapadowe. Skrytka była tak pomysłowa, że chociaż Japończycy zajrzeli do szaf i sprawdzili kąty, to jej nie znaleźli. Może nie szukali dość dokładnie. Do nas zachodzili po zaspokojeniu żądź u Mui Tsai.

Kiedyś mama spróbowała zjednać ich sobie poczęstunkiem. Ale ledwo włożyli jedzenie do ust, natychmiast je wypulili, patrząc na nią z tak morderczą furią, jakby poczęstowała ich ostrą potrawą, żeby z nich zakpić. Nisko im się pokłoniła, błagając o wybaczenie. Oberwała za to w pochyloną głowę. Niekiedy patrzyli na nią z dziwnymi minami i pytali, gdzie ukryła córki. Stałam przy niej w chłopięcym ubranku i czułam, jak drży. Kiedyś pułkownik Ito zatrzymał się tuż przed nią i spytał o to samo z tak znaczącym uśmiechem, jakby któryś z sąsiadów nas zdradził. Na szczęście była to tylko próba i gdy wóz Japończyków skręcił na główną drogę, odetchnęliśmy z ulgą.

Mohini wypełniła swój ukryty pokój haftowanymi poduszkami i książkami. Zrobiło się tam ładnie, ale nie wolno nam było rozmawiać. Tuliłyśmy się do siebie i w milczeniu słuchałyśmy łomotu ciężkich butów nad głowami. Z początku bardzo się bałyśmy, siedząc w naszej sekretnej jamie, jednak z czasem odzyskałyśmy spokój i nauczyłyśmy się cichutko chichotać w dłonie na myśl o żołnierzach na próżno szukających u nas kryjówki. Byłam z niej taka dumna, że uznałam, iż nigdy jej nie znajdą. I nie znaleźli.

Przyszli za to po tatę.

Małemu Seveneseowi przysniło się, że tata wpada do wielkiego dołu w ziemi i z ust cieknie mu krew. Mama nie miała pojęcia, co znaczy ten sen, ale udała się do świątyni, ofiarowała trochę pieniędzy i się pomodliła. Dwa dni później, gdy już o nim zapomnieliśmy, przyszli Japończycy.

Noc była ciemna, księżyc cienki, a bogowie rzucili w czarną pustkę nieba tylko garść gwiazd.

Wiem, bo kiedy zabrali ojca, usiadłam oszołomiona w mroku i się w nie zapatrzyłam. Dookoła wszystko spało, z wyjątkiem mamy. Siedziała w kuchni i szyła. Na chrzest opon na głównej drodze zakuła się w palec. Przez chwilę przyglądała się czerwonej kropce na opuszku, ale nim Japończycy się zatrzymali i wyskoczyli z samochodów, wyciągnęła Mohini i mnie z łóżka i ukryła. A potem zdmuchnęła lampę naftową i stanęła za firankami w dużym pokoju. Nadeszli z pochodniami i postawionymi bagnetami. Patrzyła, jak znikają w domu kierowcy ciężarówki.

Po kilku minutach wyszli, prowadząc go pod ostrzem bagnetu. W światłach samochodowych reflektorów dostrzegła, że jest oszołomiony. Półnagiego, brutalnie wepchnęli do ciężarówki. Z domu biedaka dochodziło zawodzenie i głośny płacz. Noc rozdarły przerażone krzyki

jego dzieci. Żołnierze stali jakiś czas, głośno dyskutując w swoim gardłowym języku. Nie był to Ito i jego ludzie. Po nim i jego żołnierzach wiedzieliśmy, czego się spodziewać. Nienawidziliśmy i baliśmy się ich, ale byli zagrożeniem znanym, oswojonym. Ci zaś okazali się o wiele groźniejsi. Nie szukali darmowego jedzenia i pary rozłożonych nóg. Szukali czegoś znacznie ważniejszego.

Mama patrzyła, jak się rozdzielają i dwóch z nich rusza do naszego domu. Ich walenie do drzwi zabrzmiało niczym grzmot. Mama pobiegła otworzyć. Zaświecili jej latarkami w twarz i brutalnie odepchnęli na bok. Snop światła spoczął na tacie, który zamarł przy drzwiach do sypialni.

Natychmiast go pochwycili i z kamiennymi twarzami wyprowadzili z domu, nie reagując na żalose krzyki mamy.

Ojciec obrócił się, żeby na nas spojrzeć, ale nie pomachał nam ręką. Jego twarz nie wyrażała niczego. Wciąż był zbyt oszołomiony rozwojem wypadków. Jechali w ciemnościach jakieś trzy kwadranse. Siedzący na przeciwko ojca na skrzyni ciężarówka sąsiad kierowca rozplakał się, a tata, który miał na sobie tylko spodnie od piżamy i koszulkę, zaczął dygotać. W końcu dotarli do plantacji kuczuku i eleganckiego kamiennego domu w stylu kolonialnym. Srebrzący się w świetle księżycy nieoświetlony budynek wyglądał widmowo. Przez otwarte okno na piętrze, spoza białych falujących firanek, płynęła piękna nastrojowa muzyka klasyczna.

Prowadzący tatę pod ostrzem miecza żołnierze zepchnęli go do podziemia. Ze sklepienia kapala woda i ściekała po ścianach lochu. Kiedy otarł się ręką o mur, poczuł aksamitny dotyk zielonego mchu. Po długich korytarzach niesło się echo kroków i oddechów. Potykających się aresztantów wepchnięto do malutkich cel. Za ojcem ze szczękiem zatrzaśnięto drzwi. Cela pozbawiona mętnego żółtego światła latami prześladowców pogrzyła się w atramentowych ciemnościach. Pod po wiekami taty zapłonęły dwa pomarańczowe punkciki. Cichnący odgłos ciężkich kroków nie przyniósł mu ulgi. W celi było zimno i mokro. Dygotał i nasłuchiwał. Zastukały kroki. Mocne i rytmiczne. Minęły celę. Na dworze zaszczekał pies. Gdzieś niedaleko kapala woda.

Ojciec obmacał na czworakach celę - chropowate, kruszące się ściany, kamienną podłogę.

Nie było w niej nic, tylko on. Wtem coś się poruszyło. Wcisnął się prędko w kąt, wparł plecami w ścianę i, wystraszony, wpatrzył się w ciemność. Usłyszał stukanie pazurków po zimnym cemencie.

Cichutkie. Szczur! Zjeżyły mu się włosy na karku. Nienawidził szczurów. Znosił węże, tolerował pająki, rozumiał potrzebę istnienia oślizgłych żab, a nawet karaluchów, ale szczurów się brzydził.

Te ich wstrętne, nagie ogony! Ze strachu nerwowo przełknął ślinę. Na odgłos szurania mocniej zacisnął pięść. Ciemność wydłużała i wyostrzała szczurze zęby. Tata postanowił, że

rozkwasi pięścią miękkie ciepłe ciało szczura. Trudno, tryśnie obrzydliwa posoka, za to potem będzie bezpieczny. Dobrze pamiętał, że ma bose stopy. Z korytarza znów dobiegł odgłos kroków. Ich stukot przeraził go. Wyszło mu w ustach.

Nie bał się Japończyków. Nie miał się czego bać. Nic nie zrobił. On jeden nie miał się czego bać. Nie uległ nawet połajankom żony i nie kupił na czarnym rynku białego cukru, mimo że tak bardzo chciała. Nie bał się!

Ale bał się szczura. Powtarzał to sobie wciąż od nowa. Nie masz się czego bać! Musiał się skupić na szczurze, który mógł obgryźć mu palce. Wtem tuż przy jego karku świsnął miecz, więc odruchowo targnął głową. A potem ujrzał, jak odlatuje ona od lśniącej klingi, a z szyi tryska mu jak czerwony deszcz krew. "Przestań!" - ostrzegł się w nieznośnych ciemnościach. I przegnał z rozgorączkowanego mózgu żółtą twarz oprawcy z niewidzialnym mieczem.

A potem całkiem wyraźnie usłyszał krzyk. Chrapliwy, przeraźliwy wrzask. Zamarł w ciemnościach, zamieniając się w słuch. Krzyk się nie powtórzył. W ustach miał tak sucho, że język przywarł mu do podniebienia. Spróbował przełknąć ślinę, ale wyschła. O nogę otarło mu się nagle szczeciniaste futro. Trzasnął z całej siły ręką i trafił w cementową podłogę. Bestia okazała się szybsza. Szuranie oddaliło się. Szczur kpił sobie z niego.

W tym momencie otworzono drzwi i w twarz zaświeciło mu jaskrawe światło. Podniósł ręce i krzyknął, zasłaniając oczy. Nagły blask zabolął jak uklucie nożem. Tata się wystraszył. Nie słyszał odgłosu butów.

Ze ściany mroku za jaskrawym światłem wychynęły i podeszły do niego dwa cienie. Dwóch młodych Malajów miękkimi rękami postawiło go na nogi. W oczach mieli pustkę, nie było sensu o nic ich prosić. Poprowadzili tatę ociekającym wilgocią, ciemnym korytarzem, w którym mocno cuchnęło uryną. Tym razem zauważył po obu jego stronach wiele zamkniętych drzwi. Było cicho. Tylko zza jednych doszło go głębokie westchnienie. Rozpaczliwy głos kogoś, kto już zrezygnował z walki, kto stracił wszelką nadzieję.

A potem tata znalazł się w małym, skąpo urządzonej pokoju, sam. Za jego plecami zgrzytnął klucz. Paliła się tu naga żarówka, stał stół, dwa krzesła, a na stole duży dzbanek z wodą i pusta szklanka. Patrzył na nie jak zahipnotyzowany. Woda wydawała się czysta, słodka i cudownie chłodna, na jej powierzchni unosiły się lekko grube, połyskliwe kostki lodu. Odkrycie w pustym, oświetlonym nagą żarówką pokoju tego, czego łaknął w owej chwili najbardziej, było czymś tak niesamowitym, że poczuł się nieswojo. Spojrzał na szklankę. Gdyby teraz szybko się napił, nikt by się nie dowiedział. Rozejrzał się po litych, grubych ścianach. Odczekał pięć minut. Nikt się nie zjawił.

Chwycił dzbanek i nabrał wody w usta. Ale tylko na chwilę zatrzymał ją na spieczonym języku i wypluł. Była słona, nie nadawała się do picia. Spojrzał na podłogę i widząc, co

narobił, naprawdę się przestraszył. Ktoś zastawił pułapkę, a on się w nią złapał. Pewnie ten ktoś obserwował go teraz przez dziurkę od klucza. Ojciec zaczął się trząść. Niezgrabnie, w pośpiechu ściągnął białą koszulkę i wytarł nią podłogę. Kiedy ją osuszył, rozdygotanymi rękami nałożył koszulkę z powrotem. Zgrzytnął klucz. Drzwi otworzyły się i do pokoju wszedł człowiek w niezwyklej masce.

Na jej widok tacie ze strachu zaparło dech i mimowolnie się cofnął. Nie wiedział jeszcze, że ma przed sobą niedościgłą japońską maskę teatralną No. Ubrany w luźną szatę z o wiele za długimi rękawami przybysz złożył uprzejmy japoński ukłon. Tata szybko mu się odklonił. Gdy mężczyzna poruszył głową, maska jakby ożyła. W świetle z góry jej gładka powierzchnia lśniła jak skóra dziewczyny. Ojciec wpatrywał się w nią, nie wiedząc, co myśleć. Uśmiechała się do niego ciepło, czysto, niewinnie piękna młoda dziewczyna, a może chłopiec. Spod łagodnie wygiętych brwi, z pustych oczodołów spoglądały na niego skryte w cieniu, ale żywe oczy. Żywe i czarne. Tata stał pośrodku pokoju, wystraszony i zmieszany.

- Cesarska Armia jest zaszczycona, mogąc gościć pana - rzekł bardzo cicho nieznajomy w masce i przez jedną upajającą, szczęśliwą chwilę tata wierzył, że zaszła straszna pomyłka.

Japońska armia nie miała najmniejszego powodu go gościć. Był szarym anonimowym urzędnikiem, tak mało rozgarniętym, że ani razu nie awansował. Oblał wszystkie możliwe egzaminy! Mogli to potwierdzić: jego żona, dzieci, sąsiedzi.

To jasne, że z kimś go pomyłono. Cesarska Armia z pewnością poszukiwała kogoś ważniejszego, kogoś, kto mógł jej pomóc. Ojciec otworzył usta, żeby to wyjaśnić, ale uprzejmy nieznajomy wskazał dzbanek i z lekkim rozdrażnieniem spytał:

- Napije się pan?

A wtedy ojciec zrozumiał, że nie ma mowy o pomyłce.

Japończyk starannie napełnił szklankę wodą i podał mu ją.

- Proszę usiąść - rzekł, podsuwając krzesło.

Długie jedwabne rękawy jego szaty zsunęły się w dół, od sianiając ręce, dziwne, nienaturalnie białe jak skóra na brzuchu domowej jaszczurki i strasznie zniekształcone. Niewyobrażalnie brzydkie. Ze zdeformowanymi paznokciami i... Ojciec stłumił dreszcz. Nigdy nie widział podobnej ohydy. Nagle serce ścisnął mu lęk, pojął bowiem, dlaczego szata ma bardzo długie rękawy. Ze zgrozą zaczął się zastanawiać, co nieznajomy kryje pod maską.

I dlaczego spotyka to właśnie jego, Aję? Był przeciętną, zwyczajną osobą bez powiązań politycznych i żadnych ambicji. Do szczęścia wystarczyło mu, gdy z zapalonym cygarem usiadł na werandzie lub z dziećmi na kolanach słuchał radia.

Maska obserwowała go z sympatią. Stropił się. Przecież maski nie przybierały min. A potem podpłynęła do niego na odległość kilku cali. Puste, tonące w cieniu oczodoły nagle zmieniły się w bezdenne studnie straszliwego okrucieństwa. Przyciągały zimnym rozbawieniem i mrokiem. Po ciemnym błysku w oczach zamaskowanego ojciec poznał, że tamten robił to wielokrotnie i zawsze z przyjemnością. Wpatrywał się więc hipnotycznie w maskę No, bliski odurzenia jej wyjątkowym pięknem i złem czającym się w oczodołach. Ale kiedy zbliżyła do niego nabrzmiałe, zmysłowo wilgotne czerwone wargi, prawie go dotykając, czar nagle prysł i, przerażony, wstrzymując oddech, odsunął się ze wzdrygnięciem. Ten człowiek był zły.

- Proszę pić, proszę pić - zachęciła wylewnie maska, z leciutkim rozbawieniem przyglądając się zimnymi, gadzimi oczami jego mokrej koszulce.

Z odrazy tacie zjeżyły się włosy na karku. - Proszę pić - powtórzyła z naciskiem maska No.

Ojciec pociągnął duży łyk słonej wody. Zapieкло podrażnione gardło. Męczyzna natychmiast dolał mu do szklanki. A potem zaczął mówić. Tak cicho, że oszołomiony tata, w mokrej białej koszulce, z napełnioną do połowy szklanką w ręku, musiał wysilać słuch. Słowa człowieka w luźnej szacie zatarły mu się w pamięci, a pozostało jedynie niesamowite wrażenie, że maska się zmienia. To była melancholijna, to promienna i szczęśliwa, to znów rozgniewana.

Zapamiętał też głos, budzący grozę samą swą cichością, i oczywiście szeptane ponaglenia: "Proszę pić, proszę pić".

Rozmowa się skończyła, kiedy tata opróżnił dzbanek słonej wody. Żołądek ścisnęła mu bolesne skurcze i konał z pragnienia. Dwóch malajskich chłopców odprowadziło go do celi. Został tam więcej słonej wody i zimną, pozbawioną smaku papkę z odpadów warzyw i ryżu. Minął dzień, może więcej. Zaczęły mu pękać usta. Gdzieś z nieszczelnego kranu kapła woda. Czuł w ustach jej chłód. W ciemnościach zaczął myśleć o szurzej krwi. To także płyn.

Po jakimś czasie posłano po niego i dwaj wojskowi zaczęli go wypytywać o komunistę, o którym w życiu nie słyszał. A Peng... A Tong... w głowie miał mętlik.

- Nie znam tych ludzi - odparł tata. Uderzyli go. Mocno.
- Nie ludzi, człowieka! - poprawili go ze złością. - Nie udawaj!
- Tak, tak, człowieka. Człowieka, nie ludzi! - wykrzyczał, kuląc się z bólu.
- Zaprzeczasz, że był w waszej okolicy?
- Możliwe, ale do mnie nie przyszedł.
- A do kogo?
- Nie wiem.
- To się domyśl... Wiesz, kogo poszukujemy.

I tak powtarzali te same pytania, przyjmując, że udzielił schronienia poszukiwanemu komuniście i teraz z pewnością kłamie. A do tego go bili.

- Przyznaj się! - ryknął mu z najbliższej odległości w ucho głos, który zabrzmiał jak ogłuszający, wibrujący wybuch wewnątrz czaszki.

Trzymając się za huczącą głowę, tata próbował wielu odpowiedzi, ale żadna ich nie zadowoliła. Z pomocą gładkiego kija zaczęli wyłamywać mu palce, rozrywając skórę pomiędzy nimi. Ból był nie do zniesienia, i tata zemdłał. Wylali mu na twarz kubel zimnej wody. Gdy się ocknął, wyrwali mu paznokcie - z kawałkiem ciała. Trysnęła krew. Okrucieństwo mieli w naturze.

Zrobili to tak szybko, że dopiero po kilku sekundach zrozumiał, co się stało. Zdumiony, patrzył na krwawiący palec. Owszem, zawsze orientował się powoli, ale na czym polegał żart? Czyżby to działo się naprawdę?

Na widok wielkiego, głupiego zwierzęcia wijącego się na podłodze dwaj Japończycy uśmiechnęli się z pogardą. Gwałtowny straszny ból z wolna zelżał, a kiedy zmienił się w pulsujący, ojciec wziął głęboki oddech i odważył się znowu spojrzeć na okaleczony palec. Rana wyglądała gorzej, niż bo lała. Ból stał się znośny. Tata podniósł wzrok na ordynarne, opalone twarze żołnierzy.

- Prawie nie boli? - spytał stojący bliżej, a potem zamknął jego rękę w żelaznym uścisku i wepchnął ją do przygotowanego słoika z solą.

Ojciec zawył jak szaleniec. To cierpienie było niewyobrażalne. Ból ogarnął jego rękę niczym płomień i wybuchł w nerwach jak granat.

- Nie znam go! Nie znam go! Przysięgam, że nie znam! Boże, Ganeśo, obroń mnie! Prooszę!

Zabierz mnie stąd! Zabierz mnie! Zabierz!

Przytomność odzyskał w korytarzu, ciągnięty przez dwóch młodych Malajów. Jak przez mgłę widział dwóch innych tubylców, wychodzących z którejś z licznych cel. A pomiędzy nimi potykającą się Chinkę. Naga od pasa w dół, włosy miała rozwichrzone i matowe, a oczy szkliste i bez wyrazu. W przyćmionym świetle jej twarz była kredowobiała. Kiedy ojciec mimowolnie spojrział niżej, zobaczył, że kobieta mocno krwawi. Spływająca jej po nogach krew skraplała podłogę. Najpierw pomyślał, że uszkodzili jej przyrodzenie, lecz potem zorientował się, że Chinka ma okres. O dziwo, jej bezwstyd przeraził go bardziej niż wszystko, co tu dotąd widział. Nie wytrzymał.

- O, nie, nie, nie, nie, co oni ci zrobili! - załkał jak dziecko, użalając się nad nią, jakby była członkiem najbliższej rodziny.

Ale Chinka nie zareagowała. Z twarzą pustą i nieruchomą jak u robota lub trupa odeszła w stronę pokoju, w którym czekał mężczyzna w masce.

Malajowie rzucili skatowanego ojca na zimną kamienną podłogę w celi z dzbankiem słonej wody i szczurem do towarzystwa. Pobity i skonany, dowlókl się do kąta. W głowie mu wirowało.

Wreszcie zrozumiał, dlaczego trupy zwisające z pali w mieście miały poczerńnięte palce. To słońce wypaliło sól w ranach. Obudził się z krzykiem. Nie rozpoznał własnego ochryplego głosu. Rwał go palec. Coś go jadło. Szczur! Targnął ręką. Poczłł gwałtowny ból, lecz wygłodniałe zwierzę nie puściło żeru. Niemal w histerycznym szale ojciec zaczął dziko walić w twardą podłogę, aż wreszcie uwolnił rękę i usłyszał smyrgnięcie. Dłóń piekielnie go rwała. Cicho zapłakał. Cela cuchnęła jego własnym moczem.

Mijały dni. Stracił poczucie czasu. I rzeczywistości. Człł się gorzej niż zwierzę w klatce. Nie mógł opanować drgawek w ręce. Popękane od słonej wody wargi zaczęły krwawić. Wodził palcami po pokrywających je wielkich, chropowatych strupach, przerażony jak ktoś, kto odkrywa na ciele pijawki. Godzinami leżał w zupełnych ciemnościach, wsłuchując się w chrobotanie szczura. Kiedy się zbliżało, tupał, walił i kopał w podłogę, dopóki nie cofnęło się pod ściany celi.

Wstydzil się, że prześladowcy tak szybko odarli go z człowieczeństwa. Zawsze uważał się za godnego człowieka, a jednak...

Wreszcie któregoś dnia drzwi celi znów się otwały i zaprowadzono go do pokoju, w którym poznał maskę No i kryjące się pod nią czyste zło.

Na stole czekał dzbanek z wodą. Gdy tata go zobaczył, z przerażenia ugięły się pod nim nogi, a ręka sama powędrowała do ust. Krwawiły już bez przerwy, a strupy na nich były ogromne.

Najlżejszy ruch warg oznaczał rozdzierający ból. Struchlał.

Do pokoju wkroczył mężczyzna w szacie, podszedł do stołu, nalał wody do szklanki i wyciągnął ją w stronę ojca.

Jego maska była prawdziwym dziełem sztuki. Tacie zaczęła przypominać kogoś znajomego. Może wariował. Opuścił oczy na szklankę. O szkło brzęknął lód. Woda wyglądała tak cudownie chłodno. Poczłł dławienie w gardle. Wiedząc, że z oczu wyziera mu upodlające błaganie, potrząsnął głową.

- Proszę, nie - wymamrotał.

Od tych słów jego sztywne, zaciśnięte wargi od nowa zaczęły krwawić. Czyżby mu się przywidziało? Nie do wiary - maska wyglądała na zawiedzioną.

- Cesarska Armia już pana nie potrzebuje - oznajmiła i pociągnęła długi łyk wody. - Umrze pan przed świtem - dodał cicho zamaskowany dręczyciel i wyszedł.

A więc woda nie była słona! Tata rzucił się do dzbanka, ale dwaj żołnierze wbili mu w ciało kolby karabinów.

Później, tej samej nocy, czterech innych doprowadziło dziesięciu więźniów do ciężarówki.

W chłodnym nocnym powietrzu rozbrzmiewała głośna muzyka klasyczna. Ojciec nie miał wątpliwości, że tak pięknej muzyki słucha człowiek z jaszczurczą skórą. Niewątpliwie koneser rzeczy pięknych, sądząc z tego, w jaki sposób przemienił bestialstwo w sztukę. Więźniowie pojedynczo wdrapali się na ciężarówkę. Wszystkim krwawiły usta i mieli suche odwodnione twarze. Drżały im ręce, a z oczu wyglądał strach i beznadzieja. Ciężarówka uwiozła ich, skatowanych, z eleganckiego domu ze szcurami, wyjątkowo okrutnym, zamaskowanym gospodarzem i bez głośnymi malajskimi chłopcami, pojawiającymi się i znikającymi jak duchy.

Sąsiad ojca, kierowca, który usiadł obok niego, oszołomiony wpatrywał się w przestrzeń.

Japończycy zawieźli ich w głąb dżungli i zatrzymali się na polanie. Więźniowie popatrzyli po sobie z nowym strachem. Rozpoznali fetor rozkładających się zwłok. Żołnierze polecieli im zsiąść, wetknęli w drżące ręce łopaty, ale nie rozkazali kopać, tylko zasypać długi dół. Był głęboki i tak czarny, że nie widzieli wykrzywionych przerażeniem twarzy ani zarobaczonych ciał, choć je czuli.

Gnijące trupy.

Ojciec rozejrzał się. W blasku reflektorów ciężarówki wszyscy sprawiali wrażenie desperatów i szaleńców. Dręczeni smrodem, złymi przecuciami, mamrotali modlitwy, a czasem któryś śmiał się obłąkańczo. Zachowywali się jak ludzie czujący na karkach zimne tchnienie śmierci. Zasypali dół. A potem dostali rozkaz wykopać drugi, takiej samej długości i szerokości.

W świetle reflektorów ojciec zobaczył, że na polanie są inne miejsca tych samych rozmiarów, pokryte świeżą ziemią. Strach nie pozwalał o tym myśleć. Kopali przez jakieś dwie godziny, lecz nikt nie pragnął zakończenia tej żmudnej harówki. Najgorszy ze wszystkiego był w tę upalną noc lęk, że zaraz padną słowa: "Dość. Wystarczy".

Wkrótce zginę, pomyślał ojciec i nagle poczuł spokój.

Twierdzi, że zobaczył śmierć, i to z bardzo bliska. Była urzekającym małym dzieckiem. Przygarnął je do siebie i po całował w śliczne dziecięce usta. "Chodź i pobaw się ze mną" - poprosiło go.

- Dość i Wystarczy! Stanać twarzą do dołu! - padła głośna komenda.

Myśl, że wkrótce go już nie będzie, sprawiła ojcu dziwną przyjemność. Dobrze wiedział, że zawiódł w życiu, a śmierć wabiła tak miło. Rozważył przyszłość. Mohini niedługo wyjdzie za mąż, a ponieważ jest mądra, ułoży sobie życie. Chłopcy też dadzą sobie radę. Biedna Lalita, pomyślał z bólem. No, ale jej matka to ideał żony, zadba o córeczkę.

Mężczyźni z ociąganiem ustawili się w szeregu. Niektórzy zaczęli płakać, a inni błagać, obficie krwawiąc z ust. Krew ściekała im po brodach. Ich żalosne skamlenia zdawały się do chodzić z bardzo daleka. Żołnierzy nie wzruszyły. Ojciec spojrział w małe czarne wyloty luf japońskich karabinów maszynowych.

Śmierć istotnie była brzdącem o promiennych oczach, rozczochranym, zaspanym, uroczym. Dziecko uśmiechnęło się do niego.

Wygiął usta w lekkim uśmiechu. Był gotów.

Powietrze wypełnił ogień i huk strzałów. Kiedy tata padał, jego ramię wybuchło jaskrawą czerwienią. Skazaniec obok chwycił się za brzuch i zwałił się na niego. Splątani cuchnącymi rękami i nogami wpadli razem do dołu. Tuż obok, w białym zimnym świetle księżyca ojciec ujrzał zastygłą w straszną maskę twarz naszego sąsiada i zrozumiał, że śmierć to dziecko okrutne i bez serca. Na nich zwałili się inni. Czuł ich skurcze i konwulsje w przegranej grze z kostuchą. Ani pisnął, gdy na twarz zaczęła mu kapać krew. Krzyk przerażenia skrył głęboko w zaciśniętym gardle. Leżąc pod trupami, słyszał agresywną dla ucha, gardłową mowę żołnierzy. Stali nad dołem i zaglądali do niego. Po kilku pojedynczych strzałach parę ciał podskoczyło. Ojciec otworzył szeroko usta, lecz jedynie po to, by nabrać powietrza w obolałe płuca. Może nie grzeszył mądrością, ale znał wartość milczenia.

Najpierw oddaliły się reflektory, a potem noc wchłonęła turkot ciężarówki. W dole śmierci było tak ciemno, że ojciec miał wrażenie, iż nigdy już nie ujrzy światła. Czekał, aż ustana śmiertelne drgawki kogoś dogorywającego. Inne ciała zapadły w wieczny sen. Przygniatały go ręce, nogi, głowy. Tak jakby zabici pragnęli, żeby został z nimi w tym mrocznym grobie. Przeżył koszmar. Tej nocy udało mu się w końcu wydostać spod dziewięciu trupów i wygramolić z dołu.

Wyczerpany, usiadł przy mogile, którą sam wykopał, i rozejrzał się błędnym wzrokiem. Księżyc uśmiechnął się do niego smutno i dopiero teraz, pierwszy raz od przyjazdu do dżungli, tata usłyszał jej odgłosy. Niestrudzone brzęczenie owadów. Ugryzł go moskit. Trzepnął się w szyję i zaniósł szalonym śmiechem. Żył! Wiał wietrzyk, po niebie płynęły miękkie, szare chmury. Był ranny i krwawił, lecz okpił urocze dziecko. W jego łagodnych lśniących oczach dostrzegł zawód i gniew.

I nie pomogło, że pocieszył nadąsanego malca zapewnieniem: "Dziewięciu na dziesięciu to świetny wynik".

Zeskoczył do dołu po buty zabitego, a potem ruszył przez dżunglę, trzymając się blisko śladów opon. Za dzień, dwa mogły go doprowadzić do miasta, ale o szarym świcie z przerażeniem skonstatował, że nie ma pojęcia, gdzie jest. Do domu wrócił dwa tygodnie po tym, jak go wzięli. Stracił jedną trzecią masy ciała. Cuchnął niczym kot sąsiadów, który wczuł się przed śmiercią pod sag drewna i odkryto go po tygodniu. Ciało taty było pokryte ukąszeniami i

ropiejącymi ranami, a ciemna skóra opinała jego potężny kościec jak elastyczna tkanina. Błąkał się w kółko po dżungli, przełaził przez ogromne, obrosnięte śliskimi mchami i grzybami pnie zwalonych drzew, ślizgał się w czarnym mule i wdychał stęchły za duch mas gnijących liści. A przez cały ten czas żywił swoją krwią roje olbrzymich moskitów, pijawek, much, pcheł, latających mrówek i diabli wiedzą ilu jeszcze stworzeń, których z woli bogów pełne są noce czarniejsze nad wszelkie wyobrażenie.

Opowiadał mi, że w nocy chemiczne związki uwolnione w procesie gnicia zmieniają rozkładające się liście i powalone, ciemne, pokryte mchami i porostami drzewa w dziwną, nie kończącą się mozaikę fosforyzujących i świecących kształtów. Otoczony feerią rozjarzonych światel, siedział skamieniały ze strachu, nasłuchując kroków tygrysa, choć dobrze wiedział, że kiedy to zwierzę się skrada na swoich miękkich łapach, nie drgnie nawet najmniejszy liść paproci.

Bał się, że raptem może ujrzeć przed sobą jego czarne jak smoła wargi i błyszczące zęby.

Biedny tata. W wilgotnym upale ramię bolało go tak, jakby dzień i noc przypalano je rozżarzonymi węglami. Rana zaczęła cuchnąć. Zakrył ją listkami. Codziennie o świcie zlizywał rosę ze wszystkich gładkich liści, jakie znalazł, a potem szedł przed siebie, dopóki starczyło sił w nogach. Raz w rozproszonym świetle o mało co nie nadepnął wielkiego czarnogranatowego skorpiona, który przeciął mu spokojnie drogę, z uniesionym wysoko odwłokiem, zakończonym trującym kolcem jadowym.

Tata rzadko się zatrzymywał.

Pewnego dnia ulewa zamieniła ścieżki, którymi podążał, w rzeki czerwonego błota. Kiedy indziej było tak gorąco, że z gnijących liści na poszyciu dżungli wzbijała się para. Raz zaskoczył go i zdumiał widok wielkich dziur w błocie i ochlapanych na wysokość oczu czarnym szlamem pni pobliskich drzew. Ruszył po śladach słonia, ale doprowadziły go donikąd.

Dopiero po jakimś czasie zdał sobie sprawę, że krąży w kółko, i wpadł w popłoch. Nie mógł się pozbyć wrażenia, że dżungla chce zapuścić korzenie w jego znękanym ciele. Jej zbiorowy apetyt dostrzegał we wszystkich kształtach i formach. Nawet zwieszające się z konarów drzew pnącza pieściły go pożądliwie, pozostawiając mu na twarzy wilgotne, zielone ślady.

Kiedy siedział na zwalonym pniu, obserwując włochatego pajaka wielkości dłoni, który wspinał się po grubej lianie, coś załaskotało go w nagie przedramię. Był to wijący się robak.

Gdy na niego patrzył, tuż obok spadł drugi. Niebawem do dwóch lśniących białych larw dokazujących na jego ręce dołączyła trzecia. Wolno obrócił głowę i chociaż w jednej chwili domyślił się, że jego wypełniona ropą rana na barku roi się od robaków, na ich widok spuścił wzrok, sycząc z odrazy i przerażenia. Jednocześnie poczuł, że ręka całkiem mu zdrętwiała. Jedzą mnie żywcem, pomyślał, wpadając w najczarniejszą rozpacz.

Doszedł do wniosku, że niezwykle, mściwe dziecko śmierci igra z nim w skwarnej duchocie, ale mylił się, bo piękny malec przestał się nim interesować. Po zjedzeniu martwej skóry i ropy robaki znikły, pozostawiając ziejącą czystą ranę.

Kiedy spomiędzy wielkich paproci tuż obok wyfrunął bażant argus, ojciec rzucił się na niego. Nie mam pojęcia, co by z nim zrobił, bo przecież tata nie skrzywdziłby nawet muchy, która sama by mu wpadła w usta. Skończyło się jednak na tym, że wylądował twarzą w żyznej czarnej ziemi. Był tak skrajnie wycieńczony i słaby, że przelatujący niebieski zimorodek z pomarańczowym brzuszkiem wydał mu się barwną smugą.

Tam gdzie sklepienie z listowia było cieńsze, wokół głowy ojca fruwały, zataczając wdzięczne koła, motyle wielkości jego twarzy; czasem tata przedzierał się przez zamieć muszek owocowych, apatycznie oganiając się rękami. Ramię rwało go nieustannie. Usta miał poranione, a skórę na całym ciele boleśnie podrażnioną setkami ukąszeń i kontaktów z trującymi liśćmi. Wiedział, że długo już nie wytrzyma. Słaniając się, brnął dalej.

Aż wreszcie znalazł ślady, ludzkie ślady. Drzewa były oznakowane. Uradowany, podążył za znakami. Doprowadziły go do bujnej kępy bananów. Złakniony, zapuścił się w obfitujący w owoce zagajnik, ale wtedy spod wspaniałych liści oderwały się tuziny pijawek. Zauważył je, dopiero gdy grube jak palec i opite krwią, same zaczęły odpadać mu od skóry. Kiedy skończyły się banany, ojciec głodował do czasu, aż poczuł zapach mango. Podążył za ich silną wonią i dotarł do kolonii dzikich drzew mangowych, pod którymi rozpościerał się zdumiewający dywan z dojrzałych żółtych owoców.

Usiadł i odrywając zębami skórkę, zjadł ich dziesięć, piętnaście, a może nawet dwadzieścia. Były przepyszne. Zamieniwszy koszulkę w torbę, naładował ją po brzegi mango i ruszył dalej.

A potem, nie do wiary, niczym za sprawą czarów dżungla ustąpiła miejsca rzędom drzew kauczukowych. Skradający się jak polujący kot tata ze ścierplą skórą przystawał za każdym drzewem, spodziewając się, że lada moment skądś wyskoczy japoński żołnierz. Przed oczami majaczyła mu nieodgadniona żółta twarz, a w skurczonym żołądku czuł bagnet. Ale nikt mu go nie wbił w brzuch. Oswojony już z nieustannym brzęczeniem milionów owadów i głośnymi krzykami ptaków i małp, miał wrażenie, że na plantacji kauczuku panuje martwa cisza. Wreszcie natknął się na starą gruntową drogę, prowadzącą do małej szopy, w której dwóch Hindusów, używając alkoholu z soku palmy kokosowej, wytwarzało ręcznie z mleczka kauczukowego płachty gumy. Ojciec zawołał do nich, lecz wydobył z siebie tylko słaby jęk. Otworzył usta, żeby krzyknąć głośniej, ale ugięły się pod nim nogi i połknęła go ciemność.

Trafił na dobrych ludzi. Przyprawdzili go do domu. Nie widziałam bardziej opanowanej i kompetentnej osoby od mojej mamy. Nie przeraził jej ani nie odrzucił stan taty.

Smród, rany, skaleczenia, sińce, wyrwane ciało, opuchlina. Nadpalila nad kuchnią kawałki starych szmat i ich zwęglonymi końcami natarła go całego. Jęczał z ulgi, kiedy węgiel wnikał w bolące miejsca. Spuchniętą twarz przemyła mu wywarem z liści orzeszków ziemnych. A potem oczyściła rany, opatrzyła je i zabrała się do stawiania na nogi ludzkiego wraka, który nie rozpoznał jej w progu domu.

Tygodnie przeleżał w żelaznym łóżku skurczony, cały w jodynie. Chorobliwie wiotka skóra lepila mu się od potu. Bez przerwy prosił wody, nawet przez sen. A przywoływał po imieniu tylko mamę i tylko ją rozpoznawał półprzymkniętymi oczami. Czasem wyciągał rękę, by dotknąć twarzy Mohini i po policzkach płynęły mu ciche łzy. Usta, które zdawały się stracone, goiły się nadszpiewanie szybko, ale trawione przez malarię ciało ciskało się i podskakiwało, jakby w mózgu toczyła się bezwzględna wojna, w której nie mogło dojść do zawieszenia broni.

- Zedrzyj mu maskę! Nie dawaj mu mojej chininy! - wołał w malarycznych majakach.

Prędko, zamknij drzwi. Ukryj dzieci – bredził. - Leżą martwi w błocie! krzyczał, dygocząc, aż trzęsło się wielkie łóżko.

W pierwszą sobotę po powrocie taty mama wróciła z targu i na pieńku przed kuchnią otworzyła pakunek zawinięty w ciemnozielony liść melonowca. W środku było jaskrawoczerwone krokodyl mięso.

- Pomaga leczyć rany – wyjaśniła. - Ojciec jest taki długi, wiele trzeba, żeby nabrał ciała.

Ugotowała mięso z ziołami. Przyglądałam się, jak karmi tatę fioletowym bulionem. Wyławiała łyżką kawałki krokodylego mięsa, które spływały choremu po brodzie. Przez wiele dni codziennie rozpakowywała liście melonowca i gotowała jaskrawoczerwone mięso.

Siedziała przy łóżku taty na okrągło. Czasem go karcila, a czasem śpiewała piosenki, których nie znałam. Może więc mimo wszystko go kochała. Może po prostu miała rogatą duszę.

Widzę jej drobną postać, jak spowita wieczornymi cieniami siedzi przy łóżku mego ciemnoskórego ojca. Ja zaś, oparta o framugę, z piętą lewej stopy na łydce prawej nogi, w zadziwieniu słucham nuconych przez nią piosenek, o których istnieniu nie wiedziałam. Mama była dla mnie oceanem. Tak głębokim i pełnym tajemnic, że bałam się, iż nigdy go nie zgłębię. Pragnęłam być strugą, która - przemieniona w rzekę - kiedyś wpadnie do niego.

Aż nadszedł dzień, gdy ojciec usiadł na łóżku i poprosił o banana.

Obiegliśmy go, patrząc zafascynowani, jak je. Nasz szaro fioletowy tata był bohaterem. Na razie potrafił się zdobyć tylko na najbłedszy z uśmiechów, który w tej samej chwili gasł. Kazał Lakszmanie przynieść sobie do łóżka przechowywany od lat kloc i zaczął rzeźbić maskę. Powoli, bardzo powoli z drewna zaczęła się wyłaniać niezwykle piękna twarz z brwiami jak

łuki i zmysłowymi wargami. Gładka, łagodnie uśmiechnięta maska leżała przy łóżku taty, a on często się w nią wpatrywał. Aż pewnej nocy obudziło nas gwałtowne walenie i gniewny krzyk. Wpadliśmy do sypialni rodziców i zastaliśmy ojca pośrodku pokoju, wspartego chwiejnie na ciężkim drewnianym tłuczku mamy. Na podłodze leżała rozbita maska. Przez kilka sekund patrzył na nas, jakby nas nie poznawał, a potem osunął się z płaczem na kolana.

Nazajutrz, gdy stanęłam w progu, patrząc, jak je zupę z krokodyla, przywołał mnie do siebie. Kiedy poklepał pościel przy biodrze, wsunęłam się na łóżko i położyłam głowę na jego brzuchu. Opowiedział mi o swoich strasznych przeżyciach. W głowie utkwiło mi każde jego słowo.

W końcu to właśnie mnie powierzył swoją niewiarygodną historię. A potem prędko wrócił do zdrowia i zaczął się kręcić po domu. Szybko też zapomniał o szczegółach, które na zawsze wyrył w mej pamięci. Z biegiem lat zatarł mu się obraz maski prześladowcy i ślicznego dziecka śmierci.

Dżejan

Żeby wzmocnić moje słabowite nogi, mama zleciła Mohini, by zabierała mnie na przechadzki. Spacerowaliśmy po lesie za domem, wzdłuż strumienia, a czasem zapuszczaliśmy się aż na cmentarz na końcu głównej drogi. Szliśmy ręka w rękę - ona stukocząc głośno strasznie niewygodnymi, czerwonymi drewniakami, noszonymi w tamtych czasach przez Chinki, a ja w mocnych butach, za które mama dużo zapłaciła. Podczas jednego z tych spacerów uwagę siostry przykuł migotliwy błękitny blask w płynącej wodzie. Bez zastanowienia weszła w czerwonych chodakach do strumienia i wróciła z błyszczącymi oczami, ściskając w ręku cudownie niebieski kryształ. Tak oto zaczął się najszcześniejszy okres w moim życiu. Od odkrycia nieskończenie płodnego łona ziemi rodzącej kryształy. Wszędzie znajdowaliśmy oszałamiająco piękne kamienie - w błocie, przy drodze, pod domami, na brzegach rzeki, gdy mama szła po ryby, i na skałach niedaleko targu. Starannie je czyściliśmy i raz w tygodniu zanosiliśmy je do profesora Rao.

Profesor Rao, znajomy taty, był dość znanym gemmologiem. Pokazywał nam poźółkłe maszynopisy, ważne dokumenty, które wysłał do Towarzystwa Gemmologicznego w Londynie. Ten niezwykle kulturalny człowiek, z włosami białymi jak śnieg, zajmował się naukowo historią Indii.

Jego syn - duma ojca - studiował medycynę w Anglii. Przy każdej nadarzającej się okazji profesor Rao wysyłał mu za pośrednictwem przyjaciół i znajomych kiście niedojrzałych, zielonych bananów.

Często czytał nam listy od niego, w których ten inteligentny, wesoły chłopak dziękował za smaczne, żółte banany, zachwycając się, że są takie dojrzałe.

To właśnie profesor Rao nauczył nas chodzić z krzemieniem w kieszeni. Natrafiając na jakiś kamień lub minerał, za pomocą krzemienia sprawdzaliśmy, czy się odłupuje i nadaje się do wypolerowania wełną stalową. Tym sposobem Mohini i ja napełniliśmy prawie po brzegi pięknie wypolerowanymi, kolorowymi kamieniami i minerałami starą skrzynkę po pomarańczach. W moich oczach w tej drewnianej skrzynce pod domem mieścił się skarb dorównujący wartością profesjonalnej kolekcji minerałów, kryształów, skamielin i drogich kamieni profesora Rao.

Nawet jego wypolerowanym przekrojom geod, z pozoru nieefektywnych jaj skalnych, z grubą skorupką złożoną z tworzących esy-floresy zwichrowanych warstw, powstałych wskutek szybkiego stygnięcia skorupy ziemskiej i wypełnionych ciemnofioletowymi kryształami. Nawet jego blisko metrowej ametystowej grocie, w której z łatwością mieściła się moja głowa. A także, byłem tego pewien, niezwykle wielkiej lindze z czarnego turmalinu w kształcie fallusa, uważanej przez Hindusów za symbol boga Siwy. No i bryłce bursztynu z zatopionym w niej owadem i fascynującymi śladami jego dramatycznej walki ze śmiercią w żywicy.

Leżałem na dywanie z zielonych i żółtych liści w ogrodzie za domem, nie zazdroszcząc mu jego wielkich konch - muszel paua - i koralowego drzewka z cennymi paciorkami.

Lecz gdy teraz patrzę na zawartość naszej skrzyni, chce mi się płakać. Widzę w niej bowiem tylko zakurzone kamienie. Smutną pamiątkę po szczęśliwych, niewinnych dniach, kiedy godzinami siedziałem pod domem, starannie polerując kamyk, by wydobyć jego ciemnopomarańczowe wnętrza. Dniach ulotnych i delikatnych niczym skrzydła motyla, błękitnych jak najczystsze niebo nad topazem lub szafirem spoczywającym w mojej dłoni.

Co tydzień zostawialiśmy pantofle przed domem profesora Rao i po niskich schodkach wchodziliśmy do jego groty Aladyna. W swoim białym dothi witał nas jak najuprzejmiej w progu, z rękami złożonymi w pęk lotosu, oczami lśniącymi tysiącem cnót i śladem boga na wysokim czole - znakiem w kształcie litery "u" wymalowanym świętym popiołem.

- Wejdźcie, wejdźcie - zapraszał nas, wyraźnie ucieszony widokiem słuchaczy.

W jego chłodnym domu rozwieraliśmy dłonie i pokazywaliśmy mu ciepłe kamienie. Z powagą brał je peseta i po kolei oglądał pod lupą. Chociaż Mohini i ja wręczaliśmy mu najczęściej kamyki bez wartości, to z pietyzmem układał je na specjalnej tacy i wchodził do magazynku, gdzie w ciemnych butelkach trzymał trucizny służące do rozpoznawania skał i minerałów. Wynosił stamtąd zakupione u zagranicznych dostawców buteleczki z ekscytującymi trupimi główkami i piszczelami i ostrożnie upuszczał krople bezbarwnego płynu na nasze znaleziska. Zawzięcie wytrzeszczaliśmy oczy, pewni, że po paru zniewalających chwilach nasze skarby zasyczą, zadymią, a nawet pokryją się cętkami lub zapłoną jaskrawymi kolorami.

A potem jego poważna żona częstowała nas bardzo słodką herbatą i wspaniałym marmurkowym ciastem. W kuchni słuchała wyłącznie frywolnych tamilskich piosenek o miłości, bo w salonie profesor Rao nie pozwalał słuchać niczego, prócz klasycznej ponurej muzyki Tiagaradży. Kiedy skubaliśmy cienko pokrojone ciasto, profesor otwierał srebrne puzdro z małymi przegródkami. Spoczywały w nich: betel do żucia, jego liście, wapno gaszone, orzechy arekowe, aromatyzowany kokos, kardamon, goździki, kminek i szafran. Była to joga w najczystszej postaci.

Długimi palcami pianisty Rao nakładał subtelnie, szczypta po szczypcie, odpowiednie ilości składników na jaskrawozielony liść, zwijał go w piramidkę i spajał pojedynczym goździkiem.

Z betelem w ustach żywo opisywał niedolę podrażnionej ostrygi lub żywot magmy, wrzącej setki mil pod naszymi stopami, i zabierał nas pod powierzchnię ziemi, tam gdzie od milionów lat spoczywały diamenty. Jego cichy kulturalny głos przenosił nas do wielkich komnat ozdobionych zielonym marmurem ze Sparty, żółtym marmurem z Namibii i freskami Meleagra i Antymenesa.

Na wspaniałych ścianach wisiały lampy z pachnącymi olejkami i girlandy z wonnych liści i fiołków. Bogaty rzymski gospodarz, dekadent i smakosz, z rozmysłem dobrał cudaczny zestaw dań, kierując się ich rzadkością i ceną. Służba ustawiła na długim bankietowym stole srebrne półmiski z pokrzewkami, papugami, turkawkami, flamingami, jeżowcami, morświnami, jęczyczkami skowronków, łonami bez płodnych loch, wielbłądzimi kopytami, kogucimi grzebieniami, duszoną młodą kozłina, ostrygami z rusztu i drozdami polanymi żółtkami jajek.

- Rzymianie jedli palcami - powiedział profesor Rao. - Tak jak my.

Z podziwem śledziliśmy korowód muzyków, poetów, połykaczy ognia i tancerek, aż wreszcie druga część uczy dobiegła końca i dumny gospodarz uniósł w górę rzeźbiony puchar z ametystu, wykrzykując: "Rozpocznijmy biesiadę!". A gdy to powiedział, niewolnicy powrzucaли gościom do srebrnych kielichów ametystu, bo po grecku amethystos znaczy "niepijany", Rzymianie zaś nie tracili żadnej okazji, żeby przedłużyć ucztę.

Oczami profesora Rao ujrzeliśmy eunuchów na dworach starożytnych chińskich dynastii, którzy z jednakową uwagą zajmowali się wyszukiwaniem cesarzowi coraz to nowych młodziutkich konkubin, jak i przygotowywaniem mu w jadeitowych misach posiłków podtrzymujących wigor.

Po zjedzeniu ciasta podążaliśmy za profesorem do szklanej gabloty. Odsuwał jej drzwi i przed naszymi oczami otwierał się inny świat.

- Zaraz. Czy pokazywałem wam już mojego kamiennego kraba? - pytał, wkładając w nasze dziecięce ręce pokaźny ciężar dużego skamieniałego skorupiaka, z wszystkimi utrwalonymi na wieki szczegółami.

Po kolei piruety kręciły przed nami wszystkie skarby z gabloty. W zdumieniu przesuwaliliśmy palcami po skamieniałym drewnie, kawałkach gagatów i różańców z łez Siwy, brunatnoczerwonych pestek rudrakszy. Podziwialiśmy żółtą skorupę szylkretowego żółwia, a kiedy indziej skamieniały cios mamuta lub nieobrobione, surowe zęby morsa i hipopotama.

Ostrożnie rozpakowywał okrągłe czarne kamienie, w których, niczym w rozbitej skorupie orzecha, kryły się skamieniałe amonity, zwinięte i zamknięte jak tajemnice. Znalazł je na stokach Himalajów.

- Tych gór nie było, dopóki Indie nie oderwały się od pralądu, Gondwany, i nie zderzyły z Tybetem, wypiętrzając w górę dno morza - wyjaśniał zagadkę obecności morskich stworzeń na stokach tak wysokich gór.

Ale ja za chlubę kolekcji profesora Rao zawsze uważałem kryształową czaszkę Indian Cherokee. Indianie ci, powiedział nam, wierzyli, że ich czaszki mówią i śpiewają, a przed użyciem ich do leczenia lub wróżb zawsze myli je w jeleniej krwi. Był to bardzo piękny przedmiot, w którego głębi załamywały się kolory. Co jakiś czas, kiedy przygasały, profesor zakopywał czaszkę w ziemi na noc albo wystawiał ją na dwór w czasie burzy lub pełni księżyca.

Podczas kolejnych odwiedzin wkładał nam do prawych dłoni coraz to inne kawałki kryształu i polecał przykryć lewymi.

- Zamknijcie oczy i niech wasze serca szepczą do tych kryształów: "Kocham cię" - mówił.

Trzymałem kryształ, jak kazał, z zamkniętymi powiekami, i swoim małym rozumem w te pędy wracałem do ostatniego niezjedzonego kawałka marmurkowego ciasta, czekając, aż profesor powie: "Otwórzcie oczy".

- Co widzieliście? - pytał nas, podekscytowany.

Ja na pomarańczowym tle powiek widziałem tylko zielone plamki, ale bardzo przejęta eksperymentem Mohini mówiła o rozbłyskach światła, radości, pędzącej przez jej żyły jak woda deszczowa, i wrazeniu, że jej ciało porastają śliskie algi.

- To wspomnienia zaklęte w tym kryształ! - wołał triumfalnie profesor Rao.

Kiedyś nas zaskoczył. Czubek jednego z wiązki kryształów kwarcu, którą moja siostra trzymała w ręku tydzień wcześniej, zabarwił się tęczowo. Zdumieni, przyglądaliśmy się idealnej tęczy. Czyżby wyczarowała ją Mohini?

- Jak najbardziej - potwierdził rozpromieniony Rao. - Ten kamień reaguje czasem jak wystraszone dziecko. Trzeba go potrzymać, by się uspokoił.

Potem już za każdą wizytą prosił ją, żeby dotykała tego kwarcu i się nim bawiła.

Ale tylko jeden jego kryształ zakwitł tęczą.

Podczas naszej ostatniej wizyty w domu profesora, parę tygodni przed inwazją Japończyków, gospodarz otworzył pudełko zapalek, w którym na wyściółce z waty leżał kamień przypominający wielką przezroczystą kroplę bardzo zielonej oliwy. Wyjął kroplę z pudełka, obejrzał ją pod światło i zapewnił, że to najdoskonalszy szmaragd na ziemi. Bezcenny. Nawet nieobrobiony był tak duży i piękny, że robotnik, który go wykopał, połknął go i przemycił.

- Jest moim życiem - oświadczył z dumą profesor, ale kiedy odkładał kamień do skromnego schowka, głos mu niezwykle złagodniał. - Przywodzi mi na myśl twoje oczy, Mohini, drogie dziecko, i dostaniesz go, gdy poślubisz mojego syna.

Nie mylił się co do szmaragdu. Rzeczywiście miał barwę oczu mojej siostry. Pamiętam jej oczy z najwcześniejszego dzieciństwa. Roziskrzzone, roześmiane klejnoty. Ależ ona się śmiała!

I jak tańczyła.

Ileż to razy patrzyłem, jak płąsa w księżycowym świetle. Krowy spały w szopie, a ja siadałem na maminy stołku do dojenia i wpatrywałem się w nią, taką inną pod srebrnym wejrzeniem księżyca, taką piękną. W jej wspaniałe, dziwne, długie oczy w grubej oprawie z czernidła, którego nie żałowała mama.

"Tai tai, taka, taka tei, tei, taka, taka". Czysty głos Mohini brzmiał jak klaskanie małych dzieci. Wyginała zwinne ciało, jej ręce migwały w ciemności jak blade brzuchy pstrągów wyskakujących z czarnego strumienia, a pięty uderzały w ziemię do rytmu z klaszczącym głosem.

W noc niósł się śpiew bransoletek na kostkach jej nóg.

"Tai, tai, taka taka tei, tei" - śpiewała, rozwijając palce dłoni jak wachlarze. Jej ręce fruwały w mrok, by zerwać czarowne owoce. Lekko je wycierała, układała w koszyku ze złotego filigranu i ofiarowywała Wielkiej Bogini w niebie. Potem koniuszkami palców dotykała stóp, a te, jak najpiękniejsze wiewiórcze kity, zamasyście kreśliły na ziemi obrazy. Dumnego pawia, ryczącego tygrysa, płochliwego jelenia. Ale zawsze było za ciemno, bym mógł je zobaczyć. Strzelała oczami na boki, w lewo, w prawo, znowu w lewo. I obraz był gotowy. Potem, uderzając piętami w ziemię, zataczała szybko wdzięczny krąg wokół skończonego rysunku, a kiedy zamykała koło, wiedziałem, że to kres podróży.

"Ta dor, ta dor, ta dor, ta, ta".

Wznosiła ręce do księżyca, wirowała coraz prędzej w oszalałym brzęku dzwoneczków na kostkach i oszołomiona padała bez tchu na ziemię. "No i jak? Jestem lepsza? " - pytała, unosząc ku mnie pałającą twarz.

Z jakiegoś powodu przypominała mi cudowną Siddhi, uosobienie uwodzicielskich mistycznych mocy taką piękną, tak nie zwykłą, a jednak odtrąconą przez bogów.

W tych nierzeczywistych chwilach, zwiedziony światłem księżycy i jej ekstatycznym, tańcem, zapomniałem, że to nie tajemnicza niebiańska istota leży zdyszana na naszym podwórku, tylko moja siostra, najodważniejsza osoba, jaką znałem. Była odważna inaczej niż pozostali, odważna w sposób, który mama uważała za słabość, a ojciec za świadectwo miękkiego serca. Jak opisać ogień, z jakim moja siostra reagowała na nie sprawiedliwość? Może zrozumiesz to, kiedy opowiem ci o urodzinowej kolacji mamy. Tym razem tata oszczędzał przez cały rok ze swoich żalonych poborów, żeby uraczyć żonę ucztą godną królowej i jej dzieci.

Gdyby mama o tym wiedziała, sprzeciwiłaby się podobnej ekstrawagancji, ale tata zaplanował to w tajemnicy. Obstałował tę kolację na długo przed jej urodzinami, płacąc za nią w małych ratach. Cała rodzina usiadła przy dużym okrągłym stole. Najpierw podano kraby z sosem chili, potem baraninę gotowaną w kozim mleku, kremową zupę z makaronem laksa, pikantne czar kue teou z owoców morza, kałamarnice w ostrym sosie sambal, pachnącym pigwą bengalską, japońską bramę z pastą imbirową, trzcinę cukrową z pastą krewetkową i tak dalej, i tak dalej, aż cały stół zajęły parujące dania.

- Wszystkiego najlepszego w dniu urodzin - szepnął uśmiechnięty ojciec.

Mama tylko skinęła głową. Chyba było jej przyjemnie, bo uśmiechała się do nas, ale kiedy zaczęła nakładać Lalicie smażony ryż, usłyszeliśmy przenikliwy lament. Stara żebraczka żaliła się na restauratora, który próbował ją przegnać, okładając miotłą po nogach. Tak właśnie było w tamtych czasach. Od natrętnych żebraków mogłeś się opędzić tylko biciem.

Patrzyli wszyscy - niektórzy ze smutkiem, a inni z ulgą, że cuchnąca starucha nie zepsuje im apetytu, podchodząc do ich stołu. Ale nie Mohini. Z oczami pełnymi łez zerwała się z krzesła i ruszyła do restauratora.

- Jak pan śmie bić tę babcię! - krzyknęła.

Na widok szarżującej rozgniewanej dziewczynki, zaskoczony, zatrzymał miotłę w powietrzu. Przywykła do bicia że braczka zamilkła i opadła jej szczeka. Mohini objęła ją w pasie i przyprowadziła do naszego stołu. Żeby zjadła z nami. Moja siostra miała wtedy niecałe dziesięć lat.

Jest obecna w moich najwcześniejszych wspomnieniach. Patrzyłem na nią z dołka w ziemi, w który codziennie wstawiała mnie mama, żeby wzmocnić moje nogi, i widziałem ją w tysiącach pól. Odgrywała różne historie, wcielając się we wszystkie postaci. Biegała jak fryga, stroiła miny i zmieniała głosy, turkocząc dookoła mnie jak wesoły motyl. Wydawało mi się, że tylko ona ma dla mnie czas. Z pewnością zaglądała w moje małe, błagające oczy i wiedziała bez słów, że takiej biednej, brzydkiej istoty jak ja nikt nigdy nie pokocha. Że mam w ustach język powolny jak ślimak, którym nigdy nie wypowiem miłych rezolutnych słów, jakimi wszystkie dzieci podbijają serca dorosłych. Moja siostra podjęła się hołubienia mnie i robiła to najlepiej, jak umiała.

A zaczynała każdego ranka, kiedy w domu nie było już nikogo. Tata w pracy, Anna i bracia w szkole, a mama z Lalitą na targu. Mama musiała zabierać ją z sobą, bo inaczej siostra padała na podłogę i aż do jej powrotu lała gorzkie łzy, jakby przepadła jej znacznie, znacznie dalsza wycieczka niż na miejscowy targ. Tak więc każdego ranka siedziałem ze skrzyżowanymi nogami w plamie wątlego słońca przy kuchennym oknie, a Mohini napinała i skręcała w pierścionki moje włosy, opowiadając historie o Krysznie, niebieskim bogu.

- Pewnego razu, gdy jako małe dziecko włożył sobie do ust garść piachu, jego matka rzuciła się, żeby mu go wyjąć, ale kiedy otworzyła usta syna, ujrzała w środku cały świat.

Siedziałem z palcami siostry we włosach, czując na głowie jej ciepły oddech, i zazdrościłem psotnemu pieszczochowi, który ukradł maślankę, dla kawału schował szaty kąpiących się panien, gołymi rękami zabił wielką kobrę i uniósł górę Gowardhan, żeby osłonić stado krów przed straszliwą burzą, zesłaną przez zazdrosnego Indrę. Marzyłem, że patrzę z okna pałacu na gromadę gopi, pięknych dojarek zbierających pąki lotosu w zielonej sadzawce i potajemnie modlących się, każda z osobna, by mogły mnie poślubić. Ja zaś śniłem o poślubieniu najpiękniejszej z nich, Radhy.

- Pewnego dnia przyjdzie twoja Radha miękka jak kwiat gorzycy, a ja posmaruję jej czoło pastą sandałową i kam kam żartowała ze mnie Mohini.

Zawsze przybierałem odpowiednio oburzoną minę, ale święcie jej wierzyłem.

To są moje najmilsze wspomnienia. Co jeszcze zapamiętałem? Lata spędzone na łasce okrutnych nauczycieli. Na przerwach przypinali mi na plecach zeszyty, żeby o skali mojego nieuctwa wiedziała cała szkoła. Karcili mnie i cokolwiek robiłem, oceniali jako bezwartościowe. Nie byli w stanie pojąć tak wielkiej głupoty. Wyzywali mnie i stawiali do kąta. Na boisku nieznane mi dzieciaki śpiewały na mój widok: "Kaju balak, kaju balak!" (drewno, drewno!). "Tępy jak kołek!" - krzyczały.

Och, jakże żałowałem, że moje biedne uszy nie mają powiek.

Z desperacji poniżałem się, by zarobić na dobre słowo, po zdrowieniu czy porozmawianie z kimś na przerwie. Dobrowolnie nosiłem innym teczki, dla ich okrutnej rozrywki chodziłem tyłem dookoła placu i czekałem jak pies. Z czasem przekonałem się jednak, że w ten sposób nie zdobywa się przyjaciół. Nauczyłem się więc siedzieć w kącie boiska, plecami do prześmiewców, małymi oczami patrząc na ulicę, a powolnymi ustami niespiesznie przeżuwać jedzenie.

- Kaju balak, kaju balak - śpiewały za mną radośnie dzieci.

Nauczyciele wciąż mnie besztali i karcili za charakter pisma, ale nie potrafiłem zapanować nad zeszywniałą ręką. Łzy wyciśnięte z mojej nieruchomej twarzy nie zmiękczały ich wściekłych min. Jak miałem ich przekonać, że kiedy otwieram podręcznik, na białych wodach jego

kartek pływają atramentowe ryby i nie rozróżniam słów? Jak mogłem dobrze dodawać, skoro liczby dokazywały i biegały po stronicach niczym małpy? Jak wreszcie mogłem im powiedzieć o mojej sztywnej ręce?

Wiele lat po odejściu Japończyków, którzy zniszczyli nam życie, zadałem sobie pytanie: Czyżbym zasnął na poszyciu ze lśniących liści w ogrodzie za domem i przyśnił mi się obraz z Basohli, usiany kawałkami błyszczących jak szmaragdy skrzydełek żuków? Czy naprawdę w moim życiu istniał tak wspaniały czas, gdy obcowałem z wyższą kulturą? Odwiedziłem profesora Rao.

Podszedł do drzwi, niemal łysy, bardzo wątły i kruchy, składając dłonie w pomarszczony lotos. Nie tak okazały, promienny i entuzjastycznie uśmiechnięty, jak go zapamiętałem.

- Papa Rao - powiedziałem, nieświadomie zwracając się do niego jak w dzieciństwie.

Uśmiechnął się smutno. Sięgnął do moich naoliwionych, zaczesanych do tyłu włosów.

- Twoje loki - rzekł z żalem.

- Były śmieszne. Kręciła je Mohini...

Twarz mu się wydłużyła.

- A, tak - rzekł zgaszonym głosem, wprowadzając mnie do środka.

Dom był mniejszy, cichy, dziwnie martwy. Z kuchni nie dobiegały ckiwe miłosne piosenki pani Rao. Ale słyszałem, jak porusza się ciężko, z trudem w innej części domu.

- Gdzie są: ametystowa grota, geody, czaszka, obrazy? - spytałem bez uprzedzenia.

Podniósł rękę i po chwili opuścił ją bezwładnie do boku.

- Japończycy... ukradli wszystko wyjaśnił. Ametystową grootę musieli wynieść we trzech.

- Nawet kamiennego kraba?

- Nawet kamiennego kraba, lecz, wyobraź sobie, nie ruszyli lingi Siwy! Te bydlęta nie poznały się na jej wartości.

Podszedł do zakrzywionego czarnego litego kamienia i po głaskał go.

Coś mi przyszło do głowy.

- Czy pański syn wrócił? - spytałem.

- Nie odparł tak obcesowo, że zrozumiałem, iż zdarzyło się coś straszego, nieodwracalnego. Posłuchamy Tiagaradży? - zaproponował, odwracając się ode mnie szybko, żebym nie zobaczył cierpienia na jego starczej twarzy.

Na pierwsze dźwięki strun winy profesor Rao opuścił głowę między dłonie. Ciche łzy spadły na jego białe dothi i spod cienkiej bawełny zaczęła przeświecać pomarszczona, brązowa skóra.

- Papa Rao I - zawołałem, strapiony widokiem łez.

- Ciii - uciszył mnie zdławionym głosem. - Słuchaj.

Nie było marmurkowego ciasta ani słodkiej herbaty. Siedziałem jak skamieniały do wybrzmienia ostatniej nuty ragi Bhajrawy. Profesor Rao pozbił się na tyle, że podniósł głowę i obdarzył mnie drżącym uśmiechem. Kiedy wstałem do wyjścia, włożył mi do ręki cenną lingę.

- Nie - zaprotestowałem.

- Niedługo umrę – powiedział. - Nikt nie będzie jej kochał jak ty.

Zasmucony, zaniósłem kamień do domu. Japończycy go nie chcieli. Nie dostrzegli w nim piękna. Nikt go nie chciał, tak jak mnie. Wszedłem pod nasz dom, usiadłem na skrzynce czule wypolerowanych bezwartościowych kamieni, pomyślałem o drżących ustach papy Rao i pociekły mi łzy. Trzymając lingę prawej dłoni, a lewą zakrywając jej gładki, krągły czubek, zamknąłem oczy i po raz pierwszy moje serce wyszeptало z powagą: "Kocham cię, kryształ".

Przez krótki czas miałem przed oczami tylko pomarańczowe tło powiek ze znajomymi zielonymi plamkami, a potem zniemacka błysnęło, jakby w wodzie zebranej w ich kącikach odbiło się słońce. Moje szamoczące się serce wzięło głęboki oddech i nieco się uspokoiło. W ramiona pochwycił mnie nagle i ukołysał ktoś, kto pojął moją duszę. Spłynął na mnie spokój.

Kryształ pocieszył mnie i wkrótce zrozumiałem, że nie powinienem urodzić się człowiekiem. Szczęśliwszy byłbym jako kamień. Jako wielka skała na górskim szczycie albo zwykła wiązka kryształów lśniących w zimnym słońcu. Na Mount Evereście.

Latami tkwiłbym niewzruszenie ponad światem, pewny swej wartości, przyglądając się bezcelowej krzątaninie mamionych złudzeniami ludzi. Na granitowej ręce nosiłbym ze gar z drewna. Jego zastygłe wskazówki dniem i nocą trwałyby w bezruchu. Ale nie jestem roziskrzonym kryształem ani po szarpaną turnią nad gładką skalną przepaścią. Widzę to po minie mojej matki.

Nie jest moim przeznaczeniem być tak podziwianym przez ludzi, żeby dla poznania mnie, chwili odpoczynku na moim wierzchołku, chcieli ryzykować życie. Jestem tępakiem z kwadratową twarzą wyrzeźbioną z nieruchomego granitu. Moje samotne serce zazdrości tym, którzy czują i się śmieją.

Patrzę z uwagą w tarczę mojego drzewnego zegara, a wokół mnie pędzą ludzie. Gdy odrywam od niej wzrok, spostrzegam, że był tu poborca dusz i ci, których kochałem, znikli na zawsze, a w ich miejsce wykiełkowali jak nasiona z ziemi jacyś mali nowi. Patrząc na mnie, dostrzeżesz człowieka skazanego na najprostsze prace. Ale mnie nie żałuj, bo - tak jak ziemia - przeżyje krzątający się bezcelowo rodzaj ludzki. Zobaczysz Sevenese.

Z wielkiej urody mojej siostry zdałem sobie sprawę dopiero wtedy, gdy odkryłem, że kocha się w niej skrycie najstarszy syn zaklinacza węży, Radża. Miałem dwanaście lat, był rok 1944.

Pognałem do domu tak szybko, że gwizdało mi w uszach, a wiatr targał wściekle białe poły mojej koszuli. Przemknąłem obok ojca, śpiącego z półotwartymi ustami na werandzie, i wpadłem do kuchni. Mohini uśmiechnęła się do mnie znad miski z brązowym ciastem na placki czapati. Zapatrzyłem się w jej promienne jak gwiazdy oczy. Była zachwycającą istotą. Olśniło mnie, że jest nie tylko ręką, która zgrabnie nakłada curry na mój talerz z ryżem i znacznie łagodniej (od silniejszej i szorstkiej ręki mojej mamy) odprawia cotygodniowy znieawidzony rytuał kąpieli.

Przyglądając się zielonobrazowym cętkom w jej prześlicznych oczach, poczułem, jak po ciele rozchodzi mi się ciepło, gdyż całkiem nieoczekiwany romantyczny rozwój wypadków świetnie współgrał z moimi planami. Pamiętam, złożyłem dłonie i w modlitwie podziękowałem bogu za to, że uczynił moją siostrę na tyle piękną, by zwróciła na siebie uwagę Radży. Radża bowiem był kimś, kogo uwielbiałem i z kim bardzo chciałem się zaprzyjaźnić.

Innym jego ponura twarz i skradający się chód kojarzyły się z tajemniczymi odgłosami i krzykami, które w nocy dochodziły z domu zaklinacza węży. Gadano o złu i czarnej magii. A nawet o duchach i duszach wstających z martwych. Ludzie bali się Radży i jego ojca, ale nie ja. Po odkryciu, że to do niego należy uśmiechnięta czaszka w ich domu, zapragnąłem poznać go bliżej.

Od lat bawiłem się z jego młodszym bratem, Rameszem, popatrując z daleka na niedostępnego, wysokiego chłopaka. Wszystko w nim było nadzwyczaj ciekawe i tajemnicze. Silne ciało barwy gliny, pokryte skorupą brudu ubrania, niemyte brązowe kędziory i szczególnie, lecz nie przykry zapach dzikiego zwierzęcia, który bił od niego wyczuwalnymi falami. Oczywiście tak żywo opowiedziana przez mamę krwawa historia o nim, jako kędzierzawym chłopcu gryzącym na targu kawałki szkła, wyniosła go w moich oczach na wyżyny ciemnych mocy.

Z zalęknionym podziwem obserwowałem, jak dogląda uli za domem. Nie lubiłem pszczół.

Nigdy nie zapomnę, jak AKau z sąsiedztwa cisnął kiedyś kamieniem w jeden z uli, na co w górę, hucząc jak wodospad, wzbił się czarna, gniewna chmura cały rój. Nawet japońscy żołnierze z długimi karabinami czekali na butelki darmowego miodu przed domem zaklinacza. Ale Radża bez wahania wsadzał rękę do brzęczących uli i swobodnie wykradał pszczołom cenny produkt. Niekiedy go cięły, lecz on jakby nigdy nic wyciągał ciemne żądła z puchnącej twarzy. Raz nawet pokazał mi się ze wstrętną, czarno-żółtą brodą z rojących się owadów.

Robił to, żeby mnie zabawić.

Zanim wkroczył w moje życie, za dnia byłem skautem, w nocy złodziejem owoców, a w wybrane soboty i niedziele członkiem łańcuchowego gangu. Brat Radży, Ramesz, A Kau i ja należeliśmy do bandy, która buszowała po cudzych ogrodach i zażarcie walczyła z konkurencyjnymi gangami. Aż nie chce się wierzyć, że staczaliśmy te bitwy na łańcuchy od

rowerów, kije i kamienie. Zbieraliśmy się na obrzeżach starego targu i atakowaliśmy wroga z dzikim wrzaskiem, wywijając łańcuchami i ciskając kamieniami. Zanim z domów wypadły pomstujące, wymachujące miotłami chińskie rozczochrane gospodynie w niedopasowanych samfu, krew się lała obficie. Kobiety waliły nas po głowach, a czasem udawało im się chwycić któregoś z nas, zbyt pochłoniętego walką, za ucho. Pochwycenie za ucho uważaliśmy za coś znacznie gorszego od stu uderzeń łańcuchem w łeb. A najgorszą zniewagą było, kiedy nachylały się nad tobą i chrapliwymi, ordynarnymi głosami ryczały ci w ucho: "Diabły, diabły, przeklęte łobuzy! Poczekaj tylko, powiem twojej matce!". Reszcie z nas pozostawało jedynie natychmiast porzucić groźne postawy i mordercze miny i rozpiezchnąć się jak najszybciej na cztery wiatry. Wprawdzie do takich walk dochodziło rzadko, ale dobrze się bawiliśmy.

Przeważnie zadowalaliśmy się kradzieżami arbużów z za gonów, unosząc największe i najlepsze. Taskaliśmy duże ciemnozielone owoce w bezpieczne miejsce i obżeraliśmy się ich czerwonym miąższem, aż nie mogliśmy się ruszać. A potem leżeliśmy na ziemi pod granatowym niebem, rozwaleni jak wyrzucone na brzeg rozgwiazdy, i jęczeliśmy. Raz, gdy kradliśmy arbuzy z pola, z brudnej, nieużywanej szopy wyskoczył półnagi chłop, który, wygrażając nam pięścią, wrzasnął:

"Ej, wy żarłoczne świnię! Chodźcie tu!".

I wtedy jeden z naszej paczki zaskomlał z przerażenia, bo połapał się, że zrobiliśmy wypad na pole jego wuja. Chłopina gonił nas dłuższy czas, pomstując i klnąc po chińsku.

Czasem włąziliśmy do sadów owocowych i siedząc na gałęziach, zajadaliśmy się aż do mdłości słodkimi mango i rambutanami. Niebawem jeden z właścicieli zakupił wielkiego, czarnego psa do pilnowania. Zwierzak bardzo groźnie szczeakał, ale gdy zbombardowaliśmy jego miękki nos niedojrzałymi owocami, uciekł z podkulonym ogonem, a czerwony jęzor po wiewał za nim jak skraj damskiego szala. Po tym wypadku więcej się nie pokazał. Dopiero wiadomość, że ktoś otruił biedaka, uświadomiła nam, że mamy konkurencję.

Przynajmniej raz w tygodniu czatowaliśmy za dużą, starą chińską piekarnią w środku miasta, wyczekując stosownej chwili, by zwędzić lepkie bułeczki, nadziewane płatkami kokosowymi gotowanymi w melasie. Kiedy kierowcy ładowali towar do wozów, żeby rozwieźć go do kawiarni w mieście, kradliśmy bułeczki garściami. Gdy napychaliśmy sobie nimi usta, wciąż były rozkosznie ciepłe. Właśnie podczas tych śmiałych skoków odkryliśmy, że sąsiadująca z piekarnią restauracja sprzedaje najtańsze kurczaki z ryżem w całym Kuantanie. Można się w niej było nieźle najeść za jedyne dwadzieścia senów. Klienci obsiadający stoliki napychali się tam dzień i noc. Ukryci za koszami na śmieci widzieliśmy, jak przywożą tam coraz to nowe klatki z chorym i padłym drobiem z różnych ferm pod miastem. Nieszczęsne, słabo upierzone, zagłodzone ptaki z półprzymkniętymi oczami chwiały się i słaiały jak pijane wśród martwych towarzyszy na dnie

klatek. Młody Chińczyk z zajęczą wargą zarzywał je, zanurzał w wielkiej kadzi z wrzątkiem, oskubywał z piór i wrzucał do kwadratowego pojemnika z blachy. Co jakiś czas z restauracji wyłaził, drapiąc się i klnąc, rozeźlony kucharz w brudnych czarnych majtkach i białej koszulce.

Wypalał papierosa, chwycił w garść za wiotkie szyje pęk oskubanych kurcząt i wracał do kuchenki.

Z restauracji dochodziły nas gromkie śmiechy i głosy zamawiających kolejne porcje pysznych kurczaków z ryżem.

Kiedy indziej kręciliśmy się po bocznych uliczkach, chcąc przyłapać przy robocie którąś z tanich, wypacykowanych dziwek. Przeważnie brzydkich, z twarzami wykrzywionymi grymasem.

Stały kolorowymi grupkami w zaułkach, miały zacięte, doświadczone oczy i łapczywe, nienaturalnie odęte wargi. Oparte o brudne ściany wąskich bocznic, cały czas ćmiły papierosy, a gdy spostrzegły, że je podglądamy, z wielką za jadością ciskały w nas kamieniami.

Seks bardzo nas ciekawił, ale tylko raz ja i Ramesz widzieliśmy stosunek. Był późny wieczór, a prostytutka bardzo młoda. Miała strasznie czerwone usta i kruczoczarne włosy. Ukryci za cuchnącymi zielonymi koszami na śmieci, z których wysypywały się gnijące odpadki, z wybałuszonymi oczami podpatrywaliśmy ją i klienta. Najwyraźniej się z nią targował i nawet zrobił ruch, jakby chciał odejść, lecz dziewczyna uśmiechnęła się, wyciągnęła bardzo jasną rękę i spojrzała na niego zalotnie. Wyłowił z kieszeni koszuli pieniądze, położył na jej wyciągniętej dłoni i natychmiast przystąpili do rzeczy. Było to obrzydliwe i w żadnym razie nie tak ciekawe, jak sobie wyobrażałem. Mężczyzna opuścił spodnie, przytrzymując je przed opadnięciem na zgiętych nogach, mocnymi rękami chwycił miękkie, białe pośladki dziewczyny i nie przejmując się tym, że świeci chudym, pomarszczonym zadkiem, wtulił twarz w jej prawe ramię i zaczął energicznie pompować całym ciałem. Za każdym pchnięciem upudrowana i umalowana prostytutka krzyczała ekstatycznie: "A, a, a!" ale w jej wywróconych w górę oczach była pustka. Uciekała wzrokiem od cuchnących rynsztoków i zrudziałych zielonych chwastów, walczących o życie w szczelinach ścieków. Uciekała od połamanych kamiennych schodków, od farby odłóżającej ze ścian, od szczelnie zamkniętych okien, które mówiły jej, że jest dziwką, a nawet od omszałych dachówek. Uciekała do spleśniałego wieczornego, frenetycznie mandarynkowego nieba. Na jej twarzy nie było rozkoszy, nudy ani uczuć. Tylko czerwone wargi, wykrzykujące: "A, a, a!"

Mały wąż w moich majtkach zrzucił skórę, zgrubiał i stwardniał. Gdy tylko chrząkający mężczyzna skończył, podciągnął spodnie z kolan, wbił się w nie z zadziwiającą prędkością i znikł w drugim końcu uliczki. Dziewczyna wyjęła z torebki zmiętą, brudną chusteczkę i szybko się wytarła. Błyskawiczny ruch nadgarstka świadczył o wprawie. Nie miała majtek. Jej białe, płaskie, trójkątne podbrzusze pokrywały kędzierzawe czarne włosy. Obciągnęła krótką

zachodnią sukienkę, przerzuciła czarne włosy przez ramię i chwiejnym krokiem odeszła na bardzo wysokich obcasach.

Wsluchiwalismy się w ich stukot rozchodzący się głośnym echem w pustym za ulku, aż dziewczynę wchłonęły któreś z anonimowych drzwi.

To pierwsze zetknięcie z erotyką wywarło na mnie głęboki wpływ. Skaziło moje pojęcie o seksie. Przerażliwa nuda i czerwone usta tej dziewczyny falują mi przed oczami jak miraż na pustyni. Czołgam się ku tej fatamorganie i odkrywam, że znalazłem się nie w tym zaułku, nie w tym hotelu i nie z tą prostytutką. Świetnie wiem, że pociąga mnie i podnieca nuda tamtej pierwszej.

Dążę do ożywienia znudzonych twarzy kurew. Za tą nagrodą uganiam się od lat. Nawet po poznaniu prawdy o ich znudzonych duszach żyłem fantazjami zapoczątkowanymi dawno temu przez czerwone usta z zaułka, płacąc dziwkom podwójnie za pozory zadowolenia, za to, że nie pytały: "Długo jeszcze?". One zaś - niewyczerpana armia krótkich spódniczek i gładkich ud - nigdy nie odmawiały, demonstrując godny podziwu repertuar przekonujących stęknień, gardłowych jęków, omdlewających westchnień. Tak jest, strawiłem życie w burdelach, szukając dziewczyny z zaułka, ale czy to nie dziwne, że po tylu latach wciąż widzę ją wyraźnie? Końce szpilek, na zawsze uwięzione w gnijącej skórze melonowca, chmurę owocowych muszek wokół jej kostek, lekko zgięte kolana. "A, a, a!" - woła znowu, wywracając oczy, żeby widzieć wieczorne niebo. A potem w mojej fantazji patrzy mi prosto w twarz i, zdumiona, jęczy z rozkoszy.

Co dwa tygodnie po południu Ramesz i ja wkładaliśmy skautowskie mundurki koloru malwy, charakterystyczne chusty i szliśmy do szkoły. Tam uczono nas posłuszeństwa, uczynności, sumienności, prawości i dobrego zachowania. mA potem rozdawano prostokątne niebieskie karty pracy z wydrukowanym godłem szkoły, dzielono na dwuosobowe grupy i rozsyłano do zamożnych osiedli w okolicy. Podchodziliśmy do furtek, pukaliśmy do drzwi i z promiennymi uśmiechami pytaliśmy: "Ciociu, czy jest dla nas jakaś robota?". Zwykle była. Myliśmy samochody, sprzątaaliśmy garaże, kosiliśmy trawniki, przycinaliliśmy żywopłoty, zmiataliśmy ścieki, zbieraliśmy śmiecie w stosy i paliliśmy je. Na koniec dawaliśmy do podpisu nasze karty i dostawaliśmy pięćdziesiąt senów albo ringgita. Zarobione pieniądze powinniśmy oddać pod koniec dnia zastępowemu, ale Ramesz i ja mieliśmy podwójne karty, więc co drugi zarobiony ringgit trafiał do naszych kieszeni.

W tamtych czasach papierosy można było kupować na sztuki.

Sklepikarze mierzyli nas wzrokiem, lecz jak długo płaciliśmy, zachowywali swoje opinie dla siebie i stukali liczydłami. Na początku zakradaliśmy się na leśną polanę za domem Ramesza i nasłuchując odgłosów młodych dzików, z trzaskiem przedzierających się przez krzaki, wypuszczaliśmy w przesycone wilgocią powietrze setki kótek. Ale kiedy nabraliśmy odwagi, przenieśliśmy się do miasta. Późnym wieczorem siadaliśmy rzędem wzdłuż ulicy nieopodal kina, z

nogami dyndającymi w ogromnym, przecinającym miasto rowie monsunowym, paliliśmy papierosy i gapiliśmy się na przechodzące dziewczęta. Gdy monsunowe wiatry i ulewy trwały wiele dni, woda niosła z sobą różności. Martwego bawołu, podskakującego na falach sztywno jak szałwisk, porwanego prądem, walczącego ze wszystkich sił węża, rozwalony bujany fotel z rotangu, szaleńczo przebierające łapami szczury o spokojnych pyskach, butelki, ekskrementy. A pewnego dnia przy niosła lalkę, która stała się ulubienicą Lality. Lalka miała żółte loki, ładne niebieskie oczy i małe plastikowe, różowiułkie usta. Widocznie jakieś zepsute europejskie dziecko w przy płynie złości cisnęło ją do wody. Było to jeszcze przed grudniowymi deszczami, więc kiedy zobaczyłem lalkę w wolno płynącej wodzie, wyłowilem ją i zaniósłem do domu. Lalita powitała znajdę z otwartymi ramionami, nie wierząc własnym, świecącym się oczom.

Palenie nad ściekiem było jednak o wiele niebezpieczniejsze niż nasze konwentykle w lesie.

Mama wszędzie miała szpiegów. Po każdej kobiecie w sari mogłem spodziewać się donosu, i to mocno podkoloryzowanego. Byłem świadkiem skutków jednej z eskapad Dzejana. Biedny dzieciak. Nim zdążył wrócić do domu, mama już się gotowała. Najprzykrzejsze, że on bardzo rzadko broił.

Raz od wielkiego dzwonu, ale nieboraczek zawsze dawał się złapać.

Czasem symulowaliśmy chorobę i nie szliśmy do szkoły, lądując w kinie. Pewnego razu, stojąc w kolejce po bilety na nowy film z momentami, zaskoczeni, zauważyliśmy naszego dyra, który krył się za filarem, podejrzliwie łypiąc wylupiastymi oczami. Był tak pruderyjny, że chyba wstydził się własnych wydzielin. Pewnie byśmy uciekli albo się schowali, gdyby nie chwiejący się w jego spoconych palcach jasnozielony bilet na popołudniowy seans "Strasznych skutków pijaństwa". A więc nie przyszedł tu po to, żeby nas nakryć. Uwięziony w niewygodnej, sztywno wykrochmalonej białej koszuli i staromodnych czarnych spodniach, dosłownie parował zakłopotaniem ze wszystkich przyzwoitych, prawomyślnych porów. Nadeszła wreszcie straszna i zabawna chwila nieuchronnego skrzyżowania z nim spojrzeń. Zamarł. Z przestachu zaczęły mu drgać wąsy. A potem, ściskając w ręku bilet, czmychnął do ciemnej sali. Długo zadawałem sobie pytanie, czy doniesie na mnie mamie, ale widocznie wstyd wziął górę nad oburzeniem.

Zdarzały się jednak dni, gdy nic nie było w stanie przepędzić wiatrów nudy, wiejących w naszej mieścinie, w której nigdy nic się nie działo. Kiedy nie wystarczała nam wyprawa nad rzekę na drugim końcu miasta, by popatrzeć na nagich mężczyzn łowiących aligatory i żółwie, żądni krwi, strzelaliśmy z proc do jaszczurek. Najlepszym procarzem wśród nas był najmłodszy syn Miny, Ismail. Jego pasja zabijania tych bladoszarych stworzeń przeszła do legendy. Jako dobry muzułmanin, postanowił ubić ich jak najwięcej. Bo to właśnie jaszczurka zdradziła wrogom kryjówkę proroka Mahometa, niszcząc sieci wiernego mu pająka, którymi dla niepoznaki

za snuł wejście do jaskini. Gdy Ismail kończył rzeź i przypalał papierosa, piętrzył się przy nim stos co najmniej piętnastu martwych gadów. Rozciągnięty w cieniu drzewa angsana, patrząc przez liście na skrawki nieba, w duchu zazdrościłem Ismailowi, pochłonięty obmyślaniami, jak powiększyć własny stos. Do głowy mi nie przyszło, że tysiące mil stąd hitlerowscy żołnierze z podobnym zacięciem obmyślają, jak powiększyć makabryczne góry martwych, zagłodzonych, nagich Żydów o skórach jak polerowana kość słoniowa. Kiedy my byczyliśmy się w cieniu w te duszne, parne popołudnia, od legła wojna światowa przyszła do nas tak nagle, że nie było czasu się do niej przygotować.

7 grudnia 1941 roku Japończycy wylądowali w Penangu. Naoglądawszy się filmów o pękających jak bańki bombach "japońskiej produkcji" i naśmiawszy się z krzywonogich żołnierzy o oczach zbyt skośnych, by mogli strzelać prosto, osłupieliśmy, widząc, jak szybko podbili kraj. Kim były te azjatyckie karły, które w jedną noc zmusiły brytyjską flotę do ucieczki? A potem dotarły do Kuantanu. W porównaniu z obdarzonym niskim szorstkim głosem białym wojskowym, bijącym w oczy królewsko barwnym mundurem i wypucowanymi butami, pierwszy japoński żołnierz okazał się niezgrabnym kurdupłem w niedopasowanym drelichu. Miał żółtą chłopską twarz, płócienną czapkę z daszkiem i klapami opadającymi na kark, a przy pasie manierkę i blaszankę z ryżem, suszoną rybą i soją. Na krótkich nogach nosił płócienne buty na gumowej podeszwie, z dużym paluchem oddzielonym od pozostałych, a w te przemyślne łapcie były wetknięte spodnie. Tak oto się przedstawiał zwycięski zdobywca przystosowany do błotnego piekła tropików. Lecz w naszych durnych romantycznych oczach ratowały go karabin i bagnet.

- Rany, wyglądają jak ty - szepnąłem z niedowierzaniem do A Kau na widok pierwszych Japończyków w mieście.

Ramesz skinął głową, ale A Kau patrzył na nich z nienawiścią w małych oczach. Miał powody, rozbili mu rodzinę. Patrzyliśmy, jak Japończycy maszerują drogą, dopóki nie znikli z oczu.

Tanie armatnie mięso w tanich mundurach. Porozumiewali się chrapliwymi gardłowymi dźwiękami i bezwstydnie rozpinali w publicznych miejscach spodnie, sikając złotym moczem. Jak taka hołota mogła pokonać Brytyjczyków? Mieszkańców rezydencji, ze służbą i szoferami, jedzących tylko najlepsze potrawy z czerwonego mięsa, kupowanego w chłodni. Ludzi, którzy odsyłali do kraju swoje spalone na brąz w naszym słońcu potomstwo, gdyż było za inteligentne, by uczęszczać do miejscowych szkół. Ileż razy, z pokornie opuszczoną głową, grabiąc liście na ich podwórkach, ukradkiem przysłuchiwałem się śmiechom i dziwnej, wyniośle brzmiącej wymowie ich dzieci.

- Więc jak się nazywałeś? - pytały ciekawie, spoglądając spod ciemnych rzęs oczami niebieskimi jak niebo.

Nie miały najmniejszych wątpliwości, że należą do najwspanialszego narodu, który stworzył największe imperium w historii świata. W świadomości skolonizowanych słuzenie takiej nacji to zaszczyt i w głowie się nie mieściło, że łupnia dali jej azjatyccy, japońscy najeźdźcy, których jedynym celem był feudalny podbój. Zależało im tylko, by na urodziny cesarza w dniu 15 lutego 1942 zdobyć dla niego w prezencie Singapur. Malaje traktowali jako źródło zaopatrzenia po drodze. Mieliśmy wrażenie, że wojna skończyła się, zanim się zaczęła, ale to był dopiero początek codziennego znoju, biedy i niebywałych okrucieństw trzyipółletniej japońskiej okupacji.

Wróciliśmy z Seremban do splądrowanego domu, w którym ocalały tylko żelazne łóżko rodziców i ciężka kuchenna ława. Reszta przepadła. Nawet maty do spania. W ośmioro spędziliśmy niewygodną noc w wielkim łożu. Obudziliśmy się o świcie i pamiętam, jak z pustymi workami w rękach mama, Lakszmana i ja pobiegliśmy na targ.

Targowisko zmieniło się nie do poznania. Nie dość, że nie było tam widać wojny, to tonęło w towarach jak w niedzielę. Mieszkańcy zwykle targujący się głośno o ceny psów, kotów i drobiu, teraz wydzielali sobie słoiki dżemów, marmolad i marynat. Stare Chinki walczyły o sardynki, sardele, mielonki, ziemniaki w puszkach i kłóciły się o skradzione z opuszczonych brytyjskich domów i składów konserwowane buraki, torby cukru, puszki jabłek, gruszek, skrzynki soków owocowych, lekarstwa, ubrania. Załadowaliśmy worki do pełna. Po zakopaniu imbiru, żeby zachował świeżość, pogłęбилиśmy dół w ziemi i ukryliśmy nowe zapasy.

Zrobiliśmy to przed napływem pierwszej fali Japończyków, którzy przybyli w otwartych ciężarówkach i zaraz po przyjeździe ogłosili, że za tak poważne przestępstwo, jakim jest grabież, będą ścinać głowy. Ta drastyczna kara natychmiast dała wyniki. Nic nie odstrasza równie skutecznie jak głowy nabite na pale. Ale wraz z japońskim dekretem pojawił się kłopot. Jak ukryć to, co zgromadziłeś pod dachem, a co jawnie do ciebie nie należy? Przez ponad tydzień płonęły w Kuantanie wielkie stosy najczystszej paniki. Szabrownicy piętrzyli przed swoimi niezelektryfikowanymi, krytymi strzechą chatami zrabowane z europejskich rezydencji sprzęty: lodówki, wentylatory, lśniące fortepiany, komplety mebli, i je podpalali. Patrzyliśmy, jak jaskrawe, wysokie, pomarańczowe, buchające snopami iskier płomienie trawią krzesła, szafy, stoły, zwinięte perskie dywany i łóżka. Dla mamy było to szczęście w nie szczęściu. Przemierzyła z Lakszmana okolice, gdzie mieszkali służący Europejczyków, i wzięła z niezapalonych stosów potrzebne meble.

Po nastaniu japońskiej okupacji w naszym zaułku zaszły ogromne zmiany. Młodsze dziewczynki w jedną noc przemieniły się w chłopców, a starsze rozpląnęły w powietrzu. Tata stracił pracę, Ismail ojca, a A Kau brata, ten bowiem wstąpił do Malajskiej Partii Komunistycznej. Odszedł do ludzi z gór, jak ich nazywano, i zamieszkał w Plantacji Szóstej, obozie koło Sungai Lembing, w którym zajmowano się głównie urządzaniem zasadzek na japońskie patrole.

Japończycy od razu przystąpili do narzucenia nam swojej kultury, etyki i bardzo obcego stylu życia. Tak jakby stanie na baczność, śpiewanie co rano przed ćwiczeniami ich narodowego hymnu i przymusowa nauka japońskiego mogły zdwoić w nas miłość do ich paskudnej flagi (którą z miejsca nazwaliśmy brudną podpaską) i odległego cesarza. O dziwo, rozumieli, że na ulicy kłaniamy się nisko na widok japońskiego munduru nie z szacunku, lecz z obawy przed trzaśnięciem w twarz. Co dziennie w drodze do szkoły mijaliśmy wartownika, który bez uśmiechu, z twarzą nadętą poczuciem własnej ważności przyglądał się nam złowrogo. Z największą chęcią ukarałby kogoś z nas za to, że nie skłonił się odpowiednio nisko przed cesarskim symbolem. Niech żyje cesarz! Na ulicach, z dachów jadących autobusów japońscy żołnierze zasypywali ludzi deszczem propagandowych ulotek.

Ukryci za koszami na śmieci, nie słyszeliśmy już paplaniny prostytutek, tylko przerażający tupot nóg zadyszanych ludzi, gonionych w biały dzień po zaułkach najbardziej zakazanych dzielnic miasta.

Kilka razy w czasie lekcji dochodził nas warkot nisko przelatujących samolotów i wycie syren. Rzucaliśmy się na ziemię, czekając, aż ucichną i zapalą się światła. Pamiętam krowę, którą zabiła bomba. Jej szkliste oczy i sztywne wzdęte ciało, z wyrwanym dużym pościem mięsa. Ściskając nosy, podeszliśmy na tyle blisko ścierwa, by w wielkiej dziurze w brzuchu dojrzeć wnętrzności. Bzyczały muchy, Ismail zwymiotował, ale reszta nas patrzyła zafascynowana.

Są chwile w życiu, których się nie zapomina. Zaliczam do nich tę, kiedy Radża raczył się do mnie odezwać. Leżałem na ziemi w jasnym słońcu, zajęty podrapanymi kolanami i krwawiącymi dłońmi, gdy padł na mnie cień. Podniosłem oczy i napotkałem jego wzrok. Ze słońcem za plecami wyglądał jak przedstawiciel wyższej rasy wojowników. Z jego dużych prostych palców skapywał żółty płyn. Ukląkł przy mnie, posmarował magiczną miksturą moje poranione kolana i dłonie i piekący ból znikł.

Pociągnięciem silnych rąk postawił mnie na nogi.

- Mieszkasz pod trójką - powiedział.

Pierwszy raz usłyszałem jego głos. Był niski i czaiła się w nim śmierć. Nie mogąc wydusić słowa, skinąłem głową. Ten chłopak pływał bez lęku w rzece na drugim końcu miasta, gdzie polowały wielkie, uśmiechnięte aligatory z paszczami pełnymi kremowobiałych zębów. Podczas suszy, kiedy rzeka brązowiała, wracał do domu z ciałem pokrytym mapą brudnożółtych plam z zaschniętego błota, a jego skóra bardzo przypominała skórę węża.

Uśmiechnął się wolno. Uważałem go wtedy za dzikiego. Dzikiego jak czarne kobry, które poskramiał i zakłęciami wprawiał w taniec. Młode oczy miał jak chłodne lustra, lecz jeśli odważyłeś się zajrzeć w nie głębiej, to mogłeś dostrzec pradawne ognie. Sądziłem, że przyjrzałem się im wystarczająco i zobaczyłem wszystko, co było do zobaczenia. Ale do tej pory żałuję, że

zrobiłem to nie dość dokładnie. To, co inni uznali za potężne płomienie wielkiej zagłady, podsycane przez ciemne, złowrogie moce, mnie wydało się przyjacielskim płomykiem pełznącym w moją stronę. Ciągnęło mnie do jego niebezpiecznego świata niczym rzekę do morza. Świata fascynującego, w którym ulegasz cudownemu złudzeniu, że długi czarny wróg w trawie stwarza ci nowe możliwości. Radza był czarnoksiężnikiem, kimś, komu chciałem dorównać.

- Czy węże mogą pokąsać zaklinacza? - spytałem go kiedyś.

- Owszem – odparł. - Jeżeli sam tego zechce.

Często przyglądałem mu się, jak je. Radza jadł jak wilk, po chylony, z podejrzliwym błyskiem w oku, ostrymi zębami rozrywał jedzenie. Wkrótce - ku wielkiej irytacji mojej matki - sam zacząłem jeść podobnie. Największą wadą mamy był brak poczucia humoru. Tuż po szkole pochłaniałem posiłek i pędziłem do domu zaklinacza węży. Radza nigdy nie chodził do szkoły. Nie chciał chodzić. W tym kompletnym dzikusie nie było nic łagodnego, oprócz zakazanej, skrytej miłości do mojej siostry. Rzuciło się w oczy, że durzy się w niej nieprzytomnie. Godzinami, niczym węże, które zaklinał, pęzał cicho na brzuchu w krzakach za naszym domem w nadziei, że ujrzy ją choć przez chwilę z daleka, i chciwie pragnął wiedzieć o niej wszystko. Co je, co robiła, kiedy śpi, co ją śmieszy, jaki jest jej ulubiony kolor. Byłem mały i zasypiałem na siedząco, ale to ja mogłem udzielić mu wszystkich upragnionych informacji. Krępowало mnie, że tak łapczywie pochłania każde moje słowo. A im więcej mówiłem, tym głębiej wpadał w studnię miłości. Na moich oczach miękł jak palące się w ich domu świece z pszczelego wosku, które wyrabiała jego matka. Prostą twarz rozświetlał mu nikły uśmiech, a równe, ciemne brwi zbliżały się do piwnych oczu. Był analfabetą i chodził w łachmanach, lecz w jego twardym jak skorupa ciele wrzała niebezpiecznie silna namiętność.

W owym czasie nie znałem się jeszcze na miłości, ale dzięki namiętności Radzy mogłem się do niego zbliżyć. Nie widziałem nic złego w podsycaniu jego tkliwego uczucia do mojej siostry.

Rosłem dzięki temu we własnych oczach. Los dał mi nad nim frapującą władzę. Wprawdzie w głębi duszy z pewnością wiedziałem, że małżeństwo Mohini z moim bohaterem w łachmanach jest wykluczone, lecz na swoją obronę spytam: skąd dziecko ma wiedzieć, jak niebezpieczna potrafi być miłość? Nie miałem pojęcia, że może zabić.

Dzięki Radzy powszednia monotonia i beznadziejna nuda japońskiej okupacji pierzchły.

Odmienił moje dzieciństwo. Siedząc na kłodach pod wybujałą, omszałą miodłą, wymienialiśmy się opowieściami. Pochylony, uważnie słuchał mojej, a potem opowiadał swoją. A w jego kędzierzawej głowie mieszkwały historie zdumiewające, rodem z Afryki. O starcach z kręconymi włosami, którzy przed drzwiami chaty czarownika oznajmiali: "Przyszliśmy zjeść

czarnego kozła". O starych kobietach sypiących sobie piaskiem w oczy i o kurach, które wchłaniały w siebie złe duchy żyjące w ludziach.

"De wo afokpa. Me le bubu de tefea nu oh!" - "Zdejmij buty, bezczęścisz magiczne miejsce".

Uwiedziony magią obcej mowy, nie spuszczałem wzroku z twarzy Radży. Siedząc na bosaka, godzinami wpatrywałem się w jego pałające oczy i wsłuchiwałem w niski głos, w którym czaiła się śmierć. Z atmosfery sennego popołudnia Radża wrywał straszliwych dżinów, tak ogromnych, że ich głowy tonęły w chmurach, kiedy indziej zaś z łagodnym uśmiechem wysunął świat, w którym podany przez modliszkę patyk, włożony do doniczki, zmieniał się w piękną dziewczynkę. Czasem zamykałem oczy, a jego głos wyczarowywał lśniące hebanowe ciała, biegnące w rozżarzonej afrykańskiej słońcu, albo roziskrzone czarnogranatowe niebo z drzewami srebrnymi w świetle księżyca. Spoglądałem na jego zakurzone stopy, a kiedy podnosiłem wzrok, widziałem wiele groźnych twarzy, jak na komendę zanurzających się w drewnianym korycie i pijących mleko różowe od bydłczej krwi. Z czerwono-brązowych ust Radży usłyszałem o publicznym obrzezaniu i o dziwnym rytuale inicjacji, podczas którego młodzieńcy i dziewczice tańczyli zapamiętane wokół pomarańczowego ogniska voodoo. W tanecznym transie wychodzili z ciał i patrzyli, jak każdy spółkuje z każdym.

Niczym pusta szafa czekająca, aż się ją wypełni, z radością przyjmowałem opowieści o lwach przemienionych w ludzi, o świętych węzłach, zsyłanych do snów osób chorych, żeby lizały i leczyły rany, o gadającej czaszce Musakalala, ale najbardziej lubiłem tę o lwach i Czibindim.

Chwileczkę, niech pomyślę... chciałbym znów poczuć smak tamtych czasów, smak zapomniany, lecz wciąż za nim tęsknię.

Wiele lat temu, pod miodłą, której już nie ma, bo zrabano ją w związku z budową dużego międzynarodowego hotelu z basenem, restauracjami i nocnym klubem w podziemiach, z rzędem ponętnych prostytutek przy barze, Radża wcielił się w Czibindiego Wspaniałego, myśliwego poskramiającego magiczną pieśnią dzikie lwy.

"Siinjaama, umu kuli masunso, siinjaama" - "O ty, który jesz mięso, w tym worku jest tylko siano, o ty, który jesz mięso".

Pod miodłą wokół nas przystawały pomrukujące lwy i tańczyły w rytm jego magicznej pieśni. Chodziły w przód i w tył na zadnich łapach, młócąc ogonami na boki, kręcąc się, obracając, kiwając i potrząsając głowami. Wielkie koty mruczące z zadowolenia. Gdyby nie jego piękny, melodyjny, silny głos, rozerwałyby go na strzępy. Aim głośniejsze śpiewał, tym zwawiej wywijały płowobrazowymi ciałami.

Tupał przy tym nogami, opuszczając i unosząc wyciągnięte ręce, jakby zachęcał stado tańczących lwów do jeszcze szybszych płaśów. Wkrótce straszliwe koty zapomniały o apetycie na ludzkie mięso.

Opowieść o Czibindim przywołuje wspomnienia. Smutne wspomnienia. Ale widzę Radzę: stoi pod miodłą, tupiąc bosymi nogami w wysuszoną ziemię, wymachuje szaleńczo rękami i... wybacz mi.

Pewnego dnia ku mojej wielkiej radości Radża zgodził się zapoznać mnie z tajemnicami zaklinaczy węży. Tajemnicami przechodzącymi w ich rodzinach wyłącznie z ojca na syna. Spełniło się moje marzenie. Nagle ujrzałem, jak owijam sobie szyję węzami niczym bóg Siwa. Dla człowieka najważniejszy jest jad, a dla węża strach, pouczył mnie Radża. Kiedy wąż miota i śmiga językiem, to szuka zapachu strachu. Zaatakuję dopiero wtedy, gdy go wyczuje. Radża zwierzył mi się, że dawno temu wyjął z siebie strach, zaopatrzył go w ostre zęby, mocne, grube pazury, w niemrawe członki wtarł chyżość i na kazał mu warować przy sobie.

- W nocy będzie pełnia - rzekł któregoś popołudnia. - Światło księżyca podnieca węże.

Wychodzą tańczyć. Dziś wieczorem na chińskim cmentarzu? - spytał, badając mnie młodymi starymi oczami.

Kilka razy z żalem mu odmawiałem, choć z całego serca pragnąłem z nim pójść. Wystarczyłby mi jeden raz. Tyle mnie mógł nauczyć, tyle pokazać... lecz w kuchni czyhał zawsze aż do rana, kiedy przez otwarte okna wpełzał świt, przyczajony jak tygrys, długi cień mamy. Nie mogłem wyjść z podziwu, że moja matka prawie nie śpi. W nocy spała najwyżej dwie, trzy godziny.

Ale któregoś popołudnia pod miodłą skinąłem Radży głową i na moim języku pojawiły się słowa: "Dobra, dziś wieczorem na chińskim cmentarzu".

Z wymknięciem się przez okno sypialni, zsunięciem na wcześniej podstawioną beczkę i bezszelestnym czmychnięciem poszło mi nadspodziewanie łatwo. Radża czekał w cieniu swojego domu. Gdy tam dotarłem, z ciemności wyskoczyła ręka i wciągnęła mnie w mrok. Łowca Czibindi przyłożył palec do ust.

Był moim zakazanym owocem, ale ja jego tajemnicą.

Od ciemnej sylwetki Radży bił ostry zapach cebuli. Poruszał się bez szmeru, bo nie nosił koszuli. Skóra połyskiwała mu w bladej poświacie księżyca jak glazurowana czerwona glina. Na szyi błyszczał zawieszony na żółtym sznurku złoty amulet w kształcie rogu. Amulet ten - to już wiedziałem - chronił przed plującą kobrą. Plująca kobra szuka błysku oczu wroga, żeby oślepić go z bezpiecznej odległości śmiertelnie trującym jadem. Połyskujący amulet przyciąga jej uwagę i, zamiast w oczy, pluje w niego.

W ręku Radża trzymał jutowy worek i rozwidlony kij. Byłem przejęty. W szyi pulsowała mi krew. Co za przygoda mnie czekała?

- Zdejmij koszulę i spodnie - szepnął mi z bliska do ucha.

Z zardzewiałej puszki wygrzebał potwornie śmierdzącą miksturę, którą wyczułem wcześniej. Miała konsystencję jogurtu i chłodziła skórę. Szybko nasmarowałem mnie nią twardymi, pewnymi rękami.

Pomyślałem wtedy, że miękka jest w nim tylko miłość. Miękka jak nadzienie cukierka.

- Węże nie znoszą tego zapachu - wyjaśnił, muskając mnie ciepłym oddechem.

W milczeniu poddałem się jego zabiegom.

- Najłatwiej złapać je na cmentarzu - dodał cicho.

Wiele węży przypelzało na cmentarz po drób i prosiaki, po zostawione przez Chińczyków na grobach jako dary służące zjednaniu przodków. Z tego świetnie zaopatrzonego bufetu nie wazyli się korzystać nawet nędzarze i pijacy, bo spożycie jedzenia ofiarowanego zmarłym ściągało nieszczęście. Węże ucztowały więc ile wlezie, mnożąc się i tężając. Cichym podnieconym głosem Radża opowiedział mi o pięknej kobrze, której o mały włos nie schwycił poprzednim razem. Tak wielkiej jeszcze nie widział. Była z pewnością wyjątkowa, bo oczy błyszczały mu z podniecenia.

Ubrałem się pośpiesznie, martwiąc się o reakcję mamy i spowijający mnie od stóp do głów niebywale silny odór.

A dlaczego ty nie musisz się smarować tym cuchnącym świństwem? - spytałem szeptem, marszcząc z odrazą nos. Roześmiał się cicho, energicznie wycierając ręce liśćmi.

- Bo chcę, żeby do mnie przyszły - odparł.

Poszliśmy na skróty za jego domem, przez pole, małą dżunglę, w której godzinami ćwiczyłem puszczanie idealnych kółek z dymu, i wzdłuż rzędu warsztatów. Cmentarz leżał na kilku sennych pagórkach. Już z daleka na widok jasnozielonych na tle nocnego nieba, trawiastych kopców, usianych białymi nagrobkami, ogarnęły mnie złe przecucia, mimo to szedłem za cicho i pewnie kroczącym przez wysoką trawę Radżą.

W świetle księżyca w pełni zostawione pośród nagrobków okrągłe pompele wyglądały jak upiorne kule. Powietrze, przesycone wonią świeżych kwiatów na grobach, było ciężkie i nienaturalnie zastygłe. Nic się nie poruszało. Na malajskich i chrześcijańskich cmentarzach w nocy panuje spokój, ale na chińskim rzecz ma się zgoła inaczej. Wcale nie jest to miejsce spoczynku tutaj niewyzwolone z ziemskich pragnień duchy czekają, aż przyjdą krewni, którzy spalą dla nich papierowe domy z umeblowaniem i służbą oraz stojące przed domami wielkie samochody. Czasem krewni palą papierowe wizerunki ulubionej żony nieboszczyka lub jego obwieszanej klejnotami, bogato ubranej konkubiny z harmonią fałszywych banknotów w ręku. Tej

nocy duchy wyczuwałem wszędzie - niecierpliwe, głodne, tęsknie, z zazdrością wodzące za mną niespokojnymi oczami. Poczułem, jak jeżą mi się włosy na karku, a w żołądku zaczyna pełzać wyrwany ze snu mały pająk, który zwie się strach.

Pokryte chińskim pismem i czarno-białymi fotografiami zmarłych tablice białeły nienaturalnie wśród ciemnego listowia. Z mijanego grobu spojrział na mnie smutno chłopczyk z błyszczącymi oczami. Młoda kobieta o cienkich, okrutnych ustach uśmiechnęła się kusząco, a strasznie stary mężczyzna krzyknął bezgłośnie, że mam go zostawić w spokoju. Zewsząd spoglądały na mnie ponuro poważne twarze. Nasze ciche kroki posykiwały w spokojnym powietrzu. Zerknąłem na Radzę.

Ramiona miał sztywne z napięcia, ale oczy czujne i żywe. Jego rozwidlony kij badał grunt, szepcząc w zaroślach. Parę razy Radża wskazał mi ślizgający się tułów i ogon znikający w poszyciu. Boże mój, ten cmentarz roił się od węży. Nagle Radża zatrzymał się w pobliżu wielkiego drzewa.

- Jest - szepnął.

Z obawą podążyłem za jego wzrokiem. Na ziemi, przy obnażonych korzeniach, leżała zwinięta olbrzymia kobra. Jej ciało połyskiwało srebrzyście jak szeroki wypolerowany, nie zwykle kosztowny pas. Pas zasyczał i wolno się rozwinął.

- Mogę ją złapać, ale najpierw chcę ci coś pokazać.

Radża powoli klęknął. Stojąc za jego plecami, przełknąłem ślinę i zrobiłem tchórzliwy krok w tył, gotów do ucieczki.

Wąż nas zauważył. Trąc łuskami o łuski, powoli zaczął co fać lśniące ciało, bezgłośnie precyzyjny, z naprężonymi, mocnymi, pewnymi mięśniami pod skórą. Wtem wśród przesuwających się czarnych łusek dostrzegłem wpatrzony w nas zimne oczy. Odruch, żeby uciec, był tak silny, iż ratując się przed kompromitacją, musiałem zagryźć zęby i zacisnąć dłonie.

Z kieszeni spodni Radża wyjął małą fiolkę, bardzo wolno wtarł jej przyjemnie pachnącą zawartość w ręce i zaczął śpiewać. Kobra cofnęła się raptownie, jakby dopiero teraz wyczuła śmiertelne niebezpieczeństwo.

Zamarłem.

Piękne mocne nogi Radży błyszcząły. Zastygł jak posąg. Słuchał. Wszystko w nim, nawet skóra, zamieniło się w przedłużenie ucha. Cmentarz spowiała głucha cisza. Pozostał wąż, ja i Radża.

Poruszały się tylko jego usta. Kobra zakołysała rozłożonym kapturem, uniosła głowę wysoko i zastygła w takim bezruchu, że można ją było wziąć za fantastyczną rzeźbę z drewna. Z rzucanego przez drzewo cienia wyglądały jej bardzo błyszczące, złowrogie i czujne oczy, którymi

wpijała się w zaklinacza. Radża przestał śpiewać, bardzo wolno wstał, podszedł do węża i wyciągnął rękę.

Stałem sparaliżowany, wstrzymując oddech. Lśniący czarny kaptur przysunął się bliżej gołego Radży. Kompletnie oszalał, pomyślałem, lecz ku mojemu zdumieniu kobra wysunęła rozwidlony język, a potem jak kot otarła się głową o wyciągniętą dłoń Radży i zaczęła owijać się wokół jego ręki. Wspiwała się po niej w zmysłowym tańcu, aż dotarła na wysokość oczu. Wąż i zaklinacz wpatrzyli się w siebie. Radża też przemienił się w drewnianą rzeźbę. Przez sekundy, może minuty, trwali nieporuszeni. Nie drgnął ani jeden mięsień. Czas stanął. Świat wstrzymał bieg, żeby Radża mógł złowić bezcennego węża. Mimo że od owej nocy minęło tyle lat, nie widziałem nic równie niesamowitego. Tamtej nocy mój idol okazał się prawdziwym mistrzem.

Błyskawicznym ruchem chwycił kobrę za łeb. Zaskoczona, zdążyła się cofnąć i rozdziawić czerwoną paszczę, ale on już unieruchomił ją w żelaznym uścisku. Z jej błyszczących kłów kapłał bezbarwny płyn. Schwytane zwierzę zaczęło się wić jak szalone. Radża trzymał łeb kobry wysoko nad głową niczym trofeum, podziwiając długą zdobycz, która grubym ruchliwym ciałem na próżno chłostała jego chudą wysoką postać. A potem miotający się wąż trafił do worka i natychmiast się uspokoił.

- Zatrzymam tę kobrę dla siebie. Nie zmieści się w koszyku i jest za ciężka, żeby nosić ją na targ - rzekł Radża, bardzo zadowolony z okazanego męstwa.

Jakże mu zazdrościłem.

- Chodź, trzeba cię położyć do łóżka – powiedział. Przeszliśmy szybko przez dżunglę. - Powiesz jej? Powiesz jej, że poskromiłem króla węży? - spytał z cichą dumą, gdy wyszliśmy z lasu.

- Tak - skłamałem, dobrze wiedząc, że zataję tę przygodę przed bliskimi.

Natychmiast dostałbym areszt domowy i przez cały dzień obierałbym w kuchni ziemniaki i siekał cebulę. Od nowa za cząłem się martwić o bijący ode mnie falami smród i o wyczulony nos mamy.

Zasmakowałem w mocnych przeżyciach. Słuchanie po południami opowieści pod miodłą?

To dobre dla dzieci. Widok Radży i olbrzymiej kobry mierzących się wzrokiem w świetle księżycy podziałał na mnie jak narkotyk. Chciałem zobaczyć więcej. Brat Mohini z pewnością na to zasługiwał. Prosiłem, przymilałem się, przekupywałem.

- Pokaż mi więcej - błagałem niestrudzenie. - Japończycy niedługo sobie pójda i Mohini zacznie chodzić do świątyni. Załatwię ci przypadkowe spotkanie - łąłem, patrząc, jak czerń jego oczu zmienia się w rozżarzone węgle. - Mój ojciec słucha BBC i twierdzi, że Niemcy przegrali wojnę. Japończycy niedługo się wyniosą. Oni też ją prawie przegrali.

Przyjrzał się mi uważnie. Coś błysnęło w jego skrytych oczach, jakby wiedział, że moje obietnice są fałszywe, a przyjaźń bez pokrycia, ale szybko zgasło.

- Dobra - zgodził się. - Pokażę ci więcej.

I zabrał mnie do walącego się, opuszczonego domu na drugim krańcu dżungli. Otworzył na oścież zmurszałe drzwi. W środku było ciemno, chłodno i bardzo spokojnie. Powoli wdzieriała się tu zwycięska dżungla. W dachu ziały dziury, ze szczelin w ścianach wyrastały chwasty, betonową podłogę przebiły korzenie barwy piasku, przez rozwalone kąty na suficie wpychały się inne, spiralne bladoróżowe, ale z drewnianych krokwi zwisała złowieszczo upiorna naga żarówka. Zadrzałem pod koszulą. Cieszyłem się, że jest ze mną Radża.

Usiedliśmy ze skrzyżowanymi nogami na popękanej podłodze wśród grubych korzeni. Z małego sukienego woreczka przy pasie Radża wyciągnął buteleczkę, wyjął korek i natychmiast rozszedł się ostry zapach. Zmarszczyłem nos z obrzydzeniem, lecz zapewnił mnie, że to tylko sok z korzeni i kory drzew i że jeden łyk ukaze mi inny świat. A potem zaczął budować na betonie nierówną piramidę z drew i trawy. Kiedy wreszcie tchnął mały żółty ogień w suche gałęzie, podał mi butelkę. Twarz miał bez wyrazu. Byłem pewien, że poddaje mnie próbie. Gdybym się zawahał, zdradziłbym, że mu nie do wierzam i się boję. Pociągnąłem łyk brązowej mikstury, gęstej i oleistej.

Dostałem gęsiej skórki.

- Patrz w ogień - rozkazał Radża. - Patrz w ogień, aż za cznie do ciebie mówić.

- Dobrze.

Ognisko paliło się bezgłośnie. Gapiłem się w płomienie, w końcu zapiekły mnie oczy.

- Długo jeszcze? - spytałem, coraz gorzej widząc przez łzy.

- Patrz w ogień - powtórzył tuż przy moim uchu.

Czułem jego zapach, osobliwą zwierzęcą woń kogoś, kto umie sobie radzić w dżungli. Od patrzenia w tańczące żółtopomarańczowe płomienie kręciło mi się w głowie, ale ilekroć chciałem oderwać od nich wzrok, Radża stanowczym głosem nakazywał:

- Patrz w ogień.

Gdy poczułem pieczenie wewnątrz oczu, ogień zniebieszczał. Na brzegach płonął zielono, a w środku był turkusowy jak mundurki gimnazjalistek.

- Ogień jest niebiesko-zielony – oznajmiłem. Mój głos dochodził z daleka i brzmiał obco, a język stał się gruby i ciężki. Zamrugałem raptownie kilka razy. Ogień przybrał barwę jaskrawoniebieską.

- Spójrz na mnie - polecił Radża głosem brzmiącym jak szept lub syk.

Głowa opadła mi bezwładnie i utkwilem ciężki wzrok w dłoniach. Z granicznym z obojętnością zdumieniem stwierdziłem, że skóra na nich jest przezroczysta. Widziałem przez nią żyły, w których pulsowała krew. Wstrząśnięty, wpatrzyłem się w swoje ręce i zobaczyłem podłogę.

Poruszała się.

- Hej - wydusiłem z siebie, spoglądając na Radzę.- Byczo, nie? - spytał z uśmiechem.

Skinąłem głową i uśmiechnąłem się do niego. Miałem dziewięć lat i wielki odlot po tajemniczych korzeniach i korze z drzew. Spostrzegłem, że Radża się zmienia. Wpatrzyłem się w jego twarz.

- No i? Jak wyglądam? - spytał z ożywieniem. W jego oczach gorzały płomienie małego ogniska. Wyglądał jak dzikie zwierzę.

Zamrugalem i potrząsnąłem głową, niepewny, czy wzrok mnie nie myli. Spojrzałem w ogień. Znowu płonął żółto, ale strasznie mnie korciło, żeby dotknąć go ręką, pochwycić, zanurzyć się w nim. Przyszło mi do głowy, że gdyby był większy, to mógłbym w nim stanąć. Przerazoni tą myślą, z irytującą powolnością znów skupiłem uwagę na Radży. Dopiero po dłuższej chwili odzyskałem pełną ostrość widzenia. W moim mózgu formowały się myśli i wypowiadałem słowa, które brały się nie wiadomo skąd.

- Czy mogę dotknąć tego ognia? - zaskoczyłem sam siebie pytaniem.

- Nie patrz w niego. Powiedz, jak wyglądam. Czy wyglądam jak wąż? - spytał Radża.

Czyżbym w jego głosie dosłyszał nadzieję? Nie wiedziałem, co myśleć. Miałem to potwierdzić? Niemrawo potrząsnąłem głową. Zakołysała się niczym balon wypełniony wodą. Działo się ze mną coś dziwnego. Pod skórą czułem całkiem miłe pulsowanie krwi. Zamknąłem oczy i pod powiekami wybuchły mi barwy. Piękne tęczkowe kolory, które łączyły się z sobą, tworząc niezliczone wzory.

Z uśmiechem otworzyłem oczy i ujrzałem Radzę. Wzrok błyszczał mu złowrogo, zęby miał długie i groźne, a w twarzy coś dzikiego i obcego. Wstrząśnięty tą przemianą, dłuższą chwilę patrzyłem na niego bezwolnie. Znowu zamknąłem oczy. Już nie byłem podniecony, tylko pełen złych przeczuc. W ścianki balonu na mojej szyi z pluskiem biła woda. Musiałem pomyśleć, ale w ciężkiej głowie mi chlupotało. Radża zmieniał się w przerażającą istotę. Nie miał w sobie już nic z Czibindiego, pogromcy tańczących lwów, lecz coś złego i wstrętnego, czego dotąd nie widziałem.

Coś nieoczekiwanego. Biedna kochana Mohini.

- Jak wyglądam? -powtórzył.

Głos też mu się zmienił. Już raz go słyszałem - na cmentarzu, u sękatych stóp wielkiego drzewa w ciszy białych kamiennych nagrobków. Był to bardzo cichy syk.

- Nie, nie wyglądasz jak wąż - wybełkotałem, bo język utył mi i zleniwiał. Byłem zbyt przerażony, żeby patrzeć na Radzę.

- Chcę do domu.

Serce mi waliło.

- Jeszcze nie. Niedługo ci przejdzie.

Ze strachu zacząłem dygotać. Milczeliśmy. Nie śmiałem się odezwać. Słyszałem jego oddech, ale oczy wbijałem w podłogę. Poruszała się tak, jakby nie była z cementu, tylko z cienkiej bawełny, pod którą uwija się, roi i kotłuje milion mrówek. Czułem ciepło bijące od Radzy, lecz wolałem nie sprawdzać, co za zwierzę siedzi obok. Nieznany narkotyk, który mnie zniewolił, okazał się niezwykle silny. Co za odlot! Nic nie istniało poza tym, co czułem i widziałem w tej chwili. Za młody, żeby wiedzieć, że mam halucynacje, wystraszony wpatrywałem się w podłogę.

Z sercem dudniącym dziko jak afrykański bęben przesiedziałem tak w bezruchu całe życie, w każdej chwili spodziewając się ataku niebezpiecznego zwierzęcia.

- Ruszajmy - rzekł wreszcie Radża. W jego bezbarwnym głosie zabrzmiało rozczarowanie.

- Chodź.

Spojrzałem w trójkątną twarz zaklinacza, w płaskie, martwe oczy i znów się przeraziłem.

O tak, wyglądał jak wąż. Zmienił się w węża. Zmienił go w węża napój, który wypiliśmy. Obmacałem twarz, żeby sprawdzić, czy aby sam się nie zmieniłem, i krzyknąłem ze zgrozy. Usta mi zdrętwiały, zaszczekałem zębami. Ja też zmieniałem się w gada! Do głowy przyszły mi straszne myśli. Radża przyprowadził mnie tu, żeby zmienić mnie w kobrę, którą będzie trzymał w koszyku i zmuszał do tańca, grając na swoim głupim flecie. Bezradny, zatkałem przeciągle, sztucznie wydłużonym szlochem. Kiedy przysunął do mnie twarz, zamknąłem oczy i za cząłem się modlić do Ganeśi.

- Ta magia jest dla ciebie za silna - usłyszałem w uchu głos Radży. - Nie martw się, za kilka minut dojdiesz do siebie. Chodź, pójdziemy razem. Robi się ciemno.

Zaskoczony, otworzyłem oczy. Nie zrobił mi krzywdy. Jak przez mgłę widziałem, że gasi ognisko i pomaga mi wstać. Wsparłem się ociężale na jego ramieniu i ruszyliśmy. Nie chciałem na niego patrzeć.

- Świeże powietrze dobrze ci zrobi - powiedział. Jego głos nadal szurał jak papier ścierny, ale wyszliśmy już na zewnątrz i poczułem się lepiej. Bezpieczniej. Był wieczór. Ludzie przechadzali się wolno, śmiejąc się i cicho rozmawiając. Miałem wrażenie, że ich głosy dochodzą z bardzo daleka.

- Nie martw się, niedługo dojdiesz do siebie. Wyprostuj się, bądź mężczyzną.

Głowa do góry.

Wreszcie skręciliśmy w nasz zaułek. Truchlałem na myśl, że w domu czeka matka, która od razu spostrzeże, iż nie zachowuję się normalnie, i wścieknie się na widok mojej ruchomej skóry.

Za murem, w ogrodzie starego Sunga, krzątała się Mui Tsai. Palila uschłe liście i trawę.

Stojący nieopodal z grubymi rękami na biodrach Sung przyglądał się jej, szczerząc zęby jak uśmiechnięty krokodyl. Spojrzałem na ognisko wielkie niczym stos pogrzebowy i nagle, nie zdając sobie sprawy z tego, co robię, puściłem się biegiem w stronę ognia. Jakby niósł mnie wiatr. Mknąłem jak opiłki żelaza ku wielkiemu magnesowi. Zdezorientowana Mui Tsai rozdziawiła usta.

Przypominała struchlałego królika. Z rozłożonymi rękami, śmiejąc się, biegłem ku pięknemu ogniowi, który wyciągał ku mnie płomienie i przyzywał. Pomarańczowe jęzory, pochłaniające martwe liście, były silniejsze ode mnie.

Skoczyłem. Ale kiedy uderzył we mnie oczyszczający żar, zamiast znaleźć się wewnątrz mego władcy, z dudniącym sercem wylądowałem na ziemi, przygnieciony ciałem Radży. Zajrzałem w jego rozjarzone oczy, w odmienioną, trójkątną, obcą twarz i dostrzegłem śmiertelne przerożenie.

- Przestań! - syknął. - Zachowuj się normalnie. Cóż mogłem odpowiedzieć? Nie dotknąłem stóp mego ognistego pana.

Radża doprowadził mnie do schodków naszego domu i szybko się oddalił. Ze środka wyszła mama. Wpatrzyłem się w nią zdumiony. Ależ była piękna - jak najgroźniejsza tygrysyca o niesamowitych ślepiach, błyszczących niczym wypolerowany bursztyn - i wściekła. Nie na mnie.

Wściekła na cały świat. Widziałem to w jej płonących oczach.

- Co z tobą?- warknęła, schodząc po schodkach sprężyste jak kot.

Biła od niej taka energia, że o mało się nie wzdrygnąłem, kiedy mnie dotknęła. Słyszałem, jak Mui Tsai bliskim histerii głosem opowiada jej o moim skoku w płomienie. Poczułem, że mama patrzy na moją poruszającą się skórę. W domu, za firankami, kryła się Mohini. Przypominała kotkę.

Cudownie miękką, śnieżnobiałą, z wielkimi zielonymi oczami. Tyle było w niej łagodności i czaru... miałem ochotę ją pogłaskać. Nic dziwnego, że Radża tak się w niej zadurzył. Ale zaraz zmarszczyłem czoło, bo uświadomiłem sobie, co oznacza jego przemiana. Wąż i kot w jednym pokoju! Nie powinienem go za chęcać. Otworzyłem usta, pragnąc ostrzec mamę i ujrzałem przed sobą zmartwioną Lalitę. W rękę, tuż przy twarzy, trzymała lalkę, którą wyłowilem z monsunowego rowu. Uważnie przyjrzałem się zabawce. Dziwne - wyglądała jak żywa. Wtem puściła do mnie

perskie oko, otworzyła usta i zabeczała jak koza. Do płuc wdarł mi się raptownie strumień powietrza, tłumiąc w gardle okrzyk strachu, a przed oczami zawirowały czarne cętki. Takie, jak na starych fotografiach i popstrzonych, zmatowiałych starych lustrach. Cętki z wolna urosły, rozmnożyły się, rozlały niczym atrament i świat spowiała czerń. Nie pamiętam, co działo się potem.

Mama twierdzi, że wrzeszczałem, jakbym był opętany przez lustro, i miotałem się dziko z siłą dorosłego, usiłując dostać się do domu, żeby w nie spojrzeć.

Chorowałem dwa dni. Mamie poradzono, by dla rozjaśnienia rozumu nacierała mi głowę pastą z przypraw i chili. Kiedy mi się polepszyło, nie mogłem dłużej patrzeć na lalkę Lality. Wydawało mi się, że w jej, bynajmniej nie ślepych, oczach kryje się pradawne zło. Ilekroć na nią zerkałem, ożywała, wpatrując się we mnie i układając usta do koziego beku. Chcąc się upewnić, że to tylko lalka, dotykałem jej i cofałem rękę z obrzydzeniem. Przypominała trupy, które Japończycy nabijali na pale lub wieszali głowami w dół na karuzelach. Wiem, bo kiedyś ośmieliłem się pomacać jednego. Skórę miał zimną, lekko elastyczną. Nie mogłem znieść myśli, że moja niewinna siostrzyczka sypia z tym straszidłem. Gdy wydobrałem, wyrzuciłem lalkę do monsunowego rowu na drugim końcu miasta i patrzyłem, jak niesiona przez bystrą wodę zmienia się w różowo-żółtą plamkę i znika w oddali. Powróciwszy do roztrzęsionej Lality, z udanym zapałem szukałem z nią zguby, by po kilku godzinach zwalić winę na Kruczka, psa sąsiadów.

Po tej przygodzie stałem się bardzo ostrożny. Ujrzałem Radzę w takiej postaci, której nie dało się zapomnieć. Skończyłem z udawaniem, że odwiedzający jego ojca ludzie o ustach wykrzywionych złą wolą i wychodzący później z ich domu z zawiniątkami i minami pełnymi nadziei, nie istnieją. Skończyłem z udawaniem, że te, owinięte w czarne lub czerwone szmaty, pękate pakunki zawierają esencję jabłkową bądź różowe granaty, a nie pochodzące z nocnych wypraw do anonimowych grobów potworności, służące ukaraniu kochanka lub zniszczeniu wroga.

Zacząłem unikać Radzy.

Aż któregoś dnia podszedł do mnie i poprosił o pukiel włosów Mohini. Przez kilka ładnych sekund gapiłem się jak cielę na jego kamienną twarz, a wreszcie potrząsnąłem głową i uciekłem.

Wiedziałem już, jakie uroki można rzucać, używając pukla włosów. Zacząłem bać się Radzy. Nie potrafiłem zapomnieć jego trójkątnej twarzy i błyszczących oczu, którymi mnie śledził, śledził, śledził.

Zacząłem więc obserwować Mohini. Codziennie po szkole pędziłem do domu i pilnie jej się przyglądałem, sprawdzając, czy pod moją nieobecność nic się nie zmieniło w jej uśmiechu, słowach, rękach, nogach... Szalałem z obaw i poczucia winy.

Z lustra spoglądał na mnie obcy chłopak z przerażonymi, rozgorączkowanymi oczami. Doszło do tego, że przestałem za uważać, iż rycyna, którą w szkole wlewali mi do gardła,

ma okropny smak. Nie zamierzałem wkradać się na powrót w łaski mojej dawnej bandy, więc na lekcjach biernie siedziałem na twardym krześle, kolejni nauczyciele wchodzili i wychodzili, a ja gapilem się przed siebie. Po ostatnim dzwonku wypadałem z klasy i sprawdziwszy, czy Mohini nie zdradza oznak bógu jeden wie czego, siadałem i czekałem, aż nadejdzie wieczór.

Codziennie o zmierzchu, gdy słońce kryło się za domy i znikало zagrożenie ze strony japońskich żołnierzy, mama wypuszczała moją siostrę na spacer za domem. Była to ulubiona pora dnia Mohini - zachód słońca, kiedy niebo wciąż barwiły niesamowite fiolety i nastrojowe róże, a w moskitach dopiero budził się apetyt na jej krew. Moja siostra przechadzała się wzdłuż grządek warzywnych mamy, czasem zrywając z rosnącego na końcu ogrodu krzewu jaśminu naręcze kwiatów na modlitewny ołtarzyk. Bardzo lubiła te wieczorne spacerki, ale dla mnie były to chwile największego strachu. Bo w krzakach i między drzewami rozplaszczony na brzuchu Radża obserwował mnie, ją, nas. Zacząłem więc jej pilnować. Przywykłem już stać przy tylnych drzwiach i martwić się, śledząc ją w półmroku, dopóki nie wróciła. Czasem towarzyszyłem Mohini, trzymając się tak blisko niej i z takim niepokojem badając wzrokiem krzaki, że wzruszona moja troską - mierzwiła mi włosy i głaskała zmarszczone brwi.

- A to co? - pytała czule, gładząc głębokie bruzdy na moim czole.

Naturalnie nic jej nie powiedziałem. Znałem wielkie plany mamy związane z nią - perłą naszej rodziny. Wspaniałe małżeństwo z kimś ze znakomitego rodu. Tak więc bruzdy oznaczały zmartwienie, będące tajemną kulą u mojej nogi. Kulą, którą sam sobie założyłem i musiałem z nią żyć. A to "zmartwienie" leżało nieruchomo za tymi krzakami.

Chciałem opowiedzieć siostrze o kobrach. O tym, co wiem, co widziałem. Ostrzec ją, że powinna się bać owych intrygujących stworzeń, bo kobra nie uznaje nad sobą pana. Będzie dla ciebie tańczyć, gdy spodoba się jej twoja melodia, pić mleko, które codziennie zostawiasz dla niej przy koszyku, ale nigdy nie będzie ci do końca posłuszna. Musisz pamiętać, że kobra na zawsze pozostanie wierna swej naturze i w każdej chwili z sobie tylko znanych powodów może odwrócić łeb i zatopić trujące kły w twoim ciele. W moim dziecięcym wyobrażeniu Radża był wielką czarną kobrą. Chciałem siostrze o nim powiedzieć. Wciąż myślałem o jego zimno połyskujących oczach.

Przeczuwałem, że zamierza skrzywdzić ją lub nas.

Któregoś dnia, pędząc do domu ze szkoły, natknąłem się na niego. Czekał na mnie oparty o mur przy domu starego Sunga. W mojej obecności rozwinął czarne zawiniątko z materiału i w słońcu rozbłysnął mały czerwony kamień. Radża położył mi go na dłoni. Stwierdziłem ze zdziwieniem, że kamień jest dziwnie ciężki i ciepły jak świeżo zniesione kurze jajko.

- Mam prezent dla twojej siostry. Włóż go jej pod poduszkę, jako miłą niespodziankę

- powiedział aksamitnym głosem, który zdążyłem znienawidzić.

Rzuciłem dziwnie ciepły kamień na ziemię i uciekłem co sił w nogach. Nie gonił mnie, ale na plecach czułem jego rozpalone spojrzenie. Gdy dobiegłem do schodków domu, obejrzałem się.

Wciąż stał przy czerwonym murze i mnie obserwował. Na jego twarzy nie dostrzegłem gniewu.

Pozdrowił mnie ręką. Bardzo się wystraszyłem. Jakże tęskniłem do dni, kiedy był dzielny wojownikiem Czibindim.

Tego wieczoru zobaczyłem, że Mohini schyla się po coś błyszczącego w trawie. Sparalizowany strachem, krzyknąłem i udałem, że padam. Podbiegła do mnie. Symulując straszliwe bóleści, poprosiłem ją o odprowadzenie do domu. Zapomniała o błyszczącym przedmiocie na ziemi. Nieco później wymknąłem się na palcach z domu. Nie było księżycy i ledwo wypatrzyłem przedmiot w trawie. Schyliłem się po niego i wtedy ujrzałem przed sobą bose stopy Radży. Wyprostowałem się wolno w obawie, co zobaczę.

- Daj mi ją- rzekł twardo, bez emocji.

Krew zastygła mi w żyłach.

- Nigdy - odparłem głosem pełnym oburzenia, ale słabym i nieprzekonującym.

- Będzie moja - zapowiedział, odwrócił się i rozpląnął w ciemnościach.

Wpatrywałem się z lękiem w granatową noc, lecz Radża przepadł jak wiatr w polu, zabierając z sobą rozpacz.

Tej nocy śniło mi się, że obserwuję zza krzaków Mohini idącą brzegiem rzeki.

W drzewach śpiewały kolorowe ptaki, a ona zaśmiewała się z figli małp z pyszczkami obwiedzionymi srebrem. W pewnej chwili opadła na czworaki i, odgarnawszy z twarzy ciężkie włosy, zaczęła pić z rzeki jak mały kot. W wodzie o kilka kroków od niej unosił się kształt z parą groźnych, strasznych oczu. Obserwowały ją bez zmużenia. Krokodyl. Boję się krokodyli. Najbardziej przeraża w nich to, że z ich oczu nie da się wyczytać, czy żyją. Ponieważ cały czas patrzą bez wyrazu, człowiek zadaje sobie pytanie, czy aby nie weszły do tego świata innymi drzwiami.

Udający nieszkodliwą kłodę krokodyl podpląnął cicho do Mohini, żeby bez najmniejszego ostrzeżenia pochwycić jej głowę w potężne szczęki i z odrażającym pluskiem wciągnąć pod wodę.

Chciałem ostrzec siostrę, tak jak wcześniej przed czarnymi kobrami, lecz nie mogłem sobie przypomnieć jej imienia. Potwór rozwarł paszczę. Pobiegłem z krzykiem na brzeg, ale głowa Mohini już zniknęła w jego żółtych zębach. Sparalizowany niedowierzaniem i strachem, stałem w workowatych majtkach na brzegu rzeki i patrzyłem na kotłującą się wodę. Bestia wciągnęła moją siostrę pod powierzchnię i znikła. Mohini przepadła. Toń uspokoiła się. Rzeka nasyciła. Na

przeciwnym brzegu, biegnący z wykrzywioną twarzą w stronę pełnej krokodyli wody, Radza wykrzykiwał coś w języku snu, którego nie rozumiem, kiedy śpię, a po przebudzeniu nie słyszę.

Obudziłem się ze wzdrygnięciem, zlany potem i tak przerażony, że ściśnięte i obolałe serce waliło mi w piersi i gardle. Obok mnie spali spokojnie bracia. Oni nie igrali z diabłem. Zatrwożony i nieswój podkradłem się do łóżka dziewcząt, żeby spojrzeć na śpiącą Mohini. Delikatnie przesunąłem palcami po jej gładkim ramieniu. Była ciepła. W głowie rozbrzmiał mi z lekka poirytowany głos mamy:

"Kiedyś, gdy Mohini miała z osiem lat, pokłóciłam się z twoim ojcem, a ponieważ przestaliśmy się do siebie odzywać, poprosił ją o zaparzenie kawy. Stałam w kuchni i widziałam, że wysypała mu do kubka dziewięć łyżeczek kawy i jedną cukru. A potem obserwowałam zza szafy, jak on, nie mrugnawszy nawet okiem, wypił tę kawę do ostatniej kropli. Oto jak mocno ojciec kocha twoją siostrę".

Ogarnął mnie żal i wstyd. Zdradziłem Mohini. Wypaplałem jej sekrety i wszystko zepsułem.

Czułem się winny wyłącznie wobec mojej śpiącej siostry, beznadziejna rozpacz Radzy mnie nie obchodziła. Umościłem sobie posłanie na podłodze przy łóżku Mohini. Postanowiłem, że odtąd będę pilnował jej jak źrenicy oka. Szykowało się coś strasznego i nie mogłem do tego dopuścić.

Leżałem nieruchomo, wpatrzony w ciemny sufit i wsłuchany w jej oddech. Gdzieś daleko odezwało się jakieś zwierzę. Zdumiewająco ludzkim głosem. Dopiero po bardzo długim czasie równe oddechy siostr ukołysały mnie do snu. Tuż przed zaśnięciem pomyślałem, że powinienem komuś powiedzieć, co mi się przyśniło.

Lakszmi

Na samym początku, zaraz po zjawieniu się w naszej sennej okolicy, japońscy żołnierze zastrzelili wielkie psy starego Sunga. W jednej chwili wściekle ujadły, a w następnej, głośniejsze jak wybuchy petard, zwały się na ziemię. Ich czerwona krew szybko wsiąkła w białoczerwony żwir.

- Korę, korę! - szczekali Japończycy, zawzięcie łomocząc i waląc kolbami karabinów w zamkniętą bramę.

Ze ściśniętym żołądkiem obserwowałam ich zza firanek. Mimo sprytnie pomyślanej kryjówki Mohini, paraliżował mnie strach, że Japończycy ją znajdą. Ich bestialstwo było niesłychane. Wzdłuż ulic leżały trupy rozplątane od kroku po usta, niczym świnie przygotowane do

pieczenia na rożnie. Wiedzieliśmy o polach straceń w Teluk Sisek, w drodze na wybrzeże, gdzie siekali ludzi na kawałki: rozedrgane dłonie, za pamiętane podskakujące stopy, kikuty zszokowanych rąk, broczące krwią nogi i głowy. Słyszeliśmy też o żonie właściciela chłodni, która sama przy świetle księżyca poszła zebrać szczątki męża, by wyprawić mu godny pogrzeb. Tacy byli Japończycy. Okrutni i barbarzyńscy.

Przycupnięci pod oknem: mój mąż, Lakszmana i ja, ujrzeliśmy w drzwiach domu Sunga bojaźliwą Mui Tsai.

- Korę, korę! - ponaglił ją krzykiem żołnierze. Wybiegła, żeby im otworzyć. Brutalnym pchnięciem rozwarli bramę na oścież i uważnie przyjrzeni się mojej przyjaciółce. Ten wzrok! Czulałam, jak Mui Tsai drży pod ich spojrzeniami. Ukłoniła się nisko. Mowa obcych była napastliwie głośna i brzydka. Weszli do środka, obojętnie przestępując przez martwe psy. Przelecieli przez dom jak szarańcza, pożerając wszystko, na co im przyszła ochota, i ogałając go z drobiazgów, które mogli schować. Wiedzieli, że już za kilka dni będą pewnie walczyć w dżunglach Jawy albo na trujących bagnach Sumatry. Szukali biżuterii, piór, zegarków. Pan domu był nieobecny, ale jego drogie zegarki leżały przy łóżku. Japończycy dołączyli je do innych, które mieli na przegubach.

A potem przyłożyli czubek miecza do miękkiego brzucha pani domu i wskazali puste oszklone szafki. Z początku udawała, że nie wie, o co chodzi, lecz gdy nieco głębiej wcisnęli szpic klingi w jej wypielęgnowane, pulchne ciało, z płaczem krzyknęła do kucharki, by spod różanego krzaka wykopała figurki zjadeitu. Bardzo ucieszeni tym znaleziskiem, żołnierze wskazali pudełko z różanego drewna. Służące pośpiesznie je otworzyły. Japończyków uradowały zwłaszcza pałeczki z kości słoniowej. Gestykulując i szwargocząc gardłowo, zażądali cukru. Pani domu zmarszczyła czoło, służące patrzyły bezradnie. Nieogolone, niechlujne indywidua chwyciły kucharkę za włosy, skłęły ją, wytrząsały po twarzy i zaczęły przewracać po jenniki. Co za impetycy! Wreszcie z jakiegoś przewróconego słoja wysypały się białe kryształki. "Aaa, cukier!". Skończyli z pojemnikami i podeszli do pani domu. Wstrzymała oddech. Bił od nich przyprawiający o mdłości smród niemytych żołnierskich ciał. Tego fetoru nie sposób zapomnieć. Cuchnęli jak ludzie pozbawieni duszy. Znow zaczęli gwałtownie gestykulować. Upiornie blada żona Sunga patrzyła na nich z przerażeniem, lecz im chodziło tylko o rozpalenie w ogrodzie ogniska i ugotowanie dla siebie jedzenia. "Drewno!".

Służące pomknęły szukać drewna na opał. Japończycy rozwalili się na trawie za domem, karabiny rzucili obok siebie i na oczach zastraszonych, stojących w rzędzie domowników starego Sunga czekali na ucztę pod gołym niebem. Obcy jedli jak głodne psy. Wreszcie poszli sobie.

Widzieliśmy, że skierowali się do domu Miny. Otworzyła im drzwi, spowita w luźną białą modlitewną szatę, mamrocząc: "Ja Allah, Ja Allah". Nie była to pora modlitwy, ale obszerna

szata ukrywała wspaniałe kształty Miny. Wszystko, oprócz jej wystraszonej twarzy. Małego, wylęknionego kota. Siedmioro zbitych w gromadkę dzieci patrzyło, jak żołnierze przeszukują dom.

Gdy obwiedli palcami przeguby rąk i szyje, Mina zrozumiała. Przygotowana na to, wręczyła im chusteczkę zawiązaną na supeł. W środku były: stary łańcuszek, jeszcze starszy pierścionek i dwie lekko odkształcone bransolety. Żołnierze ze złością cisnęli jej to w twarz. Nie zabawili długo. Nie wspomniałam ci, że przed opuszczeniem domu starego Sunga rzucili biedną, niekochaną Mui Tsai na kuchenny stół, ustawili się w nieoczekiwane karnym ogonku i po kolei się zaspokoili.

U Chińczyka obok zbili lustro i zabrali trzy prosiaki. Dwóch starszych synów gospodarza uciekło tylnymi drzwiami. Przeleźli na nasze podwórko, pomknęli przez pola i znikli w małej dżungli.

Kiedy twarde japońskie buciory zatupały na naszych drewnianych schodkach, serce podeszło mi do gardła, drżąc ze strachu. Żołnierze wpadli przez drzwi jak huragan. Dopiero z bliska okazało się, jacy są niscy. Mężowi sięgali do piersi. Przyjrzeni się jego czarnej, brzydkiej twarzy. Mieli okrutne, złe oczy! A my jak na komendę ukłoniliśmy się im z szacunkiem, niczym słonie nauczone składania pokłonów sułtanowi w dniach chwały imperium Mongołów. Japończycy przemaszerowali przez dom, aż trzęsły się podłogi. Pootwierali szafy, zajrzeli do pudeł i skrzynek, pod stoły i łóżka, lecz nie znaleźli mojej córki. Na podwórzu otworzyli kurnik, ukręcili szyje kurczakom i, chwyciwszy po kilka do każdej ręki, wskazali na palmę kokosową. Lakszmana szybko się na nią wspiał. Skorupy po wypitym mleczku rzucili na ziemię. Przed opuszczeniem naszego zaułka zdjęli z zawiasów imponującą czarną żelazną bramę starego Sunga i zabrali z sobą. W tamtych czasach Japończycy byli bardzo pazerni na żelazo. Większość domów pozbawili bram - i strachu przed złodziejami, bo za najmniejsze przestępstwa karali torturami i ścięciem głowy. Przestępczość spadła do najniższego poziomu w historii. Prawdę mówiąc, za japońskiej okupacji przestano zamykać domy na klucz. Ale nie masz co nam zazdrościć życia bez przestępstw, bo w końcu zapłaciliśmy tym złotym psom krwią. Byli butni, nieokrzesani, niewybaczalnie okrutni - do końca moich dni będę ich nienawidzić, tak jak to potrafi jedynie matka. Napluję im we wstrętne pyski. Moja nienawiść jest silna i przetrwa nawet w następnym wcieleniu. Nigdy nie zapomnę, co zrobili mojej rodzinie, i przeklinać ich będę wciąż od nowa, życząc im, by kiedyś zaznali mego bólu.

Zaraz po inwazji Japończycy zabronili grabieży. Dwóm oskarżonym o rabunek zawiązali oczy, ręce spętali na plecach i doprowadzili na plac, gdzie co czwartek odbywał się nocny targ. Tam, po spędzeniu odpowiedniej liczby przechodniów jako widzów, skazanych zmuszono do klęknienia, a japoński oficer obciął im głowy, po każdej egzekucji starannie wycierając klingę kawałkiem tkaniny. Nawet nie spojrzął na nie, gdy bryzgając krwią, z ustami rozwartymi w niemym

krzyku toczyły się po piachu, ani też na makabrycznie podrygujące ciała, krwawe fontanny tryskające z szyj i spazmatycznie wierzgające nogi. Zmierzył natomiast wzrokiem oniemiały, wstrząśnięty tłum i skinął głową w milczącym ostrzeżeniu.

Pokazawszy, do czego są zdolni, Japończycy pozbyli się wszelkich zahamowań. Nie tylko grabili domy, ale je bezcześcili. O nic nie prosili, za nic nie płacili, po prostu zabierali, co chcieli.

Ziemię, samochody, budynki, warsztaty, rowery, kury, plony, prowiant, ubrania, lekarstwa, córki, żony, życie.

Z początku ich nie przeklinałam. Nie doświadczyłam bez pośrednio ich brutalności. Szybko nauczyłam się nie widzieć odciętych głów na karuzeli. Imperialistyczna japońska propaganda w niczym mi nie przeszkadzała. Miałam się przejąć za kazem noszenia krawatów? To oczywiste, że wojna niesie z sobą straszne okrucieństwa. Po prostu postanowiłam, że nie dopuszczę, aby taka wstrętna, plugawa rasa pokonała mnie w grze, którą świetnie znałam. Byłam harda. Wiedziałam, jak zaspokoić głód moich dzieci, jak w razie potrzeby stworzyć jedzenie z niczego. Przetrywam i to, stwierdziłam. Mój mąż wraz z nastaniem Japończyków stracił pracę, a my prawo do cennych kartek żywnościowych. Kartek zapewniających ryż i cukier. Uznano nas za jednostki bezwartościowe, dla których japoński reżim nie zamierzał uszczuplać ograniczonych zapasów żywności. Z dnia na dzień zostałam bez żadnych przy chodów, z ośmioma gębami do nakarmienia. Nie było czasu na użalanie się nad sobą ani na wdzięczność za współczujące spojrzenia kobiet w świątyni, których mężom udało się zachować pracę.

Sprzedawałam część biżuterii i kupiłam krowy. Miałam z nimi utrapienie, ale bez nich byśmy nie przeżyli. Każdego ranka przed świtem bez względu na pogodę siadałam na niskim stołku i je doiłam. W straganach z kawą i sklepach płacono nam za mleko japońskimi banknotami z bananami i palmami kokosowymi. Te, nazywane powszechnie "bananowymi", przechodzące nerwowo z rąk do rąk pieniądze nie miały numerów seryjnych i z każdym miesiącem traciły na wartości. Więcej od nich wart był tytoń. Niektórzy zamieniali je jak najszybciej na ziemię i biżuterię, ale nas to nie dotyczyło, bo ledwo mi starczało na wyżywienie dzieci. Nie miałam kartek żywnościowych, a ryż można było kupić tylko po paskarskich cenach na czarnym rynku. Nagle stał się rzadkim i luksusowym towarem. Dla zwiększenia jego wagi i swoich zarobków sprzedawcy zaczęli go zwilżać wodą. Ludzie oszczędzali każde ziarenko, zachowując ryż na specjalne okazje urodziny i święta religijne. Przez większą część tygodnia jedliśmy tapiokę. To ona królowała w tamtych czasach. Była we wszystkim: w chlebie, w makaronach. Jadło się nawet liście manioku. Codziennie szatkowany, gotowany i przyrządzany - maniok ocalił nam życie, ale nienawidziłam tapioki. Nienawidziłam serdecznie. Przez lata próbowałam wmówić sobie, że ją lubię, choć

brzydziła mnie jej oślizgłość. Chleb z nią był gumowaty - odbijał się od stołu i ciągnął się w ustach - a makaron wstrętny. Jednak wszyscy ją jedliśmy.

Próbowałam hodować, co tylko wpadło mi w ręce. Nawet kurkumę, która z nieznanego powodu miała wysuszone, dziwnie zniekształcone kłącza. Na szczęście pod koniec pierwszego roku japońskiej okupacji zaprzyjaźniłam się z panią Anand. Jej mąż pracował w wydziale kontroli żywności i udało mu się przeszmyglować z północy Malajów ryż pochodzący z zapasów cesarskiej armii. Ukryłam go w krokwiach dachu. Dzięki krowom i mojemu ogrodowi przetrwaliśmy dotkliwie braki żywności, jakich doświadczył cały stan Pahang. Dotkliwie do tego stopnia, że w maju 1942 gubernator zalecił ludności po przestanie na dwóch posiłkach dziennie zamiast trzech. Widocznie nie wiedział, że ludzie już od dawna tak jedzą, uzupełniając braki przekąskami z tapioki.

Wszystko z importu było darem z nieba. Przed okupacją myłam włosy dzieci w wywarze ze specjalnych indyjskich strączków. Przychodziły w pęczkach. Ciemnobrązowe, twarde jak kość, namaczało się i gotowało. Otrzymana papka stanowiła doskonały szampon. Oczyszczała włosy tak wybornie, że skrzypiały. Przy ich myciu eksperymentowałam też z zielonym mielonym ziarnem.

Za Japończyków robiłam własne mydło z liści, kory, cynamonu i kwiatów. Zęby czyściliśmy palcem wskazującym, zanurzonym w drobno zmielonym węglu drzewnym, a niekiedy solą. Za szczoteczki służyły miękkie gałązki miodli. Robiłam też własny olej kokosowy, bo cena za puszkę kupnego skoczyła z sześciu do trzystu piętnastu ringgitów w roku 1945.

Dziesięć małych jajek kosztowało dziewięćdziesiąt ringgitów. Ale jak to się ma do ceny saronga, która wzrosła z ringgita osiemdziesięciu senów do tysiąca? Próbowałam tkać z liści ananasa i kory materiał na ubrania, lecz był bardzo szorstki i nadawał się tylko na worki.

Żyletki stały się takim rarytasem, że wszyscy ostrzyli wciąż od nowa ich zużyte, tępe ostrza na krawędziach szklanek. Samochody zniknęły, z wyjątkiem tych, którymi jeździli japońscy wojskowi i ważni cywile. Auto starego Sunga zabrał na samym początku Japończyk z niebieskimi baretkami. Taksówki napędzano węglem drzewnym lub drewnem. Ponieważ armia japońska zatrzymała większość leków i środków medycznych dla siebie, nam, miejscowym, pozostała tradycyjna medycyna. Druga Żona naszego chińskiego sąsiada o mało co nie straciła nogi, próbując wyleczyć głębokie rozcięcie okładami z ananasa i przejrzałych bananów. Rana zsiniała i zaczęła cuchnąć. Niewiele brakowało, a wdałaby się gangrena.

Woda w rurach była coraz gorsza, bo ograniczono stosowanie środków uzdatniających.

Czasem w naszej wodzie do picia wiły się jak w śmiertelnych bólach malutkie kremowe robaczki.

Po rozstrzelaniu męża Myny spadła na mnie rola zwiastunki złych wieści. Biedaczka osunęła się na ziemię w progu domu. Przykucnęłam i zaczęłam ją głaskać po kruczoczarnych włosach. Jej gładki policzek musnął moją dłoń. Skórę miała cudowną jak u dziecka, ale żadnych oszczędności. Nic oprócz stadka kur, ogrodu warzywnego i kilku sztuk staroświeckiej biżuterii.

- Nie płacz, wszystko będzie dobrze - przekonywałam.

Potrząsnęła głową, cicho szlochając.

Pewnego wieczoru pod jej dom podjechał zielony wojskowy łazik. Mina już wtedy bardzo cienko przędła. Wysiadł z niego sprężyste elegancki Japończyk w cywilu i wszedł do środka. Potem często zostawiał wóz pod jej drzwiami. Wkrótce Mina odesłała piątkę swoich dzieci do siostry w Pękanie. Powiedziała Mui Tsai, że jest tam lepsza szkoła. Odtąd Japończyk z łazikiem zaczął u niej nocować, a kilka tygodni później wprowadził się. Przestałam ją odwiedzać, a ona z nami rozmawiać. Może się wstydziła, że jest utrzymanką japońskiego urzędnika. Kilka razy widziałam ją z okna - często wychodzili gdzieś wieczorami. Zakładała wtedy zachodnie stroje albo czeongsamy, chińskie sukienki bez rękawów, ze stójką i rozcięciami z boków. Zaczęła używać kosmetyków i malować paznokcie. Wyglądała jak gwiazda filmowa. Kiedy z gracją damy wsiadała do łazika, w rozcięciu jedwabnej sukienki błyskały jasne łydki. Miałam z nią problem. No, bo gdyby przyszło jej do głowy poświęcić Mohini w zamian za kawałek gruntu, lepszy dom, brylantowy pierścionek albo worek cukru?

Pewnego dnia spotkałyśmy się twarzą w twarz. Prędzej czy później musiało do tego dojść, tylko że nieoczekiwanie nastąpiło to w jego obecności. Wyszłam z za rogu w chwili, kiedy wysiadali z łazika. Zwolniłam kroku, licząc, że zanim do nich dojdę, znikną w domu, ale Mina zaczekała na mnie, a on z nią. Uśmiechnęłam się. Przyjaźnie. Bałam się obojga. Ona też była wrogiem. Zachowanie mojej tajemnicy zależało od najsłabszego ogniwa, na które właśnie patrzyłam.

- Cześć - powiedziała, piękna jak zawsze.

- Cześć. Jak się masz?

- Doskonale - odparła z uśmiechem.

Usta miała czerwone, policzki uróżowane, lecz oczy nadal smutne. Na jej rękach pobrzękiwały niczym eleganckie ostrzeżenia ciemnozielone, przepięknie rzeźbione bransoletki z jadeitu.

- Co u dzieci? - zagadnęłam, nie wiedząc, o czym z nią rozmawiać.

- Są bardzo niegrzeczne, nie chcą się uczyć - odparła skromnie. - A jak tam twoja cudowna piątka?

Uśmiechnęłam się do niej. Z wdzięcznością. Z jej strony nic mi nie groziło. Na razie. Wiedziała, że mam szóstkę dzieci. Pominęła Mohini ze względu na Japończyka. Specjalnie zaaranżowała to spotkanie, żebym mogła spać spokojnie.

- Ma się dobrze. Dziękuję - odparłam i ruszyłam dalej.

Porozumiałyśmy się. Kiedy się obejrzałam, właśnie wchodzili do domu. On obejmował ją w talii.

Minął rok japońskiej okupacji. Pływając i huśtając się niczym Tarzan na pnączach rosnących nad rzeką, Lakszmana za przyjaźnił się z pewnym tubylcem. Tubylcy to najlepsi tropiciele i myśliwi, jakich można sobie wymarzyć. Niedościgli w znajomości dżungli. Mogą obserwować cię i tropić niepostrzeżenie przez wiele dni. Chłopak ten nauczył Lakszmanę, jak robić dmuchawki i jak z nimi polować. Niebawem mój syn zaznajomił nas z wieloma nowymi potrawami.

Przyniósł do domu kilka wstrętnych długich jaszczurek, które po przyrządzeniu okazały się bardzo delikatne w smaku. Zapoznaliśmy się też z mięsem dzika, jelenia, wiewiórki, tapira, żółwia, świeżo zabitego pytona, z ostrym w smaku mięsem tygrysa, a nawet z mięsem słonia. Lakszmana opowiedział nam o powrocie leśnych ludzi z polowania, uginających się pod ciężarem poćwiartowanej, ociekającej krwią zdobyczy. Ja i Aja nie mogliśmy zmusić się do zjedzenia potrawy ze słonia. Za bardzo wierzyłam w Ganeśę, ale poprosiłam go o wybaczenie i nakarmiłam nią dzieci. Mimo grubej szarobrazowej skóry dzieci orzekły, że mięso nie jest złe. Kiedy pewnego dnia Lakszmana wrócił do domu z małą małpką na ramieniu, stary Sung, który widział go przez okno, przysłał do nas kucharkę z pytaniem, czy sprzedamy mu małpią głowę z mózgiem.

Rozbił czaszkę małpki, wlał do niej czarno rynkowy koniak i, pomagając sobie pałeczkami, wyssał zawartość. Wieczorem wezwał do siebie Lakszmanę i obiecał, że jeśli przyniesie mu jądra tygrysa lub niedźwiedzia - ich spożywanie zapewniało nieśmiertelność - to hojnie go wynagrodzi.

Daruję nam miesięczny czynsz.

Od moich dzieci, przymusowo uczących się w szkole japońskiego, przyswoiłam sobie zwrot "Domo arigato". Na wszystkie żądania żołnierzy natychmiast reagowałam skinieniem głowy i skwapliwie dziękowałam w ich nieznośnie gardłowym języku. Byli zadowoleni, że zadałam sobie trud wyuczenia się japońskich słów. Uważali mnie za potulną. Nie widzieli, że się boję.

A ja bałam się ich nawet wtedy, gdy w chmurze piór ściskali w rękach skrzeczące kury. Pamiętałam, że zabrali mi męża, postrzelili i zostawili w dole z trupami. Nawet zapewnienie Mui Tsai, że ulubionym daniem tych drani jest mdły ryż z cukrem, nie zmniejszyło mojej instynktownej nieufności do ich wrednych oczu.

Nie wolno było ich drażnić.

Dobrze o tym wiedziałam. W obecności Japończyków człowiek natychmiast się kłaniał i spuszczał oczy. Czasem mówiący łamaną angielszczyzną pułkownik Ito, który zawsze brał Mui Tsai pierwszy, nagabywał mnie niby żartem, gdzie schowałam córki. Oczywiście o niczym nie wiedział, ale miał tak przebiegłe oczy, że drżałam jak liść na myśl o miękkiej skórze Mohini pod jego butami.

"Kiedy wreszcie się stąd wyniosą, uczczę to. A teraz spuszczę oczy i dam im najmłodsze, najdelikatniejsze kokosy z mojej palmy" - powtarzałam sobie wciąż od nowa. Słyszałam historie o ścinaniu przez Japończyków całych palm, jeśli w domu nie było nikogo, kto wspiąłby się po orzechy. Właśnie z tego jedyne powodu przykazałam Lakszmanie, żeby co dziennie przed lekcjami ścinał najbardziej dorodne. Kiedy przychodzili i wskazywali na palmę, natychmiast wyносиłam im zielone owoce. Rozcinali je bagnetami. Przyglądałam się ukradkiem, jak piją - wyciekający im z ust sok spływał po mocnych kolumnach ich nienawistnych szyj i plamił mundury.

Życzyłam im najgorszego. Nienawidziłam, ale mój prawdziwy strach tkwił głębiej. Głębiej niż obawa, że zetną palmę albo że odkryją biżuterię, ukrytą wysoko w górze w jej kołyszących się liściach. Bałam się, że nie bacząc na rozgdakane kury i grubą warstwę kurzych odchodów, Japończycy sprawdzą, co jest pod domem. I zabiorą mi córkę.

Ta myśl spędzała mi sen z powiek. Ilekroć widziałam biegającą swobodnie w chłopięcej koszuli, ostrzyżoną jak żołnierz Chinę z sąsiedztwa, której mocno obwiązane piersi były płaskie jak deska, martwiłam się o Mohini. Uważałam, że ona ma za piękne, za cudowne włosy, by je ścinać, ale nawet gdybym je obcięła i obwiązała córce rozkwitające piersi, to i tak jej twarz rzuciłaby się w oczy. Policzki, oczy i pełne usta od razu by ją zdradziły.

Pozostawało więc tylko ukryć ją.

Którejś nocy, gdy siedziałam sama, przyglądając się odległym gwiazdom, odsunęła się moskitiera i do kuchni weszła Mui Tsai. Dawno mnie nie odwiedzała, więc bardzo się za nią stęskniłam. Niezdarnie jak dziecko klapnęła obok mnie na ławę. W rękę trzymała lepkie brązowe ciasteczko. Trwało święto chińskich bogów. Pora, kiedy pomniejszych bóstwa i duchy odwiedzały chińskie domy na ziemi i zносиły do nieba opowieści o złych uczynkach. Żeby temu zapobiec, Chińczycy przekupywali je lepkiemi słodyczami.

Mui Tsai wiedziała, że bardzo lubię chrupać twarde ciasteczko. Podparła rękami podbródek i przyjrzała mi się z powagą. Dopiero wówczas, mocno poruszona, zdałam sobie sprawę, ile cieni kryje się w jej oczach.

- Co u ciebie? - zapytała.

Wciąż była moją najlepszą przyjaciółką.

- Wszystko dobrze. A u ciebie?

- Jestem w ciąży - oznajmiła bez osłonek.

- Z panem? - zdziwiłam się, robiąc duże oczy.

- Nie, pan już mnie nie odwiedza. Od czasu japońskich żołnierzy. Boi się choroby.

Brzydzi się moim ciałem. Traktuje mnie chłodno, źle, ale to mi odpowiada.

- Mój boże - powiedziałam, przejęta. Jej nieszczęścia nie miały końca. Widać rzeczywiście urodziła się pod złą gwiazdą.

- Tak, ojcem jest któryś z nich - oświadczyła spokojnie. Cienie w jej oczach zachowywały się jak stare duchy w nawiedzonym domu. Kurczyły się i wydłużały.

- I co teraz zrobisz?

- Pani chce, żebym pozbyła się dziecka - odparła z prostotą i dziwnie obojętnie wzruszyła ramionami. - A zresztą, czyż mogę je zatrzymać? Przecież to może być syn tego, który mnie zapłodnił, a potem we mnie nasikał.

- Co?

Spojrzała na mnie z krzywym uśmiechem. W jej oczach działo się coś dziwnego.

- Nie wiesz, gdzie mogę zrobić skrobankę? - zapytała.

- Nie, skąd.

Nigdy nie powiedziała mi wszystkiego, co robili z nią Japończycy, a ja nigdy nie tykałam tego tematu.

- No cóż, pani na pewno będzie wiedzieć. W niczym nie mogłam jej pomóc. Badał zmarła dwa lata temu.

- Och, Mui Tsai, proszę cię, bądź bardzo, bardzo ostrożna. Te rzeczy są niebezpieczne.

Zaśmiała się lekceważąco. Cienie w jej oczach zatrzepotały i zniknęły.

- Nie dbam o to. Wiesz, co jest najdziwniejsze? Że ostatnio z pokoju obok dobiega mnie płacz dziecka. A kiedy tam idę, to dziecka nie ma.

Spojrzałam na nią z zatroskaniem, lecz ona znów się zaśmiała. Nieprzyjemnie. Powiedziała, że się nie boi, bo to tylko woła ją duch pierwszego synka. A potem rozegrałyśmy kilka partii chińskich szachów. Wcale nie musiałam oszukiwać, żeby wygrać wszystkie. Mui Tsai była myślami gdzie indziej. Kilka dni później do naszego zaułka wpadła wyjąca karetka, zatrzymała się przed domem starego Sunga i wyskoczyło z niej dwóch sanitariuszy w bieli. Z początku myślałam, że przyjechali do niego, ale okazało się, że po Mui Tsai. Po biegłam do karetki. Nigdy nie zapomnę widoku przyjaciółki. Z bladą, wykrzywioną z bólu twarzą i oczami szklistymi, jak by zaraz miała zemdleć, leżała na noszach, spazmatycznymi ruchami rąk próbując wypchnąć żołądek z ciała. Jej samru i małe stopy upstrzone były plamami gąbczastej, purpurowofioletowej krwi. Za noszami

dreptała pani domu, zapewniając sanitariuszy po malajsku, że znalazła dziewczynę w takim stanie i nie miała pojęcia, że jest ona w ciąży.

Mui Tsai spojrzała na mnie, ale mnie nie poznała. Cierpiała straszliwie. Zwijała się z bólu, przekręcając z boku na bok. Czoło miała zroszone wielkimi kroplami potu. Dotknęłam jej ręki. Była lodowata. Przestraszona, próbowałam ją przytrzymać, lecz mi się wyrwała. Wyglądało to bardzo poważnie. Jak by umierała. Sanitariusze odepchnęli mnie niecierpliwie i wsunęli nosze z Mui Tsai do wydezynfekowanej karetki. Za trzasnęły drzwiczki. Spojrzałam na obwisłą twarz żony starego Sunga, stojącej przy karetcie. Wzrok miała obojętny, usta, nie gdyś intrygująco nadąsane, zgorzkniałe i złe. Z chęcią podeszłabym do niej i przewróciła na ziemię, ale wtedy przestałabym być niewidzialną, anonimową lokatorką. Moglibyśmy utracić dom i ogród. Odwróciłam się sztywno, jakbym była z drewna, i poszłam do siebie.

Mui Tsai wróciła po tygodniu. Godzinami przesiadywała samotnie pod drzewem assamowym, niekiedy cierpliwie wodząc palcem po wzorach na kamiennym stole, a czasem tylko patrząc pustym wzrokiem w przestrzeń. Gdy podeszłam do bramy, żeby z nią porozmawiać, spojrzała na mnie ze swojego zacienionego miejsca jak na kogoś obcego. Nie mając siły wstać i podejść, rozplakała się bezgłośnie. Zrozumiałam, że moja obecność ją rozstroiła. Ale kiedy do bramy podeszła Anna, Mui Tsai przykuśtykała do ogrodzenia, splotła palce z jej palcami i zagadała do niej pieszczotliwie po chińsku, w języku, którego Anna nie знаła.

Zanim wrócę do opowieści, zdradzę ci, co powiedział mojej matce o mnie stary wędrowny wróżbiarz, który zatrzymał się na krótko w Sangrze. Byłam wtedy szkrabem pełzającym po ziemi.

Starzec podniósł mnie i dłuższy czas przyglądał się mojej niewinnej twarzy. Patrzył, jak się ślinię i puszczałam bańki. Kiedy wszyscy czekali, ręką sękatą jak konar pogładził długą, siwą brodę i oświadczył, że bóg każdemu wkłada do głowy dżunglę. Niektóre wypełnia łagodnymi stworzeniami, aksamitnookimi łaniami i wdzięcznymi antylopami, inne trajkoczącymi małpami, jeszcze inne mądrymi sowami, a niekiedy rozbieganymi, chytrymi lisami. W mojej umieścił dzikie, grasujące tygrysy.

Ludzie wiodący świątobliwe życie nie mają powodów opowiadać o sobie, ale ci, którzy ranią swych najbliższych pazurami, muszą się z tego wytłumaczyć. Dlatego mówię ci o wszystkim, byś wiedziała, że można postąpić inaczej.

Wojna dobiegała końca i w maju 1945 roku nadeszły wieści o klęsce i kapitulacji Niemiec.

Szóstego sierpnia Amerykanie zrzucili bombę na Hiroszimę. BBC podało, że Japonię zaatakowano nową potężną bronią promieniotwórczą. Piękny atomowy grzyb pochłonął całe miasto. Piętnastego sierpnia japoński cesarz obwieścił swoim poddanym, że się poddają. Do

wiedzieliśmy się o tym niemal natychmiast za pośrednictwem alianckich audycji. Rozeszły się wieści, jakoby żołnierze japońscy z rozpaczy popełniali harakiri. Czasem rzeczywiście wyglądali na przygnębionych i zagubionych, co wcale nie przeszkadzało im rozbijać zabaw rozradowanych świętujących tubylców, tłuc ich i upokarzać. Wojna się skończyła, lecz ulice w dalszym ciągu należały do japońskich żołnierzy. Siedzieliśmy jak myszy pod miotłą, zdecydowani nie podnosić głów do powrotu Brytyjczyków. Nadal, tak jak przez ostatnie trzy lata, suszyłam rzeczy Mohini nad kuchnią. Nikt nie mógł wiedzieć o jej istnieniu aż do wyniesienia się stąd tych żółtych drani. Tego ranka poszłam do świątyni podziękować Ganeśi za łaskę, jaką okazał mojej rodzinie. Wyszliśmy z wojny bez szwanku - nietknięci, a nawet dzięki niej wzmocnieni. Spojrzałam przez okno, podziwiając moje dzieci. Lakszmana i Mohini tłukli ziarno na mąkę. Dziś nazwano by to pewnie niebezpieczną pracą.

Każde uderzenie dużą pałką wymagało od partnerów idealnego zgrania. Brak koordynacji groził okaleczeniem ręki. Anna ze ściągniętą twarzą oparowała kury. Pomyślałam, że kiedyś zostanie wegetarianką. W tak niezwykle spokojne dni jak ten zapamiętywałam swoje myśli. W kryjówce Mohini Dżejan bawił się z Lalitą, na podwórzu kłóciły się gęsi. Sevenese poszedł na obowiązkową zbiórkę skautów. Ja smażyłam szpinak z curry i czosnkiem,

Kropelki wody na umytych liściach parskały wściekle w gorącym oleju. Czułam się szczęśliwa i zadowolona ze swego losu. Pewna, że Japończycy wkrótce odejdą i wszystko wróci do normy. Mój mąż pójdzie do pracy, dzieci do szkoły, by znowu uczyć się tego, co trzeba, a ja zacznę odkładać na posagi córek. Na Mohini mniej, na Lalitę z pewnością dużo więcej. Zamierzałam dobrze je wydać za mąż. Przed moimi dziećmi otwierało się świetlane życie. Przed wszystkim jednak planowałam sprzedać te przeklęte "gupie" krowy. Za dużo miałam z nimi zachodu.

Zostawiłam szpinak na kuchni, żeby się posmażył, i kiedy zamyślona kroiłam bakłażan, usłyszałam pisk opon. Dźwięk, którego nauczyłam się bać i który oznaczał tylko jedno. Nóż wyleciał mi z ręki i na moment zawisł w powietrzu, a ja ze rwałam się i dopadłam okna wychodzącego na ulicę. W nasz niebrukowany zaułek wjeżdżały dwa łażiki wypełnione milczącymi japońskimi żołnierzami. Serce zaczęło mi walić jak szalone. W popłochu krzyknęłam na dzieci i otworzyłam drzwiczki w podłodze. Anna, która była najbliżej, wskoczyła do środka. "Japończycy! Prędeż, Mohini!" - krzyknęłam, wracając biegiem do okna. Żołnierze już ustawiali się dwójkami i szli ścieżką w stronę naszego domu. Odwróciłam się od ich zawziętych żółtych twarzy i zobaczyłam, że Mohini i Lakszmana wbiegają bez tchu do dużego pokoju. Sądziłam, że córka zdąży na czas wejść do dziury, a Lakszmana zamknie drzwiczki za nią i Anną. Spojrzałam przez okno. Na schodki wchodziło dwóch żołnierzy. Jednego z nich, z niebieskimi baretkami, znałam.

To był Ito.

- Szybciej, Mohini - usłyszałam ponagląjący szept Lakszmany.

W jego głosie był dziki strach i pewnie z powodu tego strachu stało się to, co się stało.

Ciągnąc siostrę, stracił równowagę i wpadł do kryjówki. Ciężkie czarne buty dudniły tuż-tuż.

Japończycy nigdy nie pukali do drzwi, kopali w nie. W tym ułamku sekundy Mohini podjęła straszną decyzję. Uznawszy, że za późno na wyciągnięcie brata, a w środku nie starczy dla niej miejsca, zrobiła coś, co nie mieściło się w głowie. Głupia, zamknęła drzwiczki i zakryła je skrzynią.

Kiedy odwróciłam się od okna, stała przy niej.

Tak długo trzymałam córkę w domu, że właściwie przestałam dostrzegać jej urodę i zapomniałam, jak reagowali na nią ludzie. Oczy rozszerzyły mi się ze zgrozy, bo nagle wyobraziłam sobie, co zobaczy w niej pożądlivy japoński żołnierz. Była zachwycającą nimfą, wcieleniem czarownicy Mohini, a nędzne wnętrze naszego domu tylko uwydatniało jej niewiarygodne piękno. Stała jak zaklęta w promieniach słońca, z przestraczem w wielkich zielonych oczach. Po latach spędzonych w zamknięciu jej karmelowa cera nabrała barwy kremoworóżowego kwiatu magnolii. Przerażone, otwarte usta przypominały miękkie, różowy owoc z cienką, bezbronną skórką. Perłowe zęby lśniły. Miała na sobie starą, zdecydowanie za ciasną bluzkę, ale ponieważ tkaniny kosztowały niewiarygodnie dużo bananowych dolarów, a od lat nie oglądał Mohini nikt oprócz członków rodziny... Dyszała ze strachu, materiał na rozkwitających piersiach unosił się tak sugestywnie, że aż bolały oczy. Opuściłam je na wąską talię córki i zatrzymałam na odsłoniętym brzuchu, bo już dawno zgubiła dwa guziki od bluzki. Przez starą spódnicę, w której brakowało zdartej do cna podszewki, prześwitywało światło od okna. Mój wzrok przyciągnęły uda. Gładkie, krągłe. Dziecięce, a jakież powabne. O tak, Mohini była czternastoletnią boginią. Wymarzonym łupem. Z niedowierzaniem potrząsnęłam głową. Nie, nie, nie! Sprawdzał się mój najgorszy koszmar. Jak mogło do tego dojść właśnie teraz? Wojna się skończyła. Prawie nam się udało. Skamieniała z przerażenia, tylko patrzyłam. Drzwi otwały się z trzaskiem i w śmiertelnej ciszy za grzmiały dwie pary czarnych butów. Moje oczy przesunęły się pomału na płowych drapieźców. Czas zwolnił. Dobrze wiedziałam, co zobaczę. Z niedowierzaniem wpatrywali się chciwie w moje dziecko. Nigdy nie zapomnę błysku w ich wygłodniałych, małych, zwykle zasnutych podłością, czarnych, złych ślepiach. Błysku, z jakim szakale, dla których ucztą były dotąd pozostawione przez lwy oczy, wnętrzości i jądra, za reagowałyby na całego bawołu. Iskierki, które zapaliły się w ich ślepiach na widok świeżego mięsa.

Jeden z Japończyków przeszedł przez pokój. Pułkownik Ito. Twardą ręką chwycił pod brodę mój delikatny kwiat o ustach jak pąk róży i - jakby sprawdzając, czy go wzrok nie myli - obrócił twarz Mohini w prawo i w lewo. Z jego gardła wydobył się dziwny bulgot, gruba dłoń

zjechała w dół i otoczyła szyję mojej córki. Przez chwilę gładził ją delikatnie palcem po gardle, a potem błyskawicznym ruchem szybkiej jak żółty wąż ręki rozerwał gumkę przytrzymującą jej włosy z tyłu głowy. Rozsypały się wspaniałą jedwabistą kaskadą wokół twarzy i usłyszałam syk wstrzymanego oddechu. Podziw lty dla skarbu, który wpadł mu w ręce, był przerażający. Mohini sparaliżował strach. Zobaczyłam, że Japończykowi sztywnieje kark i kładzie rękę na jej talii. Lekko ją pchnął.

- Chodź! - rozkazał szorstko. Doskoczyłam do niego.

- Zaraz, zaraz! Proszę zaczekać! - zawołałam. Czubek jego noża natychmiast, bez żadnego ostrzeżenia spoczął na najczulszym punkcie pomiędzy moimi piersiami. I to był bardzo szybki. Zaskoczona, rozwarłam usta.

- Odejdź - powiedział spokojnie.

- Zaraz, pan nie rozumie! To jeszcze dziecko!

Spojrzał na mnie z rozbawieniem.

- Jest Hinduską. Nie Chinką. Japońscy żołnierze biorą tylko Chinki. Proszę jej nie zabierać!

- bełkotałam zrozpaczona, wpatrując się w jego groźną wąsatą twarz.

- Odejdź - powtórzył, spoglądając na czubek noża.

Na mojej bluzce rosła plama czerwieni. Jego nóż wbił mi się w ciało. Minę miał nieprzeniknioną. A przecież go znałam. Znałam go od trzech lat. Oddawałam mu najlepsze kury i najmłodsze kokosy.

- Proszę, czcigodny panie pułkowniku, niech mi pan pozwoli gotować dla cesarskiej armii - zaczęłam błagać. - Mam dobre jedzenie. Bardzo dobre jedzenie.

W tym momencie poczułam gryzący dym przypalonego szpinaku. Icie zadrgały usta. Padłam na kolana. Rozpłakałam się. Znałam tego człowieka. Tyle razy demonstrował czarny humor, pytając mnie: "Gdzie ukrywasz swoje córki?". Rękami mocno objęłam go za nogi.

Z obrzydzeniem na żółtej twarzy kopnął mnie mocno w brzuch. Poczułam rozsadzający ból.

Upadłam, ściskając konający żołądek. Brutalnie pociągnął Mohini do drzwi. Dźwignęłam się na czworaki i zawylałam jak wilk w księżycową noc. Nie mógł mi zabrać córki! Nie mógł wyjść za te drzwi! To było najważniejsze. Otworzyłam usta. Z całego serca żałuję tego, co wtedy powiedziałam.

- Wiem, gdzie znajdziecie chińską dziewicę. Ciało, które nie zaznało męskich rąk - wydusiłam z siebie bez tchu, nie mogąc się powstrzymać, niepomierne przerażona tym, co robię.

Z pewnością go zainteresowałam, bo zeszywniał w ramionach, ale nie zwołał kroku.

- Jest egzotyczna i piękna – dodałam. - Proszę!- Załkałam. - Proszę!

Nie mógł odejść!

Zatrzymał się. Drapieżna ryba chwyciła błyszcz. Odwrócił żółtą twarz. Wpatrzył się we mnie złymi, niezgłębionymi oczami. Wypuścił Mohini. Jego kamienne oblicze przeciął dziwny uśmiech. Czekał na dalszy ciąg. Skinęłam na córkę. Potykając się, ruszyła do mnie. Wstałam, mocno chwyciłam ją za ręce i przytuliłam do siebie. Drżała jak mała konająca majna.

"źle robisz!" - krzyczała mi w skroniach krew.

- W domu obok wyszłochałam. W domu obok za szafą jest dziewczyna.

Uklonił się sztywno. Drwiąco. Przełknęłam twardą gulę strachu, zatykającą mi gardło. W jego oczach w kształcie migdałów dostrzegłam chłód i okrucieństwo. Zadrzałam z przerażenia, bo natychmiast pojąłam, że na próżno poświęciłam biedną A Moi. Podszedł i pchnął mnie z taką siłą, że uderzyłam o ścianę. Upadłam, ogłuszona. Chwycił Mohini za rękę i wyprowadził na słońce. Na werandzie zadudniły ciężkie kroki. Łoskot podkutych butów, od którego wibrował i tętnił cały dom, prześladował mnie odtąd w koszmarnych snach. Na chwilę zamarłam na czworakach ze zgrozy.

A więc jednak zabrał ją! Pozbierałam się i ruszyłam. Wypadłam na werandę, zbiegłam po zabłoconych japońskimi buciorami drewnianych schodach, które myłam dziś rano, i z wyciągniętymi rękami popędziłam boso kamienistą ścieżką. Kanalie jeszcze nie odjechały. Mohini właśnie wsiadała. Dopadłam do samochodu. Udało mi się wprawdzie dotknąć rozgrzanej karoserii łazika, lecz w tej samej chwili ryknął silnik i rechoczące żółte bydlaki odjechały z piskiem opon w chmurze kurzu. Mohini odwróciła małą owalną twarz, żeby na mnie spojrzeć. Milczała, jej usta nie wypowiedziały słowa. Ani "Ratuj mnie, mam!", ani "Po móz mi!". Nic.

Wiedz, że goniłam za nimi. Goniłam, dopóki nie znikli mi z oczu. Ale potem nie zatrzymałam się, nie padłam na ziemię i nie rozplakałam. Po prostu zawróciłam jak nakręcana tajwańska zabawka i poszłam do domu.

Na drewnianych schodach zostawiłam krwawe ślady. Moje pokiereszowane stopy przemierzyły dom i podeszły do kuchni. Zdjęłam z ognia zwęglony, dymiący szpinak. Szpinak i przy palone chili nie pachną miło. W mojej piersi coś głęboko westchnęło. Ach, to ten bambus w sercu. Zapewne długo stałam przy piecu, nasłuchując. "Kiedy dla mnie zaśpiewasz? Kiedy usłyszę twoją piosenkę" - szepnęłam do niego, ale znów tylko westchnął.

A potem postanowiłam zaparzyć herbatę. I posłodzić ją prawdziwym cukrem, którego odrobinę kupiłam przed tygodniem od znajomego z wodociągów. Herbata z melasą to nie to samo.

Przez trzy lata wdychałam do herbaty słodzonej pięknym białym cukrem i zawsze sobie odmawiałam. Najpierw dzieci. Tak, dzieci zawsze stawiałam na pierwszym miejscu.

Nalałam wody do czajnika i nasypałam herbaty do dużego niebieskiego kubka. Gdy patrzyłam na drobne, herbaciane listki, przyszło mi do głowy, że przypominają rój czarnych mrówek. Zalałam je wrzątkiem i zaczęły wyglądać jak martwe mrówki, martwe mrówki... Przykryłam kubek pokrywką i usłyszałam cichutkie dźwięki, cichuteńkie, ale rozpaczliwe. Ktoś mnie wołał. I to nie jeden głos. Dobięło mnie także stłumione walenie. Postanowiłam nie zwracać na nie uwagi. Poszukałam cukru. Nie mogłam sobie przypomnieć, gdzie go schowałam. Zdeprymowana, usiadłam na ławie. Zaczęło padać. "Dziecina na pewno zmoknie. Będę musiała utłuc jej imbiru. Ma takie słabe płuca" - powiedziałam cicho do siebie, Podciągnęłam kolana pod brodę, tak że pewnie przypominałam kulkę, i zaczęłam się kołysać, nucąc starą dziecięcą piosenkę, którą śpiewała mi matka. Biedula. Nie powinnam zostawiać jej samej na Cejlonie. Utrata córki to straszliwy cios. Co tam cukier. Mogłam tylko kołysać się i śpiewać. Nuciałam więc tę samą zwrotkę wciąż od nowa.

Po jakimś czasie zaczęło do mnie docierać, że z rzadka słyszę pukanie, wołanie i płacz dzieci. W ich dziwnych cichych krzykach było coraz więcej rozpacz, błagania i strachu, ale dochodziły z tak daleka, że postanowiłam nadal je ignorować i skupić się na bolącej głowie. A łupało w niej straszliwie, jakby w skronie walił młot. Pływałam w morzu bólu i tylko nieprzerwane kołysanie mogło go nieco uśmierzyć.

Znacznie później przez mój kokon cierpienia skądś z bliska przebił się inny dźwięk. Mrużąc oczy w popołudniowym świetle, obróciłam się i w drzwiach kuchni zobaczyłam męża. Jego szeroka, czarna twarz wydała mi się wyjątkowo szkaradna. Nagle poczułam do niego nienawiść i gniew, jakich dotąd nie znałam. Jak śmiał nas zostawić na pastwę tych drani? Jak śmiał siedzieć spokojnie przed bankiem i plotkować z tym zdiadziałym sikhijskim strażnikiem? Wezbrana fala ciemnej furii zalała mnie tak, że aż oślepiła. Zerwałam się z ławy i z dzikim wrzaskiem rzuciłam się na Aję, rozjuszona jego głupią, zaskoczoną miną. W głowie huczało mi nieznośnie, i chociaż widziałam, że mąż porusza ustami, a więc z pewnością coś mówi, to nic nie słyszałam. Sięgnęłam do jego policzków, wbiłam krótkie paznokcie w błyszczące od potu ciało i ze złością przejechałam mu nimi po twarzy. Z początku, zbyt wstrząśnięty, nie zareagował, ale kiedy powtórnie uniosłam rękę, pochwycił je jak w imadło.

- Przestań, Lakszmi - powiedział, a ja jak zahipnotyzowana patrzyłam na jego rozorany policzek i krew ściekającą mu z twarzy na kołnierzyk koszuli. - Gdzie dzieci? - spytał tak cicho, że musiałam oderwać oczy od kołnierzyka i spojrzeć w znajome, małe, przerażone oczy.

- Zabrali Mohini - odparłam głucho i gniew minął mi równie szybko, jak się pojawił.

Byłam zagubiona i tęskniłam za takim mężem, który choć na godzinę uwolniłby mnie od brzemienia. Za takim, który wszystko by naprawił. Nozdrza mu zadrzały jak wielkiemu cierpiącemu zwierzęciu. Nagle opadł na kolana.

- Nie, nie, nie! - wysapał, wpatrując się we mnie z niedowierzaniem.

Spojrzałam na niego, nie czując bólu ani współczucia. Nie mógł mnie wyręczyć w niczym, nawet przez godzinę. Wstał wolno, jak bardzo chory starzec, i poszedł odsunąć skrzynię. Dzieci wypadły z płaczem prosto w jego szerokie ramiona. Przycisnął je wszystkie do wielkiego ciała i zapłakał z nimi. Rzuciły mi ukradkiem wystraszone spojrzenia i się do niego tuliły. Nawet Lakszmana. Dzieci to urodzeni zdrajcy.

- Powiedziałam im o A Moi - oznajmiłam mężowi. Zesztywniał.

- Dlaczego? - wyszeptał wstrząśnięty, z taką zgrozą w oczach, jakbym wbiła mu nóż w plecy.

A więc jednak nie znał mnie dobrze. Ciemna krew wciąż skapywała mu z policzków na kołnierzyk.

- Bo myślałam, że uratuję Mohini - odparłam wolno. Po twarzy spłynęła mi łza. Dopiero teraz zrozumiałam, co zrobiłam. Ale czy mogłam postąpić inaczej? Gdybym mądrzej rozegrała handel wymienny z Ito... Gdyby Mohini uciekła na pola i ukryła się w krzakach... Gdyby Lakszmana nie upadł... Gdyby...

- Mój boże, dobry boże, coś ty zrobiła? - rzekł cicho mój mąż. Przytulił jeszcze raz lgnące do niego dzieci i powiedział: - Pójdę do sąsiadów. Jeżeli nie jest za późno, ostrzegę ich. Lecz jeśli jest za późno, to niech nikt z was o tym więcej nie wspomina.

Dzieci energicznie skinęły głowami. Miały duże wystraszone oczy. Aja wybiegł z domu.

Czekaliśmy w kuchni. Żadne się nie poruszyło, patrzyliśmy na siebie, jakbyśmy nagle stali się sobie obcy. Do kuchni wbiegł Sevenese. A więc zbiórka skautów się skończyła. Spojrzenie miał dzikie. Na pewno zobaczył moje krwawe ślady.

- Czy krokodyl porwał Mohini? - wydyszał.

- Tak - odparłam.

Mój syn nazywał rzeczy po imieniu.

- Muszę znaleźć Czibindiego. Tylko on może jej teraz pomóc! - wykrzyknął jak szalony i wypadł z domu.

Aja wrócił bardzo szybko. Zjawił się za późno. Żołnierze już zabrali A Moi. Wieczorem Lakszmana uciekł z domu. Widziałam, że poszedł do dżungli, w której Sevenese zaszywał się z tym odrażającym młodym zaklinaczem węży. Zjawił się następnego wieczoru, uszargany i posiniaczony.

Nie spytał o siostrę. Z mojej miny wyczytał, że jej nie wypuścili. Nie pozwolił mi się objąć. Wtedy jeszcze nie wiedziałam, że tego dnia straciłam go na zawsze. Postawiłam przed nim talerz. Przez dłuższy czas wpatrywał się w jedzenie, jakby toczył z sobą walkę. W końcu rzucił się

na nie jak wygłodzony zwierzak. A potem zniemacka zwymiotował we własny talerz. Z grudkami niestrawionej potrawy na ustach i podbródku spojrzał na mnie i zawył:

- Czuję smak tego, czym ją karmię. Wstrętny! Skisły! Ona chce umrzeć, ama! Ona chce już tylko umrzeć! Niech ktoś jej pomoże, proszę, proszę!

Z przerażeniem patrzyłam, jak zwija się w kłębek u moich stóp, szlochając wysokim, cienkim głosem. Aż dotąd nie zdawałam sobie sprawy, co naprawdę łączy moje bliźnięta w chwilach milczenia, kiedy obywateli się bez słów. Jakie dźwięki, jakie myśli, jakie uczucia, jakie cierpienia, jakie radości? Stałam skamieniała, czas płynął, a u moich stóp szlochał syn. Lakszmana tak dawno opuścił krainę dzieciństwa i wkroczył w męskość, że przestałam w nim dostrzegać dziecko.

Wstawał przed wschodem słońca, żeby rozwieźć bańki ze świeżym mlekiem do kawiarni w mieście, i wracał z plikami bananowych banknotów. Wypędzał krowy na pastwisko, kosił wysoką trawę na wieczorną paszę, zabierał je nad rzeczkę do kąpieli i dwa razy w tygodniu czyścił oborę.

Zaopatrywał nas w upolowaną przez siebie zwierzynę i prał nasze ubrania, które z braku mydła namaczałam na noc w wodzie po ugotowanym ryżu zmieszanej z popiołem. Wykonywał pracę dorosłego, choć był jeszcze chłopcem. Nie mogłam znieść tego, że się tak rozkleił. Przykucnęłam.

- To nie twoja wina - powiedziałam, głaszcząc go po głowie.

Ale tysiąc głosów syczało mu w niej oskarżycielsko: "To przez Lakszmanę! To przez Lakszmanę! To przez niego za brały ją te japońskie psy!". Próbowałam go przytulić, lecz nawet nie zauważył, że kucnęłam przy nim i po twarzy płyną mi łzy. Nie czuł mojego dotyku. Wbił pięści w twarz tak mocno, że przypominała tragiczną maskę, i wył, jednak natrętne głosy: "To przez Lakszmanę! To przez Lakszmanę!" - nie milkły.

Czułam przerażone spojrzenia reszty moich stojących w drzwiach dzieci, pograżonych w zrozumiałym smutku i żalu, ale nie przygwożdżonych straszliwym poczuciem winy tak jak on. Mimo że kochał Mohini najbardziej z nas, to właśnie on odpowiadał za jej hańbę. Gdyby nie był taki niezdarny. Gdyby zerwał się zaraz po upadku. Gdyby...

Kto ją teraz poślubi? Nikt! Nieodwoalnie skalaną. Zepsutą. Zapłodnioną. Zaczną plotkować i szydzić z naszej dumy i radości. Tak czule pielęgnowany przez nas kwiat zginie. Oczy, przemywane roztworem herbaty dla wydobycia z nich blasku, zgasną na zawsze. Czy po to Mohini spędziła trzy ostatnie lata uwięziona we własnym domu? Udręczone sumienie Lakszmany utrwaliło w nim obraz siostry w chwili, gdy w popłochu przesądziła o swoim losie. Wiedział, że zawinił.

- Zwróć ją- powiedziałam łagodnie z tak bliska, że czułam jego kwaśny oddech. - Ona żyje.

Zwróć ją.

Nagle zamilkł. Oderwał pięści od policzków i po raz pierwszy spojrzął na mnie. To, co zobaczyłam wtedy w jego błyszczących oczach, prześladowało mnie do dziś. A zobaczyłam siebie - szerniałą, smaganą wiatrami, pustą. Mohini odeszła i zabrała z sobą drzewa owocowe, kwiaty, ptaki, motyle, tęczę, strumienie... Bez niej wiatr wył wśród nagich kikutow drzew. Razem z nią porwali też część jego. Lepszą część. O wiele lepszą. Stał się obcym w moim domu, w jego pustych oczach czaiły się dorosłość i okrucieństwo. W istocie zobaczyłam w nich to, co on w moich. Złego węża o strasznej mocy, który pcha nas do czynów niewyobrażalnych. Gdy usłyszysz, co zrobiłam, stracę w twoich oczach, ale nie byłam w stanie mu się przeciwstawić.

Przez następne trzy dni mój mąż tkwił przy radiu, licząc, że czegoś się dowie. Przyniósł fotel w pokoju bliżej okna, by widzieć drogę. Przez te trzy dni nic nie jadłam. W otępieniu patrzyłam na kolejne talerze kremowej, mdło połyskującej, gotowanej tapioki. Lakszmana budził się wcześniej niż zwykle, robił, co do niego należało, a potem siadał na schodach i z ramionami napiętymi z wyczekiwania wpatrywał się w główną drogę. Nie odzywał się do nikogo i nikt nie ośmielał się go za gadnąć. Przed dziećmi patrzącymi na mnie z przestraczeniem udawałam, że jestem zajęta. Dopiero kiedy w moje życie wbiegało dziecię nocy ze stopami czarnymi od grzechów dnia, zamykałam drzwi kuchni i z mojej ławy wpatrywałam się bez radnie w granatową malajską noc.

Nie chciałam myśleć o losie córki. Nie dopuszczałam do siebie mrocznych jak zaćmione słońce myśli o żylastych łapach, zalatujących metaliczną wonią karabinów, żarłocznych gębach, zachłannych językach. I o bijącym od nich smrodzie. Boże, jakże starałam się nie myśleć o bydlaku, który nasikał do pochwy Mui Tsai. Siedziałam więc, słuchając dźwięków nocy świerszczy, bzyczenia moskitów, głosów małych dzikich zwierząt, szelestu liści na wietrze. Nasłuchiwałam mojej Mohini.

Trzeciego dnia po południu Japończycy zwrócili A Moi. Była posiniaczona, krwawiła, ledwo mogła chodzić, ale żyła. Ukryta w cieniu, metr od okna patrzyłam, jak na widok słońca się, podtrzymywanej przez dwóch żołnierzy córki oszalała ze zgrzyoty matka wybiega z krzykiem z domu. Porzucili dziewczynę u jej stóp i odjechali. Rodzina wprowadziła A Moi do środka. Przeraziłam się. A gdzie Mohini? Dlaczego jej nie oddali? Powinnam wybiec z domu i zażądać wyjaśnień.

Może zwróć ją jutro, pomyślałam bez przekonania.

Tej nocy w kuchni, choć starałam się nie zasnąć, zmogła mnie dziwna ospałość. Dręczyły mnie niezwykle sny i wiele razy budziłam się zgrzana i spragniona. Nie mogąc znaleźć sobie miejsca i mamrocząc, z nerwowo rozbieganymi oczami za częłam niespokojnie snuć się po pokojach. Otworzyłam okno i wyjrzałam w noc. Wszystko wyglądało i brzmiało normalnie. W

krzakach cykały świerszcze, z domu zaklinacza węży do biegały smutne tony fletu, brzęczały moskity. Zamknęłam okno i poszłam sprawdzić, co u dzieci. Wydały mi się obce. Było za gorąco.

Kaskady ściekającej po moim ciele, spadającej z hałasem na cementową podłogę zimnej wody zatopiły łazienkę, karłowatymi falami przelały się przez niski próg i potoczyły korytarzem.

Stałam w zalanym holu i, poczuwszy się nieco lepiej, postanowiłam zaparzyć sobie - i mężowi, gdyby nie spał - mocnej herbaty. W mokrym sarongu, podciągniętym do pach i zawiązanym nad piersiami, weszłam do sypialni.

Aja siedział na posłaniu, z głową w dłoniach. Na dźwięk moich kroków podniósł oczy. Na łóżku leżała malutka zielona sukienka. Podeszłam i dotknęłam jedwabnego materiału. Był chłodny.

Już zapomniałam, że uszyłam tę sukieneczkę, po święcąc jedno z moich dobrych sari. Ale to się zdarzyło w innym życiu, podczas Dipawali, święta świateł, kiedy ubierałam Mohini pod kolor jej oczu. Zapamiętałam lampki wokół naszego domu i ją w tej sukience. Boże, była taka malutka. Nawet kapłan w świątyni delikatnie uszczypnął ją z zachwytem w policzek. Spojrzałam na zgarbionego, przybitego, otepiałego mężczyznę na łóżku.

- Skąd ją wyciągnąłeś? - spytałam oskarżycielsko.

Wiedziałałam o każdej najmniejszej rzeczy w moim domu. Wiedziałałam, gdzie co leży, a jednak przez tyle lat starannie ukrywał sukieneczkę.

- Trzymałem ją dla jej córki - wyszeptał.

Gdzieś w środku mnie kryła się ogromna pustka, której nie mogłam przyjąć do wiadomości.

Szczęłabym, gdybym się do niej przyznała. W milczeniu wyjęłam z szafy kilka ubrań i wyszłam.

Lepsze samopoczucie po energicznej kąpieli przysło. Aja rozpostarł przede mną swój ból niczym wielki wachlarz. Groteskowy wachlarz z dysonansowych plam czerwieni i groźnej czerni. Powinnam go pocieszyć, ale pocieszanie nie leżało w mojej naturze, więc zamiast tego zaczęłam mu za zdrościć. Uznałam, że jego miłość do Mohini jest czystsza, lepsza od mojej.

Zaparzyłam herbaty i usiadłam, wpatrując się w nią, dopóki nie ostygła. Miałam ochotę wybiec z domu, wpaść do japońskiego garnizonu i zażądać uwolnienia córki, lecz mogłam tylko siedzieć niczym bezsilna stara kobieta, która wspomina przeszłość. Siedziałam więc, wspominając, jak zabrałam dzieci do chińskiej świątyni w dniu urodzin Kuan-in. Tam, wśród papierowych koni naturalnej wielkości, dużego posągu bogini miłosierdzia w zwyczajowej fałdzistej szacie i lśniących brązowych um, wypełnionych grubymi czerwonymi chińskimi laseczkami kadzidła, spaliliśmy nasze cienkie zielone trociczki, stosiki kolorowego papieru i

chorągiewki symbolizujące dobrobyt i pomyślność. Pamiętałam, jakby to było wczoraj, rząddek czarnych główek moich zaciekawionych, wyciszonych pociech, trzymających w pulchnych łapkach chorągiewki z własnymi, wypisanymi po chińsku imionami. Patrzyłam, jak z powagą palą je w falistym cynkowym pojemniku. Nad nimi huśtały się i kiwały w porannym wietrzyku duże czerwone lampiony. A potem wypuściliśmy z klatek ptaszki, które kapłanka w bieli oznaczyła czerwonymi kropeczkami, aby nikt nie ważył się ich schwytać i zjeść. Stałam tam i modliłam się za swoje dzieci, a one z najwyższym zachwytem przyglądały się fruważącym małym wyzwoleńcom. Chroń je, broń je i błogosław im, droga bogini Kuan-in, prosiłam. Odchodząc, jeszcze raz spojrzałam w jej spokojną, błogą twarz i pomyślałam, że nie usłyszała moich prośb.

Z ciemności doszły mnie odgłosy braci A Moi, polujących na karaluchy. Co noc ze świecami w ręku przeczesywali okoliczne rowy i ścieki w poszukiwaniu karaluchów. Zbierali je do butelek, by rano nakarmić nimi kury. Ich przyciszone szepty oderwały mnie od wspomnień.

- Ło, ale wielki czort!

- Gdzie? Gdzie?

- Przy twojej nodze, trupia głowo. Szybko, złap go, zanim zwieje do dziury.

- Dużo ich masz?

- Dziewięć. A ty?

Ich głosy i chlupotanie kłapek w ścieku ucichły. Próbowałam oburzyć się na nich, że babrają się w nieczystościach, gołymi rękami łapiąc te wstrętne stworzenia, ale za japońskiej okupacji tak się żyło. Brakowało ziarna, a na diecie z soczystych karaluchów kurczaki szybciej rosły.

Znów zrobiło mi się gorąco. Ochlapałam twarz lodowato zimną wodą i podgrzałam wystygłą herbatę. Jakiś czas potem zasnęłam na ławie. Kiedy się nagle obudziłam, paliła się lampa, a kuchenny zegar wskazywał trzecią. Przede wszystkim pamiętam uczucie spokoju. Pulsowanie w głowie ustało. Od tylu lat żyłam z nim bezustannie dzień i noc i gdy raptem znikło bez śladu, poczułam się dziwnie. Niepomnie zdumiona, przyłożyłam palce do skroni. Kiedy siedziałam, dziwując się temu, co wszyscy uważają za normalne, do kuchni wszedł mój mąż, zgarbiony, jak człowiek przygnieciony nieszczęściem. Białka jego wilgotnych oczu załśniły w ciemności.

- Umarła. W końcu umarła. Już jej nie skrzywdzą - rzekł złamanym głosem.

Co za łagodny, delikatny człowiek. Nie zazdrościł Mohini nawet białego spokoju, który z pewnością czekał jej niewinną duszę. Z jego żółwich oczu w oprawie skórzastych powiek wyzierał smutek. Odwrócił się cicho i wyszedł. Gdy patrzyłam na jego plecy, pulsujący ból w głowie zaatakował mnie bezlitośnie ze zdwojoną siłą.

Zrozumiałam. Mohini wróciła do domu. Obudziła mnie i przemówiła do ojca. Może rozmawiali w" sobie znanym na rzeczu. Przyszła się pożegnać. Już nie musiałam na nią czekać.

Wiedziałam, co się stało. I to zapewne już od chwili, kiedy te dranie zwróciły rodzinie A Moi. To dlatego nie pobiegłam spytać o los córki. Wiedziałam, że ją straciłam. Poczułam, jak pręży się we mnie i syczy wielki czarny i potwornie mściwy wąż, o którym ci wspomniałam.

Odwiedziła mnie pani Metha ze Związku Cejlończyków, usiadła i złożyła kondolencje.

Dłuższy czas milczałam, wpatrując się w jej brzydkie usta i matowy kolczyk, sterczący z prawej strony haczykowatego nosa.

- Tylko dobrzy umierają młodo - oświadczyła pobożnym tonem, a ja poczułam nagle ogromną chęć, by ją spoliczkować.

W swojej wyobraźni tak mocno uderzyłam ją w twarz, że aż jej głowa obróciła się na kościstej szyi o sto osiemdziesiąt stopni, w impuls był zbyt silny... musiałam wstać. Zapropnowałam gościowi herbatę.

- Nie, nie, proszę się nie trudzić - powiedziała szybko, z niepokojem w oczach, ale już pokazałam jej plecy.

Pomyślałam, że nienawidzę pani Methy. Że poznałam się na niej. Że jest zawistną wroną, przed którą ostrzegała mnie matka, spijającą łzy bliźnich, aby zachować czerń i połysk piór.

Ptaszyskiem, które siada na najwyższym drzewie, żeby pierwsze mogło ujrzyć pogrzeb.

W kuchni zaparzyłam herbatę, osłodziłam resztką cennego cukru, łyżeczką sprawdziłam smak i uznałam, że herbata jest doskonała. Wiedziałam, że wrona wypije ją do ostatniej kropli.

Postawiłam kubek na ławie, wróciłam myślami do zielonej sukieneczki na naszym łóżku i pozwoliłam sobie na luksus słabości. Do oczu w jednej chwili napłynęły mi cierpliwie czekające na swą kolej, boleśnie piekące łzy i stoczyły się po po liczkach, z pluskiem wpadając do kubka. Wiedz, że wronie nie wolno wypić łez zrozpaczonej matki, bo łzy matki są święte i zakazane. Wronom najpierw matowieją od nich pióra, a potem z wolna wyniszcza je nieuleczalna choroba. Miałam słuszność co do herbaty - pani Metha wypila napój do ostatniej kropelki - ale pomyliłam się co do niej, źle ją oceniłam. Pani Metha nie była wroną, przed którą ostrzegała mnie matka, bo potem wiele razy wracała, oferując pomoc. Niedawno umarła, a kiedy, brzydka jak zawsze, leżała na łożu śmierci, zdjęła mnie skrucha. Pochyliłam się nad nią i szeptem wyznałam swój grzech. Ciało pani Methy lekko zadrżało, ale gdy spojrzałam w jej oczy, zobaczyłam uśmiech. Umarła bez słowa.

Liczyłam, że nie będę miała na sumieniu A Moi, lecz stało się inaczej, bo nim minął tydzień, zgarbiony ojciec dziewczyny wywiózł na wozie jej zwłoki zawinięte w plecionkę z liści palmy kokosowej. Stałam za firanką i przyglądałam się temu niczym skryta w ostępach dżungli czarna kobra, patrząca, jak po złożeniu martwego syna przed świątynią boga Siwy matka z

rozpaczy bije głową w kamienne kolumny. Biedna A Moi powiesiła się w swoim domu na belce. Umarła ze wstydu.

Stary Sung pochował ją niedaleko w nieoznakowanym grobie. Po tym dziwnym, skromnym pogrzebie Aja poszedł złożyć kondolencje, ale ja nie mogłam spojrzeć w twarz Pierwszej Żonie. Nawet do naszego domu dochodziło jej mrozące krew w żyłach żalosne wycie, wysokie i przeraźliwe jak wycie śmiertelnie cierpiącego psa.

Ja również straciłam córkę. Byłam pewna, że ona w tej sytuacji postąpiłaby tak samo. Matczyna miłość nie zna praw, ograniczeń i nie kłania się nikomu oprócz siebie. Jest gotowa na wszystko. W tamtym czasie nie myślałam, że zrobiłam coś złego. Odmówiłam sobie opłakiwania Mohini. Wolałam uwierzyć, że najbardziej żałuję, iż to nie ja zachowałam tę zieloną sukieneczkę.

A przecież powinnam ją zachować. Co jakiś czas szukałam jej, jakby była tajemnym kluczem do wszystkiego. I chociaż nie mogę znaleźć, to wiem, że Aja przechowuje ją, gdyż wierzy w powrót Mohini. Ukrywa sukieneczkę gdzieś, w sobie wiadomym miejscu, przed moimi wścibskimi oczami, zazdrośnym sercem i nieczystymi myślami.

CZEŚĆ DRUGA

Zapach jaśminu .

Lalita

Historię naszej rodziny można podzielić na dwie odrębne epoki: przed i po śmierci Mohini, ponieważ wraz z jej śmiercią mama, tata i Lakszmana zmienili się nie do poznania. Również fizycznie. Do głowy by mi nie przyszło, że można odmienić się tak krańcowo w ciągu zaledwie kilku godzin. Sądziłam, że ludzi cechuje stałość... a jednak oni się zmienili. Cała moja rodzina uległa metamorfozie w jedno gorące popołudnie.

Najdziwniejsze, że nie pamiętam tego brzemiennego w skutki dnia. Na dobrą sprawę nie pamiętam Mohini. Może mam nieszczęsnej za złe, że swoim odejściem zburzyła nasze dotychczasowe życie? Wiem, to niesprawiedliwe. Uprawdzono ją z domu pod lufą karabinu, a jednak coś każe mi ją winić, że nie była zwyczajna jak inni. Tak, jestem niesprawiedliwa. Przecież nie wybierała sobie urody.

Moim wspomnieniom towarzyszy zapach jaśminu. Zapach jaśminu na dłoni matki. Dziwisz się? Zaraz ci to wyjaśnię. Mohini umarła pod koniec wojny. Podczas japońskiej okupacji matka trzymała krowy. Zrywała się o czwartej rano, żeby je wydoić, i kiedy przychodziła nas budzić, bił od niej zdrowy zapach krowiego mleka. Zaraz po przepędzeniu Japończyków wszystkie sprzedała.

Nie wstawiała już o czwartej, tylko później, ale przed obudzeniem nas składała na domowym ołtarzyku tackę z kwiatami jaśminu. Dlatego we wspomnieniu z dzieciństwa odejście od nas Mohini kojarzy mi się z ich wonią na palcach matki. Nienawidzę zapachu jaśminu! Cuchnie śmiercią.

Gdy usilnie próbuję przywołać obraz siostry, to na myśl przychodzi mi jej jedyne zachowane, bezcenne zdjęcie. Mama wiele lat przechowywała je w jedwabnej torebce, aż wreszcie Sevenese zaniósł fotografię do warsztatu starego Czin Teka w Dżalan Gambut i kazał ją oprawić w drewniane czarno-złote ramki. Zawisła na ścianie w dużym pokoju w miejsce najlepszego haftu Anny - pawia skaczącego na zielonym tle z liści kwitnącej pomarańczy. Zrobiono ją tuż przed wojną i widnieje na niej cała nasza rodzina w odświętnych strojach, chociaż nie przypominam sobie wyprawy do zakładu fotograficznego ani samego pozowania do zdjęcia. Biało-czarnego dowodu mojej dziurawej, zawodnej pamięci.

Mama ma na szyi gruby złoty łańcuszek thali, w którym brała ślub, i słynny rubinowy wisior, który sprzedała na początku japońskiej okupacji. Siedzi i śmiało, bez uśmiechu, wpatruje się w obiektyw. Z jej twarzy wyziera duma. Nie jest oszałamiającą piękną, lecz wie, że los się do niej uśmiechnął. Zwalisty, wysoki ojciec stoi w nieskazitelnie wyprasowanej koszuli z krótkimi rękawami. Lekko zgarbiony, uśmiecha się nieśmiało, ale, jak się wydaje, nie patrzy prosto

w aparat. Lakszmana wysuwa podbródek i nadyma pierś niczym rudzik. W spojrzeniu ma tę samą śmiałość co mama. Wie, że jest przeznaczony do wielkich rzeczy. Anna, która nie opisane czarująco złożyła przed sobą pulchne ręce, ma na nogach ulubione czerwone buciki. Przypominam je sobie. Z boku zapinały się na lśniące sprzączki.

Mohini pracowicie zakręciła Dżejanowi loki, ale mój brat ma wąskie ramiona, a w ciemnych zgaszonych oczach już widać przegraną. Uśmiechnięty od ucha do ucha Sevenese wetknął ręce głęboko w kieszenie workowatych portek po starszym bracie. Oczy błyszczą mu zawadiacko. Wygląda jak mały ulicznik, przebrany na tę okazję, by przypominał inne dzieci mamy. A potem widzę siebie. Siedzę oszołomiona na kolanach matki, patrząc małymi zaspanymi oczami. Szukam na zdjęciu śladu rzęs, lecz nie znajduję. A kiedy spoglądam na moje lekko rozdziawione usta, od razu staje się jasne, że w dzieciństwie też nie byłam ładna.

Oko szuka miejsca, gdzie mogłoby się zatrzymać, i przy ciąga je Mohini. Na dobre. Moja siostra nie patrzy na oglądających zdjęcie, tylko na Lakszmanę. Obróciła głowę, ale nawet z profilu widać, że jest piękna i niezwykła. Już przez fakt, że nie spoziera w obiektyw, uchwycona w ruchu staje się bardziej żywa, bardziej rzeczywista od pozostałych osób zamarych na fotografii. Czy to nie dziwne, że my wszyscy żyjemy, a ona jedna nie? Że żyje tylko na tym nieruchomym zdjęciu?

Nim codziennie rano zaczęła mnie budzić woń jaśminu, moim bohaterem był Lakszmana.

Od brytyjskich żołnierzy na uczył się mówić "Cześć, dzieciaku". I tak do mnie wołał. Po angielsku.

Wesoło. Był taki duży i rozrośnięty. W pamięci utrwaliłam sobie na zawsze jego obraz: młode, silne mięśnie grają mu w słońcu, gdy bez koszuli i na bosaka energicznie ubija kijanką pranie, rozpryskując dokoła jak jakiś wodny bóg skrzące się kropelki wody. Młody, żywiołowy, niezwykle przystojny, mający przed sobą wspaniałą, tęczową przyszłość, na podwórzu za domem trzepie na gładkim kamieniu brudną bieliznę. Wokół fruwają rozslonecznione krople, a ja siedzę na warzywnej grządce mamy i nie mogę oderwać oczu od tego mitycznego wodnego bożka, zapatrzona w mydlane bańki, które wyczarował. Zielone, czerwone, żółte, niebieskie...

Pamiętam go również przy ciężkich zamach. Każdego ranka mój brat mełł przyprawy przydające smaku naszym po siłkom, zamieniając garście wysuszonych roślin i ziół w usypane na srebrnej tacy niby prezent dla mamy kolorowe kopczyki chili, kminku, kozieradki, kolendry, kopru, kardamonu i kurkumy. Malutkie wilgotne kupki zielone, żółte, pomarańczowe, czerwone i w odcieniach ziemi.

Dlaczego zapamiętałam tylko tyle? Dlaczego nie pamiętam rzeczy, które pamiętają Anna i Sevenese?

Matkę to denerwuje, ale nic nie poradzę. Dla mnie przeszłość to nie wielkie wydarzenia, lecz zwykłe sprawy, na przykład powrót do domu ze szkoły i zastanie mamy w kuchni na ławie, wijącej girlandy z barwnych kwiatów, którymi przystrajała wizerunki naszych ołtarzowych bóstw.

Nie pamiętam nic szczególnego. Tylko to, co widziałam na co dzień. Kolorowe girlandy zwinięte na srebrnej tacy. Syjamskie owoce mango w kształcie S, które wkładała do worka z ryżem, żeby szybciej dojrzały. Rozkoszne godziny spędzone w zachwycie nad zawartością najbardziej intrygującego przedmiotu, jaki po znałam w dzieciństwie - skrzyni z solidnego czarnego drewna, z masywnymi brązowymi uchwytami. Sezamu wypełnionego skarbami mamy. Były tam jej bajecznie kolorowe jedwabne sari, które miały kiedyś przypaść mnie i siostrze. Gładziłam chłodne, śliskie materiały, próbując odgadnąć, które z nich do stanę w przyszłości. Wiedziałam, że zielone przeznaczone są dla Mohini. Zdaniem mamy najbardziej pasowały do jej cery. W skrzyni leżały również ważne dokumenty i związane rafią listy od babci. Po odejściu Japończyków trafiło do niej na właściwe miejsce także pudełko z biżuterią zdjęte z wierzchołka palmy kokosowej. Po otwarciu natychmiast roztoczyło swój czar. Rubiny, szafiry, nefryty skrzyły się i mrugały, jakby cieszyły się światłem dnia i prosiły się o dotyk ludzkiej ręki.

Zadziwiająco dobrze pamiętam rośliny, owady i zwierzęta. Prześliczne fioletowe liście, zatrzymujące na powierzchni niecące diamentowe blaski krople deszczu, i mrówki, które godzinami obserwowałam zauroczona, siedząc w słońcu. Cóż za zdumiewające stworzenia. Uwijające się nieustannie tam i z powrotem z ciężarami po wielekroć większymi od ich rozczulających korpusów.

A jeżeli tkwiłam wystarczająco długo bez ruchu, to czasem siadała na mnie ważka. W przezroczystych skrzydłach tych pięknych owadów zaklęta jest tęcza. Onieśmialają mnie ich oczy - wielkie, ciepłe, podobne do kryształowych kul wróżbitów, z zatopionymi głęboko w środku czarnymi kropkami. Obserwując ważki obżerające się moskitami i komarami, zastanawiałam się, jak one mnie widzą. Łaskotały dotykiem swych nóżek, a co najdziwniejsze, potrafiły odlecieć do tyłu. Czasem na moich dłoniach lądowały wielkie żuki z grubymi czarnymi skrzydłami i małymi krzywymi rogami, ale ze wszystkich owadów, które siadały mi na rozpostartych rękach i głupio na mnie łypały, najbardziej lubiłam koniki polne. Zaglądałam im w nieruchome mordki, dostrzegając w nich zadumę, a nawet lekki smutek. Niekiedy wspinały się po mnie zachwycające wiję z mnóstwem niepotrzebnych nóg albo na spódnicę spadała mi opita komarnica, zataczając się jak szalona na wietrze. Kiedyś zaczęłam obserwować nietoperza, który o zmierzchu wleciał w koronę mangowca. Zwisając łbem w dół z cienkiej gałęzi, chrupał całkiem łysą głowę jakiegoś pisklęcia.

Ale ze wszystkich zwierząt na świecie najbardziej lubiłam kurczaki spod naszego domu.

Przepadałam za tymi malutkimi, żółciutkimi, puszystymi pisklakami i byłam dumna, gdy wyrosły na kwękające, rozgdakane kury z oczami jak paciorki. Tylko ja byłam na tyle mała, żeby zgiąć się i wejść do ich siedziby pod domem. Panowały tam szarość, stęchlizna, ale też cudowny chłód, przesycony pierzastą wonią kur, spowitych odorem własnych, cuchnących amoniakiem odchodów.

Gdacząc, tłoczyły się wokół mnie, a ja nie mogłam zrobić kroku dalej z obawy, że rozgniotę je klapkami. Kiedy stawałam, na tychmiast mnie oblegały, trzepocząc skrzydłami, podskakując, a czasem pokrzykując niecierpliwie w nadziei, że rozsypię im karmę, którą w szalonym, zachłannym ferworze wydziobią z ziemi. Z niekończącą się przyjemnością obserwowałam, jak jedzą, a potem przetrząsałam ich kojce w poszukiwaniu jajek. Czasem zdarzały się jajka z dwoma żółtkami.

Mama nigdy nie pozwalała nam, córkom, jeść tych dziwolągów, ponieważ wierzono, że dziewczyna, która je takie jajka, może urodzić bliźniaki.

Musiałam natomiast uważać na koguta. Był to wspaniały ptak, choć, moim zdaniem, kompletnie sfiksowany. Przekrzywił łebek i jednym osobliwie jaskrawożółtym okiem śledził ruchy moich niebieściutkich pantofli. Czasem gonił za nimi i je atakował, wypędzając mnie spod domu bez wyraźnego powodu. Niekiedy siadałam na kamieniu przy palach pod domem i zadawałam sobie pytanie, co go tak bezprzerwy drażni. Mimo to go kochałam.

Kilka dni po śmierci Mohini mama osunęła się powoli na kolana Anny. Siedziały na kuchennej ławie. Bardzo mnie to zaskoczyło, bo dotąd nigdy nie szukała w nikim oparcia.

Siostra patrzyła wprost przed siebie, trzymając bezsilne pulchne dłonie na jej głowie.

- Ponieważ umarła, muszę pozbyć się spod domu tych śmierdzących kur - powiedziała mama bezbarwnym głosem.

Spojrzałam na nią przerażona, niestety, zgodnie z zapowiedzią kury zostały wyrżnięte co do jednej, siatka wokół pali, na których stał dom, usunięta, a ziemia oczyszczona z odchodów. Spod domu zniknęły szarość i stęchlizna. I wszystek cuchnący drób o lśniących piórach.

Ojca wspominam oczywiście jak najmilej. Siedziałam na werandzie i patrzyłam, jak je arbuza. Zjedzenie jednego kawałka zajmowało mu tyle czasu, że w końcu morzył mnie sen. Wymykające się z kącika ust pestki spadały mu bez głośnie na rękę. Ale to było wcześniej, kiedy jeszcze nie stracił ochoty do życia i, szurając nogami, nie błąkał się po pokojach, jakby coś zgubił.

W swoim czasie okazał się prawdziwym artystą. Wyrzeźbił przepiękne popiersie mamy, takiej, jaką z pewnością była, za nim ją poznał, zanim urodziła nas i zanim spadło na nią tyle klęsk.

Znakomicie oddał jej radosne, błyszczące inteligencją oczy i śmiały, beztroski uśmiech. Uchwycił to wszystko, za nim spętaliśmy ją wspólnie naszą głupotą, niezgulstwem i brakiem

talentów, które miała ona. To z naszej winy zmieniła się w niespokojną tygrysicę, dzień i noc przemierzającą klatkę i warczącą wściekle na swoich ciemżycieli – nas. Kiedy złupiono nam dom - byliśmy wtedy na weselu w Seremban - popiersie mamy przypadło wraz z całą resztą. Ale pewnego dnia żona zaklinacza węży wypatrzyła je na targu u mężczyzny z workiem, który chciał za niejednego ringgita. Kupiła więc rzeźbę i zwróciła mamie. Odzyskane popiersie pozostało w naszej gablotce do śmierci Mohini. Bo wówczas mama wyjęła arcydzieło taty z szafki i roztrzaskała je w drzazgi. Lecz to jej nie wystarczyło. Ułożyła ze szczątków rzeźby stos i podpaliła go na podwórku. Zachodziło słońce. Mama stała do nas tyłem, podparta pod boki i wpatrzona w czarny dym, który wzbijał się znad drewnianych drzazg. Po zamienieniu własnego popiersia w popiół wróciła do domu. Żadne z nas nie ośmieliło się spytać, dlaczego to zrobiła.

Kiedy byłam małą, co rano chodziłam z nią na targ. Dla zabicia nudy wymyśliła grę. Wcieliła się w Kunti, pradawną bajarkę z cejlońskiej wioski, a ja przeistoczyłam się w Mirabai, urodziwą dziewczynkę, mieszkającą w tajemniczym lesie wśród stada miłych jeleni.

- O, jesteś, droga Mirabai - mruzczała troskliwie, jakby rzeczywiście była strasznie stara.

A potem brała mnie za rękę i opowiadała najcudowniejsze historie o grających na muszlach trębaczach w turbanach. O Ramie, jego czarodziejskich łukach i o Sicie, płaczącej w środku zaklętego kręgu. Z zapartym tchem słuchałam przerażona, jak Sita, nie mogąc oprzeć się jeleniowi, wychodzi z kręgu prosto w ramiona złego demona Rawany, króla Lanki. A także o rosnącym bez końca ogonie małpiego boga Hanumana. I fantastycznych opowieści o świętym pięciogłowym posągu boga Ganeśi, znalezionym przez świątynnego kapłana w kurczącym się łożysku rzeki w wiosce mamy na Cejlonie.

Z opowiadanych przez nią historii najbardziej lubiłam te o naga babach nagich, posypanych popiołem ascetach, wędrujących po stokach Himalajów w nadziei, że napotkają pogrążonego w głębokiej medytacji boga Siwe. Opowieści o naga babach - ich niezwyklej mocy, straszliwych obrzędach inicjacyjnych, latach spędzonych w zimnych jaskiniach ze wzrokiem wbitym w skalne ściany i miesiącach przeżytych na ponurych skwarnych pustkowiach - nigdy mnie nie nużyły. Czasem nawet wydaje mi się, że z dzieciństwa najlepiej pamiętam właśnie historie mamy.

Popołudnia spędzałam, siedząc przy jej nogach, gdy na maszynie do szycia zamieniała sztuki materiału w nasze ubrania. Obserwowałam jej unoszące się i opadające stopy, które naciskały pedał. W rytm coraz szybciej obracających się kółek żarłoczny singer pochłaniał tkaniny jard za jardem. Kiedy podrosłam, opierałam podbródek na jego gładkiej metalowej powierzchni, martwiąc się, czy przypadkiem nie pożre mamie palców. Długo bałam się ostrych zębów maszyny, ale mama była widać o wiele za sprytna dla tego żarłoka.

Zapamiętałam również karmelową woń cukru topiącego się w sklarowanym maśle w naszym czarnym, dużym żelaznym rondlu. W tych starych dobrych czasach mama sadzała mnie na ławce, kładąc przy moich skrzyżowanych nogach kilka rodzynek, i przystępowała do robienia żółtego kasturi na podwieczorek. Najlepsze było to z dużymi rodzynekami i słodkimi orzeszkami sumaka. Lubiłam też patrzeć, jak mama przy rządu halawę, jak trzyma mocno za uszy czarny garnek i miesza miksturę, dopóki nie osiągnie ona przezroczystości kolorowego szkła i nie pojawi się olej. Potem rozsmarowywała po marańczową szklistą masę na tacy i ostrym nożem kroila ją na cząstki w kształcie kar, a zeszkrobane, jeszcze ciepłe okrawki z idealnych rombów dostawały się mnie. Do dziś, choć dawno dorosłam, zachowałam dziwne upodobanie do gorącej halawy i jej nierównych brzegów. Niczym wehikuł czasu przenosi mnie ona do szczęśliwych popołudni, spędzonych w kuchni z mamą. Ojciec był w pracy, reszta rodzeństwa w szkole. Chociaż nie, Mohini też była w domu. Oczywiście! Przecież ukrywała się w nim przez całą japońską okupację.

Odkąd stała się dla mnie mniej niż wspomnieniem, czasem wyobrażałam sobie, że widzę jej jasne stopy znikające za progiem. Wydawało mi się, że słyszę cichy dźwięk dzwoneczków na kostkach jej nóg, ale kiedy wypadałam zza rogu, siostry już tam nie było. Kiedyś ogromnie mnie dręczyło, że w ogóle jej nie pamiętam. Wysilałam pamięć, zmagalam się z nią. Czy Mohini myła mi włosy? Stawiała na stopniu przed kuchnią i w piątkowe popołudnia nacierała mnie całą oliwką? Czy podnosiła mnie w górę i łaskotała, aż płakałam ze śmiechu? Czy pomagała mieszać masę cukrową podczas przyrządzania halawy? Czy za plecami mamy ściągała rodzynek z misy i rzucała je do moich stóp? Ale przed oczami mam tylko mamę mieszającą drewnianą łyżką cukier ze sklarowanym masłem bawolim. Tak bardzo się starała, żeby wszystko wyszło jak należy.

Nie pamiętam nawet, czy Mohini stała z nami w rzędzie przed domowym ołtarzem. Widzę matkę, która modli się żarliwie, a spod jej zamkniętych powiek płyną łzy, i śpiewa drżącym głosem hymny pochwalne. Wierzyła, że zapalając lampkę oliwną, paląc kamforę, obowiązkowo modląc się co dziennie i wcierając nam w czoła popiół, ochroni nas od złego i nic się nam nie stanie. Słyszę też silny, pewny śpiew Lakszmany, dziecięcy głosik Anny i wysoki, piękny dyszkant Sevenesea, bardziej przypominający ranne trele ptaka niż głos małego chłopca. Pamiętam nawet niemelodyjne zawodzenie Dzejana, z którego wyśmiewał się najstarszy brat. Lecz nie pamiętam głosu Mohini, jakby jej tam nie było. A przecież była! Stała obok Lakszmany, mokre włosy zakrywały jej plecy.

Wypominają mi, że powinnam przynajmniej pamiętać, jak pomagałam jej robić marynaty.

Napychać solą kamienną pół setki limon i, ciasno upakowane w emaliowanym garnku, od stawiać na trzy dni pod ławę, aż zaczną przypominać rozkrojone serca. Po wyjęciu układało sieje na

dużych pierzastych liściach palmy betelowej i suszyło na słońcu, żeby stwardniały na żółtobrazowy kamień.

- Nie pamiętasz, jak siedzieliśmy wszyscy na progu kuchni i do bólu palców wyciskaliśmy sok z pięćdziesięciu świeżych limon do garnka z tymi brązowymi twardymi? - pytają z nie dowierzaniem.

- Nie pamiętasz, jak Ama dodawała do niego mieszanki z chili i kopru? I jak Mohini na naszych oczach przywiązywała szczelnie pokrywkę do tego garnka?

Gapiałam się na nich głupawo. Z początku, mocno przeżywając jej odejście, zdejmowałam ze ściany rodzinną fotografię i patrzyłam na siostrę, która unika mojego wzroku. Czyżbym wymazała ją z pamięci? Niemożliwe. Nie mam takiej mocy. To dlaczego inni ją pamiętają, a ja nie? Nie pamiętam w ogóle popołudnia, kiedy Japończycy zabrali ją z domu. Ani trzech następnych piekielnych dni, gdy nikt nie wiedział, czy Mohini umarła, czy żyje.

Może byłam za mała. A może ów zły sen, w którym zgarbiony ojciec, z twarzą wykrzywioną potwornym cierpieniem, wchodzi do zbudowanej dla krów obory z cynkowym dachem, wcale nie był snem? Może był on zbyt skomplikowany, żeby mogła go zapamiętać bezradna, wstrząśnięta, ukryta pod domem, bojąca się nawet oddychać dziewczynka z naręczem żółtych miękkich kurcząt?

Nawet jej małe zamarłe serduszko rozpoznało, że ojciec już się nie pozbiera, kiedy oparł czoło o krowę Rukumani i rozdierająco zapłakał. To ona powinna umrzeć, nie Mohini. Wiedziała bez słów, że nikomu na niej aż tak bardzo nie zależy. Po jej śmierci ojciec by tak nie rozpaczał. Patrząc w osłupieniu na jego nieopisane, niewyobrażalne, straszliwe cierpienie, po czuła się odrzucona i współwinna. W końcu stało się to przez nią. Niepotrzebnie zajęła miejsce w kryjówce Mohini. W milczeniu przyglądała się ojcu. Płakał tak głośno, że nawet krowy poruszały się niespokojnie, podzwaniając dzwonkami, a on mimo to szlochał jak dziecko.

Gdy umarła Mohini, miałam osiem lat.

Od jej śmierci ojciec zaczął godzinami przesiadywać w fotelu, wpatrując się w przestrzeń.

Z początku myślałam, że jeśli przyjdę do niego ze swoimi skaleczeniami, siniakami i zadrapaniami, to - jak zwykle - okropnym głosem zaśpiewa mi na pocieszenie, a ja się rozchichoczę i nasze cierpienia wymkną się po cichu tylnymi drzwiami. Zawsze bowiem żartował, że nawet najsilniejszy ból nie wytrzyma jego fałszowania. Lecz kiedy stawałam przy nim, pokazując, co sobie zrobiłam, w roztargnieniu gładził moje cienkie, kędzierzawe włosy, cały czas wpatrzony w przestrzeń. Może daleko na horyzoncie widział Mohini, która go wołała. A potem zrobił się za stary na śpiewanie i więcej mi nie zaśpiewał.

Mój brat Sevenese już jako mały chłopiec posiadał dziwną moc. W dniu śmierci Mohini zobaczył ją w nocy. Obudził go dźwięk dzwoneczków. Wyrwany ze smacznego snu, usiadł

na łóżku i wśród połyskujących w świetle księżycy luster i innych drobnych przedmiotów ujrzał widmo siostry tak materialne i rzeczywiste jak on sam. Wpatrzył się w nią, zaskoczony. Bardzo biała i bardzo piękna, była ubrana w to, w czym wyszła z domu. Poznał ją od razu i serce mu zabiło. Wszystko w niej było takie ciepłe, rzeczywiste i zwyczajne. Przyglądała się mu w milczeniu.

Na jej twarzy i ciele nie dostrzegł żadnych skaz. Nawet włosy miała lśniące i uczesane. Uśmiechnęła się łagodnie.

- Och, jak to dobrze! - zawołał radośnie z ulgą. - Nie zrobili ci krzywdy.

Podzwaniając cichutko, podeszła do łóżka, w którym spałyśmy ja i Anna. Delikatnie pogłaskała nas po głowach i po chyliła się, żeby nas pocałować. Nie obudziłyśmy się i nie poruszyłyśmy. Sevenese patrzył na nią z rosnącym zmieszaniem. Działo się coś dziwnego, niepojętego. Mohini przeszła na drugą stronę łóżka, z cichym westchnieniem ucałowała Dzejana, po czym przeniosła wzrok na Lakszmanę, tak wykończonego zgryzotą i czekaniem, że spał jak zabity. Z głęboko współczującą miną pochyliła się nad bratem bliźniakiem i delikatnie pocałowała go w policzek, zatrzymując na nim wargi, jakby trudno jej było odejść.

- Ma przed sobą takie ciężkie życie. Wątpię, czy cię po słuca, ale spróbuj go przez nie poprowadzić - szepnęła tajemniczo, patrząc w oszołomioną twarz Sevenesea. - Nasłuchuj pilnie mego głosu, mój mały strażniku, a może mnie usłyszysz - dodała, odwróciła się i odeszła, cichutko podzwaniając dzwoneczkami.

- Zaczekaj! - zawołał i wyciągnął rękę, ale się nie obejrzała, wstępując w mrok.

Po chwili, w korytarzu prowadzącym do kuchni, dzwoneczki umilkły. Sądząc, że wszystko to mu się przyśniło, Sevenese wstał z łóżka. W oświetlonej lampą kuchni zastał naszą przybitą, zgarbioną matkę. Wpatrywała się w noc i przynajmniej raz nie miała nic w rękach. Zwrócone spodami do góry, spoczywały bezradnie na jej kolanach. Już samo to zmieszało i zaniepokoiło mojego brata. Dlatego że ręce mamy były stale w ruchu - szyły, łątały, czyściły sardele, wyłuskiwały małe czarne owady z ryżu, pisały listy do babci, kruszyły strączki lub robiły coś innego.

- Czy Mohini wróciła do domu, mamó? - spytał.

- Tak - odparła smutno, z oczami utkwionymi w nocne niebo, a potem nagle odwróciła głowę i spojrzała na niego badawczo. Twarz miała zmiętą, oczy jak dwie czarne dziury. - A co, widziałeś ją?

Wbił w nią wzrok.

- Tak - przyznał, raptem przestraszony.

Cichy głos w głowie szeptał mu, że już nie musi się martwić o to, że Radza porwie mu siostrę. Ani też o to, że przez jego, Sevenesea, samolubstwo szczenięce zauroczenie Radży przerodziło się w obsesję. Japończycy rozwiązali ten problem za niego.

Tuż po zakończeniu okupacji zdarzyło się coś niezwykłego. Uciekający Japończycy pozostawili składy pełne skarbów i zrabowanego mienia. Podczas wojny nie mieli wolnych statków do przewiezienia najwartościowszych łupów do ojczyzny, a pokonani musieli opuścić nasz kraj z pustymi rękami. Żona zaklinacza węży przybiegła do nas z wiadomością, że włamano się do dużego magazynu przy targu.

- Szybko! - krzyknęła. - Cały skład jest zapchany towarami, kto żyw wynosi worki cukru, ryżu, co tylko się da.

- Leć - poleciała mama tacie. - Plądrują skład przy targu. Może coś zdobędziesz.

Kiedy ojciec zmieniał sarong na spodnie, kręciła się nerwowo, niecierpliwie mamrocząc pod nosem.

- Pośpiesz się! - zawołała za nim, gdy odjeżdżał na rowerze.

Popedałował najszybciej, jak mógł, ale do magazynu dotarł za późno. Nic już tam nie zostało. Po drodze minął procesję ludzi dźwigających duże paki i wypchane worki, lecz za rozwartymi na oścież wrotami był tylko kurz, masa śmieci i ogromna pustka. Dojechał na środek opróżnionego magazynu i rozejrzał się dokoła, po czym zawrócił, myśląc z przygnębieniem o wyciągniętych wyczekująco rękach i ostrym języku matki. Tuż przy wejściu dostrzegł wystające zza drzwi prostokątne pudełko. Najwyraźniej komuś wypadło z worka. Podniósł je, zaskoczony, że jest dosyć ciężkie. Prędko wskoczył na rower i pojechał do domu.

- To wszystko? - zawołała mama, z rozczarowaniem spoglądając na skromny łup.

Zaklinacz węży z synem mieli więcej szczęścia, bo wrócili do domu z wielką torbą cukru i workiem ryżu. Mama po trząsnęła pudełkiem i usłyszeliśmy głuchy stuk. Dobrze za pakowano to, co w nim było. Skrzyneczkę starannie zabito gwoździami, a to świadczyło, że kryła coś niezwykłego. Zgromadziliśmy się wokół mamy. Podważyła nożem wieko, zdjęła je, usunęła słomianą wyściółkę i natrafiła dłonią na chłodną gładź. Po chwili w jej rękach spoczęła nefrytowa lalka, tak misternie wyrzeźbiona, że mama aż westchnęła. Uniosła ją w górę. Półprzezroczysty kamień rozjarzył się pyszną ciemną zielenią. Figurka miała zaledwie sześć cali, bardzo długie, faliste, opadające do bioder włosy i spokojną twarz. Nikt z nas dotąd nie widział czegoś równie pięknego. Na małej złotej podstawce wyryto chińskie hieroglify. W domu zapadła cisza. Mama dziwnie zmieniła się na twarzy.

- Wygląda jak Mohini - odezwał się za głośno Sevenese.

- Właśnie - przyznała strasznym głosem.

Pomyślałam, że to ci potworni Japończycy, którzy zabrali naszą Mohini, zwracając nam w zamian małą zabawkę. Zanim mama odstawiła ją do gablotki, gdzie kiedyś stało jej popiersie wyrzeźbione przez tatę, pozwoliła nam dotknąć figurki. Dołączyła ona do mojej kolekcji wesołych fajczanych wyciorów z piórek i zbioru kawałków koralu, które Lakszmana po zbierał na

plaży. Dopiero po wielu latach dowiedziałam się, że chiński napis na podstawie informuje, iż jest to postać Kuan-in, bogini miłosierdzia, a figurka pochodzi sprzed ponad dwustu lat, z okresu dynastii Cing. Informacja ta nie miała dla mamy znaczenia, bo od początku wiedziała, kim jest ta postać i co to dla niej oznacza. Spowił ją opar przerażenia, ujrzała bowiem, jak znika ostatni rąbek nadziei.

Przed oczami stanął jej jak żywy przerażający chiński wróż i przypomniała sobie jego słowa, choć tak bardzo starała się je zapomnieć. "Strzeż się najstarszego syna. Jest twoim wrogiem z poprzedniego życia. Powrócił, żeby cię ukarać. Poznasz ból grzebania własnego dziecka i przyciągniesz do siebie starożytny przedmiot wielkiej wartości. Nie trzymaj go ani nie próbuj czerpać z niego zysku. Należy do świątyni". Ale gdyby oddała figurkę do świątyni, to przyznałaby się do wiary w obłąkane przepowiednie starego przekłętника. Owszem, straciła dziecko, tak jak tysiące innych matek. Była wojna. A wojna zabijała dzieci. Nie można, nie wolno było wierzyć temu wróżbiarzowi! Jej ukochany pierworodny syn miałby być jej wrogiem? Nie chciała w to uwierzyć nawet wówczas, gdy zielona nefrytowa figurka szepnęła do niej z bardzo bliska: "Strzeż się najstarszego syna". Pomyślała, że jeżeli wstawi ją w głąb gablotki, za korale i barwne wyciory z piór, to siłą woli uda jej się odwrócić przepowiednię. Ale się jej nie udało i najstarszy syn ją zniszczył.

Pamiętam, powiedziała kiedyś, że od śmierci Mohini Lakszmana zgrzyta przez sen zębami.

Nagle zaczęłam się go bać. Nie wiem, skąd się wziął ów strach, ale bałam się mojego brata. Nie bił mnie, nie krzywdził, nie widziałam też, by w złości wywalał dziury w ścianie czy robił inne rzeczy, z po wodu których gderwały mama i Anna. Uderzyło mnie natomiast, że nagle przestał pracować na kamieniu ubrania i rozsiewać dokoła skrzące się jak diamenty kropelki wody, a zmienił się w gniewnego asurę, jednego z okrutnych olbrzymów władających światem podziemi. Wyczuwałam, że najłżejsze, najdrobniejsze zadrapanie może doprowadzić do wybuchu wściekłego, niepohamowanego gniewu, tłącego się w nim tuż pod skórą. Przestał też, nie pamiętam kiedy, wołać do mnie po swojemu: "Cześć, dzieciaku".

Do szkoły poszłam dopiero po odejściu Japończyków. Uczyłam się średnio. Moją najlepszą przyjaciółką była Nalini. Zbliżyłyśmy się do siebie po tym, jak Chinki odmówiły siedzenia z nami w jednej ławce, twierdząc, że mamy ciemną skórę, bo jesteśmy brudne. Kiedy nauczyciele zmusili je, żeby z nami siedziały, poskarżyły się matkom, a te przyszły do szkoły z protestem. "Hinduski są zawszone" - oświadczyły kłamliwie. W rezultacie usiadłam z Nalini. Obie miałyśmy ciemną karnację i pospolitą urodę, lecz ja byłam od niej znaczniej bogatsza - miałam matkę.

Dla mnie mama jest wspianiałą kobietą. Bez niej żadne z nas by nie przeżyło. Przykro mi, że nie dałam jej powodu do dumy. Ileż się natrudziła, żeby nas ukształtować... Gdybym

potrafiła, chętnie zaspokoilibym jej ambicje. Jakże chciała bym znaleźć się na wymarzonej przez nią obrazie. Wyobrażam go sobie jako scenę z urodzinowego przyjęcia. Może z urodzin któregoś z dzieci Lakszmany. Zajeżdżamy drogimi samochodami na wspaniały podjazd przed jego domem.

Wszyscy, wraz z uśmiechniętymi mężami i żonami, jesteście pięknie ubrani, a nasze dzieci - gromada maluchów w ślicznych strojach - biegną radośnie w szeroko otwarte ramiona uszczęśliwionej babki. Potem mierzący sześć stóp i dwa cale Lakszmana pochyła się nad mamą i delikatnie całuje ją w policzek.

W tle jego żona uśmiecha się dobrotliwie. Stoi przy stole pełnym pięknie zapakowanych kolorowych upominków i za stawionym mnóstwem smakołyków. Czasem zadaję sobie pytanie, dlaczego Anna odrzuca ten obraz. Dlaczego tak starannie ukrywa niechęć do tego pragnienia mamy? Ja je uwielbiam. Ona zaś zachowuje się tak, jakby mama zniszczyła naszą rodzinę.

A to przecież nieprawda.

Żona Lakszmany nazywa mamę wielką brązową pajęczycą. Mówi, że nasz biedny ojciec z obawy przed pożarciem co miesiąc oddaje jej kopertę z wszystkimi pieniędzmi. Owszem, może mama i jest brązową pajęczycą. Przez całe życie przędła z niczego jedzenie, śliczne stroje, miłość, wykształcenie i dach nad głową dla naszej rodziny. Jestem córką pajęczycy. Ale dla mnie ona jest wyłącznie piękna. Całe życie starałam się ją uszczęśliwiać. Bo kiedy mama jest szczęśliwa, weseli się cały dom, ściany uśmiechają się szeroko, firanki trzepoczą z radości, niebiesciutkie powłoczki na poduszki śmieją się w słońcu, które wpada przez otwarte okna, a płomyki w kuchence tańczą z uciechy. Gdy na nią patrzę, to choć wiem, że jestem podobna do ojca, rozwija się we mnie niczym roślinny pęd pragnienie, aby być taką jak ona.

Dla mamy nie istnieją problemy nie do pokonania. A zabiera się do nich tak swobodnie i bez obaw, jak do składania chusteczek. Owszem, zdarza jej się ronić łzy, ale przecież zawsze można je otrzeć. Gdy odeszli Japończycy, ojciec miał pięćdziesiąt trzy lata. W domu pozostało siedem gąb do wyżywienia, w związku z czym mama i ja pojechałyśmy autobusem do biura pana Murugesu w szpitalu. W swoim jasnym, przestronnym gabinecie z białymi ścianami, dużymi oknami w niszach i biurkiem za słanym dokumentami przyjął nas, jakby witał ważnych gości.

- Proszę, proszę - rzekł serdecznie.

Od razu było widać, że to porządny człowiek. Okna jego gabinetu wychodziły na ładny plac z ogrodem pośrodku. Przez ogród biegł łączący dwa budynki, zadaszony chodnik. Przechadzali się tam lekarze i pielęgniarki. Na drzewach odpoczywały majny, a dwóch chłopców grało w kasztany.

Na zewnątrz był wesoły świat, ale tu, w gabinecie, mama płakała. Pan Murugesu skurczył się w fotelu. Mama otarła oczy dużą chustką taty, nie przestając namolnie prosić pana Murugesu, żeby przyjął jej męża do pracy.

- Niech pan spojrzy, jaka drobna jest moja najmłodsza - powiedziała błagalnie, zwracając twarz w moją stronę. - Jakże ja ich wszystkich wyżywię i odzieję?

Po kilku minutach tych biadoleń zmieszany pan Murugesu zerwał się z fotela jak oparzony.

- Proszę się nie martwić, proszę się nie martwić - zapewnił ochryple, poprawiając okulary i otwierając szufladę biurka. - Niech pani przyśle męża. Na pewno znajdziemy coś dla niego w dziale księgowości. O jego gaży pomówimy, kiedy przyjdzie.

Matka przestała płakać i rozplynęła się w podziękowaniach, zalewając zakłopotanego dobrodzieja wielkimi, ciepłymi falami wdzięczności.

- Cała przyjemność po mojej stronie - wybąkał pan Murugesu.

Z szuflady wyjął kwadratowe metalowe pudełko i je otworzył. W środku były hinduskie ciasteczka, polukrowane i kuszące. Poczęstował mnie nimi. Wybrałam laddu.

- Dziękuję - powiedziałam wstydliwie, ściskając w rączce duży, pyszny łakoć.

Nos drażniły mi zapachy cukru i kardamonu. Tymczasem pan Murugesu doszedł już do siebie i jego życzliwe oblicze zdobił radosny uśmiech.

- Nie jedz tutaj. Naśmiecisz panu - ostrzegła mnie mama tonem "nie rób mi wstydu przy obcych".

- Ależ nie, niech zje - zachęcił mnie pan Murugesu wysokim, uszczęśliwionym głosem.

Wgryzłam się w jaskrawą, żółtoczerwoną kulkę. Moją wyjściową" sukienkę natychmiast obsypały miękkie okruszki i stoczyły się na szarą wypolerowaną podłogę. Gdy ukradkiem zerknęłam na mamę, napotkałam jej zagniewany wzrok. Rzęsy jeszcze miała wilgotne, ale wszystkie łzy zdążyły już wsiąknąć w białą chustkę taty.

Wojna się skończyła i było się z czego cieszyć. Stary Sung kończył sześćdziesiąt lat. Jego Druga Żona postanowiła uczcić ten fakt szczególnie uroczyście, ponieważ wróżbiarz przepowiedział, że mogą to być ostatnie urodziny w życiu Sunga. Miały więc przybyć wszystkie jego żony i dzieci. Przez wiele dni kucharka nasączała, faszrowała, związywała, marynowała, piekła i zamykała w hermetycznych blaszankach najrozmaitsze przysmaki. Mui Tsai czyściła, pucowała, co się dało, prała i pomagała w kuchni. Cały dom udekorowano sztukami czerwonego materiału z wymalowanymi życzeniami jeszcze większej szczęśliwości i pomyślności.

Nawet Druga Żona spędzała dużo czasu w kuchni, smakując potrawy, doradzając i gderając.

Kucharka przyrządzała panu ulubione danie - psie mięso - w trzech odmianach.

Do pierwszej dosypała proszku z zęba tygrysa, zapewniającego niesłabnący wigor, do drugiej sproszkowanego rogu nosorożca na potencję, a do trzeciej aromatycznych korzeni na dobre zdrowie. Sprowadzono też specjalny długi makaron, żeby pan żył jak najdłużej. Lśniące od polewy pieczone prosię trzymało w ryjku dekoracyjną pomarańczę. Przygotowano nawet danie z brodatego dzika. Na otwarcie uczty zaplanowano dwie zupy - z płetw rekina i z ptasich gniazd.

Wreszcie wszystko było gotowe. Na tę okazję nawet Mui Tsai otrzymała nowy śliwkowy strój. W wyznaczonym dniu zaczęli się zjeżdżać goście. Napływali w dużych lśniących samochodach, a o ich zamożności świadczyła tusza. Pięknie ubrani, roześmiani wchodzili do domu starego Sunga. Tego ranka obok naszego domu przeszła Mui Tsai.

- Będą tu dziś moi synowie. Zobaczę ich wszystkich - szepnęła do mamy, która od bardzo dawna nie widziała takiego podniecenia w zrezygnowanych oczach przyjaciółki.

Było to wielkie wydarzenie, dlatego wszyscy sąsiedzi wylegli na werandy. Z naszej werandy widziałam, jak niecierpliwie wyczekująca synów Mui Tsai wpada i wypada z kuchni, sprawdzając, kto przyjechał. Wreszcie zjawiła się Pierwsza Żona. Jeszcze bardziej utyla, a jej pulchnych palców wskazujących trzymało się dwóch małych chłopców. Drugi i trzeci syn Mui Tsai. Ubrani w identyczne ognistoczerwone chińskie stroje z wyhaftowanymi rajskimi ptakami, stali dumnie wyprostowani, rozglądając się ciekawie. Porażona widokiem synków, Mui Tsai patrzyła na nich z drzwi kuchni. A potem przy była Druga Żona Sunga z dwoma innymi chłopcami. Ubrani w niebieskie jedwabie, popychali energicznie jeden drugiego.

Na dźwięk cymbałów rozpoczął się taniec lwa. Sześciu mężczyzn w kostiumie kolorowego lwa sadziło dumne taneczne susy przed oczarowanymi widzami.

Po posiłku dzieciom pozwolono się pobawić. Kiedy wszyscy ucztowali w środku, zobaczyłam, że Mui Tsai wymknęła się z domu, podeszła do bawiących się synków najbliżej, jak śmiała, znieruchomiła i patrzyła. Oni zaś biegali z kijami udającymi karabiny. Może byli w tym momencie zwycięskimi Brytyjczykami, bo gdy spostrzegli, że Mui Tsai im się przygląda, wymierzili w nią kije i, pokrzykując po chińsku, zaczęli bombardować "japońskiego wroga" garściami piasku i kamykami podniesionymi z podjazdu. Mui Tsai zmartwiała z przerażenia.

- Hej! - krzyknęła z naszej werandy mama i, wsunawszy nogi w sandały, pobiegła do domu starego Sunga. - Hej, przestańcie! - zawołała gniewnie, lecz jej głos utonął w ferworze ich okrutnej zabawy, zwycięskich okrzykach i wrzaskach.

W drzwiach pojawiła się Druga Żona Sunga i skarciła chłopców tak surowym głosem, że zawstydzeni zwiesili głowy. Mama zwolniła kroku. Chłopcy podbiegli do Drugiej Żony i na przeprosiny pocałowali ją w rękę. Coś im rzekła łagodniejszym tonem, a gdy pośpieszyli za

dom, gdzie czekały na nich słodkie ciastka nionia, specjalnie zamówione w Penangu, nie patrząc na skamieniałą Mui Tsai, wróciła do domu.

Mama cicho zawołała przyjaciółkę do płotu. Oszołomiona Mui Tsai podeszła do niej. Z małego rozcięcia na czole ciekła jej krew.

- W dzieciństwie rzucałam kamieniami w ciężarną sukę na targu. A czasem w żebraków, którzy nachodzili nasze domy. To jest moja kara - powiedziała.

- Och, Mui Tsai, tak mi przykro. Oni nic nie wiedzą- po cieszyła ją mama.

- I nigdy się nie dowiedzą. Moje dzieci. Ładnie wyglądają, prawda? Mają bystre oczy i kiedyś odziedziczą wszystko, co należy do mojego pana.

- Tak.

Biedaczka zawróciła zasmucona i tylnymi drzwiami weszła do domu. Mama widziała ją wtedy po raz ostatni. Nagle znikła, a w jej miejsce pojawiła się inna Mui Tsai, która wszystko robiła bez uśmiechu, nie zdradzając najmniejszej chęci do zaprzyjaźnienia się z sąsiadami. Przez jakiś czas nikt nie wiedział, co się stało z naszą Mui Tsai i gdzie jest. W końcu mama spytała o to kucharkę Sunga, a ta palcem nakreśliła na skroni kółko.

Aja

Zdarzyło się to tak dawno temu, że powrót do tych pełnych nadziei czasów jest dla mnie bardzo bolesny. Byłem młody i zdobycie żony fortelem, dzięki wiązance kłamstw, nie wydawało się niczym złym, ale chociaż drogo za to zapłaciłem, nie zmieniłbym ani jednej chwili życia z twoją babką.

Ani jednej. Nie pozwolono mi poznać narzeczonej aż do dnia wesela. Kiedy bębniarze przyspieszyli rytm, wiedziałem, że ona nadchodzi. Nie mogłem się doczekać, by ujrzeć jej twarz, a gdy wreszcie to się stało, nie mogłem uwierzyć swemu szczęściu. Miałem jedno utajone marzenie: zobaczyć lodową jaskinię. I oto ujrzałem przed sobą dziewczynę niewyobrażalnie, fantastycznie piękną. Dostała mi się perła, o jakiej nawet nie śniłem.

Jestem wielki i brzydki, dlatego gdy Lakszmi podniosła wzrok i nasze oczy się spotkały, jej pierwszą reakcją była zgroza. Chwilę rozglądała się bezradnie niczym mała, przerażona łania, która w nocy wpadła w sidła myśliwego.

Gdyby pozostała taka bezbronna, dbałbym o nią miłośnie i czule jak o pierwszą żonę, lecz po chwili zaszła w niej niebываła, cudowna przemiana. Wyprostowała się dumnie, a w jej oczach rozblęły śmiałość i dzikość, jakby raptem z nieśmiałej łani przemieniła się w wielką, piękną tygrysicę. Mój mały szary świat zniecka stanął na głowie, a osuwający się żołądek powoli

opadł na samo dno ciała. "Kim jesteś? " - wyszeptalo moje struchlałe serce. I natychmiast się w niej zakochałem. Tak głęboko, że wszystko się we mnie poruszyło.

Od początku wiedziałem, że nie będzie przybraną matką dla dwójki moich dzieci ani towarzyszką życia na stare lata, lecz kobietą, która zrobi ze mnie marionetkę. Jednym ruchem po budziła me zastygłe członki. Jak wybornie ożywiła je piękną śmiałą ręką! Myślałem, że tamtego dnia pochwyciłem księżyc, i dopiero po wielu latach zrozumiałem, iż dotknąłem tylko jego odbłasku w niebieskim plastikowym wiadrze. A sam księżyc jest poza moim zasięgiem. Zawsze był i pozostanie. Dowiódł tego w końcu czas.

Naszą noc poślubną wspominam jak najpiękniejszy sen. Parę skrzydeł. Nieoczekiwany bezcenny dar losu, który na zawsze odmienia żalosne życie. Nie poprzez szczęście jednak, tylko strach. Strach przed utratą tego daru. A ponadto wiedziałem, że mi się nie należał.

Te skrzydła zdobyłem dzięki oszustwu. W dodatku wkrótce miałem się rozstać ze złotym zegarkiem, powszechnie podziwianym, pięknym przedmiotem, świadczącym o pozycji właściciela.

Pożyczyłem go od znajomego, który odstąpił mi również samochód i szofera Bilala. W moim nieczystym sercu już pokochałem Lakszmi. Głęboko. Zrobiłbym dla niej wszystko, poszedłbym choćby w ogień. W duszy zadręczałem się myślą o dniu, w którym mną pogardzi. Ta stara jędza Pani zwiódła waszą prababkę bajdami o moim bogactwie. W takie bajki mogła uwierzyć tylko zacna kobieta, ale z drugiej strony, jakże ganić swatkę, skoro w sieć jej kłamstw złapał się tak rzadki motyl? Wmówiłem sobie głupio, że kiedyś zdołam go nakłonić, by mnie pokochał.

Że z czasem zmyję z siebie hańbę. Minęły lata i nie nauczył się mnie kochać, ale udawałem przed sobą, że temu wyjątkowemu motylowi w jakiś sposób na mnie zależy.

Była taka drobna... Jej biodra mieściły mi się w dłoniach. Moja panna młoda - dziecko.

Kochając się z nią, siłą rzeczy musiałem zadać jej ból. Tamtej ciemnej nocy - sądząc, że śpię - wymknęła się z domu, by się umyć w źródle sąsiada. Wróciła zapłakana. Przez wąskie szparki w rzęsach widziałem, że mi się przygląda. Na jej twarzy dostrzegłem dziecięce na dzieje i kobiece obawy. Z wolna, jakby wbrew samej sobie, ale pchana niewinną ciekawością, niepewnie musnęła dłonią moje czoło. Rękę miała chłodną i mokrą. Odwróciła się do mnie plecami i zasnęła szybko jak dziecko. Pamiętam trójkątny zarys jej pleców. We śnie unosiły się i opadały łagodnie, a ja podziwiałem jej skórę, gładką niczym najdelikatniejszy jedwab, i wspominałem opowieści snute przez staruszki z mojej kiedy byłem małym chłopcem. O samotnym starym człowieku na księżycu, który wchodzi do komnat pięknych kobiet i układa się przy nich do snu. Moja nowa żona była tamtej nocy taka piękna, a na jej uśpioną twarz kładł się miękko srebrny blask wpadający przez otwarte okna. W bladej poświacie stała się boginią. Piękną jak perła.

Moja pierwsza żona była najłagodniejszą istotą na świecie. Tak łagodną i czułego serca, że wróżbiarz przepowiedział jej, iż niedługo pożyje na tej ziemi. Uwielbiałem ją, lecz odkąd napotkałem wyzywający wzrok Lakszmi, wtedy na naszym ślubie, z miejsca zakochałem się w niej głęboko i żarliwie. W jej inteligentnych, ciemnych oczach płonął ogień przepalający mi wnętrze, ale te oczy widziały we mnie głupca, którym na dobrą sprawę jestem. Od dziecka byłem gapowaty. W domu nazywali mnie tępym mułem. Niczego bardziej nie pragnąłem niż ją chronić i obsypać wszelkimi bogactwami przyrzeczonymi jej matce, niestety, byłem jedynie urzędnikiem. Urzędnikiem bez żadnych perspektyw, oszczędności i majątku. Nawet pieniądze zarobione przed zawarciem pierwszego małżeństwa poszły na posagi moich sióstr.

Kiedy wróciliśmy na Malaje, twoja babka, myśląc, że śpię, nocami długo płakała. Budziłem się po północy i słyszałem, jak kwili w kuchni. Wiedziałem, że tęskni za matką. We dnie krzątała się przy grządkach warzywnych i domowych zajęciach, ale nocami wzbierała w niej samotność.

Którejś nocy nie wytrzymałem. Wstałem z łóżka i poszedłem do kuchni. Leżała na brzuchu po dziecięcemu, z czołem na skrzyżowanych przedramionach. Patrząc na jej łabędzią szyję, poczułem nagle pożądanie. Zapragnąłem wziąć ją w ramiona, poczuć na ciele dotyk jej miękkiej skóry. Podeszedłem i położyłem rękę na głowie Lakszmi. Zerwała się z sykiem przestachu i przycisnęła prawą rękę do serca.

- Przestraszyłeś mnie! - powiedziała oskarżycielsko.

Odchyliła się i patrzyła wyczekująco oczami lśniącymi od łez, lecz twarz zamknęła przede mną jak szufladę. Widząc jej nieustępliwą postawę i chłodną, napiętą minę, postąpiłem chwilę i wróciłem do łóżka. Nie chciała mojej miłości ani mnie. Byłem jej wstrętny.

Marząc o niej nocą, czasem jej dotykałem, ale nawet we śnie jęczała i odwracała się ode mnie. I znów utwierdzałem się w przekonaniu, że kocham ją na próżno i że ona nigdy mnie nie pokocha. Porzuciłem dla niej dzieci, a mimo to nawet teraz, po wszystkim, co się zdarzyło i co straciłem, wiem, że nie zmieniłbym niczego.

Najwspanialszym dniem w moim życiu był dzień narodzin Mohini. Kiedy ją zobaczyłem, w piersi poczułem ból, jakby ktoś włożył mi tam rękę i ścisnął serce. Wpatrywałem się w nią, nie wierząc własnym oczom. A na myśl przychodziło tylko jedno słowo.

- Nefretete wyszeptalem.

Nefretete nadchodzi piękna. Była tak doskonałą istotą, że do oczu napłynęły mi łzy szczęścia, bo nie mogłem uwierzyć, iż to właśnie ja stworzyłem to чудо. Spojrzałem na uśmiechniętą twarzyczkę, dotknąłem prostych czarnych włosów i wiedziałem, że będzie moja.

"Składam ci w darze... ludzkie serce... moje serce" – powiedziałem. Twoja babka dała maleństwu na imię Mohini, ale dla mnie to jest ona Nefretete. Tak zawsze o niej myślałem. Mohini

kojarzyła mi się z obrazkiem z sanskryckiej książki ojca. Z uwodzicielską wężową boginią o długich czarnych włosach i kosym spojrzeniu, która w patrzącym budziła zarówno rozkosz, jak i strach, w radosnym tańcu beztrąsko deptała męskie serca i z bezwstydną dumą syciła się własnym zepsuciem.

Nie, nie, moja Nefretete była najniewinniejszym z aniołów. Rozkwitającym kwiatem.

Miałem trzydzieści dziewięć lat i patrząc na swoje bezużyteczne życie - długie pasmo porażek i niepowodzeń - wiedziałem, że jeśli nawet nie zdam żadnego więcej egzaminu w biurze i niczego już nie osiągnę, to wszystko wynagrodzi mi ta niezwykła chwila, gdy położna podała mi moją Nefretete w powijakach ze starych sarongów pachnących mirrą.

Z biegiem lat coraz łatwiej znosiłem lekceważące spojrzenia młodszych kolegów, którzy zdawali egzaminy i przeskakiwali mnie w służbowej hierarchii. W pracy mijali mnie nie zmiennie z lekko pogardliwymi, współczującymi minami, a mimo to czułem się szczęśliwy. Na świat zaczęły przychodzić kolejne dzieci - każde wyjątkowe. Z wiatrem we włosach i z kisią bananów lub ćwiartką chlebowca na kierownicy co sił w nogach pedałowałem do domu, a kiedy wjeżdżałem w nasz zaułek, coś działo się w mojej duszy. Zwalniałem, żeby znów się przyjrzeć rodzinnemu gniazdu. W tym niewielkim, pospolitym domku miałem wszystko, czego pragnąłem od życia.

Niezwykłą kobietę i dzieci, których widok zapierał mi dech. Były owocami Lakszmi, ale ku mojej nieskończonej radości również mnie.

A potem znienacka przyszli tamci i mi ją zabrali. Zabili bez mrugnięcia okiem naszą córeczkę, którą tak czule hołubiliśmy tyle lat.

Głupie łyzy! Tyle czasu... Ta okropna noc, kiedy przyszła do mnie. Co za głupie łyzy, płyną i płyną. Jestem niczym stara kobieta. Zaczekaj, wyjmę chusteczkę. Jedną chwilę... stary dureń ze mnie.

Pamiętam, jak rozpalony gorączką siedziałem w sypialni przy zgaszonych światłach.

Po porwaniu córeczki dostałem ataku malarii. Do środka wpadało skąpe światło półksiężyca.

Noc była gorąca. Słyszałem, że Lakszmi się kąpie. Zacząłem się modlić, mój oddech parzył.

Nigdy tego nie robiłem. Oskarżałem modlących się, że czynią to z czystej chciwości.

"Zawsze modlimy się o więcej" - stwierdzałem z namaszczeniem. Dowodziłem, że nawet najbardziej świątobliwi proszą o oświecenie z samolubstwa, choć sam, prawdę mówiąc, byłem za leniwy, by podziękować za szczęście, które wpadło mi wprost do rąk.

"Bóg jest w sercu" - powtarzałem pryncypialnie. Uważałem się za dobrego człowieka i to mi wystarczało. Po przyjsciu na świat Mohini uznałem, że urodziłem się pod szczęśliwą gwiazdą,

ale tamtej nocy dręczyły mnie obawy i złe przeczucia. Uniosłem ręce i zwróciłem się do boga jak inni podli ludzie w potrzebie. "Pomóż mi, drogi boże - modliłem się. - Zmóc mi moją Nefretete".

W mojej głowie nie było spokoju. Wpychało się do niej milion kręcących się i wijących zjaw z groteskowymi uśmiechami i nienawistnymi spojrzeniami. Niekompletnych i niewyraźnych.

Zamknąłem oczy, żeby je odpędzić, i raptem, zapewne w majakach, ujrzałem córeczkę, uciekającą przez drzwi z uszkodzonym zamkiem.

Pomknęła bezgłośnie, bosy długim korytarzem, ale słyszałem jej astmatyczny oddech. Przebiegła, dysząc, obok wysokich okien z zamkniętymi okiennicami i skręciła w szeroki korytarz, zakończony zwodniczo uchylonymi drzwiami. Widziałem wszystko - jej wykrzywioną strachem twarz i nadzieję, z jaką się do nich rzuciła. A potem zobaczyłem strażników. Ależ się śmiali!

Prosto w jej pobladłą twarz! Zakpili z niej. Uknuli fortel.

Chwyliłem koc i się nim owinąłem. Było mi zimno. Strasz nie zimno.

Zobaczyłem, jak gruba mięsista łapa ściska Mohini za podbródek i nagle bestialski, czerwony jęzor zaczyna lizać jej oczy. Upadła na ziemię, rozpaczliwie próbując złapać oddech.

"Tato, tato!" - zawołała. Ale nie mogłem jej pomóc. Dygocząc na łóżku, widziałem, że sinieje.

Tamci próbowali wlać jej do gardła wodę. Zakrztusiła się i zadławiła. Cofnęli się zmieszani, bezradni i patrzyli, jak umiera. Ach, ten lód w moim sercu!

Ujrzałem ją w jakimś dole. Po chwili otworzyła oczy i spojrzała na mnie. Stała pośrodku dżungli ubrana w sari matki i czekała na ślub, ale niczym nieprzybrane włosy spadały jej na ramiona jak u wdowy w żałobie. Koszmar trwał.

- To gorączka. To tylko gorączka - szeptałem w mokrą po duszkę, gwałtownie szczękając zębami.

Ściskając głowę rękami, kołysałem się, żeby obrazy się rozmazały, rozproszyły i zastąpiła je miękka ciemność. Kołysałem się, kołysałem, aż wreszcie się rozmyły i zlały z sobą jak krew z krwią.

- Och, Nefretete - szepnąłem załamany. - To tylko malaria. Szok. To tylko szok.

Wariowałem z zimna. Złościła mnie własna bezradność. Nienawidziłem siebie. Moja córka była przerażona i samotna. Gdybym pozostał w domu zamiast siedzieć przed tym bankiem i popalać cygaro z sikhijskim strażnikiem...

Wina. Nie potrafię wyrazić, jak bardzo mi ciążyła tamtej nocy. Dlaczego, dlaczego akurat tego dnia wyszedłem z domu? Bezradnie waliłem głową w ścianę. Chciałem umrzeć.

Wiedziałem, że to sprawka pięknego, zepsutego dziecka śmierci, które ukazało mi się tamtej księżycowej nocy nad grobem w dżungli. Było złe, że nie chcę grać w jego grę.

- Weź mnie. Bierz natychmiast - przekonywałem mściwego malca. - Ale zwróć ją, zwróć ją, zwróć ją!

Śpiewałem mantry mgliście pamiętane z dzieciństwa. Gdybym pragnął wystarczająco mocno... Gdybym modlił się do statecznie żarliwie... Gdybym poszedł do świątyni, złożył śluby postu przez trzydzieści dni, ogolił głowę, a na Nowy Rok, w święto Thaipusam, nosił na niej kawadi, to czy Nefretete by wróciła?

Pogrążony w czarnej rozpaczy, dopiero po jakimś czasie zdałem sobie sprawę, że odzyskałem jasność myśli. Nie czułem dłużej zimna i straszliwy ból w sercu nagle zniknął.

Uniosłem głowę. Sypialnia wciąż tonęła w niebieskawej po świci, ale coś się zmieniło.

Zdezorientowany, rozejrzałem się wokół, czując, jak spływają na mnie opanowanie i spokój.

Wszystkie troski, strachy i drobne obawy pierzchły. To uczucie było tak piękne, że pomyślałem: umieram. I wtedy zrozumiałem. To była ona. Nareszcie wolna. Powiedziałem jej: bądź szczęśliwa.

Przyrzekłem kochać ją na wieki i obiecałem za opiekować się mamą.

A potem uczucie to znikło równie nagle, jak się pojawiło, i ból po jej stracie wrócił ze zdwojoną siłą. Ból oślepiający. Chwyciłem się za pierś i pokój zwałił się na moje lodowate ciało niczym wieko trumny.

Przedemną rozwinęło się moje nędzne, nudne i daremne życie. W piersi nie miałem już serca, tylko masę czerwonych strzępów. Jego czerwone wstążki fruwały we mnie i, wplątując się w inne narządy, bezradnie łopotały. Do tej pory tkwią mi pośród żeber, rozgniecione zalegają pomiędzy nerkami i wątrobą, a nawet oplatają wnętrzności. Łopoczą jak czerwone flagi klęski i cierpienia. Nefretete jest tylko snem.

Na początku takie samo dojmujące cierpienie dostrzegałem w oczach żony i najstarszego syna, ale wkrótce ich ból zmienił się w coś innego. Coś niezdrowego, niepojętego. Kiedy za glądałem w oczy Lakszmi, na ich dnie znajdowałem coś, co przypominało nienawiść. Zrobiła się rozdrażniona i okrutna, a w syna wstąpił zły duch. Gdy prosiła go, żeby pomógł Dżejanowi w matematyce, reagował wrogością. Zgrzytał zębami i morderczym wzrokiem świdrował brata, czekając, aż biedak się pomyli, a wtedy z przyjemnością uderzał go po głowie linijką albo tak mocno szczypał w ciemnobrązową skórę, że aż szarzała. Nie znał miary w złości. Kiedy się wściekał, widać było, że jednak walczy z sobą, by się powstrzymać.

Raz spróbowałem z nim pogadać. Wskazałem mu miejsce obok siebie, ale nie usiadł. Stał przede mną wysoki, silny, mocarny, pełen życia. Nie był moim lustrzanym odbiciem. Moi synowie nie wdali się we mnie. Jeżeli biedny Dżejan jest do mnie podobny, to na pewno nie z wyboru.

Mówiłem do Lakszmany jak to ja, za wolno, więc za długo. Spojrzał na mnie z góry, ponuro i pogardliwie. Nie odezwał ani słowem. Niczego nie wyjaśnił, za nic nie przeprosił. Niczego nie żałował.

- Synu - powiedziałem - ona umarła.

I wtedy nagle na jego twarzy pojawiło się takie zawstydzenie i ból, że przypominał ranne zwierzę w potrzasku. Otworzył usta, jakby chciał nabrać powietrza, a zamiast tego połknął przelatującego ducha. Ducha wściekłego i buntowniczego, który przerażająco go odmienił. Mój pierworodny był gotów uderzyć własnego ojca! Napiął ramiona, dłonie zacisnął w twarde kulaki, ale zanim siedząca w nim bestia mogła się na mnie rzucić, do pokoju wkroczyła Lakszmi i - po kolejnej zdumiewającej przemianie - niepoohamowana wściekłość uszła z niego przez otwarte usta.

Opuścił głowę, zgarbił się, a jego pięści rozwarły się bezwładnie jak dłonie nieboszczyka.

Bał się matki. Instynktownie uznawał jej władzę. Ten niepokromiony potwór miał pana. A tym panem była ona.

Przeszłość jest jak bezręki, beznogi kaleka z chytrymi oczami, mściwym językiem i pamięcią jak u słonia. Budzi mnie rano, szpetnie ze mnie pokpiwając. "Spójrz - syczy mi do ucha.

- Tylko spójrz, coś zrobił z moją przyszłością". A mimo to czekam z nadzieją za drzwiami, że moja córeczka wpadnie przez nie z okrzykiem: "Tatku, znalazłam zielony malachit".

Moje serce w strzępach robi to od dwudziestu trzech lat. Co wieczór, kiedy ona nie wbiega przez drzwi, zachód słońca przygasa, dom staje się trochę obcy, dzieci mniej serdeczne, a Lakszmi bardziej rozdrażniona. To przez wojnę. Tyle wszystkim zabrała. Nie tylko mnie.

Nie jestem bohaterem i powszechnie wiadomo, że nie jestem mądry. Nie ma we mnie nic interesującego. Całe dnie drzemię na werandzie, śniąc i gapiąc się nie wiadomo na co, ale, bóg świadkiem, nienawidzę Japończyków. Ich podłych żółtych mord i zimnych czarnych szparek, przez które patrzyli, gdy ona umierała. Na sam dźwięk ich mowy sztywnieję i mam chęć zabijać.

Jak bóg mógł stworzyć tak okrutną nację? Jak mógł dopuścić, by zabrali jedyny skarb, jaki miałem w życiu? Czasem nie mogę zasnąć, myśląc o torturach, którym pod dałbym te potwory. Rozwieszam ich, kawałek po kawałku, na drzewach, karmię igłami, rozpalam im pod stopami przyjemne małe ogniska, napawając się swądem pieczonych palców! Tak, te piekielne myśli nie dają mi spać. Rzucam się i przewracam w wielkim łóżku, a mój rzadki motyl szepcze z rozdrażnieniem: "Oto co zrobiła z nami wojna. Rozbudziła w nas apetyt na cudzą własność".

Lakszmi

W piątkowy wieczór Annę zmoczył deszcz i lekko się przeziębila. W sobotę położyłam ją do łóżka, natarłam piersi maścią tygrysią, dałam gorącej kawy z jajkiem i zawinęłam w koce, a mimo to w niedzielę miała już zaflegmione całe płuca. Przeraziłam się, słysząc w nich początki rżenia.

U Anny pojawiły się pierwsze oznaki choroby, która nie pozwoliła Mohini przeżyć brutalnego traktowania przez japońskie bestie, gdyż inaczej zwróciłyby nam ją, złamaną na ciele, tak jak zwróciły A Moi. Pobiegłam do domu starego Sunga.

- Czerwony szczur! - zawołałam bez tchu do kucharki. - Gdzie go zdobyć?

Czerwoną szczurzycę przywieziono w klatce. A ja nie chciałam jej widzieć na oczy.

Próbował odwieść mnie od tego pomysłu, ale już podjęłam decyzję.

- Anna połknie to zwierzę - ucięłam dyskusję, mierząc go kamiennym wzrokiem.

Córkę widok szczura przeraził.

- Ama, ja właściwie czuję się dziś znacznie lepiej - oznajmiła z promiennym uśmiechem.

- Tak? No to podejdź tu - powiedziałam chłodno. Przyłożyłam głowę do jej piersi i usłyszałam okropne rżenie. - Sevenese, utłucz no dla siostry trochę imbiru! - zawołałam.

Anna ze zwieszoną głową wróciła do sypialni. Dlaczego wszyscy zachowywali się wobec mnie tak, jakbym chciała ich skrzywdzić? Pragnęłam, żeby córka wyzdrowiała. Ogromnie żałowałam, że nie dałam nowo narodzonego szczura Mohini. Gdybym nie posłuchała paranoicznych argumentów męża, to może nadal by żyła. Szczurzyca miała urodzić lada chwila.

Szczurka należało połknąć kilka chwil po porodzie, tuż po usunięciu łożyska. Obserwowałam samiczkę bardzo uważnie. Drepcząc po klatce, często łypała na mnie mądrymi, błyszczącymi oczkami. Klatkę utrzymywałam w wielkiej czystości,

Wreszcie urodziła. Ale nim zdążyła polizać swój miot pełnym zarazków językiem, wyjęłam z klatki malutkie, nie większe od mojego paznokcia, czerwonoróżowe stworzonko, poruszające malusieńkimi łapkami. Szybko wytarłam je czystą ścierką. Anna przyglądała się mi ze spłoszoną, niedowierzającą miną. Potrząsając głową, zaczęła się przede mną cofać. W końcu zatrzymało ją łóżko.

- Nie mogę, ama. Proszę - wyszeptwała.

Zanurzyłam głowę malutkiego szczurka w miodzie.

- Otwórz usta! - rozkazałam.

- Nie, nie mogę.

- Lakszmana! Przynieś trzcinkę!

Trzcinka znalazła się natychmiast. Anna otworzyła usta. Zbladła, w-jej oczach lśniła groza.

- Ama, on się rusza! - krzyknęła nagle. - Przebiera nogami.

Szybko zamknęła usta.

- Otwórz! - rozkazałam. - Musisz go połknąć natychmiast.

Pokręciła głową i się rozplakała.

- Nie mogę - powiedziała, łkając. - On żyje,

- Dlaczego mam takie nieposłuszne dzieci? Wszyscy Chińczycy tak się leczą. O co ten cały krzyk? To wina waszego ojca. To on was tak wszystkich psuje. Jak chcesz. Daj tu trcinę, Lakszmana.

Lakszmana podszedł do nas. Kiedy podniósł prawą rękę, Anna z jękiem rozchyliła usta.

Chwyciłam ją za podbródek.

- Szerzej - poleciłam.

Otworzyła je odrobinę szerzej i włożyłam szurka do środka. Myślałam, że łatwiej pójdzie, jeśli opuszczę go jak najbliżej gardła, ale małe łapki zaczęły ją drapać w język i po chwili Anna zamknęła oczy, a ja poczułam w ręku bezwładny ciężar.

Zemdlała.

Gdy padała na poduszki, wciąż trzymałam szurka za ogon. Przyglądający się temu od drzwi mąż skoczył do mnie, wyrwał mi zwierzaka, podszedł do okna i wyrzucił go jak najdalej. A potem spojrzał na mnie z ogromnym smutkiem, wziął Annę na ręce i zaczął ją delikatnie wachlować podręcznikiem do ćwiczeń, który leżał przy łóżku.

- Zmieniłaś się w potwora, Lakszmi - powiedział cicho, kołysząc córkę w ramionach.

- Przynieście trochę ciepłej wody dla siostry zwrócił się nie wiadomo do kogo.

Lalita pobiegła do kuchni i przyniosła wody. Następnego dnia zwróciłam szurzycę, a Anna nabawiła się astmy.

Jesteś wstrząśnięta? Ale najgorsze przed tobą. Zobaczysz potwora, którego nie dostrzegłam w lustrze.

Kiedy pewnego popołudnia zaszedł do nas sprzedawca pieczywa, Lalita zapragnęła kokosowej bułki. W tamtych czasach kokosowa bułka kosztowała piętnaście senów. Otworzyłam portmonetkę i od razu spostrzegłam, że brakuje pieniędzy. Przeliczyłam je starannie, podsumowałam w myślach wszystkie poranne zakupy na targu i przeliczyłam pieniądze jeszcze raz.

Brakowało jednego ringgita. W banku miałam 39 346 ringgitów, 100 pod materacem, 50 w kopercie wraz z listami od matki, a w portmonetce 15 i 80 lub 90 senów. Jedno po drugim zapytałam dzieci, czy wzięły pieniążek. Wszystkie zaprzeczyły. Sprzedawca bułeczek odszedł. Postanowiłam, że dopóki nie rozwiłam tajemnicy zniknięcia ringgita, żadne nie dostanie jedzenia.

W domu nie było tylko Dzejana. Uznałam, że zrobił to on. No bo kto? Jak śmiał grzebać w mojej portmonetce! Myślał, że tego nie zauważę? Zagotowałam się w środku.

- To na pewno sprawka Dzejana - zawtórował moim myślom Lakszmana.

- A może się pomyliłaś, mamó? - spytała Anna.

- Akurat! - odparłam rozgniewana. Spojrzałam na zegar ścienny. Dochodziła trzecia po południu. - Przynieś mi herbaty.

Wyszłam na zewnątrz i usiadłam. Z werandy widziałam zegar. Wypiłam przyniesioną herbatę. Sprawdziłam godzinę. Minęło trzydzieści minut. Mój gniew wzrósł. Od jego straszego żaru obudził się we mnie potworny wąż. Rozjuszona, po prawiliam się w fotelu. Okradł mnie własny syn! Zasłużył, żeby dać mu lekcję, którą popamięta. Znowu spojrzałam na zegar. Była czwarta. Wstałam i niespokojnie zaczęłam krążyć po werandzie. Kątem oka obserwowałam dzieci, nerwowo wyprostowane na krzesłach. Gdy oparłam się o drewniany słup, zobaczyłam mojego drogiego Dzejana - śpieszył ścieżką, z winą wymalowaną na głupiej, kanciastej twarzy. Patrzyłam, jak zbliża się do domu. Zwolnił kroku tak, że powłóczył nogami. Czyż nie wiedział, że odwlekając nieuniknioną rozmowę, rozsierzdzi mnie jeszcze bardziej? Głupi ciołek! Każdy wie, że byka można czegoś nauczyć tylko rozpalonym żelazem. Musiałam go napiętnować.

- Gdzie byłeś? - spytałam śmiertelnie spokojnym tonem.

- W kinie.

Chwaliło mu się to, że nie skłamał.

- A skąd miałeś na bilet?

- Przy drodze znalazłem ringgita - odparł drżącym głosem, dygocząc ze strachu.

Jak to na mnie podziałało? Oślepiła mnie wściekłość. Wrzątek wylał się ze mnie i potwór zatriumfował. To jedyne wytłumaczenie. Słowa: "A skąd miałeś na bilet?" - były ostatnimi słowami, które wypowiedziałam jako ukochana matka. Potem górę wziął potwór, czyniący i mówiący rzeczy straszne, których ja nigdy bym nie zrobiła i nie przeszłyby mi przez usta. Stałam bez słowa i obserwowałam jego zimną furię. Chciał, żeby Dzejana cierpiał, błagał. Widziałam, jak bierze głęboki, kontrolowany oddech. Był niewiarygodnie spokojny.

- Lakszmana! - zawołał potwór surowo.

- Tak, ama - odpowiedział skwapliwie mój najstarszy syn.

- Weź brata, przywiąż go do pala za domem i bij, dopóki nie przyzna się nam, skąd wziął pieniądze na kino.

Lakszmana był dużym, silnym chłopakiem, więc w kilka chwil przywiązał mocno chuderlawego Dzejana. A potworny wąż obserwował z kuchennych drzwi, jak ściąga koszulę z młodszego brata. Mój najstarszy syn wykazał nadspodziewaną inicjatywę. Ciemna skóra zalśniła w

słońcu. Z daleka patrzyłam, jak Lakszmana biegnie po trzcinę, a potem smaga nią wychudłe plecy Dżejana. Aż wreszcie w przerwie między krzykami padło oczekiwane wyznanie:

- Wziąłem pieniądze z twojej portmonetki, ama. Przepraszam. Bardzo przepraszam.

Więcej tego nie zrobię.

Ale potwór je odrzucił. Uznał, że przyznanie się to za mało. Ze śmiertelnym spokojem podszedł do butelki z pomarańczowym kapslem, wytrząsnął na dłoń trochę drobnego, czerwonego proszku, wyszedł na dwór i stanął przed spazmującym Dżejanem, który z podniesioną, wykrzywioną bólem i strachem twarzą powtarzał błagalnie: "Bardzo przepraszam, ama. Bardzo przepraszam". Po policzkach ciekły mu strumyki łez.

Potwór wpatrzył się w niego obojętnie.

- Przrzekam, że więcej tego nie zrobię - wyjęczał Dżejan rozpaczliwie.

Rozsrożony potwór zajrzał w zbolące, przerażone oczy mojego synka i znowu się wściekł.

Pochylił się ku niemu i zniecka mocno dmuchnął na dłonie. W powietrze wzbila się chmura Chili podziałało natychmiast. Wrzasnął histerycznie, konwulsyjnie rzucając ciałem i palcami nadaremnie drapiąc powietrze.

Lakszmana patrzył na mnie osłupiały, lecz już po chwili zaczął ponownie smagać wijącego się z bólu brata. Wróciłam do domu i wyszłam na werandę. Dżejan wrzeszczał jak opętany.

- Ama!

Z werandy domu zaklinacza węży patrzyła na mnie jego chuda żona.

- Ama! - zawył Dżejan.

Na innych werandach nie było nikogo, ale firanki w oknach drgały.

Potwór usiadł. Wiał przyjemny wietrzyk.

- Ama, pomóż mi! - krzyknął Dżejan i nagle obudziłam się jak ze złego snu.

Potwór zniknął.

Obróciłam głowę i ujrzałam, że wpatruje się we mnie przerażona, zapłakana Anna. - Powiedz bratu, żeby przestał! - zawołałam.

Popędziła za dom, krzycząc:

- Przestań! Ama kazała, żebyś przestał! W tej chwili. Przestań go lać. Zabijesz go!

Lakszmana przyszedł do mnie, ociekając potem. Trzęsły mu się ręce, ale w oczach lśniło dzikie podniecenie. Na jego mokrym czole dostrzegłam ślady diablích kopyt.

- Wykap się - powiedziałam, unikając wzroku syna, za smucona jego pałającymi oczami.

Po zniknięciu potwora po czułam w sobie dziwną pustkę.

A potem spod stołu wyszła Lalita. Na jej dłoni spoczywał brakujący ringgit. To ja go upuściłam. Serce przeszył mi ból. Dżegan nie wziął pieniędzy. Poniosło mnie. Przesadziłam. Co ja najlepszego zrobiłam? Kto nauczył mnie takiego okrucieństwa?

Zobaczyłam, że Anna przemywa oczy bratu i odcina go od słupa. Osunął się na piasek bezwładnie jak szmaciana lalka. Wzięłam butelkę z olejem sezamowym i wyszłam na zewnątrz, żeby dać go córce.

- Wetrzyj mu trochę w plecy - poleciłam chropawym głosem.

Annie trzęsły się ręce. Spojrzałam na drżące ciało na ziemi. Spod zdartych pasków skóry na plecach wзираło żywe mięso. Ujęłam syna pod brodę i zajrzałam w jego mocno zapuchnięte, zaczerwienione oczy. Twarz miał mokrą i rozpaloną, a na białkach oczu wykwitły mu rozognione czerwone żyłki, ale nie ulegało wątpliwości, że dojdzie do siebie.

- Przepraszam - powiedziałam i w fioletowej czerni jego zwężonych źrenic dostrzegłam bardzo wyraźnie nienawiść.

Zachodziło słońce. Jego pomarańczowy blask wydawał się na wyciągnięcie ręki, a niebo było rozkosznie różowe jak pupa dziecka po klapsie. Mama powiadała, że różowe niebo wróży rybakom dobry połów krewetek. Przymknęłam powieki i ujrzałam na nim jej podłużne, piękne oczy. Wilgotne i smutne. Coś ty zrobiła? Poczulałam szczypanie własnych łez i z bardzo daleka dobiegł mnie jej głos: "Zapomniałaś, krnąbrna, nieposłuszna córko, wszystkich moich nauk?"

Zapomniałaś o pięknej ciężarnej królowej o okrutnym sercu?". Nie, nie za pomniałam. Pamiętałam każde słowo.

"Była tak zła, że po nasyceniu się słodkimi, miodowymi mango w miąższ niezjedzonych owoców wcierała piasek, żeby resztek nie tknęła obserwująca ją bezpańska ciężarna suka.

Królowa śmiała się przy tym w kułak, ale okrucieństwo nie uszło jej płazem. Bo żadne Bóg widzi wszystko. Kiedy więc nadszedł czas porodu, zła królowa o czarnym sercu powiła szczenięta, suka zaś księcia i księżniczkę. Król w lot zrozumiał, co się stało, i tak się rozgniewał, że wypędził królową z pałacu, a dzieci suki uznał za swoje".

Wróciłam do mojego drewnianego pałacu. Wkrótce miał zjawić się mąż. Przygotowałam się na nieme potępienie w jego małych, smutnych oczach, przyrzekając sobie lepiej strzec okrutnego potwora we mnie. Jakiś czas potwór siedział cicho, lecz oboje wiedzieliśmy, że czeka, by wydostać się i porządzić. Czasem czułam, jak spragniony krwi łomocze mi w żyłach.

Anna

Mój brat Sevenese twierdzi, że rozmawia w snach ze zwierzętami. Pewnej nocy przyśnił mu się kot, który stanął pod naszymi drzwiami i powiedział: "Ale zimno. Wpuść mnie, proszę".

Zaskoczony, obudził się. Na dworze srożyła się burza. Wyjąca za drzwiami wejściowymi wichura chłostała okiennice, a w cynkowy falisty dach przybudówki głośno bębniły wielkie krople deszczu. W domu było wilgotno i duszno.

Pchany przemożną, nieznającą strachu ciekawością, brat wstał z łóżka. W rozjarzonym białym światłem błyskawic korytarzu podskoczył na huk gromu i zakrył uszy. W tak burz liwą noc za drzwiami mógł czyhać jakiś zdradliwy duch, szalony demon, ale Sevenese musiał je otworzyć.

W drugim końcu korytarza, w migotliwym świetle lampy naftowej zobaczył na kuchennej ścianie cień mamy, pochylonej nad maszyną do szycia. Odsunął rygiel i śmiało otworzył drzwi.

Na progu czekała cierpliwie przemoczona karmiąca kotka z pięcioma trzęsącymi się kociętami. Kocica zadarła łeb i wpatrzyła się w niego jasnoniebieskimi oczami, które w mroku burzowej nocy błyszcząły jak szafiry. Kiedy przyglądał się jej oniemiały, ta, jakby zaprosił ją do środka, po kolei, delikatnie chwytając dygoczące kociaki za luźną skórę na karku, wniosła je do naszej ciepłej kuchni. Sevenese i mama zrobili jej na podłodze legowisko z gałganów, rozcieńczyli na płytkim talerzu trochę skondensowanego mleka i z przyjemnością patrzyli, jak znika ono pod jej różowym języczkiem.

W odczuciu mojego brata tylko ten jeden raz matka była mu bliska. Zapomniał o cienkiej trzcinie wiszącej w kuchni na haku, świadom tylko słodkiej woni bananowego dżemu w oddechu mamy, kiedy przytuliła go do siebie i pocałowała w czubek głowy. Było mu ciepło, czuł się kochany i cieszył się, że jest z nią, gdy na dworze szaleje burza. Pozwoliła mu zatrzymać kotkę, a dla kociąt znalazła domy.

Jak na przybłądę, kotka miała dziwnie królewskie maniery. Wysoka, z małym trójkątnym pyszczkiem i sierścią w odcieniu najjaśniejszej, wykwintnej szarości, przemierzała dom z zadartym nosem. Brat nazwał ją godnie i wzniośle Kutb Minar, uplótł jej koszyk i postawił go obok łóżka.

Czasem, gdy spocony i wystraszony jakimś koszmarnym snem budził się w nocy, zaglądał do niego, by pokrzepić się widokiem wzniesionej kociej głowy i dwóch wiernie wpatrzonych w niego niebieskich luster. Zaklinał się, że kiedy Kutb Minar patrzy na niego oczami skąpanymi w świetle księżycy, to przez ciało przepływa mu cicha energia, która uśmierza łomoczące serce. Dopiero kiedy się uspokoił, kotka ziewała szeroko, opuszczała głowę, zamykała oczy i zasypiała na rozświetlonej słońcem bajecznie ukwieconej łące.

Mamie Kutb Minar schodziła z drogi. Z małym ostrym pyszczkiem opartym na przednich łapach, pięknymi czujnymi oczami śledziła przezornie każdy jej ruch. Mama przypominała panterę w klatce. Nic dziwnego, że kotka była przy niej nerwowa. Zwierzęta lgną do spokojnych, cichych ludzi. Takich jak mój ojciec i Lalita. Gdy Sevenese pierwszy raz wrócił z

domu zaklinacza węży, Kutb Minar wygięła grzbiet w łuk, zjeżyła sierść, położyła płasko uszy, groźnie prychnęła i za częła bić długim ogonem na strony. Brat ze zdumieniem patrzył na jej wystawione pazury. Najwyraźniej szykowała się, żeby skoczyć mu do gardła. A potem nagle zdała sobie sprawę, że mknęła na ukochanego pana, ze zduszonym miauknięciem opuściła ogon, wypadła na pola za naszym domem i zniknęła w lesie. Przestraszył ją zapach węży albo wygłodniałe złośliwe duchy, z którymi zadawał się zaklinacz. Kutb Minar wiernie towarzyszyła bratu przez całe dzieciństwo. Zdechła nagle, kiedy skończył siedemnaście lat. Któregoś ranka po obudzeniu znaleźliśmy ją martwą w koszyku, zwiniętą w kłębek jak w głębokim śnie.

Przez wiele lat po śmierci Mohini budziłam się w nocy i widziałam Sevenesea, który siedział w naszej ciemnej sypialni, cichy i nieruchomy, aż strach było patrzeć, i czekał na pojawienie się jej ducha. Za pierwszym razem go zaskoczyła. Dla tego zawczasu przygotował sobie, co jej powie i o co ją spyta. Niestety, więcej mu się nie przyśniła. "Nasłuchuj pilnie mego głosu, mój mały strażniku" – powiedziała. Nasłuchiwał więc bardzo pilnie, ale lata płynęły, a ona milczała. Mijały kolejne święta Dipawali. Co roku w noc przed świętem tradycyjnie otaczaliśmy dom glinianymi lampkami. Budziliśmy się o świcie, kąpaliśmy, przebieraliśmy w nowe kolorowe stroje, które mama szła do późna w nocy, i zjadaliśmy obfity posiłek z wielu dań.

Na stole stały ulubione potrawy każdego z nas. Ja i Lalita wciąż sumiennie zanosiliśmy świąteczne wypieki i trzęsące się kawałki kolorowej galaretki do naszych sąsiadów, ale samo święto coś straciło. Stało się czcze, puste. Dipa wali obchodzone w nieszczęśliwym domu jest jak uśmiech martwego dziecka. Uśmiech tak ulotny, że choć widzieliśmy go wszyscy, nikt z nas nie ośmielał się o nim mówić. Był w naszych oczach, gdy ostrożnie uśmiechaliśmy się do siebie, patrząc, jak członkowie naszej rodziny stają się sobie obcy.

Najbardziej wyobcował się Lakszmana. Od pewnego czasu zaczął zachowywać się tak, jakby nas nienawidził i otwarcie cieszył się każdym naszym poniżeniem i bólem. A okazji miał wiele. W oczach mamy ratowało go to, że przynosił do domu świetne oceny. Był tak dobry, że co tydzień sprzedawał swoje notatki kolegom z klasy. Uczył się jak szatan. Wkładał w to całą duszę.

Codziennie zakuwał do późna w nocy. Liczył, że w przybytku bogini wykształcenia napotka boginię bogactwa. I że na końcu labiryntu, przez który wędruje, czeka na niego garniec ze złotem, wspaniałymi kosztownościami i drogimi kamieniami. Chciał mieć to, z czego można beztrąsko korzystać i z dumą dotykać. Pożądał długich samochodów i wielkich domów. Pragnął szastać pieniędzmi na prawo i lewo.

Skoro zaś spełnienie tych świetlanych marzeń wymagało jedzenia niesmacznego chleba nauki, to jadł go pełnymi garściami. O pierwsze miejsce w klasie walczył zawzięcie z innym chłopcem, Ramaczandranem. Jeśli mój starszy brat wracał do domu z ponurą miną, było pewne, że Ramaczandran go wyprzedził.

Po stracie czterech lat nauki za japońskiej okupacji wróciliśmy do tych samych klas, w jakich uczyliśmy się do ucieczki Brytyjczyków. Kiedy więc przed Lakszmana pojawiła się perspektywa matury, miał już dziewiętnaście lat. W tamtym czasie pisemne egzaminy oceniano w Anglii, a świadectwo uprawniało do wstąpienia do collegeu lub od razu do studiów na uniwersytecie. Mój brat zajmował się tylko nauką. Pochylał kędzierzawą głowę nad książkami, marszczył w skupieniu czoło i wypijał kolejne filiżanki parującej kawy, którą parzyła mama.

Była z niego bardzo dumna.

Wszyscy wierzyli w sukces. W dniu egzaminu Lakszmana wyszedł z domu pewny swego, lecz zanim słońce minęło wierzchołki kokosowych palm, mama zobaczyła, że syn wraca w towarzystwie samego pana ellupilai.

- Co się stało? - spytała zaniepokojona, wychodząc im na przeciw zza domu.

- Nie wiem, ama, ale tak strasznie rozboleła mnie głowa, że nie widziałem pytań - odparł Lakszmana.

Z oszołomioną miną patrzył na nią, mrużąc podkrążone oczy, bo raziło go nawet słabe poranne światło.

- Nauczyciel znalazł go z twarzą na ławce. Radzę pani iść z synem do lekarza - rzekł z powagą pan ellupilai.

Mama od razu zabrała brata do szpitala. Nie potrafili jej powiedzieć, co mu się stało. Może nie wytrzymał presji, nerwowego napięcia. W każdym razie potrzebował okularów. Był krótkowidzem. Mama zamówiła okulary u optyka w mieście. Lakszmana szedł z nią oszołomiony, nie mogąc uwierzyć w to, co zaszło. Po powrocie ze szkoły poznaliśmy po minie mamy, że wydarzyło się nieszczęście. Oboje - mama i Lakszmana - przywiązywali wielką wagę do jego sukcesu na maturze. A teraz, by ją zdać, mój brat musiał czekać cały rok.

Któregoś wieczoru wyjrzałam przez okno w kuchni i zobaczyłam, że Lakszmana siedzi pod jaśminem i pali papierosa. Zaciągał się gwałtownie, wydmuchując nerwowo dym, i najwyraźniej zależało mu, żeby zobaczyła go mama. Pragnął ją sprowokować, wypróbować. Mój brat się nudził.

Kiedy traci się wszystko, pozostaje jedynie diabeł i czczony przez niego bożek - Mamona.

Lakszmana zawsze chciał być bogaty, ale teraz zapragnął łatwo się dorobić. Jego zachłanna dusza popchnęła go ku paczce majątnych młodych Chińczyków. Mieli samochody, dziewczyny o imionach, jakie nadaje się puszystym kotom, narowy, z których byli dziwnie dumni, i gadali o transakcjach wartych grube tysiące ringgitów. Przechwalali się beztrząsco przegrany przy stołach do gry. "Łatwo przyszło, łatwo poszło" - puszyli się. W ich lekko za ciśniętych dłoniach mój brat dostrzegł nasiona sekretnych drzew, które rodzą owoce pieniędzy. Jakże ich podziwiał! Ślepy

na to, że w ich piersiach biją zimne serca, twarde jak za ciśnięte pięści. To od nich nauczył się mówić "Sap sap sui" - żaden problem, małe piwo, i "Mou siong kom" - nic nie szkodzi, spokojna głowa.

Nigdy nie przyprowadzał swoich nowych przyjaciół do domu. Widywałam go z nimi, wracając ze szkoły. Nie podobały mi się ich chytre, wąskie oczy, ale mamie o nich nie powiedziałam. Za bardzo bałam się donieść na brata. A poza tym domyślałam się, że chodzi im tylko o jego notatki. Oczywiście, nie te na sprzedaż, tylko te, dzięki którym był prymusem w klasie. Nie miałam złudzeń, że za rok go porzucą, by zanurzyć łyse łby i zakrzywione dzioby w innym ścierwie.

Maturę zdawałam wspólnie z Lakszmana. Tym razem w ogóle się nie uczył. "Pamiętam wszystko z zeszłego roku" - oświadczył butnie, wkładając buty przed wieczornym wyjściem z domu. Kiedy przyszły wyniki, okazało się, że dostał czwórkę. Ramaczandran, który rok wcześniej zdał na piątkę, studiował już w Królewskiej Akademii Wojskowej w Sandhurst. Kazał sobie zrobić zdjęcie, jak siedzi w fotelu pucybuta, i przysłał je do domu z adnotacją: "Patrzcie, do czego do szedłem. Kolonialisci czyszczą mi buty".

Z czwórką Lakszmana mógł liczyć co najwyżej na posadę referenta w urzędzie państwowym, ale nawet ta możliwość nie wchodziła w rachubę, gdyż w owym czasie nie było tam pracy. Ja dostałam trójkę i dyrektor zaproponował mi, bym została nauczycielką. Mama bardzo się z tego ucieszyła.

Lakszmana był wściekły i zawiedziony. Godzinami laził nerwowo po dużym pokoju niczym małpa po klatce albo siedział tam, paląc bez końca i, wpatrując się nie wiadomo w co, niespokojnie bębnił palcami w stół, a przed nim rósł stos pustych paczek po papierosach i góra niedopalków w popielnicze. Tygodniami pieklił się i wyrzekał na pecha, aż wreszcie, zgrzytając zębami z gniewu, też został nauczycielem. Nie takie miał plany. Nienawidził uczyć! Mijając jego klasę, widziałam z korytarza, jak zaciska pięści.

Za moich czasów nauczycielem zostawało się po trzymiesięcznym przyuczeniu do zawodu.

Co sobotę posyłano nas do różnych szkół na szkolenia. Lakszmana chciał się szkolić w Singapurze.

Ale bynajmniej nie ze względu na "najwyższy poziom", tylko wielkomiejskie atrakcje. Perspektywa wyjazdu tak go podnieciła, że znów zaczął nas traktować niemal po ludzku. Cały dom promieniał słońcem jego odmienionej natury i szczęściem mamy. Tak długo był nieszczęśliwy i trudny do zniesienia, że uznała, iż wysłanie go do Singapuru to dobry pomysł. Gryzła się, że zniecierpliwiony i podminowany przesiaduje w domu, wypalając jedną paczkę papierosów za drugą. Tamtego popołudnia usiadła z nim w dużym pokoju, by omówić szczegóły wyprawy.

I właśnie wtedy mój brat Sevenese, który czytał w sypialni komiks, wypuścił go ze zdrętwiałych palców, bo nagle usłyszał głos. Na ten głos czekał od tylu lat, że prawie go zapomniał. To ona do niego przemówiła! Zeskoczył z łóżka.

- Nie pozwólcie mu jechać - powiedział głos.

Sevenese wpadł do dużego pokoju i oznajmił zdyszany, że Lakszmanie nie wolno jechać, bo tak powiedziała Mohini. Po pierwszym szoku na twarzy naszego starszego brata pojawił się straszny ból. Nadal nie chciał rozmawiać o jej śmierci. Wychodził z pokoju, gdy ktoś wspomniiał jej imię.

- Co za bzdura! - wykrzyknął, zrywając się z krzesła.

- Co ty opowiadasz! - ofuknęła Sevenesea mama, blednąc jak migdał.

- Przed chwilą usłyszałem bardzo wyraźnie głos Mohini: "Nie pozwólcie mu jechać"

- odparł.

- Na pewno? - spytała mama, a jej czoło przeorały zmarszczki troski.

- Nie wierzę. Mohini powróciła ze świata zmarłych, żeby pouczyć mnie, jak mam żyć?

To przecież kompletny nonsens, jak możesz brać na serio takie brednie? - naskoczył na nią Lakszmana. - Nigdy nie mogę robić tego, co chcę! To dom wariatów!

- Nie piekl się. Zaczekaj - powiedziała mama, lecz brat zrobił to, co zwykle.

Tupiąc nogami, wypadł z domu i w niepohamowanym gniewie rąbnął pięścią w stos cegieł przed domem.

Oczywiście pojechał do Singapuru. Mama była nieszczęśliwa, ale miała do Lakszmany słabość, bo żeby przeciwstawić się jego waleniu pięścią i zgrzytaniu zębami, musiałaby mieć znacznie twardsze serce. Dlatego wyprawiła go w tę podróż z walizką pełną nowych ubrań i ulubionymi przekąskami. Na początku często pisał do domu. W radosnych listach donosił, co porabia, wyglądało więc na to, że mimo wszystko słusznie postąpiła. Wkrótce jednak okazało się, że rację miała Mohini. Listy urwały się z nienacką, po dwóch miesiącach nadeszła lakoniczna kartka, a po niej już nic. Mama zaczęła się martwić i gryźć. Za nic nie powinna była go puścić.

Cały czas chodziła skwaszona i wszystko ją irytowało. Biedny ojciec przez wiele tygodni w ogóle nie śmiał się do niej odezwać.

Aż przyszedł dzień, kiedy mama nie wytrzymała. Posłała syna znajomych, żeby sprawdził, co się dzieje z jej pierworodnym. Posłaniec wrócił ze złymi wieściami: Lakszmana stał się nałogowym graczem i przesiaduje w klubach madżonga w najbardziej zakazanych zaułkach chińskiej dzielnicy. W tych za plutych jaskiniach gry szybko rozwinął w sobie tak silne zamiłowanie do hazardu, że niemal się ślinił na sam trzask kostek do gry. Przegrał wszystko, co zarobił, i zapomniał o uczeniu w szkole. By nie mieć kłopotu z częstymi nieobecnościami

Lakszmany, dyrektorka, pomna jego wzrostu, pałających oczu i skłonności do walenia pięścią, szybko przeniosła go do malutkiej szkoły w niezelektryfikowanej wiosce na rybackiej wysepce koło Singapuru.

I pomyśleć, że Lakszmana uciekł z Kuantanu, żeby wylądować tam. Znienawidził tę wyspę i zaraz z niej wyjechał, ale pozbawiony środków do życia musiał spać na podłodze u znajomka. Do tego czasu zdążył narobić znacznych długów. Cała rodzina z niedowierzaniem wysłuchiwała niewiarygodnych nowin, które przekazał nam ów grzeczny człowiek między łykami maminej herbaty.

Mama jak zwykle wzięła sprawy w swoje ręce, spłaciła długi syna i wysłała mu bilet powrotny. Jednakże ku naszemu kompletnemu zaskoczeniu Lakszmana nie wrócił z podkulonym ogonem, lecz jak zwycięski bohater. Mama przywitała go jego ulubionym daniem z curry i plackami czapati. A w zamian za obietnicę, że pójdzie do pracy i się ustatkuje, kupiła mu woleseleya.

Wyglądał imponująco za kierownicą nowego samochodu. Znalazł sobie posadę w szkole, ale nadal ciągnęło go do hazardu, który miał we krwi. Nie był w stanie odpędzić tej pokusy. Przymilała się ona do niego, nagabywała, nie dawała spokoju, śpiewała i szeptała mu w żyłach jak jedwab ocierający się o aksamit: "madżong, madżong", aż miał dość. Choć zgrywał się do nitki, ucieszenie tego namolnego szeptu przynosiło ulgę. Wysłuchiwaliśmy bezradnie, gdy przybliżając do siebie dwa palce, wyjaśniał, ile zabrakło mu do wygranej. Tak mało, że musi zagrać znowu

W rodzinie rozgorzała walka. Miotając gniewne błyski spo za grubych szkielek okularów, Lakszmana zażądał pieniędzy. Zagroził mamie, że włamie się do jej kufierka i sam sobie weźmie pieniądze i biżuterię.

- Tylko spróbuj - odparowała z groźbą w oku.

Z rykiem wypadł z domu, po drodze kopiąc w futrynę. Kiedy tylko poczuł w ręku tygodniówkę, zniknął na cały weekend, wracał niechlujny i splukany i ponawiał groźby.

Pewnego dnia, po kolejnej jego wypłacie, zobaczyłam, że mama stoi w dużym pokoju i ze smutkiem wpatruje się w porzucane niedopałki. Na pewno myślała: "Gdzie on teraz jest?".

Postanowiła odszukać syna i na własne oczy zobaczyć jego nową kochankę, która tak dokładnie wyczyszcza mu kieszenie i tak mocno trzyma go w stalowych objęciach. Pojechała rykszą tam, gdzie dotąd nie postąpiła jej noga. Po kamiennych schodkach weszła do kawiarni.

Staruch pilnujący kasy niczym kruk ścierwojad wskazał jej zaplecze. Odgarnęła brudną kotarę i znalazła się w wąskim korytarzu z szeregiem zasłoniętych drzwi, zza których dochodziły rozmowy i śmiechy dzieci. Spoza jednych wychynęła głowa małej Chinki z gęstą grzywką spadającą na oczy.

Dziewczynka uśmiechnęła się nie śmiało do mamy.

Wreszcie mama doszła do złachmanionej czerwonej kotary, za którą znajdował się inny świat. Świat tak haniebny i plugawy, że gdy po rozsunięciu obskurnych szmat ujrzała zaskakująco duże, strasznie brudne pomieszczenie, zatrzęsły jej się ręce. Ściany były tam z cienkich, zbitych razem desek, dach z zachodzących na siebie arkuszy blachy cynkowej, a zaświniona podłoga z szarego betonu. Na kredensie piętrzyły się nieumyte talerze, miski i pałeczki. Nie przerywano gry nawet na jedzenie. Górę brudnych statków usuwała powoli zgarbiona, prawie łysa staruszka. Przy pięciu okrągłych stołach siedzieli mężczyźni i kobiety z nawiedzonymi, lśniącoymi twarzami.

Powietrze przesycił stęchły smród papierosów, a z jakiejś kuchni w pobliżu dochodziła słodka woń pieczonej wieprzowiny. W tej to zaplutej sali gier nieszczęśliwa mama ujrzała ukochanego syna.

Przeszył ją straszny ból, ugodził nóż zdrady. Nie do wiary! Jej przystojny, wyprostowany, noszący okulary Lakszmana wykrzyknął "Madzong!" i zaniósł się pazernym śmiechem hazardzisty. A jaki był przy tym skupiony! Jaki grzeszny płomień płonął w jego oczach!

Wstrząśnięta, ruszyła ku niemu. Mogła go jeszcze zmienić. W tym momencie jednak wykonał szybki i gwałtowny gest, tak bardzo jej obcy, że poraził ją i stanęła jak wryta. A widząc, że ów gest odebrał i powtórzył inny gracz, zrozumiała, że straciła syna. Żył w niedostępnym dla niej świecie. Stała więc niczym słup soli, wpatrując się w piekło, w które wpadł jej piękny, cudowny, błędzący Lakszmana, i nagle ujrzała przed oczami boleśnie wyraźny obraz z przeszłości. Boże, jaka była młoda! Nucila sobie, mieszając ręką w niebieskiej miednicy tańczące cicho w gorącej wodzie płatki hibiskusa. Kiedy woda nabrała odpowiednio magicznej rdzawej barwy, uniosła gaworzącego, bystrookiego synka i delikatnie zanurzyła jego wierzgające nóżki w starannie przygotowanej kąpieli. Ależ się śmiał i chlapał! Ależ ją zamoczył! A jak kręciły mu się włosy na główce! Było to tak dawno temu. Ileż nadziei rozbiło się od tamtej pory na skałach życia? Wycofała się za brudną kotarę i ze śmiertelnym bólem w sercu zawróciła ohydny korytarzem.

Nie mogła zapomnieć pazernego śmiechu syna. Prześladował ją nocami. Lakszmana uśmiechał się już tylko do jasnych kości na stole do gry. Czowała się zagubiona, zaczęła się bać.

Jeśli przedtem mu ustępowała i dla świętego spokoju dawała pieniądze, to teraz nie chciała pożyczyć ani ringgita. Ukryła pieniądze i biżuterię, a mnie zabrała książeczkę bankową, żeby brat namową lub siłą nie pozbawił mnie oszczędności.

Nasz dom stał się polem bitwy. Można było oberwać z najbliższego powodu. Kiedyś w stronę mojej zaskoczonyj twarzy nadleciała kolczastą stroną łupina duriana. Na szczęście przytomnie się uchyliłam. Do dziś widać w ścianie kuchni dziury, które zostawiła. A potem nagle i niespodziewanie w domu się uspokoiło, bo Lakszmana zaczął pomagać mamie w wydaniu mnie za

mąż. To właśnie wtedy zainteresował się bliżej zwyczajem dawania posagu. I przeżył olśnienie. Małżeństwo oznaczało wiano!

Mama odłożyła dla mnie dziesięć tysięcy ringittów. Mój brat wykalkulował sobie, że jeżeli się ożeni, to dostanie do ręki co najmniej tyle samo. Zaczął kombinować, lecz zwyczaj nakazywał, bym wyszła za mąż przed nim. Coraz bardziej się niecierpliwił, ale tradycja zwyciężyła.

Najpierw musiała wziąć ślub najstarsza córka. Pilnie więc jeździł na "poszukiwania męża" i z entuzjazmem wychwalał kandydatów. We wszystkich widział zalety, a mama same wady, do czasu propozycji, jaką złożył mierniczy z Klangu.

Potencjalny "konkurent", który zdołał przekonać mamę do swych zalet, ustalił datę "obejrzenia" mnie. Podczas takiej wizyty przestrzega się sztywnych reguł. Rodzice z synem odwiedzają narzeczoną i uprzejmie rozmawiają z jej rodzicami. Gdy pełna nadziei dziewczyna wnosi na tacy herbatę i ciastka, przerywają rozmowę i przyglądają się jej, często bardzo krytycznym okiem. Biedaczka, starając się mówić jak najmniej, nerwowo nalewa im herbaty i przed wyjściem częstuje ciastkami. Może tylko nieśmiało uśmiechnąć się do przyszłych teściów.

Nie denerwowałam się z tej okazji. Grałam już w tę grę parę razy, bo mama zdążyła odrzucić kilku kandydatów. Jeden nawet mi się podobał, lecz ślepo zdałam się na jej sąd. Mama jest jak niedźwiedzica. Z odległości wielu mil wyczuje naj lżejszą woń zgnilizny, choćby ukrytą starannie w najtajniejszym zakamarku duszy. Wtedy jeszcze nie miałam pojęcia, czym właściwie zajmuje się mierniczy, bo nie był to zawód tak szacowny jak lekarz czy prawnik - niestety, byłam nie dość wykształcona i posażna, by któregoś z nich sobą zainteresować. Jednakże moja dalekowzroczna mama uważała, że Malaje się rozwijają i wkrótce wzrośnie zapotrzebowanie na dobrych mierniczych. A wtedy mój mąż i ja się wzbogacimy. Ale przede wszystkim chciała, żeby był mądry. "Wiem, jak wygląda życie z głupcem, i pragnę dla was czegoś innego" - powiedziała.

Miałam nadzieję, że mój mierniczy nie okaże się zbyt wymagający. Patrząc na swoje odbicie w lustrze, nie widziałam nic szczególnego. Wzorcem piękna była Mohini. Moja uroda zdecydowanie bladła przy jej magnoliowej cerze i butelkowitzelonych oczach. W tamtych czasach się nie malowałam, bo mama uważała, że młodej panie to nie przystoi, ale ja i Lalita mocno się pudrowaliśmy. Czasem siostra nakładała na twarz tyle pudru, że wychodząc z sypialni, Bidula ucieleśniała najgorsze obawy mamy. Gdyby mama sporządziła listę cech, których nie chciałaby widzieć w córce, to złożyłyby się one na obraz i podobieństwo Lality. Szerokie biodra ojca, płaską pupę, odziedziczone nie wiadomo po kim z rodziny patykowate nogi, szeroko rozstawione małe oczy i mięsisty nos.

- Anno! - zawołała mama.

- Idę! - odkrzyknęłam i pobiegłam do kuchni, pomóc w pokrojeniu kokosowych ciastek przeznaczonych dla gości.

Przepis na nie był bardzo prosty, ale pewien sekretny składnik - kwiaty imbiru - sprawiał, że smakowały lepiej od tradycyjnych. W to gorące popołudnie Lalita siedziała przed domem na zamach i piła wodę wprost z zielonego kokosa. Pora, by przestała spędzać tyle czasu na słońcu, pomyślałam. Już i tak miała za ciemną skórę. Zawołałam ją, a ona posłusznie weszła wolno do domu.

- Przestań wysiadywać tyle na słońcu, bo nikt się z tobą nie ożeni - upomniałam ją łagodnie.

- Mama mówi, że i tak nie wyjdę za mąż. Nie jestem taka ładna jak ty. Szkoda.

- Nie pleć głupstw. Powiedziała tak, bo była w złym humorze. Dobrze o tym wiesz. Jak podrośniesz, to na pewno wyjdziesz za mąż. Każdemu jest ktoś przeznaczony. A teraz po krój ciastka i ułóż je na tacy.

Pracowałyśmy w milczeniu, a ja próbowałam wyobrazić sobie przyszłego męża. Liczyłam, że ma jasną skórę. Kiedy skończyłyśmy, wykąpałam się i przebrałam w ładne niebiesko-zielone sari, odpowiadające mojej karnacji. Zaplotłam włosy w warkocz, przystroiłam je kilkoma kwiatami jaśminu, a potem się przypudrowałam i narysowałam na czole małą, idealnie krągłą, czarną kropkę.

Moja przyjaciółka Mina zapewniała, że jeśli delikatnie się umaluję, to stanę się bardzo powabna, ale bałam się, co na moje karminowe wargi i uczernione, wydłużone oczy powie mama. Ciekawe, jak by zareagowała na wieść, że w szkole wołano na mnie MM, co było skrótem od "Marilyn Monroe". To obraźliwe przezwisko zawdzięczałam swoim rozkołysanym biodrom. W naszym zacofanym mieście miłe dziewczęta nie zostawały aktorkami. Ten zawód wymagał od dziewczyny nie tylko lekkich obyczajów, ale i urody Marilyn. A ona była z pewnością latawicą.

Obróciłam się dokoła przed lustrem, żeby sprawdzić, czy sari dobrze układa się z tyłu, usiadłam i zaczęłam czekać. Weszła mama. Z pałeczką czernidła w ręku. Bez słowa klękła przede mną, delikatnie odciągnęła mi dolną powiekę i ją uczerniła. To samo zrobiła z drugim okiem.

Siedziałam oszołomiona. Nie miałam pojęcia, że umie nakładać czernidło. A potem odkręciła miękką różową szminkę.

- Otwórz usta - poleciła.

Kiedy posłusznie je otworzyłam, lewą ręką przytrzymując mój podbródek, starannie umalowała mi wargi, krytycznym okiem przyjrzała się swemu dziełu i z satysfakcją skinęła głową.

- Tylko się nie oblizuj - uprzedziła.

Wstała i wyszła. Naprawdę zależało jej, bym została żoną mierniczego, bo przy poprzednich konkurentach tak się nie starała. Wróciłam do lustra i spojrzałam na siebie zdumiona.

Mama mnie odmieniła. Moje oczy stały się większe i piękne, a usta miękkie i powabne. Mina miała rację.

Niebawem z dużego pokoju dały się słyszeć uprzejme głosy. Byłam zdenerwowana. Trudno nalewać herbatę pod przenikliwym wzrokiem obcych, ale największą treść miałam z powodu wyczuwalnego napięcia mamy. Ona naprawdę chciała tego małżeństwa. A gdybym się im nie spodobała? Gdyby mnie odrzucili? Z pewnością byłaby zła. I wtedy usłyszałam jej słodki głos.

- Anno! - zawołała.

Wstałam, starannie wygładziłam sari i weszłam do kuchni.

- Proszę - powiedziała chichotliwie Lalita, wkładając mi do rąk tacę.

Z opuszczoną głową, jak przystało porządnej pannie, weszłam do pokoju, postawiłam tacę na stoliku, nalałam herbaty i najpierw podałam ją rodzicom mojego przypuszczalnego męża, a potem jemu. A ponieważ zrobiłam to wszystko ze spuszczonej oczami, zobaczyłam nogawki spodni, dwie pary męskich stóp (ciemnych), paradne sari barwy limony i małe damskie stopy.

Podniosłam głowę i podałam tacę z ciastkami. Rodzice konkurenta byli typowymi Cejlończykami.

Jego ojciec rozsiadł się wygodnie, a matka taksowała mnie wzrokiem i oceniała. Miała władcą twarz z wysokimi kośćmi policzkowymi, bardzo duże oczy i prosty nos. Na jej uśmiech odpowiedziałam uśmiechem.

- Jesteś nauczycielką-powiedziała.

- Tak - odparłam cicho.

Skinęła głową. Sari miała zawiązane bardzo fachowo. Siedziała, a jednak widziałam Ciemne ręce wzięły ode mnie talerzyk i herbatę. Był chudy, i choć siedział, odgadłam, że jest wysoki. Miał gęstą, niesforną, kędzierzawą czuprynę. Wygięte w górę usta świadczyły, że często się śmieje. Jego głęboko osadzone, płonące tajemniczo oczy wpatrywały się w moje z takim żarem, że się spłoniłam. Przypominały mi płomienne oczy mamy. Prędko odwróciłam wzrok. Konkurent Będę miała czarne dzieci, pomyślałam, wychodząc z pokoju. Wiedziałam, że wszyscy na mnie patrzą, więc bardzo się starałam nie kołysać biodrami.

W bezpiecznym zaciszu kuchni powitał mnie szeroki uśmiech Lality.

- No i? - spytała, unosząc brwi.

Wzruszyłam ramionami. Stanełyśmy przy kuchennych drzwiach, podsłuchując rozmowę mamy z ewentualnymi teściami. Liczyłam, że chłopak jej się nie spodoba. Jego wzrok mnie peszył.

Poczułam się nieswojo. A poza tym miał o wiele za ciemną skórę. Po wyjściu gości mama wkroczyła do kuchni.

- Podoba mi się - oznajmiła z błyszczącymi oczami. - W jego spojrzeniu jest prawdziwy ogień. Prawdziwa ambicja. Daleko zajdzie, zapamiętajcie moje słowa.

- Troszkę za ciemny - podsunęłam ostrożnie.

- Za ciemny? - zapytała, zawierając w tych dwu słowach cały kosz przygan. - Pewnie, że jest ciemny. To mierniczy. Cały czas spędza w dżungli.

A więc klamka zapadła. Na męża wybrano mi mężczyznę z płonącymi oczami. Mama i brat zaczęli snuć plany. Lakszmana wpadł na wspaniały pomysł podwójnego wesela.

- Żeby obciąć niepotrzebne wydatki - powiedział w stylu mamy.

W końcu doszli do porozumienia i mógł sobie poszukać żony. Kiedy wieści, że Lakszmana szuka żony, doszły do moich przyszłych teściów, natychmiast się odezwali. Dobrze się składa, napisali, bo mamy córkę w wieku do zameścia! I za proponowali podwójne małżeństwo. Mamie pomysł ten nie przypadł do gustu, lecz brat uparł się, by przynajmniej obejrzeć dziewczynę. Tak więc rodzice i on pojechali aż do Klang zobaczyć ewentualną synową.

Gdy dotarli pod wskazany adres, mamę aż ścisnęło w sercu. Malutki domek w dzielnicy ruder z niewyjaśnionego powodu spowijała siatka, przez co przypominał wielki kurnik. Mama wierzyła w możliwości mierniczego, jednak w żadnym razie nie mogła pogodzić się z myślą o oddaniu najdroższego syna ludziom, którzy mieszkali w czymś takim. Prawdę mówiąc, chciała natychmiast odjechać, ale Lakszmana przytomnie spytał:

- Skoro już tu jesteśmy, to co nam szkodzi wejść?

Słów tych później gorzko pożałował.

Matka narzeczonej wyszła powitać gości, lecz zanim otaksowała wzrokiem mojego brata, spojrzała za ich plecy w stronę wolseleya. Mama zerknęła na Lakszmanę i zobaczyła to, co tamta.

Gdyby nie grube szkła, byłby idealnym mężczyzną. Barczysty, z pięknym wąsem stanowił nie lada gratkę. Oczywiście, jeśli się nie wiedziało o jego skłonności do hazardu. Weszli do kurnika teściów.

Licho umeblowanego. Fotel pod mamą niebezpiecznie się kołysał. Do pokoju wkroczyła dziewczyna z tacą. Mama ukryła zaskoczenie. Zaprzyjaźniona swatka twierdziła, że panna jest przystojna. Tymczasem była wysoka, kanciasta, miała szerokie ramiona i nieproporcjonalnie duży biust, a w twarzy zamiast łagodności -jakąś zawziętość i dzikość. Do tego wysokie kości policzkowe swojej matki, duże usta i zuchwałe, zmysłowe oczy. Śmiało otaksowała nimi Lakszmanę, a potem spojrzała na moich rodziców jak nieśmiała panna.

Mamie się nie spodobała. "To dziewczyna z pretensjami. Wielka pani" – stwierdziła. Natychmiast zwietrzyła kłopoty. Poważne kłopoty. Dostrzegła je w każdym rysie jej twarzy.

Popijając herbatę, mama wyjawiała, że jej syn jest niepoprawnym, wręcz nałogowym graczem. Nie ukrywa tego, bo nie chce mieć na sumieniu obu par, a ponadto nie jest zwolenniczką podwójnych bratersko-siostrzanych małżeństw.

Po tej bombie na chwilę zapadło milczenie, lecz samochód i uroda mojego brata już zrobiły wrażenie na matce panny. Jej córka nie mogła trafić lepiej. Uznała, że nasza mama kłamie, bo nie chce tego małżeństwa.

- Och, to żadne zmartwienie - zapewniła z błyskiem w świdrujących oczach. - Mój mąż też był strasznym hazardzistą. Wiele lat nałogowo grał na wyścigach, a jednak żyło mi się szczęśliwie.

Niczego mi nie brakowało. Moja córka to mądra dziewczyna, z pewnością się z tym upora.

Nie dość, że przyszli teściowie okazali się namolni, to jeszcze gruboskórni. Mama siedziała zła, ale nie mogła wyjść, by nie narażać mojego małżeństwa. Dobrze rozumiała, dlaczego tak bardzo chcieli mieć Lakszmanę za zięcia. Ich córka nie była piękną. Mama uważała ją za szkaradę, obsypaną wysypką, która zniknęła w rękawach bluzki i kończyła się bóg wie gdzie.

Skąd mogła wiedzieć, że to, co w tamtych czasach uchodziło za kanciaste i nieładne - wysoki wzrost, proste ramiona, duże piersi, długie nogi, wąskie biodra i cudownie wysklepione kości policzkowe - w dzisiejszych zostanie uznane za atrakcyjne. Siedząc tam i krytycznym wzrokiem taksując przyszłą synową, w niczym nie przypominającą łagodnej, pyzatej indyjskiej ślicznotki, nie mogła wiedzieć, że w łonie tej dziewczyny wyrośnie jej najukochańsze wnuczę. Że kiedyś jej syn wpadnie do domu i ze łzami w oczach obwieści: "Ama, wróciła do nas Mohini. Wróciła jako twoja wnuczka". Ale tamtego dnia pomyślała: "Nie, ona nie poślubi mego syna".

Jej rodzice nie wzbudzali zaufania, a ich domostwo prezentowało się ubogo, dlatego wydawało się mało prawdopodobne, że mają w banku dziesięć tysięcy ringgitów na posag córki.

A poza tym skoro była, jak twierdzili, wykwalifikowaną nauczycielką, to czemu nie pracowała?

Albo więc kłamali, albo ich córka była wyjątkowo leniwa. Tak czy siak nie spełniała nadziei mamy.

Ta dziewczyna nie nadawała się na żonę.

W kurniku teściów Lakszmana zaczął zgrzytać zębami. Miał wspaniałe plany względem pieniędzy z posagu, a mama wszystko psuła. W rozpalonej wyobraźni podwoił już i potroił wiano żony przy stołach madżonga. Od dawna karmił się upojnym złudzeniem, że jeżeli tylko zasiądzie do gry z odpowiednią sumą, to pech go w końcu opuści.

Pożegnano się uprzejmie.

- Chcę jej - oznajmił mój brat w samochodzie.

- Przecież zawsze pragnęłaś ożenić się z jasnoskórą, pracującą dziewczyną - zdziwiła się mama.

- Nie, podoba mi się ta.

- Twój wybór - odparła.

Siedziała w samochodzie wściekła. Ojciec w milczeniu wyglądał przez okno. Lubił patrzeć na ciągnące się milami zielone kauczukowce. To go uspokajało. Łatwiej mógł znieść fale gniewu bijące od żony i najstarszego syna.

Tej nocy mój brat Sevenese miał sen. Siedział na połaci na giego gruntu i jak okiem sięgnąć widział wysuszoną czerwoną ziemię. Z oddali toczył się ku niemu w obłoku czerwonego pyłu wóz zaprzężony w bawołu. Na szyi zwierzęcia cicho podzwaniał dzwoneczek. Brat słyszał już gdzieś ten dźwięk. "Ostrzeż go, że za jednym posiedzeniem straci pieniądze" - powiedział mu woźnica z długą siwą brodą. Na wozie za jego plecami leżała długa czarna trumna. Dzwoneczek zadzwonił w podmuchu silnego wiatru. O tak, mój brat słyszał ten dźwięk wcześniej. "Spójrz - powiedział starzec, wskazując na trumnę. - On nigdy mnie nie słucha. A to śmierć. Ostrzeż go. Straci te pieniądze za jednym posiedzeniem". A potem zdzielił biednego bawołu długim kijem i wóz ruszył w drogę przez nagi krajobraz.

- Zaczekaj! - krzyknął Sevenese, ale wóz potoczył się dalej w chmurze pyłu i pozostała jedynie pamięć po dzwonku, brzęącym jak dzwoneczki na przegubach stóp Mohini.

Pierwsze, co mu przyszło do głowy po przebudzeniu, to: "Lakszmana nie może się z nią ożenić. To małżeństwo będzie nieszczęśliwe". Dotychczas nikt nie zdawał sobie sprawy, że nasz starszy brat chce się na gwałt żenić tylko ze względu na posag. Teraz nie było wątpliwości. Do poślubienia tej niepra cującej dziewczyny z okropną wysypką na ciemnej skórze pchała go wyłącznie chciwość.

Kiedy rano Lakszmana i mama podnieśli głowy znad śniadania, Sevenese poczuł się jak jeleń w jaskini warczących tygrysów.

- Stracisz te pieniądze za jednym posiedzeniem - powiedział bratu.

W pokoju zapadła kamienna cisza. Lakszmana wpatrzył się w Sevenesea z dziwną, zszokowaną miną.

- Nie żeń się z nią. To błąd.

Słowa te obieły zygzakami całą kuchnię. Już raz zlekceważyliśmy jego ostrzeżenie i pożałowaliśmy tego. Czy mogliśmy sobie pozwolić na kolejną pomyłkę? Tym razem ogromną?

- Słyszałem dzwoneczki, które Mohini nosiła na kostkach - dodał Sevenese.

Szok ustąpił miejsca zimnemu, zapamiętałemu gniewowi. Ale Lakszmana nie zazgrzytał zębami ani nie chwycił Sevenesea za kołnierz.

- Mylisz się - powiedział niezwykle cicho i ruszył sztywno ku drzwiom.

To zupełnie do niego nie pasowało, zaskoczył nas bardziej, niż gdyby się wściekł.

Mama natychmiast napisała do rodziców dziewczyny. Po przyjeździe - wyjaśniła - okazało się, że zgasły lampki na domowym ołtarzu. Ten zły znak zmusza ją do zaniechania dalszych kroków w sprawie małżeństwa syna.

Sevenese nadał list z poczty w mieście. W odpowiedzi przyszedł list do Lakszmany. Brat rozdarł go, odwrócony plecami do nas, przeczytał w ogródku, zmiął, cisnął w kępę bananowców i z zaabsorbowaną miną wszedł do domu, żeby odszukać Sevenesea, który w owym czasie był już inspektorem sanitarnym malajskich kolei i jeździł po całym kraju, kontrolując stan kolejowych toalet. Do domu wpadł na weekend i właśnie szykował się do porannego wyjazdu.

- Naprawdę powiedziała, że stracę wszystko za jednym pośledzeniem? - spytał go obcesowo Lakszmana, zatrzymując się w progu.

- Tak - odparł Sevenese.

Przez jakąś godzinę głęboko zamyślony Lakszmana krążył niespokojnie po domu. Wreszcie przestał się bić z myślami, poszedł do mamy i oświadczył: "Albo Rani, albo żadna". Co zamierzał zrobić z jej posagiem, nie zdradził nikomu. Może liczył, że nie przegra go doszczętnie. Albo marzył o otwarciu interesu, na wzór swoich chińskich znajomych.

Zaraz po jego wyjściu na mecz krykieta na szkolnym boisku mama pobiegła w bananowe zarośla, żeby odzyskać zmięty list. Pewnie do tej pory spoczywa w jej kuferku.

"Mój Drogi. Nie rezygnuj ze mnie. Głęboko się w Tobie zakochałam. Od Twojego wyjazdu nie mogę jeść i spać. Stale mam przed oczami Twoją piękną twarz. Nie wierzymy, że gasnące lampki są złym znakiem. To bzdury. Lampka gaśnie, gdy wypali się knot albo olej. Zwyczajne zaniedbanie w żadnym razie nie może wróżyć źle naszemu małżeństwu. Jestem prostą dziewczyną z biednej rodziny. Ojciec latami oszczędzał na mój posag, który w zupełności wystarczy na zaliczkę na dom lub na otwarcie jakiegoś interesu. Tak utalentowany człowiek jak Ty może wiele zdziałać z tymi pieniędzmi. Od Twojego ojca wiem, że jesteś zainteresowany założeniem firmy. Wiele w życiu wycierpiałam, ale u Twojego boku będę szczęśliwa, nawet żyjąc o suchym ryżu i wodzie. Proszę, nie opuszczaj mnie, Kochany. Nigdy nie będziesz żałował, że mnie poślubiłeś. Przrzekam. Twoja na zawsze Rani"

Mama zapłonęła takim gniewem, że aż się trzęsła. Rani nie spodobała jej się od pierwszego wejrzenia i nie bez powodu. Ta podstępna żmija powiewała swoim posagiem niczym czerwoną płachtą na byka.

- To wszystko twoja wina! - naskoczyła bez powodu na ojca. - To tyś ją zachęcał, chwając Lakszmanę za jego zmysł do interesów. Po coś w ogóle się odzywał? Czyż nie po to wspomniałam o jego nałogu, żeby ich zniechęcić?

Ojciec jak zwykle milczał. Z jego oczu wycierała uległość. Czy nie wiedział, że to mamę jeszcze bardziej rozwściecza?

Lakszmana dopiął swego. Doprowadził do podwójnego małżeństwa. To był okropny dzień.

Mama była w strasznym nastroju. Odmówiła przybrania włosów kwiatami i ubrana w ciemnoszare sari bez wzorów trzymała się z boku, sztywna i nieszczęśliwa. Lakszmana też nie skakał z radości, choć po stawił na swoim. Markotny, bez uśmiechu, z wyraźnym zniecierpliwieniem czekał końca ceremonii. Wieczorem teściowa zaszła chyłkiem do jego skąpo oświetlonego pokoju i - chytrze łuskając atramentowo czarnymi oczami - miodowym głosem wyznała, że nie mogą mu dać w tej chwili dziesięciu tysięcy posagu, tylko trzy. Długoletnie małżeństwo z nałogowym hazardzistą - ciągła gra w chowanego z rzeźnikami, piekarzami, sprzedawcami ryb, warzyw i kawy - nauczyło ją sprytu.

- Oczywiście damy ci te siedem, gdy je dostaniemy. Pożyczyliśmy je naszemu kuzynowi, ponieważ miał kłopoty finansowe. Nie mogliśmy odmówić. Nie masz nic przeciwko temu?

Sądząc po jej dykcji i intonacji, z pewnością pochodziła z dobrej rodziny. Lakszmana zrozumiał ją doskonale. Nie na darmo był synem mojej mamy. Nie miał złudzeń, że te siedem zobaczy na święty nigdy. Teściowa wyjęła wypchaną kopertę. "Bierz, co dają, o reszcie zapomnij".

Oszukali go. Wiedział o tym. Krew uderzyła mu do głowy. Poślubił ich brzydką córkę z powodu dziesięciu tysięcy. Nagle wszystkie jego koronkowe plany otwarcia interesu, zyskownych transakcji... wzięły w łeb. Narastał w nim słuszny gniew. "Nie - chciał powiedzieć. - Zabierajcie swoją szpetną córkę i wróćcie z całym posagiem" - lecz omotujące mu duszę jedwabiste niewidzialne wici ścisnęły go i szarpały, a chłodne, alabastrowe kostki kłaskały i szeptały: "Bierz je, bierz. Nie zwlekaj".

Wściekły, że go oszukano, wypadł z domu i za jednym po siedzeniu przegrał wszystko.

Niebawem przekonał się, że jego żony nie tylko nie uszczęśliwia życie o ryżu i wodzie, ale chce oddawać brudne sari do pralni chemicznej.

Na tę wieść nasz pijący pośpiesznie herbatę tata zakrztusił się, a mama za marła ze zgrozy.

CZEŚĆ TRZECIA

Zmierchnica

Rani

Mama dała mi na imię Rani, bym opływała w dostatki jak królowa. Niestety, kiedy byłam malutka, na policzku usiadła mi zmierchnica. Choć mama rozpoznała ją natychmiast i przegnała okrzykiem zgrozy, pył smutku z puchatych skrzydeł, który zdążył wnikać mi pod skórę, był niczym urok rzucony na duszę - przechytrzył dobry los i poddał moje biedne ciało straszliwym trudom istnienia. Nawet małżeństwo - ów wymarzony świetlany raj prawdziwej miłości i wiecznej szczęśliwości - okazało się jeszcze jednym niewypałem. Wyobrażacie sobie życie w małym drewnianym domku, za którego drzwiami nocą i dniem ujadają wierzyciele? Powtórzyłam nieszczęsny los mojej matki.

Przeklinam dzień, kiedy ta czarna wdowa, ta pajęczycza, moja teściowa, zjawiała się w naszym domu, snując jedwabne kłamstwa i gładkie słówka. Wypłynęły z jej strasznych ust jak srebrzyste nici i pochwyciły mnie w swoją sieć. Zresztą cała rodzina, wszyscy zmusili mnie do małżeństwa z twoim ojcem. Zanim go poznałam, o moją rękę starali się lekarze, prawnicy, inżynierowie, a nawet wykształcony w Londynie chirurg mózgu, ale nie mogłam się zdecydować.

Mając taki wybór, wybrzydzałam, w każdym dopatrując się wad. Jeden był za niski, drugi za chudy, trzeci miał krzywy nos, a czwarty inny feler. W moim świetlanym rajku widziałam księcia - jasnoskórego, wysokiego, przystojnego i bogatego. Cierpliwość poczytywałam za cnotę. I patrz, jak skończyłam. Teraz mogę sobie tylko pluć w brodę, że nie wybrałam któregoś z nich.

- Mój syn to dobry człowiek, Rani - powiedziała mi pajęczycza. - Prawy, pracowity i miły.

Na razie jest tylko nauczycielem, ale z jego głową do interesów kto wie, do czego dojdzie w świecie.

Oczywiście ani się wtedy zająknęła, że jest nałogowym graczem. W końcu zostałam zmuszona do ślubu z nim ze względu na mojego brata, który nie wie, czemu zadurzył się w córce pajęczycy. Jeśli chcesz znać moje zdanie, to jego nagła decyzja o ślubie z tą dziewczyną była bardzo podejrzana. Te oczy zbitego psiaka, te nijakie usta. Nawet jak na ówczesne kanony urody niczym się nie wyróżniała. A jednak wystarczyło jedno spotkanie, by jego obojętność zmienić w niezłomne postanowienie.

- Ożenię się tylko z nią, z żadną inną - oświadczył przekonany, że właśnie ona jest mu pisana.

Niemożliwe, żeby zauroczyła go tymi smutnymi oczami i świętoszkowatymi ustami.

Mieszkając tak blisko zaklinacza węży, na pewno obie - i matka, i córka - wykorzystwały jego złe duchy. Rzuciły urok na mojego brata. Wiem od ojca, że kiedy we trójkę pojechali zobaczyć narzeczoną, poczęstowano ich ciastkami kokosowymi, smakującymi inaczej niż te, które znał.

Nawet mama przyznała, że były inne. "O kwiatowym smaku" – powiedziała. I tak pyszne, że brat zjadł aż pięć!

Ta stara wiedźma coś do nich dodała. Jakiś napój miłosny, żeby brat zakochał się w jej płaskonosej córce. Zmienił się. Jeśli tylko mógł, jechał motorowerem do Kuantanu, ale nie żeby się z nią spotkać. Skądże, pajęczycy nigdy by na to nie pozwoliła. Tłukł się taki kawał drogi tylko po to, by usiąść w kawiarni naprzeciwko szkoły sultana Abdullaha i tęsknym wzrokiem gapić się na nią, kiedy prowadziła na boisku lekcję WF. No i, nie wygląda ci to na urok zaklinacza węży?

"Wyjdź za niego" - powtarzali chórem. Co mogłam zrobić? Postawić się? Poświęciłam świetlane marzenia dla brata. I co za to mam? Zrujnowane życie! Brata niewdzięcznika, który przestał się do mnie odzywać, nicponia hazardzistę za męża i dzieci, które mnie nie szanują!

Los srodze mnie po karał.

Tak więc poślubiłam Lakszmanę. Wiesz, co zrobił z moim posagiem? Przegrał go w naszą noc poślubną. Do ostatniego ringgita. Nim dobiegła końca, przeputał całe dziesięć tysięcy. Często wracam do niej pamięcią, nigdy jej nie zapomnę. Jest jak utajone miejsce, którego nie ima się czas.

Wszystko tam tak pięknie zmumifikowane, że za każdym razem doznaję wstrząsu. Każda myśl i uczucie zachowane są w zwodniczo dobrym stanie, bym myślała, że przeżywam to od nowa. Widzę, czuję i słyszę wszystko, wszystko. Przynies poduszki pod moje biedne, spuchnięte kolana, a opowiem ci dokładnie, co zrobił mi mój cudowny mąż.

Znów jestem dwudziestoczteroletnią panną młodą. Siedzę w niemalowanych drewnianych ścianach przytłaczającej, ciasnej sypialni twojej babki Lakszmi na brzegu dziwnego srebrnego łóżka, na wprost lustra w drzwiach szafy z ciemnego drewna. Moje odbicie tonie w cieniu, ale wyglądam młodo, a ciało mam jędrne i smukłe. Wyraźnie widzę żółtawą moskitierę, która niczym miękka chmura zwiesza się nade mną z czterech słupków łoża. Na niebie błyszczą księżyc w kwadrze. Dziwna rzecz z jego światłem. Właściwie nie jest to światło, tylko tajemnicza srebrna poświata, łaskawa i pieściwa jedynie dla tego, co lśniące i blade. Widzę, że stroni od zwiniętego ozdobnego dywanu i okrada z bogactwa kolorów haftowaną makatę na ścianie, odbija się za to od szklanego wazonu ze szlaczkiem z pomarańczowych kwadratów. Szczególnie życzliwie traktuje rozpakowany dopiero co prezent ślubny - połyskujący bielą i świetlanym różem komplet taniej chińskiej porcelany. Migoce srebrna taca.

Jest wilgotno i duszno. Mokry pas, za który zatknięte są wszystkie starannie ułożone fałdy sari, nieprzyjemnie drażni mi skórę. Mały wiatraczek bohatercko roztrąca ciężkie, duszące powietrze. Wsłuchuję się w kosztowny szelest mego jedwabnego stroju. Przypomina prowadzoną szeptem rozmowę, której nie rozumiem. Okno jest otwarte i w moje miastowe uszy bije nieoczekiwane granie nocnych owadów. Przywykłam do ludzkich głosów.

Oblizuję wargi i smak szminki miesza mi się z zapachem świeżego lakieru do paznokci.

Pomiędzy złączonymi palcami gromadzi się lepki pot... O, po ścianie znowu lezie jak pijana ta głupia komarnica. Nic się nie zmieniła. Wygląda dokładnie tak samo, jak piętnaście lat temu...

W głowie mam harmider niczym na chińskim pogrzebie - słyszę gongi, cymbały, zawodzenie, lament, niepojęte szuranie stóp, a potem milczenie wszystkich w domu. Wiedzą, że tu jestem.

Choć siedzę cicho, słyszą mnie. Słyszą moją krzywdę i czują mój wstyd....wstyd czuję do dziś.

Ostrą woń bijącą od wazonika z kwiatami jaśminu, które dałam Lakszmanie w dowód miłości.

Skloniłam przed nim głowę i wręczyłam mu je nie śmiało. Wziął wazonik, ale kiedy podniosłam oczy, zobaczyłam, że odstawia go niedbale na stolik przy łóżku. Wazonik przewrócił się i potoczył, a piękne kwiaty wyleciały na blat i spadły na podłogę. Tak spieszo mu było wyjść, że nawet nie spojrzał na mój prezent. Zostawił mnie samą w małżeńskim satynowym łożu obsypanym płatkami kwiatów i popędził do jakiejś zaplutej szulerni w chińskiej dzielnicy.

Nie ma go, a ja słyszę ciszę w całym domu. Śmieją się ze mnie w duchu. Siedzę sztywno we wspaniałym sari i czekam na niego. Po cichu. W milczeniu. Ale płonie we mnie gniew straszny, rozżarzony do białości. Gniew trawiący trzewia. Mój mąż ma mnie za nic! To nie do zniesienia!

Zrobił ze mnie idiotkę. Jeśli sądził, że przystanę na rolę potulnej, głupiej panny młodej, to srodze się mylił. Urodziłam się i wychowałam w mieście twardych ludzi i nie dawałam sobie dmuchać w kaszę. Nie byłam wiejską gęsią. Często porównywano mnie do narowistej klaczy wyścigowej.

Godziny płyną, a w lustrze błyszczą groźnie moje pięknie umalowane oczy. Twarz mi tężeje w gniewne oblicze bogini Kali, a dłonie sztywnieją od zaciskania i wyrastają z nich szpony. Z miękkich czerwonych warg pozostała jedynie cienka linia. Pałam żądzą zemsty. Chcę rzucić się na niego i zatopić świeżo pomalowane paznokcie w jego oczach. Lecz nie wraca.

A kiedy zjawia się o świcie, opętany dziwnym wewnętrznym gniewem, tylko na niego patrzę. Bez słowa przygniata mnie i gwałci. Nie płaczę, nie krzyczę, biorę go w objęcia. Przyciągam do siebie pożądliwie i tak ściśle oplątam rękami i nogami, że poruszamy się jak jedno zwierzę. Nawet rozżarzona gniewem do białości, wiem, że w tym właśnie tkwi moja moc. Jego słabość to źródło mojej potęgi. W łóżku to ja będę panią. A żądza, by powtórzyć owo niezwykle spółkowanie, zawsze przygoni go do mnie z powrotem. Odurzona od kryciem własnej zmysłowości i władzy, czuję, że palący mnie od środka gniew wyciska z oczu łzy. Spływają mi po policzkach.

Z fascynacją obserwuję, jak jego twarde ciało wygina się w łuk, a usta otwierają się i zamykają w niemym krzyku, jakby parodiował zrozpaczoną hipopotamicę stojącą nad zeszywniałym trupem swego dziecka. Ale po niewielu sekundach, przyklejony do mnie, odskakuje jak sprężyna.

Siada przygarbiony na brzegu łóżka, chowa głowę w dłoniach i płacze niepokieszony.

Światło księżyca lubi mojego męża, tak wydłużając jego zgięte plecy, że zdają się nie mieć końca.

Gra na jego ciele. Tu rzuci szczyptę blasku, tam odrobinę cienia. Wypięknia go. Wyciągam rękę i delikatnie, z czcią dotykam gładkich, rozkosznych płaszczyzn jego ciała. Żałuje tego, co zrobił. Na jego jasnej skórze moje palce są ciemne. Onieśmielają mnie uczucia, które wy dobyłam i odkryłam.

To moja noc poślubna, myślę. Nie tego oczekiwałam, ale tak silna namiętność i doznania są o wiele lepsze od głupiutkich romantycznych rojeń, którymi naiwnie się karmiłam.

Jest mój, myślę z dumą, lecz gdy tylko ta upajająca myśl uderza mi do głowy, słyszę, że mój mąż prychnął jak kaszlący jeleni i łka:

- Nie powinienem był się z tobą żenić. Boże, za żadne skarby nie powinienem był się z tobą żenić. Popełniłem straszliwy błąd.

Widzę to: moje ciemne ręce nieruchomieją raptownie w zagłębieniu jego twardego boku i w oniemiałym zdumieniu słucham, jak łkając, raz po raz powtarza: "Nie powinienem był się z tobą żenić".

Stracił wszystkie nasze pieniądze, głęboko mnie zranił i upokorzył, a mimo to dygotałam i wibrowałam pod jego ciałem jak napięta struna. Jego niedostępna rozpacz dziwnie mnie pociągała, a bezlitosne odtrącenie rozpałało krew. Nie mogłam oprzeć się pokusie ujarzemia takiego mężczyzny. Kiedyś ta piękna zraniona istota znajdzie ukojenie w mych ramionach i odpędzę od niej wszystkie troski, pomyślałam. Sprawię, że mnie pokocha, przyrzekłam sobie. Jeszcze spojrzę na mnie gorącym wzrokiem.

Do dziś czuję blizny po tej nocy. Postąpił ze mną niewybaczalnie, okrutnie, ale był taki piękny... oślepił mnie swoją urodą. Ach, gdybyś go wtedy widziała. Kiedy zdejmował koszulę i podnosił ciężary na podwórzu za domem, Malajki z naprzeciwka podglądały go zza zasłon.

A gdy szłam z nim ulicą, kobiety gapiły się na niego i zazdrościły mi takiego mężczyzny.

Pokochałby mnie, gdyby nie ta pajęczycza, która zawisła nad naszym młodym małżeństwem, sącząc mu do ucha truciznę i snując kłamstwa o mnie. Nienawidziła mnie. Uważała, że nie jestem dość dobra dla jej syna. I kto to mówił? Nawet za młodu nie była piękną. Na zdjęciach widać, że jedyny jej walor to jasna cera. Zazdrosna o wszystko, znajdowała we mnie same wady. Za nic nie chciała utracić resztek wpływu na ukochanego syna. Pragnęła go mieć dla siebie i używała do tego pieniędzy. Z ich pomocą próbowała zdobyć nad nim władzę. A przecież mogła wesprzeć nas finansowo. Stara kutwa nabierała w banku kupę forsy, do czego przyczynił się mój mąż. Mogła nam pomóc, ale wolała patrzeć, jak gryzę kamienie.

Zadziera nosa, lecz mnie nie zwiedzie. Opowiada mojej córce, że wszystkich męskich przodków w jej rodzinie spalono jak królów na stosach pogrzebowych z wonnego drewna sandałowego, a przecież jej ojciec był tylko służącym! Moja matka ma znacznie skromniejsze pochodzenie. Wywodzi się z bardzo poważanej rodziny kupieckiej. Była nawet zaręczona z bogatym kupcem malajskim. Wybrał ją po przejrzeniu zdjęć wielu dziewcząt i zaczął przygotowywać wspaniałe wesele, zanim posłał po nią na Cejlon. Wypłynęła w towarzystwie niezamężnej ciotki przyzwoitki, zabierając z sobą dużą żelazną kasetkę z biżuterią. Była niezwykle piękna, miała szesnaście lat, prześliczne policzki i duże, lśniące oczy. Przyjacielowi rodziny zlecono, aby czuwał nad nimi w podróży i dopilnował, żeby nietknięte dotarły bezpiecznie na miejsce. Niestety, najbliżsi mojej matki nie wiedzieli, że osoba, której powierzyli bezpieczeństwo obu kobiet, jest zdrajcą. Podczas podróży na Malaje postawny, ciemnoskóry opiekun mamy zmusił ją na statku do pośpiesznego małżeństwa.

Nim wysiadła na ląd, w jej brzuchu weszło nasienie, z którego wyrósł mój najstarszy brat.

Czasem, kiedy zamknę oczy, jeszcze słyszę jej cichy płacz, dobiegający zza cienkiej ściany oddzielającej sypialnię rodziców od pokoju, w którym my, dzieci, spałyśmy na matach rozłożonych na podłodze. Albo jej błaganie o kilka dodatkowych ringgitów na jedzenie dla nas.

Nieraz, gdy słyszałam jej szloch, zadawałam sobie pytanie, jak wyglądałoby moje życie, gdybym przyszła na świat z jej związku z tym bogatym kupcem. Myślę jednak, że ogromnie by mi brakowało mojego ojca, którego bardzo kocham.

Kochałam go nawet wtedy, kiedy zrywał biżuterię z bez władnie leżącej mamy, a w domu nie było co jeść i przymieraliśmy głodem. Kochałam go nawet wtedy, kiedy wybiegał z domu na wyścigi, ściskając w wielkich ciemnych dłoniach tygodniówkę. Nie przestałam go kochać, gdy

upokorzył mnie sklepikarz, który nawrzeszczał na mnie po chamsku, żebym nie przychodziła prosić o chleb, dopóki ojciec nie ureguluje długu. Boże, kochałam go nawet po tym, jak wysłał moich trzech braci na kurzą fermę swojej okrutnej siostry, gdzie biedacy musieli codziennie czyścić rzędy kurników, a wuj bił ich kawałkiem deski.

Myśląc o tacie, widzę go zawsze w małym sklepiku spożywczym, który odziedziczył za Japończyków, w parterowym drewniaku ze ścianami z ciemnobrązowych, częściowo zmurszałych desek, za to naszym własnym. Sklepik był od frontu, a na tyłach, za zasłoną we wzorki, mieszkała nasza rodzina. Dzięki niemu za okupacji mieliśmy ryż, cukier i inne produkty. Przyglądałam się ojcu, jak na starej wadze waży towary, używając jako odważników rozmaitych kawałków metalu.

Z czasem stracił wzrok wskutek zaćmy, ale w mojej pamięci widzę go siedzącego przy małym stole w otoczeniu odwiniętych worków z ziarnem, fasolą, cebulą, cukrem, mąką i innymi towarami sypkimi. Po wejściu do sklepu w nos uderzał przemożny aromat suszonego chili, potem wyczuwałaś zapachy kminku i kozieradki, a na samym końcu nieco stęchłą woń jutowych worków.

Stojące przy drzwiach duże słoje z czerwonymi plastikowymi przykrywkami zawierały intrygujące ciasteczka.

Uwielbiałam nasz sklep. Należał do ojca, ale gdy zamykano go od frontu, przechodził w moje posiadanie. Godzinami bawiłam się wagą i przeglądałam papiery taty. Czytałam na głos księgę zamówień ze stronami pokrytymi jego niestarannym, dużym pismem i cenami, obok których stawał duże niebieskie fajki. Wysuwałam szufladę kasy i bawiłam się pieniędzmi, udając, że sprzedaję towary i wydaję resztę, a przed wyjściem zawsze wkładałam do kieszeni kilka monet.

Lubiłam słuchać, jak dzwonią, a tata nie zauważał ich braku.

Były to najszcześniejsze dni w moim życiu.

Pewien chłopak, który dostarczał nam towar, powiedział, że jestem piękna.

Raz na zapleczu próbował pogłaskać mnie po twarzy, ale go wyśmiałam, mówiąc, że na pewno nie wyjdę za nikogo, kto ma takie brudne łapy. Już wtedy, choć liczyłam sobie zaledwie dwanaście lat, chciałam poślubić bogacza, takiego jak malajski narzeczony mamy. Będę mieć służbę, marzyłam, śliczne rzeczy, piękne stroje, będę kupować tylko u Robinsona, a wakacje spędzać w Anglii i Stanach. Ludzie będą się liczyć w mojej obecności ze słowami i okazywać mi szacunek. Do głowy im nie przyjdzie odzywać się do mnie takim tonem jak do mojej matki. Kiedyś stanę się bogata.

Któregoś pięknego dnia...

Po odejściu Japończyków ojciec przegrał nasz sklep na wyścigach i przeprowadziliśmy się do Klang. Nadeszły bardzo ciężkie czasy, bo nie pojawiał się w domu tygodniami, a my całymi dniami głodowaliśmy. Bracia podkradali jedzenie ze sklepów w mieście, ale sklepikarze w końcu ich rozpoznali i przyszli do nas, żeby ich złać. Biedna mama musiała wybiec na dwór, upaść im do nóg i błagać o litość. W tamtym czasie do naszego domu zaczęli wchodzić bez pytania dziwni ludzie, licząc, że znajdą coś cennego do zabrania. Odchodzili z kwitkiem, spluwając z obrzydzeniem na nasz próg, a my jakoś przetrwaliśmy.

Wreszcie zdałam maturę i zostałam wykwalifikowaną nauczycielką, ale postanowiłam nie pracować. No, bo po co? Nadszedł czas, by poślubić wyśnionego bogacza. Nie chciałam pracować, chować dzieci i doglądać służby. Oczywiście mój wspaniały mąż zadbał o to, żebym jej nie miała.

Po zamieszkaniu w domu pajęczycy starałam się być dla niej dobra i uprzejma. Pomagałam kroić warzywa, a czasem nawet zamiatałam, ale nie była ze mnie zadowolona. Cały czas widziałam w jej świdrujących oczach chłodną dezaprobatę. Niczego nie robiłam dobrze. Śledziła mnie bystrym, potępiającym wzrokiem, jakbym była złodziejką.

Dopiero po wielu latach zdałam sobie sprawę, że ukradłam pajęczycy najcenniejszy skarb – syna. Po jakimś czasie zaczęłam się bać jej bacznych oczu. Dyszała zazdrością, pluła nią, gdy tylko otwarła usta. Kiedy spodziewałam się pierwszego dziecka - Nasha, ktoś mi powiedział, że powinnam jeść kwiaty szafranu sprowadzone specjalnie z Indii, dużo pomarańczy i płatki hibiskusa, to urodzę jasne dziecko. Kupiłam wszystko w tajemnicy przed teściową i jadłam w naszym pokoju przy zamkniętych drzwiach, żeby nie zobaczyła i nie spojrzała na mnie złym okiem. Po trzech miesiącach spędzonych w tym przeklętym domu często czułam się tak źle, że, aby uniknąć jej zazdrosnych oczu, siadałam na werandzie. Musiała wypatrzeć w koszu skórki pomarańczy i szypułki kwiatów, bo mój Nash, na którego z pewnością rzuciła urok, urodził się jednak ciemny.

Gdy zaś byłam w ciąży z Dimple i Bellą, jadłam dokładnie to samo, a jednak moje obie córki mają jasną cerę. Oto dowód, jak złe są jej oczy.

Zawsze byłam nieufna wobec rodziny męża. Dziwne są ich sprawy. Spójrz tylko, jak silnie ich czary podziały na mojego brata. Choć minęło wiele lat i zarobił tyle pieniędzy, że dziewczyny ścielą mu się do nóg, on wciąż świata nie widzi za tą kompletnie bezbarwną córką pajęczycy.

A jeszcze ten ich niesamowity zbiorowy obłąd na punkcie zmarłej Mohini. Przy Lakszmanie nie wolno mi wymieniać jej imienia, bo zaraz wychodzi z pokoju. Podczas jakiejś kłótni niechcący o niej wspomniałam, a wtedy tak się wściekł, że o mało mnie nie zabił. Chwycił mnie za szyję i poczułam, że ma wielką ochotę zacisnąć ręce jak imadło. Dopiero kiedy zaczęłam się dusić i zsiniałam, odepchnął mnie z dzikim wyrazem twarzy i opuścił je bezwładnie. Cała ich rodzina

otacza tę zmarłą dziewczynę wręcz niezdrowym kultem. Kiedy Lakszmanie pokazano dziecko, zbladł jak prześcieradło.

- Mohini - wyszeptał obłąkańczo.

- Dimple - powiedziałam, bo postanowiłam dać naszej najstarszej córce imię słynnej hinduskiej gwiazdy filmowej.

Nie dostrzegam u niej żadnego podobieństwa do nikogo z jego rodziny. Dimple kropka w kropkę przypomina moją matkę. Ta sama figura. Te same śliczne policzki i twarz w kształcie serca.

Pajęczycza chciała ją nazwać Niśa. Znaczy to nów księżycza czy coś takiego. Powiedziała, że jeżeli dziecku da się imię bez znaczenia, bez znaczenia będzie również jego życie, na szczęście ja nie wierzę w takie staroświeckie bajdy. Chciałam, żeby miała współczesne, ładne imię, i zostałam przy Dimple. Czyż nie jest znacznie ładniejsze od imienia Niśa? Po moim powrocie ze szpitala odwiedził nas ten dziwak Sevenese. Podeszedł do kołyski Dimple i zbladł. Spojrzał, zszarzał na twarzy i wykrzywił się z przerażenia.

- Och, nie! - zawołał.

- Co? Co?! - krzyknęłam, rzucając się do córki.

Myślałam, że przestała oddychać lub stało się coś równie strasznego, ale Dimple spała zdrowo w biało-różowej kołysce. Jej mała pierś unosiła się i opadała miarowo i łagodnie, a z usteczek wystawał śliczny różowy języczek. Dotknęłam jej buzi. Była miękka i ciepła. Spojrzałam gniewnie na Sevenesea, bo niepotrzebnie mnie zdenerwował. Minę znów miał normalną.

- O co chodzi? Co oznaczał ten okrzyk? - spytałam zirytowana.

Uśmiechnął się bez troski.

- Śmierć mnie pozdrowiła - odparł.

Choć z chęcią dałabym mu w twarz, zaczęłam nalegać na odpowiedź. Zbył mnie śmiechem i zmienił temat. Nigdy mnie nie lubił, więc rozmowa nam się nie kleiła. Wstał i wyszedł tak nagle, jakby dłuższe przebywanie pod moim dachem było dla niego nieznośną męką. Czasem mam wrażenie, że Sevenese tylko jedną nogą żyje na tym świecie. Nie rozumiem go.

Ale nie on jeden jest dla mnie twardym orzechem do zgryzienia. W ogóle trudno mi zrozumieć ludzi. Dlaczego za moją życzliwość zawsze odpłacają zawiścią i niechęcią? Nawet moja własna rodzina woli nie pamiętać, ile dobrego dla niej zrobiłam. Czasem, po kolejnej awanturze z ojcem, matka wpadała w depresję. Zaszywała się w sypialni, zamykała okna i całymi dniami leżała beczynnie w łóżku. Kiedy zakradałam się do niej, twarz miała bez wyrazu. Pustą. Nawet źrenice jej nie drgnęły. W takich razach wpadałam w straszny popłoch, że już się nie ocknie, i chciałam z całej siły uderzyć ją w twarz, żeby sprawdzić, czy zareaguje. W tych ponurych czasach to ja - za własne pieniądze z lekcji malajskiego, których udzielałam sąsiadce, pani Muthu - kupowałam

jedzenie dla rodziny. To ja wychodziłam po chleb i dzieliłam go między braci. Wślizgiwali się do domu, po śpiesznie się posilali i znikali, żeby nie mieć do czynienia z leżącą jak kłoda mamą.

A teraz słyszeć nie chcą, że coś mi się za to należy.

Choć sama byłam jeszcze dzieckiem, to na nich wydawałam wszystko, do ostatniego sena, a kiedy się wzbogacili i siedzą w wielkich domach, nie chcą mnie znać. "Mierz siły na zamiary" - pokrzykują, jakby to był jedyny sposób na odpędzenie biedy. "Inni żyją skromniej" - upominają z pogardą. A potem krzywią się z wyrzutem i pytają obłudnie: "A co z pieniędzmi, które dałem ci poprzednio?"

Tak jakby te dwa czy pięć tysięcy jałmużny mogły starczyć na całe życie. Chcą, bym żyła jak ta kutwa pajęczycyca... Nic z tego. Z jakiej racji miałabym się liczyć z każdym senem, skoro mam takich bogatych krewnych?

Na początku, po wprowadzeniu się do nowego domu, ja i Lakszmana z trudem płaciliśmy rachunki, więc poszłam po rozum do głowy i zajęłam się swataniem. Kilku młodym znalazłam narzeczone. To ja naraiłam żonę Dzejanowi. Żeby ją upolować, pojechałam za własne pieniądze do Seremban. Do stałam prowizję, zgoda, ale ledwo wyszłam na swoje. A jaki kwiat mu znalazłam!

Owszem, dziewczyna nie miała większych zalet, lecz dla takiego niedojdy była niezrównanym skarbem. Po ślubie zaprosiłam ich pod swój dach i zostali trzy miesiące, jedząc i żyjąc na mój koszt. Pofatygowałam się nawet do chińskiego sinse, by kupić szwagrowi lecznicze korzenie i proszki na potencję. Był cherlawy. Wierz mi, gdyby nie ja, to nie dorobili by się dwóch córek.

I co mnie za to spotkało?

Ta dziwka zaczęła robić słodkie oczy do mojego męża. Uratowałam ją od staropanieństwa, przyjęłam pod swój dach, żeby nie musiała żyć w długim cieniu teściowej pajęczycy, i jak mi się odplaciła za dobre serce? Chciała mi odbić męża! Ta niewdzięczna, ale bardzo sprytna, podstępna pinda, wystrojona w odświętne szatki kręciła się po kuchni, udając wzór domowych cnót. Uparła się, żeby gotować. W milczeniu zmuszałam się do jedzenia niesmacznych kawałków mięsa pływających w wodnistym curry. Aż tu jednego razu widzę, że Lakszmana rzuca jej mięso na stół.

Ośmieliła się go poprosić o kupienie! Mojego męża! Nawet ja sama chodzę po zakupy. A ta zalotnica podstępnie zaczęła się wkładać w jego łaski. Od razu poznałam, co się święci. Znam kobiecą naturę. Kobiety są znacznie niebezpieczniejsze od mężczyzn. No bo czym jest mężczyzna, jeśli nie łatwowiernym dodatkiem do wałka mięsa, który wisi mu pomiędzy nogami? Tak, to kobieta jest drapieżką.

Jej serce jest jak paszcza najeżona długimi, ukrytymi zębami. Każdy z nich wyostrzony, chytrze udaje pięknie umalowaną twarz, powłóczyście spojrzenie, na wpół obnażone ciało, nieśmiały uśmiech, nogę wdzięcznie zarzuconą na nogę, gładkie udo, biały przegub lub odkryty, aksamitny kark. Kobieta zatapia je jeden po drugim w nieprzygotowanej ofercie, a im zwawiej się ona wyrywa, tym mocniej zwiera szczęki, szybko paraliżując zdobycz i zmuszając ją do uległości.

Mój mąż był bardzo przystojny, dlatego ta dziwka zagięła na niego parol. Nic nie wiedział o jej zębach, w przeciwieństwie do mnie. Pewnego dnia ukradła mój najlepszy przepis i na moich oczach próbowała przedstawić go jako własny. To się nazywa tupet!

Przesadziła.

Idiotka wymarzyła sobie rycerza na białym koniu. Ale Lakszmana nie jest bohaterem.

Nie ma w nim krzty czułości. To lew w ludzkiej skórze, zbyt próżny i samolubny, by zdolny był do miłości. Taką myszkę jak ona to chwilę by pozuł i wypluł z niesmakiem. Widząc, jak wciąż bierzemy się za łby, ubzduriała sobie, że jesteśmy wrogami.

- Nie - powiedziałam jej prosto w rozdziawioną gębę. - Mój mąż i ja przypominamy związane z sobą ostrza sekatora, które zgrzytają, ocierając się o siebie, lecz przetną na pół każdego, kto wejdzie pomiędzy nie. Nie widzisz, gdzie w tej chwili stoisz? Pomiedzy nami! - wrzasnęłam.

- Moja krew płynie w nim, a jego we mnie. Czasem tak mnie rozwściecza, że z chęcią wlałabym mu do pępka, kiedy śpi, wrzący olej albo rzuciła krokodylom na pożarcie. Całego - z kośćmi, rogami, kopytami, skórą, a nawet okularami. Kiedy indziej zaś jestem zazdrosna nawet o powietrze, którym oddycha. Zazdrosna do obłędu nawet o kobiety, które ogląda w telewizji.

Radha nic nie wiedziała o moim namiętym uczuciu. Nie miała o nim pojęcia. Stała, wstrząśnięta, z otwartymi ustami niczym ryba wyjęta z wody. Moja miłość to owadożerna roślina, która odżywia się takimi jak ona. Nawet jeśli w ślepej furii rzucam się Lakszmanie do oczu, nawet jeśli nastawiam przeciwko niemu własnego syna, Nasha, to bardzo go kocham i nigdy nie pozwolę mu odejść. Jest mój. Ale swoją miłość skrywam głęboko i nawet on, przedmiot mojej nieokiełznanej na miętności, o niej nie wie. Bardzo wcześnie odkryłam, że ta miłość jest batem, którym on może mnie wysmagać, tak więc Lakszmana dalej żyje w przeświadczeniu, że go nienawidzę. Że nie znoszę jego widoku.

- Wynoście się z mojego domu! - wydarłam się na nich. Na nią i jej męża.

Zaczął mnie drażnić Dżejan i widok jego żalonych, spragnionych miłości oczu. Pętał się przy tej podstępnej zmii, zapatrzony w nią jak dumny pies. Mam nawet wrażenie, że czasem po psiemu ziajał. Dałam im dwadzieścia cztery godziny na znalezienie sobie innej kwatery. Na szczęście zajęło im to mniej.

Kiedy tylko uwolniłam się od tych dwóch pijawek, od razu zaczęło nam się lepiej wieść.

Lakszmanie udało się sprzedać grunt jakimś Chińczykom. Zwykle niemiłosiernie go wykorzystywali i kantowali. Załatwiał wszystko, co niezbędne do transakcji, a gdy przychodziło do jej podpisania, odsuwali go od niej, zyski dzieląc między siebie. Wracał do domu, wyrzekając, że u tych chińskich krętaczy proste są tylko włosy. Wysłuchiwałam jego skarg, obmywałam mu rany i natychmiast posyłałam go z powrotem w bój. "Jesteś lwem, królem dżungli, więc rycz jak na lwa przystało" – mówiłam. Aż wreszcie po wielu chybionych przedsięwzięciach ubił pierwszy interes.

Zarobił sześć tysięcy ringgitów. I wszystkie sześć oddał mnie! Nie masz pojęcia, co to za uczucie ścisnąć w rękę taką sumę, kiedy przez całe życie liczyłaś się z każdym senem. W tamtych czasach sześć tysięcy to było mnóstwo pieniędzy, prawdziwa fortuna. Wystarczy powiedzieć, że nauczyciel zarabiał wtedy czterysta ringgitów miesięcznie. Ale ja, w przeciwieństwie do tej wstrętnej pajęczycy, nie byłam sknerą i za nic nie chciałam trzymać gotówki, żeby się za bardzo do niej nie przywiązać. Dlatego urządziłam Nashowi najwspanialsze przyjęcie urodzinowe. Kuantan nie widział dotąd takiego. Przede wszystkim zafundowałam sobie niezwykle czarno-czerwoną kreację z wysokim kołnierzem i odsłoniętymi ramionami. Do niej rozrzutnie dokupiłam boską parę czerwonych pantofli. I wydałam dwa tysiące ringgitów na bajeczną kolię. Prawdziwe cacko, mieniące się autentycznymi brylantami i rubinami wielkości moich paznokci u stóp.

A potem zaczęłam planować i załatwiać.

Z Kuala Lumpur przywieziono zamówioną lodówkę i wreszcie nadszedł dzień przyjęcia.

Włożyłam nowe czerwone pantofle. Nie mogłam uwierzyć, że kobieta w lustrze to ja. Fryzjerzy - najdrożsi w Kuantanie - spisali się fantastycznie. Naprawdę świetnie znali swój fach. O piątej po południu zaczęli zjeżdżać goście. Maluchy ubrane w falbanki, wstążki i miniaturowe muszki.

Tradycyjny tort, galaretkę i lemoniadę podano w ogrodzie, ale prawdziwe przyjęcie odbyło się znacznie później, po odjeździe dzieci, gdy zostali sami wytworni dorośli: szczupłe panie o rozłożystych biodrach i panowie o ciemnych wąskich oczach. Potrawy i obsługę zamówiłam w firmie. Grała mała orkiestra, strzelały sztuczne ognie i lał się prawdziwy szampan. Ściągnęliśmy buty i tańczyliśmy boso na trawie. Było świetnie. Wszyscy się upili.

Rano na schodach przed naszym domem spali ludzie. W lodówce znalazłam damskie majtki.

Wielu do dziś pamięta ten jubel. Niestety, po moim przyjęciu znowu zaczęło nam się źle powodzić.

Lakszmana przegrał ostatnie dwa tysiące i raptem zostaliśmy bez pieniędzy. Mimo wylewnych podziękowań, jakie po tej zabawie przysłali nam goście, nikt z nich nie kwapił się z pomocą.

Kiedy poszłam z wizytą do jednej takiej, udała, że nie ma jej w domu. Na piąte urodziny Belli nie stać nas było nawet na tort.

Żeby mieć najedzenie dla dzieci, zastawiłam w lombardzie moją nową, wartą dwa tysiące ringgitów kolia za marne trzysta dziewięćdziesiąt. Pamiętam, że na jej widok Chińczykowi za żelazną kratą zaświeciły się oczy. Udając wahanie, obejrzał ją przez dużą porysowaną lupę. Minęło pół roku, a ja wciąż nie miałam pieniędzy na wykupienie klejnotu. Lakszmana zaniósł kwit z lombardu do pajęczycy, żeby sprawdzić, czy zechce wykupić naszyjnik i zatrzymać do czasu, aż będzie nas na niego stać, ale ta stara gangrena powiedziała: "Nie chcę mieć nic wspólnego z waszą rozrzutnością". Tak więc moja piękna kolia przepadła u Chińczyka z diabelskim błyskiem w oku.

Lakszmana i ja zaczęliśmy drzeć koty. Ale się kłóciliśmy! Do wymiany ciosów mogło dojść choćby z powodu różnicy zdań na temat przyrządzania jajecznicy. Bardzo szybko nauczyliśmy się zduszonej muzyki zderzających się z sobą ciał. Przestałam gotować. Dla siebie i dzieci kupowałam głównie jedzenie na wynos, a on po powrocie wieczorem do domu pitrał sobie curry z soczewicy i piekł czapati. Jadł samotnie na dole. Gdy wchodził na górę, już leżałam w łóżku. Chcąc mi dokuczyć, kuł mnie w oczy świetlanym wzorem swojej matki. "W życiu nie kupowała na wynos".

Dawał mi coraz mniej pieniędzy. Jedzenie tyle kosztowało, a nie miałam już od kogo pożyczać.

Aż tu raptem, kiedy Nash miał dziewięć lat, jego ojciec ubił kolejny interes. Przyniósł do domu dziewięć tysięcy ringgitów. Tego wieczoru znów zaczęliśmy z sobą rozmawiać. Właśnie wtedy powiedziałam: "Dosyć tego. Czas, żebyśmy przenieśli się do dużego miasta. Spróbujmy szczęścia w Kuala Lumpur". Miałam serdecznie dość życia w niedużym prowincjonalnym mieście, gdzie wszyscy wiedzą, jak kto siedzi. Zresztą w Klamanie nie miałam przyjaciół. Nawet sąsiedzi traktowali mnie bardzo chłodno. Wyjeżdżałam z radością. Jedyną sympatyczną osobą okazał się mój teść. Zawsze był dla mnie miły. Przyciśnięta do muru, odwiedzałam go w miejscu pracy, a on ratował mnie kilkoma dolarami najedzenie dla dzieci. Po załadowaniu dobytku na ciężarówkę po raz ostatni spojrzałam na nasz dom i pomyślałam: "Boże, jak ja cię nienawidzę".

Lakszmi

Aha, więc chcesz usłyszeć prawdę o fruującej skorupie duriana. Siądź przy mnie na łóżku i razem powędrujmy w mroczną przeszłość. Stało się to w tym okropnym czasie, kiedy nałogowa gra Lakszmany zmieniła nasze życie w piekło na ziemi.

- Ama! - zawołała do mnie Anna.

Nie zareagowałam. Widziałam, że przyniosła duriany. Chwilę wcześniej pokłóciłam się z Ają o to, że wtyka Lakszmanie do rąk pieniądze, a ze mnie robi potwora, stwarzając wrażenie, że hazard to nic takiego. Byłam surowa wobec moich dzieci, bo kochałam je i chciałam dla nich jak najlepiej. Gdybym próbowała ułatwić sobie życie, to dla świętego spokoju co jakiś czas też wciskałabym synowi kilka banknotów, ale ja usiłowałam zmienić go na lepsze.

Pragnęłam, żeby zerwał z nałogiem, i dlatego tak złościła mnie słabość jego ojca.

- Ama! - zawołały mnie Anna i Lalita.

Prychnęłam, zirytowana, i puściłam mimo uszu ich wezwanie. Usłyszałam zbliżające się do mojego łóżka kroki. Obróciłam się na bok, w stronę okna, obserwując wyludnione sąsiedztwo.

Z powodu upału wszyscy siedzieli w domach i chłodzili się wentylatorami. Poczułam, że Anna oparła się o słupek łóżka.

- Ama, przyniosłam ci duriany - wyszeptala.

Miała dwadzieścia kilka lat i choć nie była taką olśniewającą pięknnością jak Mohini, to świetnie pasowało do niej intrygujące malajskie powiedzenie "Tahan tengok". Im dłużej patrzysz, tym bardziej ci się podoba. Tego dnia pokazałam Annie moje sztywne, nieprzystępne plecy. Lecz jej lekko wystraszone głos nieco mnie ułagodził. A poza tym poczułam zapach durianów. Moich ulubionych owoców. Gdyby córka za czekała jeszcze chwilę, odwróciłabym głowę i uśmiechnęła się do niej, ale ona zawróciła i wyszła. Poczułam zawód, urażona tym, że się wycofała, nie próbując skuteczniej namówić mnie i przekonać. Pocieszyłam się, że dzieci przyniosą mi duriana na talerzu i wtedy go przyjmę. Kroki Anny skierowały się w stronę werandy.

- Tato! - zawołała do ojca wyraźnie odprężonym i wesołym głosem.

Nieważne, co robiłam i jak bardzo poświęcałam się dla moich dzieci, ale to do niego zawsze odnosiły się miło, i to jego darzyły specjalnymi względami. A przecież to mnie zawdzięczały wszystko! Tego dnia radość w głosie Anny wyjątkowo mnie zirytowała. Szczęśliwa, roześmiana gromadka przeniosła się do kuchni. Beze mnie! Wyobraziłam sobie, co tam się dzieje. Gazety rozłożone na podłodze i emocjonujący rytuał otwierania owoców najeżonych złośliwymi ostrymi kolcami. Trzymanie każdego przez gruby zwój szmat, zamach wielkim nożem, głuchy trzask i niepewność... Jak miękki jest miąższ? Jak bardzo kremowy? Czy zakup jest udany?

Owoc okazał się dobry, bo z kuchni dotarły odgłosy zadowolenia. Któreś się zaśmiało. Rozgadali się. Czekałam jakiś czas, ale żadne nie przyniosło mi porcji. Zapomnieli, że uwielbiam duriany? Że istnieję? Słuchałam ich wesołej paplaniny, a w brzuchu wzbierała mi mordercza agresja. Wskoczyłam z łóżka. Pierś rozsadał mi gniew. Nie wiem, skąd się on u mnie bierze, lecz kiedy się pojawia, przesłania mi cały świat. Tracę rozum, rozsądek, wszystko. Jest tak

niesamowicie silny, że muszę go gdzieś wyładować. Pozbyć się go. Dysząc z furii, wpadłam do kuchni. Tworząca żywy obraz szczęśliwa gromadka, z ustami pełnymi kremowego miąższu, patrzyła na mnie jak na intruza, niemal z przerażeniem. Być może wydałam się im potworem. Z wściekłości niewiele widziałam. Nie myślałam. Coś gorącego i wstrętnego wytrysnęło mi z trzewi i wybuchło u podstawy czaszki. Świat ogarnął mrok. Potwór we mnie zatriumfował. Podniosłam najeżoną groźnymi kolcami skorupę duriana i cisnęłam nią w Annę. Na szczęście zrobiła unik. Durian przeleciał ze świstem nad jej głową jak zielono-kremowa kula i wbił się twardymi wyrostkami w ścianę.

Wpatrzyłyśmy się w siebie: Anna we mnie, niepomierne wstrząśnięta, a ja w nią, bardzo zmieszana. Potwór zniknął. Nikt się nie poruszył. Nikt nie powiedział słowa, kiedy odwróciłam się i wróciłam do łóżka. Nie znajduję słów na wyrażenie tego, co czułam. Nikt nie przyszedł, żeby mnie przytulić, po rozmawiać. W domu zapadła cisza. A potem usłyszałam odgłosy krzątania, sprzątania, zamiatania podłogi, skrzyp otwieranych drzwi, stukot skóry duriana lądującej w koszu, plusk wody z kranu i szelest gazet na werandzie. Nikt nie przyszedł pocieszyć strapionej, zgarbionej kobiety ze złamanym sercem.

Nie chciałam tego zrobić. Kochałam córkę. Wciąż od nowa widziałam świszczącą nieubłaganie w powietrzu skorupę duriana, lecącą ku jej twarzy. Gdyby się nie uchyliła, to albo bym ją zabiła, albo oszpeciła na całe życie. Czułam się zmęczona i wykończona psychicznie.

Nie mogłam siebie znieść. Płakałam nad kobietą, którą byłam. Płakałam, bo brakło mi odwagi, by zrobić pierwszy krok, płakałam nad własną ułomnością, która nie pozwalała mi objąć córki i powiedzieć jej: "Aniu, życie moje, wybacz mi. Tak bardzo tego żałuję". Mogłam jedynie czekać.

Gdyby tylko ktoś przyszedł do mnie porozmawiać, przeprosiłabym. Powiedziałabym, że jest mi ogromnie przykro. Ale nikt nie przyszedł i nikt więcej nie wspomniał o incydencie z durianem.

Czy to nie dziwne, że mimo upływu lat żadne z nich nie wspomniało o tym nawet mimochodem?

Po ślubie Anna wyjechała z mężem, a z nami zamieszkała moja nowa synowa, Rani. Nie myliłam się co do niej. Była z niej "wielka pani". Na każdym kroku starała się pokazać nam, że "jest z miasta". Nic jej nie imponowało, wszystko widziała i znała. Jak na osobę ze skromnej rodziny, mieszkającej w dużym kurniku, zdumiała nas pretensjami i zwyczajami, pasującymi bardziej do zepsutej córki wielkiego bogacza albo nawet księżątka. Kosztowne sari rzucała byle jak, a przed odaniem do pralni wieszala je na sznurze od bielizny i pozostawiała na dworze przez kilka dni. Kiedy zrobiła to po raz pierwszy, zaszokowała nas zgodnie z intencjami. Piękne sari to cenna

scheda, którą córki dziedziczą po matkach. W mojej drewnianej skrzyni do dziś przechowuję wszystkie, starannie zawinięte w papier sari, które dostałam od mamy.

- Mam je wnieść do domu? Zdjąć ze sznura? - spytała Lalita.

- Nie – odparłam. - Zobaczmy, co zrobi.

Na drugi dzień sari mojej synowej zaczęło płowieć w promieniach popołudniowego słońca.

Ponieważ na trzeci dzień Rani też nic nie zrobiła, wystawione na słońce fragmenty tkaniny zrudziały. Tak zostało zniszczone jej czerwone sari.

- Teściowo, jest tu jakaś dobra pralnia chemiczna? - spytała mnie z powątpiewaniem czwartego dnia.

Dopiero wtedy zrozumiałam, że zniszczyła piękne sari tylko po to, by nam pokazać, jaka z niej pani. Miała głowę na karku i obrotny język, ale była leniwa. Nieprzyzwoicie leniwa.

Najchętniej przechwalała się, jacy to lekarze, prawnicy, biznesmeni i chirurdzy mózgu uderzali do niej w konkury. Nie chciałam jeszcze wtedy psuć naszych stosunków pytaniem, dlaczego w takim razie wyszła za nauczyciela hazardzistę. Udawałam, że nic nie wiem o liście, w którym błagała Lakszmanę, żeby ją poślubił. Raz zaofiarowała się, że pokroi warzywa. Patrzyłam ze zgrozą, jak myje pokrojone cebule, a potem zмага się z ziemniakami, które skaczą w jej rękach jak żywe.

O dziesiątej zamykała się na klucz w sypialni i pojawiała się dopiero na lunch. Po lunchu wracała do pokoju i spała do powrotu męża! Nie posiadałam się z oburzenia. W życiu nie spotkałam większego lenia. Kiedy zaszła w ciążę, odmówiła wchodzenia do kuchni, gdyż rzekomo mdliło ją od zapachu jedzenia. Zasłaniała nos kawałkiem materiału i siadywała na werandzie, gawędząc po angielsku z Ają. Lubiła go, bo zawsze wtykał jej po cichu pieniądze. Wylegiwała się w łóżku i posiłki trzeba było jej nosić do sypialni. Wieczorem zaś ciągle by latała do kina i restauracji.

Nic dziwnego, że wciąż potrzebowała pieniędzy. Przelatywały jej przez palce niczym piasek.

Nie znam oprócz niej nikogo, kto poprosiłby osobę jadącą na wakacje do Kalifornii o kupienie dwóch gotowych sari w butik w Bel Air. Ilekroć w rozmowie pada jej imię "Rani", wszyscy wspominają tę ekstrawagancję.

Lata dojenia krów o wczesnoporannym chłodzie odbiły się na moim zdrowiu. Nocami, gdy nie mogłam spać z powodu silnych ataków astmy, słyszałam, jak Rani szepcze zajadle do mojego syna. Podbechtuje go. Judzi. Jątrzy.

Pewnego ranka Lakszmana wyszedł z ich sypialni i powiedział:

- Ponieważ nie dostałem całego posagu, wypadaloby, że byś dała mi trochę od siebie.

W końcu masz w banku kupę pieniędzy, których nie potrzebujesz, a zdołałaś odłożyć aż tyle głównie dzięki mnie.

Od razu poznałam, kto przemawia przez jego usta. Rani chciała moich pieniędzy. Ta utracjuszka chciała, bym sfinansowała jej wystawne życie! Mieszkała w moim domu, jadła moją strawę i do późna w nocy sączyła jad w ucho mego syna, podburzając go przeciwko mnie.

I choć kipiałam z gniewu, który mógł mnie zabić, nie zamierzałam walczyć z Lakszmanem z powodu jego żony. Wiedziałam, że ona stoi tuż za drzwiami i słucha, czyjej trucizna działa.

- Na co ci te pieniądze? - spytałam spokojnie.

- Chcę założyć interes. Zainwestować w pewne transakcje.

- Rozumiem. Wprawdzie posag powinna dać ci rodzina żony, tak jak ja dałam go Annie, ale nie odmawiam pomocy. Najpierw jednak musicie udowodnić, że umiecie oszczędzać i że można powierzyć wam dużą sumę. Mieszkacie tu za darmo. Jeżeli w ciągu dwóch miesięcy uda się wam odłożyć większą część twoich zarobków, to chętnie wam pomogę.

- Nie! - krzyknął. - Daj te pieniądze już! Potrzebuję ich teraz, a nie za dwa miesiące. Za dwa miesiące będzie po herbacie.

- Będą inne transakcje. Zawsze są jakieś nowe.

- Te pieniądze mi się należą. Pomogłem ci je zarobić, więc je daj!

- W tej chwili są moje i ani myślę ich trwonić, koniec dyskusji! Odłożyłam je dla wszystkich dzieci i chętnie przekażę ci część tych oszczędności, ale najpierw wykaż, żeś na nie za służył. To chyba logiczne, co?

Zapłonął gniewem. Srodze zawiedziony, zacharczał, jakby się dusił, a potem z poczerwieniałą, wykrzywioną twarzą rzucił się na mnie na oślep i pchnął z taką siłą, że wyrzuciłam głowę o ścianę i poczułam ból w plecach. Patrzyłam na niego, nie wierząc własnym oczom.

Skądś dobiegł mnie bezsilny płacz Lality. Mój syn podniósł rękę na własną rodzicielkę. Sama go tego nauczyłam. Sama stworzyłam potwora, ale to moja droga synowa tchnęła w niego życie.

Nie potrafię wyrazić żalu, który ścisnął mi serce. Osłupiały i przerażony tym, co zrobił, Lakszman spojrzał mi w oczy i stał się moim wrogiem. Wypadł z domu, a jego żona pozostała w sypialni.

Kiedy popatrzyłam tego dnia w lustro, zobaczyłam w nim smutną, starą kobietę. Nie poznałam jej. Była ubrana tak jak ja, w zwykłą białą bluzkę z taniej bawełny i stary spłówiasty sarong. Na szyi i na rękach nie nosiła biżuterii. Posiwałe włosy upięła w prosty kok z tyłu głowy.

Wyglądała staro. Kto uwierzyłby, że ma tylko czterdzieści lat? Wpatrywała się we mnie smutnymi, znękanymi oczami. W pewnej chwili otworzyła usta, lecz z ich czarnej dziury nie wydobył się żaden dźwięk. Bardzo jej żalowałam, bo nie była w stanie wyrazić ogromnej straty, o

której krzyczała każda cząstka jej ciała. Dłuższy czas przyglądałam się tej przegranej obcej kobiecie w moim stroju. Wreszcie odeszłam od lustra. Przy drzwiach obejrzałam się, ale już zniknęła.

Lakszmana z żoną wyprowadzili się dwa dni potem. Za mieszkali przy rynku, w parterowym domku z jedną sypialnią. Rani nawet nie raczyła się pożegnać i zobaczyłam ją dopiero, kiedy urodziła syna. Pojechałam do niej do szpitala z Ają i Lalitą. Dziecko miało ciemną skórę jak matka, duże okrągłe oczy i tryskało zdrowiem. Rani dała mu na imię Nash. Była z niego bardzo dumna - i zła, że biorę go na ręce. Przyniosłam mu złote pierścionki i bransoletki na ręce i nogi, które dziadkowie tradycyjnie ofiarowują wnukom. Własnoręcznie przystroiłam nimi jego małe ciało, ale ledwie opuściłam szpital, Rani pozdejnowała wszystkie ozdoby i zastawiła je w lombardzie.

A potem urodziła się Dimple i Lakszmana przybiegł do nas. "Mohini powróciła jako twoja wnuczka" - paplał jak głupi. Biedny chłopak. Nigdy nie pozbiarał się po jej śmierci. A jednak w szpitalu stanęłam jak wryta, bo dziewczynka rzeczywiście była uderzająco podobna do mojej zmarłej córki. Wzięłam maleństwo na ręce i nagle ubyło mi lat. Wydało mi się, że trzymam Mohini, a jeśli się odwrócę, w drugim łóżeczku ujrzę jej gaworzącego, kędzierzawego brata bliźniaka.

Tym razem nie zaniedbam niczego, pomyślałam. Lecz gdy podniosłam głowę, napotkałam spojrzenie synowej. Jej czarne oczy pilnie mnie śledziły.

- To skóra zdjęta z mojej matki - oświadczyła, dając mi do zrozumienia, że drugiego razu nie będzie.

Nie życzyła sobie żadnych kontaktów z nami i gdyby nie to, że Lakszmana tak bardzo kochał starszą córkę, że aż wzbudzał zazdrość Rani, odcięłaby Dimple od nas równie skutecznie, jak Nasha i Bellę. Właśnie dlatego tylko Dimple przyjeżdżała do nas na ferie i wakacje.

Och, jakże się nią cieszyłam! Celowo podsuwałam synowej zatrute myśli.

Lakszmana jej nie kochał i dobrze o tym wiedziała, ale wolała wierzyć, że jest niezdolny do miłości. Nie mogła zatem znieść, że jednak darzył kogoś uczuciem, nawet jeśli tym kimś była własna córka. Macierzyństwo ani trochę nie stłumiło jej zaborczości i zazdrości. Z czasem stało się oczywiste, że Dimple w niczym nie przypomina swej babki ze strony matki, jest za to uderzająco podobna do Mohini. Widziałam, jak Lakszmana wpatruje się w córkę ze zdumieniem i podziwem, jakby nie mógł w to uwierzyć.

No a my czekaliśmy na potrójne szkolne ferie. Dwutygodniowe w kwietniu, trzytygodniowe w sierpniu i te najprzyjemniejsze, trwające cały grudzień i część stycznia. Gdy Dimple była z nami, nasz dom wydawał się jaśniejszy, większy i ładniejszy. Dzięki niej Aja się uśmiechał, Seveneseowi rozwiązywał się język, a ja wreszcie odkryłam, na co wydać ciężko zarobione pieniądze. Kochałam oczywiście Nasha i Bellę, lecz najbardziej kochałam Dimple. Zresztą tamtych dwoje matka nauczyła nienawiści do nas. Z chęcią zatrzymałabym Dimple na stałe,

ale Rani za nic by się na to nie zgodziła, bo oznaczałoby to moją wygraną. A jej przecież zależało na dręczeniu nas obojga, mnie i syna. Ledwie biedna Dimple skończyła pięć lat, Rani zaczęła odsyłać ją do nas jak źle zaadresowaną paczkę. Ach te wielkie, smutne oczy! Liczyłam dni dzielące mnie od przyjazdu wnuczki i płakałam, gdy miała odjechać. A kiedy się z nią żegnaliśmy i samochód Lakszmany zniknął za rogiem, robiło się nieopisanie pusto. Po czym znowu wyjmowałam kalendarz i planowałam jej następne odwiedziny.

Rani - zapatrzona na Zachód - zabroniła dzieciom uczyć się ojczystego języka, dlatego postanowiłam, że sama zapoznam wnuczkę z naszą kulturą i nauczę ją tamilskiej mowy. To przecież jej dziedzictwo i jej prawo. Zaczęłam opowiadać Dimple rodzinne historie, które pragnęłam powierzyć jej pieczy. Któregoś dnia wnuczka oznajmiła, że ocali i zachowa wszystkie moje ulubione opowieści, tak jak robią to aborygeni z czerwonych pustyń Australii.

- Postanowiłam, że uczynię z naszej historii "szlak snu", a po twojej śmierci zastąpię cię jako nowa strażniczka rodzinnego szlaku snu - oświadczyła z wielką powagą.

I od tej chwili, jak prawdziwa strażniczka rodzinnej tradycji, chodziła z magnetofonem, utrwalając na taśmie przeszłość dla dzieci swoich dzieci. Wreszcie odnalazłam sens życia.

Lata mijały, a ja wciąż nie mogłam znaleźć męża dla Lality. Trzy razy bezskutecznie podchodziła do małej matury. Mimo to, nie mając żadnych predyspozycji, chciała wyuczyć się na pielęgniarkę, lecz stanowczo jej zabroniłam. Miałam pozwolić, żeby myła intymne miejsca obcych mężczyzn? O nie, po wiedziałam sobie, taka brudna robota nie jest dla mojej córki. Posłałam ją na kursy maszynopisania, ale starając się o pracę, tak się denerwowała, że robiła błędy. Kiedy skończyła dwadzieścia dziewięć lat, zaczęłam się niepokoić. Gdyby pracowała, to może znalazłaby męża, niestety, nie pracowała i nie była ładna, więc nawet dwudziestotysięczny posag ściągał samych podejrzanych konkurentów - rozwodników, dziadychów i wydrwigroszy dybiących na pieniądze. Na widok jednego przeszły mnie ciarki. Był taki gruby, że moja biedna Lalita by się pod nim udusiła.

Czas płynął coraz szybciej i coraz gorzej się czułam. Dawka małych różowych tabletek wzrosła z ćwierci do półtorej. Miały silne działanie i po ich zażyciu dostawałam drgawek, ale tylko dzięki nim nie dawałam się astmie. Dla ochrony przed nocnym chłodem okładałam sobie plecy i pierś gazetami. Łamanie w kościach mówiło mi, że się starzeję. Dni pędziły jak wiatr w drzewach, szare i podobne do siebie.

Sevenese zajął się astrologią i zaczął przepowiadać przyszłość. Na pierwszy ogień poszli jego znajomi, którzy wpadali do nas, ściskając pod pachami kartki ze swoimi danymi. Przed wyjazdem na inspekcję zostawił mi dla nich koperty z horoskopami. Jego przepowiednie okazały

się trafne, i wkrótce w naszych progach zaczęli się pojawiać nieznajomi ludzie z kartkami w dłoniach.

- Bardzo proszę – błagali. - Córka bierze ślub. Czy ten chłopak okaże się dobrym mężem?

Stos kartek na stole wciąż rósł, zauważyłam jednak, że im głębiej Sevenese wnika w ów tajemniczy świat, tym więcej pije, tym większa jest jego rozpacz i cynizm i tym dziwszy urok.

Ani myślał się żenić i ustatkować. Kobiety były dla niego bystrookimi bawidelkami, a dzieci przedłużeniem obmierzłego gatunku.

- Człowiek jest gorszy od zwierzęcia – oświadczył. - Podczas silnej suszy lew dopuści do żarcia krokodyla, który wyszedł z wody, a człowiek prędzej otruje sąsiada, niż się z nim podzieli.

Wypił o wiele za dużo i wrócił do domu późno, rozkudłany, z przekrwionymi oczami, chwiejąc się na nogach i mamrocząc do siebie. Czasem jechało od niego silnymi, tanimi perfumami. Nie musiałam pytać, skąd wraca. W mieście była spelunka o nazwie Bar Mleczny.

Znajome ze świątyni widziały, jak wchodzi tam przez wahadłowe drzwi. Pod tym przybytkiem wystają i kurzą papierosy krzykliwie wymalowane kobiety z gładkimi jasnymi nogami.

Sevenese za często gubi klucze, wraca dobrze po północy i, waląc w drzwi, wyśpiewuje po małażsku do Lality, żeby mu otworzyła: "Aczi, aczi buka pintu".

Boję się, że się rozpił.

Dżejan nawet nie podszedł do małej matury. Wiedział, że nie zda. Został inkasentem elektrowni i dojrzał do żeniaczki. Rani, która zaczęła się bawić w swatkę, znalazła mu żonę. Ale nie było amatorów na Lalitę. Skończyła trzydzieści lat i na małżeństwo było już właściwie za późno.

Lalita

Kiedy Rani znalazła Dżejanowi narzeczoną, mama pojechała z nim na oględziny. Wróciła zadowolona i w doskonałym humorze. Kandydatka miała jasną cerę i ładną buzię. Widać w poprzednim życiu Dżejan zasłużył sobie na świetną karmę, skoro w tym dostała mu się taka urodziwa dziewczyna. Radha była sierotą. Poczciwej ciotce, starej pannie, która ją wychowała, udało się odłożyć dla niej pięć tysięcy ringgitów posagu. To wprawdzie skromna suma, lecz mama tak bardzo chciała ożenić swojego brata, że zgodziłaby się na ślub nawet bez wiana.

Patrzyłam, jak Dżejan siedzi w milczeniu na krześle i swoim zwyczajem gapi się cielecym wzrokiem na mamę. Mogłoby się wydawać, że jej słucha, ale za dobrze go znałam. Myślał o nagłym drgnieniu długiej, przezroczystej dupatty, z dziecięcym zachwytem jeszcze raz

rozpamiętując przeznaczone wyłącznie dla niego, śmiało zerknięcie z ukosa. W głowie były mu jedynie pomalowane henną stopy, wysuwające się spod fałd zielono-czerwonego sariń, i małe dłonie, serwujące herbatę i nieśmiało częstujące obecnych miękkimi ciastkami.

Jego roztargniona mina skrywała silne podniecenie. Wiedział już, czym jest kobieta.

I marzył. O błyszczącym piźmie na dorodnych piersiach, o pokrytej jedwabistym meszkiem skórze i o ciele poruszającym się pod nim jak płynący łabędź. Marzył o słodkim życiu z Radhą.

Ustalono datę ślubu. Mama zdecydowała, że ceremonia będzie skromna i prosta. Panna młoda nie miała krewnych, a mama nie lubiła popisywać się bogactwem. Skromne wesele było więc uzasadnione. Zamknęliśmy dom i pojechaliśmy do kuzyna mamy w Kuala Lumpur. W jego domu roiło się od małych dzikusów. Ganiające od rana do wieczora rozkrzyczane, rozwrzeszczane bachory wpadały co chwila na dorosłych, biły się, ryczały, śpiewały i staczały po schodach jak gumowe piłki, a nie istoty z krwi i kości. Właśnie stąd mieliśmy pojechać na prostą ceremonię zaślubin w świątyni.

W dniu ślubu mój brat zatrzymał się w korytarzu w olśniewająco białej weszti i przybraniu głowy. Stał wysoki, wyprostowany przed mamą, żeby przyjąć jej błogosławieństwo. Jego kwadratowa twarz choć raz wyrażała zapał i ożywienie. Kiedy mama rozkoszowała się myślą, że ten nierozgarnięty syn będzie miał taką śliczną żonę, do korytarza wpadł z indiańskim okrzykiem mały chłopiec i natychmiast poślizgnął się na rozlanym oleju. Staliśmy i patrzyliśmy, jak sunie po podłodze niczym wielki dziwaczny węgorz z rękami i nogami i wpada w sam środek przygotowań do wesela. Srebrny półmisek z kam kam frunął w powietrze, wzbijając czerwoną mgłę, po czym spadł z hałasem na ziemię i potoczył się, rozsypując drobny proszek po podłodze. Brzęk zderzającego się z terakotową posadzką, koziołkującego naczynia był ogłuszający. Twarz mamy, z której w jednej chwili pierzchł uśmiech, za stygła w wyrazie zgrozy.

Przez kilka sekund nikt się nie poruszył. Zamarł ze strachu nawet mały sprawca wielkiego "bum". Leżał i dużymi, przerażonymi oczami patrzył na straszliwie zmienioną twarz naszej mamy.

Ona zaś wpatrywała się w bałagan na podłodze takim wzrokiem, jakby to nie był tani czerwony kam kam, który można kupić w każdym sklepie, tylko kałuża krwi z ciał zabitych dzieci. Spojrzałam na nią, zaskoczona.

- Dlaczego ten niemądry dzieciak musiał wbiec akurat tutaj! - wymruczała, kręcąc głową.

- To zły znak, ale pojawił się za późno. Trudno, nie da się zmienić planów.

Po tych słowach jej twarz skamieniała. Bogowie przemówili, lecz przemówili za późno.

Wesele musiało się odbyć. Szybko pomogła wstać oszołomionemu chłopcu, wygoniła go i zleciwszy kręcącej się obok dziewczynie posprzątać bałaganu, przystąpiła do syna i go pobłogosławiła.

- Idź z bogiem - powiedziała z mocą.

A potem Dzejana pobłogosławił tata.

Pan młody wsiadł do auta przystrojonego niebieskimi i srebrnymi wstążkami, a reszta weisnęła się do innych pojazdów. Szłam z mamą. Miała kamienny wyraz twarzy, krok stanowczy jak u maszerującego żołnierza. W samochodzie siedziała sztywno wyprostowana, milczała i tępo patrzyła w okno. Raz cicho z żalem westchnęła. Atmosfera była taka, jakbyśmy w niestosownych strojach - ona w sari koloru mango, a ja w granatowym z jaskraworóżową lamówką - jechały na pogrzeb.

Po cichu myślałam, że mama przesadza, ale nie ośmieliłam się jej tego powiedzieć. Przecież to był najzwyczajniejszy wypadek. Cud, że nie zdarzył się wcześniej. Samochód zwolnił i zatrzymał się przed świątynią. Dżejan wysiadł. W południowym słońcu jego nowy kostium oślepił bielą.

Ktoś poprawił mu nakrycie głowy. Dziś to on był królem. Zdenerwowany, skinął głową.

W świątyni mama uśmiechnęła się do objuczonych i obsypanych biżuterią kobiet. Przestały oplotkowywać pannę młodą i odpowiedziały uśmiechami. Kiedy je minęła, wróciły do przerwanej rozmowy, na przemian sznurując i puszczając w ruch usta, a ich ciemne, czujne oczy cały czas błędziły i lawirowały pośród tłumu. Na mnie z pewnością patrzyły z politowaniem.

Stałyśmy przy podwyższeniu, przyglądając się pannie młodej, prowadzonej przez ciotkę i przyjaciółkę. Wyglądała ślicznie w ciemno różowym sari w zielone i żółte kropki, obszytym bogato haftowaną złotą lamówką. Była szczupła i pełna gracji. O tak, Dżejan miał ogromne szczęście.

Na podeście podwinęła pod siebie nogi i zajęła miejsce obok mojego brata. Zrobiła to z tak naturalnym wdziękiem, że zaczęłam się zastanawiać, dla czego taka ładna dziewczyna zgodziła się go poślubić. Miała na sobie dużo biżuterii, ale w większości taniej. Wiedzieliśmy, że jest biedna.

Rozważając sytuację Radhy, nagle zauważyłam łzy płynące nieprzerwanie z jej spuszczonej oczu.

Moczyły wybrane i kupione przez mamę kosztowne sari. Na kolanach panny młodej rozrastała się ciemna plama. Zdziwiona widokiem słonej strugi, zerknęłam na mamę, która oczywiście też zauważyła łzy i była równie zmieszana jak ja.

"Dlaczego panna młoda płacze?" - zaszemrały ściszone głosy. Z pewnością nie były to łzy szczęścia. Dziewczyna wyplakiwała sobie oczy. Tłumek, który zebrał się między wielkimi filarami świątyni, by obejrzeć ślub, rozszeptał się i rozgwarzył.

- Patrzcie, panna młoda płacze - słyszałyśmy zewsząd.

Gdyśmy, zbite z tropu, wszystko to obserwowały, z nosa Radhy wysunął się ozdobny kolczyk i spadł na plamę ciemniejącą na podółku. Podniosła go bez słowa i wpięła w mokre nozdrze. Zgromadzeni w świątyni zaszemrali głośniejsze, a mama dostała wypieków. Była mocno zakłopotana tak jawną rozpaczą panny młodej. Przecież nikt jej nie zmuszał do małżeństwa.

W bezpośredniej rozmowie wyraziła zgodę. Powiedziała mamie "tak" i skinęła głową.

Kiedy Dżejan obrócił się ku oblubienicy i zawiązał jej na szyi ślubny thali, zahuczały bębny.

W tym momencie spostrzegł, że Radha płacze, wzdrygnął się i, zmieszany, poszukał wzroku mamy.

Zachęciła go skinieniem głowy. Uspokojony, że łzy żony są kolejną, niedostępną mu tajemnicą, dokończył zawiązywania sakramentalnego łańcucha, łączącego ich na zawsze w stadło.

Ślub dobiegł końca.

Na przyjęciu mama nie mogła jeść ani pić. Mdlilo ją na widok jedzenia. Bezzwłocznie wyjechaliśmy do Kuantanu. Nie rozmawialiśmy. Mama była przygnębiona i nieszczęśliwa. Dlaczego panna młoda płakała? Dlaczego ten chłopczyk wyskoczył jak spod ziemi i zniszczył akurat to, co symbolizuje szczęśliwe małżeństwo?

Młoda para przyjechała następnego dnia. Mieli u nas pozostać do czasu, aż będzie ich stać na kupienie własnego domu. Mama zaofiarowała się, że dołoży im pieniędzy. Z okna patrzyłam, jak młoda żona Dzejana wysiada z gracją z samochodu. Sprawiała wrażenie spokojnej i opanowanej.

Po łzach nie zostało śladu. Mama wyszła przed dom powitać ją żółtą pastą sandalową, kam kam, świętym popiołem i płonącym stosikiem z kory kamforowca. Radha, zgodnie ze zwyczajem, padła mamie do nóg. Gdy bratowa wstała z ziemi, zobaczyłam jej wzrok. Choć przyjmując błogosławieństwo mamy, grzecznie się uśmiechała, to jej oczy przepelniał smutek. Ledwie obejrzała swój pokój, zaraz z niego wyszła.

Znalazła proszek i zabrała się do porządków. Wysprzątała kuchnię, wyczyściła łazienkę, wymyła kuchenne półki, odkurzyła i przetrła na mokro duży pokój, uporządkowała szafkę z przyprawami, zamiotła podwórze, wyrwała chwasty wokół domu. A kiedy skończyła, zaczęła od nowa. W wolnych chwilach natychmiast chciała prać, czyścić ścieki lub gotować.

Z uśmiechem na ładnej smutnej twarzy dziękowała za pomoc. Nie, nie. Da sobie radę. Bez obawy, lubi sprzątać. Nawykła do ciężkiej pracy... Nie odzywała się bez pytania. W trakcie swoich cyklicznych porządków znalazła pod domem stary brudny koszyk. Trzymałam w nim kiedyś lalkę.

Uradowana z trofeum, oczyściła go bez słowa, zawiesiła na ręku i z nadzieją w głosie zaproponowała, że może zrobić za kupy.

- W porcelanowym słoju w gablotce są pieniądze. Weź pięćdziesiąt ringgitów! - zawołała z sypialni mama.

Była zadowolona z nowej synowej. W przeciwieństwie do Rani, polubiła Radhę od pierwszego wejrzenia.

Po powrocie z zakupów Radha skrupulatnie oddała resztę.

- Widzisz? - powiedziała zadowolona mama. - Słusznie jej zaufałam.

W kuchni nowa synowa zabrała się do przemiany zakupionych produktów w egzotyczne dania. Przypominała alchemika. Brała mięso, przyprawy i warzywa i wyczarowywała z nich wspaniałe potrawy, które tak działały na zmysły, że w zachwycie pytałeś z chciwą nadzieją:

"Czy może coś zostało?". Gotowała genialnie. Smak przygotowanej przez nią marmolady imbirowej i pomidorowego czatneju chodził za tobą przez następny dzień i następny tydzień. Bez wahania uciniała łebki uroczym gołębiom grzywaczom i łatwowiernemu dzikiemu ptactwu, dla zmiękczenia marynując ich udka w skórkach melonowca. Mięso rozpływało się w ustach.

Zasiedliśmy do gotowanych na parze małych knedli ze słodką wieprzowiną i rzecznej ryby, nadziewanej limoną, kardamonem i kminkiem. Przed ugotowaniem ryżu w oczyszczonej łodydze bambusa doprawiła go aromatyczną esencją kewra, a uduszony z owocami tamaryndowca i anyżem gwiazdkowatym ogórek wężowy smakował jak karmel. Umiała piec kurczaki w zielonych kokosach i знаła tajemnicę smaku aromatycznych kwiatów banana przyrządzonych ze skórkami pompeli. Godzinami cierpliwie gotowała kiełki bambusa, aż do odpadnięcia cieniutkich włosków, otrzymując przepyszny dodatek do swojego wybornego pure z bakłażanów. Wędziła grzyby, smażyła orchidee i serwowała kremową, pikantną pastę durianową z soloną rybą.

Skarb nie kobieta. Była niesamowita. Jak ona to wszystko robiła?

Ależ ten Dżejan miał szczęście!

Mama nie posiadała się z dumy, że trafiła jej się taka synowa.

- Podpatruj ją i się ucz - szepnęła do mnie szorstko, krytycznym wzrokiem patrząc na moje nieuczesane włosy. - Gdyby to Lakszmanie dostała się taka żona, wyszedłby na ludzi.

Westchnęła smutno.

Codziennie o piątej po południu Radha wносиła półmisek z ciastkami radzasthaóskimi z migdałów, miodu i masła albo z soczystymi kulkami mlecznymi w różanym syropie. Czasem były to przepyszne ciemnofioletowe ciastka z nieznanymi mi składnikami lub moje ulubione, przypominające patyczki słodkie i aromatyczne ciasteczka orzechowe.

- Gdzie się tego wszystkiego nauczyłaś? - spytała z prawdziwym podziwem mama.

- Od pewnej miłej sąsiadki - odparła Radha.

W dzieciństwie zaprzyjaźniła się ze starszą kobietą, prawnuczka jednego z szesnastu słynnych kucharzy z kuchni dworskiej cesarza Dary Szikoha, najstarszego syna Szachdżahana Wspaniałego.

Cesarzowi Szikohowi, szczącemu się swoim wystawnym stylem życia, przysyłano z kuchni do skosztowania tylko najwykwintniejsze, najbardziej wyszukane potrawy. Z wyrwanych stron i luźnych kartek, pamiątek po dawnym wielkim imperium Mogołów, staruszka nauczyła Radne sekretów ich kuchni.

Kiedyś Radha zrobiła dla mamy z cukru, migdałów i soku owocowego owoc granatu, glazurowany syropem. Po przekrojeniu okazało się, że w środku jest wszystko: jądro, pestki i otaczająca je tkanka. Wyglądał tak prawdziwie... W oczach mamy dostrzegłam głęboki podziw i

szacunek dla kunsztu dziewczyny. Dla mnie bratowa zrobiła replikę słodkiego chleba z pieczonymi migdałami. Był tak piękny, że wstawiłam go do gablotki. A dla Anny wykonała gwarka, prześlicznego. Oczywiście szkoda było go zjeść.

- Chodź, usiądź przy mnie - zaprosiła ją mama.

- Sprzątnę jeszcze tylko to - odparła Radha i zabrała się do szorowania nieczyszczonego od dwudziestu lat miejsca pod skrzynią na węgiel.

- Zostaw. Spocznij przy mnie na chwilę - zachęciła ją mama, kiedy wreszcie nie zostało już nic do roboty.

Myślę jednak, że bratowa z chęcią wysprzątałaby kuchnię jeszcze raz. Podeszła rada nierada i usiadła, obciągając prostą podomkę tak, by zakryła kostki. Nie podniosła oczu. Mama uśmiechnęła się do niej zachęcająco. Choć w głowie miała pytanie: "Dlaczego płakałaś" - zaczęła ją wypytywać o przeszłość. Jej ulubiona synowa posłusznie udzielała odpowiedzi, starannie dobierając słowa. Robiła to szczerze i bez wahania, więc nie można było zarzucić jej przebiegłości czy tępoty, ale też uwolnić się od wrażenia, że wsadza się nos w nie swoje sprawy. Lekko badawcze spojrzenia Radhy raz po raz mówiły:

"A co ci do tego?".

Mamę wyraźnie to krępowało, nie była zadowolona. Widziała w synowej ładną, schludną, czystą, uśmiechniętą dziewczynę, lecz oddzielał ją od Radhy niewidzialny mur uprzedzającej grzeczności. Mama za wszelką cenę chciała poznać przyczynę, dlaczego tak się dzieje. Niestety, nigdy jej się to nie udało.

Radha stosowała też dziwne zabiegi higieniczne. Znikała w łazience z drucianą szczotką na drewnianej ręczce i wychodziła stamtąd świeża i zaróżowiona. Przyznała - zdziwiona, że nas to dziwi - iż szoruje nią skórę.

Dżejan popatrywał na nią ukradkiem, jak na cudzą żonę. Wymykał się z ich pokoju niczym złodziej. Zawieszał na niej oczy, przesuwając nimi po jej ciele, pieścił ją nimi i gładził. Wszystkie jego intymne pragnienia niecierpliwie stuknęły nogami. Czasem próbował pochwycić spojrzenie Radhy i trzeba było szybko odwracać głowę, by nie widzieć jego żenująco błagalnego wzroku.

Mój brat był odurzony, zafascynowany małżonką. Piętnastego dnia przyszło zaproszenie od Rani.

Za prasała nowożeńców na kolację.

- Do zobaczenia wkrótce - powiedzieli mamie, wychodząc.

- Wróćcie bezpiecznie, dzieci - pożegnała ich.

Późnym wieczorem Dżejan wrócił do domu sam.

- A gdzie żona? - spytała zaniepokojona mama.

- Jest u Rani. Rani zaprosiła nas na jakiś czas do siebie, a mnie przysłała po rzeczy Radhy.

- A gdzie będziecie spali? - spytała mama, zdezorientowana niespodziewanym obrotem wypadków, bo Lakszmana i Rani mieli tylko jedną sypialnię.

- Pewnie w dużym pokoju na podłodze - odparł brat, wzruszając ramionami, bo chciał jak najszybciej zabrać manatki żony i wyjść.

- Rozumiem - powiedziała wolno. - Dobrze, weź jej rzeczy.

Pośpieszył do wysprzątane go pokoju, w którym mieszkał z Radhą przez piętnaście dni, wrzucił do żałośnie małej torby cały jej dobytek, wyszedł na werandę do milczącej mamy i stanął, nie bardzo wiedząc, co robić.

- No cóż, idź - rzekła wreszcie.

Zerknął na mnie z ulgą i, z objijającą się o chude nogi torbą, chyżo zbiegł po schodach.

Siedząca na werandzie mama od prowadziła go bardzo dziwnym wzrokiem. Nie przestała wpatrywać się w horyzont, nawet gdy brat skręcił na główną drogę i zniknął nam z oczu.

Na półce przed łazienką pozostała twarda druciana szczotka z drewnianą rączką. Dżejan w pośpiechu ją przeoczył. Przeciągnęłam nią po skórze. Kolce miała ostre i drapiące. Wzdrygnęłam się, zdziwiona, jak czymś takim można dręczyć własne ciało. Ta szczotka nadawała się na narzędzie tortur.

Kiedyś zobaczyłam Radhę na targu. Z wypełnionego cienkimi zielonymi strączkami koszyka na jej ręce wystawał puszysty rudy ogon wiewiórki. Bratowa stała przy sprzedawcy wody kokosowej i beznadziejnie przygnębionym wzrokiem przyglądała się biednym małpom w klatkach.

Wyglądała tak tragicznie, że cofnęłam się i ukryłam za wysokimi stosami pękatych worów z ryżem z boku straganu. Była intrygującą istotą. Pełną smutnych tajemnic. Wtem odwróciła głowę, jak by wiedziała, że ją obserwuję. Może dojrzała mój cień, ale udała, że go nie widzi. W każdym razie odeszła pośpiesznie od drucianej klatki z rozkrzyczanymi, miotających się gniewnie małpami.

Wyobraziłam ją sobie, jak z zaciśniętymi ustami sprząta mieszkanie Lakszmany od podłóg po sufit, po czym zaczyna sprzątać je od nowa, a Rani siedzi, trzymając na stołku swoje rzekomo opuchnięte nogi. Czy dla nowej gospodyni też wyczaruje z cukru jakiś owoc albo garść zielonych strączków ketmii?

Minęły dwa miesiące, odkąd Radha wyszła od nas na kolację i z niewiadomych powodów nie wróciła. Życie toczyło się po staremu. Dżejan zachodził do nas wieczorami, ale zawsze śpieszyło mu się do żony. Mamę bardzo zabolalo, że synowa odeszła bez pożegnania, mimo to jej jedyną reakcją były słowa: "Jak długo są szczęśliwi, ja też jestem szczęśliwa".

Któregoś dnia Dżejan wpadł do domu w okropnym popłochu, z twarzą wykrzywioną nieznanym uczuciem. Dochodziła dziewiąta i mama czekała na wolną amerykańkę w telewizji.

Nie opuściła żadnych zawodów, z autentycznym zaangażowaniem głośno dopingując ulubionych zawodników. Zresztą do dziś wierzy, że te wszystkie kopniaki i ciosy są prawdziwe. Nie mam serca wyprowadzać jej z błędu. Znam ją, gdybym to zrobiła, zawody straciłyby dla niej urok. W każdym razie Dżejan wpadł do nas mocno zadyszany i wybełkotał w popłochu:

- Rani dała nam dwadzieścia cztery godziny na wyprowadzenie się!

W tamtych czasach, gdy urzędnik państwowy zachował się w sposób niewybaczalny, polecano mu w ciągu dwudziestu czterech godzin opuścić służbowe mieszkanie. Może to śmieszne, ale Rani właśnie takim urzędowym tonem nakazała szwagrowi i jego żonie, by wynieśli się z jej domu. Z piersi mamy dobyło się rzęzenie.

- Dlaczego? - spytała.

Dżejan wyrzucił ręce w górę.

- Nie wiem – odparł. - Chyba się pokłócili. Lakszmana wypadł wściekły z domu, a Rani oskarża Radhę, że za mało jej jednego chłopca. Mówię ci, to wariatka. Dasz wiarę? Siedzi na schodkach przed domem i wrzeszczy na cały regulator, żeby wszyscy słyszeli, że Radha chce jej ukraść męża! To nieprawda! Radha mnie kocha. Rani oszalała. Płacze, krzyczy i wygaduje świństwa, na przykład, że Radha chce mieć obu braci. Nie wiem, co robić. Radha w kuchni na czworakach szoruje podłogę. Co robić? Sprowadzić ją tutaj?

- Nie. Ona nie chce tu mieszkać, a ja nie mogę jej przyjąć z powrotem po tym, jak odeszła bez pożegnania. Ale nad warsztatami i sklepami przy drodze są wolne pokoje. Idź szybko i jakiś wynajmij. Pracują tam do wpół do dziesiątej.

- A czynsz, a depozyt?

- A gdzie twoje pieniądze z posagu? - spytała mama, marszcząc brwi.

- W tej chwili nie mamy. Rani bardzo potrzebowała pieniędzy i poprosiła Radhę o pożyczkę.

Obiecała, że za kilka miesięcy odda.

- Kiedy pożyczyla? - spytała mama bardzo cicho.

Dżejan nie musiał się zastanawiać.

- W zeszły poniedziałek - odparł.

- A wcześniej twoja żona nie chciała jej męża? - spytała szyderczo mama.

Biedny Dżejan patrzył na nią bezradnie. Był tylko mężczyzną. Jakże mógł sprostać Rani, z jej obrotnym językiem i intrygami.

- Dowiedz się, ile kosztuje wynajęcie pokoju, to dam ci pieniądze. Pośpiesz się. Bo skończy się na tym, że będę musiała zapłacić za pokój w hotelu.

- Dobrze, dziękuję - odparł Dżejan i natychmiast ruszył w drogę.

Minę miał strasznie zmartwioną. Drzwi mamy były zamknięte dla niego i Radhy. Rani pieklila się i pomstowała na progu domu, w którym jego żona szorowała na czworakach podłogi, a do tego wszystko wskazywało, że ta szelma pozbawiła go posagu. Pierwszy raz stanął wobec tylu problemów naraz.

- Nie powinniśmy byli u niej mieszkać - mruknął do siebie.

W ogóle nie znał się na kobietach. Kiedy mama spytała, czy wie, dlaczego jego żona płakała na ślubie, zmieszany spojrział na nią cielecym wzrokiem. Czyż nie wszystkie panny młode płakały z radości na ślubie? Zapytał o to Radhę i wrócił z wyjaśnieniem. "Ona mi nie powie - poskarżył się, bliski irytacji. - Mówi, że to nieważne".

- Chcesz, to złóż na karb zdenerwowania - odparła Radha z westchnieniem, gdy wrócił, domagając się odpowiedzi.

W rezultacie przeprowadził się z żoną do ciasnego pokoju nad pralnią. Ponieważ dzielili łazienkę z tuzinem osób, Radha miała gdzie zaspokoić swoją manię sprzątanania i czyszczenia.

Widać bardzo ją to pochłaniało, bo ani razu nas nie odwiedziła. Mama była pewna, że Rani nie zmarnowała okazji, by zatruć myśli dziewczyny i nastawić ją przeciwko nam.

Któregoś dnia żona Lakszmany odwiedziła nas późnym po południem, przynosząc torebkę winogron. Z importu, pochwaliła się. Mama podziękowała za prezent, a ja szybko go od niej wzięłam. Rani rozsiadła się w fotelu. Umyłam winogrona, wyłożyłam na talerz i zaniiosłam do dużego pokoju, żeby ją poczęstować.

- A co u ciebie? - spytała mama.

Na pierwszy rzut oka można by pomyśleć, że ją lubi, ale ja świetnie wiedziałam, że jej nienawidzi, a Rani odpłaca mamie tym samym.

- Stawy - odparła bratowa cierpięcym głosem i uniosła sari, odsłaniając pulchne kostki.

- Strasznie spuchnięte! - podkreśliła.

Przyjrzałam się jej w pełni zdrowym nogom. Być może puchły po ciemku, bo za dnia wyglądały jak okaz zdrowia. Rani zakryła je cnotliwie zielonym sari i sięgnęła po winogrona.

- Przyszłam wyjaśnić to zamieszanie z biednym Dżejanem i tą flądram. Nie chcę, byście sobie coś pomyślały. Przyjęłam tę dziewczynę pod swój dach z dobroci serca. Słowo daję, czasem jestem aż za dobra. Pomagam ludziom, a ci wbijają mi nóż w plecy. Kupiłam jej mężowi witaminy, żeby miał na nią większą ochotę. I jak mi się odpłacała? Zalecankami do mojego męża, tak jakbym była głucha i ślepa! A ja zjadłam w życiu więcej soli niż ona ryżu.

Wrzuciła do ust kilka winogron i rozgryzła je w zadumie.

- Od początku wiedziałam, co knuje – ciągnęła. - Ilekroć Lakszmana dźwigał na podwórku ciężary, udawała, że sprząta w kuchni. Nie wiedziała, że widzę ją z kanapy w pokoju. Za uważałam, jakie spojrzenia rzuca mu przez okno. Nie jestem ślepa. Chciała, by myślał, że ona ciężko pracuje.

Próbowała obrzydzić mnie w jego oczach. Pożyczyłam od niej marną pięć tysięcy ringgitów.

Z nauczycielskich zarobków trudno wyżyć. Dzieci głodowały. W domu nie było co jeść, za to rachunki do zapłacenia. W każdym razie doszło do mnie, że ta flądra biega z jęczorem i obmawia mnie. Dacie wiarę? Mnie, która zapewniła niewdzięcznicy dach nad głową, zarzuca, że przejadłam jej posag!

Oburzona Rani urwała - musiała zaczerpnąć tchu.

- Właściwie, teściowo, powinnaś mi dać tę śmieszoną sumę, a wtedy z rozkoszą cisną ją tej małej wywołce w twarz, żeby przestała szkalować dobre imię rodziny.

Mamie jeszcze mocniej zaczęła się trząść ręka, lecz nie przestała się uśmiechać.

Rani odeszła od nas bez pieniędzy. Przez pół godziny mama chodziła po domu, mrużąc do siebie: "Niesamowite, niesamowite!". Ze złości nie mogła usiedzieć w miejscu. Wtem głośno się zaśmiała.

- Ależ mam bezczelną synową! - powiedziała. - Uważa mnie za kompletną idiotkę. Spodziewa się, że ja – ja! - dam jej nie jeden, nie dwa, ale pięć tysięcy ringgitów i uwierzę, że trafią do Radhy. Ha! Jeśli zechcę dać pieniądze dziewczynie, to tylko osobiście. Za nic nie wrzucę ich do paszczy tej żarłocznej krokodylicy!

Wkrótce potem Radha zaszła w ciążę. Wciąż męczyły ją mdłości. Mama posłała synowej biszkopty, marynowany imbir i trzy stroje ciążowe. Zapropowała również, że wpłaci za liczkę na szeregowy domek w nowym osiedlu pod miastem, ale Radha była zbyt dumna i za pośrednictwem Dżejana grzecznie odmówiła. Widziałam ją kiedyś wieczorem na targu w jednej z ciążowych sukienek od mamy. Skróciła włosy do wygodniejszej długości. Z kosmykami wijącymi się na wiotkiej szyi wyglądała młodziej i bardziej bezbronne. Była smutna. Jej smutek wyczuwałam nawet w rojnej, tętniącej życiem ludzkiej cizbie. Tym razem na pewno mnie dostrzegła, jednak udała, że nie widzi, i pośpiesznie wmieszała się w kolorowy tłum.

Dżejanowi urodziła się córka. Pojechaliśmy z mamą do szpitala zobaczyć Radhę i dziecko.

Zawiozłyśmy piękne, ręcz nie szyte kaftaniki, czepki i miniaturową biżuterię. Dziewczynka była różowiotka, śliczna i pachniała pudrem i mlekiem. Według mamy miała taki sam odcień skóry jak Anna po urodzeniu. Na nasz widok Radha mocniej przytuliła córeczkę do piersi.

Dziecko zaczęło się drzeć wniebogłosy. Patrząc na prześwitujące jej przez skórę kostki dłoni, pomyślałam, że prócz tego maleństwa bratowa nie ma nic cennego.

- Chodź do babci - zagruchała mama do spąsowiałej wnuczki.

Niezadowolona Radha zmarszczyła brwi, lecz w silnych, bezpiecznych ramionach babki dziewczynka rozwarła piąstki i przestała wydawać krótkie, gwałtowne krzyki. Kiedy mama zwróciła uśpioną wnuczkę synowej, ta westchnęła z ulgą, że znów ma ją przy piersi. Kilka dni później wróciła do małego pokoju nad pralnią.

- Opary z tej pralni szkodzą dziecku - ostrzegła mama Dzejana.

- Bzdury - zbyła go Radha, gdy jej to powtórzył.

Kiedy zobaczyłam bratową następnym razem, znowu była w ciąży. Włosy miała dłuższe, związane w kucyk, i tę samą ciążową sukienkę, którą mama kupiła dwa lata temu, tyle że spłowiała.

Wyglądała jak chodzące nieszczęście.

Na świat przyszło drugie dziecko. W szpitalu Radha uśmiechała się uprzejmie do mnie i mamy. Ale w tym uśmiechu nie było nic - ani ciepła, ani wrogości. Był to uśmiech obcej, obojętnej osoby. Starsza córeczka siedziała cicho na łóżku. Przyglądała się nam ciekawie dużymi wilgotnymi oczami. Lecz kiedy mama chciała ją wziąć na ręce, zakryła oczy dłońmi i bezradnie się rozplakała.

Przestraszyła się nieznannej, impulsywnej kobiety. Mama odwróciła się jak oparzona i od sunęła kocyk, żeby obejrzeć drugie dziecko Dzejana - dziewczynkę o jasnej cerze. Tym razem nie wzięła wnuczki na ręce. Nagle coś ją zaabsorbowało i odbiegła gdzieś myślami. Spędziłyśmy tam jeszcze kilka przykrych minut i wyszłyśmy. Ja z poczuciem goryczy na podniebieniu.

Gorycz zagościła również w pokoju nad pralnią. Dżejan już nie spieszył się do domu, by cielecym wzrokiem wodzić za żoną. Prosto z pracy przychodził do nas. Siadał w dużym po koju i tępo wlepił wzrok w telewizor, a po kolacji głośno skarżył się na Radhę każdemu, kto chciał słuchać. Jaka jest podła. Nastawia córki przeciwko niemu. Nie chce mu gotować. Nie chce nawet prac jego rzeczy. A potem sprawy przy brały jeszcze gorszy obrót. Biła dzieci za to, że z nim rozmawiały. Opróżniła śmietniczkę na jego świeżo wyprane ubranie, dostarczone pod drzwi z pralni. Nie znosiła zwłaszcza starszej córki. Za bardzo przypominała ojca. Dziewczynka coraz bardziej zamykała się w sobie. Nie odzywała się bez pytania i była powolna. "Jedz szybciej!" - krzyczała jej nad uchem matka i z coraz większym zniecierpliwieniem wciskała córce do ust jedzenie, aż biedula krztusiła się i kaszlała. A potem był płacz, kolejne połajanki i klapsy. Radha serdecznie nienawidziła męża. Ale czy można się dziwić? Przecież tuż przed ich ślubem wysypał się proszek kam kam. To wtedy ich małżeństwo umarło. I pozostał po nim smród rozkładu.

Kiedy starsza dziewczynka skończyła pięć lat, Radha za żądała od męża, żeby się wyprowadził. Dżejan znalazł pokój nad warsztatem przy tej samej ulicy. Rzecz jednak w tym, że nie umiał bez niej żyć. Przyzwyczał się, że źle go traktuje i nienawidzi, ale nie potrafił się bez niej obejść. Miał ją we krwi na dobre i na złe. Pragnął być z nią, patrzeć na nią i córki, lecz ona nie chciała go znać. Dała jasno do zrozumienia, że nie chce mieć z nim nic wspólnego. Wniosła sprawę o rozwód. Dżejan sądził, że jeśli nie będzie dawać żonie na utrzymanie, to szybko do niego wróci.

Obserwował ją ze swojego obskurnego pokoiku kilka domów dalej, pewien, że Radha sobie nie poradzi. Bez przyjaciół, bez pracy, bez troskliwej rodziny, pieniędzy, z dwiema córeczkami i rachunkami do zapłacenia? Przy czołga się na czworakach. Mściwy błysk w jego niemrawych oczach mówił: to ją nauczysz.

Ale Radha zdecydowała nieodwołalnie, że nie wróci. Nic sobie nie robiła z bazylijszkowych oczu, które śledziły ją, ledwie wyszła z domu. Wieczorami zasłaniała okno nieużywanym starym kocem, nieprzepuszczającym nawet cienia. A potem obmyśliła plan. Nie potrzebowała jego pieniędzy.

Najpierw miała się dorywczych prac, zabierając z sobą córeczki. Skulone ze strachu, z buziami jak kociaki, trzymały się matczynej spódnicy. Było jej ciężko. Sprzątała u kobiet wymagających i nieczułych, ale ponieważ robiła to wybornie, tolerowały jej dzieci. Wieczorami zaczęła szyć dla tych bogaczek i ich rozpaskudzonych znajomych bluzki i sari.

Po trochu zaoszczędziła na lekcje pieczenia ciastek, prowadzone przez żonę byłego policjanta. Nauczyła się je piec w mieszkaniu na osiedlu biało-niebieskich domów dla pracowników policji i ich rodzin. A potem przeznaczyła ciężko zarobione pieniądze na kurs lukierniczy. Ze swojego okna Dżejan zazdrośnie śledził, jak Radha robi postępy, jak uwalnia się od niego. Wieczorami zaczął popijać. W granatowym mundurze inkasenta siadywał w obskurnych barkach i wlewał w siebie miejscowe samszu.

Widywałam go, sztucznie rozweselonego, w towarzystwie innych mężczyzn. Topili tam swoje żale z powodu nieudanych małżeństw, uprzykrzonych jak pies obszczekujący łydki, prześladowani przez płaczące cienie porzuconych dzieci, które czepiały się ich złachmanionych koszul, błagając o odrobinę miłości. A jak nazywali kobiety! Jędzami, łajdaczkami, ladacami.

I opowiadali sprośności o prostytutkach, krążących wokół nowo wybudowanych domów. Długo trwało, zanim Dżejan zrozumiał, że stracił żonę na dobre, ale wtedy przestał już dbać o cokolwiek.

W swoim pokoiku Radha uparcie ćwiczyła pieczenie urodzinowych tortów, aż osiągnęła doskonałość. A potem zaczęła prowadzić kursy w miejskim ośrodku kultury i rekreacji. Poradziła sobie, nie wzięwszy od Dżejana ani sena. Jej lekcje zasłynęły w całym Kuantanie. Chodziły na nie nie tylko Hinduski, ale nawet Malajki, słynące z wrodzonego zmysłu artystycznego

i cierpliwości w tworzeniu misternych dzieł. Wracały do domów z rambutanami i mangostanami z cukru. Radha wyprowadziła się z pokoiku nad pralnią, przez którą jej starsza córka kaszlała w nocy. Jakże nienawidziła mojego brata! Jakże nienawidziła jego rodzicielki! Nie chciała mieć z nami więcej do czynienia. Okradliśmy ją z życia. Przeniosła się na drugi koniec miasta, byle dalej od żalosego męża pijaka.

Obie chude, wystraszone córki podążyły za nią w nowe życie. "Nie macie ojca - powiedziała im. - Umarł". Skinęły głowami, wpatrując się w nią wielkimi, ufnymi oczami jak nieme anioły z wystrzępionymi skrzydłami w rękach. Bóg raczy wiedzieć, jakie myśli przebiegły przez ich biedne główki. Świat tych niebożąt zaludniali okrutni dorośli. Czy naprawdę zapomnieli chudeusza, który czasem unosił je wysoko nad głowę? Owszem, miał prostacką, dużą twarz, a w niemrawych ustach zaledwie kilka słów. Lecz na pewno pozostał im w pamięci niczym zgubione guziki od bluzek.

W czystych, choć znoszonych ubrankach nauczyły się chodzić w wąskim pokoju na paluszkach wokół bardzo surowej, wybuchowej matki. Od prowadziła je za ręce do szkoły. Ich nauczycielką była znajoma Anny.

- To takie dobre dzieci - zwierzyła się mojej siostrze. - Żeby tylko trochę częściej się odzywały.

Po raz ostatni widziałam Radhę, gdy wsiadała do autobusu. Dobrze się jej przyjrzałam.

Nawet od tyłu rozpoznałam ją od razu. Nie wiem, czy to z powodu drucianej szczotki, ciężkiego życia, czy może z innej przyczyny, w każdym razie zmieniła się prawie nie do poznania. Skórę miała obwisłą, w drobnych fałdach. Jedna z nich, pod łokciem, zakołysała się, kiedy Radha poprawiała koszyk. Gdy obróciła się do kierowcy, żeby zapłacić za bilet, wtedy, wstrząśnięta, zobaczyłam, że jedną stronę ust ma wygiętą w dół jak częściowo sparaliżowany człowiek, a spod jej mocno przerzedzonych włosów prześwitywały łyse placki. Przypomniałam sobie pewien dawno widziany tamilski film, w którym bohaterka oddała się od kamery, biegnąc w stronę lasu. Jest zima, nagie drzewa śpią. Widać tylko jej nienagane plecy. Plecy te kojarzą mi się z moją bratową. Jest coraz dalej i dalej od kamery. Maleje i maleje, aż w końcu staje się kropeczką na widnokręgu. Żegnaj, Radho.

Nie wiem, dokąd umykają lata, ale już nie siedzę pośród pulchnych ketmii, barwnych bakłazanów, nie obserwuję owadów i nie karmię kur w magicznej grocie pod domem. Ziemia w ogrodzie to nagi ugór. Zawładnęły ją chwasty. Budzę się rano, zabieram do domowych zajęć, a potem czas na po południową drzemkę. Przed snem oczywiście telewizja. Czasem kino, a w piątki wzywa mnie świątynia na wieczorne modły.

Któregoś ranka obudziłam się jako trzydziestopięcioletnia stara panna i spojrzałam na ojca, osiemdziesięciodwuletniego starca na rozklekotanym rowerze. Od lat patrzyłam z okna, jak wsiada na swój zardzewiały wehikuł i pedałuje tą samą ścieżką. Bałam się, że kiedyś się wywali i coś sobie zrobi. Gdy w końcu do tego doszło, byłam na targu. To stojąca w oknie mama zobaczyła, jak tata zawadza o sterczące korzenie rozrośniętego rambutanu i spada z roweru.

Wybiegła z domu bosą, żeby pomóc biednemu staruszkowi, który leżał oszołomiony na plecach i nie mógł się poruszyć. Miała wtedy sześćdziesiąt jeden lat, ale w jej niemłodym, skurczonym ciele tkwiła ciągle wielka siła. Przykucnęła przy tacie. Jego głęboko pobrużdżona twarz przypominała wyschnięte koryto rzeki. Przez lata mama czytała w niej niczym w otwartej księdze. Dotknęła bruzd. Choć bardzo cierpiał, spojrzał na nią zaskoczony. Tylne koło roweru wciąż się kręciło. Spróbowała podnieść ojca.

- Nie, nie – wyjącał. - Nie mogę się ruszyć. Złamałem nogę. Wezwij karetkę.

Pobiegła do domu starego Sunga. Wpuściła ją służąca. Mama nigdy nie była w środku.

Rozpoznała stół z różanego drewna. To na nim Mui Tsai stawiała swemu panu potrawy z psiego mięsa, to przy nim pierwszy raz Sung pogładził jej dziewczęce uda, i to na jego blat rzucili ją japońscy żołnierze i jeden po drugim zgwałcili.

- Pani Sung! - zawołała mama cienkim, schrypłym głosem, czując pod stopami chłód mozaikowej posadzki.

Wreszcie pani Sung raczyła otworzyć ciemne, drewniane drzwi i wyszła. Była nieopisanie brzydka, gruba, w dodatku łysiała. Po urodzie nie zostało ani śladu. Z jej oczu, zmniejszonych przez wałki tłuszczu, znikła wszelka radość. Obecność sąsiadki wyraźnie ją krępowała. Mama była kimś, kto znał jej tajemnice. Starą wiedźmą, przechowującą w pamięci wszystkie jej podłe sekrety.

Wiedźma otworzyła usta i wyjaśniła, dla czego musi zadzwonić. Pani Sung wskazała telefon blisko holu. Mama zadzwoniła, podziękowała i czym prędzej stamtąd wyszła.

Minęła dom Myny, gdzie kiedyś razem z Mui Tsai zobaczyły białego pytona. Mina już dawno wyjechała. Japoński opiekun zostawił jej kawałek ziemi i pieniądze, więc się przeprowadziła. Mama szybko przeszła obok domu Chińczyków, w którym przed laty powiesiła się biedna A Moi. Tata wciąż leżał na plecach. Nie poruszył się. Mamie chciało się płakać i nie wiedziała, dlaczego. Obrażenia taty z pewnością nie były poważne. Skąd więc nagle to poczucie zagubienia, opuszczenia? Jak gdyby to nie ona go zostawiła, by wezwać karetkę, tylko on ją?

Czyżby raptem po tylu latach zabołało ją w sercu na myśl o jego bólu, na myśl, że go traci?

Ze wszystkich sił starała się pamiętać o tym, że ją irytował, złościł i doprowadzał do szewskiej pasji.

Spojrzeni sobie w oczy. Ojciec miał twarz bez wyrazu. Po prostu patrzył na nią tak.

jak patrzył przez te wszystkie lata. Solidny, spolegliwy i miękki niczym ciasto. Przyszło jej na myśl, że powinna mu po wiedzieć, co czuje, że może jej duchowa rozterka, niezwykle pragnienie, by wyzdrowiał, pocieszą go. A wtedy nadbiegłam ja i cikliwostki uwięzłyjej w gardle. Poczula się głupio, że jej, starej kobiecie, w głowie takie bzdury. Dobrze, że nie wypowiedziała tych niedorzecznych, dziecinnych słów. Mogłyby nim wstrząsnąć i dostałby ataku serca.

Mama zostawiła mnie z tatą i weszła do domu. Musiała się przygotować. Chciała odwiedzić staruszka do szpitala. Być przy nim. Zdenerwowanie nie pozwoliłoby jej siedzieć w domu. Szybko zdjęła spłowiałe brązowo-zielone sari i włożyła jasno niebieskie z ciemnozielonym obrębkim. Pod czoli wepchnęła portmonetkę z pieniędzmi. Kto wie, ile kosztowały teraz lekarstwa. Uczesała włosy i związała je na karku w ciasny kok. Wszystko to zajęło jej zaledwie kilka minut.

Dom pogrążony był w ciszy, jakby wiedział, że na zewnątrz wydarzyła się tragedia. I że stare kości się nie zrastają. Wresz cie mama napotkała w lustrze swoje oczy i zamarła, przestraszona. Dostrzegła w nich coś obcego. Przyjrzała się im do kładniej. Wkradło się do nich uczucie, któremu nie ufała. Tak ją zaniepokoiło, że szybko odwróciła wzrok i zaczęła myśleć praktycznie. Stopy. Musiała zrobić coś szybko ze stopami. Zmyła z nich krew, wsunęła je w pantofle i poszła czekać przy tacie. Stanęła nad nami niczym królowa i patrzyła, jak, skulona na ostrych kamieniach, gładzę jego siwe włosy, a po twarzy płyną mi rześiste łzy. Ale moja słabość dała mamie siłę. Ucieszyła się, że nie uległa tamtym dziwnym uczuciom. Była dumną kobietą.

Nie chciała, by ją wzięto za osobę słabą lub głupią. Dobrze więc, że to jej córka, a nie ona wypłakiwała niegodnie oczy, kuląc się na ziemi. Wiedziała, że sąsiadki obserwują ją zza firanek.

Kiedys pewnie zgromadziłyby się wokół niej, próbując dopomóc, tak jak wtedy, gdy Japończycy zabrali męża Miny i go rozstrzelali. Lecz obecnie w okolicy mieszkało mnóstwo nowych sąsiadów.

Całe pokolenie ludzi, którzy uśmiechali się i pozdrawiali cię z daleka. Wyznawców dziwnego, zachodniego pojęcia zwanego prywatnością.

W nasz zaułek wjechała karetka. - Tutaj, tutaj! - zawołałam, energicznie machając rękami.

Dwaj sanitariusze w białych fartuchach przenieśli ojca na wąskie nosze. Skrzywił się z bólu. Widząc, jak uwijają się przy nim ręce w bieli, mama przeżyła d j a u. Przywołała z pamięci jego obraz, kiedy zszarzały na twarzy i nieprzytomny leżał na wąskim łóżku na kółkach. Na dobrą sprawę była jeszcze wtedy dzieckiem. Wsiadła. W pędzącej ulicami Kuantanu karetce milczała.

Wyczerpany tata zamknął oczy. Mama miała wrażenie, że jest gdzieś daleko. Zapragnęła go dotknąć, poczuć, że wciąż z nią jest. Zmieszały ją te dziwne myśli. Może się starzała, a może

wczuła się w jego zmęczenie. Od dawna wiedziała, że dni jego życia marzyły i tęskniły do nocy, błogich ciemności, opadających jak gruby, miękki całun zapomnienia. Może bała się, że te ciemności zapadną na zawsze, a może tego, że on je zaprasza, przyzywa. W pewnej chwili tata zamrugał powiekami i otworzył oczy. Patrzył na nią w milczeniu i, widząc uspokojony widokiem jej stroskanej twarzy, zamknął je. A ona ucieszyła się, że jest dlań opoką. Po czuła, jak topniejący żal powoli wypełnia wszystkie pęknięcia i dziury w jej duszy. Była dla niego okropna. Przez całe życie starał się, jak mógł, żeby ją zadowolić, a ona odplacała mu zniecierpliwieniem, opryskliwością i apodyktycznością. Za dbała o to, by dzieci wiedziały, że to ona rządzi. Traktowała go bez respektu.

A w dodatku zazdrościła mu drobnych dowodów ich miłości, które przemycali do jego szarego świata. Była samolubna i małostkowa.

Pęknięcie w kości udowej ojca było cienkie jak włos. Włożyli mu nogę w gips. Leżał na łóżku, oczy miał zamknięte. Mama zauważyła, że skóra taty zmienia kolor. Zwykle bardzo czarna, zaczęła blednąć, aż zrobiła się szarobrunatna. Przy nieśli tacę z jedzeniem. Spojrzał na jałową szpitalną strawę i pokręcił głową. Mama zmieszała trochę ryżu z wodnistą zupą rybną i zaczęła go karmić tak jak kiedyś nas, gdy byliśmy mali. Jadł jej z ręki jak dziecko. Od tej pory go karmiła. Sam nie brał jedzenia do ust.

- Jutro przyniosę ci domowe - obiecała, zadowolona, że może coś dla niego zrobić.

Z oddziału wyszła z ciężkim sercem. Nie rozumiała, co się z nią dzieje. Przecież odbyła dłuższą rozmowę z lekarzem. Za pewnił, że pęknięcie kości jest bardzo cienkie. Nie ma żadnych powodów do obaw. Za trzy tygodnie zdejmą gips i mąż będzie jak nowy. Wróciła autobusem. Taksówki tyle kosztowały. Zresztą lubiła jeździć autobusami. Do domu dotarła do piero o czwartej po południu. Od rana nic nie miała w ustach ani nie brała proszków na astmę. Szybko zażyła kilka, popijając wodą. Nie chciało jej się jeść, ale ponieważ głośno zakruczało jej w żołądku, zjadła trochę ryżu z curry.

Przez trzy tygodnie życie mamy toczyło się według szablonu. Wstawała rano, nie myśląc o śniadaniu, szybko coś gotowała i pędziła do szpitala. Własnoręcznie karmiła tatę. A potem składała puste menażki i wracała autobusem. W domu brała proszki na astmę i po półgodzinie zmuszała się do po siłku. Naturalnie nie wiedziała, że zażycie silnie działających tabletek na pusty żołądek niszczy jego ścianki. Wytworzony kwas codziennie je nadzerał. Nie zwracała uwagi na sporadyczne bóle i kurcze. Miała ważniejsze sprawy na głowie.

W dniu zdjęcia gipsu wyszła wcześniej. Czekwała przy łóżku ojca, gdy rozcinano mu twardą, żółtawą skorupę na nodze.

- Proszę bardzo - powiedział wesoło lekarz.

Tata próbował poruszyć nogą, ale ciążyła jak kamień.

- No, śmiało - zachęcił lekarz. - Pan poruszy nogą. Będzie trochę sztywna, ale dobra jak nowa.

Biedny ojciec próbował nią poruszyć z całych sił.

- Nic z tego - rzekł wreszcie, wyczerpany próbą przesunięcia kamiennej kończyny.

Lekarz zmarszczył brwi, a siostra zrobiła minę. Ach, ci starcy! Wiecznie zawracają głowę!

Mama podniosła wzrok. Dające się jej we znaki rwanie w żołądku zmieniło się w piekący ból.

Doktor jeszcze raz zbadał nogę taty. Wreszcie orzekł, że zapewne gips założono za ciasno i konieczna będzie fizykoterapia. Dał do zrozumienia, że po kilku zabiegach ojciec zacznie biegać po szpitalnych korytarzach. Ale noga pozostała martwa. Obumarły w niej wszystkie nerwy. Była zimna i twarda. Bez wątpienia sparalizowana.

Przez trzy miesiące tata znosił terapię, której poddawały go antypatyczne pielęgniarki. Zarzucały mu, że się leni. Pewnego dnia po obudzeniu znalazł w ustach kawałek papieru. Pomyślał, że zrobiły mu kawał. Nie dość, że był samotny, to stał się celem ich żartów. Irytowało je, że mu się nie poprawia. Często traktowały go tak, jakby umyślnie nie chciał chodzić. W końcu tata poprosił o wypisanie ze szpitala. Lekarzowi obiecał kontynuować ćwiczenia w domu. Ma dużych, silnych synów, którzy mu pomogą. Odwieziono go karetką. Sanitariusze ostrożnie przenieśli go na wielkie łóżko.

Usłyszałam, jak wzdycha z ulgą.

Ale w domu przestał ćwiczyć i powoli zeszywniała mu druga noga. Paraliż skradł mu je obie i zaczął zagarniać ciało, zmieniając go w dziwną figurę z lekko podkurczonymi kolanami.

Kiedy próbowaliśmy je wyprostować, podjeżdżały w górę i zastygały w zgięciu. Miesiąc później u mamy stwierdzono chroniczny nieżyt żołądka. Każdy posiłek stawał się dla niej męką. Przez cały dzień piła ciepłe mleko i jadła ryżowe kulki z jogurtem. Zrezygnowała nawet z owoców. Po jabłkach i pomarańczach kaszlała krwią. Po pomidorach krzyczała z bólu, a gdy spróbowała dania z odrobiną przypraw lub olejem, w bezsilnej złości ciskała talerzem o podłogę.

Nie ulegało wątpliwości, że leżący w sypialni ojciec umiera. Mama siedziała przy nim, lecz nawet ona była bezsilna wobec śmierci zabierającej go cal po calu. Bo właśnie tak go ona zabierała, paraliżując jego ciało dzień po dniu, niespiesznie i od niechcienia. Tata płacił jej bezdusznemu dziecku za to, że wymknął się przed laty z jego szponów, kiedy siedząc nad dołem w dżungli, zaśmiał się i powiedział: "Dziewięciu na dziesięciu to świetny wynik".

Mama wymogła na Lakszmanie i braciach, aby na zmianę raz dziennie wpadali podnieść ojca i ułożyć go inaczej. Miał mnóstwo odleżyn. Unosili w górę jego kruche ciało i obmywali jak małe dziecko.

Po siedmiu miesiącach paraliż dotarł do szyi. Ciało taty wyziębło i zeszywniało, jakby już nie żył. Zawsze wszystko robił powoli, a teraz powoli, z mozołem umierał. Taki już był. Miał przykry oddech. Nie chciał jeść. Stopniowo zimno objęło głowę. Mama próbowała wlewać mu do gardła mleko, ale wypływało z kącików ust na podbródek. Mimo to nie rezygnowała. Cały dzień czuwała przy jego łóżku.

Któregoś dnia spojrzął jej w oczy i wyszeptał: "Miałem więcej szczęścia niż Tiruwalluwar".

A potem zamilkł i zapadł w straszliwy bezruch konania. Spod jego półprzymkniętych powiek wзираły jedynie białka oczu. Oddech był już tak płytki, że tylko po przystawieniu lusterka do ust mogliśmy przekonać się, iż w jego sztywnym ciele nadal tli się życie. Głowę miał bardzo zimną, oczy utkwione w nicość. Leżał taki zimny cztery dni, ale wciąż oddychał. Dopiero piątego ranka mama ocknęła się i odkryła, że całkiem wystygł. Ciepły oddech z nozdrzy zniknął. Usta pozostały półotwarte. Przy łóżku ojca zgromadziły się wszystkie dzieci i wnuki. Wezwany przez mamę doktor Czu stwierdził zgon.

Mama nie płakała. Poprosiła Lakszmanę, żeby rozprostował tacie nogi. Przyniosła z kuchni grube polano i wyszła z sypialni. Brat uderzył nim w rzepki taty. Usłyszeliśmy trask i Lakszmana, powoli naciskając, wyprostował sztywne nogi zmarłego, a potem ułożył go w dużym pokoju na przyniesionej z kuchni ławie mamy. Materac z dużego srebrnego łoża trafił na podwórze i wieczorem został spalony. Ogień był duży. Mama stała samotnie, zapatrzona w pomarańczowe jęzory pożerające wyściółkę z bawełny. Wyglądała jak nieulekła wdowa, wpatrująca się w stos pogrzebowy, na którym płonie ciało jej męża. Z łatwością mogłam wyobrazić sobie, że bez strachu rzuca się w płomienie. Nikt nie musiałby jej popychać. Nikt zresztą by się nie ośmielił. Gorzała mocniej niż materac. Paliła część swego życia. Na tym materacu zostały poczęte wszystkie jej dzieci. Na tym materacu spędziła z ojcem blisko pół wieku. Tyle razy wypychała go przez te lata wciąż od nowa, by zachował miękkość.

Gdy patrzyła, jak płonie, dotarło do niej, że kochała tatę. Że kochała go, nie wiedząc o tym, cały czas. Zrozumiała to za pewne już w momencie, kiedy spadł z roweru, ale zbagatelizowała jako głupie, dziwne drgnienia serca, za dumna, by wyznać mu miłość. A powinna. Gorzko żałowała, że tego nie zrobiła. Ojciec byłby uszczęśliwiony. "Dlaczego, dlaczego mu nie powiedziałaś? - wyrzucała sobie. - To mogło mu przywrócić wolę życia". Dobrze wiedziała, że zawsze marzył, by go pokochała. W uszach dźwięczały jej słodko-gorzko ostatnie słowa, jakie z

trudem wyszły z jego bezwładnych ust: "Miałem więcej szczęścia niż Tiruwalluwar". Zrozumiała, co chciał jej przekazać.

W cyklu opowieści, tworzących łańcuch hinduskich legend, Tiruwalluwar był jednym z największych mędrców, jacy żyli. Postanowiwszy obdarować umierającą żonę, rzekł przy jej łożu śmierci: "Proś. Proś, o co dusza zapragnie". Mogła go poprosić o rzecz dla każdego Hindusa i Hinduski najcenniejszą - moksę - uwolnienie od konieczności dalszych wcieleń, lecz zamiast tego poprosiła o wyjaśnienie, dla czego na początku ich małżeństwa zażądał, aby do każdego posiłku podawała mu igłę i miseczkę z wodą. Bo przecież ani razu ich nie użył.

- Ach, droga żono - odparł - igłą tą mógłbym podnieść najmniejsze ziarnko ryżu, gdyby spadło przypadkiem z bananowego liścia, i opłukałbym je przed zjedzeniem w miseczce. Marnotrawstwo to grzech, który zamyka bramy niebios. Ale skoro nie zdarzyło ci się upuścić choćby jednego ziarnka, więc nie musiałem korzystać z igły i miseczki z wodą.

A ponieważ była tak dobrą i wzorową żoną, Tiruwalluwar obdarował ją moksą. Przed wydaniem ostatniego tchnienia ojciec chciał, aby mama wiedziała, że jest dla niego cenniejsza niż dla Tiruwalluwara jego idealna żona.

Popłakała się. Wiedziała, że zmarnowała życie jemu i sobie. Zachęcała dzieci do lekceważenia ojca, niezwracania na niego uwagi. Wyśmiewała jego potulność i niezgulstwo, uparcie robiąc z tego łagodnego człowieka intruza i głupca. Zdradziła go. Mężczyznę, który tak bardzo ją kochał. Przegrała z własną niecierpliwością i niesłychanym sprytem. Rozsądek spustoszył jej serce.

Sevenese

W karczmie, gdy lewica Brzasku dotykała nieba, W sennym widzie doszło mnie wołanie:

"Obudźcie się, maluczcy, napełnijcie czarę, Nim z likworu życia nic w niej nie zostanie".

Całe życie uparcie odmawiałem poezji Omara Chajjama większej subtelności.

Ale prawdziwy, mistyczny sens jego wierszy jest jak wino: tak mocno uderza do głowy, że zagraża każdemu, kto je spożywa. Łatwiej te wiersze interpretować płytko, na zachodnią modłę. Jeśli się jednak uzna, że owo wołanie w karczmie nie jest cienkim piskiem, który wymknął się nad ranem z uszmiokowanych ust w zapłutym pokoju hotelowym w Tajlandii, to rozwiąże się tajemnicę życia. Ja nie chciałem jej rozwiązać, gdyż rozwiązanie oznaczało bylejakość, szarość, nudę.

Czy Chajjam miał pojęcie o apsarach, boskich nimfach, które można kupić za kilka amerykańskich dolarów za noc? Jeśli natknę się na tego wielkiego poetę w innym świecie, to powiem mu, że mój likwor życia też miał złoty kolor, choć po chodził z flaszki Jima Beama.

Świetny bourbon. Omar mnie zrozumie. Bystry gość. Domyśli się, że gdybym sam pozbawił się iluzji niewiedzy, to zaprzeczyłbym nie tylko własnej jakości jako garnka, ale i fachowości garncarza, który mnie ulepił. To proste. Jestem naczyniem spartaczonym. Czy mam szydzić z siebie dlatego, że krzywo stoję?

Ten, kto mnie utoczył, naznaczył mnie też ciemnozielonym winnym liściem zepsucia i rozwiązłości, który rozwinął się wcześniej i pochwycił mą duszę. Co mogłem począć?

Jestem niepoprawnym hultajem. Mocne trunki, obfite żarcie i łatwe życie pchnęły mnie na złą drogę. Z podszytą strachem fascynacją przyglądam się mojej matce.

Napędza ją żądza po siadania. Czy to możliwe, zadaję sobie pytanie, żeby nie wiedziała, jak szpetną bestię przyciska do piersi?

Bestię niezaspokojoną, która wyssała z niej życie. Mama zapragnęła wszczepić tę żądzę nam, lecz z tego samego nasienia w różnych doniczkach wyrastają odmienne rośliny. Inaczej wyglądają, inaczej pachną i wymagają całkiem innego jadłospisu. Moja żądza pachnie tanimi perfumami i karmi się niezliczonymi sztukami gładkich ciał, natomiast żądza Lakszmany zalatuje metalem, jeździ imponującym mercedesem i mieszka w wielkim domu w lepszej dzielnicy miasta.

Moja matka była tak silna, że miażdżyła wszystko, czego się tknęła. Buntowałem się. Do domu wracałem najdłuższą drogą. Kiedy nakazała mi omijać obejście zaklinacza węży.

z miejsca postanowiłem, że nie tylko tam wejść, ale zaprzyjaźnię się z synami tego człowieka i poznam ich mroczne sekrety i sztuczki. Matka miała oczywiście rację - w ich domu naprawdę działy się dziwne rzeczy. Od małego wyczuwałem w jego najciemniejszych kątach niewidoczną aurę, głównie jednak w pokoju z czarnymi zasłonami, w którym stał posąg Kali, bogini śmierci i zniszczenia. Świdrowała mnie złym wzrokiem, ale patrzyłem na nią bez lęku. Takiego stworzył mnie Pan. Za drżała mu ręka i uczynił mnie samolubnym, pozbawionym serca i nieustraszoną w obliczu nieznanego. Jeszcze nie dotarłem do granicy, po przekroczeniu której nie ma odwrotu.

"Zaprowadź mnie jeszcze dalej" - prowokuję, nie bacząc na nic.

I chociaż łamię mnie w kościach, a mięśnie mam znużone, to wciąż trawi mnie żądza. Siły nie ma, bym poprzestał na jednym piwie czy jednej dziewczynie. Zamawiam od razu cztery flaszki i ustawiam je w rzędzie, zwrócone nalepkami w moją stronę. Równie ładnie wyglądałby rząd złożony z czterech zgiętych w ukłonie dziewczyn. Tak, napełniam swoją czarę, aż się przelewa, i dolewam jeszcze. Czekałem na swoją pierwszą prostytutkę. W uszach grało mi "A, a, a!" i nudziły mnie dziewczęta spuszczone oczy. Słabo mi się robiło na myśl, ile wysiłku kosztuje zdobycie po kornej hinduskiej dziewicy, której majątek pilnuje gruba matka. Nawet miesiące umizgów nie gwarantowały niczego. Wołałem mniej zachodu, więcej różnorodności. Ze szczytu szkolnych schodów obserwowałem z kumplami wchodzące dziewczyny. Skrzętnie

pytaliśmy każdą, czy pozwoli nam dotknąć swoich mango. Grube i brzydkie reagowały bojowo, obrzucając nas przekleństwami, a ładne czerwieniły się albo skromnie spuszczały głowy. Jednej, która się we mnie zakochała, oczywiście złamałem serce. W objęciach porządnej kobiety nie znalazłbym tego, czego szukałem. Pożądałem kobiet doświadczonych i ostrych, takich, które wiedzą, że trzeba im płacić.

Kolejami malajskimi pojechałem aż do Tajlandii i na krótko wpadłem do dzielnicy czerwonych lampionów, gdzie piękne dziewczyny witają cię złożonymi dłońmi i zwyczajowo kłaniają się w pas. Kiedy zdjęty ozdobne przybrania głowy i myły mi nogi w misie z perfumowaną wodą, z zamkniętymi oczami leżałem na plecach z jedną myślą w głowie.

Jestem w domu!

Wiem, że czegoś szukam. Czegoś, czego dotąd nie znalazłem. Przemierzam ulice Czou Kit i przyglądam się transwestytom. Nazywają ich plastikowymi kobietami. Z wypiętymi płaskimi piersiami i chudymi tyłkami przechadzają się tanecznym krokiem, śląc ustami całusy mijanym mężczyznom. Suną w moją stronę jak tornado fałszu i samozaprzeczenia - w perukach, ze sztucznymi rzęsami, wypchanymi biustonoszami, ciasnymi pasami, jaskrawo pomalowanymi paznokciami, wypacykowanymi twarzami i nienaturalnie wysokimi głosami.

- Ile bierzesz? - spytałem kiedyś dla śmiechu.

Natychmiast przypadła do mnie, szeroko uśmiechnięta, gotową do pieszczot ręką dotykając mojego przyrodzenia.

- Zależy, czego chcesz - odparła żartobliwie.

Przyjrzałem się jej. Skórę miała miękka, lecz oczy paskudne. I podrygujące jabłko Adama. Straciłem chęć do figli. Westchnąłem z żalem.

- Ale niedużo - dodała, zaniepokojona.

Wiedziałem, dlaczego jest o wiele gorsza od prostytutki - oddawała się tak, jakby była puszką z robakami. Swoją płeć mogła zaoferować tylko po ciemku nieznanym o zboczonych gustach.

- Może następnym razem - odparłem.

- Pokażę ci rzeczy niezwykle - nie dawała za wygraną. Twarz miała dziwnie pustą. Uwierzyłem jej. Uwierzyłem, że naprawdę pokaże mi coś niezwyklego, ekscytującego, chociaż budzącego w niej najwyższy wstręt. Ta myśl mnie podnieciła. "Jak bardzo zdeformowanym naczyniem jesteś? - zadałem sobie pytanie. - Och, gdyby tylko nie była mężczyzną... Ale to jest mężczyzna, Sevenese, mój chłopczel!".

Potrząsnąłem głową. Obrażony, przesadnymi gestami dał do zrozumienia, że zmarnowałem jego cenny czas. Patrzyłem, jak odchodzi i dołącza do kompana. Obaj zmierzyli mnie

jadowitymi spojrzeniami. Rozumiem ich tragedię. Unieszczęśliwia ich nie to, że żaden nie jest tym, kim być powinien, ale to, że nie jest tym, kim być pragnie. Kobieta.

CZEŚĆ CZWARTA

Smak zakazanego wina

Dimple

Pamiętam siebie jako dziewczynkę z warkoczami. W najlepszych butach na nogach siedziałam niecierpliwie na spakowanej torbie przy drzwiach, a moje serce odliczało minuty jak bardzo głośny zegar. Czekałam na wyjazd na wakacje do babci Lakszmi. Wiązało się to czasem z pokonaniem toru przeszkód za trudnego dla małego dziecka. Najmniejsze wykroczenie groziło pozbawieniem mnie tej przyjemności. A najgorsze, że musiałam udawać, iż wakacje to nic specjalnego.

Dopiero w samochodzie, którym ojciec po powrocie z pracy odwoził mnie na dworzec autobusowy, oddychałam z ulgą, pewna, że nic mi już nie przeszkodzi w wyjeździe.

Przy drzwiach autobusu tata całował mnie na pożegnanie i stojąc na peronie, machał mi ręką, dopóki autobus nie zniknął mu z oczu. Przymykałam powieki i zostawiałam za sobą wszystkie przykrości - groźby mojego brata, Nasha, że przywiąże mnie do krzesła w kuchni i spali mi włosy, i szyderczą twarz mamy. Cieszyłam się, że już wkrótce będę spała tak blisko ukochanej babci, że usłyszę astmę w jej piersi. Dźwięk przypominający rżenie silnika, z każdą moją wizytą głośniejsze.

Podczas jazdy siedziałam jak trusia i wyglądałam przez okno, nie ośmielając się zasnąć ani wysiąść ze wszystkimi w Bentongu, żeby ugasić pragnienie i coś zjeść. Bałam się złych mężczyzn, porywających samotnie podróżujące dziewczynki, przed którymi przestrzegała mama. Na dworcu w Kuantanie czekała na mnie ciocia Lalita z ciastkiem Starszej Siostry, a wiatr od mola zwiewał jej cienkie loki na dużą, uśmiechniętą twarz. Po wyjściu z autobusu chwyciłam jej dłoń i machając złączonymi rękami, jak najlepsze przyjaciółki szłyśmy do domu babci. W wyobraźni widzę ten obraz: oto idziemy we dwie przez miasto, ona z moim bagażem w prawej ręce, a ja ledwo pohamowując emocje. W Kuantanie niewiele się zmieniało. Zawsze był mi znajomy i drogi. Wracałam tu jak do domu.

Kiedy wychodziłyśmy z domu starego Sunga, natychmiast dostrzegałam babcię. Lekko zgarbiona, stała przy drzwiach. Wrywałam się cioci Lalicie i pędziłam ku postaci na werandzie.

Gdy wreszcie wpadałam w otwarte ramiona babci, zanurzając twarz w jej znajomym, drogim mi zapachu, zawsze mówiła to samo:

- Aiju, aleś schudła!

Myślę, że jeżeli jest raj na ziemi...

To tu. To tu. To tu.

Doskonale pamiętam ranki w domu babci, przed wzejściem słońca spoza horyzontu. Budzę się w chłodnych ciemnościach, podekscytowana wstającym dniem. W pokoju wciąż pali się światło, a wujek Sevenese jest pijany. Już dawno uznał noc za swoją porę i nazwał siebie "pijanym buddystą". Obcować w młodym wieku z tak naturalnym, niewymuszonym cynizmem, to znaleźć się pod jego całkowitym urokiem. A mój wuj Sevenese jest mistrzem cynizmu. "Jakże nie czcić nieboszczyka, który był zbyt uprzejmy, by odmówić zjedzenia podłej po trawy?" - mówi o Buddzie.

Kiedy widzi, że zerkam przez drzwi, zaprasza mnie do po koju.

- Chodź - szepcze, klepiąc miejsce obok siebie.

Podbiegam. A wtedy jak zwykle mierzwi mi włosy.

- Dlaczego wciąż jesteś na nogach? - pytam.

- A która godzina?

Znów lekko bełkocze. Chichoczę, zakrywając usta. Nie do strzegam w nim ułomności. Tylko niezmiernie mądrego człowieka, sławiącego życie pełne cudownie obrazobujczych pomysłów.

Butelka z whisky wydawała mi się czymś przypadkowym, a skutki picia zabawne i miłe.

Gdy wuj był w takim stanie, rozmawiał ze mną na dorosłe tematy, o których - wiedzieliśmy to oboje - rozmawiać nie powinien.

Dźgam go palcem w brzuszysko, i palec znika mi w fałdach tłuszczu.

- Zatrząś brzuchem! - rozkazuję.

Brzuch natychmiast zaczyna drgać i nie mogę powstrzymać salw śmiechu.

- Szszsz - ostrzega Wuj, wpychając butelkę Bells głębiej między poduszki. - Obudzisz Matkę Ryżu.

- Kogo? - pytam.

- Dawczynię Życia. Na Bali jej duch żyje w kukłach uplecionych z wiązek ryżu. Z drewnianego tronu w rodzinnym spichlerzu strzeże obfitych plonów, które dzięki niej zebrano na ryżowiskach. Jest tak święta, że grzesznikom nie wolno przed nią stanąć ani uszczknąć choćby jednego ziarenka z jej figurki. - Wuj Sevenese kiwa na mnie palcem. Najwyraźniej się upił. - W tym domu Matką Ryżu jest twoja babka. Jest strażniczką snów. Patrz uważnie, to zobaczysz: siedzi na drewnianym tronie i w silnych rękach trzyma wszystkie nasze nadzieje i marzenia, małe i duże, twoje i moje. Nie osłabła z wiekiem.

- Aha! - wołam, podchwytyjąc pomysł.

Pęcznieje on w mojej głowie. Babcia z kruchej, często smutnej kobiety przemienia się w silną i wspaniałą Matkę Ryżu, z ciałem oblepionym białymi ziarnkami i wszystkimi moimi snami w mocnych rękach. Oczarowana tą wizją, kładę głowę na poduszce z brzucha wuja.

- Droga, droga Dimple - mówi, wzdychając ze smutkiem. - Gdybym tylko wiedział, że nigdy nie dorośniesz. Gdybym tylko mógł uchronić cię przed przyszłością, przed samą tobą. Gdybym posiadał moc szamanów Innu, którzy biciem w bębny z odległości wielu mil potrafią roztańczyć jelenie tak, że czekają na przyjście myśliwych. Czekają na własną śmierć.

Biedny Sevenese. Byłam za mała, by zrozumieć, że depeczą mu po piętach demony i duchy, a ich wielkie krokodyle oczy świecą w ciemnościach. I gonią go. Gonią. Gonią.

Leżałam niewinna na jego brzuchu, zadając sobie pytanie, czy jakiś mieszkający bardzo daleko szaman już uderzył w bęben, a myśliwi wyruszyli w drogę. I czy to dlatego wuj jest ciągle poza domem i tańczy rumbę, merengę i cza-czę.

- Narodziny to tylko odwleczona śmierć - mówi, zionąc ciepło whisky.

A potem wsiada do slipingu jadącego w niebezpieczne, tajemnicze zakątki Tajlandii, gdzie można zniknąć bez śladu. I gdzie dziewczęta mają rozkosznie zmyślne mięśnie, a kamasalila (soki miłosne) tak wonne jak świeże liczi.

Wciąż pragnąc czegoś, czego nie umie nazwać, wyjeżdża do Port-au-Prince na Haiti. Tam przestaje z szamanami voodoo. Z ich czarnej aury strzelają fajerwerki cienkie jak igły. Patrzy urzeczony, jak szamani otwierają bramy duchów i pokazują mu dwie istoty o imionach Zede i Adel.

Przysła stamtąd widokówkę z dużym wodospadem, gdzie "wszyscy bez przerwy wirują w transie, wyrzucają z ust dziwne, nierozpoznawalne słowa i dziko wiją się na kamieniach".

W ciągu lat zgromadziłam jego listy ze zdjęciami, na których stoi u rozległych stóp egipskich piramid. "Nareszcie zrozumiałem, co czują mrówki na progu naszego domu" - gryzmoli.

Śpi na pustyni pod zdumiewającym sklepieniem z milionów gwiazd i przeprawia się przez morze martwych ptaków, z dziobkami i oczami inkrustowanymi wirującym piaskiem, skrzydlatych pielgrzymów, którzy nigdy nie dokończą wędrówki przez Saharę. Pije mocne wielbłądzie mleko i zapisuje uwagę, jak wrzaskliwie protestują dromadery, kiedy sieje objucza. Stopy mają duże i miękkie niczym placki czapati. Żując uschnięty na kamień chleb, ze zdziwieniem spostrzega malutką mysz, która wyrosła jak spod ziemi, żeby pozbierać z piasku najdrobniejsze okruszki.

Informuje mnie, że słowo "kobieta" - "horman" - pochodzi z arabskiego "haram" - "zakazana", ale mężczyźni wołają na ładne dziewczęta "bellabuuuzzz".

Widzi je, jak w błyszczących welonach i bogatych szatach wylegają się na zbyt kownych poduszkach nad sadzawką i zza osłony kamiennego aźuru, niewidoczne, obserwują życie za murami. Zerkają na swoje rozkołysane odbicia w wodzie lub w antyczne perskie lustrzane pierścionki. W wewnętrznych kącikach ich odwzajemniających spojrzenia, roziskrzonych oczu czerwienieją kropki. Piersi młódek połyskują piżmem, a gdy hurysy wesoło polewają się wodą różaną, ich przybrane drogocennymi kamieniami pępki niecą w zachodzącym słońcu ognie.

Obojętny na te podniety, Sevenese pisze: "Czyżby mi się wreszcie przejadło? W czym rzecz?".

Markotny, na miesiąc znika na safari. "Brak towarzystwa dobrze mi zrobi" - twierdzi.
- Straci pracę - lamentowała babcia.

Wrócił trochę weselszy, spalony na heban przez okrutne słońce i dziwnie obojętny wobec przekonania, że tylko kwestią czasu jest, kiedy afrykański lew, mając dość Koła Życia, pójdzie w ślady lwa indyjskiego, to znaczy, wyginie. Przeraziłam się. Kocham lwy. Ich brązowe oczy, złote łapy i wspaniałe ryk dorosłego samca, brzmiący tak, jakby dobywał się z przepastnej jamy. Widzę je o zmierzchu - wyglądają jak wykute ze skały, na której leżą.

Wuj Sevenese pojechał do Singapuru, bez zapachu kontrolując stan toalet, stamtąd zaś wreszcie nocnym pociągami na północ, do ziemi tysiąca posągów spoczywającego Buddy, mnichów w szafranowych szatach, bijących w wielkie gongi, i strzelistych, finezyjnie rzeźbionych wież, połyskujących w dymnym, fioletowym zmierzchu. Tam z zamkniętymi oczami ponownie sięgnął do znajomych miękkich piersi, krągłych brzuchów i jedwabistych ud.

U babci jedzenie było proste, ale zdrowe. Obracając mi głowę w stronę słońca, które wpadało przez kuchenne okno, babcia Lakszmi sprawdzała, czy mam czyste uszy. Zadowolona z oględzin, kiwała głową i wracała do siekania cebuli, ćwiartowania bakłażanów i drobienia liści szpinaku. Chciwa wieści, wypytywała mnie o wszystko: o ojca, szkołę, zdrowie, przyjaciół. Szczególnie cieszyła się z moich dobrych ocen.

- Tak samo było z twoim ojcem – powiedziała. - Zanim dopadło go nieszczęście.

Dużo grałyśmy w chińskie szachy, babcia strasznie oszukiwała. Nie znosi przegrywać. "Gupia!" - krzyczała, żeby mnie zdekoncentrować, i w mgnieniu oka przestawiała pionki.

Wieczorem często siadywałam na werandzie z dziadkiem i w milczeniu patrzyliśmy na czerwone, zachodzące słońce. Czytałam mu upaniszady. Raz zasnął w fotelu. Kiedy go zbudziłam, na chwilę się przestraszył, popatrzył zmieszany i nazwał mnie Mohini.

- Nie, to ja, Dimple, dziadku - powiedziałam.

Zrobił rozczarowaną minę i wtedy pomyślałam sobie, że może jednak mnie nie kocha.

Albo kocha tylko dlatego, że trochę ją przypominam.

Wakacje mijały jak z bicza trząśł, z każdym dniem słońce zachodziło szybciej i nieubłaganie zbliżał się koniec. Ostatniej nocy zawsze płakałam, dopóki nie zmorzył mnie sen. Nie mogłam znieść myśli o powrocie do szkoły, do zazdrosnych Nasha i Belli, do wściekającej się matki. Gdy wracałam od babci, mama wprost kipiała z wściekłości.

W okresie dorastania ojciec i matka byli najbardziej nie przewidywalnym żywiołem w naszym życiu. Przypominali proch i zapalną, które szukały krzemienia i draski, aby usprawiedliwić nagłą widowiskową eksplozję fajerwerków. W swoim czasie znajdowali mnóstwo krzemieni i drasek. Babcia twierdziła, że są wrogami z poprzedniego życia, związanymi z sobą grzechami.

Przypominali parę ludożerców, gotowych pożreć jedno drugiego, żeby przeżyć. Nawet rozmowa o andaluzyjskich zakonnicych czy żółtkach jajek mogła skończyć się podbitym okiem lub potłuczoną zastawą.

- A ty co, szpiegujesz nas? - histerycznie wrzeszczała na mnie matka.

- Za godzinę mam zebranie. Może zostawię cię u Amu, hmm? - proponował z zasmuconą miną mój przystojny tata.

Droga, kochana Amu. Jakże ją kochałam! Była u nas, odkąd pamiętam. Gdy wychodziłam rano na podwórze, zawsze siedziała na niskim stołku w otoczeniu plastikowych wiader, piorąc i wyzymając nasze brudy. Matka, która nie robiła w domu nic z racji artretyzmu, wynajęła ją do prania, czyszczenia i sprzątania. Dlatego co rano po obudzeniu zastawałam ją pod domem, nad wiadrami z brudną odzieżą. Na mój widok jej drobną, trójkątną twarz rozjaśniał uśmiech.

- Uważaj na wodę ostrzegała mnie.

Starannie układałam sukienkę na kolanach, siadałam na kuchennych schodkach i patrzyłam.

- Amu, przyłapałam Nasha, jak wrywał kartki z książki, którą przysłał mi wujek Sevenese - skarżyłam się.

- O rety, rety - odpowiadała, kłaskając czerwonym językiem.

A potem, zamiast mi współczuć, wdawała się w zawiłą opowieść o żółzowatej żonie brata i siostrach albo wspominała dawno niewidzianego podłego kuzyna, który oszukał jej biednych, łatwowiernych rodziców. Historie te roily się od tak podstępnych intryg i okropnych ludzi, że szybko zapominałam o własnych małych kłopotach.

Ale zdarzały się też dobre chwile. Zbyt rozkoszne, by mogły trwać długo. Jedną z udanych transakcji taty uczciliśmy wspólną rodzinną kolacją złożoną z chińskich dań w restauracji hotelowej. Jedliśmy ucha morskie i homara. Mama była w świetnym humorze. Gdy budziłam się w nocy, słyszałam, jak śpiewa tacie. W tych upojnych dniach pałała miłością do niego. Gorzała tak jasnym płomieniem, że bałam się dotknąć jej twarzy. Była zazdrosna nawet o malajskie tancerki.

pokazywane w telewizji. Ale pieniądze wkrótce się skończyły i rodzice - jakby ów szczęśliwy okres był jedynie snem - szybko powrócili do wojennych rytuałów.

Kiedyś mama wzięła z sobą Bellę, by wyprosić od dawnego znajomego pożyczkę. Wiem od siostry, że gdy środkowym palcem wolno przesunął po blacie stołu kopertę z pieniędzmi, patrzył mamie głęboko w oczy.

- Następnym razem przyjdź bez dziecka - powiedział.

Nastał taki mortus, że Amu przynosiła nam z domu ryż i curry. Pamiętam łyzy na policzkach mamy, żującej bez przyjemności jajko z ostrym sosem. Tacie nie zostawiła nic. Kiedy wrócił do domu, nie miał co jeść.

Trzy dni później mama ponownie odwiedziła znajomego. Tym razem bez Belli. Do domu przyszła z nowymi złotobrązowymi butami, dużą torbą wypakowaną jedzeniem i dziwnie błyszczącymi oczami. Po powrocie taty rodzice strasznie się pożarli, a mama w napadzie szału porwała nowe buty na strzepy, rzuciła się na łóżko i zawyla jak wilk. Nie rozmawiali z sobą do nadejścia deszczów. A gdy się rozpadało, niezdolna do niczego, mogła już tylko siedzieć z nogami w górze. Dokuczały jej kolana, a zeszywniałe od reumatyzmu ręce tak bo lały, że nie mogła otworzyć słoika z dżemem. Właśnie wtedy nabrałam przekonania, że tato ją kocha, bo ilekroć szła do toalety, to ją mył.

Pewnego dnia po powrocie ze szkoły dowiedziałam się od taty o wypadku dziadka - staruszek spadł z roweru. Gdy go wreszcie zobaczyłam, był strasznie wychudzony, jego ręce przypominały długie kości obciążone skórą. Na mój widok rozplakał się. Wiedziałam, że umiera.

Był wysuszoną, skurczoną skarbnicą historii. Opowieści tak cennych, że - aby po znała je córka mojej córki - musiałam je utrwalić na papierze, a może taśmie. Nie ufałam pamięci. Kiedy następnym razem przyjechałam do babci, czekał na mnie magnetofon. "Wyznacz swój szlak snów" - zachęciła mnie. Więc zaczęłam od dziadka.

Po przeczytaniu fragmentu upanisad włączyłam magnetofon i oddałam mu głos. Popłynęła smutna opowieść, ale piękna. W pewnej chwili się obejrzałam, żeby sprawdzić, w czym dziadek utkwiał wzrok, i wtedy zobaczyłam jego Nefretete. Piękniejszą ponad wszelkie wyobrażenia. Babcia codziennie karmiła go małymi, specjalnymi, leczniczymi czarnymi kurakami, które doprawiała ziołami. Były bardzo drogie, ale postanowiła dawać je choremu do czasu, aż mu się polepszy. Co dziennie przyrządzała mu jednego przez bez mała rok. Dziadek zmarł 11 listopada 1975 roku, pozostawiając mi swój głos. Wokół jego wychudzonego, skurczonego ciała zebrały się wszystkie wnuki z zapalonymi pochodniami. Babcia nie płakała. Na pogrzeb przyjechała także moja mama.

Gdy spytała tatę, czy zostanie odczytany testament, spoliczkował ją i wyszedł z pokoju.

- Jasne, że nie! - krzyknęła za nim. - Ta pajęczyca weźmie wszystko!

Kiedy miałam dziewiętnaście lat, z windy banku MINB wybiegł mężczyzna i powiedział najbardziej szaloną rzecz, jaką słyszałam w życiu. Zażartował, że zobaczył mnie przez

lunetę i się zakochał. Był tym równie zaskoczony jak ja. Po myślałam; to wariat w drogim garniturze, ale pozwoliłam za prosić się na lody.

- Mów mi Luke zaproponował, uśmiechając się trochę krzywo.

Wydał mi się atrakcyjny. Niezwykle kulturalny. Z innej sfery. W kawiarni na parterze patrzył na mnie z tak bliska, że przy lodach truskawkowych zastanawiałam się, jak tu zjeść banana z czarki.

W końcu go zostawiłam. Za bardzo się krępowalam. Krępowalam się odejść, lecz jeszcze bardziej krępowalam się jeść w obecności Lukea - na jego nieprzeniknionych, dziwnych oczach. Tego dnia było w nich cudowne światło i pytania. Tysiące pytań.

Gdzie mieszkasz? Co robisz? Ile masz lat? Kim jesteś? Jak się nazywasz?

- Dimple.

Posmakował na próbę mojego imienia i powiedział, że w wężu najpiękniejsze jest nie to, iż może zabić jadem człowieka w ciągu kilku sekund, ale to, że mimo braku rąk i nóg zaszczerpił w ludzkości strach przed swym gatunkiem. Strach głęboko tkwiący w naszych genach, strach, z którym się rodzimy. Instynktownie boimy się węży.

Na chwilę się przestraszyłam. Instynktownie.

W środku poczułam chłód jak po połknięciu łyżeczki lodów. Bóg ostrzegł mnie szeptem, ale Luke uśmiechnął się. Uśmiech ma piękny, odmienia mu twarz. Zapomniałam o ostrzeżeniu. Zapomniałam, że kiedy mówił, jego oczy po zostawały zimne i nieprzeniknione. Jak oczy węża.

- Dla twoich promiennych oczu zostawiłem kilka bardzo ważnych osób - powiedział z czarującym uśmiechem.

Zamrugalam. Przypuszczałam, że takie rzeczy mężczyźni mówią o piersiach Belli. Lody Lukea roztopiły się w szklanej czarce. W przyływie śmiałości spojrzałam na niego. Nie nosił biżuterii. Zęby miał proste, kości policzkowe wyraziste, minę

wygłodniałą. Wpatrywał się we mnie z takim napięciem, że spajało ono rysy jego twarzy. Zafascynował mnie. Ludzkiej naturze przypisana jest żądza poznania ciemnej strony Księżyca.

Wiedziałam, że ten mężczyzna jest moim przeznaczeniem. Pragnął mnie. "Jeśli zostaniesz - mówiły jego oczy - to przeleję cię w siebie do ostatniej kropli". A mimo to nie uciekłam. Może z tego samego powodu co skowronek, który wzlatując w górę, opadając i nurkując tuż przed szponami głodnego drzemlika, śpiewa. Może zawsze chciałam się w kogoś wtopić.

Obiecałam zadzwonić. Swojego numeru nie podałam Lukeowi, by nie robić przykrości tacie.

- Zadzwon - polecił mi cicho na odchodnym, zostawiając na złocistych piaskach moich marzeń i serca odciski stóp.

Byłam tak zatopiona w myślach, że dopiero przed bramą naszego domu spostrzegłam granatowy samochód, który za mną jechał.

Dwa dni później zadzwoniłam do biura Lukea z westybulu centrum handlowego Koło Rają.

Wcześniej, gdy płaciłam za szklankę soku sojowego, jego nieskazitelnie biała wizytówka z numerem telefonu wpadła mi do rynsztoka i unosząc się chwilę w mętnozielonej wodzie, znikła pod cementową pokrywą. Arogancka recepcjonistka spytała mnie, z jakiej jestem firmy.

- Dzwonię w prywatnej sprawie - odparłam.

- Połączę panią z jego sekretarką - rzekła wreszcie znudzonym tonem, a ja zaczęłam nerwowo obracać w palcach monety.

Sekretarka Lukea okazała się równie niemiła.

Pożałowałam, że dzwonię.

- Pani w jakiej sprawie?

- Czy mogę rozmawiać z Lukiem? - spytałam niepewnie.

Wyjaśniła, że jest na zebraniu i nie można mu przeszkadzać, a potem tak gładko zaproponowała, żebym zostawiła wiadomość, iż nabrałam podejrzeń, że robiła to tysiące razy. Zaczęłam wątpić, czy Lukę mnie jeszcze pamięta. Pewnie był playboyem i milionerem. W biurze naprzykrzały mu się setki dziewcząt. Może wszystko to mi się przyśniło. Nie miałam nawet jego telefonu.

- On... nie może do mnie oddzwonić. Spróbuję później - odparłam z zakłopotaniem, wcale nie zamierzając dzwonić drugi raz.

Poczułam się jak głupia gęś. Co ja sobie w ogóle wyobrażałam?

- Chwileczkę. Jak pani na imię? - spytała chłodno.

- Dimple - wyszeptałam zdeprymowana.

- A - powiedziała sekretarka takim tonem, jakby się wahała - proszę zaczekać. Ma bardzo ważne zebranie. Sprawdzę, czy może rozmawiać.

W słuchawce zapadła cisza, a ja ze ściśniętym żołądkiem wrzuciłam do automatu kolejne dziesięć senów. Dodzwonienie się do niego tak mnie rozstroiło, że prawie się trzęsłam.

- Halo! - odezwał się raptem Lukę.

- Cześć - wykrztusiłam onieśmielona.

Zaśmiał się.

- Dlaczego nie zadzwoniłaś na bezpośredni numer?

- Twoja wizytówka wpadła mi do ścieku - wyjaśniłam, pokrzepiona jego śmiechem, pewna, że wszystko skończy się dobrze.

- Dziękuję za telefon - rzekł cicho. - Na szczęście podałem twoje imię Marii. Zjesz ze mną kolację?

- Wieczorem nie mogę wyjść... Rozumiesz... Mama. Tata...

- No, to podwieczorek, lunch, podobiadek, śniadanie, co chcesz?

- Mmm... to może kolację w piątek, ale mogę zostać tylko do dziewiątej.

- Dobrze. O której po ciebie przyjechać?

- O szóstej, pod salon fryzjerski Toniego w Bangsarze.

- Zgoda. Do zobaczenia w piątek o wpół do szóstej. Czy odezwiesz się do mnie przedtem?

Tym razem na bezpośredni numer?

- Tak - obiecałam.

Podał mi numer i wrócił na swoje ważne spotkanie, a ja odzyskałam szczęście.

Naprawdę chciał się ze mną spotkać, a ja z nim. Na pierwszą randkę z Lukiem szykowałam się z bijącym sercem.

- W co mam się ubrać? - spytałam.

- W dzinsy - odparł z naciskiem. - Zabiorę cię na sataj, jakiego jeszcze nie jadłaś.

- Dobrze - zgodziłam się chętnie.

Jego głos przez telefon dziwnie na mnie działał. Czulałam się onieśmielona. Lukę był światowcem, a mnie brakowało oglady. Miałam nadzieję, że dzinsy zniwelują nieco różnice pomiędzy nami.

Nie pozwoliłam mu przyjechać po mnie do domu. Miał niewłaściwy kolor skóry. Matka dostałaby szału, widząc, że umówiłam się z mężczyzną, który nie jest Cejlończykiem. To było dla niej najważniejsze. Do dzinsów włożyłam białą bluzkę, spięłam włosy spinką i mocno się umalowałam. Ale gdy spojrzałam w lustro, aż mnie odrzuciło. Usunęłam makijaż i zaczęłam od nowa. Na rzęsy położyłam odrobinę tuszu, na powieki ciemnobrązowy cień, a na usta jasnoróżową szminkę. Odpięłam spinkę, rozpuściłam włosy, lecz wciąż nie byłam zaadowolona ze swojego wyglądu, a w niebieskich dzinsach czulałam się gruba. Spojrzy, pomyślałam, i zada sobie pytanie, co takiego we mnie zobaczył.

Napindrzywszy się co niemiara przed lustrem, wyszłam wreszcie z domu w elastycznych czarnych dzinsach, mocno wypacykowana i ze spiętymi włosami. Zjawiłam się za wcześnie. Kiedy w napięciu czekałam na Lukea, zatrzymała się przy mnie grupa chłopców. Chcieli pogadać i poflirtować. Przyczepili się niczym rzepy. Obcisłe dzinsy i makijaż nie były dobrym pomysłem. Odwróciłam się od nich i ukradkiem zaczęłam ścierać szminkę i róż. Dreptali za mną całą paczką i próbowali nawiązać rozmowę. Wreszcie dojrzałam samochód Lukea i puściłam się biegiem. Lukę przyjrzał mi się uważnie.

- Wszystko w porządku? - spytał, zauważwszy rozmazaną szminkę.

Skinęłam prędko głową. Czułam się jak idiotka. Luke patrzył na grzecznie oddalających się chłopców. Czyż mogli konkurować z gościem mającym taki wóz? Skontrolowałam w lusterku spustoszenia na mojej twarzy. Speszona, poprawiłam makijaż. Ale się zbłądziłam. Chciało mi się płakać. Wszystko zepsułam.

Kiedy stanęliśmy na światłach, ujął mnie pod brodę i obrócił ku sobie.

- Wyglądasz ślicznie - powiedział.

Wpatrzyłam się w jego ciemne oczy. Nie grzeszył urodą, lecz było w nim coś zniewalającego. W sali pełnej ludzi biło od niego światło. Miałam wrażenie, że znam go od tysiąca lat. Że spędziliśmy razem tysiąc żyć. Nie musieliśmy więcej z sobą mówić. Nie chciał nic wiedzieć o mojej rodzinie, znajomych, upodobaniach i awersjach. To się nie liczyło. Włożył do magnetofonu kasetę i puścił smutną japońską pieśń, którą śpiewała kobieta. Przyjrzałam się jego rękom. Silnym, znajomym. Dobrze je było czuć na podbródku.

W Kadzangu zaparkował samochód przed budą pełną ludzi siedzących przy stolikach z blatami z laminatu. Stojący przy ruszcie Malajczyk podsyczał węgle, na których piekły się w dwóch rzędach ociekające tłuszczem malajskie szaszłyki - sataje.

- Cześć, szefie - pozdrowił Lukea, odsłaniając w szerokim uśmiechu zęby.

- Ale tłok. Wkrótce będziesz bogatszy ode mnie - zażartował Luke, zaglądając do drewnianej budy.

Zadowolony właściciel uśmiechnął się skromnie.

- Ahmad! Przynies z tyłu składany stół - zawołał po malajsku do syna.

Chłopak zwawo popędził na zaplecze i wrócił ze starym kiwającym się stołem. Po chwili dostawił do niego dwa drewniane stołki. Uśmiech miał taki sam jak ojciec. Usiedliśmy na przeciwko siebie w wieczornym balsamicznym powietrzu.

- Jesteś Hinduską, więc pewnie nie jesz wołowiny, co? - zagadnął Luke.

Potrząsnęłam głową.

- Tak, ale ty się nie krępuj - odparłam.

- Zjemy kurczaki - zdecydował i zamówił czterdzieści rożenków. Na stół wjechały napoje, sosy, pokrojone w plasterki ogórek i cebula oraz parujący ryż, zawinięty w liście kokosa.

- Masz kocie oczy - powiedział zniechęcony.

- To samo mówił mi dziadek. Mam je po ciotce Mohini.

- Są przepiękne - dodał cicho takim tonem, jakby wybierał kolor kafelków do łazienki.

Z pobliskiego złotego minaretu muezin wzywał przez głośniki na wieczorną modlitwę.

Wysłuchałam się w śpiewny głos. Było w nim coś takiego, co zawsze wypełniało we mnie jakąś próżnię. Zamykałam oczy i przeciągłe dźwięki wlewały mi się w duszę.

Na niebiesko-czerwonych półmiskach przyniesiono górę satajów. Lukę zanurzył rożenek w gęstym sosie arachidowym.

- Czas, żebyś pomyślała o ślubie - rzekł, wbijając zęby w żółte mięso.

Kiedy wróciłam do domu, tata oglądał telewizję.

- Nie zmalowałaś czegoś z koleżankami? - zagadnął, patrząc na mnie.

- Nie. Kręciłyśmy się po Pertamina.

- Aha, to dobrze - mruknął, bardziej zainteresowany kwizem niż moją odpowiedzią.

Mama napychała się czymś w kuchni.

- Wróciłaś? - spytała.

- Tak - odparłam z obowiązku, a potem chyłkiem wspięłam się po schodach i z aparatu w sypialni rodziców zadzwoniłam do cioci Anny.

- Halo! - rozległ się w moim rozchwianym w posadach świecie jej dobrze znany głos.

- Och, ciociu Anno - powiedziałam niemal płaczliwie. - Mam kłopoty.

- Wpadnij do mnie, Dimple, to sobie pogadamy - odparła z niezmaconym spokojem.

Bella

Miałam wtedy osiem lat, gdy otworzyłam starą szafę mamy z lustrem i wśród nieużywanych sari znalazłam upchniętą między nie zrolowaną makatę. Po jej rozwinięciu moim oczom ukazał się niezrównany skarb: na bogato przyozdobionym haftowanymi kwiatami lotosu różowym tarasie dwa puszące się, wspaniałe pawie z rozłożonymi ogonami z prawdziwych piór i oczami z kolorowego szkła.

Na tle ciemnego, burzowego nieba lśniły głębokim granatem i soczystą zielenią.

Przesunęłam zdumionymi palcami po ich chłodnych szklanych oczach, po pięknych granatowych ściegach i lśniących zielonych koralikach zdobiących ich ciała. Z dziecinną czcią dla bajecznie kolorowych rzeczy niezgrabnymi dłońmi starałam się wygładzić wszystkie lśniące oka na zmierzwionych piórach. Niektórych złamanych aksamitnych chorągiewek nie dało się naprawić, ale i tak uznałam, że w życiu nie widziałam nic równie pięknego. Nagle uprzytomniłam sobie, że przecież znam te pawie. Rodzice dostali je w prezencie ślubnym. Ale kiedy miałam cztery lub pięć lat, mama podczas zażartej kłótni z tatą rozbiła szklaną ramę, w której wisiały. Pamiętam jej zakrwawioną rękę i nienawiść na twarzy, gdy groziła mu kawałkiem szkła.

Usiadłam na kamiennej posadzce w naszej nieco zatęchłej garderobie, pewna, że znalazłam coś bardzo niezwykłego, gdyż paw jest świętym, potężnym stworzeniem. Nawet Budda żył w jednym wcieleniu w jego postaci. Starannie wszystko obmyślałam.

Któregoś burzliwego popołudnia, kiedy tata drzemał przed telewizorem, a reszty rodziny nie było w domu, zaniósłłam cudowną pawią makatę do sypialni. Postanowiłam oddać moją nieszczęśliwą duszę wspanialszemu z dwóch pawi i ukryć pod pościelą. Niczym dobra mongolska szamanka przykryłam łóżko miękką tkaniną, pieczołowicie układając i wygładzając każde pióro, aby nie uszkodził ich grubiański ciężar materaca i mnie samej. W okno bębnił miarowo zacinający deszcz. Nie zwracałam uwagi na dochodzące z pokoju odgłosy telewizora.

Wyobrażałam sobie, że jestem w chacie z pomarańczowym paleniskiem pośrodku i że to nie deszcz dudni hipnotycznie, ale prawdziwy szamański bęben. Zaczęłam cicho nucić. A gdy skończyłam śpiewać tajemnicze, magiczne, zapomniane już frazy, jednym tchnieniem przeniosłam duszę w czekającego na nią ptaka. Czując pod gorącymi dłońmi chłodne, gładkie oczy, tuliłam jego głowę, dopóki nie nabrałam pewności, że za mknęłam w nim siebie. Minęło wiele minut. Powoli oderwałam palec po palcu i znów wpatrzyły się we mnie piękne oczy pawia. Ostrożnie wypuściłam powietrze. Udało się. Na prawdę się udało. Oddałam temu stworzeniu duszę.

A powierzywszy mu ją, wbiłam sobie do głowy, że jeżeli coś mu się stanie, to zapadnę na niebezpieczną chorobę albo umrę. Mimo takiego zagrożenia postanowiłam nie odbierać mojemu wybranemu ptakowi duszy, zanim, dzięki swojej mocy, nie obdarzy mnie urodą. Kładłam się więc na makacie dopiero z zapadnięciem nocy. Wiedziałam, że dopóki Nash nie znajdzie pawia, jestem bezpieczna.

W swoich dziecięcych rojeniach nie wątpiłam, że moja przemiana w piękność nie potrwa długo. I -jak w najlepszych szamańskich opowieściach - muszę tylko zaczekać na stopnienie górskiego śniegu. A ile taki śnieg topnieje? Z pewnością dość szybko, ale kiedy codziennie spoglądałam w lustro, to widziałam w nim stale japońską lalkę oni, którą można straszyć małe dzieci. Nad pucołowatą, nalaną twarzą sterczała płatanina brudnych loków. Ze smutkiem patrzyłam w ospałe, pospolite oczy, rozpaczliwie pragnąc, aby były tak ogromne, żeby mogły mi szeptać do uszu. Nie dostrzegałam w swoich rysach nic ładnego.

- Pośpiesz się, pawiu błagało lśniącego ptaka moje samotne serce.

- Może jutro nadejdą cynober i błyszczczyk do oczu - odpowiadał z westchnieniem paw memu bezdusznemu ciału, łagodnie kołysząc na wietrze złamanymi piórami.

Czy może więc dziwić, że odkąd pamiętam, żywiłam głęboką urazę do mojej siostry, zazdroszcząc Dimple lśniących, prostych włosów, dziwnie jasnych oczu, szczupłej figury, zdobywanych bez wysiłku dobrych stopni i rodziny ojca w Kuantanie, do której tylko ona wydawała się mieć prawo?

Och, wiem, co mówiła mama: że wyganiają na feńe prosto "w sieć tej wielkiej pajęczycy", aleja w naszej ciemnej sypialni pilnie śledziłam, jak Dimple potajemnie odlicza dni dzielące ją od wyjazdu, z całych sił starając się pohamować rozradowanie. Nic nie mogłam

poradzić na to, że serce rozsadza mi zazdrość. Poświęcano jej tyle uwagi! Wyobrażałam sobie, jak idzie z ciotką obejrzeć niedźwiedzia w klatce koło warsztatu mechanika. Jak śmieje się, niosąc leśny miód, który babka Lakszmi przezornie zakupiła od przejezdnych aborygenów i zachowała na tę właśnie okazję, żeby Dimple z podszytą strachem radością mogła nakarmić czarnego miśka z zakrzywionymi, szarymi pazurami.

Nie widziała, że podkrađłam się za nią cicho, kiedy babcia zadzwoniła z telefonu starego Sunga, i podśluchałam prowadzoną nerwowym szeptem rozmowę.

- Nie, babciu, nic mi nie jest. Wszystko w porządku. Na prawdę. Nie martw się, proszę. Niedługo przyjadę. Tak cię kocham, że aż mnie boli serce.

Zadręczałam się, wyobrażając sobie, jak Dimple, kręcąc w palcach loczki, siedzi wygodnie na kolanach staruszki, a ta karmi ją niczym ulubione dziecko.

Siostra nie dostrzegła moich zazdrosnych spojrzeń, gdy listonosz przynosił jej brązowe paczki od wuja Sevenesea. O nie, była zbyt zajęta przewracaniem stron Szczęśliwego ksida, poezji wybranych Omara Chajjama, Sekretnego żywota Jaśminy lub innej mądrej książki, z której można się dowiedzieć, że samica konika morskiego składa ikrę do worka łęgowego partnera, a on karmi jajeczka własną krwią i cierpi, rodząc żrebaczki morskie. Była zbyt zajęta chichotaniem przy lekturze nieprzyzwoitych ustępów sławnego traktatu Watsjajany i romantycznych wierszy Bhanudatty. Ja też chciałam się zaprzyjaźnić z wujem Seveneseem.

Z zawiścią w sercu oglądałam pocztówki przysyłane z różnych stron świata i do późna w nocy słuchałam jego fantastycznych opowieści o magii i nadprzyrodzonych istotach.

Czy tak trudno pojąć, że i ja chciałam wiedzieć, w co wierzą taoiści? Poznać opowieść o nieśmiertelnym kwiecie rosnącym na mitycznej podwodnej wyspie, gdzie drzewa są z pereł i koralu, a zwierzęta lśnią bielą, albo posłuchać o Czangu Kuo-lao, wielkim nekromancie, który, gdy nie potrzebował swojego białego muła, związał go jak kartkę papieru i chował do torby? Czy nie mogłam pragnąć, żeby wuj Sevenese łaskotał mnie tak, że aż babcia Lakszmi musiała go ofuknąć, by nie męczył dziecka? Chciałam zasypiać na jego brzuszysku i po przebudzeniu patrzeć na śmieszne rysunki, na których śpię na nim, a z ust wylatuje mi zębów. Podobnie jak Dimple strzegłabym tych wyjątkowo dobrych szkiców jak skarbu.

Jeśli chodzi o dziadka, to najlepiej pamiętam dzień, gdy przyjechał do nas w Kuantanie, żeby dać mamie pieniądze. Usiadłam z nim na werandzie i zjedliśmy wspólnie banana. Był trochę pomyłony, bo mnie dał owoc, a sam zadowolił się włóknami, które oderwał od skórki. Bardzo mało mówił i wydawał się taki zagubiony. Zdaniem mamy dziadek bał się babci Lakszmi, i dlatego się nie odzywał. Przyszło mi wtedy do głowy, że nasza babcia to straszna kobieta.

Stąd też przez całe lata pocieszałam się myślą, że krewni taty, którzy nie wiadomo dlaczego pokochali moją siostrę, a nie brata i mnie, byli tacy, jak twierdziła matka. Brzydcy i źli.

Dałam sobie wmówić, że jej zapamiętała nienawiść miała podstawy. Kiedy bardzo cierpiała, a jej kostki osiągały rozmiar piłek futbolowych, kazała mi siąść na brzegu łóżka i słuchać wspomnień o bezliku niewyobrażalnych krzywd, jakich doznała od rodziny ojca. Aż mi się od tego kręciło w głowie.

Czasem zniecka rozwierała palce, ze zdumiewającą siłą chwyciła spuchniętymi dłońmi moje pulchne ciało i nagłym ruchem przyciskała mnie do twardych piersi jak szmacianą lalkę z fruwającymi rękami.

- Spójrz na mnie! - wołała z rozpaczą. - Spójrz, co ze mną zrobiła ta wiedźma! To przez nią stałam się taka okrutna. Byłam dobra, zanim nie wkroczyła w moje życie ze swoimi kłamstwami i obietnicami.

Odsuwała mnie od twardych piersi i wpatrywała się w moje osłupiałe oczy.

- Czy da się tak żyć? - pytała nienawistnie.

A potem wciskała głowę w dłonie i wyla jak płaczka na chińskim pogrzebie.

Słuchałam bezradnie jej wysokich, przeciągłych krzyków i czułam ulgę, że nie muszę obcować z tak podłymi ludźmi. Utwierdzałam się w przekonaniu, że ma rację, twierdząc, iż pod zwierzchnią powłoką cudownego wujka Sevenesea kryje się straszne zepsucie. To najzwyklejszy wulgarny cynik, a babcia Lakszmi, której autentyczna zazdrość o mamę ma źródło w kazirodczych ciągach do naszego ojca, jest potwornym skąpiradłem. Ciotki Anny należy unikać za wszelką cenę, bo to hipokrytka najgorszej maści, nieśmiały, miły uśmiechami maskująca podstępność i nieszczerłość. Czasem mama wzywała do łóżka Nasha, by potwierdził, że pozostała dwójka - ciotka Lalita i wuj Dżejan - to przygłupy, i najlepiej ich ignorować. Byli odstręczający.

A jednak gdy Dimple wracała wypoczęta i kłula w oczy nowymi mundurkami szkolnymi, tornistrem, wyposażonym we wszystko, co trzeba, piórnikiem i książkami, które kupiła jej przygłupia ciotka Lalita, "to niczym papier ścierny drapała mnie świadomość, że Nasha i mnie pominięto.

Ta świadomość towarzyszy mi na dobre i na złe bez przerwy. Podam przykład. Kiedy Dimple zachorowała na odrę, babcia Lakszmi zadzwoniła do mamy z prośbą, by związała kilka gałązek z liśćmi miodli i przeciągnęła nimi po skórze córki, bo to uśmierzy świąd, ale mama odparła niegrzecznie, że babcia gada głupoty i oświadczyła jej, iż nie wierzy w takie staroświeckie bzdury. A poza tym skąd, u licha, ma wytrzasnąć liście miodli!

No i liście przyszły pocztą. Podziały. Dimple przeciągnęła nimi po ciele i swędzenie przeszło. A potem na odrę zachorowaliśmy Nash i ja, lecz nam babcia liści miodli nie przysłała.

Uznałam, że jest strasznie małoduszna i małostkowa.

- Czy ona do nas w ogóle nic nie czuje? - spytałam tatę.

- Och, Bello! - zachnął się, zirytowany. - Przecież duża miodla rośnie dwa domy od nas, na podwórku pana Kandasamyego.

Nie o to szło! Rację znów przyznałam mamie. Niewiele brakowało, a ze złości nie wysłałaby Dimple do babci Lakszmi na najlepsze, najdłuższe grudniowe wakacje. Rodzice strasznie się o to pokłócili. Potem słyszałam, jak tata wchodzi do naszej sypialni i uspokaja siostrę, żeby się nie martwiła, bo i tak pojedzie do babki - jeśli tylko bardzo dobrze zda egzamin.

To również mnie gniewało. Tata ma do niej słabość. Tym widoczniejszą, im bardziej stara się ją ukryć. Traktuje Dimple niczym księżniczkę z cukrowej waty. Tak ostrożnie, tak delikatnie, jakby nie chciał uszkodzić cukrowych różowych serduszek, zdobiących jej białą sukienkę.

Później pojawił się ten Chińczyk, który zainteresował się Dimple, gdy była w piątej klasie.

Nikommu o tym nie mówiłam, ale chłopak też mi się podobał. Siadywałam pod drzewami przy stołówce i patrzyłam, jak pożerał ją wzrokiem, choć Dimple traktowała go jak powietrze. Podobno pochodził z bardzo bogatej rodziny. Tak z pewnością było, skoro za pośrednictwem szofera przysłał wielką bombonierę. Rozwinęłam dołączony do niej liścik i przeczytałam jego bazgroły. Jakże szybko biło me stęsknione, zazdrosne serce!

A potem Dimple zaczęła nagrywać swój szlak snów. Stosy taśm w pudełku pod jej łóżkiem rosły i rosły, aż pewnego dnia usiadłam, żeby ich posłuchać. I nagle zobaczyłam siebie jako żabę, która, zadowolona i ślepo wierząca, że świat jest ciemny i mały, zagłębia się w zagłębienie pod skorupą orzecha, w której mieszka, i odkrywa, jak bogate jest życie tych, którzy kochali jej siostrę.

Wreszcie poznałam smutne powody milczenia dziadka i na własne uszy usłyszałam o cierpieniu, zniweczonych nadziejach, rozczarowaniach, niepowodzeniach i tragicznych stratach, które rozpały w oczach babki gniew i srogość. Deski, którymi moja matka z taką złością zabiła przeszłość, zaskrzypiały i rozeszły się, odsłaniając jej kłamstwa. Pośrodku gigantycznej sieci ujrzałam ogromnego pająka. Miał twarz babki Lakszmi, lecz gdy zdarłam z niego maskę, odkryłam pod nią oblicze naszej matki, podstępne i ziejące gniewem. Uknuła wszystko, żeby ukarać staruszkę. I choć to przez intrygi i knowania matki ja i Nash utraciliśmy głębokie, cenne więzi z babką, jednak wyciągam rękę i dotykam jej bezbrzeżnego bólu, jakby był namacalny. Jest koneserką udręka - sama do prowadzi się do obłądzenia i szantażuje świat swoim cierpieniem. Może od początku myliłam litość z miłością? Biedna mama.

Już jako dziecko litowałam się nad nią, kiedy stała przed sklepem Robinsona, pożądając rzeczy z wystawy. Nawet w lepszych czasach, patrząc, jak masami kupuje rzeczy, na które nas nie stać, litowałam się nad dręczącym ją niedosytem. Wie, że znam prawdę o niej, jest

bystra, ale śmiało patrzy mi w oczy, bez najmniejszej skruchy. Świetnie zdaje sobie sprawę, że się od niej nie uwolnię. Należy do mojej karmy. Jest trującym darem od losu. Matką.

Spojrzałam na Dimple innym wzrokiem i zobaczyłam już nie tylko proste włosy i najśliczniejsze oczy na świecie, lecz o wiele więcej. Miała w sobie wszystko, czego pragnęłam dla siebie. Powinnam jej nienawidzić, a odkryłam, że ją kocham. I zawsze będę kochać. Ona również należy do mojej karmy i jest darem od losu. Siostrą.

Kocham ją nie tylko dlatego, że zachwyca się moimi nie sfornymi lokami, że nie puszy się z powodu świetnych stopni i hojnie darzy miłością, ale także dlatego że - w przeciwieństwie do taty - wiem, dlaczego tyle razy miała połamane zębra. Nigdy nie zapomnę, od czego się zaczęło. Ojca nie było w domu. Zobaczyłam, jak matka, z gumowym węzem w ręku, którym Amu napełnia wodą wiadra do prania, znika za zielonymi drzwiami łazienki. Trzasnął rygiel, a potem usłyszałam soczyste uderzenie, cichy, zduszony okrzyk i groźbę:

- Nie waż się krzyczeć!

Stałam z uchem przy drzwiach. Naliczyłam piętnaście uderzeń. Łup, łup, łup... Siostra prawie nie płakała. Kiedy usłyszałam, że mama zawraca do zielonych drzwi, zemknęłam do kuchni i ukryłam się za kuchenką. Odsunęła rygiel i wyszła ze zwiniętym węzem w ręku. Twarz miała spokojną, pogodną, niewzruszoną. Na podłodze w kącie łazienki kulila się moja siostra. Nie miała na sobie majtek, tylko zieloną bluzeczkę w czerwone kropki. Zrozumiałam wówczas, że mama jej nie kocha.

Biedactwo. Co za pożytek z prostych włosów, przysłanych pocztą liści miodli i wuja, który umie przepowiadać przyszłość, jeśli to wszystko nie chroni cię przed własną matką? I nie zapewnia matczynej miłości.

Tej nocy, gdy Dimple wyczerpana płaczem wreszcie zaśnie, stanęłam nad nią. Oddychała równo. Odgarnęłam włosy z jej zapuchniętej twarzy i delikatnie przesunęłam palcami po rozognionych pręgach na obolałej skórze. Taka mała, a zniosła tyle piekących razów. Przysięgłam sobie wtedy, że będę ją bardzo kochać.

Minęły lata i moje kędziory, które niegdyś tak mnie złościły, stały się piękne i pożądane.

Zapomniany stary paw pod łóżkiem zrobił swoje. A mężczyźni? Patrz, Dimple, jak do mnie ciągną.

Patrz, jak się zbiegają. Kiedy spoglądam w lustro, widzę policzki i oczy tak ogromne, że szepczą mi do uszu: "Śpiesz się. Czas umyka spod nóg piękności". Paw na trudził się nie na darmo. Tata mówi, że Dimple jest wiosną, a ja latem. Wiem, skąd to porównanie. Spokojna uroda mojej siostry to nierozwinięty, wciąż zielony na koniuszku pączek róży, ja zaś to egzotyczna, cieplarniana orchidea z rozchylonymi, mięsistymi, zmysłowymi płatkami. Późny letni kwiat, barwny i

wyszukanie piękny jak puszący się paw. Jest co we mnie podziwiać - talię wąską jak szyjka wazy, piersi krągłe niczym dzbanki i biodra rozhuśtane jak flasze wina. Mama patrzy krzywo na mój jaskrawoniebieski cień do powiek, bezwstydnie pobrzękujące bransoletki, paznokcie, które nie błyszczą naturalnym różem jak paznokcie siostry, i białe buty do kolan.

- Paw tak mocno się stroi, że zwraca uwagę tygrysa - przestrzega mnie, nie wiedząc, że paw jest moim ptakiem, i to jemu powierzyłam kiedyś duszę.

W głosie matki wyczuwam obojętność i nudę. Jestem środkowym dzieckiem, które lekceważy.

Wprawdzie nie nienawidzi mnie jak Dimple, ale jej nie obchodzę. Kocha wyłącznie Nasha, choć on patrzy na nią z góry i z lekceważeniem, oczekując, że matka będzie mu usługiwać.

- Zrobię to co paw - odpowiadam pogodnie. - Wraz z pierwszą kroplą deszczu pofrunę na drzewa, bo wiem, że po lujący tygrys wykorzystuje jego szum, by podkraść się do ofiary.

Mężczyźni gapią się na mnie pożądliwie. Odgarniam grzywę włosów na bok. Podtykają mi pod nos swoje mdłe serca, lecz cóż mi po sercu słabego mężczyzny. Chcę faceta z tysiącem tajemnic w oczach, otwierających się i zamykających, gdy do mnie mówi, jak małże w przyływach i odpływach.

Zdaje się, że Dimple znalazła sobie takiego. Kogoś w sam raz dla mnie, ale widzę, że dołączył do armii ludzi, którzy ją uwielbiają.

Tak więc znowu dostała to, czego pragnę.

Dimple

- Mam dla ciebie niespodziankę - powiedział Lukę, zatrzymując auto przed wykutą z żelaza bramą posiadłości o nazwie Lara. Stojący na pagórku dom był bardzo duży i nowy. - Chodź. - Wziął mnie za rękę. - Lepiej wszystko zobaczymy, jeśli się przejdziemy.

Za naciśnięciem pilota imponująca brama rezydencji stanęła otworem. Roześmiałam się.

Tak otwieraną bramę widziałam po raz pierwszy. Ruszyliśmy podjazdem z rzędami szpilkowych drzew po bokach.

- To rozumiem - rzekł do siebie Lukę. - Wreszcie zdobyli drzewa jednakowych rozmiarów.

Drzewa były idealnie przystryżone. Nie wątpiłam, że to jego posiadłość. Wiedziałam, że Lukę jest bogaty, ale... żeby aż tak?

Na końcu łukowatego podjazdu, na otwartej przestrzeni z pojedynczymi, dużymi, cienistymi drzewami wznosił się do stojnie biały dom, ozdobiony pięknymi gzymsami i grubymi

rymskimi kolumnami. Wejścia strzegły dwa duże kamienne lwy. Przeciągnęłam palcami po ich chłodnych, gładkich ciałach. Groźne z wyglądu, były wspaniałymi dziełami sztuki.

- Są piękne - pochwaliłam.

- Spójrz tutaj.

Lukę wskazał na figurkę stojącą w cieniu drzewa angsana. Podeszłam bliżej. Był to posążek chłopczyka, który z błagalną miną na niewinnej twarzy trzymał w rączkach jak ofiarę uciętą w kostce męską stopę w sandale. Zadrżałam.

- Podoba ci się? - spytał Lukę tuż nad moim uchem.

- Nie bardzo. Jest nieco makabryczny - odparłam lekkim tonem.

- To kopia bardzo znanej rzeźby. Wejdźmy do środka, obejrzysz dom - rzekł, zawracając, i wziął mnie pod rękę.

Wyłowił z kieszeni klucz i otworzył drzwi. Zatkąło mnie. Na wysokim suficie królowały cherubiny i postacie w renesansowych szatach. Ze środka holu wyrastały rzeźbione schody wiodące na piętro. Pod naszymi stopami rozciągała się połać czarnego marmuru, a na ścianach wisiały wspaniałe obrazy.

- Witaj w swoim nowym domu, Dimple - powiedział Lukę, wkładając mi do ręki klucze.

Obróciłam się ku niemu, zdumiona.

- Moim? - spytałam ze ściśniętym gardłem. - Ten dom jest mój?

- Mhm, jesteś jego prawowitą właścicielką.

Podał mi dokumenty, które wziął ze stolika. Osłupiałam. Jego głos się rozplynął. Oniemiała, odwróciłam się i zobaczyłam bardzo duży obraz na przeciwległej ścianie. W oszołomieniu podeszłam do portretu. Lukę kazał mnie namalować! To byłam ja! Smutna. Moje oczy. Ktoś zajrzał mi w duszę i za pomocą pędzla i olejnych farb uchwycił część mojej istoty. Kiedy go namalowano?

I kto namalował mnie z taką miną?

- Czyż nie jest piękny? - zagadnął zza moich pleców Lukę.

- Owszem - odparłam bez entuzjazmu.

Czy smutek mógł być piękny? Wpatrywałam się w siebie zmieszana i przejęta, nie mogąc oderwać wzroku.

- Podobają mi się oczy.

- Tak?

- Ich czystość, ich dziewiczość.

- Kto go namalował?

- Jeden z najlepszych belgijskich fałszerzy. Posłałem mu kilka zdjęć i proszę!

- Czy ja tak wyglądam? - spytałam cicho, ale już się odwrócił i zaczął opowiadać o kolejnym przymocie domu. Oderwałam oczy od zasmuconej dziewczyny z portretu.

- A ten pomysł zaczerpnąłem ze złotego pałacu Nerona. Naciśnij guzik, a rozsuna się te kwadraty z macicy perłowej na suficie i... spójrz...

Zadarłam głowę i ze zdumieniem patrzyłam, jak z rozsuwających się dekoracji z masy perłowej w różnych miejscach sufitu wytryskują kropelki perfum. Moich ulubionych. On mnie naprawdę kochał! Rozpromieniłam się ze szczęścia. W życiu nie widziałam takiego przepychu.

Takiego ostentacyjnego bogactwa. Lukę z wielkim ożywieniem chwycił mnie za rękę i przeszliśmy przez elegancką, dobrze zaprojektowaną kuchnię. Wpadające przez okna wieczorne słońce rzucało kwadraty światła na solidny wiejski stół. Mój miły otworzył drzwi na duży, intymny ogród, odgradzony od świata wysokim ceglany murem. Ogród, o jakim zawsze marzyłam.

- Tędy - powiedział, wiodąc mnie ostrożnie krętą ścieżką.

- Ach! - wykrzyknęłam, oczarowana. - Sadzawka!

Pod zieloną siatką pływał w niej, niestrudzenie zataczając koła, duży złotoczerwony karp. Chyba cieszył się z mojej radości.

- Którego z malarzy cenisz najbardziej? - spytałam, bo coś mi przyszło na myśl.

- Leonarda da Vinci - odparł bez namysłu na moje nie oczekiwane pytanie.

- Dlaczego?

Zaskoczył mnie. Nie takiej odpowiedzi się spodziewałam. Przecież Leonardo to mistrz w powściągliwym wyrażaniu smutku, a ten dom i całe wnętrze było krzykliwe. Nie, nie krzykliwe.

Raczej odrobinę ostentacyjne, tracące nowobogactwem. A może chodziło o to, że w swojej naiwności wymarzyłam sobie mały biały domek, a on rzucił mi do stóp zbyt wiele.

- Spójrz - powiedział, ciągnąc mnie za rękę.

Na tyłach ogrodu, na pagóreczku stała drewniana altanka. Miała duże okna z okiennicami i małą werandę z bujanym fotelem. Weszliśmy do środka i zamarłam z wrażenia. Była trochę większa od mojej sypialni i cała biała. Białe było biurko, biała lampa, białe krzesło.

W drugim końcu, pod oknem, stał piękny biały szezlong, a na suficie wisiał biały wentylator.

Był żeby to mój wymarzony biały domek? Spojrzałam pytająco na Lukea.

- Kiedy kończono ten Tadź Mahal - skinął głową w kierunku domu - wspomniawsz mi o białym domku. Więc wybudowałem tę altankę.

Do oczu napłynęły mi łzy. O tak, on naprawdę mnie kochał. Tylko ktoś głęboko zakochany wybudowałby letni domek w kraju takim jak Malezja. Wreszcie znalazłam kogoś, kto mnie kocha.

Kocha tak bardzo, że mi go postawił.

- Zgadza się - powiedziałam, ocierając łzy radości. - Wyjdę za ciebie, Lukę.

- To dobrze - rzekł niezmiernie zadowolony.

Któregoś dnia pojechaliśmy do Ogrodów nad Jeziorem i, pochłonięci sobą tak jak wszystkie pary, trzymając się za ręce, spacerowaliśmy pod wielkimi drzewami.

- Jesteś dla mnie najlepszym darem losu - oznajmił Lukę pod jednym z nich.

Spojrzałam w jego wzbudzającą posłuch twarz niczym za chłanne dziecko. Chciałam usłyszeć więcej, lecz nie śmiałam poprosić. Choć nigdy mi nie odmówił, nie był szorstki, cyniczny, nie okazał złości, to bałam się skaleczyć. Czasem wydaje mi się za twardy, za ostry. Przypomina źle przycięte arkusze blachy. Jest w nim coś mrocznego, niedostępnego i niewytłumaczalnego. Miejsce z tablicą "wstęp wzbroniony". Wypisana dużymi wyraźnymi literami na białych deskach przestroga, podkreślona na czerwono. W rogu tej tablicy umieszczono zdjęcia groźnych owczarków niemieckich - gotowych rozerwać mnie na strzępy?

Z kieszeni Lukę wyczarował wisiorek.

- Dla ciebie - powiedział.

Spoczywające w etui z granatowego aksamitu brylantowe serce wielkości monety pięciosenowej rozbłysło w zachodzącym słońcu.

- Zgubię je - jęknęłam, myśląc o niezliczonych bransoletkach, łańcuszkach i kolczykach, które w ciągu krótkiego życia dostałam od babci i zgubiłam.

- To się kupi drugie - odparł, a do jego głosu wkradła się niczym stary kamerdyner, który już nie puka, wchodząc do po koju pana, ostra nuta. Ale na widok mojej nagle zalęknionej twarzy pośpiesznie odprawił starego sługę i delikatnie dotknął moich włosów. - Ubezpieczymy tę błyskotkę - pocieszył mnie i wziął w mocne ramiona. - Zjesz dziś ze mną kolację?

Potrząsnęłam głową. Wątpiłam, czy mama pozwoli mi na dwa wyjścia jednego dnia. Już zaczęła patrzeć na mnie trochę podejrzliwie. Musiałam dobrze ukryć ten wisiorek. Miałam wrażenie, że przeszukuje moje rzeczy. Bella podejrzewała to samo. Lukę pochylił się i bardzo delikatnie pocałował mnie w usta. Choć w jego pocałunku nie czułam namiętności, to niemal przestraszyłam się tego, o czym krzyczały jego oczy. Pomiedzy tym pocałunkiem a żarem jego spojrzenia była taka przepaść, jak między matką a tatą.

- Lukę? - szepnęłam z wahaniem.

Zacisnął mocniej dłonie na mej talii i nagle opuścił głowę. Kiedyś, na samym początku nauki w klasie szóstej, też mnie tak pocałowano, ale po to, żeby mnie upokorzyć. Dobrze

za pamiętałam nienawistne wargi i zuchwały mokry język, starające się zmusić mnie do otwarcia ust, i uradowany rechot bandy gapiów ze starszych klas. Zupełnie nieprzygotowana na pocałunek Lukea, zniecka wpadłam w ciemny wir, który wzbił się spiralnie z dna mojego brzucha. Zapomniałam o długich cieniach drzew w wieczornym słońcu, chłodnym wietrzyku od jeziora, głosikach dzieci w oddali i spojrzeniach przechodniów. Wisiorek wypadł mi z rąk. A pocałunek trwał.

W uszach dudniła mi krew. W butach skurczyły się palce. A my się całowaliśmy.

Gdy wreszcie Lukę mnie wypuścił, wpatrzyłam się w jego twarz, zdumiona tym nagłym wybuchem namiętności, który zjawił się nie wiadomo skąd i nie wiadomo gdzie przepadł. Przez chwilę miałam wrażenie, że mieszka w nim ktoś inny, żywiołowo namiętny, kogo na co dzień z zimnym wyrachowaniem trzyma w ryzach. Na moment dał się ponieść i ukazał mi prawdziwego siebie. Puchły mi wargi. Zamknęłam usta i spróbowałam się opanować. Zapatrzony w jezioro.

Lukę obrócił się ku mnie i uśmiechnął, przez co powrót do zimnego wyrachowania był tym bardziej uderzający. Jakąkolwiek walkę z sobą toczył, wygrał ją. Schylił się i podniósł brylant.

- Tak, stanowczo powinienem ubezpieczyć to świecidełko - rzekł lekkim tonem. - Chodź, odwiozę cię.

Wziął mnie pod rękę jak brat. Ręce miał ciepłe. Nie byłam w stanie nic powiedzieć. Podążyłam z nim, nie bardzo wiedząc, co o tym wszystkim myśleć. Jak to możliwe, że tak nagle ochłódł? Zerknęłam na niego, ale patrzył przed siebie.

Kiedy wślizgnęłam się do domu, czekała na mnie matka. Od razu poznałam, że jest na coś wściekła. Z zaciśniętymi dłońmi siedziała w fotelu sztywno, jakby połknęła kij, ale po nieważ powitała mnie miłym głosem, pomyślałam, że pewnie jest zła na tatę.

- Gdzie byłaś? - spytała.

- W parku, z Anitą i Puszpą - odparłam nerwowo. Bałam się jej, gdy miała zły humor. Przypominała wulkan przed wybuchem, a ja stałam na tyle blisko, że czułam gorące wyziewy i smród gryzącego dymu.

- Nie kłam! - wrzasnęła, zrywając się z fotela i sadząc ku mnie szybkimi krokami.

Przez chwilę myślałam tylko o jednym: gdzie się podział jej artretyzm, z którego raptem cudownie ozdrowiała? Stała przede mną, ciężko dysząc.

- Gdzie byłaś? - powtórzyła. - Nie radzę ci kłamać!

Przestraszona, zawahałam się. Dawno nie była taka wściekła. Ostatni raz wtedy, gdy podejrzewała, że tata, ćwiczący na podwórzu pompki, flirtuje z Malajkami z sąsiedztwa...

- Spotkałam się z kimś...

- Wiem. Z jakimś przeklętym Chińczykiem! Wszyscy w parku widzieli, że się z nim całowałaś, w biały dzień, jak kurwa!

- To nie tak...

- Jak śmiesz hańbić nasze nazwisko? Ostatni raz widziałas tego żółtego drania! Jaki przyzwoity Cejłńczyk cię zechce, jeżeli będziesz się tak szlajać? To tak cię wychowano?

- Kocham go.

Dopóki nie wypowiedziałam tych słów, nie byłam tego pewna, lecz z tą chwilą stało się to dla mnie tak oczywiste jak krew, która co miesiąc wypływa z mego ciała. Kochałam go. Od momentu, kiedy go poznałam, w moim sercu rosły kwiaty.

Matka kipiała ze złości i chciała mnie mocno zranić. Do strzegłam to w jej zaciśniętych ustach, ale w końcu dała upust furii, przestając na jednym ciosie. Uderzyła mnie w twarz tak mocno, że padłam jak długa. Nie mogę się nadziwić, skąd ma tyle siły w rękach. Spojrzała na mnie z odrazą.

- Masz dopiero dziewiętnaście lat. Sprzeciw mi się, to cię zamknę w pokoju bez jedzenia, dopóki nie skończysz z tą dziecinadą. Myślisz, że czego chce od ciebie ten Chińczyk? Miłości? Ha! Jesteś bardzo uparta i głupia. Powiedział, że cię kocha?

Prawdę mówiąc, nigdy.

- Aha, tak myślałam. Więc co to za jeden? Kim jest ten łobuz?

Wymieniłam nazwisko. Mama aż się cofnęła.

- Kto?

Powtórzyłam nazwisko Lukea. Szybko się odwróciła, żebym nie widziała jej miny. Podeszła do okna i stojąc plecami do mnie, rozkazała:

- Opowiedz mi wszystko od początku.

No to opowiedziałam, jak było. Zaczęłam od lodów, a skończyłam na wisiorku. Zapragnęła zobaczyć kamień. Wyjęłam go z ozdobionej paciorkami i frędzlami torebki, a ona długo oglądała brylant pod światło.

- Wstań – rzekła. - Zaparz herbaty. Przy takiej pogodzie strasznie rwą mnie kolana.

Herbatę wypiliśmy w dużym pokoju.

- Będzie cię miał tylko wtedy, jeżeli cię poślubi – oświadczyła. - Koniec z całowaniem się w parku i randkami z nim sam na sam. Zaprosisz go do nas na kolację, usiądziemy i wspólnie ustalimy, co i jak.

Wieczorem powiadomiła o wszystkim tatę. Cofnął się i zbladł.

- Czy ty wiesz, kto to jest? - spytał ją z niedowierzaniem i nie czekając na odpowiedź, zawołał: To jeden z najbogatszych ludzi w kraju!

- Wiem! - odparła, nie potrafiąc ukryć podniecenia.

- Zwariowałyście? To rekin. Wykorzysta naszą córkę i po rzuci, kiedy mu się spodoba.

- Wcale nie, jeżeli załatwię to po swojemu - zapewniła twardym, zimnym głosem.

- To zepsuty, niebezpieczny człowiek. Nie pakuj w to Dimple. A poza tym ona musi zdobyć wykształcenie. Pójść na uniwersytet. Nie dopuszczę do tego związku.

- Twoja ukochana Dimple już się wpakowała. Twierdzi, że kocha tego zepsutego, niebezpiecznego Chińczyka. I co mam na to poradzić? To nie mnie widziało całe Kuala Lumpur, jak całowałam się z nim w parku - zakończyła szyderczo mama.

- Zabronię jej - zapowiedział tata. - Wyjdzie za niego po moim trupie.

- Za późno.

- Jak to, za późno? - spytał zmieszany.

- Poszli na całość - odparła zgryźliwie.

- Co?

- A tak! Może więc porozmawiajmy o jej przyszłości jak dorośli.

Tata usiadł ciężko na kanapie.

- Pożaluje tego - wyszeptał, pokonany, mięknąc w ramionach. Na myśl, że jakiś mężczyzna zepsuł mu córkę, bezwładnie opuścił głowę i cicho załkał. - Te japońskie potwory! Najpierw zabrali mi Mohini, a teraz ją!

Mama westchnęła teatralnie.

- Nie zachowuj się tak, jakby nasza córka nie żyła. Mogła trafić znacznie gorzej. A poza tym to jest tylko pół-Japończyk.

- Nie, chciwa kobieto, nie mogła trafić gorzej! On was obie zeżre żywcem, wydali, a ja będę musiał na to patrzeć!

W głosie taty usłyszałam tyle udręki, że miałam ochotę wbiec do pokoju i go pocieszyć.

Zapewnić, że do niczego nie doszło. Że jego córka jest nietknięta. Wystarczyło powiedzieć jedno zdanie: "Tatusiu, nie poszliśmy na całość". Nie było na to za późno. Ale wówczas straciłabym Lukea. A Lukea pragnęłam ponad wszystko w świecie. Tata mylił się co do niego. Nie wątpiłam, że z czasem przekona się, iż był w błędzie.

Tak więc Lukę przyszedł do nas na kolację.

Mamie przyniósł wielką, obwiązaną wstążką bombonierę z importu. Widok grubego pudła z czekoladkami i aksamitnej, ręcznie wiązanej kokardy zmiękczył jej pazerne serce. Posadziła go u szczytu stołu, naprzeciwko taty. Nigdy jeszcze nie widziałam matki równie ożywionej i towarzyskiej jak owego wieczoru. Nie przypuszczałam, że potrafi aż tak błyszczeć. Idealnie wcieliła się w rolę pani domu. Nic nie dało się zarzucić jej daniom, oprawie, poddawanych z uśmiechem tematów rozmowy, skromnej, lecz eleganckiej sukni i całkowitemu panowaniu nad

sytuacją. Lukę był wprawdzie czarujący i uprzejmy, ale mama z pewnością nie wywarła na nim wrażenia. W głębi ducha cieszyłam się, że jest ponad jej podchody.

Obserwował ją niczym aktorkę występującą w głównej roli w sztuce wystawionej dla jego rozrywki. Jego śmiałe oczy nie pominęły niczego.

Tata siedział sztywno i milczał. W okularach na nosie wyglądał bezradnie i żałośnie.

- Śliczne kwiaty - szepnął do mnie Lukę, który pochwycił mój wzrok w chwili, gdy zaczęłam się niepokoić, że dla kogoś tak wyrafinowanego jak on jesteśmy zbyt prości.

Spasowałam, szczęśliwa, że dostrzegł moje dzieło, lecz widząc karcące spojrzenie matki, skromnie spuściłam oczy. Miałam do odegrania rolę. Rolę nieśmiałej narzeczonej.

- A więc, jakie są pańskie zamiary względem naszej córki? - spytała mama Lukea, kiedy Bella wniosła deser.

Gdzie nauczyła się przyrządzać taki mus cytrynowy? Wszyscy zamarli. Tylko tata odłożył łyżeczkę i pochylił się do przodu. Ręka Lukea zastygła w powietrzu.

- Wyłącznie uczciwe i przyzwoite - odparł.

Mama uśmiechnęła się.

- Oczywiście, ani przez chwilę nie wątpiłam w pańskie dobre intencje, jednakże warto wiedzieć, czym kierują się konkurenci do ręki córki. W końcu jest bardzo młoda i taka nie winna.

Zamilcz, modliłam się. I zamilkła.

Lukeowi pociemniały oczy.

- Otóż to. To właśnie jej niewinność mnie podbiła - rzekł tak cicho, że musiałam wyteńczyć słuch. - Przepyszny - pochwalił cytrynowy mus i dodał, że mama musi dać przepis jego kucharce.

Uśmiechnęła się, pochlebiona. Po wyjściu Lukea znów po żarła się z tatą. Zarzuciła mu, że siedział jak krety.

- Deska do prasowania byłaby rozmowniejsza - zadrwiła z niego.

Tata zaś oskarżył ją, że liże Lukeowi buty.

- Uważaj – powiedział. - Bo na jego butach są resztki ludzkich flaków.

Mama posłała mu jadowite spojrzenie i otworzyła bombonierkę. Na jej twarzy w miejsce złości pojawiła się zachłanność. W jednej chwili zapomniała o tacie i jego cierpieniu. On zaś rozjuszony, doskoczył do niej z twarzą wykrzywioną gniewem i wytrącił jej pudełko. Czekoladki pofrunęły w górę, a mamę otoczył rój pozłotek.

- Ty zdiro! - syknął. - Nie widzisz, co robisz? Sprzedajesz córkę za pudełko czekoladek!

Zaskoczonej mamie zaczęła drgać twarz, lecz po chwili za niosła się serdecznym, urągliwym, pełnym wyższości śmiechem. Tata w bezsilnej wściekłości rąbnął pięścią w ścianę i z krwawiącą dłonią i złośliwym rechotem żony w uszach wypadł z domu. Mama, po której jego gniew i obelgi spłynęły jak woda, nawet nie spojrzała na dołek w gipsowej ścianie. Rozkoszowała się myślą o bogatym zięciu, jednym z najbogatszych ludzi w Malezji. Pomogłam jej pozbierać czekoladki. Otarła je z kurzu i po trochu zjadła, zaczynając od nadziewanej kremem truskawkowym.

Pojechałam z Lukiem do babci. Bardzo przypadli sobie do gustu. Ulżyło mi, że go polubiła.

Z tatą był istny koszmar. Ani myślał zmięknąć. "Pożałujesz tego, Dimple" - ostrzegł mnie zasmucony podczas rozmowy w cztery oczy. Nie mogły go przekonać żadne moje starania i perswazje. Babcia pocieszyła mnie, że będzie lepiej, kiedy pojawią się dzieci. Tupot małych stopek wszystko zmieni. Grała z Lukiem w chińskie szachy. Domyślałam się, że oszukuje - za dobrze wiem, jak gra - lecz robiła to sprytnie i mój miły chyba się nie zorientował. Wygrała niemal wszystkie partie. Ale Lukę umiał przegrywać. Wypytał z troską o jej zdrowie, cierpliwie wysłuchał, co jej dolega, i obiecał załatwić wizyty u najlepszych lekarzy specjalistów w mieście. Najwyraźniej ją polubił.

Którejś soboty zabrał mnie i Bellę na zakupy. Matka odprowadziła nas błyszczącymi oczami. Lukę nienawidzi zakupów, dlatego wręczył mnie i siostrze po pięćset ringgitów i umówił się z nami za godzinę w kawiarni na dole.

- Kup sobie sukienkę - powiedział, dotykając mojego nosa, puścił oko, wyszedł z centrum i wsiadł do chłodnego samochodu.

Kupiłam białą, dosyć krótką, ale Bella zapewniła mnie, że wygląda świetnie. W komplecie był zakiecik w stylu Chanel. W innym sklepie nabyłam jasnobrazowe pantofle. Siostra wybrała śmiałą czerwoną sukienkę na ramiączka i jaskrawoczerwoną szminkę. Postanowiłyśmy przebrać się w nowe kreacje. Bella prezentowała się fantastycznie, i nawet się złękłam, czy Lukę nie uzna, że jest ładniejsza ode mnie. Z burzą kręconych włosów i w czerwonej sukience wyglądała bardzo seksownie. Mężczyźni nie odrywali od niej oczu.

W chwili gdy oparła łokcie na stoliku i cudowne loki opadły jej na twarz, wszedł Lukę.

Zmierzył ją wzrokiem od stóp do głów i zaśmiał się.

- Gdy dorośniesz, zaczniesz pożerać mężczyzn, co? - za żartował. - Wyglądasz olśniewająco - skomplementował mnie. - Ładna sukienka. W bieli ci do twarzy - dodał z taką powagą, że natychmiast porzuciłam myśl, by wyglądać seksownie.

Chyba nie gustuje w krzykliwych dziewczynach. Uważa, że powinnam ubierać się na biało.

- Wyglądasz jak kwiat - powiedział, kiedy kelner przyjął zamówienie.

Bella prychnęła z irytacją i zniknęła w damskiej toalecie. Lukę odprowadził ją wzrokiem. Najwyraźniej bawiło go jej zachowanie.

- Zawsze tak się zachowuje? - spytał.

- Zawsze - odparłam, gnębiona niepewnością, czy aby moja siostra mu się nie podoba.

Mężczyźni wydawali mi się tacy nieobliczalni, byli dla mnie białą kartą. Tak mało wiedziałam o Lukeu.

Na mój ślub wybrano pomyślny dzień. Mama chciała okazałego wesela, tata w ogóle go sobie nie życzył, a Lukeowi było wszystko jedno. Pragnął tylko, bym wystąpiła w białym sari, na co mamę o mało nie trafił szlag.

- Co takiego? - zaskrzeczała. - Moja córka we wdowich kolorach w dniu zaślubin? Cejlończycy w- Malezji tak się uśmieją z tej głupoty, że zapomną o swoich kłopotach!

Sari dla mnie zamówiła w Benares, gdzie jakiś mały, brązowoskóry chłopiec szyl je w ciemnej komórce bez okna od piątej rano do północy. Do wykończenia sześciu jardów wykwiutnego, czerwonego jak krew brokatu i odpowiedniej bluzki, które założę tylko raz, używał cieniutkiej igły i złotych nici.

Kiedy nadesłano nasze opakowane w bibułkę stroje, mamę szczególnie zachwyciły ciężkie tkaniny. Jej sari było granatowe, z pysznego, wspaniałego brokatu, a siostry szafranowe, gdyż mama uznała, że w takim Bella będzie wyglądała najlepiej. Zamówiła też dwa kremowe dhoti dla Nasha i taty. Wysokie kołnierze i rąbki ich długich luźnych kaftanów w stylu Nehru oraz rąbki spodni ozdobiono pięknymi haftami. W od powiedzi na zaproszenia wytłaczane złotymi literami zaczęły nadchodzić potwierdzenia. Uzgodniono, że przyjęcie weselne odbędzie się w Hiltonie.

U mamy zjawiała się nieskazitelnie ubrana Euroazjatka w eleganckim kostiumie i z teczką z krokodylej skóry.

- Zajmiemy się wszystkim od a do z - zapewniła z fałszywym amerykańskim akcentem.

O jej kompetencji świadczył idealny kontur ust pociągniętych szminką w kolorze burgunda.

Rzeczywiście była przy gotowana od a do z. Przyniosła próbki materiału, cennik, kolorowe magnetyczne identyfikatory i plan sali bankietowej z estradą. Przedstawiła listę stosownych śpiewaków weselnych, katalogi weselnych ciast, bukieciarzy specjalizujących się w

okolicznościowych kompozycjach kwiatnych i taktownie odradziła mamie różową tonację przyjęcia.

- Brzoskwinie i gruszki z akcentami limony - oświadczyła z tak zwycięskim uśmiechem na burgundowych ustach, że mama podporządkowała się jej bez szemrania.

Lukę przysłał mi ślubną biżuterię. Kiedy jego szofer przywiózł wyłożone atlasem pudełka z naszyjnikami, łańcuchami, pierścionkami, kolczykami i bransoletkami, mamie zaświeciły się oczy.

Westchnęłam. Wszystkie klejnoty były wysadzone brylantami. Powinnam zdobyć się na odwagę i wyjawić Lukeowi, że nie przepadam za tymi kamieniami, uwielbiam za to szmaragdy i chryzolity.

Może kiedyś mu to powiem.

Lukę zaplanował naszą podróż poślubną. Nie zdradził, do kąd pojedziemy.

W przeddzień ślubu byłam tak podekscytowana, że nic nie mogłam robić. Cały dom, po najmniejsze kąty, wypełniły kompozycje kwiatowe, liście bananów napełnione ryżem, kadzidła, srebrne naczynia z wodą święconą, lampki oliwne oraz paplające nieustannie kobiety w średnim wieku, ubrane w jaskrawe kolorowe sari, z nieskazitelnie upiętymi nisko kokami. Były pełne pomysłów, rad i sposobów na to, żeby wszystko wypadło jak najlepiej. Stanowiły żywiół, z którym należało się liczyć. Tłoczyły się nie tylko w kuchni, dużym pokoju i sypialniach, ale, daję słowo, nawet w łazienkach. Najgrubsze szarogęsiły się najbardziej. Moje sari wisiało w garderobie, a walizka na miesiąc miodowy czekała gotowa do wyjazdu. Zapakowałam do niej ciepłą odzież, rękawiczki, beret, grube skarpety i praktyczne buty do kostek. Resztę rzeczy mieliśmy kupić za granicą.

Wydałam też trochę pieniędzy na jedwabną koszulę nocną. Cudownie chłodna, przelatywała mi przez palce chyżo niczym wiatr. Zaczerwieniłam się na myśl o reakcji Lukea. Była wprawdzie niepokalanie biała, ale w żadnym wypadku skromna. Kupiłam ją, ponieważ zapragnęłam znów ujrzeć nieznanego, który żył w moim lubym. Tego ekscytującego mężczyznę, który na krótko wyszedł z niego nad jeziorem i obudził tkwiące we mnie głęboko mroczne instynkty. Przyznaję, chciałam, żeby tak mocno przycisnął mnie do siebie, bym po czuła, że jesteśmy jednością. Że wtopiłam się w jego kościec, wniknęłam w jego twarde ciało. Dopiero znalazłszy się w nim, mogłam go poznać naprawdę. I udowodnić tacie raz na zawsze, że się mylił. A pomylił się w życiu w tylu sprawach. Na ilu transakcjach stracił, bo nie poznał się na współnikach?

Po wielu dniach gorączkowych przygotowań i czekania, samo wesele przemknęło mi przed oczami jak puszczony za szybko film. Zapamiętałam dumnie uśmiechniętą mamę, pięknie prezentującą się w granatowym brokatowym sari, i kobiety w barwnych strojach, których

sztyderstwa z rasy Lukea nikły w ogromie jego bogactwa, a bulgoczące kociołki ich złośliwych uwag zagłuszała zawiść. Biedny tata stał we wspaniałym kremowym dothi i płakał. Wyływające mu z kącików oczu i ciekące po twarzy łyzy kolorowo ubrane kobiety brały za łyzy szczęścia.

W głębi, przy kolumnie, stała uśmiechnięta smutno ciocia Anna w zwykłym zielonym sari z cienkim złotym obrąbkiem i czerwonymi różami we włosach. Wiedziałam, że się o mnie martwi.

Martwi się, że pożre mnie potwór Lukę. Zapamiętałam też, jak bez końca szłam do podestu, na którym czekał Lukę, jak wreszcie spojrzałam w jego ciemne, spokojne, pełne miłości oczy i zdobyłam pewność, że podjęłam właściwą decyzję.

- Kocham cię - szepnął mi do ucha.

Chwilę tę zachowam w pamięci jak najcenniejszy skarb. A potem na przekór buntującemu się żołądkowi zmusiłam się do skosztowania różnych potraw i w deszczu kolorowego ryżu dobiegłam z Lukiem do otwartych drzwi samochodu.

- Szczęśliwa? - spytał z tak miłym uśmiechem, że poczułam się jak dziecko.

- Bardzo - odparłam.

Londyn okazał się pięknym miastem, choć bardzo zimnym. Drzewa nie miały liści, a śpieszący ulicami przechodnie kulili się w grubych ciemnych płaszczach. Miejscowi Anglicy z długimi, bladymi twarzami w niczym nie przypominają pięknych, opalonych angielskich turystów w Malezji. Na przystankach autobusowych nie marnują czasu na badawcze przyglądanie się sobie jak Malezyjczycy. Natychmiast wsadzają nosy w książki, z którymi się nie rozstają. Co za wspaniały zwyczaj.

Zatrzymaliśmy się w Claridges. Ale luksus! Personel, sami długonosi biali w liberiach.

W foyer przystrojona złotymi i srebrnymi dzwoneczkami trzymetrowa choinka z migocącymi światełkami. Bez Lukea bałam się wchodzić sama na wysokie hotelowe sale. Miałam wrażenie, że wkraczam na strony po wieści Henryego Jamesa. Wszystko tu było takie staroświeckie, takie angielskie, takie dorosłe.

- Tak, proszę pani, oczywiście, proszę pani - odpowiadali wyniośle, patrząc na mnie z góry obojętnymi, jasnymi, chłodnymi oczami. Czułam, że mnie nie szanują.

Na kolację pojechaliśmy do pięknej restauracji Laie en Rose. Lukę zamówił szampana.

Tysiące banieczek w ustach wprawiło mnie w iście szampański nastrój, ale odkryłam, że nie lubię kawioru. Widać trzeba się tego nauczyć. Oddam go w każdej chwili za talerz klusek z Penangu lub laksy. Za to deser był boski. Z upojną mgiełką w głowie zadawałam sobie pytanie, dlaczego w Malezji nie ma takiej pyszności jak mus czekoladowy. Mogłabym go jeść przez cały dzień.

Po deserze Lukę napił się koniaku, który podano w dużym, pękatym kieliszku.

Podczas kolacji mówił bardzo mało. Wygodnie usadowiony, dużo się uśmiechał, jadł niewiele i patrzył na mnie wzrokiem, który budził grzeszne myśli. Pojęcia nie mam, co sobie myślał. Zapłacił rachunek.

- Chodź - powiedział, podając mi ramię, żebym nie upadła, i taksówką zawiózł nad brzeg Tamizy.

Szliśmy w milczeniu wzdłuż czarnej rzeki, słuchając plusku wody omywającej kamienne nabrzeża. Było cudownie. Zimny wiatr kąsał policzki i mroził stopy, lecz nic nie mogło zmącić piękna odbitych w wodzie wiązek miękkich, żółtych świateł ulicznych latarni. Co jakiś czas mijały nas sapiące statki.

Bardzo się oziębilo. Lukę przycisnął mnie mocno do siebie. Czułam zapach i ciepło jego ciała.

Tego wieczoru kochałam go aż do bólu.

- Wracajmy do hotelu - szepnęła.

Nie mogłam się doczekać, żeby położyć się z nim do łóżka. Żeby mu się oddać.

W pokoju hotelowym znowu się spłoszyłam. Przez chwilę miałam chęć włożyć zwiewną jedwabną koszulkę, leżącą w walizce, ale na samą myśl o tym spłonęłam rumieńcem. Jeszcze zdążysz, powiedziałam sobie. Na szklanym stole stał szampan w kubelku z lodem i duża misa czerwonych truskawek. Oparta o kolumnę, patrzyłam na Lukea, który właśnie brał butelkę. Uniósł pytająco brew.

Skinęłam głową. Mój przyjemny rausz wyparował podczas spaceru nad Tamizą, a przydałby mi się nowy przyływ odwagi, jak po pierwszej butelce, wypitej w restauracji. Cichy puk, przyjazny syk i po chwili Lukę podał mi kieliszek z musującym winem.

Przyjęłam go z radością, chichocząc uszczęśliwiona. Lecz gdy spojrzałam w oczy męża, śmiech uwiązał mi w gardle. Przede mną stał skryty w nim obcy.

- Za nas - rzekł nieznajomy i natychmiast zniknął, a my z Lukiem opróżniliśmy kieliszki i, splątani ciałami, padliśmy na łóżko.

Przez krótką straszną chwilę wyobraziłam sobie mamę, stojącą nad nami z rękami na biodrach. Na pewno potępiłaby takie zachowanie.

- Zgaś światło - szepnęłam.

Pokój, tonący w odblaskach świątecznych lampek na drzewach za oknem, zawirował, kiedy zamknęłam oczy. Pamiętam usta, oczy, skórę jak surowy jedwab i wołający mnie co jakiś czas po imieniu, nabrzmiały uczuciem głos. Delikatne dłonie i rytm uśmierzyły trwający chwilę ból. Po wszystkim zamknęłam oczy i zasnęłam w objęciach ciepłych, silnych ramion. Na dworze zimny angielski wiatr szeleścił w drzewach, ale byłam bezpieczna.

Obudziłam się w nocy. Usta miałam suche, pulsowało mi w skroniach. Wygramoliłam się z łóżka i nalałam sobie wody. Moja głowa! Co za ból! W łazience znalazłam aspirynę. Wzięłam dwie tabletki i w lustrze zobaczyłam Lukea. Patrzył na mnie. Nie wstydząc się nagości, śmiało spojrzałam mu w oczy.

- Moja Dimple - powiedział tak zaborczo, że przeszedł mnie dreszcz.

Wreszcie należałam do niego. Znów się kochaliśmy. Tym razem zapamiętałam wszystko.

Każdy jego pocałunek, każdy ruch, każde westchnienie, każdy jęk i niewiarygodną chwilę, gdy moje ciało stało się płynne, a zamknięte powieki poczerwieniały tak, jakby tuż za nimi wyrósł mur z miliona truskawek.

Dwa tygodnie później wróciliśmy z walizkami pełnymi pasków od Gucciego, francuskich perfum, włoskich wyrobów ze skóry, pięknie zapakowanych prezentów z Anglii i górą bezcłowych czekolad. Kiedy weszłam do przestronnego wnętrza mojego nowego domu, poczułam się przytłoczona. Jak nie u siebie. Był zbyt okazały. Zamiast małego białego domku do stałam czarne marmurowe posadzki na wysoki połysk, bogato zdobione sufity i kosztowne meble, których bałam się zniszczyć. Obchodząc nazajutrz posiadłość, postanowiłam poprosić Amu, żeby się do mnie wprowadziła. Dotrzyma mi towarzystwa i razem będziemy się zajmować domem, I tak Amu za mieszkała z nami.

- To nie dom. To pałac - orzekła, wstrzymując oddech. Czegoś podobnego dotąd nie widziała. Biedaczka żyła bardzo skromnie. Gdy pokazałam jej pralkę, zachichotała niczym mała dziewczynka.

- Ta biała skrzynka ma niby prać ubrania? - spytała z powątpiewaniem.

- Tak – odparłam. - A nawet je suszy.

Amu obejrzała uważnie przyciski i tarcze, po czym oświadczyła, że pralka na nic jej się nie przyda.

- Daj mi balię i wiadra, a pokażę ci, jak prać - powiedziała.

Oprowadziłam ją po sypialniach, żeby którąś wybrała dla siebie, ale zadowolili się pokoikiem przy kuchni. Zapewniła, że tam będzie jej najwygodniej. Szczególnie ucieszył ją widok z okna na moją altanę.

Usiadłam na łóżku, patrząc, jak ustawiała ołtarzyk do modlitwy, wykorzystując oprawione w ramki stare wizerunki Murugi, Ganeśi i Lakszmi. Odkryła nowego proroka, Sai Babę. Odziany w pomarańczową szatę, życzliwie uśmiechnięty, za mieniał piasek w słodycze i wskrzeszał swoich wyznawców. Przed jego zdjęciem zapaliła małą lampkę. Na koniec z rozerwanej plastikowej torby wyjęła pięć spłowiiałych sari, kilka białych bluzek i schowała je do szafki.

A potem wypiliśmy herbatę w cieniu wielkiego mangowca. Słuchając znanych historii o podłych dalekich krewnych i kuzynach Amu, niebawem odzyskałam dobre samopoczucie. Znów byłam u siebie razem z kobietą, którą przez tyle lat kochałam jak ciotkę. Więcej -jak matkę.

Pewnego dnia Lukę wrócił do domu wcześniej i zobaczył, że miło paplając z Amu, poleruję z nią kręte poręcze. Na ten widok stanął jak wryty.

- Co robisz? - spytał bardzo cicho, z nutą niedowierzania w głosie.

Obie przerwałyśmy pracę, patrząc niepewnie na niego. Było oczywiste, że jest bardzo zły, ale nie wiedziałam, dlaczego.

- Czyścimy poręcze - wyjaśniłam stropiona, bo być może wymagały jakiejś specjalnej pasty.

Skąd mogłam wiedzieć? Podeszedł do mnie. Wziął moje ręce i obejrzał je.

- Nie życzę sobie, żebyś wyręczała służących - rzekł bardzo cicho.

Stojąca tuż obok Amu zamarła. Lukę potraktował ją jak po wietrze. Uraził mnie i speszył.

Uraził ze względu na nią, a speszył, bo pozwolił sobie skarcić żonę w jej obecności. Pod jego zimnym spojrzeniem zrobiło mi się gorąco. Wolno skinęłam głową. Odwrócił się i bez słowa wszedł do gabinetu. Wstrząśnięta, wpatrywałam się w zamknięte drzwi, dopóki nie poczułam na ręce szczupłej, szorstkiej dłoni Amu.

- Tacy już są mężczyźni - powiedziała, patrząc głęboko w moje nieszczęśliwe oczy. - Ma rację. Spójrz, jakie mam ręce. Sama wyczyszczę te poręcze. Sprzątałam w niejednym domu. Umyj się i idź do niego.

Na piętrze, myjąc ręce, zobaczyłam w lustrze swoją zaskoczoną, zgnębianą twarz. Zeszłam na dół i zapukałam do drzwi gabinetu.

Lukę siedział w obrotowym fotelu.

- Chodź - powiedział.

Podeszłam i usiadłam mu na kolanach. Po kolei ucałował moje palce.

- Wiem, chcesz pomóc Amu, ale nie życzę sobie, żebyś sprzątała. Zniszczyłabyś te prześliczne ręce. Chcesz jej ulżyć, to zatrudnij na przychodne trzy razy w tygodniu dodatkową służącą do cięższych prac.

Skinęłam głową.

- Dobrze - zgodziłam się, pragnąc, żeby przestał być na mnie zły, żeby cicha groźba w jego głosie powróciła tam, skąd wyszła, żeby się uśmiechnął i zwyczajnie spytał: "Co na kolację?".

Czasem do mojego wielkiego domu wpadała mama. Zwykle siedziałyśmy chwilę, a potem dawałam jej pieniądze i zniknęła, ale któregoś dnia przyszła zatroskana i zdenerwowana. Nash

znowu nawarzył sobie piwa. Nie pamiętam, czym ją rozgniewałam, w każdym razie zamierzyła się na mnie. Lecz nie zdążyła uderzyć, bo nagle jak spod ziemi wyrósł Lukę i pochwycił jej przegub w stalowy uścisk.

- Dimple jest moją żoną. Jeżeli jeszcze raz podniesiesz na nią rękę, to więcej jej nie zobaczysz i żadne z jej dzieci nie pozna babki - ostrzegł przyjacielskim tonem.

Spojrzałam na niego i znów ujrzałam nieznanego. Oczy miał zimne, bezlitosne, a na policzku drgał mu gniewnie mały mięsień. Od nowa się w nim zakochałam. Dotychczas ujmowali się za mną jedynie babcia Lakszmi i niekiedy tata.

Poczułam się niczym bogini śpiąca spokojnie pod wielkimi kapturami wielogłowej kobry.

Lukę był mi osłoną i opoką. Spojrzałam na mamę. Przypominała wściekłego byka, któremu udaremniiono plany. Słyszałam, jak myśli: "Najpierw była moją córką!". Mogła się wycofać z godnością, wszystko naprawić, ale jest dumna, więc tylko szyderczo wykrzywiła usta, a kiedy wyczytała z mojej twarzy, jak wielką miłością darzę Lukea, jej pogarda zmieniła się w obrzydzenie.

Wyrwała rękę z jego uścisku, splunęła mi pod nogi i wyszła.

Lukę podszedł i wziął mnie w ramiona. Cała drżałam. Znowu zapragnęłam wniknąć w niego, usłyszeć jego myśli, zobaczyć to, co on. Wyobraziłam sobie, że wypuszcza mnie z ramion i widzi, jak moje zwiotczałe ciało upada na podłogę. Czy wiedziałby, że ma mnie w sobie? Że stopiłam się z nim? Nagle w głowie rozbrzmiały mi słowa sufickiej pieśni, którą kiedyś wyśmiałam jako niedorzeczną:

Czyż nie widzisz, jak ma krew zmienia się w hennę, Po to tylko, by upiększyć spody twoich stóp?

W ogrodzie rozkwitło drzewo mangowe. Wyglądało przepięknie. Amu rozwiesiła pod nim hamak i codziennie po południu uciwała tam sobie drzemkę. Patrzyłam na nią z altany i zazdrościłam spokoju.

Odwiedziłam wujka Sevenesea. Mieszkał w okropnej norze na czwartym piętrze, na końcu cuchnącego, czarnego od brudu korytarza. Kiedy wchodziłam na górę po plugawych żelaznych schodach, wystrzegając się kontaktu z lepкими po rękami, zobaczyłam, że z wyblakłych niebieskich drzwi jego klitki wychodzi kobieta. W wulgarny sposób atrakcyjna, z modnie podciętymi włosami, miała na sobie bardzo kuse białe szorty i białe szpilki. Głośno zastukała obcasami w metalowe stopnie.

Ponieważ za nic nie chciałam się z nią spotkać ani wiedzieć, co zobaczę w jej twarzy, prędko zawróciłam, zbiegłam na dół i skryłam się w staromodnej chińskiej kawiarni. Pod wysokim sufitem wolno obracał się wentylator, a przycupnięci na drewnianych trójnogach starzy Chińczycy

pili kawę i jedli pszenne tosty posmarowane kaja. Zamówiłam kawę i nie wiadomo dlaczego posmutniałam, bo przypomniła mi się opowieść wuja Sevenesea, jak to czatował przed piekarnią, żeby ukraść pojemniczki z tym przysmakiem. W tamtych czasach kaja nie była zielona tylko brązowo pomarańczowa. Otwierał pojemnik, wsadzał język i wylizywał do ostatniej kropli słodką mieszankę z mleka kokosowego gotowanego z żółtkami.

Gdy byłam młodsza, widziałam w nim dobrego, szlachetnego bohatera na białym słoniu.

Teraz wujek Sevenese żył samotnie w małej klitce, a wulgarne prostytutki w bezwstydnym szortach wychodziły od niego o jedenastej rano.

Odczekawszy wystarczająco długo, ponownie wspięłam się na górę. Na mój widok wuj chrząknął, miał przekrwione oczy. Odstąpił od otwartych drzwi. Weszłam do środka.

- Dzień dobry - powiedziałam wesoło, unikając patrzenia na rozbebeszoną pościel.

Z papierowej torby wyjęłam kilka paczek papierosów, które kupiłam w kawiarni na dole, i położyłam je na stole przy łóżku. Wuja najwyraźniej dręczył potężny kac. Włączył czajnik.

- Jak leci? - wychrypiął.

Był nieogolony, a pod oczami miał okropne sińce.

- Nie najgorzej.

- To świetnie. A co u taty?

- Och, w porządku. Tylko nie chce ze mną rozmawiać.

- Napijesz się? - spytał, odwracając się w moją stronę.

- Dziękuję, wypić kawę na dole - palnęłam bez zastanowienia i zaczerwieniłam się, bo się wygadałam.

Popatrzył na mnie z szelmowskim uśmiechem. Zrozumiał, że widziałam prostytutkę. Wciąż był dzieckiem uwielbiającym szokować ludzi. Zapalił papierosa.

- A jak tam twój mąż? - zagadnął innym tonem, który wcale mi się nie spodobał.

- Ma się doskonale - odparłam promiennie.

- Ciągle czekam na dzień i godzinę jego urodzenia. Bez tego nie sporządzę horoskopu.

Zerknął przez chmurę papierosowego dymu na czajnik.

- Rzeczywiście, wciąż wylatuje mi to z głowy - skłamałam, nadal wzbraniając się przed podaniem mu danych astrologicznych Lukea, pewnie z obawy, co z nich odczyta. - Ale przyniosłam ci papierosy - dodałam prędko, żeby zmienić temat.

- Dziękuję. - Przyjrzał się mi w zamyśleniu. - Dlaczego nie chcesz, żebym postawił mu horoskop? - spytał.

- Rzecz nie w tym, że tego nie chcę. Tylko...

- Przyśniłaś mi się...

- Tak? Opowiedz.

- Szłaś po polu. Zauważyłem, że nie masz cienia. A potem zobaczyłem, że twój cień ucieka od ciebie.

- Fuj! Dlaczego masz takie sny? Dostaję od nich gęziej skórki. A co on znaczy? - spytałam zaniepokojona, bo przecież w moim nowym, szczęśliwym życiu pragnęłam śmiać się z takich zabobonów.

W moim dużym domu z kryształowymi kandelabrami, figlarnymi renesansowymi rzeźbami i wonnymi zraszaczami w suficie nie było miejsca dla wuja Sevenesea i jego snów.

Po żałowałam, że go odwiedziłam. Powinnam odejść stąd natychmiast, jak tylko zobaczyłam prostytutkę. Lecz zaraz ogarnął mnie wstyd z powodu tych niegodnych myśli. Rozejrzałam się po obskurnym pokoju. Kiedyś kochałam wuja z całego serca.

- Dlaczego odrzucasz moją pomoc? - zapytałam.

- Bo możesz mi dać tylko rzeczy materialne, których nie potrzebuję i które nie ulżą mojej duszy. Myślisz, że byłbym szczęśliwszy w wielkim domu z posadzką z czarnego marmuru?

- No więc, co znaczy ten sen?

- Nie wiem. Kiedy się dowiem, będzie za późno... wszystkie moje sny zapowiadają nieszczęście.

Westchnęłam.

- Muszę iść, ale na stole zostawiam trochę pieniędzy, zgoda?

- Dziękuję. Nie zapomnij przynieść następnym razem danych twojego lubego.

- Dobrze - odparłam z rezygnacją, całkiem tracąc humor.

Gdzie te czasy, kiedy gadaliśmy do późna w nocy, gdy wszyscy poszli spać? Nie mieliśmy już o czym rozmawiać. I to z mojej winy. Bałam się za bardzo do niego zbliżyć, żeby nie połamał kruchych skrzydeł mojego szczęścia. Jeszcze nigdy nie byłam taka szczęśliwa, a wiedziałam, że Sevenese może to zniszczyć. Co więcej, miałam pewność, że tak się stanie. Takie szczęście nie mogło wiecznie trwać, ale za wszelką cenę musiałam podtrzymać iluzję, że jest możliwe. Postanowiłam przez jakiś czas nie spotykać się z wujem.

Trzy miesiące później Lukę wpadł w zachwyt na wieść o mojej ciąży. Postanowiłam, że jeśli urodzę dziewczynkę, dam jej na imię Niśa. Właśnie tak chciała mnie przed laty nazwać babcia Lakszmi, więc aby zrobić staruszce przyjemność, wybrałam to imię dla jej prawnuczki. Piękne jak księżyc w pełni. W naszej sypialni zawiesiłam zdjęcia Elizabeth Taylor, żeby rano po otwarciu oczu i tuż przed zaśnięciem widzieć piękno.

Całymi dniami mnie mdliło. Babcia doradziła picie soku imbirowego. Lukę przyniósł mi kwiaty w cynfolii i zakazał wszelkiego wysiłku.

Któregoś wieczoru, gdy leżałam w łóżku, przysiadł na po ślaniu i zaczął opowiadać o swojej przeszłości. W wieku lat trzech został sierotą. Jego matka, młoda Chinka, zgwałcona i pozostawiona na śmierć przez japońskich żołnierzy, cudem przeżyła, ale w końcu zmarła z niedożywienia na schodach katolickiego sierocińca. Kiedy zakonnice otworzyły rano drzwi, przy jej stygnącym ciele znalazły płaczącego malca z ciałkiem pokrytym wrzodami i brzuszkiem rozdętym przez robaki.

Dały mu chrześcijańskie imię na cześć siostry Steadman, która go znalazła, lecz choć wychowały go po chrześcijańsku, i tak został zaprzysięgłym buddystą, dziwnie przywiązany do wszystkiego, co japońskie. Zawdzięczał to sile woli. Płakałam, słysząc, że jako mały szkrab budził się w środku nocy, opuszczał miękkie łóżko i wciskał się pomiędzy dwie półki w szafie. Przez blisko rok zakonnice znajdowały go co rano zwiniętego między twardymi deskami. Myślałam o Lukeu jako wychudzonym dziecku ze wzdętym brzuchem i zadawałam sobie pytanie, czy już wtedy miał nieprzeniknione oczy.

Miesiące płynęły bardzo wolno. Moje ciało zmieniało się z każdym dniem. Leżałam na chłodnej posadzce w salonie i przyglądałam się postaciom na suficie. Niezbyt mi się podobało, że patrzą na mnie surowo. Nie przypominały żywych ludzi, tylko jakąś odrębną rasę istot żyjących pod warstwą farby na sklepieniu. Kiedy gasiłam światła i wchodziłam na górę, ci z sufitu schodzili na dół i podbierali jedzenie z lodówki. Gdy patrzyłam na nich za długo, miałam wrażenie, że zmieniają miny. Przeważnie nie reagowali, ale czasem - jedynie czasem - chyba bawili się naszymi perypetiami. Im dłużej przyglądałam się ich cudzoziemskim obliczom z dumnymi rzymskimi nosami, ich nieuchwytnie zadowolonym minom i zblazowanym ustom, tym większą miałam chęć chwycić pędzel i białą farbą zamalować to przeklęte towarzystwo. Ale Lukę je lubi. Jest dumny z tego sufitu. Jego zdaniem to dzieło sztuki.

Nudziłam się. Nie miałam nic do roboty. Cały dzień czekałam na powrót męża.

Tęskniłam za znajomymi, z którymi przestałam się spotykać. Rzeczy miałam dosyć, gdyż obkupiłam się na całe życie, a wieczorami nie wolno mi było wychodzić na spacer, bo oczywiście ktoś mógłby mnie porwać, zgwałcić, zamordować. Ponieważ zabroniono mi brudzić sobie piękne ręce pracami domowymi i ogrodowymi, jako żona byłam bezużyteczna. Nie mogłam się doczekać, kiedy wreszcie urodzi się to dziecko.

Weszłam do gabinetu Lukea. Wyprężony jak struna stał twarzą do okna, stracony dla mnie.

Stracony dla całego świata, zatopiony w wirze otaczającej go muzyki - natrętnego lamentu porzuconej japońskiej kochanki.

Sporządź dla mnie truciznę,

Bo dołączyć chcę do dusz zmarłych.

Dla niechcianej

To błoga droga do raju.

Błagalna nuta w głosie śpiewaczki i śpiewne zawrodo fletów sprawiły, że zastygł jak posąg. Był w nim smutek, wiedziałam to, ale tak głęboko ukryty, że poza moim zasięgiem.

Wyrastał niczym cienki niesforny pęd, niepodporządkowany jego żelaznej woli. Powoli zaczynałam rozumieć, dlaczego wuj Sevenese pożąda chłodnych ust, bo sama zatęskniłam za chłodnymi odległymi wargami męża. - Lukę! - zawołałam cicho i zobaczyłam, jak biedny chłopczyk z wzdętym brzuchem podnosi się z podłogi, zrzuca z siebie łachmany z sierocińca i wkłada wyprasowany wczoraj przez Amu granatowy komplet - bawełnianą koszulę i spodnie.

Tak ubrany Lukę odwrócił się od okna i stanął twarzą do mnie.

- Wróciłaś - powiedział z uśmiechem.

- Tak - odparłam, idąc w jego otwarte ramiona.

Pomiędzy nami było dziecko.

Kochałam go z całego serca.

- Co kupiłaś? - zagadnął, głaszcząc mnie pieszczotliwie po brzuchu.

Chłodny pokój tonął w barwach zachodu. Słońce za plecami Lukea było ciemnoczerwone.

- Prezent - odparłam, usiłując zajrzeć mu w oczy. Głęboko, aż poza nie.

Uniósł brew. W jego skośnych oczach dostrzegłam zaciekawienie.

- Gdzie jest?

Kołysząc się jak kaczką, wyszłam z gabinetu i wróciłam z długim, wąskim pudełkiem.

Lukę rozerwał zielone opakowanie, zdjął pokrywkę, zajrzał do środka i podniósł na mnie rozbawiony, pytający wzrok.

- Po co mi laska? - spytał, wyjmując ją z pudełka.

- Bardzo dawno temu laska służyła do świecenia pierścieniami. Ta jest z drewna węzowego, z główką z kości słoniowej wyjaśniłam z żartobliwym wyrzutem.

- Jest śliczna - pochwalił, oglądając z uwagą pięknie wyrzeźbioną kościaną głowę teriera. - Gdzie ją kupiłaś?

Pogładził palcami drewno tak ciemne, jakby przez wieki nasiąkało węzową krwią.

- To tajemnica - odparłam, naśladowując jego zagadkowość.

- Zachowam ją na zawsze jako najcenniejszy skarb - rzekł ze swojej lodowej wyspy i zaśmiał się.

Czułam, że się od siebie oddaliśmy, ale i tak go kochałam. Tej nocy przyśnił mi się nasz domowy lekarz, pan ellapan.

Usiadł ze mną w altanie. Było gorąco, więc zdjął buty.

- Czy jest źle? - spytałam.

- Niestety, nie mam dobrych wieści.

- Bardzo źle?

Potrząsnął głową.

- Nie przeżyje pani weekendu - powiedział smutno.

- Co takiego? nie zdążę się z nikim pożegnać?

- Niestety - odparł i wtedy się obudziłam.

Lukę mocno spał. Przytuliłam się do jego twardego ciała i leżałam dłuższy czas, wsłuchana w jego oddech. Wciąż tak mało o nim wiedziałam. Nie był mój. "Co przede mną ukrywasz?" - zadawałam sobie pytanie.

"Stań pod drzwiami, żeby go podsłuchać" - zachęcał mój szepczący bóg. Może nie powinnam tego robić, by na dobre nie pożegnać szczęścia. Przekonałam się, że jest ono jedyną ostoją nieświadomych i naiwnych, którzy nie widzą albo wolą nie widzieć, że życie to pasmo zmartwień. Że każde miłe słowo skrywa złą myśl. A w sypialni na górze dogorywa miłość.

- Co jadłaś? - spytał przez telefon, ani zalotnie, ani nawet miło, lecz zrozumiałam natychmiast, że ma kochankę.

Lukę ma kochankę!

Myśl ta zaatakowała mnie tak raptownie i z taką siłą, że za kręciło mi się w głowie.

Poczułam uderzenie krwi i korytarz przed gabinetem zawirował wokół mnie szyderczo.

Lukę miał inną. A jeszcze wczoraj mnie kochał. A więc to prawda, że sama miłość serca nie ma i tylko biega od jednego serca do drugiego.

Idiotko! Kretynko! Myślałaś, że zdołasz go zatrzymać? Takiego mężczyznę?

- Dobrze, do zobaczenia o dziewiątej.

Trzasnęła odłożona słuchawka.

Lukę nie był ani czuły, ani zmysłowy, choć potrafił taki być, ale umówił się z nią jutro wieczorem. Na dziewiątą! Kiedy powinien uczestniczyć w naradzie dyrektorów.

Dziecko kopnęło mnie. Mocno.

Nogi odmówiły mi posłuszeństwa i osunęłam się na posadzkę. Jęknęłam cicho, lecz Lukę tego nie usłyszał. Znowu rozmawiał przez telefon. "Wykup tego idiotę!" - usłyszałam jego bardzo rzeczowe, chłodne polecenie, gdy zdruzgotana usiadłam pod drzwiami. Wpadłam w popłoch. Musiałam stąd uciec. Zmartwiałam ze strachu. Przecież lada chwila Lukę otworzy drzwi na korytarz. Zaczęłam wycofywać się na czworakach.

Służący! Nie powinni mnie tak zobaczyć! Lukę miał kochankę. Drżały mi ręce. Było mi słabo. A przecież mnie ostrzegano. Natura ciągnie wilka do lasu. Kim ona była? Jak wyglądała?

Ile miała lat? Jak długo się z nią spotykał? Czołgałam się niezdarnie, kręciło mi się w głowie.

Nie chciałam, żeby zobaczyła mnie Amu. Kurczowo trzymając się poręczy, dotarłam na górę.

Nienawidziłam siebie i tej strasznej istoty w moim łonie, przez którą stałam się taka odrażająca.

Taka brzydka. Nic dziwnego, że zaciekle nienawidziła mnie nawet własna matka. I wtedy zaświtała mi spóźniona myśl. A jeśli się pomyliłam? Nadzieja popłynęła przez żyły niczym nie szkodliwe bąbelki, sycząc jak coca-cola. A jeśli pomyliłam się co do kochanki? Usiadłam ciężko na łóżku.

Nagły ból w brzuchu minął i serce zwolniło rytm. Podniosłam wzrok i zobaczyłam Lukea.

Patrzyłam na niego, jakbym ujrzała ducha.

- Dobrze się czujesz, kochanie? - spytał z z troskaniem.

- Chyba tak - bąknęłam zdrętwiałymi ustami.

Przyglądał mi się, zaniepokojony moją oszołomioną miną i bladością.

- Na pewno? Jesteś bardzo blada.

Skinęłam głową z wymuszonym uśmiechem.

- Z dzieckiem wszystko dobrze?

Ponownie kiwnęłam głową, mocniej rozciągając usta.

Uspokojony, uśmiechnął się.

- Przed kolacją wskoczę pod prysznic powiedział.

Postanowiłam, że jutro za nim pojadę. Musiałam wiedzieć, z kim umówił się na dziewiątą, źle spałam i obudziłam się przekonana, że mąż mnie zdradza. Przejście od snu do jawy zajęło mi jedną chwilę. Powietrze było rozkosznie chłodne, za oknami wciąż ciemno i do pojawienia się słońca ponad sosnami zostało trochę czasu. Za dawałam sobie pytanie, co tamta wczoraj jadła. Ciasto, kurczę z ryżem, makaron, nasilemak, sataj, migoreng, wieprzowinę z miodem? Możliwości było co niemiara, różnorodność malezyjskich potraw oszołamiająca. Kochanka Lukea mogła być Chinką, Hinduską, Malajką, Sikhijką. Euroazjatką bądź do wolną mieszanką tych nacji i ras.

Zaczęło mi łupać w głowie. Spojrzałam w lustro na swą obrzękłą, krostowatą twarz. Wyglądałam okropnie. Nie rozumiem, dlaczego, ale nie byłam na Lukea zła. Za to wściekła na nią.

Wróciłam do łóżka i leżałam, dopóki nie doszły mnie odgłosy budzącego się domu. Dźwięki muzyki, szum wody w łazienkach, brzęk naczyń i garnków w kuchni.

Pomruk drogiego mercedesa Lukea ścichł w oddali. Zapukano do drzwi i weszła Amu z małą tacą w kościstych rękach.

- Wstań i umyj zęby - poleciła, stawiając tacę na stoliku przy łóżku.

Poczułam zapach mojego ulubionego śniadaniowego dania - apamów - dwóch białych ryżowych chrupiących ciastek z cienkimi brzegami i środkami glazurowanymi posłodzonym mleczkiem kokosowym. Spojrzałam na ich miękkie, idealnie okrągłe, połyskujące nieśmiało buźki i dostałam mdłości.

- Co się stało? - spytała Amu, przewiercając mnie oczami jak szpilki, a jej pobrużdżona twarz przybrała czujny wyraz.

- Nic - odparłam, choć pragnęłam powiedzieć: "Och. Amu, on ma romans. A te dwa apamy śmieją mi się w twarz".

- No, to zjedz je, dopóki są smaczne i ciepłe. Idę na targ, więc do zobaczenia.

Skinęłam z uśmiechem głową. Chwilę jeszcze pozostała, jak by chciała coś dodać, ale się rozmyśliła, pokręciła głową i wyszła. Siedziałam wpatrzona w apamy, dopóki nie usłyszałam, że nasz szofer Kuna odjeżdża z nią na zakupy. Wstałam z łóżka. Nogi poniosły mnie po chłodnej podłodze. Jasne promienie słońca zalały cichy dom i teraz czekały na to, co zrobię. Otworzyłam drzwi i weszłam do sypialni Lukea. Było tu jak w lodówce. Wyłączyłam klimatyzację i zrobiło się cicho.

Znajomy pokój obserwował mnie chłodno i nieprzychylnie. Byłam nieproszonym gościem.

Rozejrzałam się po wnętrzu zupełnie obcym wzrokiem. Wszystko wyglądało inaczej. Za kupione przeze mnie koszule naigrawały się z mojej głupoty. Rogi chusteczek, które z takim oddaniem prasowałam, chichotały. Otworzyłam szafę, szafkę, komodę. Dotykałam rzeczy, które Lukę trzymał w rękach, nosił, chował, wkładał. Kręciło mi się w głowie, w środku czułam bolesną pustkę, jak gdyby czyjaś wielka łapa wygarnęła ze mnie wszystko. Wszystko oprócz dziecka. Zawieszono go w próżni. Przypominałam angielskie, wielkanocne czekoladowe jajo z plastikową zabawką w środku.

Rozbebeszone łóżko kłuło w oczy zmiętoszoną po ścielą. Spędziło noc z moim mężem. Wgramoliłam się na nie i stanęłam pośrodku. Dom słuchał, a cztery ściany sypialni patrzyły, jak krzyczę. Krzyczałam, dopóki nie ochrypłam.

Pogoda się zmieniła. Nadciągnęły ponure chmury i w pokoju pociemniało. W dach zabębniły duże krople deszczu. Wyczerpana, zwałam się na łóżko. Nie mogłam oddać Lukea kochance. Był zbyt cenny, żeby oddać go jakiejś ulicznicy. Za mocno go kochałam. Wyprostowałam niezgrabne ciało i ułożyłam się na wznak w chłodnej pościeli. Postanowiłam, że odzyskam go z pomocą czarów. Każdy, kto chciał zdobyć nad kimś władzę, mógł pójść z tym do bomo. Tak zrobię, pomyślałam. To jedyny sposób, żeby Lukę stał się mój na zawsze.

I wtedy nagle w drzwiach wyrosła wzburzona i przerażona Amu, Czy mnie wołała? Nic nie słyszałam. W jej ciemnych oczach była litość. Dopiero kiedy spojrzałam w tę współczującą

twarz, zadrgały mi wargi, oczy zaszyły łzami, a serce przeszły piekący ból. Otworzyłam usta i zawylałam. Amu wdrapała się na łóżko i przycisnęła moją głowę do płaskich piersi. Bez słów zrozumiała, że między mną a Lukiem dzieje się coś złego. Czułam na czole jej kościsty mostek. Kołysała mnie delikatnie. Nie powiedziała ani słowa. Ani jednej historii o ciotce intrygantce i podłej ciotecznej kuzynce. Kołysała mnie tak długo, aż przepłynęłam rzekę łez.

- Ryby i mięso - przypomniałam jej zduszonym głosem.

W wyobraźni zobaczyłam plastikowe torby z zakupami na kuchennym stole. I połyskliwe skrzydła czarnych much towarzyszących im wiernie jak zawołowane płaczki zwłokom zmarłego.

Amu skinęła głową i wyszła bez słowa. W tamtej chwili kochałam ją jak nikogo na świecie.

Nie straciłam woli działania. Zwlokłam się z łóżka i za dzwoniłam do wypożyczalni samochodów. Płatność kartą kredytową czy gotówką? Gotówką. Druga po południu? Doskonale.

Samochód dostarczono o drugiej. Podjechałam nim na koniec naszej ulicy i zaparkowałam pod drzewem.

Lukę wrócił o wpół do siódmej. Był w wesołym nastroju.

- Jak minął dzień? - spytałam.

- Doskonale. A tobie?

- Świetnie. Dziecko ma się dobrze.

Podszedł i chłodnymi, dobrze mi znanymi ustami pocałował mnie w swoje ulubione miejsce, lewą skroń. Judasz! Kłamał jak z nut! Patrząc na niego, stwierdziłam z przerażeniem, że nie mogę powstrzymać wzbierających łez. Pocięły mi po policzkach.

To go zaskoczyło.

- A to co? Co się stało? - zatroskał się.

- Hormony - wyjaśniłam, płaczliwym uśmiechem dając do zrozumienia, że niepotrzebnie się martwi.

- Naprawdę? - spytał, nieprzekonany.

- Tak. O której jedziesz na zebranie?

- Zebranie jest o dziewiątej, ale jeżeli źle się czujesz, to je odwołam.

Zaimponował mi. Co za opanowanie! To sztuka okazać najprawdziwszą troskę bez śladu winy.

- Jestem trochę zmęczona i nic poza tym. Jedź – odparłam. Czy mój głos brzmiał tak nienaturalnie, jak mi się zdawało? Ale Lukę wziął to za dobrą monetę. - Chwilę odpocznę. Jeżeli pożegnaj się z tobą już...

Zrozumiał od razu. Podszedł do mnie i czule pocałował w usta.

- Dobrze, odpocznij - powiedział.

Na jego wargach błąkał się miły uśmieszek. Uśmiechnęłam się do niego. "Ty draniu! Jak możesz być tak nieczuły?" po myślałam i ostrożnie wstałam z fotela. Nie chciałam wydać się niezgrabna. Z pewnością jego kochanka była szczupła i powabna, ale miałam co do niej plany.

Chciałam jej głowy! Gdy odchodziłam kolebiącym się krokiem, czułam na sobie jego wzrok. Na górze przekręciłam klucz w zamku i usiadłam na łóżku. Kiedy usłyszałam, że Luke zamyka drzwi swojego pokoju, wykradłam się z sypialni, cicho zesłam na dół i z walącym sercem podążyłam podjazdem. A jeżeli stał w oknie i mnie obserwował? Na usprawiedliwienie miałam, że wyszłam się przewietrzyć. Gdy przekraczałam bramę, świat tonął w rdzawej pozłocie, a słońce już zaszło za drzewa. Oświetlone okno Lukea było puste. Brał prysznic. Poszłam w stronę głównej ulicy. Na końcu naszej uliczki stało granatowe auto, które wynajęłam. Wsiadłam, drząc. Zapadał zmrok. Czekałam.

Niebawem przejechał samochód Lukea. Na chwilę sparaliżował mnie strach, ale wkrótce odrętwiałe ręce i nogi zaczęły się samodzielnie poruszać. Kluczyk przekręcony, biegi włączone, gaz wciśnięty. Nie tracąc go z oczu, dojechałam do dzielnicy, gdzie w górę dźwigały się z ziemi jak obudzone olbrzymy drogie centra handlowe. Luke zatrzymał wóz przed chińską apteką. Zobaczyłam, że rozmawia przez telefon. Na pierwszym piętrze był salon fryzjerski, a sztyld na ostatnim zachwalał towarzystwo Złotych Dziewcząt. Małej klatki schodowej przy aptece strzegły żelazne drzwi. Kiedy na nie patrzyłam, głośno szcęknęły i wyszła z nich niewiarygodnie piękna młoda dziewczyna w długiej czarnej czeongsam z wyhaftowanymi złotymi pędami bambusa. Przez długie rozcięcia w sukni łykały jej nieskazitelne nogi, a owalną, uśmiechniętą twarz okalały kruczoczarne włosy do ramion. Olśniewająca dziewczyna skinęła ręką aptekarzowi, lecz nie zareagował. Płynnym ruchem zesłała po schodkach na chodnik i wsunęła się do samochodu Lukea.

Odjechał, nie odwracając głowy.

Siedziałam tam, ściskając kierownicę, przez godzinę, a może dziesięć minut. Straciłam poczucie czasu. Obok mknęły samochody. Z klatki schodowej wychodziły kolejne dziewczyny w obcisłych, eksponujących kształty sukienkach i wsiadały do dużych, drogich aut, rzadziej taksówek.

A ja gapiłam się jak zahipnotyzowana, dopóki przejeżdżający na rowerze tuż przy moim oknie sprzedawca makaronu dzwonkiem nie wyrwał mnie z letargu.

Zapaliłam silnik i zawróciłam. Nagle z lewej strony brzucha poczułam lekki ból, który rozszedł się po moim odrętwiałym ciele jak kropla atramentu w rondlu mleka. Szybko się rozprzestrzenił, ale jakoś dotarłam do naszej uliczki. Nie mam pojęcia, jak się tam znalazłam.

Widać do domu doprowadziła mnie zagadkowa siła ukryta w podświadomości.

Zostawiłam samochód w uliczce i ruszyłam. Ból się wzmagał. Chwyciłam się za brzuch i osunęłam na ziemię. Lukę za nic nie mógł się dowiedzieć, że wychodziłam, że go widziałam.

Czołgając się w stronę domu, w majakach ujrzałam dziewczynę w wyzywającym stroju, wsiadającą do błyszczącego auta. Pomachała mi ręką. Chiński aptekarz nie zareagował, choć najwyraźniej ją potępiał.

Doczołgałam się do progu. Szarpana potwornym bólem, za dzwoniłam do drzwi. W głowie wciąż miałam obraz pozdrawiającej mnie pięknej dziewczyny. Coś rozdzierało mi brzuch. Otworzyły się drzwi. Amu przyklekła. Ledwie ją widziałam, szczupłymi dłońmi ujęła moją twarz.

A potem gwiazdy spadły, zsyłając błogosławioną ciemność.

Oprzytomniałam w jadącym pojeździe, ale przelatująca nade mną litościwa bogini na powrót wtrąciła mnie w ciemność, gdzie mieszkają gwiazdy. Zapamiętałam zwawy powiew pod stopami. Umykające światła nad głową. Turkot kółek. Odgłosy krzątania. I głos Lukea. Bardzo niespokojny. Dobrze mu tak, pomyślałam, uwięziona w czarno-czerwonym świetle. Lukę ze złością domagał się wyjaśnień, lecz był bardzo daleko i słabo go słyszałam.

Dziewczyna w czarno-złotej czeongsam pomachała mi ręką. Jej twarz jaśniała młodością i pięknem. Chiński aptekarz śmiał się drwiąco. On również mnie nie lubił. Śmiał się, a ona chichotała. Myliłam się. Wcale jej nie potępiał, byli w zмовie. Ich śmiech dochodził z oddali. Gdy cichł, ponownie do padał mnie ból. Biały jak śnieg, czarny jak noc. Błogosławiona ciemność...

Na imię dałam jej Niśa. Istne чудо! Przebiera małymi rączkami i nóżkami i wesoło gaworzy.

Jak ta bezradna, malutka istotka może mieć taką moc? To na niej się skupiam, gdy cierpienie staje się nieznośne. To przed jej promiennym uśmiechem cofa się ono tchórzliwie.

Lukę nadal sypia w drugiej sypialni. Chyba się mnie boi. W jego chłodnych oczach widać dziwne zatroskanie. Patrzy na mnie uważnie, opiekuńczo, ale w mojej głowie wciąż tkwi obraz dziewczyny w chińskiej sukni. Wczoraj w jego gabinecie przeszukałam szuflady. Oczywiście nic nie znalazłam. Za to dzisiaj w samochodzie odkryłam zdjęcie. Jej zdjęcie. Stoi po środku pokoju hotelowego. Jej piękność wylewa się z fotografii na moje wścibskie dłonie i wprawia je w drzenie.

W spojrzeniu dziewczyny jest coś przerażająco ponadczasowego. Przywodzi mi na myśl jezioro o zmiernych. Niezapomniane, tajemnicze, pełne snów.

Czy jezioro się uśmiecha? Może w ciemności.

Stoi w za dużym podkoszulku w plamie słońca. To nie postać, to wcielenie nieodpartej pokusy. Jak wyglądałaby uśpiona, leżąc na brzuchu, z głową wtuloną w zagłębienie jego szyi? Ma mokre włosy. Uśmiecha się beztrósko. W tym zastygłym uśmiechu jest straszliwa niewinność.

Dostrzegam też głęboką potrzebę miłości. Jest zakochana w Lukeu. Na jej nieumalowanej twarzy pragnienia lśnią niczym poranna rosa na źdźble młodej trawy.

Chętnie zacytowałabym jej Terrencea Diggoryego: "Pragnienie to pogoń za tym, co stracone", i ostrzegła, że to, co z początku wydaje się nam jasne i wyraźne, zblednie jak dzisiaj przeszłość i jak dzisiejszy dzień zblednie w przyszłości. Dziewczyna nie gra uczciwie, lecz, w przeciwieństwie do mnie, nie zna jeszcze odpowiedzi na pytanie: Kto mnie zastąpi?

Dwa lata temu to ja miałam niewinne, lśniące jak rosa oczy, to ja byłam magicznym zjawiskiem, choć zgoła odmiennym. Ona chyba pali. Tak, w tle widzę paczkę mentolowych. Ale takie wyrafinowanie w sumie niewiele znaczy. Czas pędzi. Jej sen się skończy. Za dziesięć, za pięć, za dwa lata. Kto cię zastąpi?

Na stoliku przy łóżku leży portfel, który podarowałam Lukeowi na przedostatnie urodziny, a obok pęk kluczy. Jeden z nich otwiera drzwi naszego domu. Na dużym fotelu wiszą jej dżinsy i jego spodnie. Na siedzeniu niedbale odłożony ręcznik. Używano go. Wchłonął perfumy i wstydlive myśli. Widać również brzeg dużego łóżka i pomiętą pościel. Ach... Zobaczyłam jej miłosne gniazdko. A na spodniach Lukea czarny koronkowy stanik. Całe wieki spędzę z tym wyimkiem hotelowego pokoju przed oczami. Ilekroć w następnych dniach, tygodniach, miesiącach, latach, patrząc przez okno, ujrzę w oddali nieruchome chmury, powrócę do tego gniazdko. Będzie istnieć zawsze, dzień i noc. Koronkowy stanik zarzucony na spodnie mojego męża?

W meczecie przy naszej ulicy mułła chwali przez głośniki Allaha. Jego głęboki głos rezonuje w zmierzchu i odbija się echem.

- Allah akbar, Allah akbar.

Lubię zaśpiew muezinów. Od małego wsłuchiwałam się w ich wezwania do modlitw, tak rzeczywiste, że wchodziłam do nich jak do czarodziejskiego zamku w powietrzu. Wyglądałam z jego okien i po schodach zbudowanych z magicznych modlitewnych dźwięków wspinałam się do najwyższej komnaty, gdzie... Nie, te dni nie wrócą. Wsuwam zdjęcie z po wrotem do skórzanej kieszeni w aucie Lukęa. Słyszę, jak Amu śpiewa Nişi. To takie dobre dziecko...

Tego wieczoru odwiedziłam wuja Sevenesea. Poprosiłam go o nazwisko jakiegoś dobrego bomo. Szamana, który rzuca złe zaklęcia. Zdjęcie tej dziewczyny mówi mi, że jest niebezpieczna.

Prostytutce chodzi wyłącznie o zawartość męskiego portfela. Natomiast zakochana kobieta zawsze pragnie więcej. Zakochana kobieta chce wiedzieć, co mężczyzna nosi w sercu. Czy ma na jego ścianach wryty jej obraz.

Lakszmana

Rano spadł rzęśisty deszcz.

A teraz mam go w głowie. Puk, puk, puk. Stuka jak dziecięca rączka w szybę. Ależ jestem zmęczony. Dobijam pięćdziesiątki, a czuję się jak stulatak. Bóle w ręce wędrują w górę do ramienia, a kiedy leżę bezsennie w łóżku i wsłuchuję się w oddech żony, czasem zamiera mi serce.

Na kilka uderzeń. Też jest zmęczone. I zwyczajnie pragnie się zatrzymać.

Śnię o niej. Przynosi mi kosz kwiatów i owoców. Promienieje, ma zaledwie czternaście lat.

Jakże jej zazdrozczę! "Za bierz mnie z sobą, Mohini" - błagam, ona zaś kładzie mi chłodną dłoń na ustach i doradza cierpliwość. "Jak długo jeszcze mam żyć z poczuciem winy?" - pytam. Mohini kręci głową i mówi, że nie wie.

"To był wypadek". Wszyscy zwolnieni z poczucia winy, spowici w kokony smutku. Tylko nie ja. Bo to ja go spowodowałem. To ja popełniłem błąd. To ja byłem tym durniem, który się poślizgnął i wpadł do kryjówki mającej ją ocalić.

Każdy zabija to, co kocha. Lecz nie każdy umiera.

Tak, winowajca nie umarł, ale jak żyje! Boże, jak on żyje!

Dawno temu przeczytałem o wielkim arabskim podróżniku z I wieku, Ibn Battucie. Napisał on, że pewnego razu sułtan Mul-Jawy dostrzegł podczas audiencji mężczyznę z nożem, przypominającym narzędzie do oprawy ksiąg. Po wygłoszeniu długiej mowy w nieznanym języku człowiek ten chwycił oburącz nóż i tak mocno przejechał nim sobie po gardle, że jego odcięta głowa spadła na ziemię. Na co sułtan zaśmiał się i rzekł: "Oto mi niewolnicy. Zabijają się z własnej woli z miłości do nas".

To właśnie zrobiłem. Zarznąłem się z miłości do mojej siostry.

Choć myślałem, że nie powiem już o niej ani słowa, to po tylu latach milczenia czuję, że jednak muszę. Dziewięć miesięcy spędziliśmy razem gdzieś głęboko w łonie matki, patrząc na siebie, dzieląc się pokarmem, przestrzenią, płynami i śmiechem. Tak, śmiechem. Przy mojej siostrze śmiało mi się serce. Dzięki niej cały świat jaśniał i promieniał. Nie potrzebowaliśmy słów.

Nigdy nie rozmawialiśmy. Czy ktoś rozmawia z własną ręką, nogą, głową? Oto jak bardzo Mohini była częścią mnie. Zabierając ją, te japońskie dranie wyrwały mi nie zbędny kawał duszy. Po zamknięciu oczu widziałem jej twarz i konałem z bezbrzeżnej tęsknoty. Miałem ochotę wrzeszczeć, wyć, niszczyć. Nie wrzeszczałem. Nie wyłem. Jedynie niszczyłem.

Z początku tylko wybuchałem, miażdżąc stojących najbliżej, ziejąc ogniem i zmieniając wszystko na mej drodze w popiół. Z nieludzką przyjemnością wywoływałem konflikty, na pawając się rosnącym strachem w oczach rodzeństwa, ale i tego było mi mało. Nie zadowolilem się nawet rozdeptaniem zżeranego miłością do mnie serca mamy. Musiałem zniszczyć siebie. Czy

zasługiwałem na sukces, majątek i szczęście po tym, jak zabiłem własną siostrę? Czasem zadaję sobie pytanie, który z bogów pokarał mnie osławionym bólem głowy podczas matury. Czyżby sam boski Lakszmana w pierwszej próbie odebrania sobie życia? Czyżby nóż introligatora już wtedy dokonał makabrycznego dzieła?

Wiem, że zaskoczyłem Dimple, zgłaszając chęć dołączenia do jej szlaku snów. W końcu wcześniej odmawiałem tysiąc razy.

- Dlaczego teraz, tato? - spytała, zdziwiona.

Dlatego, że nareszcie wygasają we mnie ognie gniewu i po marańczowy żar szarzeje. A poza tym Niśa musi poznać moją wersję przeszłości. Pora przyznać się do wielkich błędów i się z nich rozliczyć. Czasem moja tocząca się głowa ze zgorznięciem patrzy na bezgłowe ciało i głupie, niewiarygodne uczynki, których się dopuściło. A jednak nie mogłem się od nich po wstrzymać. Tyle było do zniszczenia, ale ja z miłości do siostry dobrowolnie okaleczyłem samego siebie.

Najbardziej zaszkodziłem sobie w Singapurze, gdzie dobrze poznałem swoje wady. Zamieszkałem u porządnej rodziny, którą znała matka. Mieli dwa lata starszego ode mnie syna Ganeśę i córkę Arunę, w wieku naszej Anny. Wszystko wskazywało, że Aruna znienawidziła mnie od pierwszego wejrzenia. Przybierała znudzone miny i robiła kąśliwe uwagi, pośrednio z pewnością wymierzone we mnie. Zwykle koszule prasowała mi jej matka. Któregoś dnia musiała jednak gdzieś szybko wyjść i poprosiła córkę, by ją wyręczyła. Aruna zabrała się do tego z taką niechęcią, że wyrwałem jej koszulę z ręki.

- Nie trzeba - powiedziałem opryskliwie i odwróciłem się na pięcie.

Tej nocy drzwi do mojego pokoju otworzyły się. Weszła. W półmroku pod jedwabistą koszulą dostrzegłem wyraźny za rys jej piersi. Wpatrzyłem się w nie, zaskoczony, a kiedy Aruna do mnie podeszła, dotknąłem ich. Były duże i miękkie. Do tej pory nie znałem kobiecego ciała. Dziewczyna rzuciła się na mnie drapieźnie. Tej nocy kochaliśmy się wielokrotnie. Aruna jęczała i wiła się w mych ramionach. Nie powiedziała ani słowa. Wymknęła się przed świtem, pozostawiając po sobie ostrą woń namiętności. Otworzyłem szeroko okna i zapaliłem papierosa. Na jakiś czas zapomniałem o Mohini. Ale po czucie winy powróciło.

Nazajutrz przy śniadaniu Aruna milczała. Nie spojrzała mi w oczy. Nie robiła złośliwych uwag ani dziwnych min. W nocy znowu do mnie przyszła. I znowu wpadliśmy w rytm. Do świtu dobrze poznała moje ciało. Gdy wyszła, otwarłem okna i wypuściłem jej zapach.

Tak zrodził się rytuał. Coraz rzadziej patrzyłem jej w oczy, z coraz większą ochotą czekałem na jej nagie ciało. Zdarzały się noce, że nie przychodziła. A wtedy paliłem papierosy, do póki nie zasnąłem.

Aż wreszcie któregoś dnia szepnęła mi w ciemnościach:

- Jestem w ciąży.

Ależ byłem naiwny! Wzdrygnąłem się ze zgrozy, bo w mojej rozpalonej głowie nigdy nie powstała taka możliwość. Aruna przyciągnęła mnie i przywarła z całej siły.

- Ożeń się ze mną - poprosiła.

Tej nocy się nie kochaliśmy. Wyszła, łkając. Usiadłem sztywno na łóżku. Nie dość, że jej nie kochałem, to nawet nie lubiłem. Zapamiętałem ją jak sen albo ducha, który pojawia się tylko nocą.

Mgliste i niewyraźnie. Co właściwie pamiętam? Jej aksamitny język na mych plecach, miękkie usta na powiekach, ciało ocierające się o moje, czarny wir, w którym zniknęło poczucie winy.

I oczywiście zapach - zapach mokrej kurkumy. Nie mogłem zasnąć, więc wyskoczyłem przez okno i ruszyłem w poszukiwaniu otwartego całą noc straganu z jedzeniem, który często odwiedzałem w Dżalan Serangun. Oświetlona żółtym światłem gazowej latarni hebanowa twarz elu rozplynęła się w szerokim uśmiechu.

- Cześć, nauczycielu - powitał mnie wesolo.

Uśmiechnąłem się blado i usiadłem na drewnianym stołku. Bez pytania postawił przede mną parującą szklankę herbaty, po czym wrócił do jej studzenia, przelewając napar z wysoka z jednego emaliowanego garnka do drugiego. Przez długą chwilę patrzyłem, jak zręcznie rozciągnięta między dwoma naczyniami spieniona struga przybiera kształt strusiego pióra, a potem utkwilem oczy w noc. O nogę otarł mi się miauczący, beapanski kot. Jakiś parszywy pies grzebał wśród odpadków przy ścieku. Siedziałem tak całą noc, obserwując korowód ludzi, którzy brali od elu herbatę.

Najpierw głośnych i wesołych kinomanów, po nich młodych i beztroskich studentów z pobliskiej uczelni, potem prostytutki z klientami, dwóch policjantów na obchodzie, wreszcie niezwykle pięknych transwestytów. Patrzyli na mnie wyzywająco. Im dalej w noc, tym dziwniejsze stawało się towarzystwo. Na koniec zjawili się sprzątacze. Wstałem i odszedłem.

Rano przy śniadaniu oznajmiłem ojcu Aruny, że znalazłem miejsce u znajomych, mieszkających bliżej szkoły, w której uczyłem. Na dziewczynę nie spojrzałem. Spakowałem rzeczy i przed wieczorem wyprowadziłem się do wynajętego, ciasnego, obskurnego pokoiku w chińskiej dzielnicy. Tydzień później - właśnie prałem w zlewie skarpetki - odwiedził mnie jej brat.

- Aruna nie żyje - powiedział.

Na ułamek sekundy ujrzałem ją w półmroku, na wpół rozebraną, z roznamiętnionymi oczami, zaciśniętymi w szparki.

- Co takiego? - spytałem.

- Aruna nie żyje - powtórzył nieprzytomnie.

Zobaczyłem jej wyprężoną szyję i zadartą głowę, kiedy wyginała się na mnie w lukniczym potężna grecka rzeźba barwy ziemi.

- Zabiła się - usłyszałem jego niedowierzający schrypły szept. - Weszła do morza i szła, szła, aż utonąła.

Znowu ujrzałem jej silną, niknącą w oddali sylwetkę, ale nic nie poczułem. Tragedia. Klitajmestra nie żyje. Nigdy już nie zatańczy w półmroku.

Poszedłem na pogrzeb. Spojrzałem prosto w zbolale oczy ojca Aruny i z uprzejmością oszusta i mordercy zmierzyłem się ze smutkiem jej niczego nie pojmującej matki, lecz gdy zerknąłem do trumny, ponownie ujrzałem Arunę w swoim łóżku - patrzyła na mnie ciemnymi, smutnymi oczami, udami obejmując poduszkę. Tym oczom nie mógłbym skłamać. "Śpij, Klitajmestro. Śpij. Bo pamiętam cię lepiej w półmroku" - wymamrotałem w jej tragiczną twarz i usiadłem zamarły przed domem. Moje dziecko nie żyło. Nikt po nim nie za płakał. Po powrocie do swego pokoiku odmówiłem Arunie miejsca w pamięci. Rozpłynęła się w powietrzu. Żegnaj, Klitajmestro. Przecież wiesz, że nigdy cię nie kochałem.

Tylko przypadkiem, za pośrednictwem kolegi znajomego, poznałem nową miłość. Mówią, że co ci pisane, to cię nie minie. Tym razem wpadłem w jedwabiste objęcia nieczulej kochanki, której na imię madżong. Robi ze mną cuda. Kląska po nętnie. Jest sekretną mową. Cieleśnym nakazem. Nigdy tego nie pojmiesz, bo ciebie nie wabią jej czerwone winylowe usta. Wystarczy jedno stuknięcie i wszystko znika: ja, rodzina, wielkie plany, umówione spotkania, niedokończony posiłek, chora żona, szczekający pies, nieznośni sąsiedzi. Ściskam w rękę jej chłodne kostki i jestem królem, lecz co ważniejsze, zapominam o zmarłej siostrze. I trwam u boku nowej miłości aż do rana.

Zdradzę ci prawdziwą tajemnicę nieuleczalnych nałogowych graczy. My nie chcemy wygrać.

Dopóki przegrywam, mam powód, żeby grać dalej. Wielka wygrana byłaby czymś nieznośnym - musiałbym odejść od stołu z pieniędzmi, które najchętniej przetrząciłbym na tę jedwabistą miłość.

Tak, ożeniłem się z Rani, by ubrać moją kochankę. I przez lata pozostałem wierny jej zaborczym, horrendalnym żądaniom, skazując swoich najbliższych na nędzę. Byłem okropnym ojcem. Ojcem bez głowy.

Wiedziałem, że wszystkie drogie rzeczy w pokoju Nasha są kradzione i że Rani nastawiła Bellę przeciwko mojej rodzinie. Gorzej jest mi przelknąć to, że ta suka katowała biedną Dimple, a ja, nie mogąc znieść poczucia winy, i tak w końcu zawsze wracałem do kochanki. Była jak opium.

Dawała zapomnienie. A teraz śmierć jest blisko. Odwagi, nie boję się jej. Po tamtej stronie czeka na mnie ojciec.

Zaraz po ślubie mój nieustający żal po stracie Mohini drażnił żonę. "Na miłość boską! - wykrzykiwała. - Niektórym wojna zabrała całe rodziny! I nie padło im na mózg jak tobie. To tylko jedna zabita dziewczyna, Lakszmana! Życie toczy się dalej". Niestety, z upływem lat Rani stała się jeszcze bardziej zazdrosna i zła o to, że moja zmarła siostra jest dla mnie bardziej rzeczywista od niej. "Jak śmiesz tak mnie obrażać?" - wrzeszczała. Nikomu o tym nie mówiłem, ale trzeba ci wiedzieć, że widziałem, co Japończycy robią z kobietami.

To wspomnienie prześladowuje mnie w snach.

PoLOWAŁEM wtedy w lesie z przyjacielem, tubylcem Udongiem. Japońscy żołnierze pasują do dżungli jak zapaśnicy sumo do baletu. Za bardzo rzucają się w oczy. Słychać ich z odległości wielu mil. Którejś niedzieli natknęliśmy się na nich na polanie. Przycupnęliśmy w zaroślach i patrzyliśmy, co robią z Chinką. Może była łączniczką komunistów i szła z meldunkiem? Ależ oni się nad nią pastwili! Za nic ci tego nie opiszę.

Na koniec przestała przypominać ludzką istotę. Umazana własnymi odchodami i zalana krwią, dyszała na ziemi, kiedy jeden z nich poderżnął jej gardło. Drugi zaś odciął kobiecie pierś i wepchnął w usta, żeby wyglądało, iż ją zjada. Oprawców tak to rozbawiło, że zaczęli rechotać, zapinając spryskane krwią spodnie i ruszając na morderczy szlak.

Gdy szorstkie, gardłowe głosy Japończyków umilkły w od dali, wyszliśmy z kryjówek i skamienieliśmy, nie wierząc własnym oczom. Obnażona kobieta leżała z rozrzuconymi nogami, a z jej wykrzywionych ust sterczał kawał zakrwawionego mięsa. Panowała śmiertelna cisza, jakby brutalna dżungla, która codziennie zjadała samą siebie, oniemiała na widok tej przerażającej jatki.

Widzę tę Chinkę do dziś. Niemą nienawiść na jej twarzy.

Zostawiliśmy ją tam na ostrzeżenie, na urągowisko komunistom. Nie chcąc się mieszać w ich wojnę z Japończykami, w obawie przed represjami, zabraliśmy z sobą tylko wspomnienie jej niemej nienawiści. W moich koszmarach sennych stoimy nie nad trupem komunistycznej łączniczki, lecz nad ciałem Mohini, która z rozrzuconymi nogami i krwawym pucem w ustach patrzy na mnie z niemą nienawiścią.

Wyrzuciłem Dimple niepowetowaną krzywdę, ale może mi wybaczy, bo moja głowa toczy się od dawna. Patrzę na nią i dostrzegam w jej oczach cienie smutku. Przeczuwałem, że nie znajdzie szczęścia u boku Lukea. Wiedziałem, że on ją złamie. Dla takich mężczyzn kobiety są zabawkami, zdobyczami. Byłoby lepiej, gdyby poślubił Bellę. Bella jest twarda. Wie, co robić z takimi jak on.

Powiniennem zapytać go o przyczynę smutku w oczach mojej córki. Powiniennem mu się postawić. To moje prawo, ojcowski obowiązek, ale mój zięć to szczwana sztuka. Płynie w nim chińska krew. Skoro Chińczycy od wieków przekupują własnych bogów lepkimi słodkościami, to co za fatyga przekupić bezgłowego teścia? Tak więc przekupił mnie wielkim domem, w którym mieszkam. I zalał mi usta słodkim cementem, z którego go zbudował.

Rozmarzona, widmowa Aruna siedzi w nocnej koszuli w nogach mojego łóżka, oczy ma otwarte, ale puste, usta zamknięte. Siedzi i patrzy na mnie. Naturalnie jedynie w mojej wyobraźni, choć nie mogę się pozbyć wrażenia, że stale tam przebywa.

CZEŚĆ PIĄTA

Serce węża .

Dimple

Adres dał mi wuj Sevenese. Z początku nie chciał, lecz nie wytrzymał błagalnego spojrzenia moich podkrążonych oczu. Pojechałam do Ramesza, drugiego syna zaklinacza węży. Wyuczył się niebezpiecznego rzemiosła swego ojca, medytował na cmentarzach i miał patent na odpędzanie niepożądanych duchów oraz handel urokami i zaklęciami. Za dnia chodził w stroju szpitalnego posługacza, był bezdzietny i drugi raz żonaty, gdyż jego pierwsza żona podobno zwariowała.

Pojechałam do Sepangu. Bardzo biednego miasteczka. Po obu stronach ulicy ciągnęły się małe drewniane domki. Grupa podrostków patrzyła na moje granatowe BMW z podziwem i zazdrością. Dom Ramesza znalazłam bez trudu. W ogrodzie stał duży posąg Mariammana, boga piwa i cygar. Na moje wołanie do drzwi podeszła wychudzona, wysuszona jak śliwka, ale młoda kobieta ze sterczącymi łopatkami. Twarz miała płaską jak nietoperz, ale znacznie mniej miłą dla oka. Moja osoba i sukienka zrobiły na niej wrażenie.

- Pani do niego? - spytała.

- Tak - odparłam.

Wpuściła mnie do środka. Mały drewniany dom był skąpo i lichy umeblowany. Gdyby nie wirujący wentylator pod sufitem, można by pomyśleć, że nikt tu nie mieszka.

- Proszę usiąść - powiedziała, wskazując krzesło przy drzwiach. - Sprowadzę męża.

Podziękowałam jej uśmiechem, a ona zniknęła za zasłoną z koralików. Po kilku minutach zasłona rozchyliła się i wszedł mężczyzna w białej koszulce i spodniach khaki. Miał przerażająco jasne białka oczu i twarz jak pysk polującej pantery - bardzo czarnej, wygłodniałej i wydzielającej niebezpieczną samczą woń. Mały pokój w jednej chwili skurczył się do klaustrofobicznych rozmiarów. Ramesz uśmiechnął się lekko i złożył dłonie w starodawnym hinduskim geście uprzejmego powitania.

- Namaste - rzekł bardzo kulturalnym głosem.

Tak mnie to wszystko zaskoczyło, że zerwałam się, by go powitać. Gestem zaprosił, bym usiadła, i kocim krokiem podszedł do stojącego najdalej krzesła.

- Czym mogę służyć? - spytał uprzejmie, wpatrując się we mnie nieruchomymi oczami.

Czułam się nieswojo, jakby mnie przejrzał. Jakby od razu wiedział, po co przyjechałam.

- Jestem siostrzenicą Sevenesea, z którym bawił się pan za młodu - wyjaśniłam szybko.

Na ułamek sekundy jego gibkie ciało zeszywniało i zmrużył oczy jak po nieoczekiwanym ciosie. A może mi się tylko zdawało? Kto wie?

- Tak, pamiętam pani wujka. Bawił się ze mną... i z moim bratem.

Nie, wcale mi się nie zdawało.

Chyba żywił jakąś urazę do wuja Sevenesea. Nie powinnam była tu przyjeżdżać. Nie powinnam była mówić mu o tym pokrewieństwie.

Raptem uśmiechnął się szeroko. Miał zepsute zęby. Ten defekt podziałał uspokajająco.

- Mój mąż ma inną - wyrzuciłam z siebie. - Pomoże mi pan, żeby do mnie wrócił?

Skinął głową. Znow skojarzył mi się z polującą panterą.

- Proszę za mną - powiedział, zrywając się z krzesła.

Za zasłoną z koralików skręcił w prawo, odsunął zieloną zasłonę i wszedł do pokoiku bez okien, wypełnionego duszącą wonią kadzidel i kamfory. Z podłogi wyrastał rozłożysty ołtarz z dużą figurą boga czy półboga, którego nie rozpoznałam. Wokół niego paliły się małe lampki olejne, a u stóp spoczywały dary: tace z kwiatami, owoce, pieczony kurczak i butelka piwa. Bóstwo miało szkaradną twarz, wielki fioletowy język, wytrzeszczone oczy i usta rozciągnięte w straszliwym, gniewnym ryku. Z rozdziawionej paszczy wyciekała czerwona farba. Na podłodze przy ołtarzu leżał zakrzywiony nóż i ludzka czaszka. Oba te przedmioty połyskiwały groźnie w migotliwym świetle lampek. Byłam ciekawa, czy to ta sama czaszka, której używał Radza.

Ramesz gestem zachęcił, bym za jego przykładem usiadła na podłodze. Po turecku siedziało mu się widać znacznie wygodniej niż na krześle.

- Ma jasną skórę, jego kochanka ma bardzo jasną skórę - powiedział, zapalił nowe kadzidelko i wetknął je w mięksiz banana. - Czy od nosa do ust biegną mu dwie głębokie pionowe bruzdy?

- Tak - przyznałam skwapliwie, pragnąc wierzyć w jego nadzwyczajne moce, którymi włada swobodnie, bez sztuczek i efekciarstwa.

Do miski nalał mleka.

- Pani mąż jest inny, niż pani sądzi - oznajmił, patrząc mi prosto w oczy. - Skrywa wiele tajemnic. Z twarzy jest człowiekiem, lecz ma serce węża. Niech pani go zostawi. Jest silny, może panią zniszczyć.

- Ale ja go kocham. To wszystko przez nią. To ona go zmieniła - zapewniłam żarliwie. - Zanim się zjawiała, wybudował mi altanę. Przysyłał mi żonkile, wiedząc tak jak ja, że w języku kwiatów "czei" znaczy "na zawsze twój".

- Myli się pani co do niego, mimo to spełnię pani życzenie - rzekł, nie spuszczać ze mnie oczu.

Nagle serce ścisnął mi strach. Strach, że jeśli nie posłucham pantery, czeka mnie zguba.

Gdyby Ramesz dłużej namawiał, może dałabym się przekonać, a skapitulował tak szybko, bo stracił złudzenia. Utrata złudzeń zaś wynika z wyższego wtajemniczenia.

- Wpuszczę do tego mleka jego chorobę i bóg je wypije - powiedział.

- Dlaczego twierdzi pan, że mąż ma serce węża?

Uśmiechnął się mądrze. - Bo znam węże, a on do nich należy.

Wstrząsnął mną zimny dreszcz. Zostanę z Lukiem! - postanowiłam. Zmieni się, gdy ona odejdzie. Matka Aleksandra Wielkiego też spała z węzami. I nic jej się nie stało. Jednak z nim zostanę.

- Niech pan sprawi, żeby odeszła - szepnęłam drżącym głosem.

- Chce jej pani zaszkodzić? - spytał cicho.

- Nie - zaprzeczyłam szybko. - Niech tylko odejdzie.

I wtedy pomyślałam, że jeśli to nastąpi, Lukę będzie za nią tęsknił. A tego nie chciałam.

- Zaraz! - zawołałam, widząc w ciemnościach tylko białka jego oczu. - Niech on przestanie ją kochać. Niech zacznie się jej bać.

Skinął głową.

- Dobrze. Pójdę do sklepu po kilka składników - powiedział, podnosząc się szybko, z wdziękiem pantery, i spojrzał na mnie z góry. - Wróć za dwadzieścia minut. Proszę tu za czekać albo w kuchni napić się z moją żoną herbaty.

Ledwie za jego ciemną postacią opadła zasłona w drzwiach, pokój nabrał groźnego, złowieszczonego wyglądu. Lampki się rozmigotały. Cienie w kątach ożyły. Czaszka wyszczerzyła się w chytrym uśmiechu. Wstałam i wypadłam przez zasłonę.

Ciemny i chłodny korytarz doprowadził mnie do jasnej, lśniącej czystością kuchni. Wyskrobująca orzech kokosowy kobieta z twarzą nietoperza podniosła wzrok.

- Pani mąż wyszedł do sklepu po składniki - wyjaśniłam. - Zapropozował mi, bym napiła się z panią herbaty.

Wycierając ręce w sarong, odsłoniła w uśmiechu zęby i dziąsła czerwone od betelu. Jej mała twarz zrobiła się całkiem przyjazna. Oparłam się o framugę, patrząc, jak zabiera się do parzenia herbaty. Postawiła na kuchence gazowej rondel z wodą.

- W dzieciństwie pani mąż bawił się z moim wujkiem - powiedziałam, żeby nawiązać rozmowę.

Okręciła się na pięcie, odrywając się od sypania herbaty do dużego emaliowanego dzbanka.

W jej oczach dostrzegłam pierwszy błysk ożywienia i ciekawości.

- Tak? - spytała. - A gdzie?
- W Kuantanie. Razem dorastali.

Usiadła.

- Mój mąż dorastał w Kuantanie? - zdziwiła się, jakby nie mogła uwierzyć w moje słowa, i raptem po jej płaskiej twarzy pociekły łzy.

Patrzyłam na nią, zaskoczona.

- Och, dłużej tego nie zniosę. Nie miałam pojęcia, że dorastał w Kuantanie. Nic mi nie mówi, żyję w ciągłym strachu. Wiem o nim tylko tyle, że jego pierwsza żona się zabiła. Wypiła środek na chwasty, który spalił jej kiszkę. Konała pięć dni. Nie wiem, co się ze mną dzieje. Tak się go boję i... pani spojrz.

Z płaczem podbiegła do szuflady, wyszarpnęła z niej czarną torebkę, otworzyła ją, odwróciła dnem do góry i mocno po trząsnęła. Ze środka wypadły monety, kilka dokumentów, w tym jej dowód osobisty, oraz dwie kwadratowe niebieskie paczuski z tabletkami.

Podniosła je i rzuciła w moją stronę.

- To trucizna na szczury! - oznajmiła z dzikim błyskiem w oczach. - Nie rozstaję się z nią.

Wiem, że kiedyś ją wypiję. Nie wiem tylko, kiedy.

Oszupiałam. Gdy otwierała drzwi, wydała mi się szarą myszką, całkiem niepodobną do wariatki, którą miałam przed sobą. Nerwowo oblizałam usta. Jej rozpacz była niepokojąca. Jej mąż również mnie niepokoił, ale chciałam zachować Lukea. Byłam gotowa na wszystko, byleby go odzyskać. Dlatego pogodziłam się z tym, że muszę wytrzymać jeszcze trochę w towarzystwie tej dziwnie niezrównoważonej kobiety. Sprzed domu doszedł jakiś dźwięk. Słyszając to, żona Ramesza z zadziwiającą prędkością wepchnęła niebieskie pakieciki, monety i papiery do zniszczonej torebki.

Jednym płynnym ruchem wytarła oczy, zaala herbaciane liście wrzątkiem i przykryła dzbanek pokrywką. Zanim do kuchni dotarł odgłos kroków jej męża, zdążyła nalać do dwóch kubków skondensowanego mleka i je posłodzić. A potem bez jednego słowa powróciła do wyskrobywania miąższu z połówki kokosa na duży plastikowy półmisek.

Kiedy w drzwiach stanął Ramesz, ukradkiem zerknęła na niego z lękiem i znów zajęła się skrobaniem. Zastanawiałam się, co on jej zrobił, że aż tak się go boi. Gdyby skrzywdził mnie, w co wątpiałam, byłam gotowa odpowiedzieć za swoje postęпки.

- Proszę wypić herbatę – powiedział. - Sam się pomodłę. Tak będzie lepiej.

Odwrócił się i wyszedł. Jego żona wstała z podłogi, na której skrobała kokos, nalała herbaty do kubków i podała mi jeden, nie patrząc mi w oczy.

- Może ją pani wypić w pokoju - zaproponowała uprzejmie spokojnym, wyważonym głosem bez cienia rozpacz. Znów zmieniła się w myszowatego nietoperza. Usiadłam w skąpo

umeblowanym pokoju i wypiliśmy herbatę. Gorący napój uspokoił mnie i ukoił skołatane nerwy. Ale w głębi ducha czułam lęk przed złem, które miałam wyrządzić. Wkrótce Ramesz rozsunął zasłonę z koralików i stanął przede mną z paczką obwiązaną czerwonym materiałem. Pośpiesznie odstawiłam kubek na podłogę i z należyтым szacunkiem wzięłam do rąk niezgrabny pakunek.

- Proszę trzymać tę sól w szklanym naczyniu, zawiniętą w ten materiał, i rozsypywać pod jego łóżkiem aż do skutku. Ilekroć mąż wyjdzie wieczorem z domu, weźmie pani garstkę soli i po powtórzeniu z całą mocą mantry, której panią nauczę, z równym zdecydowaniem nakaze mu pani wrócić.

Chłodną suchą ręką ujął moją dłoń, obrócił spodem do góry i przez kilka minut oglądał. A gdy ją wypuścił, nauczył mnie mantry.

Zapłaciłam mu, jak dla mnie, śmiesznie mało. Chciałam zapłacić więcej, lecz odmówił.

- Widzi pani, jak mieszkam. Nic więcej mi nie potrzeba - rzekł.

Wzięłam sól, szykując się do wyjścia. Kiedy wkładałam buty, podniosłam głowę i napotkałam jego skupiony wzrok. Oczy miał ciemne, niezgłębione, a twarz bez wyrazu. Nic z niej nie mogłam wyczytać. Przypominał posąg z czarnego marmuru.

- Musi pani być silna i ostrożna, bo inaczej on zwycięży - ostrzegł.

Skinęłam głową i ściskając pakunek, wyszłam pośpiesznie. Ta wizyta kosztowała mnie mnóstwo nerwów. Byłam tak wystraszona, że w całym ciele czułam pulsowanie krwi. Rozwahałam, czy nie zadzwonić do wuja i o wszystkim mu powiedzieć, ale się rozmyśliłam.

Wstąpiłam do sklepu, kupiłam kiść bananów, wyrzuciłam je na pobocze i do opróżnionej brązowej papierowej torby schowałam zawiniątko w czerwonym materiale. Nie chciałam żeby zobaczyła je Amu. Od razu nabrałaby podejrzeń. Wie wszystko o sposobach zemsty, których imają się wzgardzeni kochankowie. A poza tym było mi wstyd. Co by powiedział papa, gdyby zobaczył, że rozsypuję pod łóżkiem Lukea magiczną sól? Co powiedziałyby babcia? Wolałam o tym nie myśleć.

Patrzyłam, jak Lukę szykuje się do wyjścia. W szaro-białej jedwabnej koszuli wyglądał czarująco. Uśmiechnął się do mnie i czule pocałował w głowę.

- Nie wrócę późno - powiedział.

Wiem o tym, człowieku o wężowym sercu, pomyślałam. Ja również miałam swoją tajemnicę. Dającą mi siłę w obliczu jego śliskiej zdrady. Mógł patrzeć mi w twarz i kłamać prosto w oczy? To ja też.

- Mam na ciebie poczekać? - spytałam z zalotnym uśmiechem.

Nie widział go u mnie od dawna, więc go zaskoczyłam. Skwapliwie skinął głową.

- Dobrze - odparł.

Być może to wtedy go znienawidziłam. Nie wiem. Ale choć na ostrzu mojego topora jest zaschnięta krew, wciąż nie mogę znieść myśli o życiu bez niego. Kiedy szum samochodu Luke ucichł na końcu podjazdu, rozsierdzona wbiegłam na górę, rozsypałam sól pod jego łóżkiem i wyrzuciłam z ust zwinięte mantry. A potem wezwałam go do domu. Pół godziny później zrobiłam to jeszcze raz. Po twarzy po ciekły mi gniewne łzy. Poleciłam mu wrócić.

Po upływie trzydziestu minut zrobiłam to ponownie. Tym razem schrypląm, nienawistnym głosem. Rozkazałam, żeby powrócił.

- Wracaj natychmiast! - wysyczałam jadowicie. Nadszedł w niecałe dwadzieścia minut potem. Zdumiona, usłyszałam szum jego mercedesa, Ramesz naprawdę znał swój fach. Tę jedną bitwę wygram, pomyślałam. Chciało mi się śmiać. We frontowych drzwiach szczęknął klucz.

- Wcześniej wróciłeś - powiedziałam niewinnym tonem.

Na chwilę znieruchomiał pośrodku holu, jakby się zmieszał.

Spojrzał na mnie dziwnie.

- Co się stało? - spytałam, lekko zaniepokojona. Wcale nie pragnęłam, żeby się zagubił. Miał po prostu wrócić do żony i kochać ją jak przedtem. Wpatrzyliśmy się w siebie.

- Przyszło mi na myśl, że zachorowałaś - odparł dziwnym głosem. - Że coś złego stało się w domu. Nagle poczułem lęk i niepokój. Nic ci nie jest?

- Nic - zapewniłam bez przekonania, wstałam i podeszłam do niego, żeby go przytulić. Był bardzo przybity, aż krajało się serce. A więc jednak nie nienawidziłam go. Był moim życiem.

- Och, Luke, wszystko w porządku. Nic się nie stało. Chodźmy do łóżka.

- Miałem wrażenie, że pod koszulą coś wpełza mi na plecy - mruknął do siebie.

Poprowadziłam go, bezwolnego i zagubionego, do schodów. W łóżku nie miał ochoty się kochać, tylko przyłgnął do mnie jak dziecko wystraszone przez nocną zmorę. I zatrwożył. Złęklam się mocy soli pod łóżkiem. Minę miał zdezorientowaną i wciąż od nowa powtarzał: "Miałem wrażenie, że pod koszulą coś wpełza mi na plecy". Luke bez błyszczących oczu był przerażonym żywym trupem. Nie mogłam zmienić jego błyskotliwego umysłu w galaretę! Przez wiele godzin leżałam rozbudzona, wsłuchując się w jego oddech. Raz krzyknął, ciężko łapiąc powietrze. Kiedy go obudziłam, przez jedną koszmarną chwilę patrzył na mnie tak wystraszonego wzrokiem, jakby mnie nie rozpoznał.

- Nic, nic - uspokoiłam go w łagodnym mroku, głaszcząc po głowie, dopóki nie zaczął oddychać głęboko i równo i w końcu zasnął mi na piersi.

Czemu moje niemądre serce łaknęło jego gorzkich pieścot?

Nazajutrz zmiotłam sól. Zebrałam kryształki co do jednego i spuściłam w toalecie. Bałam się znów zobaczyć Lukea w tak przerażającym stanie jak zeszłej nocy. Czerwony materiał

wyrzuciłam do śmieci, a Ramesza zepchnęłam w najdalszy zakamarek świadomości, przysięgając sobie, że koniec z urokami. Będę kochać Lukea, dopóki się nie odkocham i odzyskam wolność.

Tylko to mi pozostało.

Na pocieszenie ułożyłam dużą aranżację kwiatową. Zajmowała jedną trzecią stołu w jadalni.

Skomponowana z gałązek cisu, fioletowych hiacyntów i pąków białych róż przypominała pogrzebową wiązanekę, ale Lukę zawołał na jej widok: "Och, Dimple, jaka piękna! Ty naprawdę masz talent do układania kwiatów". Nie miał pojęcia, że pąki białych róż oznaczają serce nieznaną miłości, cis smutek, a fioletowe hiacynty mój żal. Lecz czy po takim lwie można oczekiwać, że zrozumie delikatną mowę kwiatów? Nabrałam pewności, że to jego sekretarka wywiedziała się o znaczenie żonkili, które mi przysyłał, i czerwonych tulipanów, które mi przynosił.

Nadal widywał się z kochanką. Czułam to na skórze. Tak wyraźnie jak szorstki materiał.

Pojawiała się w moich snach, machając mi ręką z daleka. Czasem śmiała się ze mnie i z nie dowierzaniem kręciła głową. "Nie jest twój – mówiła. - Jest mój". Budziłam się i niemal z fascynacją przyglądałam się mężowi. Nie podejrzewał, że ja wiem, więc kochał mnie czule, pieszcząc moją podrażnioną skórę jedwabnym dotykiem. Kupował mi drogie kwiaty o aksamitnych płatkach. A ja przyjmowałam wszystko z uśmiechem, by się nie zorientował, że znam twarz jego dziwki.

Teraz liczy się Niśa.

Amu naprawdę ją kocha. Popołudniami przysypiają razem w hamaku. Czasem wychodzę przed dom, popatrzeć na dwie najdroższe mi osoby na świecie, które śpią pod drzewem. Po krzepia mnie widok potu na ich górnych wargach, równy oddech, siateczka cieniutkich żyłek na powiekach.

Amu budzi we mnie dziwne uczucia. Gdy ją widzę w świątyni w towarzystwie innych staruszek, wygląda krucho i żałośnie, a jej życie wydaje się zmarnowane, skończone. Lecz kiedy patrzę, jak tuli w ramionach Niśę, to myślę, że jest ono bogate i piękne.

Bella zapragnęła kupić dom, obiecałam dać jej na zaliczkę. Lukę na pewno się nie sprzeciwi. Spróbowałby. Na urodziny podarował mi wielki brylant. Domyślałam się, że przy coraz lepszej koniunkturze gospodarczej jego interesy idą świetnie. To dziwne, ale w ogóle nie dostrzega mojego bólu i smutku. Czy można być aż tak ślepym?

Odwiedziła mnie matka, chciała pieniędzy. Papa nie czuł się dobrze i nie pracował.

Potrzebowała dwudziestu tysięcy ringgitów. "Oczywiście, mamó". Ma bardzo różowy i bardzo ostry język, który obraca się w jej ustach jak energiczna obca istota, mająca własne sprawy

do omówienia. Nie mogłam oderwać od niego oczu. Przypomniałam sobie, że kiedyś zalany wuj Sevenese porównał mamę do wyjców, które widział w Afryce. Czarnych małp z małymi mózgami i bardzo różowymi językami. "Gdybyś zobaczyła, jak się z sobą parzą, byłabyś zdumiona, jak bardzo są podobne do twojej kochanej mamuski, kiedy gada". Naturalnie powiedział mi to mocno podcięty.

Nie mniej...

Kilka dni później matka wróciła. Tym razem potrzebowała pięciu tysięcy dla Nasha. Mój brat miał kłopoty z lichwiarzami. Dałam dziesięć. Wiedziałam, że Luke jej nie znosi, czasem oponował przeciw wybieraniu dużych sum z konta, ale... Pal go sześć!

Dwa tygodnie później mama znów trafiła do mojego salonu. Nash po raz kolejny nawarzył piwa. W piątek wieczorem "pożyczył" z sejfu w swoim biurze czterdzieści tysięcy ringgitów, licząc, że przez weekend podwoi tę sumę w grze w rosyjską ruletkę w kasynie w Genting Highlands.

Oczywiście wszystko przegrał. Jego szef zawiadomił policję, a ta zabrała Nasha. Kiedy mama odwiedziła mojego brata w areszcie, miał rozciętą wargę, ręce poprzypalane papierosami, a w bezczelnych oczach zwierzęcy strach.

- To robota glin - wyszeptał rozpaczliwie.

Wpił się w jej rękę, błagając, żeby zwróciła pieniądze pracodawcom, to wycofają oskarżenia. Ani słowa więcej, mamusiu. Poszłam z nią do banku i wzięłam gotówkę. Coraz bardziej rozsmakowuję się w dawaniu jej pieniędzy Lukea. Papa podziękował mi przez telefon, ale był załamany. Wiem, co czuł.

A teraz opowiem ci pewną historię, dziwną, lecz prawdziwą.

Zdecyduj, czy jej bohaterka postąpiła właściwie, bo, moim zdaniem, popełniła karygodny błąd i nie ma dla niej od wrotu.

Obserwujący ją bez uśmiechu w tłumie gości - ach, jakich pięknych, obwieszonych klejnotami i złotem - wytworny mężczyzna oczywiście nie słyszał, o czym rozmawia ze szczupłym kelnerem, ale dostrzegał najdrobniejsze niuanse mowy ich zuchwale młodych ciał. Flirtowali. Bacznie przyglądał się jej oczom. Zawsze mógł wyczytać z nich wszystkie myśli. Wzniesione w górę, błyszczały jakimś dziwnym uczuciem. Czy widział ją kiedyś taką? Hm. Może. Wymagało to sięgnięcia głębiej do banku pamięci. Przeszłość wydawała się tak odległa. A on nade wszystko pragnął zachować bezstronność.

A to co? Czerwony paznokiec sunie po plisie na koszuli kelnera. Na oczach tylu ludzi!

Co za wstyd! Pomyślał o jej delikatnej szyi, idealnie mieszczącej się w jego zaciśniętych dłoniach.

Kiedyś ją nimi zmierzył. Była wprost cudowna. Ladacznica! W wyobraźni ujrzał jej gładkie, jedwabiste nogi oplatające nagi tors kelnera. I to tak wyraźnie, że zaparło mu dech.

Raptem zapragnął zobaczyć to na własne oczy. Usłyszeć krótkie zwierzęce odgłosy, które wydawała w łóżku, obejrzeć wszystko z dystansu. Jeżeli zaskoczyły go własne perwersyjne myśli, to pocieszył się, że przecież chodzi o eksperyment. Gdyby mu się nie spodobał, nie byłby winien perwersji. Zobaczył, jak kobieta zerka pięknymi oczami na kelnera i posyła mu pół uśmiech, który bardziej przypomina prowokacyjne odęcie ust. Rozpoznał je natychmiast. Kiedyś rozpałało mu krew, a w nocy lędzwie z żądy, by ją posiąść. Poprawił się niespokojnie na krześle.

Odrzuciła do tyłu długie kruczoczarne włosy i odeszła, kołysząc biodrami. Młody kelner odprowadził ją wzrokiem.

Wytworny mężczyzna wstał i ruszył ku niemu. Skoro wybrała sobie kelnera na partnera, musiał go zatrudnić. Podchodząc do niego, strzelił palcami. Nie było to grzeczne, więc choć kelner obrócił się z zawodowo uprzejmą miną, w oczach miał głęboką urazę. Był nawet całkiem przystojny, ale nieco gamoniowaty. Mężczyzna uśmiechnął się i przywołał go zgiętym palcem.

W zeszywniałych ramionach młodzieńca dostrzegł złość i niechęć. Kelner poruszał się jak panienka. Dobrze ubrany mężczyzna odprężył się.

- Chcesz się przespać z moją żoną? - spytał uprzejmym tonem. W zimnych oczach miał szydery uśmiech. Kelner zeszywniał. Szybko przebiegł oczami po sali.

- Pan mnie chyba z kimś pomylił - odparł, świetnie odgrywając pełne godności oburzenie.

- Nie mam pojęcia, jak wygląda pana żona. Płacą mi tylko za podawanie napojów.

Tani drań! Mężczyzna był zadowolony.

- To ta z długimi czarnymi włosami - rzekł, z kamienną twarzą zdejmując z guzika przy białej marynarce oburzonego kelnera długi czarny włos.

Młodzieniec przełknął ślinę.

- Proszę pana, nie chcę kłopotów - powiedział.

- Spokojnie. Ja też ich nie szukam. Chcę tylko popatrzeć.

- Słucham?

Zdumiony kelner zrobił wielkie oczy.

- Chcę popatrzeć na ciebie i moją żonę.

- Pan oszalał - wyjąkał, cofając się o krok. Z pewnością jeszcze nikt nie proponował mu takiego zboreństwa.

- Jeżeli pójdziesz z moją żoną do którejś sypialni w tym wielkim domu i zostawisz drzwi łazienki między pokojami otwarte, dostaniesz pięćset ringgitów.

- Jeżeli mnie przyłapią, stracę pracę.

- Znajdziesz inną- podsunął beztrzesko poważny mężczyzna, wędrując oczami po sali, jakby stracił zainteresowanie rozmową.

Gdy powrócił spojrzeniem do obiektu zalotów żony, kelner toczył przegraną walkę z chciwością - przyczyną zguby każdego.

- Jak pan mi zapłaci? - spytał.

- Od razu, gotówką.

- Jak to ma wyglądać? - spytał nerwowo kelner. Złapał haczyk. Wytorny mężczyzna, który niczego nie za planował, zaczął szybko myśleć. W korytarzu na górze pokój za niebieskimi drzwiami połączony był z sąsiednią sypialnią dla gości. Mężczyzna ruszył do ogrodu, zostawiając tłum pięknych i bogatych. Kelner potulnie podążył za nim. Powietrze na dworze pachniało balsamicznie.

- Zaprowadzisz ją do sypialni z niebieskimi drzwiami w korytarzu na piętrze i zostawisz przynajmniej jedno zapalone światło, a w łazience dzielonej z drugą sypialnią zostawisz uchylone drzwi - poinstruował go bardzo rzeczowo mężczyzna, sięgając do portfela.

Odliczył plik szeleszczących ringgitów prosto z banku i wręczył je kelnerowi. Nawet na myśl mu nie przyszło, że ten może zawieść. Wprawdzie miał twarz pechowca, ale sprawne ciało i bystre oczy. Ona tego dziś właśnie pragnęła.

- A jeżeli odmówi? - spytał nieśmiało kelner.

- To wejdiesz do sypialni obok tej z niebieskimi drzwiami i zwrócisz mi pieniądze.

Mężczyzna spojrział chłodno na lekko podnieconego, nerwowego młodzieńca i uśmiechnął się.

Widząc jego napięty, straszny uśmiech, kelner prędko skinął głową.

- Przy okazji, ona lubi brutalny seks - dodał mężczyzna na odchodnym, idąc odszukać żonę.

Właśnie wyszła z toalety na dole.

- Kochanie, coś mi wypadło - rzekł, trzymając usta tak blisko jej włosów, że czuł świeży zapach szamponu. - Muszę wyjść, ale przyślę po ciebie szofera. Zostań i baw się dobrze. Zobaczymy się w domu.

Cmoknął ją w policzek.

- Och, jaka szkoda - powiedziała bardzo cicho do jego prawego ucha.

- Dobranoc, kochanie, postaraj się dobrze bawić.

Zaprzagnął odejść jak najprędzej. Rozpocząć grę. Zamknął za sobą drzwi frontowe i ruszył wzdłuż ściany domu, zgarbiony pod ciężarem przykrego przygnębienia. Początkowe podniecenie

ulotniło się. Stał przy wykuszowym oknie i spoza krzaków patrzył chwilę na rozbawione złote towarzystwo. Dostrzegł kaskadę włosów żony. Wyglądała przez drzwi balkonowe.

Sparaliżowany tym widokiem, przeklął pokusę, która kazała mu wciągnąć ją w pułapkę, obserwować z ukrycia, wystawić na próbę jej wierność. Wydała mu się raptem taka drobna i samotna. A potem pojawił się przy niej kelner. Ukryty w cień zaczął ją namawiać.

- Odmów, odmów, odmów - szeptał cicho mężczyzna do dużego, ciemnego zielonego żywopłotu.

Kobieta patrzyła przez okno, nie zwracając uwagi na umizgi kelnera. Była niewinna.

Mężczyzna już chciał przerwać eksperyment, ale zobaczył, że żona obraca się w stronę zalotnika i uśmiecha. Nie, musiał to doprowadzić do końca! Obnażyć jej zdradliwe serce.

Tylne drzwi stały otworem. Przeszedł przez ruchliwą kuchnię. Był stosownie ubrany i miał odpowiednio arogancką minę, więc nikt go nie zatrzymał. Szybko przemknął się na górę, by nie spotkać znajomych, minął niebieskie drzwi i wszedł do sypialni obok. Było tu ciemno i chłodno.

Dwa po koje miały wspólną łazienkę. Drzwi do niej były otwarte. Mężczyzna przeszedł przez nią i wkroczył na scenę, na której zamierzał przyłapać swoją piękną żonę. Zapalił lampę przy łóżku. Złote światło zalało ciemnozieloną narzutę. Gospodarze hołdowali prostemu, nieprzeładowanemu stylowi. Wyobraził sobie, jak żona dyszy z odrazy, wołając: "Dość! Zabierz te brudne łapy!".

Och, gdyby tylko pomyślnie przeszła próbę! Po urodzeniu dziecka stała się taka chłodna i zamknięta w sobie. Z każdym rokiem jej oziębłość rosła. Cicho wyszedł z sypialni, by zaczekać w sąsiednim pokoju. Usiadł na wielkim łóżku i przez dwadzieścia minut palił papierosy. Kiedy usłyszał, że w pierwszym pokoju otworzono drzwi do łazienki, poczuł głucho uderzenie w żebra.

Ktoś sprawdził, czy drzwi do niej od jego strony nie są zamknięte na klucz. Ryba wzięła.

Mężczyzna uśmiechnął się cynicznie w ciemności, zgasił papierosa i od czekał chwilę, a upewniwszy się, że żona nie skorzysta z toalety, wszedł do ciemnego pomieszczenia. Przez uchylone drugie drzwi miał widok na oświetlone łóżko.

- Czy ty...

- Szszsz - powiedziała cicho i zaczęła całować kelnera. W głowie mężczyzny zadudniła krew. Nie czuł bólu, tylko dziwne podniecenie, którego nieopisanie nagły przyływ tak bardzo go zaskoczył, że zmusił do spojrzenia na siebie, kelnera i żonę z nowej perspektywy. Kelner zdjął z niej ozdobiony perełkami kaftanik i w złotym świetle rozblęta gładka jak kość słoniowa skóra, którą mężczyzna od tak dawna się za chwycił. Jej małe piersi oparły się o białą marynarkę.

Kelner brutalnie pchnął kobietę na łóżko. Jaki posłuszny. Skorzystał z jego rady. "Ona lubi brutalny seks".

W tej samej chwili mężczyzna ujrzał, że z rozporka kelnera, na którego nie zwracał dotąd uwagi, wyskoczyło coś bardzo żywego. Oto jak działała jego żona na mężczyzn!

- Nie bądź brutalny – wyszeptwała. - Kochaj mnie delikatnie.

Skrytego w mroku mężczyznę zatkało. Kochaj mnie delikatnie? Czy to możliwe? W tym momencie zaczął się koszmar. Zdruzgotany patrzył, jak kobieta, zdumiewająco podobna do jego żony, i opłacony przez niego najemnik przywierają do siebie, a ich splecione ciała poruszają się gładko i rytmicznie niczym dobrze naoliwiona maszyna. Z jej ślicznych ust nie wydobywały się przekleństwa, chrapliwe namiętne okrzyki i zwierzęce pomruki, które wydawała przy nim, ale ciche westchnienia i przeciągłe jęki świadczące o wielkiej rozkoszy. Jej orgazm był wytworny i stonowany. Kobieta zeszywniała i odgięła głowę do tyłu, eksponując białą smukłą szyję jak konająca łabędzica.

- Idź już - poleciła cicho kelnerowi.

Włożył spodnie i bezzwłocznie wyszedł. Ona zaś natychmiast usiadła, przeciągnęła się z wdziękiem zadowolonej kotki, a potem z wyjętym z torebki papierosem spoczęła na po duszce w kręgu złocistego światła i z zamyśloną miną paliła w milczeniu. Podglądający mężczyzna stał jak sparaliżowany. Tyle lat go oszukiwała. Nic nie było prawdziwe. Te zwierzęce, chrapliwe okrzyki: "Mocniej, szybciej, głębiej!" - wszystko udawane!

W panującej ciszy uzmysłowił sobie, że żona od pewnego czasu stopniowo dzieli się jego pieniędzmi ze swoją rodziną. Przekazała je ordynarnemu, nieuczciwemu bratu, wielokrotnie dawała swej pazernej matce, a raz nawet siostrze. Pewnie sama miała jakieś tajne konto. Zatrząśł się z wściekłości. A to jęcza! Przeklęta suka! Zamierzała od niego odejść!

Zapomniał, że sam zaaranżował tę schadzke - wypad na nieznany obszar deprawacji. Jego żona wcale nie lubiła patrzeć, jak jej biała skóra czerwienieje z bólu. Nie znosiła brutalności. Zapomniał, że sam z pomocą wskazówek, napomknien i gestów subtelnie, powoli nauczył ją dyszeć i krzyczeć: "Mocniej, szybciej, głębiej!". Pragnął ją ukarać i już wiedział jak.

Postanowił ją zniszczyć.

Zgasła papierosa. Mężczyźnie ustąpił paraliż nóg. Wszedł do drugiej sypialni i delikatnie, cicho zamknął drzwi. Niebawem usłyszał szum wody, szelest papieru, odgłos odkręconego kranu, a potem trzask zamykanych drzwi.

Przez głowę przemknęła mu myśl, by zobaczyć to jeszcze raz. Upewnić się, że wszystko dobrze widział. Zobaczyć żonę, jak obnażona dyszy pod kelnerem. Jej reakcja była tak niewiarygodna, jak z jakiegoś snu. Nie, to się nie zdarzyło! Boże, była jego żoną od sześciu lat! Jak

to możliwe, że nigdy nie poznał jej od tej strony? Tak, pragnął powtórzyć eksperyment. Zdobyć pewność, że mu się nie przyśniło.

Powiedział to sobie w pełni świadom, że naprawdę znów chce ją zobaczyć z innym. Najbardziej wstrząsnęło nim od krycie, że podglądanie sprawiło mu przyjemność. Zadał sobie cierpienie i doświadczył niezwyklej radości. Mimo braku wiedzy psychologicznej pojął, co się stało. Człowiek nie zna obrony przed bólem. Jedyną namiastką tej obrony jest przemiana udręki w przyjemność. Z takiego ciasta wypieka się masochistów. Oczy rozbłysły mu jak krzemienie.

To przez nią wszedł na tę ciernistą drogę. Nie był gotów zaakceptować w sobie sadysty, a masochiście mówił wprost: "Precz!", Nie chciał podążać tym okropnym szlakiem. W żadnym razie.

Zdecydował, że to koniec eksperymentu. Po prostu zostawi ją i całą jej rodzinę bez środków do życia. Szybko przeszedł przez pokój, zamknął za sobą drzwi, zbiegł po schodach i wypadł przez frontowe drzwi.

Wiesz, co było najtrudniejsze? Siedzieć na łóżku nago, bez obszytego perłami kaftanika, spokojnie palić papierosa, pilnować, by nie drżały mi dłonie, gdy mąż patrzył na mnie z łazienki, i myśleć: "Boże, spraw, aby poczuł do mnie taki wstręt, żeby dać mi rozwód".

Wprawdzie zobaczyłam przez drzwi balkonowe, że Lukę wraca, ale kiedy podszedł do mnie kelner trzęsący się ze zdenerwowania, domyśliłam się wszystkiego. I wcale nie musiałam widzieć, jak Lukę przemyka się po schodach niczym złodziej. Dopuszczałam do siebie kelnera, lecz cała reszta była najlepszym występem aktorskim w moim życiu. Zawsze pragnęłam zostać aktorką. Chyba minęłam się z powołaniem. Oszukałam Lukea. Czulałam, jak pożera mnie, jak pali wzrokiem. Zniszczyłam czystość, którą tak miłował. Brzydzi się tym, co skalane. Na jego oczach zniszczono to, co miał najcenniejszego. Pragnęłam, żeby się mnie pozbył.

Miałam brudne ręce. Nieczyste ciało. Chciałam zmyć z siebie zapach kelnera i nie mogłam.

Zbrukał mnie i zostałam już na zawsze z tym wstydem. Kiedy zeszłam na dół, Lukea już nie było.

Po jakimś czasie przysłał po mnie szofera.

Zastałam go w mojej sypialni. Z głębi piersi wyrwało mi się głośnie westchnienie. Siedział rozparty na łóżku niczym mroczny los, który czekał mnie w czystej białej pościeli. Opanowałam zmieszanie.

- Cześć, kochanie. Jak przyjęcie? Udane? - spytał zmienionym, aksamitnym głosem.
- Bawił się ze mną w jakąś nową grę.
- Owszem. Myślałam, że zastanę cię w łóżku – odparłam cicho.
- Zastałaś.

Zaśmiałam się nerwowo, zdjęłam buty i, stąpając bezgłośnie po zimnej marmurowej posadzce, podeszłam do toaletki. Nie mogłam okazać zakłopotania. Musiałam zachowywać się naturalnie. Odłożyłam torebkę na toaletkę i zapaliłam lampkę przy lustrze. Lukę wpatrzył się w mój błyszczący, wyszywany perełkami kaftanik. Wspominał. W żółtym świetle przypominałam pewnie wysadzaną klejnotami szkatułkę pełną tajemnic. Jego szkatułkę. Zmienił się. Jakby nagle postanowił, że nie pozwoli mi odejść.

- Chodź tu - powiedział głosem brzmiącym jak strzał z bata.

Głosem siedzącego w nim nieznanego. Lukę zniknął. Za drzawą. Przecież widział mnie z tamtym! Czemu się tak zachowywał? Co wstąpiło w tego zimnego, gniewnego obcego? Powinien bez litości wyrzucić mnie z małą Niśą na bruk. Przyglądając mi się mrocznym wzrokiem, chwycił moją drżącą dłoń i podniósł do ust. Nie mając wyboru, spojrzałam na niego bezradnie. Dlaczego chciał ujrzeć mnie, matkę swojej córki, splugawioną, gnącą się pod ciałem innego mężczyzny?

Dlaczego szpiegował z ukrycia? Jego nieruchome oczy mówiły, że musi mnie ukarać w sobie tylko znany sposób. Wiedział już, że nie znoszę brutalności.

- Twoje ręce inaczej pachną, jak brudne - szepnął.

Wyrwałam dłoń, chcąc odejść.

- Zatańcz dla mnie, kochanie - powiedział.

- Jestem dziś trochę zmęczona. Wezmę prysznic i pójde prosto do łóżka - odparłam piskliwie i oblizalam suche wargi.

Zerwał się niczym pantera, chwycił mnie za rękę i rzucił na łóżko. Odbiłam się lekko. Wystraszona, przez kilka sekund wpatrywałam się w niego rozszerzonymi oczami.

- Zbyt zmęczona, żeby zatańczyć? To może zrobimy co innego, pisiu - zamruczał sprośnie.

Z jego zaciśniętych ust wyczytałam, że rzuca się na mnie stworzenie zagadkowe i straszne.

Rozpoznałam je. Był to Ból. Jego mroczny kształt przeniknął me ciało jak dreszcz. Wiedziałam, że zostanie we mnie, złośliwie zżerając od środka, a gdy stanę się pusta i zgorzknieję od złości, uleci i doświadczy najdroższą, najbliższą mi osobę. Niśę. Boże, co ja zrobiłam?

Tej nocy zaznałam niebywałego bólu. Kiedy otworzyłam usta, by zaprotestować, krzyknąć, zakrył je dłonią.

- Nie! - ostrzegł chłodno. - Obudzisz dziecko.

To prawda, co mówią, że gdy nie możesz dłużej wytrzymać tego, co dzieje się z twoim ciałem, twój umysł opuszcza je, za wisa w górze i spoglądając beznamiętnie w dół, myśli o błahostkach, na przykład o kropli potu zbierającej się na czole twego prześladowcy albo o tym, czy

wystawiłaś przed dom pojemniki na śmieci. Po wszystkim Luke opuścił mnie z obrzydzeniem, bo dla niego było to równie przykre jak dla mnie. Miał nową fascynację. Zamiast ze mną spać, wolał patrzeć, jak idę do łóżka z wynajętym gachem. Widzieć moją hańbę - to go podniecało. Dopomogłam mu odkryć to brzydkie zбочzenie. I musiałam zapłacić za skalanie siebie - i jego.

W następnych miesiącach chwycił się wszelkich sposobów, by odwrócić uwagę od tej perwersji. Ale nic nie skutkowało. Jego nowej pasji nie potrafiła osłabić nawet beztrosko uśmiechnięta kochanka, znająca, jak na "złotą dziewczynę" przystało, wszystkie techniki miłosne.

Zaczął mnie śledzić. Może miałam kochanka. Mógłby wtedy powtórzyć numer z kelnerem. Na przyjęciach i w holach hotelowych zaczęli mnie zaczepiać dziwni mężczyźni z lekko pogardliwymi spojrzeniami i domyślnymi uśmiechami. Nie oglądałam się jednak, by napotkać łakomy wzrok Lukea, tylko uśmiechałam się do nich tak zimno, że w lot chwyтали, iż w żadnym wypadku nie dopuszczę ich do siebie.

Pewnego wieczoru weszłam do sypialni i ujrzałam na stole schludnie ułożone akcesoria palacza opium. Pogłodziłam cudowną antyczną fajkę z kości słoniowej z misternie wyrzeźbionymi słoniami, a potem wzięłam do ręki czarkę i zachwycający czarny kaganek w srebrne i miedziane kwiaty. Był to prezent od Lukea na moje dwudzieste trzecie urodziny. Dla Dimple to, co najlepsze.

Wiedział, że się znam na tych rzeczach. Wuj Sevenese dawno temu odsłonił przede mną tajniki świata opiumistów. Starzy, chudzi jak szkielety Chińczycy podgrzewali opium na brzegu kaganka, potrząsali nim i wdychali wonny dym. Obejrzałam małą plastikową torebkę z brązowym aromatycznym narkotykiem, zadając sobie pytanie, skąd Luke go wziął. Zrozumiałam, po co mi go podarował. Chciał, abym powoli siebie zniszczyła. Czemu nie? Czy maki nie były symbolem uwolnienia od bólu? Czy cesarz Szachdżahan nie mieszał opium z winem, żeby doznawać boskich ekstaz? Odeszłam od pięknego kunsztownego prezentu urodzinowego. Na czarnym niebie za oknem księżyc zmniejszał się do żółtego uśmiechu.

Opium zapewniało cudowne sny. Kiedy pomyślałam o Niśi, w bambusowy zagajnik wpadł wiatr, westchnął i zaszepotał do mnie: "Nie rób tego!". "Nigdy" - obiecałam, ale wkrótce moje ręce zapaliły kaganek, nad szklanym cybuchem przy gotowałam porcję opium i po chwili w pokoju rozszedł się siwy dym, który wzbił się znad fajki. Wiem, wiem. Thomas De uincey też mnie ostrzegł, lecz nie mogłam się oprzeć po - kusie pięknych wizji. Czyż mogłam zrezygnować z muzyki pachnącej jak perfumy i przeżycia stu lat w jedną noc, nawet jeśli potem czekało mnie straszliwe tysiąc lat pokutowania w kamiennych trumnach, pełzania w nieczystościach i plugawe pocałunki krokodyli? W końcu, cóż więcej mi zostało oprócz snów?

Babcia umarła. Wciąż trudno mi w to uwierzyć. Jej mały dom wypełnił się ludźmi. Siedzieli, opierali się o ściany, cicho rozmawiali i starczymi, drżącymi głosami śpiewali

niemelodyjne nabożne pieśni. Pojęcia nie miałam, że babcia znała aż tyle osób. Pewnie znała je ze świątyni.

Z wyjątkiem cioci Lality, nikt nie płakał. Nawet ja. Moje łzy były zamknięte na klucz, którego nie mogłam znaleźć. Spapałam sobie życie i chętnie odeszłabym razem z babcią. Trzymała mnie tu tylko Niśa. Trzymała swoimi małymi paluszkami, które wbijały mi się w ciało jak ostrza, lecz z każdym dniem nie bo na dworze było coraz bardziej szare, a opium coraz przyjemniejsze. Nie, nie, na pogrzebie nie myślałam o jego siwym dymie. Jeżeli bym mu uległa, żegnając się na zawsze z babcią, ciężko znieważylabym jej pamięć. Gdyby mogła usłyszeć moje myśli, jej dusza zapłakałaby nad mym biednym, zmarnowanym życiem.

Tata krzątał się i pomagał, jak umiał, a kiedy nasze oczy się spotkały, usiadł przy mnie, podwijając długie nogi.

- Byłem jej ulubieńcem - powiedział, patrząc przez drzwi tam, gdzie kiedyś stał wielki rambutan.

Nowi sąsiedzi babci wycięli drzewo, bo gdy zobaczyli pęknięcia w cementowych ściekach wokół domów, złekli się, że jego korzenie przebijają fundamenty.

- Wiem, mówiła mi to wiele razy.

- Nie byłem dobrym synem, ale ją kochałem. Razem cierpieliśmy za Japończyków.

Przyjrzałam się mu uważnie. Biedny papa, jak mógł być aż tak ślepy. Nie był dobrym synem, był synem strasznym. Złamał jej serce i zachowywał się wobec niej jak wróg, dokładnie tak, jak przepowiedział przed jego urodzeniem wróżbita z brązowego namiotu. Babcia zносиła tatę na podobieństwo skały, która znosi gniewne morskie fale. Było za późno i nie miało sensu wyprowadzać go z błędu.

- Razem cierpieliśmy podczas wojny – ciągnął. - Ukryłem biżuterię mamy na palmie kokosowej. Tylko ja miałem odwagę wchodzić na sam szczyt. Nikt inny by tego nie zrobił. W naszym domu to ja byłem mężczyzną. To do mnie mama zwracała się o wszystko. Nigdy jej nie zawiodłem. Zawsze wstawałem pierwszy, żeby odstawić mleko sprzedawcom herbaty. Uprawiałem ziemię i zawoziłem maneczkę do młyna. Robiłem to wszystko dla niej. Słusznie więc mnie kochała najbardziej.

Zdjął okulary i otarł oczy. Biedny, udręczony papa. Starannie dobrane wspomnienia rozkleiły go.

Nagle wstał i wyszedł na rozslonecznione podwórze. Jakież poplątane i brzydkie było nasze życie.

Uśmiechnął się i w podbródku zrobił mu się dołek, którego nie widziałam od lat. Bez słowa minął Nasha. Mój ojciec i brat pogardzali sobą nawzajem. Zobaczyłam, że tata rozmawia z ciocią Lalitą.

Chciał uprać ubrania namoczone w dużej czerwonej balii.

Ciocia pokręciła głową.

- Nie, nie – zaprotestowała. - Sama później upiorę. Teraz ja piorę wszystko.

- Po raz ostatni chcę uprać rzeczy mamy - odparł stanowczo, zdejmując koszulę i zegarek.

Położył go na starym kamieniu, na którym wiele lat temu meł z Mohini ziarno, i zabrał się do roboty. Przypomniałam sobie, co niegdyś ciocia Lalita powiedziała o tym, jak prał. Nie uderzał zwyczajnie mokrymi rzeczami o gładki kamień, ale wyginał ciało w łuk, tak że fruwały one w powietrzu, a otaczające go zewsząd kropelki wody lśniły w słońcu jak brylanty. Przyglądająca się mu z bliska ciocia z pewnością myślała to samo co ja. Że mój papa jest Wodnym Bogiem.

W kuchni ciocia Anna pomagała przygotować do pogrzebu leżące na ławie ciało babci.

Na tym samym mocnym meblu, który ją tak zachwyił, gdy jako niewinna nastolatka przybyła do Malezji. A teraz spoczywała na ławie martwa. Ta ława przetrwa nas wszystkich. A na pewno mnie.

Niewiele mi już zostało czasu. Wprawdzie czuję wpijające się w moje ciało paznokcie Niśi, ale córka nie trzyma mnie aż tak mocno. Moje życie dobiega końca. Kiedy ciocia Anna z trzema innymi kobietami myła za parawanem z prześcieradła zwłoki babci, przytuliłam do siebie córeczkę.

Milczała. Pocałowałam ją w głowę, a ona podniosła na mnie duże pytające oczy. Uśmiechnęłam się do niej.

Z sypialni babci wykuśtykała powoli moja mama, która leżała tam złożona ostrymi bólami artretycznymi. Ktoś przy niósł jej krzesło, bo kolana miała za sztywne, żeby siedzieć ze skrzyżowanymi nogami na podłodze jak wszyscy. Spojrzałam w jej zgorzkniałe oczy. Nie było w nich smutku. Nienawidziła babci od dnia ślubu z tatą. Mimo to zjawiała się tu, by okazać zmarłej szacunek i wysłuchać testamentu.

Babci nie zależało na szacunku, gardziła nim i wyśmiewała każdego, kto okazywał szacunek zamiast prawdziwego uczucia. Bliskich kochała głęboko i była bezgranicznie lojalna, żądając w zamian tego samego.

- Miłość, Dimple, to nie słowa, lecz wielkie poświęcenie - powtarzała mi często. - To gotowość dawania siebie, dopóki starczy sił.

Weszłam do sypialni babci. Ciocia Anna siedziała na brzegu łóżka z baldachimem. Na mój widok uśmiechnęła się smutno i rozwarła prawą dłoń, pełną babcinych szpilek do włosów,

ale nie tych zwyczajnych, tylko szpilek kia, jakich dzisiaj nikt już nie używa. Nie były to wąskie, cienkie wsuwki, tylko spinki w kształcie litery "u". Babcia upinała nimi kok.

- Choć wyprowadziłam się stąd dawno temu - powiedziała - szpilki kia zawsze będą mi się kojarzyć z mamą. Na zawsze zapamiętam dzisiejszy dzień, wyjmowanie tych wszystkich szpilek z jej włosów po raz ostatni. Jej ciało jest zimne, ale włosy są w dotyku takie same jak przed laty, gdy czesałyśmy je na zmianę z Mohini. Czy to nie dziwne, że przez te szpilki nagle trudno mi się pogodzić z jej śmiercią? Biedna mama. Tak ogromnie ją wszyscy zawiedliśmy.

- Och, ciociu Anno. Tyś jej nie zawiodła. Na dowód tego mam taśmy. Kochała cię, a ze wszystkich dzieci właśnie ty dałaś jej najwięcej powodów do dumy. Doszłaś do czegoś w życiu.

- Nie, Dimple. Żadne z nas nie spełniło jej oczekiwań. Twoja matka, która nazywa ją pajęczycą, nie zdaje sobie sprawy z trafności tego określenia. Kiedy łacina była żywym językiem, słowo pająk oznaczało "jestem ponad wszystkim". I taka była twoja babcia. Górowała nad nami talentem, inteligencją i godnością. Mogła wyuczyć się wszystkiego, przechytryć najbardziej szczwanych, a jednak my, jej cudowne dzieci, zawiedliśmy ją. Czy wiesz, co powiedziała mi w szpitalu, gdy zawieźliśmy ją tam po raz ostatni?

Pokręciłam głową.

- Pachnie śmiercią.

- To środki odkażające odparłam bez zastanowienia.

- Nie, to tyje czujesz, Aniu, bo to nie twój czas.

Patrzyłam na ciocię Annę z niedowierzaniem, bo kiedy odwiedziłam babcię z Niśą, wyczułam w powietrzu śmierć. Widziałam ją wszędzie, ale przycisnęłam córeczkę do siebie niczym broń i śmierć się cofnęła. Dzięki temu małemu kwiatuszkowi powstrzymałam zachłanną ludożerczynię.

Gdy go do siebie tuliłam, jej perfumy nie były już tak kuszące, a uśmiech mniej ponętny. Ciocia Anna rozplakała się. Obejmując ją, czułam, jak drży z żalości. Przez okno zobaczyłam przystojną twarz Nasha. Palił papierosa.

- Dasz mi spinkę? - spytałam.

Rozwarła dłoń i wzięłam jedną. Zatrzymam ją. Ciocia ma rację - ta szpilka najżywiej będzie mi przypominała babcię. Widzę ją: stoi przed lustrem w swoim białym sari, na twarzy wciąż ma nadmiar pudru, a w ustach pełno szpilek, bo właśnie układa włosy. Wpina je, jedną po drugiej.

A kiedy wreszcie gruby srebrny kok trzyma się jak należy, odwraca się ku mnie i pyta z uśmiechem: "Jesteś gotowa?". Pewnego dnia odpowiem jej: "Tak".

Po pogrzebie odwiedziłam wuja Sevenesea. Wyglądał okropnie.

- Gdy byłem chłopcem, przyśnił mi się pogrzeb matki - powiedział. - Wszystko wyglądało dokładnie tak samo. Tyle że dziś mogę nazwać dorosłych, których twarze wówczas nie

rozpoznałem. Lakszmanę uznałem za jakiegoś zgorzkniałego nieznajomego. W tym śnie tylko ty byłaś nieco podobna do znanej mi osoby. Wziąłem cię za dorosłą Mohini. Lecz kiedy zobaczyłem cię dziś z Niśą na kolanach, sen przysł.

Spojrzałam na niego zmartwiona. Rzucił mi starą książkę Sartrea.

- Przeczytaj ją - rzekł - i przestań żyć pozorami. Masz wolność wyboru. Nie bądź z nim, jeżeli nie chcesz.

Kiedyś wzięłabym tę książkę i przeczytała z zapalem. Ale teraz...

- Nie ma żadnej nadziei. Matka Ryżu nie żyje – odparłam. - Już nie ma komu chronić moich sennych marzeń, obfitujących niegdyś w wonne zioła, zielone mchy, dojrzałe owoce i wspaniałe kwiaty. Wyblakłe i bez tchu spoczywają na dnie zagubionego jeziora.

Na te słowa wuj Sevenese zaniemówił z przerażenia i nie chciał słyszeć nic więcej. W takiej chwili nie mogłam mu po wiedzieć, że coraz bardziej potrzebuję siwego dymu, choć coraz mniej go lubię.

Niśa oznajmiła mi, że na mangowcu jest ptasie gniazdo i nawet przez okno sypialni słyszy świergot piskląt. Wyprowadziła mnie z domu, bym posłuchała, ale z jakiegoś powodu ich zapamiętały szczebiot mnie zaniepokoił.

- Chodź, pojedźmy do nowej kawiarni - zaproponowałam wesoło.

Usiadłyśmy przy brązowym stoliku, bo cały lokal urządzone w odcieniach brązowoczerwonej ziemi. Mieli najdziwniejszą dekorację kwiatową, skomponowaną z nowego gatunku kwiatów o nazwie łapa kangura. Widziałam je pierwszy raz. Były piękne i czarne. Czarne kwiaty. Jakie niesamowite - i jakie urodziwe o przypominających łapkę bledziutkich zielonkawych płatkach. Niezwykłe i ogromnie eleganckie, Wstąpiłam do kwaciarni i zamówiłam bukiet.

Kwiaty dostarczono w czwartek. Prezentowały się wspaniale w przezroczyściej wazie na stoliku do kawy. Zdaniem Niśi, wyglądały jak zwinięte uśpione pająki na łądydze. Dziecko z niej!

Ale sprawię, by je pokochała.

Lukę już jej nie dotyka. Boi się śpiących w nim potworów. No, bo jeśli odkryje, że pragnie iść z nią do łóżka? Tego się obawia... Że odkryje w sobie więcej zboczeń. Martwię się z powodu Niśi. Ona nie rozumie, czemu tatuś odpycha ją od siebie. Nie wiem, co się z nami stanie. Gdyby tylko pozwolił nam odejść, ale nie dopuści do tego. Nigdy mi na to nie pozwoli. Wykorzysta Niśę, żeby mnie tu zatrzymać.

W lutym 1983 roku zmarł wuj Sevenese. Stałam przy jego szpitalnym łóżku, kiedy z desperacją w oczach pokazał na migi, że chce coś napisać. Pośpiesznie podałam mu papier i pióro.

Trzęsącą się ręką nabazgrał: "Kwiaty rosna u..." - i umarł. To niedokończone zdanie nie daje mi spokoju. Co za nagłe olśnienie kazało mu poprosić o pióro i papier? Myślałam o tym, w

odrętwieniu wspinając się po schodach do jego mieszkania. Nie mogłam się pogodzić, że straciłam go w takiej chwili.

Kwiaty rosną u...!

Wsunęłam zathiszczony klucz do zamka i otwierałam drzwi. Z zamkniętego, długo niewietrzonego mieszkania buchnął tak okropny zaduch, że mnie zemdlilo. Otworzyłam małe okno w kuchence najszerszej, jak pozwolił szwankujący mechanizm. Co za chlew! Pęknięcia w linoleum wypełniał tłuszcz i czarny brud, a wszystko pokrywała warstwa popiołu z papierosów. Widzę ten pokój po raz ostatni, pomyślałam z zaskakującą obojętnością i utrwalałam go sobie w pamięci.

Dziwne, ale wciąż czułam obecność wuja, tak intensywną, jakby przed chwilą zszedł na dół na poranną kawę. Na łóżku leżały porozrzucone książki astrologiczne, tablice i diagramy. Kiedy zabierano go do szpitala, pracował nad czymś horoskopem. Zasmucona usiadłam na poplamionej pościeli i w wyobraźni ujrzałam prostytutkę w białym wdzianku, która na tym posłaniu paliła mentolowego. Pomyślałam, że nigdy nie dowie się o śmierci Sevenesea. Otworzyłam jego obszarpany zeszyt i zajrzałam do notatek.

Trzymać się z daleka/krótka linia życia. Rahu/waż w domu małżeńskim/bez wyjścia. Śmierć, rozwód, smutek, tragedia.

Nieszczęsny był ten, nad którego horoskopem wuj pracował. Ale gdy odwróciłam kartkę, ujrzałam astrologiczne dane moje i Belli. Zmartwiałam, nie mogąc uwierzyć. To horoskop któregoś z nas. Mojej siostry lub mój.

W szufladzie znalazłam kopertę z napisem "Dimple". Nie otworzyłam jej, lecz wyczułam, że w środku jest kasetka. Wuj Sevenese zostawił mi swoje przesłanie. Ostatnią opowieść do mojego zarzuconego szlaku snów. Starannie złożyłam brązową kopertę i schowałam ją do torebki. Ciągle tam leży. Nie zdobyłam się jeszcze, by wysłuchać nagrania. Może zrobię to któregoś wieczoru tuż przed siwym dymem, żeby łatwiej było mi je znieść.

Pogrzeb trwał krótko. Musieli w pośpiechu wynieść ciało wuja przed wyznaczonym terminem kremacji. Mocno uszkodzone wnętrzości zaczęły szybko gnić i gazy wzdęły ciało jak balon. Ze swojego miejsca słyszałam syki i gulgoty, jak gdyby trzewia nieboszczyka zmawiały się, by wybuchnąć. Z obawy, by wuj nie obryzgał ścian, prędko go wyniesiono. Mająca miękkie serce ciocia Lalita nachyliła się nad trumną i pocałowała brata w policzek, choć bijący z jego zwłok smród rozkładu o mało jej nie powalił. Nie był to odór trupa, lecz śmieci. Nawet po śmierci wuj Sevenese pozostał nonkonformistą. Pomimo zużycia dwóch butelek wody kolońskiej fetor gnijących śmieci i formaldehydu był tak przemożny, że uniemożliwił normalny pogrzeb. Ostre wyziewy gryzły w oczy: dwie kobiety, aby ukryć obrzydzenie, schroniły się w kuchni, a zwiędła dama, za stara na dyplomatyczne gierki, zakryła usta i nos skrajem sari. Przypuszczałam, że ciocia

Lalita powiesi oprawioną w ramki, ozdobioną girlandą czarno-białą fotografię brata obok zdjęć dziadka, babci i Mohini. Było mi zimno. Było mi zimno cały dzień. Sprawił to siwy dym.

Odwiedziła mnie ciocia Lalita. Spędziła z Niśą w ogrodzie mnóstwo czasu, rozmawiając z nią, jakby sama miała siedem lat. Godzinami obserwowały rybę i śledziły unoszące się nad spokojną wodą beztroskie ważki z długimi odwłokami w błyszczące nefrytowo turkusowe plamy.

Powiedziała mojej córce to, co mnie w dzieciństwie: że ważki potrafią zaszyć niegrzecznym dzieciom usta podczas snu.

- Naprawdę? - wyszeptała Niśa, a jej oczy zmieniły się w dwie opalizujące sadzawki zdumienia.

Widok córki i ciotki przenosi mnie w przeszłość. Siadywałyśmy z ciocią Lalita w cieniu za domem babci i obserwowałyśmy latające ważki. Kiedy obracałam głowę, widziałam babcię Lakszmi, która z kuchennej ławy przyglądała się nam przez okno, tak jak ja teraz przyglądam się im.

Coś bardzo niedobrego dzieje się z papą. Trafił do szpitala z bólami w klatce piersiowej, ale na szpitalnych schodach wyrzucił proszki, które mu dali. Biedny, znam jego ból. Szuka tego samego zapomnienia co ja.

Niśa ma problemy z agresywną szkolną koleżanką, Angelą Czan. Ta mała zostawia na jej rękach półokrągłe ślady po paznokciach. Będę musiała porozmawiać z matką tej dziewczyny.

Czy mówiłam ci już o moich przerażająco cudownych snach? Zrodzonych bez wątplenia z siwego dymu. Śni mi się piękny mężczyzna w gablocie z grubego szkła. Ma długie, kształtne członki i kręcone włosy, łagodnie muskające jego silne ramiona. Twarz mężczyzny tonie w cieniu, ale czuję, że jest piękna. Wiem, że gdy wyjdzie z grubej szklanej gabloty, okaże się piękny ponad spodziewanie. Oczy ma smutne jak ja na portrecie na dole, i z całą pewnością mnie kocha.

Zawsze mnie kochał.

Wiele lat patrzył na mnie z głęboką tęsknotą, lecz w tej chwili się niecierpliwi - chce mnie dotknąć, wypełnić, złączyć się ze mną w jedno. Nie wiem, kiedy to nastąpi, ale od jakiegoś czasu zaczął przecinać szkło. Nie ma narzędzi, więc używa paznokci. Palce mu krwawią i szkło spływa krwią, mimo to jest niestrudzony, a jego miłość głęboka. Drapie dniami i nocami. Kiedyś przedrze się, ja zaś będę czekać. W tej wyjątkowej chwili ucałuję go. Podoba mi się rysunek jego ust. Tęsknię do dnia, gdy przycisnę się do jego gibkiego ciała i jego wargi dotkną moich. Gdy oddam życie śmierci. Bo śmierć to piękny, wysoki mężczyzna.

CZEŚĆ SZÓSTA

Reszta jest kłamstwem

Lipiec 2001 roku .

Lukę

Zamieniony przez żarłoczną chorobę w żalosny szkielec, nie ośmielam się już zamknąć oczu. Dniem i nocą gorączkowo obserwuję drzwi. Leżę w chłodnym szpitalnym pokoju, z moich bezwładnych rąk sterczą smutno połączone z migoczącą aparaturą rurki barwy masła. Wiem, że zbliża się śmierć. Wkrótce mnie zabierze. W ciszy słychać mój płytki, głośny oddech. Niewidzialne ręce już zaczęły zawijać mnie w nawoskowane, żółte płótno, by przygotować do podróży.

Obracam głowę, by spojrzeć na córkę. Siedzi przy łóżku na chromowanym czarnym krześle cicho jak myszka. Ale jeśli istotnie jest myszką, moja w tym zasługa. To ja zamieniłem piękną córkę Dimple w osobę potulną i szarą. Postąpiłem okrutnie, lecz na swoją obronę powiem, że nie chciałem jej skrzywdzić. To, co zrobiłem, nie było łatwe. Zabrało wiele lat, wymagało wielu kłamstw. Niśa siedzi, nieświadoma mojego strasznego łajdactwa. Gdyby знаła prawdę, znienawidziłaby mnie. Pochyla się, żeby ścisnąć moją sztywną, szponiastą dłoń. Biedulka ma lodowatą rękę.

- Niśa - szepczą moje suche usta. Słabiutko. Koniec jest blisko.

Posłusznie przysuwa się bliżej. Tak blisko, że wdycha odór rozkładającego się ciała.

Zgnilizna we mnie kiwa długim czarnym palcem. Ciebie też to kiedyś czeka, ostrzega moją szarą myszkę. Słyszę jej westchnienie.

- Przepraszam - szepczę z wielkim trudem. Tak niewiele ze mnie zostało.

- Za co? - pyta, bo nic nie wie o przeszłości z powodu "wypadku" sprzed szesnastu lat, po którym straciła pamięć.

Wykorzystałem to, niestety, do stworzenia jej całkiem nowego świata, strojnego w pióra kojących kłamstw. Uznałem, że nie może poznać tragicznej prawdy. Zobaczyć, że na rękach mam krew.

W twarzy Niśi widzę oczy Dimple, ale brak jej uroku i blasku matki. Och, jaka szkoda, jaka szkoda! Skrzywdziłem obie, dzisiaj jednak to naprawię. Dam jej klucz. Niech pozna mój straszny sekret, starannie ukrywany i chroniony przez szesnaście lat - wiszącego mi na szyi jak kamień, kalekiego, pokracznego ducha przeszłości. Klucz, na który zamknąłem sny ukochanej Dimple.

Bo prawda jest taka, że nieprzytomnie kochałem moją żonę.

W piersi odzywa się lekki ból, oddech więźnie mi w gardle. Niśa patrzy na mnie z nagłym lękiem. Głośno stukając obcasami po lśniącej podłodze, wybiega z pokoju, żeby znaleźć lekarza, pielęgniarkę, sanitariusza, kogoś, kogokolwiek, kto mógłby pomóc...

Niśa

Kiedy wróciłam z pielęgniarką, w otwartych ustach i oczach ojca nie było spokoju.

Umarł tak, jak żył. Wpatrywałam się w niego zdumiona, nie pojmując, jak żarzące się w szparkach jego oczu węgle mogły tak łatwo zgasnąć i zmieść się w martwe, czarne kamienie. Czarne jak marmurowa posadzka, ciągnąca się w nieskończoność w dręczących mnie sennych koszmarach, i tak błyszcząca, że odbija twarzyczkę jakiegoś dziecka. Małą buzię wykrzywioną z przerażenia.

To na pewno fragment starego wspomnienia, przeoczonego przez pamięciożernego węża, który połknął moje dzieciństwo. Wije się, sunie w mych snach srebrzysty jak rtęć i szepcze: "Wierz mi.

Twoje wspomnienia są najbezpieczniejsze w mrokach mojego brzucha".

Usiadłam wolno przy nieruchomym ojcu i spojrzałam na swoje odbicie w niewielkim lustrze na ścianie. W moich wysokich kościach policzkowych i małych, wdzięcznych ustach, które jakby żałowały, że znalazły się na jednej twarzy z tajemniczymi, egzotycznymi oczami, spotkało się wiele ras. Usta te wiedziały to, czego nie wiedzieli mężczyźni - że prowokacyjnie półprzymknięte powieki wróżą im zawód miłosny. Nie chcąc złamałam wiele serc. Całkiem bezwiednie. Spoczywające na podolku brązowej sukienki moje wypielęgowane ręce mówiły, że nie przepracowały ani jednego dnia przez dwadzieścia cztery lata. Spojrzałam na klucz wyjęty z zaciśniętej dłoni taty. Czy był on w stanie uwolnić okruchy pamięci skryte w brzuchu żarłocznego węża?

Przywrócić im głos, by mogły wyjaśnić mi głupie drobiazgi? Na przykład, dlaczego tak mnie przeraża woda kapiąca z kranu lub dlaczego dławi mnie niewytłumaczalny lęk na widok połączenia czerwieni z czernią? Wyszłam, nie oglądając się na ciało.

Drzwi otworzył mi służący Lena. Wbiegłam na górę po długich, krętych schodach, wpadłam do chłodnej, ponurej sypialni taty i na chwilę zamarłam w szafirowych cieniach. Ojca nie było tu od tygodni, a jednak jego zapach unosił się w powietrzu niczym zabłąkany duch. Przeszłam przez pokój, włożyłam klucz do zamka w drzwiach garderoby i przekręciłam.

W małej szafie w ścianie zebrała się przez lata gruba warstwa białosiwego kurzu. Na półkach nie było nic oprócz rudobrazowego pajęczka i starego kartonowego pudła. Z zielonego napisu wynikało, że kiedyś zawierało tuzin butelek francuskiego chardonnay.

"Góra", głosiło słowo w kształcie wypłowiałej czerwonej strzały, od nie wiem jak dawna skierowanej w dół. Z łatwością odkleiłam starą taśmę, wzbijając chmurę białego kurzu, przypominającą górską mgiełkę.

Szukałam tego całe życie. Szukałam i nie znalazłam. Otworzyłam karton - pudło pełne kaset, pełne tajemnic.

Na wewnętrznej stronie okładki pożółkłego zbioru poezji Omara Chajjama drobnym, dziecięcym charakterem pisma oznajmiano, że jest to własność Dimple Lakszmany. Kim była?

Znad kolacji złożonej z czarnego atramentu i starego papieru spojrział na mnie spłoszony rybik.

Przejrzałam kasety. Wszystkie zaopatrzone w numery i imiona - LAKSZMI, ANNA, LALITA, SEWENESE, DŻE - JAN, BELLA... Zadawałam sobie pytanie, kim są ci ludzie.

Na dole zadzwonił telefon. Lena głośno westchnął. Z pewnością dzwoniło ze szpitala.

- Przepraszam - powiedział bardzo tajemniczo tuż przed śmiercią mój ojciec.

- Nie przepraszaj, tato - mruknęłam pod nosem. - Niczego nie pragnęłam bardziej, niż poznać sekrety ukryte w twoich zimnych oczach.

Kobieta w czerni

- Tak mi przykro, Niśa - szepnęła mi do ucha jakaś kobieta, klepiąc mnie współczująco po ręce.

Nie wiedziałam, kim jest, lecz skoro uznała za stosowne przyjść na pogrzeb taty, niewątpliwie była jego znajomą. Patrząc w odrętwieniu, jak odchodzi w stosownej, czarnoszarej sukni, zapragnęłam wyjść. Wrócić do siebie i uwolnić głosy zakłęte na taśmach magnetofonowych.

Ale od dobrych córek oczekiwano, że pozostaną w domu przynajmniej do wyprowadzenia zwłok.

Ojciec z pewnością znał masę ludzi, bo cały dom tonął w kwiatach, które nie pachniały. Uwagę zwracała potężna wiązanka od znanego ministra z Indonezji. Dziwne, że ją przysłał. Tata nie pochwalał jego metod. Uważał go za hucpiarza. Wolał subtelniejsze sposoby korupcji.

Nie zauważyłam ani jednej kangurzej łapy. Gdy pierwszy raz zobaczyłam ten kwiat, ogarnęło mnie osobliwe uczucie bo wydał mi się dziwnie znajomy i bardzo piękny. Wiotki, czarny, z najdelikatniejszym odcieniem jasnej zieleni zdawał się nie wiedzieć, że to właśnie jego czerń tak ekscytuje i zachwyca miłośników kwiatów.

Podobnie było ze mną. Zbyt długo nie zdawałam sobie sprawy, że tym, co we mnie pociąga najbardziej, jest zarys niewidocznego policzka, kiedy śpię z twarzą odwróconą i ukrytą w mroku.

Wszystkich bez wyjątku mężczyzn, z którymi szłam do łóżka, z niewiadomych powodów obsesyjnie pochłaniała tajemnica, której nie potrafili osiągnąć, choć leżała w zasięgu ręki. Trawiła ich ta sama gorączka, żądza zdobycia mnie, dokazania tego, czego nie udało się innym... a w każdym razie na początku.

Na początku wkraczali w moje życie pełni oczekiwań, rozpaleni nadzieją. Ach, usidlić córkę Lukea Steadmana! Co za perspektywy! Pieniądze, władza, stosunki... W końcu jednak odchodzili zawiedzeni i źli po odkryciu, że w mroku między nami kryje się przerażająca, przepastna rozpadlina.

- To ja cię całuję, pieszczę, jebię, a ty zachowujesz się tak, jakbyś przed chwilą polizała znaczek? - wypomniał mi nad jej skrajem jeden z bardziej godnych zapamiętania kochanków.

Moje przeprosiny oczywiście pogarszały sprawę. Próbowалам więc wyjaśnić...

- Od lat mam w oczach rozpacz i wyglądają one tak samo wtedy, kiedy liżę znaczek i kiedy mnie dmuchasz. Robisz to wybornie. To ja jestem winna, a nie ty - zapewniłam, by ocalić jego dumę. Męska duma cenna rzecz. - Ja - podkreśliłam smutno, wydłużonymi, lekko orientalnymi oczami błagając go o zrozumienie. - Widzisz, gdy miałam siedem lat, straciłam pamięć. Było to jak przejście po ulicznej zebrecz, zrobienie kroku z białego pasa na niewinnie wyglądający czarny.

Raptem się potknęłam, upadłam i znikłam w bezkresnej czarnej dziurze, za towarzystwo mając tylko gwiazdy. A kiedy pewnego dnia wydostałam się z niej, obudziłam się w białym łóżku, w białym pokoju i bez wspomnień.

Tu zawsze przerywałam wyjaśnienia, bo każdy z moich mężczyzn patrzył na mnie tak, jakbym wymyśliła historię o przechodzeniu przez zebrecz, żeby go pocieszyć. Żaden nie usłyszał więc o nieznanym, którego ujrzałam w tym białym pokoju po przebudzeniu. Wpatrywał się we mnie ze zmartwioną miną. W jego wąskich oczach dostrzegłam błysk zmieszania. Złękłam się, bo spojrzenie miał chłodne i obojętne.

Nazywał mnie Niśą i twierdził, że jest moim ojcem, ale nie próbował mnie dotknąć ani przytulić. Może te wszystkie serdeczne całusy i padanie sobie w ramiona ojców i córek zdarzały się tylko w filmach z Hollywood? Chyba niezbyt się ucieszył, że wydostałam się z czarnej dziury, w której towarzyszyły mi tylko gwiazdy. Poczul ulgę, że nic nie pamiętam. Taka zuchwała myśl przyszła mi do głowy.

Nie mówiłam moim pełnym nadziei kochankom, a może powinnam, że ojciec unikał dotykania mnie. Prawdę mówiąc, zabronił też tego innym. Dorastałam samotnie, w towarzystwie służby. Gdyby moi partnerzy to wiedzieli, może zrozumieliby, dlaczego w łóżku dzieli nas głęboka przepaść.

Gdybym tamtego dnia, po ocknięciu się w białym pokoju, w białej pościeli, nie spojrziała w lustro i nie zobaczyła w nim takich samych wąskich oczu jak w jego napiętej twarzy, nie uwierzyłabym, że jestem jego córką. Czy podobna, by życie mógł tchnąć we mnie ktoś o tak chłodnym oddechu i spojrzeniu? A jednak zapewnił mnie o swojej miłości i wyposażył moją samotność w luksusy. Był bogaty, bardzo bogaty i ważny. Miał ogromne wpływy.

Spędziłam w białym pokoju jeszcze kilka dni. Nieznajomy troskliwie wsadził mnie do wielkiego samochodu i zawiózł do bardzo dużego domu. W środku było zimno. Zaczęłam dygotać. Wyłączył klimatyzację i wprowadził mnie do dziwnego, różowego pomieszczenia, którego nie znałam.

- To twoja sypialnia - oznajmił, z uwagą obserwując mnie czarnymi oczami.

Rozejrzałam się po przeznaczonym dla małej dziewczynki pokoju, gdzie wszystko pachniało nowością. Na ubraniach w szafie nadal były metki, a dziewczyczych obcasów wesoło błyszczących drogich bucików z kolorowymi kokardami nie kalały ślady noszenia.

- Pamiętasz coś? - spytał ostrożnie.

Ostrożnie, nie z nadzieją. Potrząsnęłam głową tak energicznie, że aż zabolalo. Po rozbiciu jej, gdy wpadłam do dziury w zebrze, pozostała mi czerwona szrama.

- Nie mam mamy? - spytałam bojaźliwie, gdyż bałam się obcego mężczyzny.

- Nie masz - odparł, chyba ze smutkiem, choć mogłam się mylić.

Byłam małą dziewczynką. Nie wiedziałam nic o tatusiach, którzy zwodzą dzieci. Pokazał mi zdjęcie jakiejś pani. Jej smutne oczy sprawiły, że poczułam się samotna.

- Mama umarła przy porodzie – powiedział. - Biedaczka wykrwawiła się na śmierć.

A więc ta smutna kobieta na zdjęciu zmarła z mego po wodu. Żałowałam, że nie mam jej oczu. Niestety, oczy odziedziczyłam po ojcu. Chłodne i obojętne. Chciałam się rozplakać, ale nie w jego obecności. Gdy tylko wyszedł, padłam na dziwnie nowe łóżko i się rozbeczałam.

Wiele razy pytałam ojca o lata, których nie pamiętałam, lecz im więcej szczegółów podawał, tym bardziej się upewniałam, że kłamie. Ukrywał przede mną jakąś tajemnicę. Tajemnicę tak straszną, że musiał wymyślić mi całkiem nową przeszłość. Zapragnęłam odzyskać te stracone lata.

Ich brak zniszczył mi życie. Wiedziałam, że taśmy sprzed lat kryją wiele tajemnic. Właśnie dlatego mój ojciec je schował.

Przesunęłam oczami po wspaniałych wiązankach, ale nie dostrzegłam ani jednej kangurzej łapy. Być może te kwiaty są za drogie, żeby je wplatać w pogrzebowe wieńce. Pewnie ozdabiają domy bogatych i sławnych. Mój ojciec był bardzo bogaty, lecz nienawidził kangurzych łap. Nienawidził ich organicznie. Podobnie jak ja nienawidzę połączenia czerwonego z czarnym. Z

jakiegoś powodu na widok ich pięknych, czarnych płatków pocił się ze zdenerwowania. Z zaciekawieniem patrzyłam, jak udaje, że te zakręcone, pająkowate kwiaty na niego nie działają.

Kiedy pierwszy raz dodałam kilka do bukietu, spojrzał na nie takim wzrokiem, jakbym ich czarne łodygi oplotła chmurą syczących węży.

- Dobrze się czujesz, tato? - spytałam.

- Tak, tak, oczywiście. Jestem tylko odrobinę zmęczony - odparł.

I popatrzył na mnie badawczo, jakbym to ja ukrywała przed nim coś strasznego. Jakbym to ja kupiła mu szafę nowych ubrań, pomalowała pokój na wyprany ze skojarzeń słodki róż i naopowiadała furę kłamstw. Przyglądałam się mu z zaciekawieniem. Mojemu tacie, którego nie znałam. Nigdy mnie nie dotykał. Nigdy nawet nie zbliżył się do mnie na dotknięcie ręki. Nie znałam jego tajemnic. A miał ich wiele. Płoneły w jego zimnych, wąskich oczach niczym stos pogrzebowy.

- Coś sobie przypomniałaś? - spytał znienacka.

Spojrzałam na niego z rosnącym zdziwieniem.

- Nie. A dlaczego pytasz?

- Ze zwykłej ciekawości - skłamał mój nieszczerzy tata, uśmiechając się jak polityk.

Przeniosłam wzrok na kobietę, która właśnie weszła. Obnosiła się z żałobą okazale, od stóp do głów ubrana - niczym japoński projektant mody - w różne odcienie czerni. Była uderzająco piękna. Widziałam ją po raz pierwszy. Miała bardzo czerwone usta. Mimowolnie zacisnęłam palce.

Czerwień i czern. Czerwień i czern. Kolory z dręczących mnie koszmarów! Kobieta spojrzała z drugiego końca salonu na stojącą na niskim, długim stole trumnę. Umoszczony w chłodnym atlasie, żółty, nieruchomy tata czekał, żebyśmy nakarmili nim wiecznie głodną bestię w krematorium.

Nagle piękna nieznajoma ruszyła biegiem - małymi, nienaturalnymi, kobiecymi kroczkami.

Rzuciła się dramatycznie na sztywne ciało taty i zatkała. Cofnęłam się, zaskoczona.

Jeszcze jedna z jego małych tajemnic wróciła po zapłatę.

Tłum żałobników szybko zwietrzył sensację. Ale nic sobie nie robiłam z ich ukradkowych spojrzeń. Patrzyłam, zaintrygowana, na rozpostartą na wychudzonych żółtych zwłokach postać w czerni i wyobraziłam sobie, że jest wielką, czarną pajęczycą z krzywymi nogami, która pożera szamoczącego się kochanka. Nieważne, czy miałam do czynienia jedynie z nader udanym występem, ponieważ Lukę Steadman nigdy nie był szamoczącym się kochankiem. Drogi, drogi ojciec. Wierny sobie do grobowej deski. Zimny i z pewnością poza zasięgiem jedwabnych pajęczych sieci.

Nie uwzględnił tej kobiety w testamencie.

W swojej krótkiej ostatniej woli wymienił tylko mnie – córkę. Tę, której dał klucz.

Tę, przed którą miał tajemnice. Nie znajoma, jakby słysząc moje niezyczliwe myśli, podniosła głowę i nasze spojrzenia się spotkały. Szkarłat jej szminki w dziwny sposób podkreślał, że ją porzucono. Biedaczka. Poczułam - chcąc nie chcąc - że zaczyna mi tajać serce. Wiem, co znaczy być porzuconym.

Po tym, jak moja biedna matka, wydawszy mnie na świat, wykrwawiła się na śmierć, a ojciec nakarmił jej bezkrwistym ciałem śliniącą się żółto bestię z krematorium, zostałam tylko z nim. Tuż przed wyjściem do pracy kładł na stole przed moją sypialnią różne rzeczy - początkowo zabawki, a gdy podrosłam – biżuterię. A pozostawiał mi je pod drzwiami wyłącznie dlatego, żebym nie mogła mu paść w ramiona i ucałować jak normalna córka. Na dodatek, by uniknąć niemiłej perspektywy uścisków, przed powrotem do domu przebiegle dzwonił i pytał, czy podobał mi się nowy prezent.

Chował się za murem uprzejmych wyrażen: "Proszę", "Można?", "Dziękuję". Wszystkich zwodził nienaganną grą. Niektórzy zazdrościli mi idealnej, czulej miłości ojcowskiej, istniejącej w ich wyobraźni. Mieli go za wzór. A ja stałam za wzniesionym przez niego grubym murem i krzyczałam bezgłośnie, przerażona straszliwą doskonałością tej przegrody i zdumiewającą mnogością zabiegów, dzięki którym trzymał się ode mnie na dystans. Gdyby tylko okazał mi odrobinę miłości. Ale tego nie zrobił. Mała małpka pozbawiona matczynego ciepła umiera. Jej smutne serce szybko się nuży i przestaje bić. Chyba dobrze, że nie jestem małą małpką.

Kiwałam głową ludziom, przesuwanym się przede mną jak powolne marionetki. Byłam ich nową panią. Jedyną dziedziczką bajońskich sum. Porzuconą kobietę z czerwonymi ustami odciągnięto od spryskanych wodą kolońską zwłok i, łkającą, delikatnie, z zaciekawieniem odprowadzono do kąta.

A potem wyniesiono na ramionach trumnę. Nikt nie płakał, oprócz piękności w czerni, z ustami czerwonymi jak krew. Ludzi zaczęło ubywać. Podeszłam do łkającej. Z bliska nie wyglądała tak młodo. Mogła mieć trzydzieści parę lat, a może zbliżała się do czterdziestki. Ale jej oczy były niezwykle. Duże i błyszczące. Przypominały połyskującą taflę spokojnego jeziora w księżycową noc. Ona również kryła w sobie mnóstwo tajemnic, a część z nich z pewnością dotyczyła mnie.

Zaprosiłam ją do gabinetu ojca, by uniknąć wścibskich spojrzeń. Podążyła za mną bez słowa. Czy była już w tym domu? W gabinecie odwróciłam się do niej.

- Jestem Rosette - powiedziała cicho. - Miło mi cię wreszcie poznać, Niśu.

O dziwo, głos pasował do jej oczu. Był tak kulturalny, że słowa płynęły jej z ust jak miód.

- Napije się pani czegoś? - spytałam odruchowo.

- Poproszę Cię Marię z lodem.

Na czerwonych - za czerwonych - wargach kobiety rozlał się uśmiech.

Podeszłam do barku. No, no, mój ojciec zgromadził spory zapas tego likieru. Nagle wyobraziłam sobie ich razem, splecionych i złączonych w szpitalnym łóżku. Wychudzone, żółte męskie ciało i tę tajemniczą, piękną istotę. Potrząsnęłam głową, żeby pozbyć się gorszącego obrazu ich wynaturzonego spółkowania. Co, u licha, się ze mną działo?

- Dobrze znała pani mojego ojca? - spytałam.

Wzięła głęboki oddech.

- Nieźle.

Była miękka, kobieca... i dyskretna. Jak przystało na kochankę ojca.

- Długo się znaliście? - nie dałam za wygraną.

- Dwadzieścia pięć lat - odparła.

Zdumiona, obróciłam się ku niej.

- Znała pani moją matkę? - wymknęło mi się pytanie.

Z dwu oświetlonych księżycem, gładkich jezior w tej jasnej, starannie umalowanej twarzy wychynęło coś żywego i pełnego żalu. Brzydkie jeziorne stworzenie przyglądało mi się smutno przez kilka sekund i na powrót zanurzyło się w lśniącej wodzie. Twarz Rosette znowu zobojętniała.

- Nie - zaprzeczyła, kręcąc głową.

Miód w jej głosie zgęstniał w ciemny osad. Skłamała. Z wierności zmarłemu? W jakim celu? Przecież musiała nadal z czegoś płacić czynsz i kupować stroje w różnych odcieniach czerni.

Zajęłam się przyrządzeniem Tii Marii z lodem. W ciszy słychać było tylko tykanie zegara.

- Ojciec nie umieścił pani w testamencie - napomknęłam.

Usłyszałam, jak w objęcia chwyta ją bezruch. Zegar tykał z bezwzględną precyzją. Odczekałam kilka sekund, odwróciłam się do niej z półuśmiechem i podałam koktajl.

Wciąż pachnąc wodą kolońską zmarłego, wzięła w blade dłonie chłodną szklanekę. Biedactwo, trzymała ją tak bezradnie. Znów wyglądała na opuszczoną. A więc naprawdę potrzebowała na czynsz! W ślicznych, smutnych oczach Rosette wezbrały łzy i po chwili stoczyły się po bladych policzkach.

- Drań! - zaklęła bardzo cicho i opadła na dużą, miękką zieloną kanapę taty.

Na jej tle wydawała się taka drobna i bledziutka, że po czułam do niej pewną sympatię.

- Niestety, w testamencie umieścił tylko mnie. Pomiął nawet służących, z których część pracowała tu dłużej, niż sięgam pamięcią. Dam im coś w jego imieniu. - Urwałam. - Rzecz w

tym, że nie za dobrze znałam ojca, a matki wcale. Jeżeli wypełni pani moje luki w tej kwestii, chętnie wspomogę panią finansowo.

Wodne stworzenie z dwu spokojnych ciemnych jezior zafalowało. Może poruszyła je nadzieja zdobycia nowego źródła chleba z masłem. Czy zasmakowałam w świeżo uzyskanej władzy? Rosette z pewnością ją uznała i złożyła jej głęboki ukłon. Nagle roześmiała się. Gorzko i chrapliwie. Był to śmiech kobiety, od której nigdy nie zależał własny los.

- Pewne sprawy lepiej pozostawić w mroku. Nie takich wspomnień szukasz. Poznanie ich może cię zniszczyć. Jak myślisz, dlaczego ojciec je przed tobą zataił? Czy na pewno chcesz je poznać?

- Tak - odparłam natychmiast, zaskoczona własnym zdecydowaniem.

- Dał ci klucz?

A więc o kluczu też wiedziała!

- Tak - powiedziałam, zdumiona, jak blisko ta opanowana kobieta знаła mojego ojca.

Ojca, o którym właściwie nic nie wiedziałam. Jej czerwone wargi uśmiechnęły się. Doprawdy nie mogłam znieść krwistej czerwieni. Kłuła mnie w oczy jak nóż.

Rosette wypila koktajl. Gdy stanęła przede mną, w jej oczach dostrzegłam świadomość, że czeka ją już tylko starzenie się, śmierć i daremne żale z powodu złych życiowych wyborów.

Nawet ja mogłam jej powiedzieć, że mój ojciec był złym wyborem.

- Po przesłuchaniu tych taśm odwiedź mnie - zaproponowała, podeszła do biurka taty i w notesie zapisała adres i numer telefonu. - Do widzenia, Niśu.

Kiedy znikła za drzwiami, wzięłam notes. Mieszkała niedaleko, w dzielnicy Bangsar.

Zastanawiałam się nad jej pochodzeniem. Miała cienką, bardzo jasną skórę, jak niektóre Arabki.

Była w typie kobiet, których w przymierzalniach u Armaniego pilnują ochroniarze.

Wydarłam z notesu kartkę z jej adresem, zapisanym kobiecym, dziwnie powabnym charakterem, i pojechałam do siebie.

W mieszkaniu panował dokuczliwy upał. Delikatne róże na stoliku do kawy zwiędły. Różowe płatki leżały tam, gdzie spadły, Czas dobiegł końca. Wszędzie czyhała śmierć.

Ignorując zduszone dzwonki telefonu, włączyłam klimatyzację i do pokoju wpłynęło bezgłośnie suche, lodowate powietrze. Potem zaś, nie zdejmując czarnej żałobnej sukienki, uruchomiłam magnetofon, zamknęłam zmęczone oczy i głos kobiety imieniem Lakszmi nappełnił chłodzący się pokój cieniami nieznanej przeszłości.

Nazajutrz obudziłam się nagle w otoczeniu kaset magnetofonowych, wyrwana ze snu buczeniem dzwonka u drzwi.

- Przesyłka ekspresowa - usłyszałam przez domofon męski głos.

Pokwitowałam list od prawników ojca. Chcieli się ze mną widzieć natychmiast w bardzo ważnej sprawie. Zadzwoiłam i umówiłam się z głównym wspólnikiem kancelarii adwokackiej De Cruz, Radżan Rahim. Przywitał mnie pan De Cruz, zamykając mą rękę w swoich dużych, mięsistych dłoniach. O płynącej w jego żyłach portugalskiej krwi świadczył sterczący w dumnej twarzy wydatny nos i protekcyjne traktowanie "tubylców". Włosy przylegały mu do przebiegłej głowy niczym wypolerowane srebro, a w osadzonych głęboko oczach błyszczała bezlitosna chciwość, z której zasłynęli jego antenaci. Było w nim coś z gruntu nieuczciwego. Miałam wrażenie, że w jego skórze kryje się całkiem inne śliskie zwierzę.

Poznałam go kiedyś na przyjęciu na giełdzie. Uśmiechał się nader czarująco, ale nie raczył przedstawić towarzyszącej mu wysokiej dziewczyny o pustym spojrzeniu. Jak wszyscy znani mi prawnicy, był zarozumiały i dumny z daru zniewalania słów, które więził w ustach, by je wypowiadać w odpowiednim czasie odpowiednim tonem. No i proszę, jak się na tym wzbogacił.

- Tak mi przykro z powodu pani ojca - rzekł współczująco głębokim barytonem, mimo woli robiąc na mnie wrażenie, bo umiejętność natychmiastowego przybrania tak szczerego tonu świadczyła o talencie.

- Dziękuję panu. Dziękuję również za kwiaty - odparłam odruchowo.

Filozoficznie pokiwał głową. W ustach miał słowa czekające na właściwą chwilę. Wskazał mi fotel. W kącie dużego, chłodnego gabinetu dostrzegłam dobrze zaopatrzone barek.

Słyszałam plotkę, że De Cruz pije. I to ostro. W klubie Selangor.

Opadł na duży skórzany fotel naprzeciwko. Przez chwilę przyglądał mi się w milczeniu.

Wyobraziłam sobie, co myśli. Bardzo ładna, ale za mało podkreśla urodę. A potem uwięzione w jego ustach słowa wyskoczyły, śmiertelnie zatrwając biedactwo, które nie dość podkreślało swój powab. Oczywiście nic nie zawinił. To nie on odpowiadał za złe inwestycje, które umierającego w szpitalu ojca doprowadziły do bankructwa. Winna była gospodarka. Przekłeta gospodarka, która padła na pysk po fiasku z przejściem przez Georgea Sorosa kontroli nad malezyjskim ringgitem, a kurs akcji załamał się jak domek z kart.

Biernie słuchałam, gdy pan De Cruz, dobierając właściwe słowa, mówił o krachu na giełdzie i nieuchronnych stratach, jakie przyniosły faworyzowane przez ojca inwestycje wysokiego ryzyka.

Stąd też w gruncie rzeczy pozostawił mi w spadku tylko wielkie długi. Na ich spłatę pójdzie także moje drogie mieszkanie.

- Czy ma pani jakąś biżuterię, którą mógłbym sprzedać? - spytał.

Patrzyłam na niego z przerażeniem.

- Ale przecież mój ojciec był multimilionerem! - zaprotestowałam. - Jak to możliwe?
Pan De Cruz wymownie wzruszył ramionami.

- Już mówiłem, gospodarka. Nietrafione inwestycje. Nie udane transakcje... - sypał gładkimi sformułowaniami z ruchliwych ust. - Być może nawet oszustwa, podejrzani macherzy...

- A więc nie mam gdzie mieszkać.

- Niezupełnie.

Błysnął dziwnie zmieszanym uśmiechem winowajcy. Spojrzałam wyczekująco. Uśmiechnął się szerzej i jego chwilowe zażenowanie znikło. Żaden szanujący się prawnik nie dopuszcza do siebie na dłużej poczucia winy.

- Matka pozostawiła pani dom, w którego posiadanie miała pani wejść po ukończeniu dwudziestu jeden lat. A ponieważ mieszkała pani w wygodnym apartamencie, ojciec postanowił nie obarczać córki kłopotami ze starą zniszczoną nieruchomością. Jednakże wobec zmiany sytuacji powinna pani chyba obejrzeć schedę.

- Matka pozostawiła mi dom? - powtórzyłam niemądrze.

- Tak, w Ampangu. Naturalnie sam budynek jest pewnie w opłakanym stanie, ale ziemia to całkiem inna sprawa... Zważywszy na lokalizację, jest warta fortunę. Jej sprzedaż rozwiązałaby wszystkie pani problemy, a nasza firma jest w pełni kompetentna, żeby się tym zająć.

Rzeczowo ściągnął usta i otworzył leżące przed nim akta. O domu powinnam się dowiedzieć po skończeniu dwudziestu jeden lat, jednak na prośbę ojca De Cruz zataił przede mną jego istnienie.

- Kto płacił rentę gruntową? - spytałam.

- Odpowiednie opłaty wpływały automatycznie z konta spadkowego po pani prababce ze strony matki, lecz ten spadek jest na wyczerpaniu. Mam jeszcze dla pani zapieczętowany list, który ojciec powierzył nam na wypadek swej śmierci. Oto klucze i adres.

Pan De Cruz wręczył mi klucze i dokument z adresem i moim nazwiskiem. Zamurowało mnie. Matka zostawiła mi dom, a ten tyle lat ukrywał taką informację! Wstałam raptownie, nie zważając na jego słowotok. Zamilkł.

- Dziękuję - powiedziałam grzecznie i ruszyłam do błyszczących drzwi.

Na ulicy dopadł mnie duszny popołudniowy upał. Wczoraj umarło wszystko, co brałam za pewnik. Dom, który uważałam za swój, nie należał do mnie, a góra pieniędzy nie istniała. W tej chwili liczyły się jednak tylko klucze, które miałam w ręku, i dom matki. Spacerkiem dotarłam do Cherry Lounge. W skroniach czułam lekkie pulsowanie, a w ustach szaloną chęć do śmiechu. Byłam biedna. Co za żart! Życie w bogactwie uczyniło mnie bezradną. Z moim dyplomem z socjologii byłam zbyt wykształcona, żeby pracować jako sekretarka, a na podjęcie innej pracy brakło mi kwalifikacji. Nie mogłam pojąć, w jaki sposób ogromny majątek ojca stopniał

do walącego się domu w Ampangu. Przyszli mi na myśl liczni politycy, którzy witali go z otwartymi ramionami i poklepując po plecach, komplementowali:

- Brawo, brawo, Lukę. Wiem, że na ciebie zawsze można liczyć.

Jak mogło do tego dojść? Nabrałam przekonania, że kiedy ojciec leżał w szpitalu, ograbiono go, obdarto ze skóry. Był zbyt przebiegły i o wiele za sprytny, żeby stracić miliony ulokowane w nieruchomościach, akcjach i na tajnych kontaktach. W grę wchodził jedynie przekręt, ale na myśl o rozpadzie jego imperium robiło mi się niedobrze. Ludzie, którzy doprowadzili do zniknięcia tak ogromnych sum, bez wątpienia zajmowali bardzo wysokie stanowiska, a ojciec za życia z pewnością bacznie ich obserwował, zachowując bezpieczny dystans.

Po drugiej stronie ulicy zobaczyłam bar. U nadskakującego barmana kupiłam podwójną brandy, zaszyłam się w ciemnym kącie i rozsiadłam wygodnie. Czy możliwe, żeby życie odmieniło się w jedno popołudnie? Oczywiście. Uniosłam ciężką zasłonę w oknie. Padało. Nie wiadomo dlaczego poczułam ulgę, że muszę w związku z tym odłożyć obejrzenie domu matki. Ten dom nie był zwyczajnym domem. Jego magię poczułam, gdy tylko usłyszałam o nim z ust De Cruza. Zdjęłam buty, podwinęłam nogi i otworzyłam list. Sprawdźmy, jakie nowe niespodzianki masz dla mnie, drogi tato, po myślałam.

To nie było jego pismo. Wyciągnęłam nogi i usiadłam prosto. Napisany kobiecą ręką list zaadresowano nie do mnie, lecz do ojca. Nie miałam ochoty czytać go w tym okropnym, choć bezpiecznym miejscu, ale oczy same spoczęły mi na nagłówku:

"Drogi Lukę, moim życzeniem w chwili śmierci jest, aby te taśmy otrzymała Niśa. Są to tylko wspomnienia ludzi, których kochałam przez całe życie. Nie mogą Cię zranić. Z pamiętnikami, które Ci zostawiam, zrób, co chcesz. Jeżeli w ogóle kiedyś mnie kochałeś, spełnisz tę moją ostatnią prośbę. Pragnę jedynie, żeby moja córka wiedziała, iż wywodzi się z dumnego rodu niezwykłych ludzi. Nie tak słabych jak ja. Musi wiedzieć, że nie ma się czego wstydzić. Ma w sobie pięknych przodków. Są w jej rękach, twarzy, w radościach i smutkach, które na niej goszczą. Kiedy w upał otworzy lodówkę i uderzy w nią chłód, niech wie, że są w parze jej oddechu. Są nią. Chcę, żeby poznała ich takimi, jakimi znałam ich ja. Niech wie, że ci nadzwyczaj silni ludzie przeżyli znacznie więcej ode mnie i przetrwali.

Ja byłam słaba i żalosa, bo zapomniałam, że miłość jest jak farba, która barwi stroje i płowieje. Mylnie wzięłam ją za strój. Strój to rodzina. Niech Niśa nosi swoją rodzinę z dumą.

Proszę, Lukę. Daj jej te taśmy".

List podpisała Dimple. A więc moją matką była Dimple Lakszmana. Nie Selina Das, jak stwierdzało świadectwo urodzenia, które pokazał mi ojciec. A poza tym nie umarła przy porodzie.

Znała mnie. A ja ją! Spadające na przydymioną szybę duże krople deszczu zjeżdżały po niej w wielkim pośpiechu niczym tłuste, przezroczyście robaki. Byłeś straszliwym kłamcą, tato! - pomyślałam.

Już z daleka wiedziałam, że to dom matki. Zatrzymałam auto i wysiadłam. Zielsko porastające bramę i okalający rezydencję mur z czerwonej cegły niemal zasłoniło nazwę Lara. Obok mnie przystanąło trzech chłopców na rowerach.

- Chyba nie zamierza pani tam wejść, co? - zagadnął z ciekawieniem jeden z nich.

- W tym domu straszy- dodał szybko drugi. - Tam zginęła kobieta! - zawołali wszyscy trzej, - robiąc przerażone oczy. - Makabra! Pełno krwi! Kto tam wejdzie, nie wraca! - ostrzegli, opanowani niepoohamowaną żądzą zburzenia mojego zewnętrznego spokoju.

- To mój dom - odparłam, spoglądając przez żelazną bramę na obsadzony dorodnymi iglakami kręty podjazd.

Z rozdziawionymi ze zdziwienia ustami patrzyli, jak wkładam klucz do zamka, a kiedy metalicznie zgrzytnął, umknęli na rowerach, w pośpiechu zerkając za siebie.

Brama ustąpiła ze szczękiem i mrocznym pogłosem. Już tu kiedyś byłam! Jadąc wijącym się podjazdem, miałam poczucie straty. Straty czego? Iglaki tworzyły ciemnozielony szpaler ciszy.

Zatrzymałam samochód przed domem. Niemal cały fronton i kryty dachówką dach porastały pnącza. Zapuszczony grunt najwyraźniej już dawno temu przegrał bitwę z dzikimi, sięgającymi pasa trawami. Rozbuchane krzewy pnących róż jeżyły się kolcami. Wszystko razem wyglądało posępnie i widmowo.

A jednak dom mnie przyzywał, a oczy ciemnych okien błagały, bym podeszła. Pod drzewem z bujnej zieleni wyłaniał się częściowo zasłonięty posązek chłopca, który unosił ręce w ofiarnym geście, ale jego dar zasłaniało rozbuchane błyszczące zielsko. Minęłam posągi groźnych lwów, strzegących wejścia, i pchnęłam wielkie mahoniowe drzwi. Ustąpiły gładko, zapraszając do środka.

Stałam pośrodku wielkiego salonu i uśmiechnęłam się. Po raz pierwszy od śmierci ojca.

Straszliwie zapuszczone wewnątrz pokrywała calowa warstwa kurzu i pajęczyn, ale byłam w domu.

Bez zadzierania głowy wiedziałam, że na wysokich sufitach namalowano historyczne postaci w pięknych szatach. Spojrzałam w górę. Nawet gruby kozuch pajęczyn nie zaszkodził wspaniałym malowidłom. Przez wybitą szybę w oknie wpadł wróbel, głośno trzepocząc skrzydłami w ciszy.

Usiadł na poręczy i zaczął mi się przyglądać. Niegdyś ta po ręcz lśniła. Byłam tego tak pewna, jak koloru podłogi pod stopami. Gdy prawym butem zatoczyłam mały łuk, odsuwając warstwy uschłych liści, gałązek, ptasich odchodów i nagromadzonego przez lata kurzu, na gładkiej czarnej powierzchni ujrzałam swoje odbicie. Wreszcie odnalazłam czarną marmurową posadzkę z moich koszmarów sennych. Po mocnych, pulchnych rękach panien i cherubinów dokazujących w chmurach na suficie przemknęły zaniepokojone niezwykłym hałasem jaszczurki. Choć moim krokom wtórowało upiorne echo, wcale nie czułam się intruzem, jak gdyby ci namalowani, nieruchomi ludzie na mnie czekali.

Kiedy się rozejrzałam, odniosłam wrażenie, że mieszkańcy tego domu opuścili go, zamierzając szybko wrócić. W pękatej wazie dostrzegłam wyschnięte gałązki, w misie na owoce za kurzone pestki, a na miniaturowym fortepianie kryształowe karafki i oblepione kurzem fotografie.

Podeszłam, zdmuchnęłam kurz ze zdjęć i zobaczyłam siebie z piękną kobietą z moich snów, której twarzy nie zdołał pochłonać wąż pożerający pamięć. Kim była? Dimple Lakszmaną? Moją zmarłą matką? Skoro tak, to kobieta, której zdjęcie pokazał mi ojciec, była jeszcze jednym jego kłamstwem.

Na niskim, ślicznym marmurowym stoliku do kawy leżała sterta kolorowych magazynów.

Pierwszy z wierzchu miał datę z sierpnia 1984. Z roku i miesiąca, w którym wpadłam w czarną dziurę. No, no.

W głębi, na przeciwległej ścianie wisiał pokryty siwym kurzem obraz w ozdobnej ramie.

Stałam na krześle i chusteczką oczyściłam środek. Wyłonił się kobiecy tors. Nieco wyżej - twarz.

W pięknej kobiecie o smutnym spojrzeniu od razu rozpoznałam matkę. Odkurzyłam cały portret, zeszałam z krzesła, cofnęłam się o krok i nagle poczułam, że już nie jestem sama. Nagle otoczyli mnie wszyscy zmarli krewni ze strony mojej matki i po raz pierwszy, odkąd wyszłam z czarnej dziury w świat, w którym nie znałam nikogo, przestałam się czuć samotna.

Dziwnie zadowolona i pokrzepiona, odeszłam od portretu i ruszyłam po marmurowych schodach w górę. Na chwilę ujrzałam przed oczami spadającą dziewczynkę. Zatrzymałam się, odruchowo sięgając ręką do małej srebrzystej szramy na głowie. Nie miałam już wątpliwości. To ja spadłam z tych schodów. Koziółkując po nich w dół, wołałam: "Mamo, mamo!". Wypadek wyglądał inaczej, niż twierdził tata. Wcale nie zdarzył się na zebrze.

Z jakiegoś strasznego powodu ojciec wyrwał mnie z korzeniami z domu, w którym mieszkałam z matką. Zostawił w nim wszystko, co znałam, i przesadził w całkiem nowe otoczenie.

A ponieważ nie zabrał stąd nic, to dom sprawiał wrażenie, jak by ktoś wyszedł z niego na chwilę po mleko i już nie wrócił. Zrozumiałam, dlaczego tak postąpił. Chciał odciąć mnie od wszystkiego, co mogłoby wyzwolić wspomnienia o poprzednim życiu. Zawsze się ich bał.

Na piętrze otworzyłam pierwsze drzwi na lewo. W wyobraźni natychmiast ujrzałam małą dziewczynkę, która leży na łóżku i rysuje. To był mój prawdziwy pokój, a nie ten różowy, do którego wprowadził mnie ojciec, gdy wyszłam ze szpitala. Rozpoznałam niebieskie zasłony w żółte słoneczniki. Wybrała je mama.

Ostrożnie otworzyłam szafę i cofnęłam się nieco przed nie spodziewanie silną wonią kamfory. Wiszące w środku ubrania były zbyt wspaniałe dla siedmioletniej dziewczynki. Co za sukienki! W jakim świetnym stanie. Mój wzrok przyciągnęły czerwone sandały z pięknymi różowymi kokardami. Za mknęłam oczy, na próżno usiłując przywołać wspomnienia. "Już niedługo - przyrzekłam sobie. - Już niedługo przypomnisz sobie wszystko". Przesunęłam palcami po swych dawnych strojach, zaskoczona, że tak świetnie się przechowały. Zza łóżka dobiegło mnie szuranie.

Szczury. Drzwi szafy były wyjątkowo solidne.

Raptem ujrzałam siebie w ogrodzie. Stałam nad małą sadzawką, w której pływał drogi złotoczerwony karp. Ale obraz ten zniknął równie nagle, jak się pojawił. Pośpieszyłam do okna.

Ze środka zarośniętego dziedzińca łypała na mnie niczym podejrzliwe oko ogrodu brudna ponura sadzawka. Po myślałam sobie, że patrzy z wyrzutem, jakbym to ja była winna, że woda w niej zzieleniała z zaniedbania. Wyszłam ze swojej dawnej sypialni, podążyłam łukowatą galeryjką z widokiem na salon w dole, otworzyłam następne drzwi i mnie zatkało.

Pokój był urządzony identycznie jak ten w domu ojca. No, no, coraz ciekawiej, pomyślałam.

Tata mieszkał tu z mamą i ze mną! Coś sprawiło, że zabrał mnie stąd i uciekł, zostawiając wszystko. Na widok tej spartańskiej sypialni poczułam ciarki. Przeszłam przez nią i otworzyłam drzwi do pokoju obok.

Panował tam miły półmrok i cisza, w której słyszałam własny oddech. Zasłony były szczelnie zasunięte. Bardzo powoli, niemal niepostrzeżenie, dotarło do mnie.

że nie jestem sama. To wrażenie przypominało przebudzenie się na plaży z drzemki pod dotykiem liżących stopy ciepłych, miękkich fal. Czułam się pewnie i bezpiecznie, jakby obok siedział ktoś bardzo kochany i drogi. Uczucie to było tak silne, że obeszłam wielkie łóże i zajrzałam za zasłony.

Oczywiście nikogo tam nie znalazłam. Rozsunęłam je. Wieczne słońce, które wpadło do środka, wycinając w powietrzu zakurzone magiczne przestrzenie, przegnało z pokoju dziwną obecność.

Poczułam się, jak bym coś straciła. Wyminęłam starannie posłane, spowite warstwą grubego kurzu łoże z baldachimem i otworzyłam rzeźbione drzwi w rzędzie pięknych, wbudowanych w ścianę szaf.

Na niezliczonych wieszakach wisały wykwintne, znakomicie zachowane stroje. Wspaniałe lata siedemdziesiąte mieniły się przede mną bogactwem paciorków, haftów i kolorów. Wydało mi się, że poznaję niebieskozieloną suknię i kolię z kryształów górskich. Że pamiętam własne słowa: "Jakie to śliczne, mamusiu!". Zamknęłam oczy i ujrzałam szczupłą wirującą postać w skrojonej ze skosu sukience, która fruwała wokół jej nóg jak olśniewający motyl. To była ona. Dimple Lakszmana, moja matka.

Ostrożnie zdjęłam suknię z wieszaka, stanęłam przed lustrem w drugim końcu pokoju i przyłożyłam ją do siebie. Mama miała niemal takie same wymiary. Zdjęłam bluzę i dzinsy i włożyłam suknię przez głowę. Pachniała naftaliną, była chłodna i piękna. Starannie wygładziłam atlasowy materiał na biodrach.

Jak w transie otrzepałam z kurzu wyścielany stołek przed toaletką i usiadłam. Ligninowymi chusteczkami oczyściłam lustro i przejrzałam kosmetyki na długim blacie. Otworzyłam matowo różową pomadkę w niebieskiej oprawce. Pachniała starą wazeliną, ale pozostała zadziwiająco wilgotna. Od Christiana Diora. Aż się prosiła, by jej użyć. Wysunęłam szminkę, pociągnęłam nią usta, a potem nałożyłam szalenie modny w latach siedemdziesiątych, niebiesciutki jak zimorodek, błyszczący cień do powiek. Stanęłam przed lustrem. Ujrzałam komiczną kobietę z podmalowanymi niebiesko oczami i uszminekowanymi ustami. Posmutniałam, choć nie wiedziałam dlaczego. Z tego smutku zasunęłam zasłony i nie zważając na kurz, usiadłam na łóżku. I wtedy zdałam sobie sprawę, że wraz z zasłonięciem okna nastrój w pokoju zupełnie się zmienił. Ponownie poczułam, że mam towarzystwo. A kiedy spojrzałam w lustro w drugim końcu pokoju, zobaczyłam w nim kobietę z portretu na dole. W półmroku wyglądała pięknie, pięknie jak moja matka. A więc jednak nie byłam podobna do ojca. Oczarowana, tak długo wpatrywałam się w swoje zdumione odbicie, aż przywołałam scenę z przeszłości.

Mama, wystrojona w tę właśnie sukienkę, wybierała się na jakieś przyjęcie. Zobaczyłam wyraźnie nasz olśniewający rzymski salon z imponującymi kompozycjami kwiatowymi, wielkimi kryształowymi paterami pełnymi owoców, posadzką, kryształowymi żyrandolami, lampami, poręczami, kremowym wiktoriańskim szezlongiem, mahoniowym stołem i kompletem dużych kanap - wytwornych, nowych, bez śladu kurzu, brudu i zwierzęcych odchodów. Czekaając na powrót taty z pracy, układała kwiaty na stole i cicho płakała.

Ciach, ciach, ciach, cięła nożyczkami. Przystrajała duży stół, zestawiając krwistoczerwone róże z czarnymi łapami kangura.

- Dlaczego płaczesz, mamusiu? - spytałam.

Wspomnienie zgąsło i znów ujrzałam w lustrze subtelnie odmienioną siebie. Zeszłam na dół w sukni mamy. Nie tylko wyglądałam inaczej, inaczej też się czułam. Czułam się u siebie. Było tak cicho i spokojnie, ale zbliżał się zmierzch, a w domu nie było światła ani gazu. Podnóża schodów strzegły po bokach zakurzone, pokryte pajęczynami, zabejcowane na heban figury Maurów ze świecznikami w rękach. Weszłam do kuchni, żeby poszukać świec.

Lodówkę opróżniono, za to w kredensach zostało mnóstwo jedzenia. Paczki z makaronem błyskawicznym, pudełka z mlekiem w proszku, puszki z sardynkami, puste pudełka po kaszach przewracane przez szczury i mnóstwo słoików z domowymi marynatami z mango. W innej szafie odkryłam butelkę leśnego miodu, który rozwarstwił się na twardy matowzłoty spód i gęsty ciemnobrązowy płyn. Znalazłam też świece. I wtedy spostrzegłam pęk kluczy. Jeden z nich pasował do kuchennych drzwi. Pchnęłam je mocno. Otworzyły się na mroczniejący ogród. Słońce już się skryło za ceglany murem. W zapadającej szarówce przestąpiłam próg i ruszyłam krótką kamienną ścieżką, niemal całkowicie zarośniętą bujną roślinnością. O dziwo, było tu bardzo cicho. Uliczny szum do cierał z bardzo daleka, a zbliżająca się noc dopiero zaczęła przystrajać drzewa i ziemię w stonowane odcienie fioletu. W zaciszu ogrodzonego wysokim murem, zapuszczonego ogrodu doświadczyłam przemilego wrażenia, że porzuciłam zewnętrzny świat i odkryłam cudowną tajemnicę.

Czymże bowiem jest raj, jeśli nie ogrodem?

Minęłam grządkę warzywną, dawno temu skolonizowaną przez niespożyte trawy i wielkolistne chwasty. Z ziemi sterczały niczym szkielety indiańskich wigwamów kosiście ułożone, związane u góry patyki, wyblakłe i blade jak kora brzoź. Kiedyś pięły się po nich warzywa.

Obecnie oblepiały je fiołkoworóżowe i szare ślimaki, w przyjemnym bezruchu zwinięte grupami wysoko ponad orgią dzikiej roślinności. Kwiaty rosnącego bliżej muru mangowca wydały z siebie drobne owoce - twarde zielonkawe guzy - które zwieszały się nisko w pękach. Z drzewa zwisał postrzępiony hamak. Przypomniałam sobie, gdy zupełnie nowy kołysał się wolno w mgławicowym cieniu. Ktoś w nim leżał. Leciutki wiaterek przywiał do mnie pulsujący śmiechem głosik: "Gonię cię!".

Obejrzałam się, ale nie zobaczyłam nikogo. Kamienna ścieżka urwała się nagle i stanęłam w sprężystym mchu. Po lewej, pośrodku małej słonawej sadzawki tkwił omszały posąg Neptuna.

Tuż obok rozkwitł mały krzew, z którego wiotkiej gałązki zwisał ciężki różowawy kwiat, prawie tak duży, jak mała główka kapusty. Skłoniłam się, żeby go powąchać, i przez moment zobaczyłam siebie, pochyloną nad sadzawką, a w jej przezroczystej wodzie czyjaś twarz. Roześmianą, ciemną, trójkątną. Obraz ów pojawił się i znikł. Sadzawka dawno obumarła. Spostrzegłam, że łypie na mnie podejrzliwie brązowa, plamiasta ropucha. Weszłam w głąb ogrodu.

Na jego końcu dojrzałam niemal całkowicie skrytą pod pnączami małą drewnianą szopę.

Resztki pomarańczowych dachówek ginęły pod dużymi, lśniącymi, sercowatymi liśćmi bluszczu, które obrastały prawie całe wejście, grożąc, że dach zawali się pod ciężarem rozbuchanej masy listowia. Odgarnęłam na bok część pnączy, przykucnęłam przed drzwiami i zajrzałam do środka.

W półmierzchu wypatrzyłam stół, krzesło i małe łóżko, a może drewnianą ławę. Nie odważyłam się wejść. Mogły tam być węże. Nagle coś błysnęło jak złoty pierścionek i wydało mi się, że w pomroce przesuwają się szeroko uśmiechnięta trójkątna twarz, którą widziałam w sadzawce.

Wiekowa twarz o życzliwych oczach. Twarz nie do zapomnienia, z wytatuowanymi ciemnozielonymi kropkami i rombami przypominającymi konstelacje gwiazd. Wyrastając ze środka brwi, zbiegały z czoła na skronie i wysokie policzki. Jakieś dziecko zaśmiewało się do rozpuku.

Starsza pani z tatuażem łaskotała je po brzuchu. Wyteżyłam wzrok, ale w ciemnościach nic już się nie poruszyło. Staruszka ze złotym pierścionkiem i chichoczące dziecko były pewnie biszkoptowe, bo rozplynęły się w mroku zakurzonej szopy jak okruszki biszkoptów w kubku herbaty. Zrobiło się ciemno. Wstałam i ruszyłam powoli z powrotem, przechodząc koło sadzawki. Tatuaż... Kto go nosił? Nagle mnie olśniło. Droga, kochana Amu!

Po powrocie do kuchni zamknęłam na klucz drzwi do ogrodu, zaczekałam, aż oczy przywykną do gęstszego mroku w domu, wzięłam pudełko ze świecami i z jedną zapaloną poszłam do holu. Tam usunęłam ze świeczników gruby całun kurzu i pajęczyn, umieściłam w nich świece i zapaliłam. Po ścianach tańczyły żółte płomyki, a w kątach czaiły się tajemnicze cienie.

W świetle mali Maurowie prezentowali się wspaniale, a ich ładne hebanowe twarze połyskiwały jak gładkie czarne kamienie w blasku księżyca. Nie pamiętałam ich lekko zdziwionych min, ale znałam imiona. Nazywali się Salib i Rehman. Kiedyś byłam ich wzrostu. Światło świec rozbudziło towarzystwo na suficie. Pulchne nimfy, idealnie proporcjonalne kobiety o nie śmiałych twarzach, i kędzierzawi mężczyźni ożyli. Cały ten dom i wszystko w nim czekało na mnie.

Może rzeczywiście tu straszło, ale nic się nie bałam i było mi dobrze. W tym za puszczone, pustym domu było mi dobrze i czułam się znacząco lepiej niż w chłodnym, luksusowym mieszkaniu w Damansarze, lecz gdy w kątach zaległ czarny mrok, a delikatny stukot pazurków na marmurowej posadzce przybliżył się i na silił, uznałam, że chociaż nie chcę, muszę jechać. Nie uśmiechało mi się zawierać znajomości ze szczurami zamieszkującymi mój dom. Zdmuchnęłam świece, porządnie zamknęłam drzwi i odjechałam z ciężkim sercem, jakbym pozostawiała coś ważnego.

Magnetofon wyłączyłam o drugiej w nocy. Za oknem wyła potępieńczo wichura. Łomotała drzwiami balkonu jak wściekły duch, usiłujący za wszelką cenę wtargnąć do środka.

Rozejrzałam się bez żalu po mieszkaniu pełnym luksusowych rzeczy i pomyślałam, że nie odczuję ich straty. Nie byłam do nich przywiązana. Niektóre mogły zaspokoić najbardziej wyrafinowany gust. W zeszłym tygodniu wszystko wyglądało inaczej. Za tydzień powinnam upodobnić się do innych: poszukać pracy, zostać sekretarką, kupować odzież w domach towarowych, sama sobie prac i gotować...

Wzruszyłam ramionami.

Przede wszystkim chciałam zgłębić tajemnicę otaczającą moją matkę, rozwiązać zagadkę czarnego marmuru, pojawiającego się w złych snach, wyjaśnić, dlaczego na dźwięk ciekącego kranu dostaję dreszczy i dlaczego tak źle reaguję na czerwień i czerń. Budziły się we mnie uśpione uczucia. Zdawało mi się, że przypominam sobie prababkę Lakszmi, lecz niełatwo mi było skojarzyć jej młody, pełen życia głos z taśm z siwą, pamiętaną jak przez mgłę staruszką. Czy rzeczywiście była nieszczęśliwą starą kobietą, która, siedząc w plecionym fotelu, oszukiwała przy grze w chińskie szachy?

Tak bardzo wciągnęła mnie opowieść pradziadka Ai, że za pomniałam o kolacji. Gospościa zostawiła mi w kuchni w pojemnikach kilka dań. Nagle strasznie zgłodniałam. Usiadłam i, co zupełnie do mnie niepodobne, rzuciłam się najedzenie.

Raptem przestałam jeść. Co mnie napadło? Skąd ta nagła, niebywała żarłoczność? Przed oczami stanął mi chłopiec wymiotujący na talerz. "Czuję smak tego, czym ją karmią!" - zawołał dziko Lakszmana do staruszki ze szpakowatymi włosami i niedolą w oczach. Ale nie, Lakszmi miała wtedy cudowne, gęste czarne włosy i śmiałe, gniewne oczy. Odsunęłam od siebie talerz.

Nerwowo przemierzyłam salon i wyszłam na balkon. Włosy i sukienkę natychmiast potargał mi silny wiatr. Zateśkniłam za domem matki. Za moim domem. Wdychałam dziką, mokrą woń wiatru z deszczem, który siekał mi twarz. Gdzieś blisko uderzył piorun. Głosy w mojej głowie walczyły o przestrzeń, o uwagę. Kiedy wreszcie zrobiło mi się bardzo zimno, wróciłam do środka.

Spod prysznicu wyszłam rozgrzana i wyczerpana. Przed lustrem wysuszyłam włosy. Dochodziła czwarta rano. Przy rzekłam sobie, że jutro wrócę do Lary. Zamierzałam przenieść się tam bezzwłocznie. Wyłączyłam suszarkę i w lustrze zobaczyłam swój zaskoczony wzrok. Przyjrzałam się zielonym cętkom w mych źrenicach. Nefretete umarła, ale pozostawiła mi oczy.

Znikły z nich rezerwa i chłód - zastąpiły je ogień i dzikość, przydające im wyrazu szaleństwa.

Uśmiechnęłam się do lustra. Nawet mój uśmiech wyglądał inaczej.

- Zaśnij, żebyś rano, zaraz po obudzeniu, mogła rozpocząć przeprowadzkę do nowego domu - powiedziała efektywnej dziewczynie w lustrze.

A potem położyłam się w pościeli, słuchając odgłosów srogiej burzy za oknem. Rzuciłam się i przewracałam, aż wreszcie wstałam z łóżka, zapaliłam światło i wcisnęłam w magnetofonie klawisz odtwarzania.

Radha

W krótkim liście do Niśi, wysłanym na adres jej ojca, przedstawiłam się jako krewna ze strony matki. Zazaczyłam, że piszę dopiero teraz, gdyż Lukę Steadman nie życzył sobie żadnych kontaktów z naszą rodziną. Ale po przeczytaniu w gazecie jego nekrologu zapragnęłam ją poznać.

Gdyby więc miała chęć odpowiedzieć, to proszę o telefon.

Kiedy przyjechała, córka wprowadziła ją do mojej ulubionej izby w domu - wielkiej kuchni.

Niśa była piękna. Przywitała się ze mną ostrożnie, z uwagą przyglądając się mojej wykrzywionej twarzy i rzadkim siwym włosom. Wiem, że wyglądam jak maskaron.

- Siadaj - zaprosiłam ją z moim krzywym uśmiechem. - Napijesz się herbaty?

- Tak, dziękuję - odparła miłym, kulturalnym głosem. Przynajmniej tyle zawdzięczała Lukeowi - oglądę i polot. Z miejsca ją polubiłam.

- Skosztuj - zachęciłam, stawiając przed nią koszyczek z jajkami.

Spojrzała na mnie bez wyrazu, ale usłyszałam jej myśli:

"No, nie, staruszczyzna ma w mózgu więcej tłuszczu niż protein".

Z uciechą wzięłam jajko, postukałam nim w talerz i złamałam w palcach, lecz ze środka nie wypłynęły białko i żółtko. Bo to pomysłowe jajo było zrobione z ciasta, migdałów i kremu, a skorupka z barwionego cukru.

Niśa roześmiała się. No jasne, przecież Radha to cukierniczka! Dziś przygotowała coś prostego - kilka jajek.

- Co za talent! - powiedziała, biorąc ciastko, a kiedy wbiła w nie drobne białe zęby, jej usta oznajmiły, że jest pyszne. - Cudowne, fantastyczne!

Usiadłam naprzeciwko niej.

- Jestem Radha, twoja stryjeczna babka - przedstawiłam się. - Wiedz, że twoja mama, Dimple, odmieniła moje życie. Jestem stara i niedługo pożegnaj ten świat, ale pragnę, żebyś wiedziała, co zrobiła dla mnie przed laty. Nie znałam drugiej tak cudownej i życzliwej osoby.

Pewnego popołudnia, trzydzieści jeden lat temu, gdy lukrowałam ciasto, usłyszałam wołanie od drzwi. Za progiem stała twoja mama. Miała wtedy... Zaledwie piętnaście lat! I też była śliczna.

- Muszę z tobą pilnie porozmawiać, stryjenko - oświadczyła.

- Wejdz - zaprosiłam ją, zaskoczona.

Powinnam zatrzaskać jej drzwi przed nosem, bo naprawdę nie chciałam mieć nic wspólnego z rodziną byłego męża. W większości bandą kłamców, oszustów i złodziei. Okrutnych drapieżników. Lecz to dziecko było inne, niewinne i skrzywdzone. Kiedy u nich mieszkałam, matka traktowała ją bardzo źle. Pragnęłam jej pomóc, ale w końcu to ona przyszła mi z pomocą.

Poczęstowałam ją sokiem; odmówiła.

- Dlaczego nie lubisz babci? - spytała prosto z mostu.

- Och, to bardzo długa historia - odparłam, ani myśląc zwierzać się temu dziewczątku, jednak po chwili, o dziwo, wylałam z siebie wszystkie żale.

Zaczęłam od samego początku, kiedy do naszego domu w Serembanie zawitała poszukująca narzeczonej, rozplywająca się w uśmiechach Rani, jej matka. Rani nas oszukała. Po kazała zdjęcie swojego męża, Lakszmany, zapewniając, że ten, którego mi rai, wygląda identycznie.

- Są braćmi - wyjaśniła ta chciwa baba, myśląc o swojej prowizji. - Są tak podobni do siebie, że ludzie ciągle ich mylą. Spojrzałam na zdjęcie i strasznie zapragnęłam twojego dziadka. A tak, tak było! Ta wiedźma od razu domyśliła się, że jej mąż to mój wymarzony mężczyzna. Przejrzała mnie od samego początku. I wiedziała, na jakich grać strunach.

- Chcesz pomóc Lakszmanie, to daj mi swój posag - po wiedziała.

Czy mogłam odmówić? Przejrzała mnie od samego początku. Ale nie wzięła pod uwagę, że jej Lakszmana może się od niej odwrócić i zainteresować mną. Bawiła ją myśl, że mieszkająca u niej biedna szara myszka potajemnie pała uczuciem do jej męża. Chciała zadreczyć mnie swoim szczęściem. Kładła rękę na potężnym, muskularnym torsie Lakszmany i kazała mu przynosić z sypialni pantofle, bo rzekomo łamał ją artretyzm. Umyśliła sobie zabawić się moim kosztem.

Nie przewidziała, że wystarczy jedno spojrzenie, by jej uświadomić, jak słabą ma władzę nad mężem.

W każdym razie zgodziłam się na to małżeństwo i czekałam na spotkanie z przyszłym małżonkiem. Tydzień później zobaczyłam go na własne oczy. Lakszmana i mój narzeczony różnili się od siebie jak dzień od nocy. Gdy ujrzałam tego odrażającego brzydala w domu ciotki, doznałam wstrząsu. Powinnam natychmiast zerwać przygotowania do ślubu, ale wszyscy ci ludzie, krewni, kwiaty, sari, biżuteria i ceremonie tak mnie oszołomiły, że straciłam głos. Chodziłam jak błędna.

Nie mogłam mieć twojego dziadka, więc zatraciłam się w pracy. Odtąd od wczesnego rana tyrałam, aż padałam z nóg. Pracowałam całymi dniami, by nie myśleć o swoim strasznym milczeniu. A im bliżej było do ślubu, tym w głębszą wpadałam rozpacz.

Plakałam, samotna, w łóżku. Upragniony mężczyzna miał wkrótce zostać moim szwagrem.

Nikt nie znał mojej wstydlivej tajemnicy. Czyż mogłam ją komuś wyjawić? Każdej nocy brałam swoją biedną miłość, która nie śmiała oddychać za dnia, i w ciemnościach utulałam ją do snu. Moje milczenie rosło i rosło, w końcu zrobiło się za późno na słowa.

Nadszedł dzień ślubu. I katastrofa. Kiedy straciłam zajęcie dla rąk, w środku mnie pękła tama i popłynęła rzeka łez tak potężna, że wymyła mi z nosa kolczyk. Tyle łez wylałam, a nikt się nie zainteresował, co mi jest. Nikt nie otworzył ust, żeby spytać: "Co się stało, dziecko?". Gdyby spytali, to mogłabym powiedzieć im, co. Powiedziałabym. Nie wyszłabym za mąż. Ale nikt się mną nie przejął. Niestety, nie miałam matki. A takie pytanie mogła zadać tylko ona.

A potem zamieszkałam w domu twojej prababki Lakszmi. Choć starała się być miła, czułam, że i ona dopomogła w tym oszustwie. Wspólnie ukartowano moje małżeństwo z jej synem idiotą.

Pogardzała nim. Okazywała to nie słowami, lecz głosem, spojrzeniami, zachowaniem. Bardzo dyskretnie, tak że tego nie zauważał, ale ja widziałam dobrze. Żeby nie myśleć o tym, jak strasznie zostałam oszukana, od rana do wieczora gotowałam i czyściłam. Bez ustanku. Sprzątanie od podłogi po dach i szorowanie ciała szczotką aż do podrażnienia przy nosiło mi ulgę. A jak mocno szorowałam brzuch, którego nikt nie oglądał. Czasem robiły mi się na nim pęcherze i krwawił, lecz zadawanie sobie bólu sprawiało mi perwersyjną przyjemność. W łazience ze złośliwą satysfakcją oglądałam swoją po drapaną, zaognioną skórę.

A potem poszliśmy na kolację do Rani.

- Zostańcie. Zamieszkajcie u mnie – zachęciła. - Potrzebuję towarzystwa.

Spojrzałam na męża - on swoimi baranymi oczami na mnie - i nieśmiało skinęłam głową. To była zła decyzja, ale w tamtej chwili moje dumne serce tańczyło i skakało na myśl o codziennym widywaniu ukochanego. "Chcę tylko na niego patrzeć" szeptało, aż się wstydziłam. "To mnie nasyci" kusilo, pompując i wzdychając. Gotowanie i sprzątanie dla Lakszmany sprawiało mi radość. Rozkwitałam, kiedy zachwyconym uśmiechem kwitował moje kulinarne dzieła. Spokojnie czekałam na każdy posiłek, aby patrzeć, jak coraz chętniej za siada do stołu. Niestety, za często mnie chwalił.

Wiem, że Rani to twoja babka, ale jej serce jest jak garść piachu. Widziałam, jak się zaciska i twardnieje od jadu i nie nawiści. Śledziła mnie uważnie, lecz nie miałam się z czym kryć ani czego wstydzić. Byłam cicha, porządna i ciężko pracowałam. Aż wreszcie kiedyś twój dziadek przyniósł do domu kawałek mięsa i zostawił je w kuchni na stole, zawinięte w gazetę. Miałam ochotę śmiać się ze szczęścia, bo poczułam się tak, jakby podarował mi bukiet wonnych kwiatów.

Zrobił to pierwszy raz. Odwinęłam pakunek. W środku było mięso dzikiego roślinożernego nietoperza.

Od razu przystąpiłam do pracy. Najpierw zanurzyłam mięso w sosie cytronowym, a potem je rozbiłam. Gdy stało się jedwabiste, dla skruszenia zawinęłam je w liść melonowca, by rozpływało się na języku i żeby po odejściu od stołu Laksznanę prześladował jego smak. Godzinami kroiałam, siekałam, tarłam, ubijałam i wachlowałam palmowym liściem nad paleniskiem, tak że garnek ledwo pyrkotał na żarzających się węglach. Sekret tej potrawy polegał naturalnie na dodaniu pokrojonego w drobną kostkę kwaśnego mango. W końcu moje mięciutkie jak aksamit dzieło było gotowe.

Postawiłam je na stole i zawołałam wszystkich. Kiedy Lakszmana włożył do ust kawałek fioletowego mięsa, mimo wolnie westchnął. Nasze oczy spotkały się i w jego spojrzeniu dostrzegłam pożądanie, chwilę później wyparte przez świadomość, że jego żądzę czeka los morskich fal, które muszą cofnąć się od brzegu. Zmieszany, opuścił wzrok na talerz, a potem spojrzał na twoją babkę, jakby nagle sobie o niej przypomniał. Rani świdrowała go szparkami oczu.

Z pulsującą twarzą, bez pośpiechu spróbowała mięsa, które u jej męża wywołało westchnienie rozkoszy.

- Za słone! - oświadczyła, zdecydowanym ruchem odsuwając talerz.

Nagle wstała, przewracając krzesło, i sztywnym, gniewnym krokiem poszła do sypialni.

Jedzenia nie przerwał tylko Dżejan. Tylko jego było słycać w jadalni. Głuchy i ślepy na miotające nami silne emocje, zjadał w najlepsze. Krótka trwała cisza przed burzą, bo Rani nagle powróciła i na cały głos wrzasnęła;

- To ja przygarnęłam cię pod swój dach i karmiłam, a ty tak mi się odwdzięczasz? Wynoś się z mojego domu, kurwo! Jeden brat ci nie wystarcza?

Cóż mogłam na to powiedzieć? Owszem, pragnęłam jej męża, ale wiedziała o tym, zanim mnie do siebie zaprosiła i zabrała pieniądze.

Pieklila się i pomstowała, dopóki Dżejan nie znalazł nam mieszkania, pokoiku nad chińską pralnią chemiczną. Weszliśmy tam po skrzypiących, oświetlonych słabą, nieosłoniętą żarówką schodach jeszcze tego samego dnia o dziewiątej wieczorem. Krzyknęłam, bo spod nóg smyrznął mi szczur wielki jak kot. Pokój był malutki. Z jednym oknem i ścianami z nieheblowanych desek, kiedyś pomalowanymi na jasno niebiesko, o czym świadczyły resztki farby w tym kolorze. Na drewnianym łóżku w kącie leżał poplamiony materac, w drugim zaś stał stół z trzema stołkami.

Wszystko obrosnięte szarym jak pleśń brudem. Mój romans dobiegł końca. Jakby zawstydzony, skrył się za zasłoną. W tym małym ciemnym pokoju ze wspólną łazienką, którą

musieliśmy dzielić z największymi brudasami pod słońcem, znenawidziłam mojego męża. Nienawiść do niego narastała powoli, więc z początku jej nie zauważyłam, ale w końcu wybuchła. Nienawidziłam leżeć przy nim w nocy i słuchać jego oddechu. Nienawidziłam dzieci, które mu urodziłam. Nienawiść tkwiła we mnie jak gruda, czułam ją dzień i noc. Czasem, gdy w jego obecności miałam w ręce nóż, musiałam się bardzo pilnować.

Dzięki temu zapomniałam o niespełnionej miłości do jego brata. Przekonałam siebie, że nie ma takiej łąki, na której co dzień rozkwitają kwiaty. Wmówiłam sobie, że podły świat jest polem bezlitosnych ludzkich serc, pulsujących chciwą żądzą życia. Mijały lata, a z mojego ciała wypadały dzieci. Patrzyłam na nie i w ich oczach widziałam mojego męża. Za to także nimi gardziłam.

Ale też za to, jak mówiły i jadły. Próbowałam wykorzystać z nich wszelkie jego cechy i bezlitośnie je karałam. Wpajałam w nie, żeby się ich wstydzili. Zawiedzione nadzieje i nienawiść przemieniły mnie w okrutnicę!

Na drutach i na drzewach naprzeciwko naszego ciasnego pokoiku siedziały setki wron.

Moje córki stawały w oknie i patrzyły na rzędy gapiących się czarnych ptaszysk z pomarańczowymi dziobami i oczami jak paciorki. Te zdyscyplinowane czarno-pomarańczowe szeregi wyglądały złowieszczo. Czasem nawiedzały mnie złe sny, że wrony przebijają ciemne szyby i wśród fruujących kawałków szkła obsiadają moje dzieci. Dziobały ich twarze, wrywały kawałki ciała, a my z mężem siedzieliśmy beczynnie i na to patrzyliśmy. Wariowałam tam.

Co noc, kiedy mąż i dzieci spały, słyszałam cichy szept Mai, prawnuczki szefa kuchni za złotych czasów imperium Mogołów. Wychowałam się na jej kolanach. W dzieciństwie codziennie błagałam ją o opowieści i pasjami chłonełam historie o ekscesach popełnianych na cienistych dziedzińcach i w labiryncie prywatnych komnat, do których dostęp miała jedynie rodzina, służba i eunuchowie. Szeptala w moje nienasycone uszy niespisane opowieści, przekazywane z pokolenia na pokolenie z ust do ust. Wiedziała o swawolnych namiętnościach, straszliwych przypadkach zazdrości, niesłychanych ekstrawagancjach, znała nieupublicznione dworskie intrygi, historie o królewskim kazirodztwie i przykłady potwornych okrucieństw na skalę dotąd nieznaną.

"Są rzeczy, które widzieli tylko służący i eunuchowie" - powiedziała mi kiedyś ta stara bezdzietna kobieta. Nie zdawałam sobie sprawy, że to na jej kolanach nauczyłam się sztuki wyjątkowego okrucieństwa, które osiadło we mnie jak muł.

Tego dnia wypadły urodziny męża. Obudziłam się wcześniej rano. Niebo było złociste, w powietrzu wisiała mgła. Dzieci spały, a ręka Dzejana nadal spoczywała na moim brzuchu. "Obudzisz się wreszcie?" - rozbłysło mi w głowie. Moje biedne serce. Od lat nie myślałam

o Lakszmanie. Gdy to sobie uzmysłowiłam, leżąc w zmiętej pościeli i czując na brzuchu ciężką rękę męża, ogarnęło mnie obrzydzenie.

Wytrącona z równowagi, wstałam z łóżka, wyszłam z pokoiku, przestąpiłam zgrabnie przez szczury wielkie jak koty i stanęłam w chłodnym porannym powietrzu. Przypomniały mi się dawne czasy, kiedy z kosza z bielizną do prania brałam koszule Lakszmany i pocierałam nimi policzek.

Pachniały piżmem. Zapragnęłam dotknąć jego twarzy. Nagle tak za nim za tęskniłam, że w oczach zapiekły mnie łzy, a w sercu zagościł dziwny ból. Postanowiłam upiec ciasto. Poszłam do sklepu przy naszej ulicy i z oszczędności na porządne mieszkanie beztróska zakupiłam cukier puder, migdały, barwniki spożywcze, jajka, masło czekoladowe i dobrą mąkę. W domu wyłożyłam wszystkie produkty na stół i zabrałam się do roboty. Bardzo trudno nadać ciastu pożądany kształt, zbliżony do kanciastego jaja. Dokładnie zaplanowałam, co zrobię. Był wczesny ranek i dziewczynki rysowały sobie cicho w kącie pokoju.

Pracując, nuciłam pod nosem. Bardzo je to zdziwiło. Pierwszy raz słyszały, jak śpiewam.

Upiekłam ciasto i po odcięciu zbędnych kawałków wyłożyłam je na półmisek. Gdy marcepanowa masa mocno zbrązowiła, zaczęłam ją ugniatać, aż stała się ciepła i miękka. Rozwałkowałam ją starannie i zarzuciłam niczym chustę na upieczone kanciaste jajo. Z łupin cebuli wycięłam kółka wielkości monety pięciosenowej i ufarbowałam je na czarno. Łupiny cebuli są najlepsze ze względu na wypukłość i połysk, właściwy dla ludzkiego oka. Potem, zgodnie z naukami starej cukierniczki, wymodelowałam na jajowatym cieście resztę marcepanu i sama się zdziwiłam, że osiągnęłam aż takie podobieństwo. To był wypisz wymaluj on!

Dobrze wyuczyłam się sztuki cukierniczej. Dodałam do ciekłego miodu barwnika, wylałam go wokół marcepanowej głowy, w oczodołach umieściłam oczy z barwionej cebuli, zęby z cukru pociągnęłam dla połysku lśniącym lukrem, z cienkich nitek karmelu dorobiłam brwi, na koniec powiększyłam nieco dziurki w nosie i cofnęłam się, by ocenić swe dzieło. Poświęciłam mu aż pięć godzin, ale wynik przeszedł najśmielsze oczekiwania.

Zadowolona, postawiłam ciasto na stole i usiadłam, czekając na męża. Wszystko odbyło się tak, jak przewidziałam. Kiedy wszedł, niczego się nie spodziewając, spojrzał na moje arcydzieło, przy którym siedziałam z dziewczynkami. Na widok swojej głowy, spoczywającej w czerwonej posoce na półmisku, biedak się przeraził. Cóż to była za chwila! Nawet nasze córki rozpoznały, kogo przedstawia głowa z ciasta.

- Tata! - zawołały dziecięcymi głosikami.

- Pewnie, że tata - potwierdziłam, ogromnie zadowolona z ich spostrzegawczości, i wręczyłam Dżejanowi nóż. Wszystkiego najlepszego w dniu urodzin - powiedziałam, a dziewczynki mi zawtórowały.

Na jakiś czas go zatkało. Z ustami rozdziawionymi z przerażenia i wytrzeszczonymi oczami ze zgrozą wpatrywał się w słodką głowę. Była to zemsta w stylu Wielkich Mogolów. Biedak nareszcie zrozumiał, że go nienawidzę. Poznał prawdę, którą tak długo w sobie tłamsiłam. To mnie wyzwoliło. Wolność zapachniała mi jak poranna, świeżo zaparzona kawa. Rozbudziłam się. Mój mózg ziewnął i przeciągnął się.

Od tej chwili przestałam się kryć z nienawiścią. Ponieważ mąż nie wziął ode mnie noża, wbiłam go w nos z ciasta. Dżejan nie tknął mojego wypieku, za to ja z córkami raczyłyśmy się nim wiele dni. Dziewczynki łakomie oblizywały łąpki umaczane w lepkiej czerwonej "krwi" wokół marcepanowej głowy i malutkimi paluszkami wydłubywały z miękkich ust cukrowe zęby, z zapalem chrupiąc je mleczakami. O różowy język nawet się pobiły. A Dżejan patrzył na to zraniony, z kompletnie zbaraniałą miną.

Aż wreszcie nadszedł dzień, kiedy zdobyłam się na odwagę i kazałam mu się wynieść.

Dzień ten spędziłam na czworakach, wywabiając ze swojego życia zapach męża. Na początku było bardzo ciężko, jednak poradziłyśmy sobie. Z roku na rok coraz więcej czasu poświęcałam mojej szkole cukierniczej. Córeczki rosły zdrowo i dobrze się rozwijały, ale bały się mnie. Przeprowadziłyśmy się do większego mieszkania, lecz nie byłam szczęśliwa.

Dżejan się rozpił.

Ilekoć go widziałam, miał przekrwione oczy. Odwiedzał mordownie, do których ściągali biedni robotnicy, by zalewać robaka tanimi trunkami pędzonymi z ryżu, kokosów, a nawet zielska.

Kiedys minęłam go na ulicy. Zataczał się, mamrocząc coś pod nosem. Nie poznał mnie. Patrząc na ten żaloszny wrak, chwiejnym krokiem wracający do brudnej nory, nie czułam żadnych wyrzutów sumienia. Stałam się twarda i zimna. Nic mnie nie obchodziło. Nawet moje własne nieszczęście.

I wtedy odwiedziła mnie twoja mama, Dimple. Przyjechała autobusem, ale wysiadła na niewłaściwym przystanku i do mojego domu w szeregowcach dotarła na piechotę, z twarzą spieczoną przez palące popołudniowe słońce i z małym magnetofonem w plastikowej torbie.

- A jak to wyglądało z twojej strony, stryjenko? - spytała.

Nikt przed nią nie zadał mi tego pytania. Nikt nie chciał wiedzieć, czemu nie pokochałam mojej świętej teściowej. Wyjaśniłam Dimple, dlaczego. Nienawidziłam Lakszmi, bo tylko ona wiedziała, co znaczy być żoną mężczyzny odstręczającego zaślepieniem, głupotą,

niezgulstwem i niewiedzą. Ona jedna powinna to rozumieć, a wydała mnie za takiego. Dlaczego? Bo nic jej nie obchodziłam, a okazywana mi przez nią sympatia była od początku subtelną grą. Kochała tylko swoje dzieci.

Wszystkie długo tłumione myśli po przelaniu na szpule magnetofonu Dimple natychmiast straciły ważność. Tyle warstw nienawiści. "I po co?" - zawołało moje nagle uskrzydłone serce.

Czym była nienawiść, którą nosiłam w sobie przez te wszystkie lata? Kogo nią skrzywdziłam, jeśli nie własne, biedne, niczemu niewinne dzieci i samą siebie? Byłam szalona, marnując tyle lat na bezprzedmiotową urazę. Po chwili jednak znowu ją poczułam. Nienawiść do męża, jego matki, do żony Lakszmany i straszną, cyniczną pogardę do wszystkich.

Nagle w drobnej buzi twojej mamy ujrzałam swą nie spełnioną miłość. Mój ukochany ożył.

Czas zawrócił. Na we zwanie przeszłości cofnęłam zegar. Wciąż kochałam Lakszmanę. I chyba nigdy nie przestanę. Niespełnione pragnienie nie gaśnie, tylko się utrwała. Gawędząc z Dimple przy herbacie, czułam się tak, jakbym rozmawiała z nim. Nigdy nie przeżyłam nic równie dziwnego. Gdy ją pożegnałam, oparta o drzwi śmiałam się długo, aż chwycił mnie skurcz. Jestem jej bardzo wdzięczna. Uświadomiła mi, że córki są częścią mnie. Kiedy wróciły tego dnia do domu, przytuliłam je mocno, sztywne z zaskoczenia, i się rozplakałam. Zmieszane i wystraszone, próbowały mnie pocieszyć, a ja odkryłam je dla siebie na nowo. Oto co zawdzięczam twojej mamie. Dopomogła mi odnaleźć się w życiu. Przywróciła mi obraz swego ojca. W moim świecie przestał padać deszcz. Tego wieczoru otworzyłam starą szkatułkę, schowaną głęboko w szafie mojej duszy, i wyjęłam z niej niezwykłą chwilę, w której Lakszmana skosztował fioletowego mięsa.

Chwilę, w której spojrział na mnie, szukając w mych oczach wzajemności. Chwilę zaskoczenia i budzącego się pożądania. Chwilę, gdy w rozświetlonym pokoju posrebrzył wszystko blask księżyca. Obraz ten noszę stale w sercu i zachowam go do śmierci. Kiedy dowiedziałam się, że Lakszmana umarł, obraz ten wcale nie zbladł, przeciwnie, nabrał kolorów. Być może w następnym wcieleniu znowu się spotkamy i zostaniemy mężem i żoną, co nie było nam dane w tym życiu.

Mówię ci to wszystko, kochanie, bo kilka dni później twoja mama napisała, że taśma z moim nagraniem wkręciła się w magnetofon. Obiecała nagrać moją historię od nowa, lecz już się nie pojawiła. Nigdy nie decydowała sama o sobie. Ale ponieważ wiem, że zbierała te rodzinne przekazy dla ciebie, pomyślałam, iż to jedno mogę dla niej zrobić. Odtworzyć opowieść z porwanej taśmy.

Niśa

Stałam pośrodku holu i rozejrzałam się z satysfakcją. Było cicho jak makiem zasiał. Nawet stary stojący zegar nie tykał i nie bił kurantów. Musiał zaczekać na naprawę, w tej chwili bowiem chciałam oswoić się z domem.

Ekipa krzepkich kobiet w niebieskich fartuchach usunęła grube pajęczyny, wypolerowała na wysoki połysk czarną marmurową posadzkę i doprowadziła do lśnienia kręte poręcze. Z renowacji powrócił olejny portret mamy, tajemniczej i zjawiskowo pięknej. Z kranów popłynęła woda, w kontaktach czekało mleczne światło. W ogrodzie robotnicy wymienili po rwany hamak, spalili pod murem pracowicie wyrwane chwasty, oczyścili z mułu sadzawkę, wpuścili do niej płomienną rybę, a altanę wyprostowali i przywrócili jej pierwotną biel.

W kuchni większość staromodnych urządzeń trafiła na śmietnik, a ich miejsce zajęły bardziej nowoczesne. Pozostały: sprawna lodówka, kuchenka mikrofalowa i zupełnie dobra pralka, która nie znalazła uznania u Amu. Aha, zapomniałam powiedzieć, że ją odszukałam. Nie było to łatwe, ale pewien ślepiec ze świątyni Ganeśi zaprowadził mnie do kapłana w aśramie, ten zaś odesłał do jej zawistnej krewnej. Skierowała mnie na fałszywy trop, lecz nie dałam się zwieść i w końcu znalazłam staruszkę. Żebrała na nocnym rynku, żywiła się czerwonymi mrówkami, które zbierała z padłych jaszczurek, i zgniłymi odpadkami, wyrzuconymi przez straganiarzy. Kiedy ją zobaczyłam - bezzębna, z wyciągniętą, cienką jak gałązka ręką, stopami czarnymi od wżartego brudu i cuchnącą niczym śmietnik - w jednej chwili przypomniałam sobie pełen miłości uścisk jej brązowych ramion.

- Dimple? - spytała, zdezorientowana.

- Nie, Niśa - odparłam, na co wybuchnęła niepowstrzymanym rzewnym płaczem.

Zabrałam ją do domu.

Zostałam bez grosza, ale nie dbam o to. Potrzeby mam nie wielkie. Za najważniejsze uznałam przywrócenie temu domowi dawnej świetności. Często krążyłam po nim, z nabożeństwem i niedowierzaniem dotykając rzeczy. Przeciągałam palcami po gładkich, lśniących powierzchniach, nie mogąc się nadziwić, że choć tyle razy przejeżdżałam pobliską główną ulicą, do głowy mi nie przyszło, iż bocznicą w lewo wiodzie do mojej siedziby. Niezwykłego domu, wypełnionego cudownymi skarbami. Wprost nie mogłam uwierzyć, że należy do mnie. Jeszcze raz skręciłam do salonu, by spojrzeć na portret mamy i napotkać jej smutny uśmiech.

Uparłam się, by odnaleźć krewnych. Nabrałam na to ochoty po poznanju Radhy.

Zajrzałam do książki telefonicznej. Figurowała w niej tylko jedna Bella Lakszmana. Wykręciłam numer.

- Halo! - usłyszałam piskliwy głos.

- Halo! Mówi Niśa Steadman - przedstawiłam się i po chwili w czaszkę wwierciło mi się głośnie wycie. Odsunęłam słuchawkę od ucha.

- Tak, słucham - rozległ się w niej inny, silny i zdecydowany głos.

- Halo! Mówi Niśa Steadman – powtórzyłam. - O ile wiem, jesteśmy z sobą spokrewnione.

- Niśa? To ty?

- Tak, rozmawiam z ciocią Bellą z pięknymi kędziorami? - spytałam, niemal ze śmiechem.

- O Boże, nie wierzę. Może byś wpadła? Choćby zaraz.

Zgodnie z jej wskazówkami pojechałam do Petaling Dżaja. Ulice były zakorkowane, więc na miejsce dotarłam tuż przed zmierzchem. Zaparkowałam samochód i zobaczyłam wysoką kobietę, która stała w progu domu jak wojownik, wpatrzona w zapadającą szarówkę. Skierowałam się do bramy, wtedy ona, utykając, wyszła mi naprzeciw z głośnym wołaniem:

- Niśa, Niśa, to naprawdę ty? Tyle lat... ale zawsze wiedziałam, że przypomnisz sobie o starej babci Rani. Coś takiego! Wykapana Dimple! Była taką dobrą córką. Strasznie ją kochałam.

Wzięła mnie w ramiona, a potem ściskając mi dłoń w swoich obu, zasypała ją suchymi, szorstkimi pocałunkami.

- Wejdz, wejdz - zaprosiła, całując i łkając.

Z domu wyszła seksowna kobieta z pięknymi lokami, sięgającymi poniżej pasa. Miała giętkie ciało tancerki, a na kostkach nóg dzwoneczki. Wspaniałe, ogromne oczy lśniły w mroku.

Rzeczywiście była egzotycznym kwiatem. Gdy podeszłam bliżej, dostrzegłam wokół jej oczu zmarszczki. Z pewnością zbliżała się do pięćdziesiątki.

- Cześć, Niśa - powitała mnie. - Ojejku, jak ty urosłaś. Ależ jesteś podobna do Dimple!

- Twój paw dobrze się spisał, ciociu - powiedziałam.

- Ach, a więc słuchałaś taśm.

Zaśmiała się z zakłopotaniem, trzymając się nieco z boku, bo większość przestrzeni wokół mnie zawłaszczyła moja nowo odnaleziona babka. Weszłyśmy do skąpo urządzonego domu. Tuż za drzwiami gnieździły się stare, granatowe kanapy, a ściany zdobiło kilka tanich obrazków ze scenami z życia malajskiej wsi. W oszklonej szafce dostrzegłam pretensjonalne bibeloty. Natomiast stół wyglądał, o dziwo, na bardzo drogi i ani trochę nie pasował do osobliwego wystroju tego wnętrza.

Babka Rani dwoma rąbkami sari żalobnie otarła suche oczy.

- Latami modliłam się o ten dzień - rzekła z westchnieniem. - Zrób temu dziecku herbatę i przynieś to zagraniczne ciasto - poleciała córce i zajęła się mną. - Gdzie w tej chwili mieszkasz? - spytała.

- W Larze - odparłam.

- O! Sama?

- Nie, z Amu.

- To ta stara wiedźma jeszcze żyje?

- Mamo, nie mów takich strasznych rzeczy upomniała ją Bella, z niesmakiem kręcąc głową.

- A jak ty się czujesz? - spytałam babkę.

- źle, źle, bardzo źle.

A, więc nic się nie zmieniło, pomyślałam, ale nie powiedziałam tego, tylko:

- Och, tak mi przykro.

Bella wyszła zaparzyć herbatę i pokroić zagraniczne ciasto. Babka Rani obserwowała jej plecy zwężonymi, podejrzliwymi oczami, a upewniwszy się, że córka nic nie usłyszy, pochyliła się w moją stronę i szepnęła zjadliwie:

- Wiedz, że to prostytutka. Przez nią nikt z sąsiadów ze mną nie rozmawia. Nie zabrałabyś babci z sobą do Lary? Już tu nie wytrzymuję. Wszyscy się ze mnie śmieją.

Spojrzałam w jej lśniące, chciwe oczy i zrobiło mi się żal Belli. Przypomniałam sobie, co Bella powiedziała o niej na taśmie: "Jest trującym darem od losu. Matką". Świetnie mogłam sobie wyobrazić, jak ta niegodziwa kobieta szykanowała mamę. Dimple była zbyt delikatnym kwiatkiem dla takiego pytona w ludzkiej skórze. A ten pyton zabrał się właśnie do duszenia mnie. Z każdym moim oddechem coraz silniej zwierzałby zwoje, aż przestałabym się szamotać, a wtedy jego silne mięśnie zacisnęłyby się do oporu. Potem zaś otworzyłyby paszczę i połknął mnie w całości.

- Woda się zagotowała - poinformowała nas wesoło ciocia Bella, oparta o framugę drzwi.

- Pamiętam, jak jadłyśmy lody w Damansarze – powiedziałam. - Na twoich zawsze były pokruszone orzechy.

- A, tak... na moich zawsze były pokruszone orzechy. A więc odzyskałaś pamięć?

- Tylko wrywkowo, ale ciebie pamiętam. Pamiętam twoje włosy i śliczne, bardzo śmiałe stroje. Mężczyźni nie mogli oderwać od ciebie oczu.

Babka Rani prychnęła.

- Wiesz co, ciociu? Dajmy spokój z herbatą. Wybierzmy się na lody. Jak za dawnych czasów! - zawołałam.

- Zgoda. A zatem do Damansary - podchwyciła z uśmiechem Bella.

- Do Damansary.

- Dziewczęta, chcecie mnie zostawić samą z tymi spuchniętymi nogami i niesprawnymi rękami? A jeżeli się przewrócę, kiedy was nie będzie? - zaprotestowała z irytacją babka Rani.

- Ależ, babciu, proszę – wtrąciłam. - Nie zatrzymam Belli długo, słowo. Posiedź tu trochę sama i zaczekaj, dobrze?

Bella odgarnęła gęste włosy. Wciąż była bardzo atrakcyjna.

- Jedźmy – powiedziała. - Nie jestem prostytutką - dodała w samochodzie.

- Wiem o tym - odparłam i ruszyłam.

- Sama rozumiesz, matka.

Odbiło jej po tym, jak zamordowała ojca swoim niewyparzonym językiem.

Wysłuchałam ostatniej taśmy, ale tej historii brakowało finału. Wydobyłam z szuflady numer telefonu Rosette.

- Skończyłam przesłuchiwać taśmy - poinformowałam.

Umówiliśmy się na spotkanie. Odłożyłam słuchawkę i po krętych schodach weszłam na piętro.

Wielce tajemnicza kochanka taty zgodziła się przyjąć mnie o szóstej po południu. Czym mogłam ją obdarować za to spotkanie? W zamian za wyjaśnienia przyrzekłam wesprzeć ją finansowo. Naturalnie zrobiłam to, nie wiedząc jeszcze, że zostałam bez grosza. Na szczęście nie wszystko straciłam. Otworzyłam sejf w sypialni i z jego ciemnego wnętrza wydobyłam pudełko inkrustowane muszelkami. Pamiątkę znad morza dla dziecka.

W środku kłębiły się klejnoty, które tata przez lata zostawiał mi na stoliku przed moim pokojem. Beztrosko wysypałam cenne migotliwe cacka na łóżko. Toczące się po nim białe kamienie rozbłysły. Tata najbardziej lubił brylanty. Uwielbiał ich nieśmiertelny blask. Perły uważał za zbyt skromne, inne kamienie szlachetne zanadto przypominały kolorowe paciorki. Tylko zimne twarde brylanty miały dla taty wyjątkowy powab. Wyplątałam z kłębu diamentową kolię z białego złota z dużą bagietą pośrodku. Ojciec ubezpieczył ją na dwadzieścia tysięcy ringgitów. Wisiała mi na palcach, niecąc błyski. Ten sznur drogich kamieni czekała zmiana właścicielki. Uniosłam go na wysokość oczu.

- Co powiesz na przeprowadzkę do Bangsar i zawieszenie na pięknej szyi ladacznicy? - szepnęłam.

Niedbale upuściłam kolię na łóżko, a resztę klejnotów upchnęłam w domku z muszli. Z dołu doszedł mnie głos Amu, która mówiła do siebie, ugniatając ciasto na naszą prostą kolację złożoną z placków czapati i dalu.

Dom Rosette odnalazłam z łatwością. Rosły przed nim takie same jodły, jak te wokół Lary.

Mój niewierny ojciec widać bardzo je lubił. Nacisnęłam dzwonek, czarna brama otworzyła się bezgłośnie. Wjechałam i zaparkowałam pod wiatą obok wiekowego sportowego mercedesa. Otworzyła mi chińska pokojówka. Rozejrzałam się zdumiona po wnętrzu, wszędzie dostrzegając rękę ojca. W domu ładownicy też była marmurowa posadzka, kręte poręcze i duże kryształowe kandelabry. Najwyraźniej tata uwielbiał pałacowy wystrój. Rosette wstała z uśmiechem z dużej, czarnej skórzanej kanapy i podeszła z wyciągniętą ręką. Kanapa była nowa i nowoczesna. Z pewnością nie w guście taty.

- Jak się masz? - powiedziała przyjacielsko i uściśniła mi rękę miękką, suchą dłonią.

- Doskonale.

Ta kobieta zniszczyła moją mamę. I co? Z największym spokojem, jakby nigdy nic, witała w domowych pieleszach córkę swej ofiary.

- Napijesz się koniaku? - spytała.

- Tak.

- O ile pamiętam, bez lodu?

Spojrzała na mnie, unosząc brew. Nie przypominała już młodej dziewczyny z opisu mojej roztrzęsionej matki. Przez lata nabrała wyrafinowania.

Skinęłam głową.

- A więc co chcesz wiedzieć?

- Wszystko. Od samego początku - odparłam, sięgając do aksamitnego woreczka po błyszczący naszyjnik.

Położyłam go na stole z ciemnozielonego marmuru. Nic nie mogło lepiej wydobyć urody kolii niż błyszczący ciemny marmurowy blat. Też bez wątpienia w guście mojego ojca. Rosette wpatrywała się w roziskrzone kamienie. Nie potrafiłam odgadnąć, co myśli. W jej spojrzeniu nie było chciwości ani nawet szczęścia, a raczej jakaś mroczna tęsknota. Tak jakby spoglądała w przeszłość na coś bardzo odległego i nieosiągalnego. Jakby przed oczami przemknęło jej stracone życie.

- Jak pani zapewne wie, mój ojciec przed śmiercią zbankrutował. Została mi tylko biżuteria i dom po matce. Pomyślałam więc, że może zamiast obiecanego czeku przyjmie pani tę małą kolię.

Rosette podeszła do mnie z napojami. Ale nie piła Tii Marii. Płyn w jej szklance wyglądał na herbatę. Pochwyciła moje spojrzenie i zaśmiała się.

- Kiedy jest się młodym, pije się przy każdej towarzyskiej okazji. Niestety, w moim wieku wolno mi pić tylko wyjątkowo - powiedziała.

- Pogrzeb ojca był wyjątkową okazją?
- Poznanie ciebie.
- Propos, co pani pije? - spytałam, zmieszana jej odpowiedzią.
- Specjalną indonezyjską mieszankę z ziół i korzeni. Jest potwornie gorzka, ale

swoim ofiarom zapewnia młodość.

Miała pod pięćdziesiątkę, a jednak na własnych śmieciach, wypoczęta i odprężona, wyglądała najwyżej na trzydzieści. Dzięki operacji plastycznej? Nie, uroda Rosette nie była "naciągana". Widząc, jak na nią patrzę, wybuchnęła śmiechem. Wokół jej oczu i ust pojawiły się zmarszczki.

- Młodość to kapryśny przyjaciel. Możesz mu poświęcić wszystko, a i tak cię porzuci.

Prawdziwy przyjaciel to starość. Nie opuści cię, dając z siebie coraz więcej i więcej, aż do dnia twej śmierci. W przyszłym roku kończę pięćdziesiąt lat. Rodłem mojego sekretu jest mała indonezyjska wioska. Mieszka w niej starzec z twarzą kościotrupa, uprawiający nie dościgłą magię, która nazywa się susuk. Ostrzy diamentowe i złote igły, a gdy staną się tak cienkie, że trudno je zobaczyć, zamyka w nich świeżość młodości i wbija je klientkom pod skórę. Dzięki nim nosicielka zachowuje wiecznie młody wygląd i nieopisaną urodę. Urodę, która nie jest sumą rysów jej twarzy, ale trwa wbrew nim. Złudzenie to uzupełniam tymi paskudnymi wywarami. Jest tylko jeden kłopot. Przed śmiercią, najpóźniej przed pochówkiem, te cieniutkie jak nitka igły muszą być usunięte z ciała, bo inaczej uziemiona przez susuk dusza człowieka już na zawsze będzie błąkać się po cmentarzach i gościńcach. Naturalnie powtykały je sobie wszystkie najlepsze śpiewaczki i aktorki w Malezji. Jeżeli uważnie przyjrzy się ich urodzie, dostrzeżesz pospolite twarze. Tuż przed śmiercią wyjmę wszystkie igły z ciała i na własnych oczach nagle się zestarzeję. Makabryczne, co?

- Parsknęła śmiechem, widząc moje zaskoczenie. - Ale przecież nie przyszedłeś tu słuchać o perypetiach mojej duszy po śmierci.

Płynnym gestem białych, wymanikiurowanych rąk zaprosiła mnie, bym usiadła.

Spoczęłam w skórzanym fotelu. Był duży i wygodny. Z trudem oparłam się chęci, by się rozluźnić i podwinąć nogi. Pragnęłam patrzeć na tę urzekającą istotę, która budziła we mnie na przemian litość i fascynację. Dlatego usiadłam prosto. Ta kobieta za młodu miała w sobie dość siły, żeby uwieść takiego mężczyznę jak mój ojciec i zniszczyć moją matkę.

- Dobrze, od czego mam zacząć?

- Od początku i dojść do końca. Kiedy poznała pani moją matkę? I co pani o niej wiedziała, no i o mnie?

- Twojego ojca poznałam w czasach, gdy pracowałam w Agencji Towarzyskiej Złotych Dziewcząt. Tamtego wieczoru był na kolacji z żoną, wątpię jednak, by mnie zapamiętała.

Siedziałam przy ogromnym stole z mnóstwem innych pięknych kobiet. Towarzyszył mi znajomy Lukea. Twój ojciec od razu mnie zauważył. Stał i pożerał mnie wzrokiem. Poczułam, jak wbija mi w serce zęby. Twoja matka nie miała o tym pojęcia, niczego nie spostrzegła. Była młoda, niewinna, nieskażona zepsuciem i w ciąży. Kiedy na niego patrzyła, w jej oczach jaśniało szczęście. Nie uwierzyłaby w bestię, która w nim siedziała. Była za słodka i za czysta, żeby odsłonił przed nią brudne, skrywane przed światem żądze. We mnie dostrzegł nie tylko białą jak ryż cerę, ale i przyzwolenie, akceptację. Rozumiałam go. Brzydkiego, skrzywionego, a przy tym perwersyjnie uroczego. Nie próbowaliśmy być dla siebie mili. Robiliśmy rzeczy, które zaszokowałyby twoją matkę. Nie czułam, bym jej cokolwiek zabierała. Na to, co brałam, i tak nie miałyby chęci. Pustynia łaknie deszczu, żeby się odświeżyć, orzeźwić i zachwycać, lecz potrzebuje również słońca, aby wiedzieć, że jest pustynią. Twoja matka była w życiu Lukea deszczem, a ja słońcem. Ona wyzwała w nim to, co najlepsze, i dzięki niej piękniał, ale nie mógł się obejść beze mnie. Wiedział, gdzie mnie znaleźć. Następnego dnia zadzwonił do naszej opiekunki, madame Su, a ta zaaranżowała dla nas kolację w Shangri-La - najlepszym hotelu w kraju. Twój ojciec przez cały wieczór tylko na mnie patrzył. W środku był tak zgłodniały, że nie mógł jeść. Śmiałam się i drażniłam siedzące w nim zwierzę. Wreszcie wjechaliśmy na górę. Pokój 309 wrył mi się w pamięć na zawsze. Weszłam pierwsza, a gdy się odwróciłam, zniknął Luke, a została bestia. Z kieszonki na piersi wyjął czarną jedwabną chustkę, a ja, bez uśmiechu i bez zdziwienia, taką samą z torebki.

Ból może sprawiać rozkosz, ale mężczyzna, którego poślubiła twoja matka, nie wszedł do tego pokoju. Pozostał jej wierny, kiedy bestia i ja robiliśmy swoje. To nie była miłość, lecz coś tak nieodzownego do życia, że nie dopuszczał do siebie myśli, iż mógłby to utracić. Coś, co płonęło w nim jasnym płomieniem przez ponad ćwierć wieku, aż do śmierci. Choć nie poznałyśmy się za jego życia, obserwowałam, jak rośniesz. Siadywałam w parkach i patrzyłam z daleka, jak się bawisz, bo należałam do innego, równoległego świata, który nie stykał się z twoim.

Urwała i łyknęła okropnego indonezyjskiego wywaru. Siedziałam oniemiała. To, co usłyszałam, nie mogło być prawdą! Kiedy Rosette odstawiła gorzki płyn i otworzyła usta, słowa popłynęły wartko, niczym rzeka znajdująca ujście w powiększającej się szybko wyrwie w tamie, która w końcu rozpada się pod naporem wody. Fale słów potężniały i rosły. Za chwilę mnie pochłoną, pomyślałam z przestrawieniem. Rosette spojrzała mi prosto w oczy. Jej piękne włosy zakołysały się i znieruchomiały na ramionach.

- Coś taka zaskoczona? - spytała. - Te taśmy tak cię poruszyły? One wyjaśniają jedynie, czym kierowały się w życiu osoby, które się na nich nagrały.

Potrząsnęłam głową.

- Słuchałam tych taśm jak powieści, jak historii, które mnie nie dotyczą. Ale gdy widzę panią przed sobą, wszystko staje się takie konkretne. Zbyt konkretne. Pani robi z mojego ojca kogoś obcego. Potwora.

- Wcale nie był potworem. Z całego serca wielbił twoją matkę, a ciebie bardzo kochał.

- Aha, kochał mnie tak bardzo, że aż bał się mnie dotknąć! - zawołałam z sarkazmem.

- Biedna Niśa. Nie rozumiesz, że za ciebie ojciec gryzłby ziemię, że oddałby życie? Wszystko robił z myślą o tobie. Niewiele wiem o jego dzieciństwie, ale z pewnością nie wyglądało tak romantycznie, jak przedstawił to twojej matce. Jego zboczenia wzięły się z brutalnych, nieludzkich przeżyć. Wypierał się ich przed sobą, dopóki nie spotkał mnie. Stałam się jego najgłębszą tajemnicą. Kiedy mnie poznał, zaczął się siebie bać. Bać trujących nocnych kwiatów, które czekały, żeby zakwitnąć w jego duszy. Pewnego wieczoru on i Dimple siedzieli przy otwartych drzwiach balkonowych i pili herbatę. Wiał miły chłodny wietrzyk, w ogrodzie paliły się lampy. Zegar wybił dziesiątą. Zgasili wszystkie światła w domu i zapalili świece w rękach hebanowych figur przy schodach. Ich łagodne światło działało na Lukea kojąco, uspokajało.

Tak jak twoja matka. W pewnej chwili podniósł oczy i zobaczył ciebie: w majteczkach i kusej białej koszulce, która nie zasłaniała ci brzucha, z długimi rozczochranymi włosami schodziłaś ze schodów, wierzchem dłoni przecierając zaspane oko. Jaśniałaś w blasku świec. Zaszło mu w ustach. Na jedną niebaczną chwilę zapragnął ciebie. Ale się opamiętał i poczuł do siebie głęboką odrazę. Odtąd zaczął się ciebie bać, a siebie znienawidził. Za tę jedną sekundę nieuwagi, gdy szkaradny, nabrzmiały strasznymi sokami nocny kwiat zagroził, że się w nim rozwinie. Od tej pory unikał dotyku twojej miękkiej dziewczęcej skóry. Bronił się przed żądaniem obmierzłego kwiatu.

Chciał być ojcem. Chciał być dla ciebie bez skazy.

Wpatrywałam się w Rosette z rosnącą zgrozą, lecz ona patrzyła na mnie beznamiętnie.

Odstawiłam nietknięty koniak, podeszłam do okna i wyjrzałam.

- Nie powie mi pani o ojcu nic dobrego? - usłyszałam swój głos.

- Kochał cię.

- Pewnie, był pedofilem.

- Może by był, gdyby nie ty. Okaż trochę wyrozumiałości. Masz szczęście. W tobie nie kipią ciemne żądze, dniem i nocą szepczące ci do ucha i namawiające do rzeczy, do których wstydziłabyś się przyznać. Luke dopiero po śmierci twojej matki poznał prawdę, że wiedziała o mnie od lat, źle to rozegrała. Gdyby się z tym nie kryła, może wszystko potoczyłoby się inaczej. W świetle dnia nawet najgorszy demon wygląda głupio i śmiesznie, ale w mroku olbrzymieje. Po

śmierci Dimple twój ojciec po raz pierwszy wysłuchał taśm. Słuchał i gorzko płakał, bo dopiero wówczas zrozumiał, dlaczego żona stała się oziębła, dlaczego go odtrąciła. A kiedy usłyszał historię o kelnerze, z rozpaczy padł na podłogę. Wiedz, że dopuszczając do siebie tego typu, Dimple zniszczyła dobrego człowieka, którego poślubiła. W łóżku z kelnerem podpatrywał ją bowiem nie on, lecz mężczyzna, którego ja trzymałam w ramionach. Mężczyzna, którego twoja romantyczna i naiwna matka niesłusznie chciała poznać. Tego wieczoru Lukę przyszedł do mnie zły i zdenerwowany. Krążył niczym tygrys w klatce, rzucając mi zimne spojrzenia. A gdy wziął mnie w ramiona, to z rozmyślnym okrucieństwem... żeby pozbawić siebie i mnie wszelkiej przyjemności.

Na koniec wypił dwie duże whisky, wrócił do domu i zapiekł się w nienawiści do żony. Zaczął obmyślać sposoby, jak by ją poniżyć i upodlić, jak zniszczyć. Pewnego wieczoru po powrocie przekonał się, do czego doprowadził. Jeszcze żyła. Patrzyła na niego jak nieme, nierozumne zwierzę. Uznał, że to jego dzieło. Choć twoja matka dawno przestała istnieć ciałem, ale pozostała jej cierpiąca dusza. Lukę nie mógł znieść widoku rzeczy, które nosiła, których dotykała, na których leżała. Była wszędzie, gdziekolwiek spojrzał. Widział ją nawet w oczach służących. Nie mógł spać.

W końcu opuścił ten dom tak, jak stał. Zabrał tylko dokumenty, te bowiem nie miały nic wspólnego z Dimple i jej cennymi taśmami. Taśmy zamknął na klucz w małej szafie w swoim nowym domu, gdzie przeleżały aż do jego śmierci. Nie chciał, byś zachowała w pamięci obraz matki leżącej we własnej krwi, z ustami rozdziawionymi jak u ryby wyrzuconej na brzeg i z pytaniem w oczach: "Jesteś zadowolony?". "Jesteś zadowolony?" - nawet po latach krzyczały do niego każda pomysłowa kompozycja kwiatowa, każda długa czarna suknia z wystawy, każda butelka chardonnay. W tamtym czasie cieszyło go jedynie to, że przynajmniej tobie wyczyścił przeszłość.

Ze kiedy leżałaś w szpitalu, bez czarodziejskiej różdżki udało mu się odmienić twój świat. Zapisał cię do nowej szkoły, pozwałniał służbę, brutalnie odciął cię od wszelkich kontaktów z krewnymi.

Zrobił to zresztą z przyjemnością. Nienawidził twojej babki Rani. Kupił nowy dom, dał ci nowy pokój i zupełnie nowe życie. Czy tak trudno jest wybaczyć mu, że nie chciał, byś zapamiętała mamę w takim stanie? Czy tak trudno uwierzyć, że kochał cię tak bardzo, że nie chciał, abyś cierpiała jak on? Zawsze pragnął ci powiedzieć o twoich przodkach i przeszłości, lecz im dłużej to odkładał, tym trudniej mu było podjąć decyzję. Wyznaczał sobie daty. "Kiedy skończy osiemnaście lat" – powiedział. A gdy je skończyłaś, zaręczył: "Kiedy skończy dwadzieścia jeden, nieodwołalnie". Osiągnęłaś pełnoletność i wyjechałaś na studia za granicę. "Kiedy wróci" - obiecał.

A potem oczywiście zachorował. "Wystarczy, jak się dowie po mojej śmierci" - postanowił.

- Wolałabym dowiedzieć się wcześniej, kiedy żył. Cały czas myślałam, że mnie nie kocha - rzekłam wolno.

- Nic nie jest dalsze od prawdy - odparła smutno Rosette. Podeszłam do niej. Wyglądała świetnie. Skórę miała zdumiewająco białą. Wpatrywała się we mnie wielkimi oczami, pełnymi miękkiego mroku. Zadawałam sobie pytanie, co widział w nich mój ojciec. Co takiego w nich zobaczył, że obudził się w nim śpiący potwór? I pomyśleć, że gdy ta kobieta po raz pierwszy ujrzała mego tatę, na swym sercu poczuła jego zęby. Jakże zawikłane i dziwne było życie bliźnich.

Jakie nie pojęte!

Przez kilka minut patrzyłyśmy na siebie, każda pogrążona we własnych myślach. A potem nachyliłam się i ją uścisnęłam.

- Dziękuję za to, że dzięki pani ojciec był szczęśliwszy - powiedziałam bardzo cicho.

W jej oczach mignął smutny, widmowy cień. Opuściła je i skłoniła głowę. Piękne, podziwiane przeze mnie jedwabiste włosy opadły jej na twarz. Nagle zapragnęłam pogłaskać tę jedwabistą, udręczoną głowę. Uniosłam rękę i dotknęłam skroni Rosette. Włosy były rzeczywiście mięciutkie. Delikatnie otarła się głową o moją dłoń jak niewinna czarno-biała kotka. Nie mogłabym się z nią zaprzyjaźnić. Nigdy. Przed oczami wciąż miałam obraz tej kobiety, splecionej w ohydny uścisku z moim konającym ojcem.

- Dziękuję – szepnęła. - Mogę sobie być prostytutką, ale kochałam twojego tatę.

- Przeżyła pani swoje i zna pani cenę swoich życiowych wyborów powiedziałam do jej pochylonej głowy.

A potem odwróciłam się i wyszłam, przeświadczona, że już nigdy nie powrócę do tej strasznej pozłacanej klatki z samotną czarno-białą kotką w środku.

Tej nocy obudziłam się bez wyraźnej przyczyny przed świtem. Jakiś czas leżałam zdezorientowana i dziwnie niespokojna. Nie miałam koszmarnych snów ani nie chciało mi się pić.

I wtedy nagle przypomniałam sobie, że już raz zdarzyło mi się obudzić bez powodu.

Zobaczyłam, jak odpycham koce, wstaję z łóżka i idę po szukać mamy. Ona zawsze wiedziała, co robić w takich razach. Przytulała mnie do siebie w swoim wielkim łóżu i wyciągała spod niego przygody boskiego wodza małp, Hanumana. Widzę to jak na filmie... Idę do pokoju mamy. W domu panuje cisza. Chwytam się chłodnej poręczy i patrzę w dół na salon, pełen cieni i mrocznych kątów. W ciemnym holu ćmią się tylko nocne lampy. To oznacza, że taty jeszcze nie ma.

Cicho stąпам na bosaka po chłodnej marmurowej posadzce. Drzwi do sypialni mamy są zamknięte.

Amu i szofer zdrowo śpią w pokojach na dole. Ja, mała, z włosami do ramion, stoję chwilę przed drzwiami i przekręcam gałkę. Drzwi ustępują i nagle się rozbudzam. Sypialnia wygląda jakoś inaczej. Pali się lampa przy łóżku. Jest cicho, spokojnie, tylko coś kapie. Cichutki, mokry dźwięk.

Kap... kap...

Jak cieknący kran. Mama śpi na małym stoliku przy łóżku. Spoczywa na nim bezwładnie, nie widzę jej twarzy. Zasnęła ze zmęczenia.

- Mamusiu! - wołam cichutko.

W lekko zadymionym pokoju jest chłodno i cicho. Czuję słodkawy, nieznan mi zapach.

Dzieje się coś dziwnego, ale nie wiem, co. Dostaję gęziej skórki, mam sucho w ustach. Zawracam, żeby wyjść. Zobaczę mamę rano. Tak będzie najlepiej. W świetle poranka wszystko zawsze wygląda lepiej. I wtedy znowu słyszę głośny mokry dźwięk. Kap! Odwracam się powoli i ruszam w stronę śpiącej mamy. Ma na sobie śliczną niebieską koszulę nocną. Na stole, na którym zasnęła, leżą dziwne fajki i przedmioty, które widzę pierwszy raz. Podchodzę, podchodzę...

- Och, mamusiu - szepczę cichuteńko.

Zbliżam się, zbliżam, ale nie patrzę na nią. Jeszcze tylko dwa kroki i mijam ją, pogrążoną w głębokim śnie. Jeśli posunę się choć kawałek dalej, to wpadnę na jej łóżko, dlatego muszę się obrócić. Robię to niespiesznie. Z tajemniczego, niezrozumiałego dla mnie powodu zaciskam powieki. A potem biorę głęboki oddech i wolno je odmykam.

Przed sobą mam oczy mamy. Patrzą na mnie tak jakoś na wskroś. Są szkliste. Mama otwiera i zamyka usta jak ryba. Z jej brzucha sterczy pięknie rzeźbiony japoński nóż, który wisiał w gabinecie taty.

- Harakiri, harakiń, harakiń - śpiewa wesoło Angela Czan, moja szkolna prześladowczyni, wyśmiewając się ze mnie w klasie.

Wiruje mi w głowie.

- Stoi różyczka w czerwonym wieńcu - słyszę jej złośliwy śpiew. - Trzeba się było ugryźć w język, głupia! - syczy zjadliwie.

Potrząsam głową i głos Angeli znika. Znowu patrzę w szkliste, puste oczy mamy. A potem raptem wpada mi do głowy chmara dziecięcych rymowanek, śpiewanych przez szydercze głosy.

Wypełniają mi ją jak rój bzyczących pszczół, tak że w moim oszołomionym mózgu nie ma miejsca na myśli.

Dyzio Drzemka po mieście biega, w nocnej koszuli tam i sam, w okna łomocze, przez dziurki ostrzega: Już ósma, dziatki, czas spać, mówię wami Dyzio ze zbioru wierszyków dla dzieci Mamy Gęsi biegał bos.

Gołąb grucha: gru, gru, gru. Co ty robisz tu?

Hen, wysoko chcę się wznieść, pajęczyny z nieba zmieść.

Polecimy razem? Następnym razem.

Panna Mary kapryśnica... Wystraszyła pannę Muffet...

Szewczyku, szewczyku, mam dziurę w trzewiku...

Raz poczciwy stary Cole, zacy i wesoły król...

Ja widzę księżyc, księżyc widzi mnie.

Niech mu się szczęści, niech się szczęści mnie...

Nagle wierszyki milkną. Cisza.

Mama popełniła harakiri. Czy tata będzie dumny? Wciąż powtarzał, że tylko najdzielniejsi samuraje mają dość siły i od wagi, aby popełnić harakiri, jak należy, dokończyć dzieła samemu.

Zbliżam się do niej o dwa kroki. Wyciągam rękę, dotykam jej włosów. Są miękkie. Mama zamyka i otwiera usta.

- Mamusiu - szepczę - wykrwawisz się na śmierć, bo brakuje ci siły, żeby dokończyć dzieła, jak należy.

Krew z rany spływa po jej otwartej dłoni, wzdłuż środkowego palca i skapuje do dużej czerwonej kałuży na czarnej posadzce.

Czerwone na czarnym. Czerwone na czarnym.

Zamieram i patrzę: na końcu palca mamy zbiera się kropla krwi, a potem, jak w zwolnionym filmie, spada na podłogę. Śledzę jej wdzięczny lot, a kiedy uderza w rozlewającą się coraz szerzej kałużę czerwieni i znika w gęstej cieczy, zaczynam krzyczeć.

Wyrywam sobie włosy z głowy, z płaczem biegnę do telefonu przy łóżku i nagle stwierdzam, że nie pamiętam, jak wykręcić numer 999. Palce więzną mi w tarczy, a słuchawka wyskakuje z niezdarnych rąk. Wybiegam z pokoju z krzykiem.

- Mamusiu, mamusiu, mamusiu! - krzyczę histerycznie. U podnóża schodów widzę tatę, nogę trzyma na pierwszym stopniu. Przed chwilą wrócił do domu. Ma na sobie najlepszą batikową koszulę, tę, którą zakłada tylko na kolacje z dygnitarzami. Na mój widok zastyga z uśmiechem na twarzy. Rzucam się ku niemu.

- Na pomoc, tatusiu, na pomoc! - wołam jak szalona. Potykam się. Na szczycie schodów stoi surowa Gęś z czarną szyją. Poznaje ją! Przecież to "głupi, głupi Gąsior", co "w dół i w górę lata po pani komnatach". Pomylił mnie z kimś, kogo "za brak gęsiej skórki schwycił za lewą nogę i zrzucił z górki".

Zaczynam frunąć w dół ku oszupiałemu tacie. W połowie schodów witam się z marmurowymi stopniami. Nie czuję bólu. Koziółkuje. Migają obrazy. Widzę swoje przerażone od bicia w marmurowej posadzce, na suficie oskarżycielskie, szkliste oczy mamy, wydobywającą się z jej ust bańkę, w której zamarł na zawsze jej prześliczny śmiech, a przy schodach zbliżającą się raptownie, śmiertelnie poważną, przerażoną twarz taty. A potem jest już tylko ciemność. Chwyta

mnie czarna dziura. "Nie będziesz miała wspomnień" - szepcze cichym kojącym głosem. Jest moją przyjaciółką. Troszczy się o mnie. Daje mi do towarzystwa węża pożerającego pamięć.

CZEŚĆ SIÓDMA

Niektórych kochałam .

Niśa

Leżałam w ciemnościach i do świtu oglądałam jedno po drugim wspomnienia, tak jak ogląda się stare filmy znalezione na zapomnianym strychu. O wpół do szóstej rano zdobyłam pewność, że ojciec mnie kochał. Już trochę go rozumiałam. Cierpiał z powodu niedoskonałego wcielenia. Że niedoskonałe wcielenie bardzo boli, nauczył mamę wuj Sevenese. Wtuliłam twarz w poduszkę i płakałam bezgłośnie nad tym, jak inaczej mogłoby wyglądać moje życie. "Naprawdę cię kochałam, tato. Szkoda, że mi nie powiedziałeś. Zrozumiałabym cię".

Pojechałam do Kuantanu. Zostawiłam samochód na głównej ulicy i weszłam w zaułek prababci Lakszmi. Powróciły wspomnienia. Zapukałam do drzwi. Otworzyła mi cioteczna babka Lalita. Wzięła mnie w wątle ramiona, ale była tak stara, że jej nie poznałam. Z jej zamglonych oczu popłynęły łzy.

- Wejdz, wejdz. Ależ jesteś podobna do matki - powiedziała, śmiejąc się i łkając. - Pamiętasz mnie?

- Troszeczkę.

Z całej rodziny żyła tylko ona. Inni odeszli. Pozostali jako długi szereg czarno-białych fotografii, przystrojonych wianuszkami sztucznych kwiatów.

- Nic nie szkodzi zapewniła. - Byłaś malutka. Moja mama zawsze powtarzała: "Lalita, kiedyś ta dziewczynka zostanie pisarką". Jesteś pisarką?

- Nie.

- Dlaczego? Marzyłaś o tym. Tak pięknie pisałaś miłe rzeczy o swoim okropnym ojcu. Ale nie powinnam źle mówić o zmarłym. Twoja mama była piękną dziewczyną. Czy wiesz, że twój ojciec zakochał się w niej od pierwszego wejrzenia?

Skinęłam głową.

- Chcesz kokosowego cukierka? Jest miękki. W sam raz dla bezzębnych.

- Nie, dziękuję - odparłam z uśmiechem.

Była urocza, dokładnie jak z opisu mamy. Taka niewinna.

- Och, chwileczkę. Twoja prababcia coś dla ciebie zostawiła.

Zniknęła za zasłoną, a gdy wróciła, położyła mi na dłoni bransoletkę. Przyjrzałam się jej i po mojej szkicowo zrekonstruowanej przeszłości przemknął cień wspomnienia. Zamknęłam oczy, przesunęłam palcami po chłodnych kamieniach i usłyszałam głos prababci: "Zabierz z sobą Niśę.

Siedź przy nim i pilnuj, żeby ich nie podmienił. Jubilerzy to oszuści".

Przypomniałam sobie, jak pędząc pod wiatr, bezpieczna w spowiciu długich białych rękawów koszuli pradziadka, podskakiwałam na ramie jego roweru. W pracowni jubilerskiej było ciemno. Właściciel pracował przy małym niebieskim płomyku. Pradziadek wręczył mu kamienie.

Kiedy z założonymi rękami czekaliśmy, aż jubiler z pomocą ostrych metalowych narzędzi upora się z oprawą klejnotów prababci, za chciało mi się lodów, ale pradziadek powiedział, że musimy poczekać.

- Skąd są te klejnoty? - spytałam Lalitę.

- Kiedyś mój brat Lakszmana grał w kości z sułtanem Pahangu i sułtan przegrał. Zamiast pieniędzy dał mu te kamienie. Z sułtanem się nie dyskutowało, więc brat przyjął je, licząc na szybką sprzedaż, niestety, wcześniej wpadły w ręce mamy. Od razu poznała się na ich wartości.

- A więc dziadek wygrał te opale przy stole do gry? - za pytałam, przyglądając się ślicznym żółtym świeciakom zaklętym w zielonych kamykach.

To mi się trafiło! Prezent od dziadka. Stałam pod jego fotografią ozdobioną wieńcem. Był przystojnym mężczyzną, ale w wyobraźni zobaczyłam jego odciętą głowę, toczącą się po ziemi.

Odwróciłam się od tego obrazu.

- Dziękuję. Bardzo dziękuję za prezent – powiedziałam. - Czy mogę zobaczyć figurkę Kuan-in?

- Skąd o niej wiesz?

- Wysłuchałam wszystkich taśm mamy. To ty mówiłaś o Kuan-in, pamiętasz?

Z głębi oszklonej szafki, gdzie spoczywały ozdobne fajkowe wyciory z ptasich piór i prześliczne białe korale, które dziadek wykradł kiedyś morzu, wyjęła posążek. Gładki i piękny.

Przeciagnałam zachwyconym palcem po jadeicie, zdziwiona, że nie lśni ciemną zielenią, jak opisany na taśmie, lecz jest bladozielony.

- Myślałam, że jest ciemnozielony.

- Owszem, przed laty, po wyjęciu z pudełka, miał piękny, głęboko zielony kolor, ale z roku na rok coraz bardziej bladł.

Uśmiech mojej ciotecznej babki pokrywał kurz starości. A więc jadeit zmienił barwę.

- Czy wiesz... - zaczęłam.

- Tak, wiem. Zwróć ją.

Zaniiosłam figurkę bogini do chińskiej świątyni w Kuantanie. Gdy tylko weszłam do mrocznego wnętrza, z czerwonych drzwi wyłoniła się kapłanka w bieli, rozejrzała się z nadzieją, zobaczyła mnie i podeszła.

- Przyniosłaś ją - powiedziała, patrząc na owinięty w materiał pakunek w moim ręku.

- Dziś w nocy śniło mi się, że wróci do świątyni.

Zdumiona, podałam jej paczuszkę. Kapłanka rozwinęła ją z czią.

- Och, co za kolor! Na pewno sprowadziła wiele nieszczęść na tę, która ją trzymała.

Była u twojej matki? - spytała, patrząc mi w oczy.

- Nie, nie u matki, u mojej prababki.

I faktycznie, ten po sążek sprowadził na moją rodzinę straszne nieszczęścia.

- Przykro słyszeć. W tych figurkach jest wielka moc. Wymagają modlitw i czystych myśli, bo inaczej niszczą życie ludzi, którzy je trzymają. Ale wróciła na swoje miejsce, więc odzyska dawny kolor.

Zbliżał się wieczór. Nad horyzontem wisiała krwista kula słońca. Jakiś czas zabawiłam pod koroną wielkiego drzewa. Kuantan był małym miastem. Odnalazłam miejsca znane mi z taśm i z uśmiechem stwierdziłam, że nic się nie zmieniły przez te wszystkie lata. Zaszłam do nowo wybudowanego centrum handlowego. Przed odjazdem musiałam coś załatwić. Błądziłam między sklepikami, aż znalazłam się przed małym butikiem. Wahałam się tylko chwilę. W sklepie bez zapalu zaczęłam oglądać stroje. Sukienka, która mnie interesowała, wisiała na manekinie z wystawy, musiałam jednak nabrać odwagi, żeby poprosić znudzoną sprzedawczynię o zdjęcie jej do przymierzenia. W końcu przestałam udawać, że się rozglądam. Musiałam to zrobić. Musiałam to powiedzieć.

- Czy może pani zdjąć tę sukienkę z wystawy? - spytałam. Twarz dziewczyny była zwierciadłem jej myśli.

- Którą? - spytała grzecznie, lecz z miną: "Zdejmę tę przeklętą sukienkę, ale lepiej ją kup!".

- Czerwono-czarną.

- Jest bardzo ładna, ale kosztuje dwieście ringgitów.

W milczeniu patrzyłam, jak zdejmuje sukienkę z wystawy. W małej kabinie okazało się, że sukienka jest mocno kusa.

- La, jakie ładne nogi, aaa - skomplementowała mnie z przesadą sprzedawczyni, wsadzając głowę. - La, bardzo seksowna, la - pochwaliła.

Najwyraźniej nie uśmiechało jej się powtórne ubieranie manekina.

Ze zdumieniem odkryłam, że z mojej zadawnionej niechęci do czerwieni i czerni pozostała jedynie leciutka dezaprobata dla krótkości sukienki.

- Tenisówki nie, la - zapewniła dziewczyna, podsuwając mi czarne sandały wiązane na kostkach.

Przytrzymała mi plastikową torbę. Schowałam do niej džinsy i koszulę, zapłaciłam za sukienkę i sandały i wyszłam. Mijając wystawy sklepów, ze zdumieniem patrzyłam na swoje odbicie. Byłam elegancka i wysoka. Właściwie nie do poznania. Choć nienawidziłam czerwieni, to

czerwień mnie kochała. Wydobyła z mojej cery wszystko, co najlepsze, i zapowiadała długą, szczęśliwą znajomość. Czerwony z czarnym to fantastyczne połączenie kolorów, pomyślałam.

Pewnego dnia, przyglądając się leżącej w hamaku Amu, po stanowiłam, że spróbuję pisać.

Czasem pisałam w białej altanie mamy, a kiedy indziej w jej pokoju, ale zawsze towarzyszyły mi silne duchy, żyjące w jej grającym pudełku. Głosy z przeszłości, wzbijające się jak chmury różowych flamingów nad wydzielającymi trujące opary jeziorami wschodniej Afryki. A każdy skrzeczał własnym głosem. Każdy domagał się, by umieścić jego różową sylwetkę w krajobrazie mojej opowieści.

Szeptaly mi do ucha rozmaite rzeczy, a ja pisałam tak szybko, jak mówiły. Bywały rozgniewane, czasem szczęśliwe, a kiedy indziej pełne skruchy. Wysłuchując ich smutków, wiedziałam, że mama pozbierała ich żale z myślą o mnie, bym kiedyś mogła stać się sobą. Dni upływały mi coraz szybciej. Gdy odrywałam się od pisania, na dworze było już ciemno, na dole Amu zapalała modlitewną lampkę, a wierni mali Maurzy oświetlali hol pełgającymi płomykami świec.

- Chodź coś zjeść! - wołała Amu.

Aż nadszedł dzień, kiedy napisałam ostatnią stronę. Rozsiadłam się wygodnie w mrocznym pokoju i coś kazało mi sięgnąć po taśmę, którą mama znalazła w mieszkaniu zmarłego wuja Sevenesea. Włożyłam ją do magnetofonu, puściłam i rozległ się jego głos:

Na to drugi rzekł z długim westchnieniem:

"Jam jest z gliny wyschłej z zaniedbania,

Ale zwilż mnie znajomym likworem,

A odzyskam wigor bez wahania!"

Gałąn ze mnie. Wystarczyło, że szepnąłem ci ten wierszyk do ucha, a przyniosłaś mi półtoralitrową flaszkę japońskiej sake. Gdy zacząłem kpić sobie z twojego tajemniczego kochanka, spiekłaś raczka. Nie, ty nie masz kochanka, tylko cierń w piersi. Lecz nie powiesz, jaki. Droga, kochana Dimple, jesteś moją ulubioną bratanicą, zawsze byłaś, ale miłość do takiej zbakierowanej, tragicznie smutnej istoty boli. Przystudiowałem twój horoskop i odkryłem, że w twoim domu małżeńskim siedzi wąż Rahu. Czyż nie ostrzegałem cię przed mężczyzną, którego poślubiłaś?

Nie ufam mu. Nosi uśmiech jak ubrania, swobodnie i od niechcienia. Przystudiowałem jego horoskop i nie spodobało mi się to, co z niego wyczytałem.

Stanie się zmiją na twoim łonie.

Czy wspominałem ci kiedyś o żmii, którą nosił w sobie Radża? Jakies trzy miesiące po śmierci Mohini zginął od śmiertelnego ukąszenia węża. Ugryzła go jego własna piękna kobra.

W mojej pamięci pozostał jako wspaniały starożytny bohater, właściciel wielkiej, lśniącej kobry do łapania szczurów. Jego brązowe ciało połyskiwało w wysokiej trawie. W świetle księżyca ożywały wszystkie jego sekrety. Nigdy nie zapomnę chwili, kiedy powiedział: "Patrz" - podszedł do kołyszącej się czarnej śmierci i uderzył kobrę, jakby była zabawką. Czy pamiętasz, co odpowiedział na pytanie, czy węże mogą pokąsać zaklinacza?

- Owszem – odparł. - Jeżeli sam tego zechce.

Często myślę, że mam w sobie sobowtóra. Lekkomyślnego, niemądrego pędziwiatra, który robi to wszystko, czego ja się boję. Przeżyłem z nim wiele lat. Twierdzi, że w twoim mężu żyje jego dziki i srogi starszy brat. Ciekaw jestem, czy widziałas, jak się w nim czai. Pewnie nie. Szczwane dranie z tych sobowtórów. Gdy ja krzyczę: Nie, nie, nie! - to on z okrutną radością w oku: Tak, tak, tak! A kiedy na dworze pieje kur i zbieram się do domu, ten łajduś, wpatrzony w posągowy biust kobiety w barze, puszcza perskie oko i bardzo głupio cedzi: Co za cudne kopuły. Pozwolisz im się marnować?

Budzę się w jasnym świetle poranka, obok mnie poduszka z odcisniętym śladem głowy, palce nóg lepią mi się od dżemu, we łbie paskudny zamęt i pocieszająca myśl: Na szczęście portfel zostawiłem w recepcji. Bywa, że kiedy odsuwam od siebie szklankę i w pijanym widzie postanawiam: Dość! - tamten zapala następnego papierosa, unosi rękę i zamawia jeszcze jedną whisky. Czystą - mówi do barmana. A potem ciągnie mnie w zaułki, w które nie zapuszczają się nawet taksówkarze. Tam zaś jakieś młode dziewczę oderwie się od ściany, którą podpierało, i przesunie mi palcem po twarzy. Zna mnie. Zna mnie, bo już tutaj byłem.

W Tajlandii kupisz wszystko. Z łatwością, a ja kupiłem w życiu mnóstwo rzeczy. Nie ma potrzeby ani nie uchodzi o nich opowiadać, ale ponieważ jesteś moją bratanicą, a ja jeszcze się nie zalałem, zdradzę ci, że należy do nich czysta heroina. Mój przyćmiony umysł podpowiada mi, sam nie wiem dlaczego, że moje doświadczenia mogą ci się przydać. Siedziałem na łóżku w pokoju hotelowym i dumając nad igłą i strzykawką z brązowym płynem, szczegółowo zanalizowałem siebie. Czy będzie to jeszcze jedno doświadczenie, które dopiszę do listy moich dziwactw, czy nawyk, który zrobi ze mnie niewolnika? Nigdy sobie niczego nie odmówiłem, ale heroina to machina diabła. Wchodzisz do niej i tak cię przerabia, że gdy z niej wychodzisz, nie możesz się poznać. Nie miałem złudzeń, że moja nieodporna na pokusy osobowość rzuci mnie w otchłań nałogu. I że wyjdę z tej maszyny wychudzony, zarzygany, z ziemistą cerą i obłędem w oczach.

Widziałem takich na dworcach kolejowych. Mieli brudne, zapadnięte twarze, a w ich oczach nie było nic prócz nienasyconego pragnienia, żeby zażyć następną działkę. Czy taki szykowałem sobie los? Zawahałem się, lecz, niestety, zaliczam się do ludzi słabych. Perspektywa życiowej stagnacji przegrała z żądzą nowych doświadczeń, pędem do samozatrącenia. Przewiązałem paskiem ramię i bez trudu znalazłem grubą zieloną żyłę. Inspektorzy sanitarni

wiedzą, gdzie szukać najlepszych miejsc. Wsunąłem igłę pod skórę i zamknąłem oczy. Natychmiast po czułem kopa, a zaraz potem spokojny, zupełnie nieznanymi mi prąd. Życiowe kłopoty straciły znaczenie. Osunąłem się w otchłań.

Ciepłą, ciemną, miękką, nieopisanie cudowną. Leciałem i leciałem i pewnie spadłbym głębiej, gdyby tuż przede mną nie pojawił się znajomy pyszczek. W oczy spojrzała mi dawno temu zdechła Kutb Minar. Jedyna istota rodzaju żeńskiego, którą kochałem z całego serca. Może jedyna, jaką znałem, o ciepłym ciele i chłodnych wargach. W każdym razie... gdybym znalazł taką kobietę, to oddałbym się jej jak za kochany pawian, który ochoczo rozkłada się na ziemi z członkami wiotkimi na wspomnienie przyjemności, jaką daje wyiskanie przez dominującą samicę.

Kotka miauknęła żałośnie, jakby ją coś zabolalo. Moje ołowiane od narkotyku ręce i nogi spały. Nagle pojawiła się Mohini. Wpatrzyłem się w nią, osłupiały. Zobaczyłem ją po raz pierwszy od śmierci. Dotąd słyszałem tylko jej głos. Stała przede mną rzeczywista jak łóżko, na którym leżałem. W zielonych oczach miała łzy. A potem pojawiły się jaskrawe kolory. Otoczyły ją ze wszystkich stron i zlały się z sobą. Równie roziskrzonych barw jeszcze nie widziałem, błyszczały tak, jak mieniały się złote rybki i skrzydła ważek. Nie mogłem się od nich uwolnić. Poczułem dziwny ból, ból straty. Kolory stopiły się z sobą i nie byłem w stanie odepchnąć ich od siebie. Za wstydziłem się.

Mohini położyła mi rękę na głowie. Poczułem jej ciepło. Czyżbym nie żył? Uznałem, że to możliwe. Kiedy spróbowałem się poruszyć, jej miękka dłoń zsunęła się na mój policzek. Przepiękne kolory oddaliły się i połączyły. Usłyszałem pobożne pieśni, które starsi ludzie śpiewają na pogrzebach. Ale nie dobiegały z zewnątrz, rozbrzmiewały w mojej głowie. Straszliwe pienia, przypominające krzyki i zawodzenia morskich mew, wydziobujących oczy martwym marynarzom.

Pierś przygniótł mi wielki ciężar. Spojrzałem zmarłej siostrze w oczy. Zapomniałem, jakie są zielone. Raptem uśmiechnęła się do mnie i usłyszałem potężny świszczący huk, jakbym stał za blisko szyn, po których pędzi ekspres.

Ciężar gniojący mi pierś zniknął. A wraz z nim kolory i ona. Na dworze było ciemno.

Z ulicy w dole, od straganów zjedzeniem doleciały mnie znajome dźwięki - chrobotanie talerzy i szorstkie, prostackie głosy sprzedawców, a przez otwarte okno napłynęły niewyszukane zapachy tanich składników: czosnku, cebuli i kawałków mięsa smażonych na smalcu. Poczułem głód. Z ręki wciąż sterczała mi zakrwawiona strzykawka. Wyciągnąłem ją i z zaciekawieniem przyjrzałem się ciemnej krwi. Było pewne, że więcej nie powtórzę tego do świadczenia. Dzięki Mohini.

"Każdy wuj to z natury figlarz" - powiedział Balzac. Jestem błaznem tańczącym nad przepaścią, ale powiem ci, choć, podobnie jak ja, nie posłuchasz: nie wchodź do tej maszyny, bo wyjdiesz z niej tak odmieniona, że nic ci nie pomoże.

Nie rób tego, Dimple!

Wchodzę do gabinetu lekarza, a ten mówi: "Co? To pan jeszcze żyje?" Nie wierzy, że tak wyniszczone ciało trzyma się przy życiu. Ale ty nie przeżyjesz maszyny. Zostaw go. Zostaw tę zmiję w jej dżungli. Zostaw w tej dżungli córkę, bo zmija na pewno nie skrzywdzi własnego dziecka. Niśa ma dobry horoskop. Ułoży sobie życie. Uratuj siebie, kochana, krucha Dimple.

Widzę w twoim horoskopie złe rzeczy, a nocami demony zsyłają na mnie sny zroszone krwią.

Mam znowu siedem lat i zza krzaków podglądam, jak matka A Kau szlachtuje świnie. Popłoch, kwiki przerażenia, fontanna posoki i ten nie zapomniany fetor. W moich snach idziesz w krwawym deszczu. Krzyczę. Obracasz się i uśmiechasz bez strachu. Zęby masz czerwone. Boję się o twoją przyszłość. Jest krwawa. Odejdź od niego, Dimple.

Odejdź! Odejdź, proszę cię!

Głos zamilkł i pozostał tylko odgłos obracającej się taśmy. Na dole Amu kończyła wieczorne modły, dzwoniąc małym dzwoneczkiem. Zamknęłam oczy. W czerwonym mroku pod powiekami ujrzałam wuja Sevenesea - siedział z obnażoną piersią pośrodku pustyni, w białej weszli. Noc pomalowała go na niebiesko. Piasek lśnił, ale tu i tam leżały martwe ptaki, z miniaturowymi burzami piaskowymi w otwartych dziobkach i gardziółkach. Stryjeczny dziadek Sevenese obrócił się ku mnie i uśmiechnął. Znałam ten uśmiech. "Spójrz - powiedział, wskazując niebo. - Spójrz na tę dumną noc nad pustynią, na te miriady gwiazd, którymi przystroiła krucze włosy. Czyż to nie najwspanialszy widok na świecie?".

Odemknęłam powieki w pokoju wypełnionym zmierzchem i nagle zrozumiałam. Zrozumiałam, co tak rozpaczliwie chciał napisać na łożu śmierci mojej udreżonej mamie. Jak brzmiało jego niedokończone przesłanie. Unieruchomiony w szpitalnym łóżku, potwornie wzdęty i niemogący dobrać głosu, chciał powiedzieć: "Kwiaty rosną u jej stóp, ale ona nie umarła. Lata wcale nie pomniejszyły Matki Ryżu. Widzę ją, magiczną i surową. Nie rozpaczaj. Zawołaj, a na pewno się zjawi z tęczą snów".

Na dworze wiatr zaszeleścił liśćmi. Stary bambusowy za gajnik w głębi ogrodu zaśpiewał.